Andrzej
SAPKOWSKI

Lux perpetua

superNOWA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Opracowanie graficzne: Tomasz Piorunowski
Na okładce wykorzystano fragment obrazu Pietera Breughla *Triumf śmierci*

Copyright © Andrzej Sapkowski 2016

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.
Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny: Mirosław Kowalski

ISBN 978-83-7578-134-2

Andrzej Sapkowski

Lux perpetua

superNOWA
WARSZAWA

Pamięci Jewgienija Wajsbrota,

wspaniałego człowieka i wybitnego tłumacza,
który przez ponad pół wieku przybliżał naszym
przyjaciołom Moskalom polską literaturę,
tę powieść dedykuję.

Autor

Spis treści

Intro
Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Przypisy

Tłumaczenia co trudniejszych sentencji, religijnych hymnów, odnośniki źródłowe oraz garść anegdot i informacji „co było później” znajdą Państwo na końcu książki. Z góry jednak uprzedzamy, że Autor pozostawił czytelnikowi dużo swobody w samodzielnym buszowaniu po rozmaitych leksykonach, encyklopediach i pokrytych kurzem foliałach z

epoki. To wszak sama przyjemność, a tej Autor PT Czytelnikom odebrać nie chce (przyp. wyd.).

Dies irae, dies illa,

solvet saeculum in favilla,teste David cum Sibylla...

Dzień ów gniewu się nachyla, gdy w proch wieki zmiecie chwila, świadkiem Dawid i Sybilla. Będzie strach tam, będzie drżenie, przyjdzie Sędzia sądzić ziemię. Trąba wyda głos dokoła, gdzie kto gnił w mogilnych dołach, wszystkich do stóp tronu zwoła...

Tararara, tararara, tararara dum, dum, dum...

Lacrimosa dies illa,
qua resurget ex favilla
iudicandus homo reus
huic ergo parce Deus.

Oj, ojojoj, przybliża się, moi panowie i mili słuchacze, przybliża się dzień gniewu, dzień nieszczęsny, dzień łez. Przybliża się Dzień Sądu i kary. Jako stoi w liście Janowym: *Antichristus venit, unde scimus quoniam novissima hora est*. Nadchodzi, nadchodzi Antychryst, nadchodzi ostatnia godzina. Zbliża się koniec świata i kres istnienia wszelakiego... Innymi słowy: nie jest, kurde, dobrze.

Antychryst, moi panowie i mili słuchacze, ma być z pokolenia Dana.

W Babilonie się narodzi. Na końcu świata przyjdzie, półczwarta lata królować zdoła. W Jeruzalem świątynię pobuduje, mocą króle opanuje, a Kościół Boży zrujnuje. Na ognistym piecu jeździć będzie, dziwy-cuda czyniąc wszędzie. Pokazując swoje rany, zwiedzie wierne chrześcijany. Przybędzie z mieczem i ogniem, a siłą jego będzie bluźnierstwo, a ramieniem jego zaprzaństwo, a prawicą jego zagłada, a lewicą: mrok. Twarz jego jak dzikiego zwierza, czoło wysokie, brwi zrośnięte... Prawe oko jego jak gwiazda powstająca o świcie, lewe nieporuszone, jako u kota zielone, dwie, miasto jednej, źrenice mające. Nos jego jak otchłań, usta na łokieć, zęby na piędź. Palce jego jak żelazne kosy...

Ejże, ejże! I czegoż to krzyczeć na dziada, wielmożni? Czegoż to od razu wygrażać? Za co, za jakie winy? Że straszę? Że bluźnię? Że niczym kruk kraczę? Nijak, moiściewy, nijak nie kraczę! Prawdę gadam, prawdę święcie czystą, a przez wielkich ojców Kościoła potwierdzoną. Ba, i w ewangeliach dowiedzioną! Że w apokryficznych? I co z tego, że w apokryficznych? Cały ten świat jest apokryficzny.

Co tam niesiesz, miła dzieweczko? Cóż tam się tak w stągiewkach pieni? Nie piwo wypadkiem?

Ech, przednie... Świdnickie, ani chybi...

Hola! A spojrzyjcieżże w okienko, wielmożni! Czy wzrok starca myli? Czy mi się zda, czy się słonko wreszcie przez chmury przebija? Przebóg, tak! Koniec, koniec wnet będzie słocie i niepogodzie. Wierę, patrzcie jeno, oto blask świat zalewa, spływa z niebios słupem złotojasnym. I oto światłość staje się ogromna...

Lux perpetua.

Chciałoby się takiej. Wiekuistej. Chciałoby się...

Jak powiadacie? Że skoro koniec słocie, to dość siedzenia w karczmie, nagli czas w drogę? Że skoro tak, to miast pleść, opowieść co rychlej by kończyć? Dopowiedzieć, jak to dalej było z Reynevanem i z ukochaną jego Juttą, z Szarlejem i z Samsonem owego czasu, czasu tamtych srogich wojen, kiedy to krwią spłynęły i od pogorzelisk poczerniały ziemie Łużyc, Śląska, Saksonii, Turyngii i Bawarii? Jako żywo,

wielmożni, jako żywo. Opowiem, bo też i opowieść trybem jej przyrodzonym ku końcowi zmierza. Choć i to wam rzec muszę, że jeśli się na szczęśliwe lubo wesołe opowieści zakończenie sposobicie, srodze zawieść się wam przyjdzie... Że co? Że znowu straszę? Kraczę? A jak tu, rzeknijcie, nie krakać? Kiedy takie straszne się we świecie wyrabiają rzeczy? Kiedy w Europie całej, popatrzcie jeno, cięgiem ninie zgiełk bitewny?

Pod Paryżem krew nie obsycha na mieczach Francuzów i Anglików, Burgundów i Armaniaków. Wciąż, jak u cytowanego Owidiusza, mord i pożoga na francuskiej ziemi, ciągle wojna. Sto lat będzie trwała, czy jak?

Anglia kipi w rewoltach, Gloucester na udry idzie z Beaufortami. Będzie z tego, oj, będzie, wspomnicie me słowa, zło jakieś między Yorkami a Lancastrami, między Białą i Czerwoną Różą.

W Danii grzmią działa, Eryk Pomorski ściera się z Hanzą, zawzięty bój wiedzie z książętami Szlezwiku i Holsztyna. Zurych zbrojnie powstał przeciw kantonom, godzi w jedność helweckiego związku. Mediolan w walce przeciw Florencji. Na ulicach Neapolu szaleją zdobywcy, żołdacy z Aragonii i Nawarry.

W księstwie moskiewskim hulają miecz i pochodnia, Wasyl w zajadłych utarczkach z Jurijem, Dymitrem Kosym, Szemiakiem. *Vae victis!* Pokonani płaczą czerwonymi łzami z krwawych oczodołów.

Dzielny Jan Hunyady z powodzeniem bije się z Turkami. Górą dzieci Arpada! Ale wisi, jako ten miecz Damoklesowy, już cień Półksiężyca nad Siedmiogrodem, nad dolinami Drawy, Cisy i Dunaju. Pisany, oj, pisany Madziarom żałosny los Bułgarów i Serbów.

Wenecja truchleje, gdy Murad II ubroczonym jataganem wyrzyna Epir i Albanię. Cesarstwo Bizantyjskie skurczone do rozmiarów Konstantynopola, Jan VIII i brat jego Konstantyn z niepokojem spoglądają z murów, wyglądają, czy już aby Osman nie nadciąga. Jednajcie się, chrześcijanie Wschodu i Zachodu, w obliczu wspólnego wroga! Jednajcie się i jednoczcie!

Ale chyba już za późno...

Bliski jest wielki dzień Pański, a będzie on dniem gniewu, dniem ucisku i utrapienia, dniem ruiny i spustoszenia, dniem ciemności i mroku, dniem chmury i burzy.

Dies irae...

Przepowiedział król Dawid w psalmach, wyprorokował prorok Sofoniasz, wywieszczyła pogańska wieszczka Sybilla. Gdy ujrzycie, że brat brata wydaje na śmierć, że dzieci powstają przeciw rodzicom, że żona opuszcza męża i że jeden naród wywołuje wojnę przeciw drugiemu narodowi, że na całej ziemi wielki głód się dzieje, wielkie zarazy i liczne nieszczęścia, wtedy poznacie, że bliski jest koniec... Hę? Co mówicie? Że to, com tu wymienił, przydarza się codziennie, nagminnie i na okrągło? I że bynajmniej nie tylko ostatnio, ale od wieków, w koło Wojtek? Ha, rację masz zarówno waść, szlachetny panie rycerzu z Habdankiem w herbie, jak i ty, czcigodny fratrze od świętego Franciszka. Rację macie, głowami kiwając i miny mądre strojąc, także i wy, cni panowie, i wy, pobożni mnisi, i wy, dobrzy kupcy. Rację macie. Wszędy zło i zbrodnia. Codziennie bratobójstwo, nagminnie przeniewierstwo, cięgiem krwi przelew. Oto, wierę, przyszedł nam wiek zdrady, gwałtu i przemocy, wiek nieustannej wojny. Jakże tedy, gdy tak się wokół dzieje, rozpoznać: już koniec świata, azaliż jeszcze nie już? Wedle czego to ocenić? Jakież znaki to pokażą, jakież *signa et ostenta*?

Głowami, widzę, wciąż kiwacie, cni panowie, dobrzy mieszczanie, świątobliwi mnisi. Wiem, co dumacie, bom i ja się nad tym zadumał nieraz.

A może, dumałem, bez sygnału rzecz się stanie? Bez larum? Bez ostrzeżenia? Ot, po prostu: jeb! I koniec, *finis mundi*? Może nie ma zmiłuj się? Może zupełna absencja sprawiedliwych w Sodomie? Może, bośmy plemię przewrotne, znak nie będzie nam dany?

Otóż nie lękajcie się. Będzie. Przyrzekają to ewangeliści. Zarówno ci legalni, jak i ci apokryficzni.

Będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi trwoga narodów bezradnych wobec szumu morza i jego nawałnicy. Moce niebios zostaną wstrząśnięte. Słońce zaciemni się, księżyc nie da światła, a gwiazdy będą spadały z nieba. I zostaną rozwiązane cztery wiatry od ich podstaw. *Movebuntur omnia fundamenta terrae*, zadrży ziemia i morze, a razem z nimi góry i pagórki. I wyjdzie z nieba głos archanioła, i zostanie usłyszany aż w najniższych czeluściach.

I będą przez siedem dni wielkie znaki na niebie. A jakie będą, opowiem. Słuchajcie!

Dnia pierwszego chmura nadejdzie z północy. I będzie z niej deszcz krwi na całej ziemi.

W drugim zaś dniu zostanie poruszona ziemia ze swego miejsca; bramy nieba otworzą się od wschodu i dym wielkiego ognia przesłoni całe niebo. I będzie tego dnia wielki strach i przerażenie na świecie.

Trzeciego zaś dnia zajęczą otchłanie ziemi z czterech krańców świata, a całą przestrzeń wypełni odrażający smród siarki. I będzie tak aż do godziny dziesiątej.

Czwartego dnia tarcza słońca się zasłoni i będą ciemności wielkie. Przestrzeń będzie posępna bez słońca i księżyca, gwiazdy zaprzestaną swej posługi. Tak będzie aż do poranku.

Szóstego dnia poranek będzie mglisty...

Rozdział pierwszy

w którym próbującego natrafić na ślad swej lubej Reynevana spotykają rozliczne przykrości. W szczególności przeklęty jest. W domu i na dworze, stojący, siedzący i robiący. A Europa w tym czasie zmienia się. Adaptując nowe techniki walki.

Poranek był mglisty, jak na miesiąc luty dość ciepły. Całą noc miało się na odwilż, od świtu śnieg topniał, odciski podkutych kopyt i wygniecione kołami wozów koleiny momentalnie wypełniały się czarną wodą. Osie i orczyce skrzypiały, konie chrapały, woźnice klęli sennie. Licząca blisko trzysta wozów kolumna posuwała się wolno. Nad kolumną unosił się ciężki, duszący zapach solonych śledzi.

Sir John Fastolf sennie kiwał się w siodle.

•

Po paru dniach mrozu przyszła nagle odwilż. Mokry śnieg, który padał noc całą, tajał szybko. Roztopiona okiść kapała ze świerków.

– Hyyyr na niiich! Bij!

– Haaaa!

Zgiełk gwałtownej walki spłoszył gawrony, ptaki zerwały się z gołych gałęzi, ołowiane lutowe niebo upstrzyła czarna i ruchliwa mozaika, przesycone rozmarzłą wilgocią powietrze wypełniło się krakaniem. Szczękiem i łomotem żelaza. Krzykiem.

Bito się krótko, ale zajadle. Kopyta zryły śniegową breję, skotłowały ją z błotem. Konie rżały i kwiczały cienko, ludzie wrzeszczeli. Jedni bojowo, drudzy z bólu. Zaczęło się raptownie, skończyło szybko.

– Hooo! Zachooodź! Zachooooooodź!

I jeszcze raz, ciszej, dalej. Echo tłukło się po lesie.

– Hooo! Hooooo!

Gawrony krakały, krążąc nad lasem. Tętent oddalał się pomału. Cichły krzyki.

Krew barwiła kałuże, wsiąkała w śnieg.

•

Ranny armiger usłyszał zbliżającego się jeźdźca, zaalarmował go chrap konia i brzęk uprzęży. Stęknął, spróbował się podnieść, nie zdołał, wysiłek wzmógł krwotok, spomiędzy płatów kirysu silniej zapulsował karminowy strumień, spływając po blasze. Ranny wparł się mocniej plecami w zwalony pień, dobył puginału. Świadom, jak licha jest to broń w ręku kogoś, kto nie może wstać, mając bok przebity włócznią i nogę wywichniętą przy upadku z konia.

Zbliżający się gniady źrebiec był inochodźcem, nietypowe stawianie nóg rzucało się w oczy od razu. Dosiadający gniadosza jeździec nie miał na piersi znaku Kielicha, nie był więc jednym z husytów, z którymi oddział armigera dopiero co stoczył walkę. Jeździec nie nosił zbroi. Ani broni. Wyglądał na zwykłego podróżnego. Ranny armiger wiedział jednak aż nadto dobrze, że teraz, w miesiącu lutym roku Pańskiego 1429, w rejonie Wzgórz Strzegomskich nie bywało podróżnych. W lutym roku 1429 po Wzgórzach Strzegomskich i Równinie Jaworskiej nie podróżował nikt.

Jeździec długo przyglądał mu się z wysokości siodła. Długo i w milczeniu.

– Krwawienie – odezwał się wreszcie – trzeba powstrzymać. Mogę to zrobić. Ale tylko wtedy, jeśli precz odrzucisz ten sztylet. Jeśli tego nie uczynisz, odjadę, a ty radź sobie sam. Decyduj.

– Nikt... – stęknął armiger. – Nikt nie da za mnie okupu... Żeby potem nie było, com nie uprzedzał...

– Rzucisz sztylet czy nie?

Armiger zaklął z cicha, cisnął puginał, machnąwszy mocno na odlew. Jeździec zsiadł z konia, odtroczył juki, ze skórzaną torbą w ręce uklęknął obok. Krótkim składanym nożem rozciął rzemyki, łączące oba płaty napierśnika z naplecznikiem. Zdjąwszy blachy, rozpruł i rozsunął przesiąknięty krwią aketon, zajrzał, pochylając się nisko.

– Niełądnie... – mruknął. – Oj, niełądnie to wygląda. *Vulnus punctum*, rana kłuta. Głęboka... Nałożę opatrunek, ale bez dalszej pomocy się nam nie obyć. Dowiozę cię pod Strzegom.

– Strzegom... oblężony... Husyci...

– Wiem. Nie ruszaj się.

– Ja ciebie... – wydyszał armiger. – Ja ciebie chyba znam...

– Mnie, wyobraź sobie, twoja gęba też się wydaje znajoma.

– Jestem Wilkosz Lindenau... Giermek rycerza Borschnitza, świeć, Panie, nad jego duszą... Turniej w Ziębicach... Wiodłem cię do wieży... Boś ty jest... Boś wszak jest Reinmar z Bielawy... Tak?

– Aha.

– Toś ty przecie... – Oczy armigera rozwarły się z przerażenia. – Chryste... Tyś jest...

– Przeklęty w domu i na dworze? Zgadza się. Teraz zaboli.

Armiger silnie zacisnął zęby. W samą porę.

●

Reynevan prowadził konia. Skulony w siodle Wilkosz Lindenau stękał i pojękiwał.

Za wzgórzem i lasem był gościniec, przy nim, niedaleko, osmalone ruiny, resztki do gruntu rozwalonych budynków, w których Reynevan z trudem rozpoznał niegdysiejszy karmel, klasztor zakonu Beatissimae Virginis Mariae de Monte Carmeli, służący niegdyś jako dom demerytów, miejsce odosobnienia i kary dla księży zdrożnych. A dalej był już Strzegom. Oblężony.

Oblegająca Strzegom armia była liczna, Reynevan z pierwszego rzutu oka oszacował ją na dobre pięć, sześć tysięcy ludzi, potwierdzały się zatem pogłoski, że Sierotki otrzymały posiłki z Moraw. W grudniu ubiegłego roku Jan Kralovec wiódł na śląską rejzę niecałe cztery tysiące zbrojnych, z proporcjonalną liczbą wozów bojowych i artylerii. Obecnie wozów było z pięćset, a co do artylerii, to akurat teraz właśnie wypadło jej się zaprezentować. Jakieś dziesięć bombard i moździerzy wypaliło z hukiem, zasnuwając dymem działobitnie i przedpole. Kamienne kule z gwizdem poleciały ku miastu, waląc w mury i budynki. Reynevan widział, w co trafiły pociski, wiedział, w co celowano. Ostrzałowi poddawano Wieżę Dziobową i basztę nad Bramą Świdnicką, główne bastiony obrony od południa i wschodu, jak również bogate kamienice w rynku i kościół farny. Jan Kralovec z Hradku był doświadczonym dowódcą, wiedział, komu dokuczać i czyj majątek niszczyć. O tym, jak długo miasto się broniło, decydowały zwykle nastroje wśród patrycjatu i kleru.

W zasadzie po salwie można było spodziewać się szturmu, ale nic nań nie wskazywało. Dyżurne oddziały prowadziły zza szańców ostrzał z kusz, hakownic i taraśnic, ale pozostałe Sierotki oddawały się lenistwu

przy biwakowych ogniskach i kuchennych kotłach. Nie dało się obserwować żadnej wzmożonej aktywności również w okolicy namiotów sztabu, nad którymi powiewały niemrawo chorągwie z Kielichem i Pelikanem.

Reynevan poprowadził konia w kierunku sztabu właśnie. Mijane Sierotki obojętnie odprowadzały ich wzrokiem, nikt ich nie zatrzymał, nikt nie okrzyknął ani nie zapytał, kim są. Sierotki mogły poznać Reynevana, wielu go wszak znało. Mogło też im być wszystko jedno.

– Szyję mi tu utną... – zamamrotał z siodła Lindenau. – Na mieczach rozniosą... Heretyki... Husyty... Diabły...

– Nic ci nie zrobią – sam siebie przekonał Reynevan, widząc zbliżający się ku nim zbrojny w rohatyny i gizarmy patrol. – Ale dla pewności mów: „Czesi". *Vitáme vas, bratři!* Jestem Reinmar Bielawa, poznajecie? Medyk nam potrzebny! *Felčar!* Wołajcie, proszę, felczera!

●

Reynevana, gdy się pojawił w sztabie, z miejsca uściskał i obcałował Brazda z Klinsztejna, po nim do potrząsania prawicą i klepania po plecach wzięli się Jan Kolda z Żampachu, bracia Matej i Jan Salavowie z Lipy, Piotr Polak, Wilem Jenik, inni, których nie znał. Jan Kralovec z Hradku, hejtman Sierotek i wódz wyprawy, żadnym nadmiernym emocjom upustu nie dał. I nie wyglądał na zaskoczonego.

– Reynevan – pozdrowił go dość chłodno. – Patrzcie, patrzcie. Powitać syna marnotrawnego. Wiedziałem, że do nas wrócisz.

●

– Czas będzie kończyć – rzekł Jan Kralovec z Hradku.

Oprowadzał Reynevana po liniach i stanowiskach. Byli sami. Kralovec chciał, by byli sami. Nie miał pewności, od kogo i z czym Reynevan przybywa, spodziewał się tajnych posłań przeznaczonych wyłącznie dla jego uszu. Dowiedziawszy się, że Reynevan niczyim wysłannikiem nie jest i żadnych posłań nie przynosi, spochmurniał.

– Czas będzie kończyć – powtórzył, wstępując na szaniec i sprawdzając dłonią temperaturę lufy bombardy, chłodzonej moczonymi surowymi skórami. Patrzył na mury i baszty Strzegomia. Reynevan wciąż oglądał się na ruiny zburzonego karmelu. Na miejsce, w którym –

całą wieczność temu – po raz pierwszy spotkał Szarleja. Cała wieczność, pomyślał. Cztery lata.

– Czas kończyć – głos Kralovca wyrwał go z zamyślenia i wspomnień. – Czas najwyższy. Swoje zrobiliśmy. Wystarczyło nam grudnia i stycznia, by zdobyć i złupić Duszniki, Bystrzycę, Ziębice, Strzelin, Niemczę, cysterski klasztor w Henrykowie, do tego bezlik miasteczek i wiosek. Daliśmy Niemcom nauczkę, popamiętają nas. Ale już jest po Zapustach, już Popielec, psiakrew, dziewiąty dzień lutego. Wojujemy już grubo ponad dwa miesiące, i to zimowe miesiące! Przemaszerowaliśmy chyba ze czterdzieści mil. Wleczemy za sobą wozy ciężkie od łupu, pędzimy stada krów. A morale spada, ludzie pomęczeni. Oparła się nam Świdnica, pod którą leżeliśmy całe pięć dni. Powiem ci prawdę, Reynevan: nie mieliśmy sił na szturm. Grzmieliśmy z puszek, miotaliśmy ogień na dachy, straszyliśmy, a nuż się świdniczanie poddadzą albo choć rokować zechcą, wypalne zapłacić. Ale pan Kolditz nie uląkł się, a nam z niczym odejść stamtąd przyszło. Widno, Strzegom przykład wziął, bo też trzyma się dzielnie. A my znowu udajemy groźnych, straszymy, palimy z bombard, gonimy się po lasach z próbującymi nas szarpać wrocławskimi podjazdami. Ale powiem ci prawdę: przyjdzie i stąd z niczym odejść. Całkiem. Do domu. Bo czas. Jak uważasz?

– Nic nie uważam. Ty tu dowodzisz.

– Dowodzę, dowodzę. – Hejtman odwrócił się gwałtownie. – Wojskiem, którego morale leci na pysk. A ty, Reynevan, ramionami wzruszasz i nic nie uważasz. A co robisz? Ratujesz rannego Niemca. Papistę. Przywozisz, każesz leczyć naszemu felczerowi. Okazujesz miłosierdzie wrogowi? Na oczach wszystkich? Dorżnąć go było w lesie, cholera!

– Nie mówisz chyba poważnie.

– Klątem się... – warknął przez zęby Kralovec. – Po Oławie... Przysiągłem sobie, że po Oławie żadnemu z nich nie okażę łaski. Żadnemu.

– Nie możemy przestać być ludźmi.

– Ludźmi? – Hejtmanowi Sierotek piana niemal wystąpiła na wargi. – Ludźmi? Czy ty wiesz, co się stało w Oławie? W noc przed świętym Antonim? Gdybyś tam był, gdybyś widział...

– Byłem tam. I widziałem.

– Byłem w Oławie – powtórzył Reynevan, bez emocji obserwując zaskoczoną minę hejtmana. – Trafiłem tam niecały tydzień po Trzech Królach, krótko po waszym odejściu. Byłem w mieście w niedzielę przed Antonim. I wszystko widziałem. Patrzyłem też na triumf, jaki potem z tytułu Oławy odświętował Wrocław.

Kralovec milczał przez chwilę, patrząc z szańca na dzwonnicę strzegomskiej fary, z której właśnie rozbrzmiewać jął dzwon, dźwięcznie i donośnie.

– Toś nie tylko w Oławie, ale i we Wrocławiu był – skonstatował fakt. – A teraz zjechałeś tu, pod Strzegom. Jak z jasnego nieba. Pojawiasz się, znikasz... Nie wiada skąd, nie wiada jak... Ludzie już gadać zaczynają, plotkować. Podejrzewać...

– Co podejrzewać?

– Daj pokój, nie unoś się. Ja ci ufam. Wiem, ważnego coś miałeś na głowie. Gdyś się wtedy z nami pod Wielisławiem żegnał, dwudziestego siódmego grudnia, na bitewnym polu, baczyliśmy, że ci pilno, bardzo pilno do jakichś ważnych spraw, ważnych niesłychanie. Załatwiłeś je?

– Niczego nie załatwiłem – nie ukrył goryczy Reynevan. – Jestem natomiast przeklęty. Przeklęty stojący, robiący i siedzący. Na górach i w dolinach.

– Jak niby?

– To długa historia.

– Uwielbiam takie.

●

Fakt, że coś niezwykłego dziać się dziś będzie w katedrze wrocławskiej, obwieścił zgromadzonym w świątyni wiernym podniecony gwar tych, co stali bliżej transeptu i chóru. Ci widzieli i słyszeli więcej niż pozostali, stłoczeni gęsto w nawie głównej i obu bocznych. Owi musieli początkowo zadowalać się domysłami. I gadką-plotką niesioną rosnącym, powtarzanym szeptem, obiegającym tłum niczym szelest liści na wietrze.

Wielki dzwon tumski zaczął bić, a bił głucho i powoli, złowrogo i ponuro, urywanie, serce dzwonu, słychać to było wyraźnie, uderzało w spiż tylko jednostronnie, na jeden bok. Elencza von Stietencron chwyciła dłoń Reynevana i ścisnęła silnie. Reynevan odwzajemnił uścisk.

Exaudi Deus orationem meam
cum deprecor a timore inimici
eripe animam meam...

Portal wiodący do zakrystii ozdobiony był reliefami przedstawiającymi męczeńską śmierć świętego Jana Chrzciciela, patrona katedry. Śpiewając, wychodziło stamtąd dwunastu prałatów, członków kapituły. Odziani w uroczyste komże, dzierżąc w dłoniach grube świece, prałaci stanęli przed ołtarzem głównym, twarzami ku nawie.

Protexisti me a conventu malignantium
a multitudine operantium iniquitatem
quia exacuerunt ut gladium linguas suas
intenderunt arcum rem amaram
ut sagittent in occultis immaculatum...

Pogwar tłumu urósł, nasilił się nagle. Bo na stopnie ołtarza wyszedł był własną osobą biskup wrocławski Konrad, Piast z linii książąt oleśnickich. Najwyższy kościelny dostojnik Śląska, namiestnik Miłościwego Pana Zygmunta Luksemburskiego, króla Węgier i Czech.

Biskup był w pełnej gali pontyfikalnej. W ozdobionej drogimi kamieniami infule na głowie, w dalmatyce wdzianej na tunicelę, z pektorałem na piersi i zakrzywionym jak precel pastorałem w ręce prezentował się naprawdę godnie. Otaczała go aura takiego dostojeństwa, że pomyślałbyś, nie biskup to byle wrocławski schodzi po stopniach ołtarza, ale arcybiskup, elektor, metropolita, kardynał, ba, sam papa rzymski. Ba, osoba godniejsza jeszcze i świątobliwsza niźli obecny papa rzymski. Dużo godniejsza i dużo świątobliwsza. Tak myślał niejeden z zebranych w katedrze. Sam biskup zresztą też tak myślał.

– Bracia i siostry – jego donośny i dźwięczny głos zelektryzował i uciszył tłum, zadudniwszy, zdawało się, aż pod wysokim sklepieniem. Ścichł, raz jeszcze uderzywszy, katedralny dzwon.

– Bracia i siostry! – Biskup wsparł się na pastorale. – Dobrzy chrześcijanie! Naucza Pan nasz, Jezus Chrystus, byśmy wybaczali grzeszącym ich winy, byśmy modlili się za nieprzyjacioły nasze. Dobra to i miłosierna nauka, chrześcijańska nauka, ale nie ku każdemu grzesznikowi może ona być obróconą. Są winy i grzechy, za które nie

masz wybaczenia, nie masz miłosierdzia. Każdy grzech i bluźnierstwo będą odpuszczone, ale bluźnierstwo przeciwko Duchowi odpuszczone nie będzie. *Neque in hoc saeculo, neque in futuro*, ani w tym wieku, ani w przyszłym.

Diakon podał mu zapaloną świecę. Biskup ujął ją w urękawiczoną dłoń.

– Reinmar rodem z Bielawy, syn Tomasza von Bielau, zgrzeszył przeciw Bogu w Trójcy Jedynemu. Zgrzeszył bluźnierstwem, świętokradztwem, czarostwem, odstępstwem od wiary, wreszcie zaś pospolitą zbrodnią.

Elencza, wciąż silnie ściskając rękę Reynevana, westchnęła mocno, spojrzała w górę, na jego twarz. I westchnęła ponownie, ciszej tym razem. Na twarzy Reynevana nie znać było żadnego wzruszenia. Jego twarz była martwa. Jak z kamienia. Miał taką twarz w Oławie, pomyślała z przerażeniem Elencza. W Oławie, w noc z szesnastego na siedemnasty stycznia.

– O takich jak Reinmar z Bielawy – głos biskupa ponownie wzbudził echa wśród kolumn i arkad świątyni – rzecze Pismo: Jeżeli uciekają od zgnilizny świata przez poznanie Pana i Zbawcy, a potem oddając się jej ponownie, zostają pokonani, to koniec ich jest gorszy od początków. Lepiej bowiem byłoby im nie znać drogi sprawiedliwości, aniżeli poznawszy ją, odwrócić się od podanego im świętego przykazania. Spełniło się na nich to, co zapisane: pies powrócił do tego, co sam zwymiotował, a świnia umyta... do kałuży błota.

– Do własnych rzygowin – jeszcze bardziej podniósł głos Konrad z Oleśnicy – i do kałuży błota powrócił zaprzaniec i heretyk Reinmar z Bielawy, rabuś, czarownik, kat dziewic, bluźnierca, bezcześciciel miejsc świętych, sodomita i bratobójca, winowajca licznych zbrodni, łotr, który *ultimus diebus Decembris* zdradziecko, ciosem w plecy, zamordował był dobrego i szlachetnego księcia Jana, pana na Ziębicach.

– Przeto w imię Boga Wszechmogącego, w imię Ojca, Syna i Świętego Ducha, w imię wszystkich Świętych Pańskich, mocą w nas położoną wykluczamy apostatę Reinmara z Bielawy ze wspólnoty Ciała i Krwi Pana naszego, odcinamy więź łączącą go z łonem Świętego Kościoła i wypędzamy go ze zgromadzenia wiernych.

W ciszy, jaka zapadła w nawach, dało się słyszeć jedynie sapania i oddechy. Czyjś tłumiony kaszel. I czyjąś czkawkę.

– *Anathema sit!* Wyklęty jest Reinmar z Bielawy! Przeklęty niechaj będzie w domu i na dworze, przeklęty w życiu i w skonaniu, stojący, siedzący, robiący i chodzący, przeklęty w mieście, w siole i na roli, przeklęty na polach, w lasach, na łąkach i pastwiskach, na górach i w dolinach. Niemoc nieuleczalna, pestylencja, wrzód egipski, hemoroidy, świerzb i parchy niechaj padną na jego oczy, gardło, język, usta, szyję, piersi, płuca, uszy, nozdrza, ramiona, na jądra, na członek każdy od wierzchu głowy aż do stopy nożnej. Przeklęty niechaj będzie jego dom, jego stół i jego łoże, jego koń, jego pies, przeklęta niechaj będzie jego strawa i napitek, i wszystko, co posiada.

Elencza czuła łzę, zsuwającą się po policzku.

– Obwieszczamy Reinmara z Bielawy obłożonym anatemą wieczystą, ciśniętym w otchłań wraz z Lucyferem i upadłymi anioły. Liczymy go między po trzykroć przeklętych bez nadziei niżadnej na wybaczenie. Niechaj *lux*, światłość jego, na zawsze, na wieki wieków zgaszona będzie, na znak, że wyklęty zgasnąć powinien w pamięci Kościoła i ludzi. Niechaj tak się stanie!

– *Fiat! Fiat! Fiat!* – wyrzekli grobowymi głosy prałaci w białych komżach.

Wyciągnąwszy gromnicę przed siebie w wyprostowanej ręce, biskup szybko odwrócił ją płomieniem w dół i upuścił. Prałaci poszli w jego ślady, stukot rzucanych na posadzkę świec zmieszał się ze swądem gorącego wosku i kopcia gasnących knotów. Wielki dzwon uderzył. Trzy razy. I zamilkł. Echo długo kołatało się i cichło pod sklepieniem.

Śmierdział wosk i kopeć, śmierdziała, parując, mokra i długo nie zmieniana odzież. Ktoś kasłał, ktoś czkał. Elencza przełykała łzy.

●

Dzwon u pobliskiej Marii Magdaleny podwójnym *pulsatio* obwieścił nonę. Dalszym echem zawtórowała odrobinę tylko spóźniona Święta Elżbieta. Za oknem ulica Szewska rozbrzmiewała zgiełkiem i turkotem kół.

Kanonik Otto Beess oderwał oczy od obrazu przedstawiającego męczeństwo świętego Bartłomieja, jedynej, prócz półki z lichtarzami i krucyfiksem, dekoracji surowych ścian izby.

– Bardzo ryzykujesz, chłopcze – powiedział. Były to pierwsze słowa, jakie wyrzekł od chwili, gdy otworzył drzwi i zobaczył, kto w nich stoi. –

Bardzo ryzykujesz, pokazując się we Wrocławiu. W mojej opinii to już nawet nie jest ryzyko. To zuchwałe wariactwo.

– Wierz mi, wielebny ojcze – spuścił oczy Reynevan. – Nie zjawiłbym się tu, nie mając powodów.

– Których się domyślam.

– Ojcze...

Otto Beess pacnął dłonią w stół, szybkim uniesieniem drugiej ręki nakazał mu milczenie. Sam też milczał długo.

– Tak między nami – powiedział wreszcie – osobnik, którego cztery lata temu, po zamordowaniu Peterlina, za moją sprawą wydobyłeś od strzegomskich karmelitów... Jak on ci się kazał zwać?

– Szarlejem.

– Szarlejem, ha. Wciąż masz z nim kontakt?

– Ostatnio nie. Ale w ogóle tak.

– Jeśli więc w ogóle spotkasz tego... Szarleja, przekaż mu, że mam z nim na pieńku. Zawiódł mnie bardzo. Diabli wzięli rozsądek i spryt, jakimi niegdyś słynął. Miast na Węgry, jak powinien, wywiózł cię do Czech, wciągnął do husytów...

– Nie wciągał. Sam przystałem do utrakwistów. Z własnej ochoty i z własnej decyzji, poprzedzonej długim rzeczy rozważaniem. I pewien jestem, że postąpiłem słusznie. Prawda jest po naszej stronie. Mniemam...

Kanonik ponownie podniósł dłoń, nakazując mu zamilknąć. Nie interesowało go, co Reynevan mniema. Wyraz jego twarzy wątpliwości w tym względzie nie zostawiał żadnych.

– Jakem rzekł, domyślam się powodów, które przywiodły cię do Wrocławia – powiedział wreszcie, podnosząc wzrok. – Domyśliłem się ich bez trudu, powody te są na ustach wszystkich, nikt nie mówi o niczym innym. Twoi nowi współwyznawcy i bracia w wierze, twoi konfratrzy w walce o prawdę, twoi druhowie i kompani już od dwóch miesięcy pustoszą ziemię kłodzką i Śląsk. Od dwóch miesięcy w ramach walki o wiarę i prawdę twoi bracia, Sierotki Kralovca, mordują, palą i rabują. Puścili z dymem Ziębice, Strzelin, Oławę i Niemczę, do cna ograbili klasztor henrykowski, splądrowali i spustoszyli pół Nadodrza. Teraz, jak niesie wieść, oblegają Świdnicę. A ty znienacka zjawiasz się we Wrocławiu.

– Ojcze...

– Milcz. Spójrz mi w oczy. Jeśli przybyłeś tu jako husycki szpieg, dywersant lub emisariusz, opuść mój dom natychmiast. Utaj się gdzie indziej. Nie pod moim dachem.

– Zabolały mnie – Reynevan wytrzymał spojrzenie – twe słowa, wielebny ojcze. I posądzenie, że zdolny byłbym do podobnej niegodziwości. Myśl, że mógłbym wystawić cię na ryzyko i szwank...

– Wystawiłeś mnie na szwank, przychodząc tutaj. Dom może być obserwowany.

– Byłem ostrożny. Potrafię...

– Wiem, że potrafisz – przerwał mu dość ostro kanonik. – I co potrafisz. Wieści krążą i rozchodzą się szybko. Patrz mi w oczy. I gadaj wprost: jesteś tu jako szpieg czy nie?

– Nie.

– Więc?

– Potrzebuję pomocy.

Otto Beess uniósł głowę, spojrzał na ścianę, na obraz, na którym poganie za pomocą wielgaśnych obcęgów zdzierali skórę ze świętego Bartłomieja. Potem znowu utkwił wzrok w oczach Reynevana.

– Oj, potrzebujesz – potwierdził poważnie. – Bardzo potrzebujesz. Bardziej niż myślisz. Nie tylko na tym świecie. Na tamtym również. Przebrałeś miarę, synu. Przebrałeś miarę. U boku twych nowych kompanów i braci w nowej wierze stawałeś tak gorliwie, że zrobiłeś się sławny. Zwłaszcza po grudniu łońskiego roku, po bitwie pod Wielisławiem. Skończyło się tak, jak musiało się skończyć. Teraz, jeśli wolno doradzić, módl się, kajaj i pokutuj. Głowę popiołem posypuj, a obficie. Inaczej ze zbawieniem duszy masz przesrane. Wiesz, o czym mówię?

– Wiem. Byłem przy tym.

– Byłeś? W katedrze?

– Byłem.

Kanonik milczał czas jakiś, bębniąc palcami po blacie.

– Wiele bywasz – powiedział wreszcie. – Boję się, czy nie nadto wiele. Ja na twoim miejscu ograniczyłbym to bywanie. Wracając *ad rem*: z dniem dwudziestym trzecim stycznia, od niedzieli *Septuagesimae*, znalazłeś się poza Kościołem. Wiem, wiem, co na to powiesz, husyto. Że to nasz Kościół jest zły i odstępczy, a twój prawy i prawdziwy. I że na anatemę bimbasz. Bimbaj, twoja wola. Nie miejsce zresztą i nie czas na

dysputę teologiczną. Nie przyszedłeś tu, domyśliłem się już, szukać pomocy w kwestii zbawienia. Idzie ci z pewnością o rzeczy bardziej świeckie i powszednie, bardziej o *profanum* aniżeli o *sacrum*. Mów więc. Opowiadaj. Zwierzaj się z bolączek. A że przed nieszporami muszę być na Ostrowiu Tumskim, opowiadaj, streszczając się. W miarę możliwości.

Reynevan westchnął. I opowiedział. Streszczając się. W miarę możliwości. Kanonik wysłuchał. Wysłuchawszy, westchnął. Ciężko.

– Oj, chłopcze, chłopcze – wyrzekł, kiwając głową. – Stajesz się diablo mało oryginalny. Co problem u ciebie, to z tej samej beczki. Każdy twój kłopot jest, że się uczenie wyrażę, *feminini generis*.

●

Ziemia drżała od uderzeń kopyt. Tabun cwałem szedł przez pole, jak w kalejdoskopie migały w przelocie lśniące boki i zady, gniade, kare, siwe, bułane, jabłkowite i kasztanowate. Powiewały ogony i bujne grzywy, para biła z nozdrzy. Dzierżka de Wirsing wsparła się oburącz na łęku siodła, patrzyła, w jej oczach były radość i szczęście, pomyślałbyś, nie koniarka patrzy na swe źrebce i klaczki, lecz matka na swe dzieci.

– Wychodzi, Reynevan – odwróciła się wreszcie – że każda twoja zgryzota z jednej i tej samej beczki. Każdy twój kłopot, wychodzi, nosi kieckę i warkocz.

Poderwała siwka do kłusa, podążyła za tabunem. Pospieszył za nią. Jego koń, zgrabny gniady ogierek, był inochodźcem, Reynevan nie do końca jeszcze oswoił się z nietypowym rytmem jego biegu. Dzierżka pozwoliła, by się z nią zrównał.

– Nie potrafię ci pomóc – wyrzekła z mocą. – Jedyne, co mogę dla ciebie uczynić, to podarować źrebca, na którym siedzisz. Dodając doń moje błogosławieństwo. I przypięty do uzdy medalik ze świętym Eligiuszem, patronem koniarzy. To dobry wierzchowiec. Silny i wytrzymały. Nada ci się. Bierz ode mnie w darze. W wielkiej podzięce za Elenczę. Za to, coś dla niej uczynił.

– Spłaciłem tylko dług. Za to, co ona zrobiła kiedyś dla mnie. A za konia dzięki.

– Prócz konia, wspomóc cię mogę jedynie radą. Wracaj do Wrocławia, odwiedź kanonika Ottona Beessa. A może już go odwiedziłeś? Będąc we Wrocławiu z Elenczą?

– Kanonik Otto jest w niełasce u biskupa. Zdaje się, że z mojego powodu właśnie. Może żywić urazę, może wcale nie ucieszyć się z moich odwiedzin. Które mogą mu zaszkodzić...

– Troskliwyś! – Dzierżka wyprostowała się w siodle. – Twoje odwiedziny zawsze szkodą grożą. Jadąc tu do mnie, do Skałki, nie pomyślałeś o tym?

– Pomyślałem. Ale szło o Elenczę. Lękałem się puścić ją samą. Chciałem odwieźć bezpiecznie...

– Wiem. Nie jestem krzywa, żeś przyjechał. Ale pomóc nie mogę. Bo się boję.

Odsunęła soboli kołpak na tył głowy, przetarła twarz dłonią.

– Nastraszyli mnie – powiedziała, patrząc w bok. – Nastraszyli jak cholera. Wtedy, w dwudziestym piątym, we wrześniu, pod Frankensteinem, u Grochowej Góry. Pamiętasz, co tam było? Spietrałam się wtedy tak, że... Szkoda gadać. Reynevan, ja nie chcę umierać. Nie chcę skończyć jak Neumarkt, Throst i Pfefferkorn, jak później Ratgeb, Czajka i Poschman. Jak Cluger, spalony w domu razem z żoną i dziećmi. Zaprzestałam handlu z Czechami. Nie gadam o polityce. Dałam duży datek na wrocławską katedrę. I drugi, nie mniejszy, na biskupią krucjatę na husytów. Będzie mus, dam jeszcze więcej. Wolę to, niż zobaczyć w nocy ogień nad strzechą. I Czarnych Jeźdźców na podwórzu. Chcę żyć. Zwłaszcza teraz, kiedy...

Urwała, w zamyśleniu skręcała i mięła w dłoni rzemień wodzy.

– Elencza... – dokończyła, odwracając wzrok. – Jeśli zechce, odejdzie. Nie będę jej zatrzymywać. Ale jeśli miałaby życzenie pozostać tu, w Skałce... Pozostać na... Na długo... To nie będę miała nic przeciw.

– Zatrzymaj ją tu. Nie pozwól, by znowu poszła dokądś jako ochotniczka. Dziewczyna ma serce i powołanie, ale szpitale... Szpitale przestały być ostatnio bezpieczne. Zatrzymaj ją w Skałce, pani Dzierżko.

– Postaram się. Co zaś się tyczy ciebie...

Dzierżka obróciła konia, podprowadziła go, stając z Reynevanem strzemię w strzemię.

– Ty, krewniaku, jesteś tu miłym gościem. Zajeżdżaj, kiedykolwiek zechcesz. Ale, na świętego Eligiusza, miejżeż trochę przyzwoitości. Miejżeż dla tej dziewczyny wzgląd, choć trochę serca. Nie dręcz jej.

– Słucham?

– Nie wypłakuj się przed Elenczą o twojej miłości do innej – głos Dzierżki de Wirsing nabrał twardych nut. – Nie zwierzaj się jej z miłości do innej. Nie opowiadaj, jak wielka to miłość. I nie każ jej współczuć ci z tego tytułu. Nie każ jej cierpieć.

– Nie rozu...

– Rozumiesz, rozumiesz.

●

– Masz rację, ojcze – przyznał gorzko Reynevan. – Faktycznie, co problem, to rodzaju żeńskiego. I mnożą mi się te problemy, iście grzyby po deszczu... Największym jest jednak w tej chwili Jutta. A jestem w kropce. Kompletnie nie wiem, co robić...

– No to jest nas dwu – oświadczył poważnie kanonik Otto Beess. – Bo ja też nie wiem. Nie przerywałem, gdy snułeś opowieść, choć miejscami brzmiała jak pieśń trubadura, tyleż samo bowiem zawierała iście fantastycznych niemożebności. Nie mogę zwłaszcza wyobrazić sobie inkwizytora Grzegorza Hejnczego w roli porywacza panien. Hejncze ma własny wywiad i kontrwywiad, ma sieć agentów, wiadomo też, że od dawna usiłuje infiltrować husytów, a w metodach nie przebiera. Ale porwanie dziewczyny? Nijak jakoś nie trafia mi to do przekonania. Ale cóż, wszystko jest możliwe.

– To – mruknął Reynevan – akurat prawda.

Kanonik utkwił w nim oczy, nic nie powiedział. Bębnił palcami po blacie.

– Dziś jest *Purificatio* – rzekł wreszcie. – Drugi dzień lutego. Od bitwy pod Wielisławiem minęło pięć tygodni. Wnoszę, przez cały ten czas przebywałeś na Śląsku. Gdzieś był? Klasztor w Białym Kościele odwiedziłeś może?

– Nie. Miałem z początku taki zamiar... Opatka była magiczką, magia mogła pomóc w poszukiwaniach Jutty. Ale nie pojechałem tam. Wtedy... Wtedy ściągnąłem na nie zagrożenie, na Juttę i na mniszki, na cały klasztor, omal nie stałem się przyczyną zguby. Nadto...

– Nadto – dokończył zimno kanonik – bałeś się spojrzeć opatce w oczy krótko po tym, jak utrupiłeś jej rodzonego brata. A ze sprowadzonym na klasztor nieszczęściem masz rację, a jakże. Grellenort nie zapomniał. Biskup rozwiązał konwent, klaryski rozseparowano po różnych klasztorach, opatkę wysłano na pokutę. I tak miała szczęście.

Siostrzeństwo Wolnego Ducha, beginski Trzeci Kościół, kataryzm, magia... Za to idzie się na stos. Biskup kazałby ją spalić jak dwa a dwa cztery, okiem nie mrugnąwszy. Nijak mu jednak było sądzić za herezję i czary, a potem publicznie tracić rodzoną siostrę księcia Jana Ziębickiego, którego w tym samym czasie kreował już na męczennika walki za wiarę, za którego duszę nakazał msze odprawiać i we dzwony bić jak Śląsk długi i szeroki. Opatce upiekło się więc, skończyło na pokucie. Była magiczką, mówisz? O tobie też mówią, żeś czarownik. Że się na czarach rozumiesz, z guślarzami i monstrami zadajesz. Czemu u nich tedy nie szukasz pomocy?

– Szukałem.

●

Wieś Grauweide nie była spalona, ocalała. Cało wyszła też położona pół mili dalej osada Mieczniki. To dobrze rokowało, napawało optymizmem. Tym większe i bardziej bolesne było rozczarowanie.

Z klasztornej wsi Gdziemierz nie pozostało niemal nic, wrażenie nicości i pustki potęgował śnieg, grubą warstwą zalegający pogorzelisko, śnieg, z którego jaskrawej białości rzadko sterczały czarne zwęglone słupy, belki i osmalone kominy. Niewiele więcej ostało się po położonym na skraju wsi zajeździe „Pod Srebrnym Dzwonkiem". W miejscu, gdzie stał, spod śniegu wyglądała bezładna sterta opalonych belek, krokwi i kalenic, wspierająca się na resztkach murowanej konstrukcji i gruzowisku poczerniałych cegieł.

Reynevan objechał ruinę dookoła, przyjrzał się zgliszczom, wciąż budzącym miłe wspomnienia sprzed roku, z zimy przełomu lat 1427 i 1428. Koń stąpał ostrożnie po zjeżonym upalonym drewnem śniegu, przestępował nad belkami, wysoko unosząc kopyta.

Nad resztką muru wznosiła się smużka siwego dymu, idealnie niemal pionowa w mroźnym powietrzu.

Słysząc chrap konia i skrzyp śniegu, klęczący przy małym ogieńku brodaty włóczęga podniósł głowę, odsunął nieco sięgającą brwi futrzaną czapę. I wrócił do poprzedniego zajęcia, którym było dmuchanie w osłaniany połą szuby żar. Opodal, pod murem, stał osmolony garnek, obok spoczywały dudy, worek i zaopatrzona w rzemienie skrzynka.

– Pochwalony – pozdrowił Reynevan. – Stąd jesteś? Z Gdziemierza?

Włóczęga uniósł oko, po czym wrócił do dmuchania.

– Ludzie tutejsi, dokąd wywędrowali? Wiesz może? Karczmarz, Marcin Prahl, z żoną? Nie wiesz przypadkiem? Nie słyszałeś?

Włóczęga, jak dało się wnioskować z reakcji, albo nie wiedział, albo nie słyszał, albo olewał Reynevana i jego pytania. Albo był głuchy. Reynevan pogrzebał w kalecie, zastanawiając się, o ile może uszczuplić swój skromny stan posiadania. Kątem oka złowił ruch.

Obok, pod przysadzistym kikutem obwieszonego soplami drzewa, siedziało dziecko. Dziewczynka, najwyżej dziesięcioletnia, czarna i chuda jak mała zabiedzona wronka. Oczy, które w niego wpijała, też były wronie: czarne i szkliście nieruchome. Włóczęga dmuchnął w żar, zamruczał, uniósł się, wyciągnął rękę, coś wymamrotał. Ogień z trzaskiem wystrzelił z kupki chrustu. Wronka dała wyraz radości. Dziwnym, świszczącym, zupełnie nieludzkim dźwiękiem.

– Jon Malevolt – powiedział głośno, wolno i wyraźnie Reynevan, zaczynając pojmować, kogo ma przed sobą. – Mamun Jon Malevolt. Nie wiesz, gdzie mógłbym go znaleźć? Mam do niego sprawę, sprawę życia i śmierci... Znam go. Jestem jego druhem.

Włóczęga umieścił garnek na ustawionych przy ogniu kamieniach. I podniósł głowę. Patrzył na Reynevana tak, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności. Oczy miał przenikliwe. Wilcze.

– Gdzieś w tych lasach – ciągnął wolno Reynevan – mają siedzibę dwie... Dwie panie. Znające, hmm... Znające Arkana. Jestem znajomym tych pań, ale nie wiem drogi. Zechciałbyś mi ją wskazać?

Włóczęga patrzył na niego. Wilczo.

– Nie – powiedział wreszcie.

– Co: nie? Nie wiesz? Nie znasz? Czy nie chcesz?

– Nie to nie – powiedziała Wronka. Z wysoka, ze szczytu muru. Reynevan nie miał pojęcia, jak się tam znalazła, jakim cudem mogła się tam dostać, i to niezauważenie, spod drzewa, gdzie dopiero co siedziała.

– Nie to nie – powtórzyła świszcząco, kuląc głowę w chude ramionka. Rozwichrzone włosy spadły jej na policzki.

– Nie to nie – potwierdził, poprawiwszy czapę, włóczęga.

– Dlaczego?

– Dlatego. – Włóczęga szerokim gestem wskazał na zgliszcza. – Dlatego, że rozszaleliście się w zbrodni. Że ogień i śmierć przed wami, a

po was pogorzeliska i trupy. I ośmielacie się pytania stawiać? Wskazówek prosić? O drogę rozpytywać? Druhami się zwać?

– Druhami się zwać? – powtórzyła jak echo Wronka.

– Co z tego – włóczęga nie spuszczał z Reynevana wilczego spojrzenia. – Co z tego, żeś był wtedy, jako jeden z nas, na Grochowej Górze? To było kiedyś. Dziś ty, dziś wy wszyscy zbrodnią i krwią zarażeniście jak morem. Nie nieście nam waszych chorób, trzymajcie się z dala. Idź sobie stąd, człowieku. Idź sobie.

– Idź sobie – powtórzyła Wronka. – Nie chcemy cię tu.

●

– Co było potem? Dokąd trafiłeś?

– Do Oławy.

– Do Oławy? – Kanonik raptownie uniósł głowę. – Nie mów mi tylko, że byłeś tam...

– W niedzielę przed Antonim? A jakże. Byłem.

Otto Beess milczał długo.

●

– Ten Polak, Łukasz Bożyczko – powiedział kanonik – to następna zagadkowa kwestia w twojej opowieści. Widziałem go przy inkwizytorze raz, może dwa razy. Wisiał Grzegorzowi Hejnczemu u poły, dreptał za nim jak pacholik. Wrażenia nie zrobił. Powiem tak: wszechwładną szarą eminencję przypomina w równym stopniu, co nasz biskup Konrad pobożnego i cnotliwego ascetę. Wygląda, jak gdyby do trzech z trudnością zliczał. A gdybym chciał namalować nic, jego wziąłbym, by mi pozował.

– Boję się – odrzekł poważnie Reynevan – że jego wygląd to mylący pozór. Boję się tego ze względu na Juttę.

– W pozór mogę uwierzyć – kiwnął głową Otto Beess. – Ostatnimi czasy ładnych kilka rozwiało się na mych oczach. Wprawiając wręcz w osłupienie tym, co ujrzałem po rozwianiu. Ale pozór to jedno, hierarchia kościelna drugie. Ani ów Bożyczko, ani inny totumfacki nie zrobiłby ani nie przedsięwziął niczego na własną rękę, za plecami inkwizytora i bez jego wiedzy.*Ergo*, rozkaz uprowadzenia i uwięzienia Jutty Apoldówny musiał wydać Hejncze. A tego żadną miarą wyobrazić sobie nie mogę. Zupełnie nie pasuje mi to do mojej wiedzy o tym człowieku.

– Ludzie się zmieniają – zagryzł wargi Reynevan. – Również na moich oczach rozwiewały się ostatnio pozory. Wiem, że wszystko jest możliwe. Wszystko może się zdarzyć. Nawet to, co wyobrazić sobie trudno.

– Co prawda, to prawda – westchnął kanonik. – Wielu rzeczy, które się w ostatnich latach zdarzyły, też wcześniej nijak wyobrazić sobie nie mogłem. Mógłże ktokolwiek przypuścić, że ja, prepozyt kapituły katedralnej, miast awansować na infułata, na sufragana diecezji, ba, może nawet na tytularnego biskupa *in partibus infidelium*, zostanę zdegradowany do rangi kolegiackiego kantora? I to za sprawą synowca mego najlepszego druha, nieodżałowanego Henryka Bielawy?

– Ojcze...

– Milcz, milcz. – Kanonik lekceważąco machnął ręką. – Nie kajaj się, nie zawiniłeś. Nawet gdybym wtedy przewidział, czym to się skończy, pomógłbym ci i tak. Pomógłbym ci i dziś, teraz, gdy za kontakt z tobą, husyto zatracony, grożą konsekwencje stokroć sroższe niż biskupia niełaska. Ale pomóc ci nie jestem w stanie. Nie mam władzy. Nie mam informacji, władza bowiem i dostęp do informacji są nieodłączne. Nie mam informatorów. Tych wiernych i godnych zaufania znajdywano zasztyletowanych w zaułkach. Pozostali, w tym słudzy, miast donosić mi, donoszą na mnie. Choćby ojciec Felicjan... Pamiętasz ojca Felicjana, zwanego Weszką? To on obszczekał mnie przed biskupem. I obszczekuje nadal. Biskup pomaga mu za to piąć się po szczeblach, nie wiedząc, że ten sukinsyn... Ha! Reynevan!

– Słucham?

– Coś mi przyszło do głowy. W związku z Felicjanem właśnie. Względem twojej Jutty... Byłby otóż może pewien sposób... Może nie najlepszy, ale innego rozwiązania głowa mi jakoś chwilowo nie podsuwa... Rzecz wymaga jednak czasu. Kilku dni. Możesz zostać we Wrocławiu kilka dni?

– Mogę.

●

Na szyldzie nad wejściem do łaźni widnieli święci Kosma i Damian, patroni cyrulików, pierwszy wyobrażony z puzderkiem balsamu, drugi z flakonem leczącego eliksiru. Artysta nie pożałował na świętych bliźniaków farby ni pozłotki, dzięki czemu szyld przyciągał wzrok, żywością barw wabił oko nawet z oddali. Cyrulikowi sowicie opłaciły się

wydane na artystę pieniądze: choć na ulicy Młyńskiej łaźni było kilka i klienci mieli wybór, „Pod Kosmą i Damianem” zwykle było pełno. Reynevan, którego barwny szyld przyciągnął tu już przed dwoma dniami, musiał, chcąc uniknąć tłoku, zamówić wizytę z wyprzedzeniem.

W łaźni, ze względu pewnie na wczesną porę, rzeczywiście tłoku nie było, w zzuwalni stały ledwie trzy pary ciżm i wisiały trzy komplety odzieży, strzeżone przez siwego staruszka. Staruszek był cherlawy i zasuszony, minę miał jednak taką, że i Cerber tartarejski by się nie powstydził, Reynevan bez lęku pozostawił więc w jego pieczy także swoją garderobę i dostatki.

– Ząbki nie dokuczają? – z pełnym nadziei uśmiechem zatarł ręce golibroda. – Może coś wyrwiemy?

– Nie, dziękuję. – Reynevan wzdrygnął się lekko na widok kleszczy w różnych rozmiarach, dekorujących ściany balwierni. Kleszczom towarzyszyła nie mniej imponująca kolekcja brzytew, nożyc, nożyków i noży.

– Ale krew puścimy? – nie tracił nadziei balwierz. – Bo jakże nie puścić?

– Mamy luty. – Reynevan spojrzał na cyrulika z wyższością. Już podczas pierwszej wizyty zasygnalizował, że z medycyną łączy go co nieco, wiedział z doświadczenia, że w łaźniach medyków obsługiwano lepiej.

– Zimą – dodał – nie powinno się upuszczać. Nadto księżyc jest w nowiu. To też nie najlepiej rokuje.

– Skoro tak... – Balwierz podrapał się w potylicę. – Tedy jeno golenie?

– Wpierw kąpiel.

Izbę kąpielową Reynevan miał, jak się okazało, do wyłącznej dyspozycji, pozostali klienci korzystali widać z cieplicy, z pary i brzozowych rózeg. Krzątający się koło kadzi Bademeister, łaziebnik, na widok klienta odsunął ciężką pokrywę z dębowych desek. Reynevan bez ceregieli wlazł do kadzi, przeciągnął się z rozkoszą, zanurzył po szyję. Bademeister częściowo zasunął pokrywę, by woda nie stygła.

– Traktaty medyczne – odezwał się cyrulik, wciąż obecny w izbie – mam na sprzedaż. Niedrogo. *De urinis*, przez Aegidiusa Carbolienusa. Zygmunta Albika *Regimen sanitatis*...

– Dziękuję. Chwilowo ograniczam wydatki.

– Skoro tak... Tedy jeno golenie?

– Po kąpieli. Zawezwę waści.

Ciepła kąpiel rozleniwiła Reynevana i uśpiła, zadrzemał, nie wiedząc kiedy. Obudził go ostry zapach mydła, dotyk pędzla i piany na policzkach. Poczuł skrobnięcie brzytwy, jedno, drugie, trzecie. Stojący za nim golarz odchylił mu głowę do tyłu, skrobnął po szyi i jabłku Adama, przy kolejnym, dość energicznym ruchu brzytwa boleśnie zawadziła o podbródek. Reynevan zaklął przez zęby.

– Czyżbym zaciął? – usłyszał zza pleców. – Upraszam indulgencji. *Mea culpa*. To przez niedostatek wprawy. *Dimitte nobis debita nostra*.

Reynevan znał ten głos. I polski akcent.

Zanim zdążył uczynić cokolwiek, Łukasz Bożyczko naparł na dębową pokrywę kadzi, przesunął ją tak, że przydusiła Reynevana do klepek, mocno przygniatając pierś.

– Zaprawdę – powiedział wysłannik Inkwizycji – jesteś jak majeranek, Reinmarze z Bielawy. Pojawiasz się we wszystkich potrawach i daniach. Zachowaj spokój i pacjencję.

Reynevan zachował spokój i pacjencję. Bardzo pomogła mu w tym ciężka pokrywa, skutecznie więżąca go w kadzi. I widok brzytwy, którą Łukasz Bożyczko wciąż trzymał w dłoni. Wiercąc go przy tym spojrzeniem.

– W grudniu, pod Ziębicami – Bożyczko złożył brzytwę – wydaliśmy ci, przypominam, polecenie. Zobowiązaliśmy, byś wrócił do Sierotek i czekał na dalsze rozkazy. Jeżeli w sposób kategoryczny nie zabroniliśmy ci różnych aktywności, w tym śledztw, poszukiwań i tropień, to tylko dlatego, że mieliśmy cię za rozumnego. Rozumny pojąłby, że takie aktywności nie mają sensu i szans, że poszukiwania nie przyniosą najmniejszego rezultatu. Że jeżeli życzeniem naszym jest, by coś było ukryte, to będzie ukryte i ukrytym pozostanie. *In saecula saeculorum*.

Reynevan wytarł podanym ręcznikiem piekącą twarz i mokre czoło. Odetchnął mocno, zbierając odwagę.

– Jakie mam gwarancje – warknął – że Jutta w ogóle jeszcze żyje? Że na wieki wieków nie ukryliście jej na dnie jakiejś fosy? Ja wam też coś przypomnę: w grudniu, pod Ziębicami, na nic się nie zgodziłem, niczego wam nie przyrzekłem. Nie obiecałem, że nie będę poszukiwał Jutty, a to z prostej przyczyny: bo będę. I nie zgodziłem się na współpracę z wami. Z podobnie prostej przyczyny: bo się nie zgadzam.

Łukasz Bożyczko patrzył na niego przez chwilę.

– Obłożyli cię klątwą – powiedział wreszcie, dość obojętnie. – Wystawili *significavit*, obiecali nagrodę za żywego lub martwego. Jeśli będziesz szwendał się po Śląsku i poszukiwał wiatru w polu, zabije cię pierwszy, kto cię rozpozna. A najpewniej dopadnie cię i załatwi Birkart Grellenort, czarownik, który wciąż na ciebie dybie. A choćbyś i uchronił głowę, zważ, że dla nas jesteś atrakcyjny jako husyta, jako ktoś będący blisko dowódców Sierotek i Taboru. Jako dochodząca prywaty i wiodąca jakieś prywatne śledztwo osoba prywatna będziesz dla nas nikim. Atrakcyjność utracisz. Zwyczajnie skreślimy cię z listy. A wtedy twej Jutty nie zobaczysz już nigdy. Masz wóz albo przewóz: albo współpraca, albo o dziewczynie zapomnij.

– Zabijecie ją.

– Nie. – Bożyczko nie spuszczał z niego wzroku. – Nie zabijemy. Zwrócimy rodzicom, zgodnie z danym im przyrzeczeniem. Stosownie do zawartego układu, zgodnie z którym czasowo przetrzymujemy pannę w izolacji. Gdy zaś afera ucichnie i cała rzecz przyschnie, oddamy ją i pozwolimy, by rodzice zrobili z nią to, na co wreszcie się zdecydują. A mają dylemat, mają nad czym myśleć. Córka uwiedziona przez obłożonego klątwą heretyka, opętana i zadurzona, do tego zamieszana w działalność kacerskiej sekty Sióstr Wolnego Ducha... Państwo cześnikostwo Apoldowie wahają się więc pomiędzy wydaniem zdrożnej latorośli za mąż a zamknięciem jej w klasztorze, przy czym już ustalili, że klasztor winien być jak najodleglejszy, a ewentualny małżonek z jak najdalszych stron. Dla ciebie, Reynevan, w sumie nieważne, na co się zdecydują. W obu wypadkach małe masz szanse, by twą Juttę ujrzeć. A na to, by z nią być, nie masz żadnych.

– A jeśli będę wam posłuszny, to co? Wbrew danej rodzicom obietnicy zwrócicie ją mnie?

– Tyś powiedział. I jakbyś zgadł.

– Dobra. Co mam zrobić?

– Alleluja – uniósł ręce Bożyczko. – *Laetentur caeli*, niech się cieszy niebo i raduje ziemia. Zaprawdę, drogi Pańskie są proste, sprawiedliwi kroczą nimi śmiało i szybko do celu. Witaj na prostej drodze, Reinmarze.

– Co mam zrobić?

Łukasz Bożyczko spoważniał. Milczał czas jakiś, gryząc i oblizując wargi.

– Twoi czescy przyjaciele, Sierotki – powiedział wreszcie – do przedwczoraj, do *Purificatio*, leżeli pod Świdnicą. Nic tam nie wskórawszy, poszli na Strzegom, oblegli miasto. Dość, dość już dokuczyli ci niszczycielscy Myrmidonowie pięknej śląskiej krainie. Na początek pojedziesz więc pod Strzegom. Przekonasz Kralovca, by przerwał oblężenie i poszedł sobie. Do domu, do Czech.

– Jak mam tego dokonać? W jaki sposób?

– Taki, jaki zwykle – uśmiechnął się wysłannik Inkwizycji. – Wszak potrafisz wpływać na losy i wypadki. Masz talent do zmieniania historii, kierowania jej biegu w zupełnie nowe koleiny. Dałeś tego dowód całkiem niedawno, pod Starym Wielisławiem. Definitywnie pozbawiłeś Śląsk Piasta, a księstwo ziębickie piastowskiej sukcesji. Jan Ziębicki nie miał męskich potomków, z jego śmiercią księstwo popada w bezpośrednie władanie Korony Czeskiej. Czy historia ci za to podziękuje, okaże się. Za kilkaset lat. Jedź pod Strzegom.

– Pojadę.

– I zaniechasz wariackich poszukiwań?

– Aha.

– Śledzenia i śledztw?

– Aha.

– Wiesz, co? Nie bardzo ci wierzę.

Nim Reynevan zdążył okiem choćby mrugnąć, Łukasz Bożyczko chwycił go za przegub, z mocą wykręcił rękę. W jego dłoni błysnęła otwierana brzytwa. Reynevan targnął się, ale dębowa pokrywa więziła go nadal, a chwyt miał Bożyczko żelazny.

– Nie bardzo ci wierzę – wycedził, przysuwając nogą miedzianą miednicę. – Upuszczę ci więc na początek nieco krwi. By poprawić zdrowie i charakter. Zwłaszcza charakter. Rządzą tobą bowiem, jak konstatuję, humory, na przemian *melancolia* i *cholera*, a te wszak biorą się z wilgotności, z zielonych i czarnych wydzielin żółci. Te złe rzeczy gromadzą się we krwi. Upuszczę ci więc jej trochę. No, może trochę więcej niż trochę.

Poruszył ręką i brzytwą tak szybko, że Reynevan niemal nie ułowił ruchu. Prawie nie poczuł też bólu. Poczuł ciepło krwi, lejącej się po przedramieniu, dłoni i palcach. Usłyszał, jak głośno ciurka do miednicy.

– Tak, tak, wiem – pokiwał głową Bożyczko. – To źle rokujący czas dla krwi puszczania. Zima, księżyc w nowiu, słońce w znaku Wodnika, do

tego piątek, dzień Wenery. W takie dni upust bardzo osłabia. Ale to i dobrze. Bo zależy mi, by cię trochę osłabić, Reynevan. Ująć ci nieco energii, którą kierujesz w zupełnie niewłaściwym kierunku. Czujesz? Już słabniesz. I zimno się robi. Duch ochoczy, ale ciało jakby trochę mdłe, co?

– Nie szarp się, nie mocuj ze mną. Nic ci nie będzie, jesteś dla nas zbyt cenny, bym narażał twe zdrowie i niepotrzebnie przysparzał cierpień. Nie obawiaj się, na koniec opatrzę ci rękę. A opatruję, wierz mi, lepiej, niż golę.

Reynevan szczękał zębami z ogarniającego go zimna. Izba łaziebna tańczyła mu w oczach. Monotonny głos Bożyczki dobiegał jakby skądś z daleka.

– Tak, tak, Reynevan. Tak właśnie jest. Każda akcja powoduje reakcję, każde wydarzenie ma skutki, a każdy skutek jest przyczyną kolejnych skutków. W Domremy, dajmy na to, w Szampanii, dzieweczka o imieniu Jehanne słyszała głosy. Jakie to będzie miało skutki? Jakie skutki spowoduje na dłuższą metę kula z francuskiej bombardy, która jesienią ubiegłego roku zmasakrowała pod Orleanem twarz hrabiego Salisbury? To, że po tym, jak Salisbury skonał w męczarniach, dowództwo nad oblegającą Orlean armią objął hrabia Suffolk? Jaki wpływ na losy świata będą miały wiersze, które, już jako nowy biskup poznański, napisze Stanisław Ciołek? Albo fakt, że Zygmunt Korybut, za wstawiennictwem króla polskiego Jagiełły wypuszczony z uwięzienia na zamku Waldsztajn, nie wróci na Litwę, lecz zostanie w Czechach? Albo to, że Jagiełło i król rzymski Zygmunt Luksemburski zjadą się niedługo w Łucku na Wołyniu, by radzić o losach Europy Wschodniej? Jakie znaczenie dla historii ma fakt, że ani Jagiełły, ani Witolda nie sposób otruć, pijana regularnie magiczna woda z tajemnych żmudzkich źródeł skutecznie chroni ich przed trucizną? Albo, by daleko nie szukać, to, że ty, Reynevanie z Bielawy, skłonisz Sierotki Jana Kralovca do powrotu do Czech?

– Każdy chciałby wiedzieć, jakież te czy inne wydarzenia będą mieć wpływ na historię, na losy świata. Wszyscy chcieliby, ale nikt nie wie. Ja też chciałbym i też nie wiem. Ale uwierz: staram się jak diabli. Reynevan? Hej! Słyszysz mnie?

Reynevan nie słyszał. Tonął.

W koszmarach.

•

Senne koszmary nie stanowiły ostatnimi czasy problemu dla Elenczy Stietencron – a jeśli i stanowiły, to niewielki i mało problematyczny. Po całodziennej pracy przy chorych w oławskim hospicjum Świętego Świerada Elencza była najczęściej zbyt zmęczona, by śnić. Budzona i zrywana z łóżka *ante lucem*, przed jutrznią, wraz z Dorotą Faber i innymi wolontariuszkami biegła do kuchni przygotowywać posiłek, który trzeba było wkrótce roznosić chorym. Potem była modlitwa w szpitalnej kaplicy, potem krzątanie się przy pacjentach, potem znowu kuchnia, potem pralnia, znowu sala szpitalna, modlitwa, sala szpitalna, mycie podłóg, kuchnia, sala, kuchnia, pralnia, modlitwa. W efekcie zaraz po wieczornym *Ave* Elencza padała na posłanie i zasypiała jak kłoda, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na kołdrze w lękliwym przeczuciu rychłego budzenia. Nie dziwota, że taki tryb życia skutecznie pozbawił ją marzeń sennych. Koszmary, które niegdyś były dla Elenczy problemem, przestały nim być.

Tym dziwniejsze, że wróciły. Od połowy adwentu Elenczy znowu zaczęły śnić się krew, mord i pożoga. I Reynevan. Reinmar z Bielawy. Reynevan przyśnił się Elenczy Stietencron kilkakrotnie, w tak koszmarnych okolicznościach, że zaczęła włączać go do wieczornej modlitwy. Jego też, jak mnie, weźcie pod obronę, powtarzała w duchu, chyląc głowę przed ołtarzykiem, przed Pietą i świętym Świeradem. Jemu też, jak mnie, dodaj siły, użycz pociechy, powtarzała, patrząc na rzeźbione oblicze Bolesnej. Jak mnie, tak i jego chroń pośród nocy, bądź mu tarczą i puklerzem, bądź strażą nieuśpioną. I daj mi choć raz jeszcze go zobaczyć, dodawała w jeszcze głębszym duchu, tak cicho i tak skrycie, by ani Orędowniczka, ani święty nie posądzili jej o nazbyt świeckie myśli.

Szesnasty stycznia roku 1429, niedziela przed świętym Antonim, była dla szpitala dniem równie pracowitym co dni powszednie, pracy bowiem niespodzianie przybyło. Czescy husyci, o których przez cały grudzień było głośno, podeszli pod Oławę w dzień Trzech Króli, a nazajutrz wkroczyli do miasta. Obeszło się, wbrew czarnym i panikarskim przepowiedniom niektórych, bez zdobywania grodu, walki i przelewu krwi. Ludwik, książę na Oławie i Niemczy, zachował się identycznie jak przed rokiem – zawarł z husytami ugodę. Obustronnie

korzystną. Husyci przyrzekli nie palić i nie plądrować książęcych dóbr, w zamian za co książę udzielił rannym, chorym i kalekim Czechom azylu w obydwu oławskich szpitalach. A szpitale natychmiast zapełniły się pacjentami. Zabrakło prycz i posłań, materace i sienniki kładziono na podłogach. Było mnóstwo pracy, rosła nerwowość, szybko udzielająca się wszystkim, nawet spokojnym zwykle mnichom premonstratensom, nawet spokojnej zwykle Dorocie Faber. Rosła nerwowość. Niepokój. Zmęczenie. I przemożny, paraliżujący lęk przed zarazą.

Zgiełk, który ją rozbudził, Elencza wzięła początkowo za majak senny. Z jękiem szarpnęła barchan kołdry, tocząc głową po wilgotnej od śliny poduszce. Znowu ten sen, znowu śni mi się Bardo, pomyślała, chwiejąc się na grani snu i jawy. Zdobycie i rzeź Barda, cztery lata temu. Alarm dzwonów, buczenie rogów, rżenie koni, huk, łomot, dziki krzyk najeźdźców, wycie mordowanych. Ogień, podświetlający błony w oknach, błyskliwą mozaiką tańczący na powale...

Zerwała się, usiadła. Dzwony biły na trwogę. Rozbrzmiewał krzyk. Odblask pożaru podświetlał okna. To nie sen, pomyślała Elencza, to nie sen. To się dzieje naprawdę.

Pchnęła okiennice, do izby, wraz z zimnem, wdarł się swąd spalenizny. Pobliski rynek rozbrzmiewał wrzaskiem setek gardeł, migotał chwiejnymi światłami setek pochodni. Od strony Bramy Wrocławskiej słychać było wystrzały. Kilka okolicznych domów stało już w ogniu, łuna wypełzała na niebo nad Nowym Zamkiem. Pochodnie zbliżały się. Grunt zdawał się dygotać.

– Co się dzieje? – spytała trzęsącym się głosem jedna z wolontariuszek. – Gore?

Budynek nagle zadygotał, rozległ się trzask i łoskot wyłamywanych wrót, dziki ryk, palba. Szczęk oręża. Wolontariuszki i mniszki zaczęły krzyczeć. Tylko nie to, pomyślała Elencza. Byle nie tak, jak wtedy w Bardzie. Nie krzyczeć, nie piszczeć, nie kulić się w kącie z głową między kolanami. Nie zsikać się ze strachu, jak wtedy. Uciekać. Ratować życie. Boże, gdzie jest pani Dorota?

Znowu trzask wyłamywanych drzwi. Tupot nóg. Szczęk żelaza. Wrzaski.

– Śmierć heretykom! Bij, kto w Boga wierzy! Bij!

Przytajona w kątku sieni Elencza widziała, jak wojsko i uzbrojony motłoch wdziera się do hospicjum, widziała wybałuszone oczy,

spotniałe i czerwone twarze, zęby wyszczerzone w morderczym szale. Za moment zaciskała dłonie na uszach, by nie słyszeć makabrycznego wycia mordowanych rannych. Zaciskała powieki, by nie widzieć krwi, gęstą falą wylewającej się po schodach.

– Bić ich! Rżnąć! Rżnąć!

Motłoch z tupotem przebiegł tuż obok niej, czuła smród potu i alkoholu. Mniszki w dormitorium krzyczały cienko. Elencza dopadła drzwi wiodących do pralni. Ze szpitala wciąż dobiegały obłąkańcze wrzaski mordowanych. I dziki ryk morderców. Usłyszała łoskot buciorów, ciemność pralni rozjaśniły pochodnie.

– Mniszeczka! Siostrzyczka!

– Husycka kurewka! Bierta ją, chłopy!

Chwycili ją, przewrócili na posadzkę, szamoczącą się wtłoczyli pomiędzy szafliki, przydusili, narzucając na głowę ciężkie, mokre prześcieradło. Krzyczała, dusząc się ich smrodem i odorem ługu. Słyszała rechot, gdy rozrywali i zadzierali jej sukienkę. Gdy wpychali kolana pomiędzy uda.

– Hej! Co tu się dzieje? Zaprzestać! Wraz, żywo!

Uwolniona, zdarła prześcieradło z głowy. W drzwiach pralni stał zakonnik. Dominikanin. W ręku miał pochodnię, na habicie półpancerz, u pasa kord. Napastnicy pospuszczali głowy, pomruczeli.

– Zabawiacie się tu – warknął mnich. – A tam wasi bracia rozprawiają się z wrogami wiary! Słyszycie? Tam, tam jest dziś miejsce dobrych chrześcijan! Tam czeka dzieło Boże! Dalej, precz!

Napastnicy wyszli, spuściwszy głowy, pomrukując i szurając podeszwami. Dominikanin zatknął łuczywo w uchwyt, podszedł. Elencza rozdygotanymi dłońmi usiłowała ściągnąć w dół zadartą powyżej bioder sukienkę. Oczy jej łzawiły, wargi trzęsły się od wstrzymywanego płaczu. Mnich pochylił się, podał jej rękę, pomógł wstać. Po czym z mocą walnął pięścią w ucho. Pralnia zatańczyła w oczach dziewczyny, posadzka uciekła spod stóp. Upadła znowu; nim oprzytomniała, mnich klęczał już na niej. Wrzasnęła, wyprężyła się, wierzgnęła. Z rozmachem trzepnął ją w twarz, chwycił za sukienkę na piersiach, rozerwał tkaninę gwałtownym ruchem.

– Heretycka suko... – wycharczał. – Już ja cię nawróc...

Nie dokończył. Reynevan przedramieniem przegiął mu głowę w tył i nożem poderżnął gardło.

•

Zbiegli po schodach w mroźną noc, w czerwono podświetloną ciemność, wciąż rozbrzmiewającą wrzaskiem i zgiełkiem walki. Elencza pośliznęła się na oblodzonych stopniach, upadłaby, gdyby nie pomocne ramię Reynevana. Spojrzała w górę, na jego twarz, spojrzała przez łzy, wciąż oszołomiona, wciąż nie do końca pewna, czy przypadkiem nie śni. Nogi uginały się pod nią, łamały. Dostrzegł to.

– Musimy uciekać – wykrztusił. – Musimy...

Chwycił ją wpół, wciągnął za załom muru, w kryjący mrok. W samą porę. Zaułkiem przebiegł półnagi i pokrwawiony mężczyzna, za nim, wyjąc i rycząc, pędziła tłuszcza.

– Musimy uciekać – powtórzył Reynevan. – Albo ukryć się gdzieś...

– Ja... – przemogła bezdech i dygot ust. – Ty... Ratuj... mnie...

– Uratuję.

Nagle znaleźli się na rynku, przy pręgierzu, wśród oszalałego tłumu. Elencza spojrzała w górę, wprost w oblicze Śmierci. Krzyk zgrozy zamarł jej w krtani. To tylko rzeźba, uspokajała się, dygocąc. Tylko rzeźba. Wyrzeźbiona w tympanonie nad zachodnim wejściem do ratusza kościotrupia śmierć, wyszczerzona, wywijająca kosą. To tylko rzeźba...

Z okien płonącego ratusza strzelano. Huczała broń palna, z sykiem leciały bełty z kusz. To ci lżej ranni Czesi, przypomniała sobie z zaskakującą jasnością Elencza, lżej rannych i rekonwalescentów zakwaterowano na ratuszu. Nie pozwolili się rozbroić...

Kroczyła chwiejnie, nie wiedząc, dokąd idzie. Reynevan zatrzymał ją, silnie ścisnął ramię.

– Stójmy tu – wydyszał. – Stójmy bez ruchu. Umkniemy uwadze... Oni są jak drapieżniki... Reagują na ruch. I na zapach strachu. Jeśli się nie ruszymy, nawet nas nie zauważą...

Stali więc. Bez ruchu. Niczym posągi. Pośród piekła.

Ratusz padł, obronę przełamano, horda napastników z wrzaskiem wdarła się do środka. Wśród potępieńczego wycia zaczęto wyrzucać ludzi z okien, na bruk, wprost pod czekające maczugi i siekiery. Kilkunastu wywleczonych żywych i półżywych ostrza pik przybiły do muru. Dogorywających tratowano, rozrywano na strzępy. Krew lała się strugami, pieniła w rynsztokach.

Od pożarów zrobiło się jasno jak w dzień. Gorzał ratusz, Śmierć wyrzeźbiona w tympanonie ożyła w tańczącej poświacie, szczerzyła zęby, kłapała żuchwą, machała kosą. Płonęły domy wschodniej pierzei rynku, paliły się jatki za ratuszem, paliły sukiennice, ogień trawił warsztaty walońskich tkaczy i bogate kramy na ulicy Maryjnej. Płomienie tańczyły na fasadzie i dachu szpitala Świętego Błażeja, ogień przeżerał belkowania i kalenice. Przed szpitalem piętrzyła się sterta zwłok, na którą wciąż dorzucano nowe i nowe ciała. Skrwawione. Pokaleczone. Zmasakrowane do niepoznania. Trupy włóczono po rynku na strykach wiązanych do szyj lub kończyn. Wleczono je ku studniom. Studnie były już przepełnione. Sterczały z nich nogi. I ręce. Rozcapierzone, wzniesione, jakby wołające pomsty za zbrodnię.

– Choćbym... – powtarzała Elencza, z trudem poruszając zdrętwiałymi wargami. – Choćbym chodziła doliną cienia i śmierci, zła się nie ulęknę. Bo Ty jesteś ze mną.

Wciąż ściskała dłoń Reynevana, czuła, jak dłoń zwarła się w pięść. Spojrzała na jego twarz. I prędko odwróciła wzrok.

Pijany wściekłością i mordem motłoch tańczył, śpiewał, podskakiwał, potrząsał włóczniami z nadzianymi na groty głowami. Głowy kopano po bruku, przerzucano się nimi jak piłkami. Składano jak hołd, jak ofiarę, przed stojącą na rynku grupą konnych. Konie, wietrząc krew, chrapały, tupały, dzwoniły podkowami.

– Będziesz musiał mnie rozgrzeszyć, księże biskupie – powiedział ponuro jeden z jeźdźców, długowłosy mężczyzna w skrzącym się od złotych i srebrnych haftów płaszczu. – Książęcym słowem honoru zagwarantowałem tym Czechom bezpieczeństwo. Przyrzekłem azyl. Przysiągłem...

– Luby książę Ludwiku, młody mój krewniaku. – Konrad, biskup wrocławski, uniósł się w siodle, wspierając na łęku. – Rozgrzeszę cię, kiedy tylko zechcesz. I ilekroć zechcesz. Choć w mych oczach jesteś *sine peccato*, a i w oczach Boga niezawodnie również. Przysięga dana heretykom jest nieważna, słowo dane kacerzowi nie wiąże i nie zobowiązuje. Działamy tu na chwałę Bożą, *ad maiorem Dei gloriam*. Ci dobrzy katolicy, żołnierze Chrystusowi, dają tam, spójrz, wyraz swej miłości do Boga. Ta wszak objawia się poprzez nienawiść do wszystkiego, co Bogu przeciwne i wstrętne. Śmierć heretyka to chwała

chrześcijanina. Ze śmierci kacerza korzyść odnosi Chrystus. A dla samego kacerza zatracenie ciała to ratunek ducha.

– Ale nie myśl – dodał, widząc, że jego słowa robią na Ludwiku Oławskim niewielkie raczej wrażenie – że się nad nimi nie lituję. Lituję się. I błogosławię ich w godzinie śmierci. Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie. *Et lux perpetua luceat eis*.

Kolejna krwawa głowa poturlała się pod nogi książęcego konia. Koń spłoszył się, zadarł łeb, zadrobił nogami. Ludwik ściągnął mu wodze.

Motłoch wył, ryczał, wrzeszczał, przetrząsał domy w polowaniu na coraz mniej licznych ocalałych. Wciąż targały powietrze rozlegające się z uliczek wrzaski mordowanych. Huczał pożar. Niemilknącym jękiem spiżu zanosiły się dzwony.

Wyrzeźbiona w tympanonie ratusza Śmierć śmiała się szyderczo i wywijała kosą.

Elencza płakała.

●

Reynevan skończył opowiadać. Jan Kralovec z Hradku, hejtman Sierotek, wsparty na bombardzie, patrzył na Strzegom, w zapadającym mroku czarny i groźny jak przyczajony leśny zwierz. Patrzył długo. Potem odwrócił się gwałtownie.

– Odchodzimy stąd – rzucił. – Dość będzie. Odchodzimy. Wracamy do domu.

●

Poranek był mglisty, jak na porę roku dość nawet ciepły. Poprzedzona patrolami i awangardą lekkiej jazdy, flankowana przez roty obciążonych pawężami piechocińców kolumna wozów szła, zostawiając za sobą Strzegom, na południe. Traktem na Świdnicę. Na Rychbach, Frankenstein, Bardo, Kłodzko. Na Homole. Do Czech. Do domu.

Skrzypiały pod ciężarem ładunków osie, koła żłobiły w topniejącym śniegu głębokie koleiny. Strzelały baty, rżały konie, porykiwały woły. Woźnice klęli. Nad kolumną krążyły stada czarnych ptaków.

W Strzegomiu bito w dzwony.

Był dwunasty lutego Roku Pańskiego 1429, sobota przed pierwszą niedzielą postu, *sabbato proximo ante dominicam Invocavit*.

●

Hejtmani Sierotek obserwowali wymarsz z przydrożnego wzniesienia. Zrywający się wiatr szarpał płaszcze, targał chorągwiami.

Nastroje nie były najlepsze. Przeziębiony Brazda z Klinsztejna kichał. Matej Salava spluwał. Zwykle i na co dzień posępny Piotr Polak sposępniał jeszcze bardziej. Nawet pogodny zazwyczaj Jan Kolda z Żampachu powarkiwał pod nosem. Jan Kralovec milczał ponuro.

– O! Patrzajcie! – Salava wskazał nagle zauważonego jeźdźca, ośnieżonym stokiem wzgórza zmierzającego na północ. – Kto to? Czy nie ten ranny Niemiaszek? Puściłeś go wolno, bracie Janie?

– Puściłem – przyznał niechętnie Kralovec. – Chudziak. Okupu by nie dali. No to niech go szlag trafi.

– Da Bóg, trafi – charknął Piotr Polak. – Raniony jest. Sam, bez pomocy, do Wrocławia się nie dowlecze. Zdechnie gdzieś w zaspie.

– Nie będzie sam ni bez pomocy – zaprzeczył Jan Kolda, wskazując drugiego jeźdźca. – Ha! Toć to Reynevan na swoim inochodźcu! Jemu też pozwoliłeś odjechać, bracie?

– Pozwoliłem. Bo co on, niewolny czy jak? Gadaliśmy. Wagował się, wagował, widziałem, gryzie go coś. Wreszcie rzekł mi, pry, do Wrocławia mu mus wrócić. To wracaj, rzekłem. I tyle.

– No i niech go tam Pambiczek ma w opiece – skonkludował Brazda i kichnął. – Jedziem, bratrzy.

– Jedziem.

Zjechali ze wzniesienia, krótkim galopem dogonili kolumnę, wysforowali się na czoło.

– Ciekawe – rzekł, wstrzymując konia do kłusa, Brazda do jadącego obok Jana Koldy. – Ciekawe, co też tam ninie w dalekim świecie słychać...

– A tobie – odwrócił się Kolda – na co się znów zebrało? Świat, świat. Co ci po tym świecie?

– Nic – przyznał Brazda. – Ja ot tak, z ciekawości.

●

Poranek był mglisty, jak na miesiąc luty dość ciepły. Całą noc miało się na odwilż, od świtu śnieg topniał, odciski podkutych kopyt i wygniecione kołami wozów koleiny momentalnie wypełniały się czarną

wodą. Osie i orczyce skrzypiały, kopie chrapały, woźnice klęli sennie. Licząca blisko trzysta wozów kolumna posuwała się wolno. Nad kolumną unosił się ciężki, duszący zapach solonych śledzi.

Sir John Fastolf sennie kiwał się w siodle. Z drzemki wyrwał go podniecony głos Tomasza Blackbourne'a, rycerza z Kentu.

– Co jest?

– De Lacy powraca!

Reginald de Lacy, dowódca straży przedniej, wrył przed nimi konia, tak gwałtownie, że aż musieli zmrużyć oczy przed pryskającym błotem. Na pokrytej jasnym puchem młodzieńczego zarostu twarzy rycerzyka malował się przestrach. Zmieszany z podnieceniem.

– Francuzi, sir Johnie! – zapiał, opanowując wierzchowca. – Przed nami! Na wschód i na zachód od nas! W zasadzce! Wielka siła!

Już po nas, pomyślał sir John Fastolf. Już po mnie. Zginąłem. A tak było blisko, tak było blisko. Omal się nie udało. Udałoby się nam, gdyby nie...

Udałoby się, pomyślał Tomasz Blackbourne. Udałoby się nam, Johnie Fastolfie, gdybyś, wstrętny opoju, nie chlał na umór w każdej przydrożnej oberży. Gdybyś, zbereźny wieprzu, nie kurwił się w każdym okolicznym burdelu. Gdyby nie to, żabojady nie zwiedziałyby się o nas, już od dawna bylibyśmy wśród swoich. A teraz jesteśmy zgubieni...

– Ilu... – sir John Fastolf chrząknięciem oczyścił gardło. – Ilu ich jest? I kto? Widziałeś znaki?

– Będzie... – zacukał się Reginald de Lacy, zawstydzony, że zemknął, nie przyjrzawszy się dokładniej francuskim proporcom. – Chyba ze dwa tysiące... Z Orleanu, więc to pewnie Bastard... Albo La Hire...

Blackbourne zaklął. Sir John westchnął ukradkiem. Spojrzał na swe własne wojsko. Na stu konnych pancernych. Stu piechurów. Czterystu walijskich łuczników. Woźniców i ciurów. I trzysta wozów. Trzysta śmierdzących wozów, wypełnionych śmierdzącymi beczkami śmierdzących solonych śledzi, zakupionych w Paryżu i przeznaczonych na postny prowiant dla oblegającej Orlean ośmiotysięcznej armii hrabiego Suffolka. Śledzie, pomyślał z rezygnacją sir John. Pożegnam się z życiem z powodu śledzi. Umrę w kupie śledzi. Ze śledzi będę miał grób, ze śledzia nagrobek. *By God!* Cały Londyn pękać będzie ze śmiechu.

Trzysta wozów śledzi. Trzysta wozów. Wozów.

– Wyprzęgać konie! – zaryczał byczo sir John Fastolf, stając w strzemionach. – Ustawić wozy w czworobok! Związać razem dyszle i koła! Wszystkim rozdać łuki!

Oszalał, pomyślał Tomasz Blackbourne. Albo jeszcze nie wytrzeźwiał. Ale pobiegł wykonać rozkazy.

Zaraz przekonamy się, ile w tym prawdy, myślał sir John, patrząc na krzątaninę swego wojska i formowany wozowy szaniec. W tym, co opowiadali o Bohemianach, o Hussites, tych skądś z Europy Wschodniej czy z Azji Mniejszej... O ich triumfach, o miażdżących klęskach, zadanych Sasom i Bawarom... O ich słynnym wodzu, zwącym się... *God damn*... Sheeshka?

Był dwunasty lutego Roku Pańskiego 1429, sobota przed pierwszą niedzielą postu. Słońce błysnęło, rozproszyło nisko snujące się mgły. Śledzie, zdawało się, zaczęły śmierdzieć jeszcze silniej. Od wschodu, od strony miasteczka Rouvray, rozbrzmiewał i narastał łomot kopyt.

– Łuki w garść! – wrzasnął, dobywając miecza, Tomasz Blackbourne. – *They're coming!*

Ani Blackbourne, ani sir John Fastolf pojęcia nie mieli, że żyją jeszcze tylko przez przypadek, że ocalił ich szczęśliwy traf. Że gdyby nie ten traf, nie ujrzeliby świtu. Hrabia Jean Dunois, Bastard Orleański, zwiedział się o transporcie śledzi już kilka dni temu. Jego półtora tysiąca konnych z Orleanu, wraz z nim La Hire, Xantrailles i Szkot John Stuart czekali w zasadzce pod Rouvray, by tuż przed świtem zaatakować angielską kolumnę i rozgromić ją. Ale, choć mu to żywo odradzano, Dunois oparł swój plan na obozującym pod Rouvray hrabim Clermont. Hrabia Clermont miał uderzyć pierwszy. Hrabia Clermont był urodziwym młodzieńcem, pięknym jak dziewczę. Otaczał się zawsze innymi pięknymi młodzieńcami. Na wojnie się nie znał. Ale był kuzynem Karola VII i trzeba było się z nim liczyć.

Chłoptaś Clermont, jak zwał go La Hire, zawiódł, rzecz jasna, na całej linii. Przepuścił moment, zaprzepaścił zaskoczenie. Nie dał rozkazu do ataku, był bowiem zajęty. Śniadał. Po śniadaniu pomadowano go i fryzowano mu włosy. W czasie fryzowania hrabia uśmiechał się do jednego z towarzyszących mu młodzieńców, słał mu całusy, trzepotał rzęsami. Gońców od Dunois hrabia zignorował. A o Anglikach zapomniał. Miał ważniejsze sprawy i plany.

W zamieszaniu i bezhołowiu, gdy stało się jasne, że moment utracono, że Anglików już nie da się zaskoczyć, gdy Dunois klął, gdy La Hire i Xantrailles stali bezczynnie, rozkładając ręce, nadaremnie czekając na rozkazy, John Stuart nie wytrzymał. Wraz ze szkockim rycerstwem na własną rękę runął do szarży na angielskie wozy. Za nimi popędziła w bój część zniecierpliwionych Francuzów.

– Celuj! – krzyknął Dikkon Wilby, dowódca łuczników, widząc pędzący na nich pancerny klin. – Celuj! *Remember Agincourt!*

Łucznicy, stęknąwszy, napięli długie łuki. Zaskrzypiały naciągane cięciwy. Sir John Fastolf zdjął hełm, jego płomiennie ruda czupryna zaświeciła jak bojowy proporzec.

– Teraz! – zaryczał jak tur. – *Fuck them good, lads! Fuck the buggers!*

Wystarczyło trzech salw, trzech ulew strzał, by Szkoci poszli w rozsypkę. Do wozów docwałowali nieliczni, po to tylko, by znaleźć śmierć. Skłuły ich oszczepy i gizarmy, porąbały halabardy i topory lochaberskie. Wrzask zabijanych bił w zimowe niebo.

De Lacy i Blackbourne, choć o husytach słyszeli mało, a o ich taktyce bojowej jeszcze mniej, w lot pojęli, co należy uczynić. Na czele swych stu ciężkozbrojnych wypadli zza wozów do kontrataku i w pościg. Jadąc na karkach Szkotów rąbali ich tak, że aż echo szło po równinie. Na wozach Walijczycy darli się triumfalnie, bluźnili i pokazywali uciekającym dwa uniesione palce.

Śledzie śmierdziały.

Dzięki ci, Panie, wzniósł oczy sir John Fastolf. Dzięki wam, wozy. Chwała wam, mężni azjatyccy Bohemianie, chwała ci, wodzu Sheeshka, choć imię twe pogańskie, twój wojenny talent wielki. *I'll be damned*, chwała i mnie, sir Johnowi Fastolfowi. Szkoda, że Bardolf i Pistol nie mogli tego widzieć, oglądać dnia mojej wiekopomnej wiktorii. Ha, ta bitwa, stoczona pod Rouvray w sobotę przed pierwszą niedzielą postu Anno Domini 1429, po wieczność słynąć będzie jako Bitwa o Śledzie. A o mnie...

O mnie będą pisać sztuki dla teatru.

Rozdział drugi

w którym we Wrocławiu mieście Reynevan spiskuje i knuje. Skutkiem niedostatków tak w teorii, jak i praktyce knowań początkowe sukcesy wiodą w kabałę, i to nielichą.

Ojciec Felicjan, dla świata niegdyś Hanys Gwisdek, zwany Weszką, obecnie altarysta w dwóch wrocławskich świątyniach, bywał w walońskiej osadzie przy kościele Świętego Maurycego w miarę regularnie, mniej więcej raz w miesiącu, zwykle we wtorki. Powodów było kilka. Po pierwsze, Waloni znani byli z uprawiania złośliwej czarnej magii i kręcąc się w pobliżu ich domostw, można było narazić się na skutki jej działania. Dla ludzi obcych, zwłaszcza przychodzących bez zaproszenia lub nieprzyjaźnie nastawionych, *vicus sancti Mauritii* był niebezpieczny, intruzi musieli liczyć się z konsekwencjami – do zniknięcia bez śladu włącznie. Intruzi, w tym agenci i szpicle, nie włóczyli się zatem po walońskim osiedlu, nie szpiegowali tu. I to właśnie bardzo ojca Felicjana urządzało.

Oba pozostałe powody bywania podwójnego altarysty u Walonów również wiązały się z magią. I ze sobą wzajem. Ojciec Felicjan cierpiał na hemoroidy. Przypadłość objawiała się nie tylko krwawym stolcem i nieznośnym pieczeniem w dupie, ale i zarazem znaczącym ubytkiem sił męskich. Waloni – a dokładniej walońskie prostytutki z zamtuza o nazwie „Czerwony Młyn” – znały na dolegliwości ojca Felicjana magiczne remedia. Okadzony magicznym walońskim kadzidłem, potraktowany klistierą z walońskich magicznych balsamów i magicznym walońskim kataplazmem ojciec Felicjan osiągał, mówiąc prosto a przaśno, sztywność jako tako umożliwiającą spółkowanie. Nierządnicom z miejskich burdeli ani w głowie były podobne fatygi, pędziły duchownego precz, wyśmiewając i za nic sobie mając jego bóle i frasunki. Ojciec Felicjan chadzał więc za miasto. Do Walonek.

Poważnym impedymentem wypraw do Świętego Maurycego był fakt, że należało wyjść za miejskie mury, w dodatku potajemnie, czyli po zmroku i *ignitegium*. Ojciec Felicjan miał sposoby na to, by sekretnie wyjść i wrócić, problem stanowiła odległość trzech stajań, które

należało przebyć. Wśród grasujących nocą po podgrodziu rzezimieszków zdarzali się i tacy, których nie przerażała zła sława Walonów i fama o ich groźnych czarach. Na swe regularne wycieczki do „Czerwonego Młyna" ojciec Felicjan wdziewał zatem kolczugę, przypasywał kord i brał nabitą rucznicę, idąc zaś, pieczołowicie hołubił i osłaniał połą tlący się lont, a przy tym modlił się głośno po łacinie, której notabene nie znał. To, że nigdy nie spotkała go żadna zła przygoda, ojciec Felicjan przypisywał modlitwie właśnie. I miał rację. Najodważniejsi, nie lękający się ni prawa, ni Boga rozbójnicy brali nogi za pas na widok zbliżającej się zakapturzonej pokraki, pobrzękującej żelaziwem, emanującej spod płaszcza diabelską poświatą i na domiar złego bełkocącej jakieś niezrozumiałe okropieństwa.

Tym razem, opuściwszy „Czerwony Młyn" i waloński *vicus*, około północy ojciec Felicjan człapał wzdłuż opłotków, mamrocąc litanię i od czasu do czasu dmuchając na lont, by nie zgasł. Księżyc był w pełni, a łąki wciąż białe od śniegu, jasno było więc na tyle, by móc iść szparko, bez obawy wpakowania się do jakiejś dziury lub wpadnięcia do kloaki, co ojcu Felicjanowi zdarzyło się jesienią łońskiego roku. Malało też ryzyko nadziania się na rabusiów czy innych łotrzyków, ci bowiem w podobnie jasne noce zwykli byli niechać swego procederu. Ojciec Felicjan maszerował więc coraz szybciej i śmielej, a miast modlić się, jął nucić melodyjkę świeckiej dość piosenki.

Głośne szczekanie psów obwieściło bliskość młynów i młynarskich sadyb nad Oławą, co znaczyło, że od prowadzącego wprost do miasta mostu dzieli go już tylko sto kroków. Przeszedł groblą wzdłuż stawów młyńskich i rybników. Zwolnił, bo wśród szop i stodół zrobiło się mroczniej. Ale lśniącą w księżycowym blasku rzekę już widział. Odetchnął z ulgą. Pospieszył się jednak.

Zaszeleścił chrust, w mroku pod stodołą zamajaczył cień, nieuchwytny kształt. Serce ojca Felicjana podjechało w górę i zaczopowało gardło. Mimo tego altarysta chwycił rucznicę pod pachę i przyłożył żarzący się lont. Ciemność i brak wprawy spowodowały jednak, że przyłożył go do własnego kciuka.

Zawył jak wilk, zakicał jak zając, upuścił strzelbę. Sięgnąć po kord nie zdążył. Dostał czymś w głowę i runął w zaspę. Gdy go wiązano i wleczono po śniegu, był oszołomiony i obmiękły, ale zupełnie przytomny. Zemdlał dopiero po chwili. Ze strachu.

•

Reynevan nie miał najmniejszych powodów, by ostatnimi czasy narzekać na nadmiar fartu i szczęśliwych zdarzeń. Los bynajmniej nie rozpieszczał go pod tym względem. Wręcz przeciwnie. Od grudnia minionego roku Reynevan miewał zdecydowanie więcej powodów do zmartwień i smętku, niż do wesela i euforycznej uciechy.

Z tym większą więc radością powitał odmianę. Zaczęło się oto dziać dobrze. Szczęście z nagła zdecydowało się sprzyjać, wydarzenia jęły układać się we wcale sympatyczny ciąg. Zaświtała całkiem sensowna nadzieja, prospekty stały się całkiem promienne, a przyszłość, tak jego, jak i Jutty, zarysowała w dużo żywszych i bardziej cieszących oko barwach. Przygnębiająco gołe i pokraczne drzewa przy wrocławskim trakcie pokryła, zdałoby się, świeżutka zieleń listowia, ponure i zaśnieżone pustacie podwrocławskich łąk i łęgów ubarwiła, zdałoby się, rozmaitość pachnącego kwiecia, a krakanie dziobiących grudę wron przerodziło się w śpiew ptasząt słodki. Słowem, zdawać by się mogło, że wiosna nadeszła.

Pierwszą jaskółką tej oszołamiającej odmiany stał się Wilkosz Lindenau, ranny wrocławski armiger, z niemałym trudem dotransportowany do stron rodzinnych. Powodem trudu był oczywiście przebity bok. Rana, choć opatrzona, jątrzyła się, armiger płonął od gorączki i trząsł się w dreszczach, nie utrzymałby się w siodle, gdyby nie pomoc Reynevana. Gdyby nie leki i zaklęcia, za pomocą których Reynevan powstrzymywał stan zapalny i walczył z zakażeniem, Wilkosz Lindenau małe miałby szanse, by zobaczyć mury miejskie i górujące nad nimi, wzbijające się w szare lutowe niebo miedziane hełmy wież Świętej Elżbiety, Marii Magdaleny, Wojciecha i innych kościołów. Mało miałby szans, by uradować się bliskością prowadzącej do miasta Bramy Świdnickiej. I by odetchnąć z ulgą.

– Tośmy doma są – odetchnął z ulgą Wilkosz Lindenau. – A to dzięki tobie, Reynevan. Gdyby nie ty...

– Nie ma o czym gadać.

– Jest – zaprzeczył sucho armiger. – Bez ciebie nie dojechałbym. Winienem ci...

Urwał, patrząc na kościół Bożego Ciała, skąd właśnie odezwała się sygnaturka.

– Za co cię wyklęli, to wyklęli – powiedział. – Niech ci Bóg wybaczy grzechy. Ale ja dzięki tobie żyję i com ci winien, tom winien. A com winien, to spłacę. Bo, widzisz, oszukałżem cię lekko. Ciebie i twoich husytów. Znaliby prawdę, wolno by nie puścili, drogo by mnie wolność kosztowała. Lindenau to rodowe miano, ku czci rodu i ojca je noszę. Ale ojciec mnie dziecięciem odumarł maleńkim, a mać wnet powtórnie się wydała. Tedy jedyny ojciec, któregom po prawdzie zawsze miał i mam, to pan Bartłomiej Eisenreich. Mówi ci to coś?

Reynevan kiwnął głową, nazwisko jednego z najbogatszych wrocławskich patrycjuszy faktycznie mówiło wiele. Wilkosz Lindenau pochylił się w kulbace i krwawo splunął na śnieg.

– Przestępcy, husycie ni wrogowi bym tego rzekł ni nie zaproponował – podjął, wytarłszy wargi. – Ale ty wszak nie jako wróg do Wrocławia zmierzasz. Ciebie wszak, miarkuję, potrzeba więcej prywatna i osobista tutaj przywiodła. Tedy odwdzięczyć się mogę. Pod dach nie wezmę i nie schronię, boś wszak klątwą obłożony... Ale dopomóc zdołam.

– Doprawdy...

– Żeby we Wrocławiu co począć – nie dał mu dokończyć armiger – trzeba mieć pieniądze. Bez pieniędzy jest się tu nikim. A gdy się pieniądze ma, można sprawić się z każdą sprawą, choćby najtrudniejszą. Poradzisz z Bożą pomocą także z twoim kłopotem, bracie. Bo będziesz miał pieniądze. Dam ci je. Nie obraź się, że odwdzięczam się iście jak Eisenreich. Po kupiecku. Inaczej nie mogę, bo...

– Wiem – Reynevan uśmiechnął się lekko. – Bo jestem wyklęty.

●

Drugi przebłysk szczęścia trafił się Reynevanowi krótko po południu. Nie wjechał do miasta razem z Lindenauem, miał uzasadnione obawy, że otwarta na zagrożone południe Brama Świdnicka jest pod uważną obserwacją straży i innych miejskich służb. Jadąc brzegiem Oławy, dotarł aż do Bramy Mikołajskiej, tu wmieszał się między wieśniaków, ciągnących do miasta z różnorakim przeznaczonym na sprzedaż towarem i inwentarzem, głównie żywym. W bramie nie napotkał problemów, strażnicy byli większością znudzeni i rozleniwieni, nieliczni aktywni obracali całą aktywność na wycyganienie łapówki w postaci kury, gęsi czy połcia boczku. Krótko po tym, jak w kościele Świętego Mikołaja zadzwoniono na sekstę, Reynevan już zostawił za sobą

Szczepin i maszerował, ciągnąc konia za trzęzle, w stronę śródmieścia, wmieszany w tłum innych zmierzających w tamtą stronę przechodniów i wędrowców.

A ledwo minął Kiełbaśniczą, szczęście uśmiechnęło się do niego szeroko. Pełną gębą.

– Reynevan? Tyżeś to?

Identyfikującym go okazał się młodzian w czarnym płaszczu i takiejż barwy czapce z filcu. Barczysty i rumiany jak wiejski parobek i jak parobek szeroko uśmiechnięty. Dzierżący pod pachami dwa spore pakunki.

– Achilles... – Reynevan pokonał wywołany niespodzianym okrzyknięciem skurcz gardła. – Achilles Czibulka!

– Reynevan. – Wyglądający na parobka młodzian rozejrzał się, uśmiech nagle znikł z jego rumianej twarzy. – Reynevan z Bielawy. We Wrocławiu, rzut czapką od Rynku. Kto by przypuścił... Nie stójmy, zaraza, na widoku. Chodźmy do mnie, do apteki. To niedaleko. Trzymaj, pomożesz mi nieść... Ostrożnie!

– Co tam jest?

– Słoje. Z maściami.

●

Apteka była faktycznie niedaleko, mieściła się na Kiełbaśniczej tuż przy Placu Solnym. Wiszący nad wejściem szyld przedstawiał coś, co przypominało kłykciastą marchew, wymalowany poniżej napis: „Mandragora" wyprowadzał jednak z błędu. Szyld był w sumie mało imponujący, lokal niewielki i chyba niezbyt uczęszczany. W czasach, kiedy utrzymywali częste i ożywione kontakty, Achilles Czibulka nie miał ni szyldu, ni lokalu. Zatrudniał się u pana Zachariasza Voigta, właściciela renomowanej apteki „Pod Złotym Jabłkiem". Najwyraźniej teraz dorobił się własnego interesu.

– Wyklęli cię – stwierdził fakt Achilles Czibulka, rozstawiając słoje na aptekarskiej ladzie. – Obłożyli klątwą. W katedrze. W niedzielę Starozapustną. Tygodnie temu trzy.

Znajomość Reynevana z Achillesem Czibulką zaczęła się w roku 1419, wkrótce po tym, jak Reynevan powrócił był z Pragi, przerwawszy studia po defenestracji i wybuchu rewolucji. Czibulka był wówczas asystentem „Pod Złotym Jabłkiem", przy czym asystentem wyspecjalizowanym. Był

unguentariusem, czyli specem od sporządzania maści. Niemal wszystkiego, co wiedział o maściach, Reynevan nauczył się od Czibulki. Maści ucierał zarówno ojciec, jak i dziad Achillesa, przy czym obaj ucierali w Świdnicy, sam Achilles był wrocławianinem w pierwszym pokoleniu. Sam zwykł się zaś określać jako „Ślązak czystej krwi i rodowity", a czynił to z wyniosłą dumą, myślałby kto, że odziani w skóry protoplaści Czibulków zamieszkiwali jaskinie pod Ślężą na długo przed tym, nim w okolice zawitała cywilizacja. Dumie z własnych korzeni towarzyszyła jednak trudna czasem do zniesienia pogarda dla nacji, które Czibulka określał jako „napływowe" – przede wszystkim Niemców. Reynevan często zżymał się na poglądy Czibulki – dziś jednak pojął, że szowinizm aptekarza może mu być bardzo na rękę.

– Wyklęli cię, cholerni Niemcy – powtórzył ze złością Achilles Czibulka. – Słyszałeś chyba o tym? Ha, nie mogłeś nie słyszeć. Na cały Wrocław głośno było. Gdyby cię na mieście rozpoznali...

– Nie byłoby dobrze, gdyby mnie rozpoznali.

– Oj, nie byłoby. Ale ty nie martw się, Reynevan, ja cię skryję.

– Dasz schronienie wyklętemu?

– Za nic sobie mam niemieckie anatemy! – uniósł się Achilles. – My, znaczy się śląscy *physici* i *pharmaceutici*, musim trzymać się razem, bośmy jeden są cech i jedna śląska konfraternia. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! I wszyscy *contra Theutonicos*, przeciw Niemcom. Takem to sobie przyrzekł po tym, jak te świnie na śmierć zamęczyły pana Voigta.

– Pan Voigt nie żyje?

– Zamęczyli go, psia ich mać. Za czary i czczenie diabła. Śmiech pusty! Ot, studiował jegomość Zachariasz trochę *Picatrix*, trochę *Necronomicon*, *Grand Grimoire* i *Arbatel*, czytywał trochę Piotra di Abano, Cecca d'Ascoli i Michała Szkota... Ale czary? Co on się na czarach znał? Toć nawet ja w te klocki lepszy! Ot!

Achilles Czibulka zwinnie zażonglował trzema słojami, podrzucił je, rozpostarł ręce, zakręcił dłońmi i palcami. Słoje jęły samoistnie krążyć i wirować, coraz szybciej i szybciej zataczały w powietrzu koła i elipsy. Aptekarz ruchami dłoni spowolnił je, po czym wszystkie trzy delikatnie posadził na ladzie.

– Ot! – powtórzył. – Magia! Lewitacja, grawitacja. Ty sam, Reynevan, lewitujesz, widziałem wszak kiedyś, jakeś się przed pannami popisywał.

Co drugi jakieś czary zna i zaklęcia, nosi amulet lub pija eliksir. Godzi się za to ludzi katować, na stosie palić? Nie godzi się. Tedy plunąć mi na te ich klątwy. Schronienie ci dam. Tu, nad apteką, izdebka jest, tam zamieszkasz. Po mieście ino nie łaź, a to rozpoznają, bieda będzie.

– Tak się składa – mruknął Reynevan – że muszę kilka miejsc odwiedzić...

– Odradzam.

– Muszę. Talizmanu przypadkiem nie posiadasz, Achillesie?

– Posiadam kilka. O jaki idzie?

– O Pantaleona.

– Ach! – *Unguentarius* pacnął się w czoło. – Takie buty! Ha, fakt, to jest rozwiązanie. Nie posiadam wprawdzie, ale wiem, gdzie dostać. Nie tania to rzecz... Pieniądze masz?

– Mam mieć.

– Nie dziś, to jutro? – domyślił się Achilles Czibulka. – Dobra, wyłożę, oddasz później. Będziesz miał twojego Pantaleona. A teraz chodź „Pod Głowę Maura", zjemy coś, wypijemy. Opowiesz przygody. Tyle plotkowali, że z ciekawości aż płonę...

●

Tym to sposobem, nim dzień minął, szczęściarz Reynevan miał we Wrocławiu widoki na pieniądze i kryjówkę, dwie rzeczy, bez których obyć się nie może żaden spiskowiec. Miał także druha i wspólnika. Bo choć opowieść o swych przygodach Reynevan mocno streścił i silnie ocenzurował, Achilles Czibulka był pod takim wrażeniem, że natychmiast po wysłuchaniu zadeklarował daleko idącą pomoc i wspólnictwo we wszystkim, co też Reynevan zamierza i planuje.

Co zaś do samego Reynevana, ten mocno liczył, że dobra passa go nie opuści. A bardzo jej potrzebował. Musiał nawiązać kontakt z kanonikiem Ottonem Beessem. Z tym wiązało się ryzyko. Otto Beess mógł być śledzony. A dom Ottona Beessa pod obserwacją.

Cała nadzieja, myślał szczęściarz Reynevan, błogo i szczęśliwie zasypiając w izdebce nad apteką, na trzeszczącym łóżku, pod zalatującą stęchlizną pierzyną. Cała nadzieja w szczęściu, które mi ostatnio sprzyja.

I w Pantaleonie.

●

Gdy Reynevan zawiesił sobie na szyi i uaktywnił amulet, Achilles Czibulka wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i cofnął się o krok.

– Jezusie, Maryjo – westchnął. – Tfu, tfu. Co też to cholerstwo robi z człeka... Dobrze, że się nie widzisz.

Amulet Pantaleon, lokalna specjalność, rdzenny produkt magii wrocławskiej, został wymyślony i wytworzony w jednym tylko celu: miał ukrywać tożsamość noszącego. Sprawiać, by noszący umykał uwadze. By nie był dostrzegany i zauważany, by wzrok postronnych prześlizgiwał się po nim, nie rejestrując nie tylko wyglądu, ale nawet obecności. Nazwę amulet brał od Pantaleona z Korbieli, jednego z prałatów biskupa Nankera. Prałat Pantaleon zasłynął tym, że był z wyglądu tak ślimakowato pospolity, tak mysio szary i tak obrzydliwie nijaki, że mało kto, wliczając samego biskupa, dostrzegał go i zwracał nań uwagę.

– Podobno – zauważył *unguentarius* – niedobrze jest nosić toto za długo. I za często...

– Wiem. Będę korzystał z umiarem i robił przerwy w noszeniu. Chodźmy.

Był czwartek, dzień targowy, na Placu Solnym panowały tłok, zamęt i rozgardiasz. Nie luźniej było i na Rynku, gdzie dodatkowo coś bardzo interesującego publikę robiono komuś na szafocie. Reynevan i Czibulka nie dowiedzieli się, co i komu robiono, przeszli bowiem sukiennicami, po czym przez Kurzy Targ dostali się na wyłożoną drewnianymi balami Szewską.

W oknie kanonika Ottona Beessa nie było żółtej zasłonki. Reynevan natychmiast spuścił głowę i przyspieszył kroku.

– Nowy dom i kantor kompanii Fuggerów – rzucił przez ramię do sapiącego za nim Czibulki. – Wiesz, gdzie to jest?

– Każdy wie. Na Nowym Targu.

– Idziemy. Nie oglądaj się.

●

Pantaleon działał wzorowo, zanim urzędujący w kantorku klerk w ogóle zwrócił nań uwagę, Reynevan zmuszony był podnieść głos i łomotnąć pięścią w pulpit. Zanim zaś zjawił się wezwany przez klerka urzędnik kompanii Fuggerów, Reynevanowi przyszło poczekać. I trochę się podenerwować. Ale czekać było warto. A denerwować nie.

Urzędnik kompanii Fuggerów z postawy i oblicza przypominał raczej księcia, niż urzędnika i kupca.

– Ależ jak najbardziej, jak najbardziej – uśmiechnął się życzliwie, wysłuchawszy, z czym klient przychodzi. – Jego wielebność Otto Beess raczył przed wyjazdem złożyć w naszej firmie pewien... depozyt. Adresowany do wielmożnego pana Reinmara von Hagenau. Waść, jak rozumiem, jest owym panem Reinmarem właśnie?

– Właśnie.

– A nie wygląda pan – uśmiechnął się jeszcze życzliwiej urzędnik, poprawiając haftowane złotą nicią mankiety aksamitnego wciętego wamsu, odzienia bardziej odpowiedniego dla księcia, niż dla kupca. – Nie wygląda pan. Kanonik Beess, instruując nas, nie zaniedbał dokładnie Reinmara von Hagenau opisać. Waść temu opisowi nie odpowiadasz nijak. Pozwolisz waść tedy...

Urzędnik spokojnie sięgnął za pazuchę, wydobył zawieszoną na rzemyku przejrzystą niebieskawą płytkę. Przyłożywszy ją do oka, zlustrował Reynevana od stóp do głów. Reynevan westchnął. Mógł się domyślić. Na każdy czar był antyczar, na każdy amulet był kontramulet. Na Pantaleona była Visiovera. Periapt Prawdziwego Widzenia.

– Wszystko jasne – rzekł urzędnik, chowając Periapt z powrotem za pazuchę. – Proszę za mną.

W izbie, do której weszli, ścianę naprzeciw płonącego komina zajmowała wielka mapa. Mapa Śląska, Czech i Łużyc. Reynevanowi wystarczyło jednego spojrzenia, by zorientować się, co przedstawiają nakreślone linie, strzałki i okręgi wokół miast. Zaznaczone czerwonymi kółkami były między innymi Świdnica i Strzegom, a skierowana na południe linia pokrywała się z trasą wracających do Czech Sierotek Kralovca. Rzucały się też w oczy linie łączące Czechy z Łużycami – z Żytawą, Budziszynem, Zgorzelcem. I jedna, gruba, zakręcona, zakończona strzałkowato krecha, wbijająca się głęboko w dolinę Łaby, Saksonię, Turyngię i Frankonię.

Urzędnik kompanii Fuggerów wyraźnie bawił się jego zainteresowaniem.

– Jana Kralovca i jego Sierotki – podszedł, wskazał – wczoraj, szesnastego dnia lutego, triumfalnie powitano w Hradcu Kralove. Po siedemdziesięciu trzech dniach grabieży i pożogi rejza zwycięsko zakończona, tę linię będzie więc już można z mapy wymazać. Co się

tyczy innych wykresów... Wiele zależy od skutków zjazdu w Łucku na Wołyniu. Od tego, jak zachowa się Witold. Od dyplomatycznych talentów Andrei de Palatio, wysłannika papieskiego. Od tego, czy w Pożoniu dojdzie do rokowań pomiędzy Zygmuntem Luksemburskim a Prokopem Gołym... A waść jak mniema? Będziemy wymazywać z mapy czerwone linie i strzałki? Azali też będziemy nakreślać nowe? Jakie jest waści zdanie, panie Reinmarze z Bielawy?

Reynevan spojrzał mu w oczy. Urzędnik uśmiechnął się. Jedyne, co w nim było z kupca, to uśmiech właśnie. Ujmujący. Budzący zaufanie. Zachęcający do powierzenia interesów i pieniędzy. I podzielenia się sekretem. Ale Reynevan nie miał ochoty się dzielić. Urzędnik Fuggerów pojął to natychmiast.

– Rozumiem. – Niedbale skinął dłonią i sporo wartymi pierścieniami na palcach. – Są sprawy, o których nie mówimy... Na razie. Przejdźmy tedy do rzeczy.

Otworzył sekretarzyk.

– Kanonik Otto Beess – powiedział, podnosząc wzrok – raczył przed swym wyjazdem zaszczycić nas zaufaniem. Nie bez racji. Wiedział, że u Fuggerów bezpieczny jest zarówno depozyt, jak i sekret. Nic nie jest w stanie zmusić naszej kompanii do wyjawienia powierzonego nam sekretu.

– Oto więc depozyty. List Ottona Beessa, zapieczętowany, pieczęć nienaruszona. Tu zaś zdeponowane przez Ottona Beessa sto guldenów. I dalsze sto, które mam waści wypłacić zgodnie z wczorajszym poleceniem pana Bartłomieja Eisenreicha... Raczy waść przeliczyć?

– Mam zaufanie.

– Słusznie, jeśli wolno zauważyć. A jeśli wolno doradzić, proszę nie brać całej sumy od razu.

– Za radę dziękuję. Biorę wszystko. Zaraz i natychmiast. Nie zamierzam tu wracać. Żegnam więc. Bo nie zobaczymy się już.

Urzędnik Fuggerów uśmiechnął się.

– Kto to może wiedzieć, panie Reinmarze z Bielawy? Kto to może wiedzieć?

●

Zaufanie Ottona Beessa do kompanii Fuggerów nie było bynajmniej bezgranicznym, list kanonika chroniły bowiem nie tylko pieczęcie.

Treść była zredagowana tak zręcznie, że osobie postronnej wiele by nie powiedziała. Nie było w liście nic, co mogłoby stanowić dowód lub w inny sposób być użyte na szkodę nadawcy. Lub adresata. Nawet Reynevanowi, bądź co bądź znającemu kanonika dobrze, rozgryzienie kodu zajęło trochę czasu.

– Znasz może – spytał, nie podnosząc głowy – we Wrocławiu karczmę lub gospodę, w nazwie której jest ryba? Achillesie?

– We Wrocławiu – Achilles Czibulka oderwał się od liczenia ułożonych w słupki monet – jest sto karczm. Ryba, mówisz? Pomyślmy... Jest karczma „Pod Szczupakiem" na Menniczej, jest „Modry Karp" na Nowym Mieście... Tej ostatniej nie polecam. Jadło kiepskie, w mordę dostać niezmiernie łatwo... No, i jest też „Złota Rybka"... Za Odrą, na Ołbinie...

– Niedaleko leprozorium i kościoła Jedenastu Tysięcy Dziewic – rozszyfrował wciąż schylony nad listem Reynevan. – *Locus virginis*, aha! Wszystko jasne. „Złota Rybka", mówisz? Muszę się tam udać, Achillesie. I to jeszcze dziś. Po nieszporach.

– Ołbin po nieszporach? Zdecydowanie odradzam.

– A jednak mi wypadnie.

– Nam wypadnie. – *Unguentarius* przeciągnął się, aż chrupnęły stawy w łokciach. – Nam obu. Idąc samotnie, możesz tam w ogóle nie dojść. Czy stamtąd cali wrócimy, to druga sprawa. Ale pójdziemy we dwójkę.

– Wpierw jednak – obrzucił spojrzeniem słupki monet na stole – trzeba zabezpieczyć fundusze. Szczodrze ci skapnęło, szczodrze, żebym tak zdrów był. Odjąwszy dług za amulet, twój majątek wynosi sto dziewięćdziesiąt trzy złote reńskie. Porwałeś kogoś, czy jak? Bo to rychtyk jak okup.

●

Nikłe światło zapalonej latarni ujawniło, że napastników jest trzech. Mieli na głowach worki z wypalonymi otworami. Jeden, istny stolin, miał wzrostu siedem stóp jak obszył, drugi też był wysoki, ale chudy, z małpio długimi rękami. Trzeci skrywał się w mroku.

Dławiący się kneblem ojciec Felicjan nie miał żadnych złudzeń. Szpiegowaniem i donosami zaszkodził mnóstwu ludziom, całe mnóstwo ludzi miało powody, by napaść go, porwać i wywrzeć zemstę. Okrutną, sadystyczną zemstę, proporcjonalną do doznanej skutkiem donosów szkody. Ojciec Felicjan zdawał sobie sprawę, że napastnicy zaraz zaczną

robić z nim różne okropne rzeczy. Stojąca na uboczu stodoła, do której go zawleczono, znakomicie się do robienia takich rzeczy nadawała.

Altarysta nie miał ani złudzeń, ani nadziei. Ani wyjścia innego niż pójście na pełny i szaleńczy hazard. Mimo związanych rąk zerwał się jak sprężyna, pochylił głowę jak byk i runął w kierunku wrót.

Rzecz jasna, nie miał szans. Jeden z porywaczy żelazną ręką ucapił go za kołnierz. Drugi z mocą zdzielił w krzyże. Czymś twardym jak żelazo. Cios był tak silny, że ojcu Felicjanowi odebrało dech i władzę w nogach, odebrało momentalnie i tak nagle, że przez sekundę zdawało mu się, że leci, że unosi się w powietrzu. Runął na klepisko, miękki jak worek pakuł.

Światło latarni zbliżyło się. Zdrętwiały altarysta przez łzy zobaczył trzeciego z napastników. Ten nie był zamaskowany. Twarz miał pospolitą i nijaką. Bardzo nijaką.

W ręce trzymał długą i grubą skórzaną pytę. Pyta była wyraźnie ciężka. I metalicznie pobrzękiwała. Ojciec Felicjan słyszał brzęk, gdy napastnik zbliżył mu pytę do twarzy.

– To, czym przed chwilą oberwałeś – głos napastnika wydał mu się znajomy – to jest dwadzieścia złotych reńskich florenów. Możesz tymi pieniędzmi dostać jeszcze parę razy. Możesz je też mieć na własność. Wybór należy do ciebie.

●

Reynevan znał „Złotą Rybkę” z czasów, gdy praktykował w leprozorium Jedenastu Tysięcy Dziewic. Dlaczego ulokowaną opodal poznańskiego gościńca gospodę tak właśnie nazwano, pozostawało tajemnicą właściciela, a raczej właścicieli, tych bowiem, tradycjami sięgając czasów Henryka Probusa, gospoda zmieniła wielu. Rybki – złotej czy innej – próżno było w każdym razie szukać na szyldzie czy w wystroju. Szyldu karczma nie posiadała wcale, głównym zaś elementem wystroju był olbrzymi wypchany niedźwiedź. Niedźwiedź stał w karczmie, odkąd najstarsi bywalcy pamiętali, z biegiem lat coraz to bardziej tracąc na rzecz moli. Molom też przypadła zasługa ujawnienia pewnego sekretu: spod zeżartego przez nie futra wyjrzały oto wreszcie grube szwy, demaskujące zwierzaka jako wytwór sztuczny, zręcznie poskładany z kilku mniejszych niedźwiedzi i innych mniej lub bardziej

przypadkowych elementów. Bywalców fakt ten nie zbulwersował jednak i nie przeszkadzał im.

Tego wieczora w „Złotej Rybce" również mało kto zwracał uwagę na niedźwiedzia. Cała uwaga szczelnie wypełniających izbę gości obrócona była na piwo i gorzałkę, a także, pomimo postu, na tłuste mięsiwa. Te ostatnie, pieczone nad węglami, wypełniały lokal miłym swędem i nieprzejrzanym dymem.

– Szukam... – Reynevan powstrzymał kaszel, przetarł łzawiące oczy. – Szukam człeka o nazwisku Hempel. Grabis Hempel. Wiem, że bywa tu często. A dziś?

– Azali – oberżysta spojrzał na niego skroś dym – jestem stróżem brata mego? Szukajcie, a znajdziecie.

Reynevan sposobił się już, by uraczyć karczmarza jakąś równie biblijną sentencją, ale Achilles Czibulka chrząknięciem zasugerował mu inne rozwiązanie. Wyciągnął więc z kalety i pokazał karczmarzowi złoty floren. Oberżysta więcej Biblii już nie cytował. Ruchem głowy wskazał kąt gospody. Za stołem, blat którego zapełniały gąsiorki i dzbanki, siedziały trzy dość swobodnie odziane – czy raczej rozdziane – niewiasty. I czterech mężczyzn.

Nie zdążyli podejść. Reynevan poczuł, jak coś przypiera go do kontuaru. Coś wielkiego. I śmierdzącego. Jakby wypchana maskotka lokalu. Odwrócił się z trudem.

– Nowe ludzie – przemówił, straszliwie zionąc cebulą i źle strawionym mięchem, wielki i kudłaty typ z na wpół wyciągniętą z portek koszulą. – Nowe ludzie wkupne tu płacą. Obyczaj taki. Potrząśnij no kiesą, paniczyku. I postaw, bo spragnieniśmy.

Kamraci kudłatego, w liczbie trzech, zarechotali. Jeden brzuchem popchnął Achillesa Czibulkę. Ten dla odmiany śmierdział postnie. Rybą.

– Gospodarzu – skinął Reynevan. – Piwo dla tych panów. Po kuflu.

– Po kuflu? – wycharczał mu w twarz kudłaty. – Po kuflu? Odrzańskiego rybaka obrażasz? Człowieka pracy? Antałek staw, ty ciulu! Ty bucu! Ty mendo miastowa!

– Odejdź, dobry człowieku – zmrużył lekko oczy Reynevan. – Oddal się. Zostaw nas w spokoju.

– Bo co?

– Nie wódź mnie na pokuszenie.

– Czegooo?

– Ślubowałem nie bić ludzi w poście.

Trochę potrwało, nim kudłaty ułożył rzecz w sobie, nim zaryczał, nim odwinął pięść do ciosu. Reynevan był szybszy. Porwał z kontuaru dzban i roztrzaskał go kudłatemu na facjacie, zalewając go piwem i krwią. Natychmiast, wykorzystując impet, kopnął drugiego draba w krocze. Czibulka zgruchotał trzeciemu nos przezornie wziętym na drogę kastetem, czwartemu wbił pięść pod żebra i zwalił na kolana. Kudłaty usiłował wstać, Reynevan walnął go więc w czoło ocalałym uchem dzbana, a widząc, że to mało, poprawił tak, że w pięści zostały mu tylko okruchy gliny i polewy. Przywarł plecami do kontuaru, wyciągnął sztylet.

– Schowaj nóż! – zaryczał oberżysta, nadbiegając z pachołkami. – Nóż schowaj, huncwocie! I precz mi stąd! Żebym was tu więcej nie widział, obwiesie! Łachudry! Awanturnicy! Żeby tu wasza noga nie postała! Precz, mówię!

– To oni zaczęli...

– To stali goście! A wy obcy! Przybłędy! Wynocha stąd! *Raus! Raus*, mówię!

Wypchnięto ich, lżąc i poszturchując pałkami, do sieni. A z sieni na dwór.

Goście mieli zabawę, ronili łzy z uciechy, cienko zaśmiewały się panienki. Wypchany niedźwiedź obserwował zajście jednym szklanym okiem. Drugie ktoś mu wydłubał.

●

Nie odeszli daleko, ot, wszystkiego za węgieł stajni. Słysząc za sobą ciche kroki, odwrócili się obaj jak sprężyny. Reynevan ze sztyletem w dłoni.

– Spokojnie – uniósł ręce mężczyzna, którego widzieli w środku, przy stole w kącie, wśród gąsiorków i dziewek. – Spokojnie, bez głupstw. Jestem Grabis Hempel.

– Zwany Allerdings?

– *Allerdings.* W samej rzeczy. – Mężczyzna wyprostował się. Był wysoki i chudy, miał długie małpie ręce. – A wy z polecenia kanonika, jak się domyślam. Ale kanonik mówił o jednym. Który z was jest tym jednym?

– Ja.

Allerdings spojrzał na Reynevana badawczo.

– Bardzo niemądrze uczyniłeś – powiedział – przychodząc tu i pytając. Jeszcze głupsza była ta awantura. Tu często zaglądają szpicle, mogli cię zapamiętać. Chociaż, po prawdzie, fizjonomię masz... Trudną do zapamiętania. Bez urazy.

– Bez urazy.

– Wracam do izby. – Allerdings poruszył chudymi ramionami. – Ktoś mógł widzieć, jak za wami wychodzę, a mnie zapamiętać łatwiej. Spotkajmy się jutro. Na Milickiej, w piwnicy „Dzwon Grzesznika". W tercję. A teraz z Bogiem. Zmykajcie stąd.

●

Spotkali się. Dziewiętnastego lutego, w sobotę przed niedzielą Reminiscere. Na ulicy Milickiej, w piwnicy „Dzwon Grzesznika", uczęszczanej głównie przez czeladników ludwisarskich, teraz, w porze tercji, raczej pustej. Zaraz na wstępie Reynevan chciał ogródkowo objaśnić, o co w sprawie chodzi. Allerdings nie pozwolił na to.

– Wiem ze szczegółami – przerwał, nim Reynevan zdążył rzecz rozwinąć – o co w sprawie chodzi. Szczegóły wyłuszczył mi nasz wspólny znajomy, kanonik Beess, do niedawna prepozyt w kapitule katedralnej. Czynił to, przyznam, z wielką niechęcią, zdecydowany strzec ciebie i twoich sekretów. Wiedział jednak, że bez tego nie mógłbym przygotować akcji.

– Szczegóły poznałeś zatem – domyślił się Reynevan. – A akcję przygotowałeś. Przejdźmy tedy do detali. Czas nagli...

– Co nagle – przerwał zimno Allerdings – to po diable, jak mawiają Polacy. Przed detalami warto rozważyć pewien problem ogólniejszy. Mogący mieć na detale wpływ. I to zasadniczy.

– Jakiż to problem?

– Taki, czy zaplanowana akcja w ogóle ma sens.

Reynevan milczał czas jakiś, bawiąc się kubkiem.

– Czy akcja ma sens – powtórzył wreszcie. – Jak proponujesz to ustalić? Będziemy głosować?

– Reynevan – nie spuścił wzroku Allerdings. – Jesteś husytą. Jesteś zdrajcą. W tym mieście jesteś znienawidzonym wrogiem, znajdujesz się w samym centrum wrogiego obozu. Budzisz wstręt jako kacerz, zaprzaniec wiary, którego ledwie cztery tygodnie temu przy biciu w

dzwony obłożono w tym mieście anatemą. Jesteś tu zwierzyną łowną, jagnięciem wśród stada wilków, wszyscy na ciebie dybią i polują. Ten albowiem, kto cię zabije, zyska sławę, podziw, prestiż, odpuszczenie grzechów, wdzięczność władz, nagrodę pieniężną i powodzenie u płci pięknej. I wreszcie cię upolują, chłopcze. Nie ocali cię magia, którą się maskujesz, na magię są sposoby, gdy się dobrze wpatrzeć, widać spod kamuflażu twą prawdziwą facjatę. Rozpoznanego na ulicy zmasakrują w akcie samosądu. Albo wezmą żywcem i sprawią na szafocie. Tak będzie, każdy kolejny dzień przebywania we Wrocławiu nieuchronnie ten moment przybliża. A ty, miast co żywiej brać nogi za pas, chcesz podejmować szaleńcze działania. Odpowiedz mi więc, z ręką na sercu, jeśli to możliwe: ma to sens?

– Ma.

– Rozumiem. – Teraz na Allerdingsa przyszła kolej chwilę pomilczeć. – Wszystko jasne. Dla ratowania dziewicy w opresji idziemy na każde ryzyko. Na każde szaleństwo. Nawet na takie, które nic nie da.

– Nie da?

– Śledząc będącego naszym celem osobnika, poznałem go co nieco. Jego charakter. I powiem ci, co myślę: nic od niego nie uzyskasz. Typ albo cię zdradzi i wyda, albo okłamie i wywiedzie w pole, pośle na poszukiwanie tej twojej Jutty gdzieś za wyimaginowane góry.

– Nasza rzecz – nie spuścił wzroku Reynevan – sprawić, by bał się tak postąpić.

– To jest do załatwienia – uśmiechnął się Allerdings, po raz pierwszy od momentu rozpoczęcia rozmowy. – Dobra, co miałem powiedzieć, powiedziałem, teraz jako żywo czas przejść do detali. Nie tracąc czasu: opierając się na nieocenionych wskazówkach kanonika Beessa, dowiedziałem się, czego trzeba. Wiem gdzie, wiem kiedy, wiem jak. Wiem też, że nie obyć się nam bez pomocy. Jako żywo potrzebny nam trzeci. I to nie ten twój aptekarz, bo to, czego się podejmujemy, to rzecz nie dla aptekarzy. Lada chwila zjawi się tu niejaki Jasio Kminek. Sam powiedziałeś: Trzeba sprawić, by nasz klient się bał. A Jasio Kminek to wybitny specjalista. Istny wirtuoz w wybijaniu zębów.

– Po co więc – uniósł brwi Reynevan – było to całe poprzednie krasomówstwo? Skoro wiedziałeś, że i tak nie zrezygnuję? Inaczej wszak nie angażowałbyś wirtuozów.

– Pogadać czułem się w obowiązku. A przewidywać umiem.

●

Z Jasia Kminka było wielkie, mierzące siedem stóp z hakiem chłopisko, istny stolin. Stolin przywitał się, wypił piwo, beknął. Usilnie starał się sprawiać wrażenie ciołkowatego prostaka. Zdradzała go jednak mowa, gdy mówił. I inteligentne iskierki w oczach, gdy słuchał.

– Będziemy pracować przy Świętym Maurycym – skonstatował, wysłuchawszy. – Chodzi o Walona? Niezbyt chętnie zadzieram z czarownikami.

– Nie zadrzesz.

– Robota mokra?

– Raczej nie. Co najwyżej trzeba będzie kogoś obić.

– Ciężko? Z trwałym skutkiem?

– Niewykluczone.

– Jasne. Moja stawka to ćwierć grzywny srebra. Albo ekwiwalent w dowolnej walucie. Stoi?

– Stoi.

– Kiedy robota? Jestem człowiekiem pracy...

– Wiemy. I wirtuozem.

– Pracuję w piekarni – zaakcentował dobitnie Jasio Kminek. – Muszę na dany czas wziąć wolne. Po temu i pytam: kiedy?

– Za trzy dni – rzekł Allerdings. – We wtorek. Księżyc będzie w pełni. Nasz klient preferuje wtorki i jasne noce.

●

Oparty plecami o słup ojciec Felicjan wzdychał, jęczał, stękał. Czucie w nogach wracało mu powoli, odrętwienie zastępował narastający ból. Ból na tyle dokuczliwy, by przeszkadzał w koncentracji. Z trudem kojarzył i pojmował, co do niego mówią. Stojący nad nim napastnik, ten z twarzą pospolitą do obrzydliwości, musiał więc powtarzać. Widać było, że go to złości.

– Inkwizycja – mówił sykliwie – uprowadziła i tajnie więzi dziewczynę. Pannę Juttę Apoldównę. Masz się dowiedzieć, gdzie jest więziona.

– Panie dobry – zachlipał ojciec Felicjan. – Jakżeż mnie to sprawić? Toć ja robak nędzny... Nic nie znaczę... A że u biskupa służę? A któżem to ja u biskupa? Sługa, pachołek chudy... A to, o co wam idzie, panie, toć to

rzecz nie biskupia, ino Oficjum Świętego... Gdzież mnie do Oficjum, gdzież do ich spraw tajemnych? Co ja o tym wiedzieć mogę?

– Wiedzieć możesz – syknął napastnik – tyle, ile podsłuchasz, podejrzysz i wywęszysz. A to, żeś mistrzem w tym fachu, rzecz nie tajna. Mało masz równych w podsłuchiwaniu, podglądaniu i węszeniu.

– Któżem ja jest? Jam sługa... Jam nikt! Pomyliliście mnie z kimsiś...

– Nie pomyliłem. Jesteś Hanys Gwisdek, popularnie zwany Weszką. Obecnie ojciec Felicjan, zrobiony przez biskupa altarystą w dwóch kościołach naraz, u Świętej Elżbiety i u Świętego Michała. W nagrodę za szpiclowanie i donoszenie. Prawda, ojcze spowiedniku? Donosiłeś kanonikowi Beessowi, potem donosiłeś na Beessa. Teraz donosisz na Tylmana, na Lichtenberga, na Borschnitza, na innych. Biskup obiecuje ci za donosy dalszą karierę, awanse w hierarchii, dalsze smakowite prebendy. Jak myślisz, wywiąże się biskup z przyrzeczeń? Gdy dowie się o tobie prawdy? To, że kurwisz się z Walonkami, i to w poście, biskup pewnie ci wybaczy. Ale co zrobi, gdy się dowie, że na niego, biskupa, też donosisz, z nie mniejszym zapałem? Inkwizytorowi Grzegorzowi Hejnczemu?

Ojciec Felicjan głośno przełknął ślinę. Długo nic nie mówił.

– To, co chcecie wiedzieć – wymamrotał wreszcie – to tajemna rzecz Inkwizycji. Tycząca herezji. Sekret wielki...

– Wielkie sekrety – napastnik był słyszalnie zniecierpliwiony – też da się wywęszyć. A im większy sekret, tym większa nagroda. Tu, spójrz, jest dwadzieścia reńskich. Daję ci je, są twoje, gdy cię wypuszczę, możesz je sobie wziąć. Bez żadnych zobowiązań. Jeśli jednak dostarczysz mi informacji, jeśli mnie nimi zadowolisz, dostaniesz pięć razy tyle. Sto florenów, Gwisdek. To jest pięć razy więcej, niż prebendy, które teraz masz rocznie z obu twoich altarii. Pomyśl więc, pokalkuluj. Może warto jednak się wysilić.

Ojciec Felicjan przełknął ślinę po raz drugi, a oczy błysnęły mu lisio. Napastnik o pospolitej aparycji schylił się nad nim, zaświecił w twarz latarnią.

– Wiedz jednak – wycedził – że gdybyś zdradził... Gdybyś mnie sprzedał, gdyby mnie ujęto... Gdyby spotkała mnie jakakolwiek zła przygoda, gdybym zachorował, zatruł się jedzeniem, zadławił ością, utonął w gliniance lub wpadł pod rozpędzony wóz... Wtedy, spowiedniku, możesz być pewien, że pewne dowody trafią do ludzi,

którym zaszkodziłeś. Którym wciąż próbujesz szkodzić. Wśród tych ostatnich do Jana Sneschewicza, wikariusza biskupiego. Wikariusz to człek zawzięty, wiesz o tym dobrze. Gdy dowie się pewnych rzeczy... Wyłowią cię z Odry, Gwisdek. Nim trzy dni miną, wyłowią twego spuchniętego trupa na Jazie Sokolnickim. Pojmujesz to, prawda?

Ojciec Felicjan pojmował. Skurczył się i skwapliwie pokiwał głową.

– Masz na zdobycie informacji dziesięć dni. To termin nieprzekraczalny.

– Postaram się... Jeśli się uda...

– Lepiej, by się udało. Dla ciebie lepiej. Jasne? A teraz jesteś wolny, możesz iść. Aha, Gwisdek...

– Tak, panie?

– Nie łaź po nocy. Liczę na ciebie, więc szkoda by była, gdyby ci tu gdzieś poderżnęli gardło.

●

W oknie domu Ottona Beessa na Szewskiej nadal nie było żółtej zasłonki. Reynevan nie spodziewał się jej tam zresztą ujrzeć. Nie po to tu przyszedł. Po prostu przez Szewską wypadła im droga.

– Czy wiesz, dokąd wyjechał kanonik? Do siebie, do Rogowa?

– *Allerdings* – potwierdził Allerdings. – Nie wykluczam, że na długo. We Wrocławiu niemiła wytworzyła się dlań aura.

– Z mojego po troszę powodu.

– Może urazi to twą pychę – Allerdings spojrzał na niego znad ramienia – ale ci to powiem: nazbyt sobie pochlebiasz. Jeśliś i był pretekstem, to tylko jednym z wielu. I nie najważniejszym. Biskup Konrad już od jakiegoś czasu krzywo patrzył na kanonika Ottona, wciąż szukał okazji, by zrobić mu koło pióra. Wreszcie, wystaw sobie, pogrzebał w genealogii i uznał kanonika za Polaka. Nie żaden to Beess, ogłosił, lecz Bies. Najzwyklejszy w świecie polski Bies. A dla polskich Biesów nie ma miejsca w diecezji wrocławskiej. Zamarzyła się polskiemu Biesowi prałatura w katedrze? To niechaj rusza do Gniezna albo Krakowa, tam też są katedry.

– Katedry, jeśli chodzi o ścisłość, ma Polska jeszcze w Poznaniu, Włocławku, Płocku i Lwowie. A Beessowie, również ścisłości gwoli, nie są Polakami. Ród wywodzi się z Chorwacji.

– Chorwacja, Polska, Czechy, Serbia czy inna Mołdawia – wydął wargi Allerdings – to dla biskupa jeden pies, jeden Bies i jedna cholera. Wszystko nacje słowiańskie. Wrogie. Źle do nas, dobrych Niemców, nastawione.

– Ha, ha. Wielce śmieszne.

– Jako żywo. A wiesz, co jest paradoksem?

– Nie wiem.

– To, że szkodząc kanonikowi, biskup szkodzi sam sobie. Otto Beess był we wrocławskiej kapitule praktycznie jedynym wciąż popierającym biskupa w kwestii nieograniczonej władzy papieża; reszta prałatów i kanoników coraz otwarciej deklaruje koncyliaryzm. Biskup intrygami pozbywa się stronników, marnie się to może dla niego skończyć. Sobór w Bazylei coraz bliżej. Wiele zmian może ten sobór przynieść... Czy ty mnie słuchasz? Co tam robisz?

– But czyszczę. W gówno wdepnąłem.

●

Wrocław od wiosny roku 1428 był wyspą w morzu wojny, oazą w pustyni wojennej destrukcji. Choć odgrodzona od świata nurtami Oławy i Odry, choć broniona potężnymi murami, śląska metropolia daleka była od pławienia się w błogim luksusie bezpieczeństwa i pewności jutra. Wrocław zbyt dobrze pamiętał ubiegłą wiosnę. Pamięć była żywa i tak realna, że niemal namacalna. Żyły w niej łuny płonącego Brzegu, Ryczyna, Sobótki, Gniechowic, Środy i oddalonych o zaledwie dwie mile Kątów. Wrocław pamiętał początek maja, gdy z murów miejskich patrzył na armię Prokopa Gołego oczami łzawiącymi od dymów palących się Żerników i Muchoboru. A sześć tygodni nie minęło, jak od południa szły w dół Odry Sierotki, jak wszystkie dzwony metropolii w zgrozie obwieszczały ich podejście pod odległą o zaledwie dzień drogi Oławę.

Wrocław był wyspą w oceanie wojny, oazą w pustkowiu zgliszcz i popiołów. Ziemie na południe od Wrocławia stały się wyludnionym pogorzeliskiem. Za murami Wrocławia, w czas pokoju dającymi schronienie piętnastu tysiącom ludzi, teraz poszukało azylu niemal drugie tyle. Wrocław tłoczył się, egzystował w ścisku. W atmosferze niepewności i zagrożenia. W aurze paraliżującego strachu. I powszechnego donosicielstwa.

Winę ponosili wszyscy: biskup, prałaci, inkwizycja, władze miejskie, patrycjat, rycerstwo, kupcy. Wszyscy. Ci, którym na bezpieczeństwie miasta naprawdę zależało. Ci, którzy widzieli husyckiego szpiega za każdym węgłem i ze zgrozą wspominali rok miniony: otwarte zdradą bramy Frankensteinu i Rychbachu, zdobyty podstępem zamek na Ślęży, spiski w Świdnicy, dywersję w Kłodzku. Ci, którzy liczyli, że nagonka na szpiegów wypłoszy z ukryć tych faktycznych i prawdziwych. I ci, którzy w żadnych szpiegów nie wierzyli, ale którym psychoza strachu była bardzo na rękę. Wszyscy do donosicielstwa zachęcali, potęgując strach i popłoch, sprawiając, że panika wracała rykoszetem nienawiści i prześladowań. Zdrajcy, czarownice i husyci mogli wszak kryć się wszędzie, za każdym węgłem, w każdym kącie, pod każdym przebraniem. Podejrzany był każdy: sąsiadka, bo nie pożyczyła sita, kramarz, bo wydał resztę oberżniętym skojcem, stolarz, bo paskudności gadał o proboszczu, proboszcz, bo pił, szewc, bo nie pił. Na to, by nań donieść, bezsprzecznie zasługiwał nauczyciel katedralny, magister Schilder, bo na murach kręcił się koło bombardy. Donosu wart był ponad wszelką wątpliwość rajca Scheuerlein, bo podczas mszy niedzielnej straszliwie spierdział się w kościele. Podejrzany był pisarz miejski, panicz Albrecht Strubicz, bo choć chorzał, to wyzdrowiał. Podejrzany był Hans Plichta, strażnik grodzki, bo wystarczyło na gębę spojrzeć, by zgadnąć: pijak, kurwiarz, łapownik i sprzedawczyk.

Podejrzany był żongler-*joculator*, bo igrce wyczyniał i szpasy, podejrzany był cieśla Kozuber, bo się z tych szpasów śmiał. Podejrzana była panna Jadwiga Banczówna, bo trefiła włosy i nosiła czerwone ciżemki. Pan Güntherode, bo używał imienia nadaremno. Podejrzenia budził był garbarz, bo śmierdział. I żebrak, bo śmierdział jeszcze gorzej. I Żyd. Bo był Żydem. A wszystko, co złe, to przecie przez Żydów.

Donosów i delacyj przybywało, koniunktura nakręcała się sama, rosnąc jak toczona śniegowa kula. Szybko doszło do tego, że najbardziej podejrzanymi stali się ci, na których nikt nie doniósł. Wiedząc o tym, niektórzy donosili więc sami na siebie. I na najbliższych krewnych.

Byłoby dziwne, gdyby w tej powodzi donosów nie znalazł się ani jeden donos na Reynevana.

Ale znalazł się. I to niejeden.

•

Capnęli go na Placu Solnym, który przecinał, lawirując między kramami, w drodze na śniadanie. Śniadał „Pod Głową Maura" codziennie. Regularnie. Zbyt regularnie.

Capnęli go, wykręcili ręce, przyparli do straganu. Było ich sześciu.

– Reinmarze Bielau – powiedział beznamiętnie przywódca, trąc płaski i paskudnie zniekształcony chorobą nos. – Jesteś aresztowany. Nie stawiaj oporu.

Nie stawiał. Bo nie mógł. W głowie mu wirowało, z zaskoczenia był jak we śnie, nie bardzo pojmował, co zaszło. Jutta, myślał gorączkowo i nieskładnie. Jutta. Altarysta Felicjan wyśledzi miejsce uwięzienia Jutty. Ale jak ja się skontaktuję z altarystą? Sam będąc uwięziony? Lub martwy?

Dokoła zbierał się już i gęstniał tłum.

– Nuże – skinął ten ze zniekształconym nosem. – W pęta ptaszka. Nałóżcie mu więzy.

– Nałóżcie, nałóżcie! – Przez zbiegowisko przedarł się siwy dryblas w skórzanym kabacie i przy mieczu, w kompanii kilku zbrojnych. – A nałożywszy odstąpcie. Bo on jest nasz. Śledzimy go od paru dni. Pospieszyliście, dobra wasza. Ale ninie wydajcie go nam. Nasze prawa wyższe.

– Jak wyższe? – wziął się pod boki Nos. – W czym wyższe? Tu nie Ostrów Tumski, tu Wrocław! A we Wrocławiu nad radę miejską nic wyższego nie masz, we Wrocławiu rada rządzi. Ja więźnia z rozkazu panów rady aresztowałem i na ratusz go odstawiam. Prawiście, żem pospieszył. A wyście się spóźnili! Strata wasza, było raniej wstać. Kto pierwszy, ten lepszy! Tedy ruszajcie precz, panie von Hunt. Nie przeszkadzajcie w służbie!

– We Wrocławiu rządzi biskup – odparował Kuczera von Hunt. – Namiestnik króla Zygmunta, pana twego, łyku, i całej twojej rady. A ja biskupa osobę tu przedstawiam, bacz tedy, ratuszowy pachołku, do kogo mówisz. Kogo precz posyłasz. Ja aresztanta do biskupiego dworca doprowadzić rozkaz mam...

– A ja do ratusza!

– To jest – powtórzył gniewnie Kuczera – rzecz kościelna i chuj ratuszowi do niej. Nuże, nastąp się.

– Sam się nastąp!

Kuczera von Hunt warknął, sapnął, położył dłoń na mieczu. W tym momencie z napierającego coraz gęściej i szumiącego zbiegowiska wyskoczyła – a raczej wystrzeliła – drobna postać w burym chałacie. Nim ktokolwiek zdołał zareagować, postać z rozpędu rzuciła się na Reynevana, wyrwała go z uścisku pachołków i zwaliła z nóg, przygniatając do ziemi. Zaskoczony Reynevan patrzył wprost w twarz postaci. Twarz szarą, nijaką i bezbrzeżnie pospolitą. Z pospolitego nosa i pospolitych ust ciekła krew. I jakaś ohydna kleista wydzielina.

– Ja na nich nasmarkam – wymruczała mu postać wprost do ucha miękkim kobiecym altem. – A ty uciekaj...

Pachołcy ratuszowi i ludzie von Hunta zdarli kobietę z Reynevana, szarpiąc nią, targając i potrząsając jak kukiełką. Kobieta obwisła nagle w ich rękach, przewróciła oczami. Rozkaszlała się spazmatycznie, zakrztusiła, zarzęziła. I nagle charknęła, plunęła i smarknęła. Bardzo obficie i nad wyraz rozbryzgliwie. Krew i śluzowate gluty gęsto upstrzyły twarze i odzienie otaczających.

– Maryjo Przenajświętsza! – zawył ktoś z ciżby. – To zaraza! Mór! Mór!

Powtarzać nie było potrzeby. Wszyscy wiedzieli, czym jest *mors nigra*, Czarna Śmierć, wszyscy wiedzieli, jak należy się przed Czarną Śmiercią bronić. Zasada była prosta, reguła jedna, brzmiała: *fuge*, uciekaj. Wszyscy – przekupnie, przechodnie, pachołkowie, biskupi zbrojni, Nos, von Hunt – rzucili się do panicznej ucieczki, przewracając i tratując wzajem. Plac Solny opustoszał w jednej sekundzie.

Został tylko Reynevan. Medyk. Klęczący nad zarażoną. Usiłujący rozewrzeć jej usta, ulżyć, usunąć blokujące gardło śluz i skrzepy. Na to nie ma żadnego zaklęcia, myślał gorączkowo i chaotycznie. Żadnego zaklęcia, żadnego czaru, żadnego amuletu. Żadna magia nie leczy, żadna nie zabezpiecza przed zarażeniem płucną formą dżumy... Bo to przecież forma płucna, wątpliwości nie ma, objawy są klasyczne, chociaż... Ona nie ma gorączki... Ma chłodne czoło... I ciało... Piersi... Jak to możliwe? Coś tu jest nie tak...

Kobieta o pospolitej twarzy odepchnęła jego ręce.

– Zamiast mnie obmacywać – wyrzekła spokojnie i wyraźnie – uciekajże, nieszczęsny głupku. Szybko. Zanim się połapią, że to była iluzja.

Nie kazał sobie dwa razy powtarzać.

•

Gdyby zdecydował się zmykać z Wrocławia jak stał, na piechotę, w jednym cienkim kabacie na grzbiecie, udałoby mu się. W mieście trwał popłoch i zamęt, ucieczka miała całkiem spore szanse na to, by się powieść. Ale Reynevanowi żal było dobytku i otrzymanego w prezencie od Dzierżki de Wirsing gniadoszka inochodźca. Okazał się niezdolny do tego, by bez mrugnięcia okiem i najmniejszego żalu porzucić dobra materialne. Krótko mówiąc, zgubił go materializm. Jak wielu przed nim.

Capnęli go w stajni. Opadli w momencie, gdy kulbaczył konia. O oporze nie mogło być mowy. Było ich zbyt wielu, z równym powodzeniem można by próbować walki ze sturękim Briareusem. W łatwym do przewidzenia finale Reynevan miał worek na głowie i więzy na rękach i nogach. Potem podniesiono go i niby pakunek wrzucono na wóz. I przywalono czymś miękkim a ciężkim, zapewne szmatami.

Strzelił bat, skrzypnęły osie, wóz podskoczył i poturlał się po wymoszczonej okrąglakami ulicy. Przywalony stertą szmat Reynevan klął i pluł sobie w brodę.

Zaczynała się podróż w nieznane.

Rozdział trzeci

w którym potwierdza się porzekadło i wychodzi na to, że świat jest jednak mały – Reynevan co i rusz natyka się bowiem na znajomych.

Wóz, którym go wieziono, podskakiwał i kołysał się na wybojach, trzeszcząc przy tym tak, jakby za chwilę miał się rozlecieć. Reynevan, który z początku przygniatającą go i ledwo pozwalającą oddychać stertę gałganów i kłujących rogoży odbierał jako torturę i sprawców sążniście przeklinał, szybko zmienił pogląd. Unieruchomiony pod stertą, nie obijał się o burty pędzącego szaleńczo wehikułu, czuł zaś i słyszał dudnienie innych przedmiotów, zapewne beczułek i drabin, które bezładnie latały po całym wnętrzu, przetaczając się nad nim raz po raz. Jazda była jednak taka, że nawet w kokonie szmat szczękały i dzwoniły na wybojach zęby.

Ile trwała ta dzika gonitwa, trudno było ocenić. W każdym razie długo.

•

Wyciągnięto go spod szmat, bezceremonialnie zrzucono z wozu na ziemię. Czy raczej w błoto, bo odzież momentalnie zaczęła przemakać. Natychmiast niemal i równie bezceremonialnie poderwano go, szarpnięciem zdarto z głowy worek. Pchnięty uderzył plecami o koło.

Byli w jarze, na uskokach zboczy bielał jeszcze śnieg. W powietrzu pachniało już jednak wiosną.

– Zdrowy jest? – spytał ktoś. – Cały?

– Przecie widać, że cały. Na własnych nogach przecie stoi. Dawajcie grosz, jak się umówilim.

Ludzie, którzy go otaczali, różnili się, pierwszy rzut oka pozwalał podzielić ich na dwie grupy, dwie kategorie nawet. Jedni z miejsca dawali zakwalifikować się jako miejscy złoczyńcy i obrzynacze kieszeni, hultaje z band i gangów, jakich wiele terroryzowało wrocławskie peryferia. To oni właśnie, nie było żadnych wątpliwości, pojmali go w stajni i wywieźli z miasta na wozie. Po to, by teraz przekazać go tym drugim. Też bandytom, ale innej jakby klasy. Najemnikom.

Na dalsze analizy czasu nie stało. Chwycono go, wsadzono na konia, przytroczono przeguby do łęku siodła, dodatkowo skrępowano ramiona dwukrotnie przeciągniętym pod pachami powrozem. Końce powroza ujęło dwóch konnych, jeden po prawej, drugi po lewej. Inni otoczyli ich ciasno. Konie parskały i tupały. Ktoś szturchnął go w plecy czymś twardym.

– Ruszamy – usłyszał. – Tylko bez głupstw. Bo mordę obijemy.

Głos wydał mu się znajomy.

●

Omijali miasta i grody, nie dość szerokim jednak łukiem, by uniemożliwić Reynevanowi zorientowanie się w terenie. Który znał na tyle dobrze, by rozpoznać dzwonnicę fary Świętego Floriana w biskupim Wiązowie. Wieziono go więc gościńcem nyskim, od Wrocławia jak strzelił na południe. Nie wyglądało jednak, by Nysa była celem jazdy, względem zaś dalszej trasy możliwości było aż nadto: z Nysy wychodziło w różnych kierunkach pięć traktów, nie licząc tego, którym jechali.

– Dokąd mnie wieziecie?

– Zamknij pysk.

Za Nysą zatrzymali się, by zanocować. A Reynevan rozpoznał znajomego.

●

– Paszko? Paszko Rymbaba?

Najemnik, który przyniósł mu chleb i wodę, zamarł. Pochylił się. Odgarnął jasne włosy z czoła i oczu. I otworzył usta.

– Jak mi honor luby – westchnął. – Reinmar? Tyżeś to? Ha! A to i zdała mi się gęba znajomą... Aleś zmienił się, zmienił... Uznać trudno...

– W czyim jestem ręku? Dokąd mnie wieziecie?

– Zakazali gadać. – Paszko Rymbaba wyprostował się, głos mu stwardniał. – Tedy nie pytaj. Jak jest, tak jest.

– Baczę – Reynevan ugryzł chleb – jak jest. Dawniej byłeś rycerzem, ninie widzisz mi się knechtem. Któremu rozkazują i zakazują. I nawet wiem, czemu taka odmiana. I tak dziw, że zostałeś na Śląsku. Mówiono, żeście wszyscy uciekli, Weyrach, Wittram, Tresckow, cała twoja dawna

comitiva. Żeście drapaka dali za siódmą górę. Bo się wam paliła śląska ziemia pod nogami.

– Ano. – Paszko podrapał się w ciemię, niespokojnie rzucił okiem w stronę ogniska, przy którym inni najemnicy poświęcali jednak całą uwagę wyłącznie gąsiorkowi. – Ano, paliła się tak jakby. Rozbieżała się kompania... Jam też już się sposobił precz odjechać... Ale masz, trafiła się okazja służby u pana Ungeratha. Pan Ungerath bogacz, nikomu ze swoich krzywdy zrobić nie da, nie ma strachu. To i zostałem. A co to mnie na Śląsku źle, albo jak?

– Czego ten bogacz chce ode mnie? Czym mu się naraziłem?

– Zakazali gadać.

– Tylko jedna rzecz – zniżył głos Reynevan. – Jedno słowo. Jedno imię. Muszę wiedzieć, kto mnie we Wrocławiu wydał. Nie o mnie tu zresztą idzie. Pamiętasz tamtą pannę, Paszko? Porwaną na Bodak jako Bibersteinówna? Tą, z którą wtedy uciekłem? Miłuję ją, kocham sercem całym. A od informacji, o którą proszę, zależy jej los. Jej życie. Kto mnie zdradził, Paszko?

– Zakazali gadać. A nawet jakby nie, ja dyć tego nie wiem i tak.

– Ale wie ten, który wami dowodzi. Mam rację?

– Ani chybi – nadął się Rymbaba. – Pan Eberwin von Kranz nie od parady głowa. Musi, że wie.

– Podpytaj go, Paszko. Wywiedz się...

– Nie. Zakazali.

– Paszko. Nie pospieszyłem ci z pomocą, wtedy, pod Lutomią? Już cię gemajni brali na sztychy, pamiętasz? Jak zwierza by skłuli, gdyby nie ja i Samson. Masz dług. Rycerz jesteś czy nie? Nie przystoi rycerzowi o takich długach zapominać.

Paszko Rymbaba myślał długo. I tak intensywnie, że aż się spocił. Wreszcie pojaśniał, otarł brew.

– Zratowałeś mnie wtedy – przyznał, prostując się. – Aleś potem na Bodaku zdradliwie sójęę w bok dał. A owa twoja umiłowana dziewka w jajca mnie kopła i ze schodów zruciła. Mnie po onym zruceniu głowa długi czas bolała. Tedy my kwita. Nicem ci nie winien.

– Paszko...

– Posiliłeś się? To dawaj ręce. Na powrót związać cię muszę.

– Mógłbyś trochę luźniej?

– Nie. Zakazali.

●

W dalszą drogę wyruszyli o świtaniu, we mgle, w której Reynevan stracił orientację. Wydawało mu się, że jadą w kierunku na Prudnik, traktem głubczyckim, ale pewności nie miał.

●

Na skraju gołej brzeziny czekało na nich trzech jeźdźców. I solidny zamknięty furgon, zaprzężony w czwórkę kosmatych koni. Przeznaczenie furgonu było bardziej niż wyraźne, toteż Reynevan wcale się nie zdziwił, gdy go doń wepchnięto, a drzwiczki zaryglowano. Zmianę powitał nawet z pewnym zadowoleniem. Nadal był więźniem, ale przynajmniej rozwiązano mu ręce.

Łomotnęły kopyta, furgon szarpnął, ruszył z turkotem i skrzypem osi. Wewnątrz światła było tyle, ile wpuszczały małe zakratowane okienka, to znaczy niewiele. Dość jednak, by zdołał ujrzeć leżącego na deskach człowieka, nakrytego derką lub opończą.

– Pochwalone – zagadnął – imię Boże, bracie. Kim jesteś?

Leżący nie odpowiedział. Nieprzytomnego jęku, jaki wydał, nie można było uznać za odpowiedź. Reynevan pociągnął nosem, powęszył. Zbliżył się, namacał czoło. Gorące jak piec. Czując, jak jemu samemu robi się dla odmiany zimno ze strachu, ściągnął derkę, sięgnął pod mokrą od potu odzież, nacisnął brzuch, obmacał szyję, pachy i pachwiny. W nikłym świetle wypatrywał śladów krwi, ropy, wysypki. Chory pozwalał na wszystko, leżąc bez ruchu i pojękując.

– Ty masz szczęście i ja mam szczęście – mruknął wreszcie, siadając. – To nie dżuma. I nie ospa. Chyba.

– *Adsumus...*

– Co? – Reynevan aż podskoczył. – Co powiedziałeś?

– *Adsumus...* – wybełkotał chory. – *Adsumus peccati quidem immanitate detenti... Sed in nomine tuo specialiter congregati...*

To tylko modlitwa, upewnił sam siebie Reynevan. Wyłącznie przypadkowa zbieżność...

Pochylił się. Od chorego bił żar gorączki i ostry odór potu. Reynevan położył mu dłonie na skroniach, zaczął wolno wymawiać lecące zaklęcia i inwokacje.

– *Veni ad nos...* – zajęczał pacjent. – *Et esto nobiscum et dignare illabi cordibus nostris... Adsumus... Adsumus...*

Reynevan mruczał zaklęcia. Chory odetchnął ze świstem.

– *Ex lux perpetua* – powiedział zupełnie wyraźnie – *luceat eis*.

●

Furgon turkotał i skrzypiał. Chory gorączkował i bredził.

●

Zbudził go chrobot rygla i skrzyp otwieranych drzwiczek, oprzytomniło zimne świeże powietrze, wraz ze światłem wdzierające się do wnętrza. Zmrużył oczy.

Do furgonu pakowano następnych pasażerów. Trzech. Pierwszy, barczysty wąsacz w rycerskim wamsie, cofnął się odruchowo na widok leżącego chorego.

– Bez obaw – uspokoił Reynevan. – To nic zakaźnego. Gorączka, nic więcej.

– Włazić do środka! – ponaglił jeden z najemników. – Żywo, żywo! Mam wam pomóc?

Drzwiczki furgonu zatrzasnęły się, znów pogrążając wnętrze w mroku. Światła wystarczyło jednak, by Reynevan nabrał pewności, że zna przynajmniej dwóch z trójki nowych więźniów, bark w bark usadowionych naprzeciw. Że już widział ich twarze.

– Skoro już pobratała nas smutna dola – wyprzedził go ostrożnym i pełnym wahania głosem wąsacz – to niechaj się znamy. Jestem Jan Kuropatwa z Łańcuchowa, *miles polonus*...

– Herbu Szreniawa – zdecydował się dokończyć po polsku Reynevan – jeśli dobrze pamiętam. Spotkaliśmy się w Pradze...

– A niech mnie! – Podejrzliwie zachmurzona i zacięta twarz Polaka rozjaśniła się. – Reynevan, eskulap praski! Pamiętam! Od razu znajomym mi się waść zdałeś... A tośmy wszyscy wpadli, zaraza by to wzięła...

– *Adsumus...* – zajęczał głośno chory, rolując głową. – *Adsum...*

– Jeśli już o zarazie mowa – odezwał się z niepokojem w głosie drugi z Polaków, wskazując leżącego. – To czy ten tutaj aby...

– Imć Reynevan konsyliarzem jest, Jakubie – pouczył Kuropatwa. – Na choróbskach się zna. Jeśli mołwi, że to nie zakaźne, trza mu wierzyć.

Pozwólcie, panie Reynevan: ów tu dobry szlachcic to pan Jakub Nadobny z Rogowa herbu Działosza. A ów to...

– My się znamy – przerwał trzeci mężczyzna, z mocno zarysowaną, trochę krzywą jakby szczęką. – Klemens Kochłowski z Wielunia, pamiętacie? Mieliśmy przyjemność. W Toszku to było, jesienią łońskiego roku. O interesach rozprawialiśmy.

Reynevan potwierdził, ale tylko skinieniem głowy. Nie był pewien, czy i jak dalece może wchodzić w szczegóły. Nowi pasażerowie furgonu byli, i owszem, chwilowymi współtowarzyszami niedoli, ale to wcale nie oznaczało, że musieli znać specyfikę i detale prowadzonych przez Kochłowskiego interesów. Polegających na sprzedawaniu husytom koni, broni, prochu i kul.

– Wszystkich trzech razem nas ogarnęli, jednego dnia – rozwiał jego wątpliwości Jan Kuropatwa. – Na krakowskim trakcie, między Bielskiem a Skoczowem. Szliśmy cugiem, wieźliśmy... Domyślacie się, co wieźliśmy. Wszak wiecie, co się tym traktem wozi.

Reynevan wiedział. Wszyscy wiedzieli. Biegnący przez Cieszyn i Bramę Morawską trakt krakowski, szlak łączący Królestwo Polskie z Czeskim był jedną z nielicznych dróg handlowych wymykających się otaczającej husyckie Czechy blokadzie. Szlakiem tym towary z Polski szły do Czech praktycznie nieprzerwanie i bez przeszkód, działo się tak dzięki układowi, jaki stanął pomiędzy morawską szlachtą kalikstyńską a możnymi katolikami. Morawscy husyci nie podejmowali łupieżczych wypraw na ziemie katolików, ci zaś przymykali oko na ciągnące przez Cieszyn transporty i cugi. Układ był nieformalny, a równowaga chwiejna, czasem jakiś incydent ją zakłócał. Jak widać było.

– Ogarnęli nas – kontynuował *miles polonus* – raciborscy z Pszczyny, drużyna najemna tej wilczycy Heleny, wdowy po księciu Janie. Pszczyna to jej, Heleny znaczy, dział wdowi właśnie, wiedźma przeklęta jak udzielna księżna na Pszczynie siedzi i coraz zuchwalej sobie poczyna.

– I to bezprawnie poczyna, gamratka jedna – warknął wściekle Kochłowski. – Bo nie na swojej, lecz na cieszyńskiej ziemi! To bezprawie jest!

Reynevan wiedział, w czym rzecz. Wykorzystywana przez kupców szczelina w blokadzie istniała również dzięki zręcznej polityce księcia cieszyńskiego Bolesława, który chronił swe księstwo tym, że z husytami nie zadzierał i ich transportów nie tykał. Całkiem inną politykę

prowadzili rezydująca w Pszczynie księżna wdowa Helena i jej syn, książę raciborski Mikołaj. Ci nie przepuścili żadnej okazji, by handlującym z husytami dobrać się do skóry, choćby i na cudzych włościach.

– Niejeden już z naszych – ciągnął Kuropatwa – w pszczyńskich lochach zgnił albo głowę pod topór położył. Myślelim, gdy nas wzięli, że nam też na rusztowaniu koniec pisany. Dusze Bogu już polecaliśmy, ja, pan Jakub i pan Klemens... Ale nie tkwilim w ciemnicy nawet tygodnia. Powieźli nas do Raciborza, wydali tym innym, bies wie, kto oni tacy... A ninie wsadzili do tej budy i wiozą. Kędy, po co, kto, w czyjej służbie, bies wie.

– Po co, to wiadomo – orzekł ponuro Jakub Nadobny z Rogowa. – Na zatracenie, jak nic.

– Nazwisko Ungerath – spytał Reynevan – mówi wam coś?

– Nie. A powinno?

Reynevan opowiedział o swoim pojmaniu, o trasie, jaką przebył w ciągu trzech dni. O tym, że eskorta jest prawdopodobnie w służbie Ungeratha, bogatego wrocławskiego patrycjusza. Kuropatwa, Nadobny i Kochłowski w głowę jęli zachodzić. Bez większych rezultatów. Tkwiliby więc w nieświadomości i niepewności losu, gdyby nie nowy pasażer furgonu, którego dokwaterowano im jeszcze tego samego dnia.

●

Nowy pasażer był młody, jasnowłosy, potargany jak strach na wróble. A także wesoły i radosny, co zdumiewało, zważywszy okoliczności.

– Waszmoście pozwolą – zaśmiał się, usiadłszy – jam jest Hlas z Liboczan, dobry Czech, setnik z Taboru. Jeniec. Chwilowo, ha, ha! Los wojacki, he, he!

Kilka dni temu, opowiedział Hlas z Liboczan, dobry Czech, robiąc co i rusz pauzy na napady głośnej i bezsensownej wesołości, pan Hynek Kruszyna z Lichtenburka najechał kraj hradecki. Pan Hynek był ongi wiernym obrońcą Kielicha, ale zdradził, przeszedł na stronę katolicką i teraz gnębi dobrych Czechów napadami. Rejza na Hradecko nie skończyła się dlań najlepiej, jego drużynę pobito, rozproszono i zmuszono do ucieczki. Ale Hlasa z Liboczan udało się panu Kruszynie w jeństwo wziąć.

– Taki los wojacki, ha, ha – zaśmiewał się dobry Czech. – Alem słomy u pana Kruszyny w lochu nie zagrzał! Odkupili mnie, tu dostarczyli. A ninie, jakem podsłuchał, kędyś pod Frysztat powiezą.

– Po co pod Frysztat? I kto was odkupił?

– Ha, ha! Toć przecie ten, co i was. Ten, co nas tera wiezie!

– Niby kto?

– Gebhard Ungerath. Syn Kaspra Ungeratha... Tośta nie wiedzieli? A to dobre, he, he. To wam, baczę, rzecz sklarować muszę!

Kasper Ungerath, sklarował taboryta, to wrocławski kupiec, bogaty wręcz do nieprzyzwoitości, w swym wielkopaństwie tak zadufany i nadęty, że w Gniechowicach pod Wrocławiem burg sobie kupił i na tym burgu jak szlachcic siedzi, już mu pono szlachectwo pachnie, już o herb zabiega, ha, ha. W ramach zabiegów synów swych, Gebharda i Gilberta, w biskupim wojsku armigerami porobił. W jakiejś pogranicznej rąbaninie pojmali Gilberta taboryci z Odr. Rychło uznawszy, co za złota kokoszka wpadła im w ręce i jakie złote jaja znieść zdolna, zażądali za jeńca równiuśkich pięciuset kóp groszy okupu.

– To ci sumka, ha, ha, nie w kij dmuchał! Teraz rozumiecie, w czym dzieło? Ungerath, stary sknera, ułożył się, chce rzecz bezgotówkowo załatwić. Za wolność Gilberta odzyskają wolność jeńcy czescy, połapani przez Ślązaków utrakwiści. Ungerath ma znajomości, ma układy, ma dłużników. Szybko załatwił sobie jeńców. Znaczy nas, ha, ha. Wychodzi, ha, ha, że my, tego tu półnieboszczyka kalkulując, po jakieś ośmdziesiąt kóp *per capita* się liczym, he, he, w ogólnym bilansie. Powiedziałbym, że dobra średnia. Chyba że się któryś z panów za droższego ma?

Nikt się nie zgłosił. Hlas z Liboczan zaśmiał się perliście.

– Na wymianę nas wiezą, panowie. Do góry tedy głowy, ha, ha, niedługo już naszej niewoli, niedługo!

●

Ciasnota i zaduch wewnątrz furgonu powodowały, że więźniów ogarnęła senność, spali niemal bez przerwy. Reynevan, jeśli nie spał, myślał.

Kto go zdradził we Wrocławiu?

Wykluczając zwykły przypadek, a w takich razach przypadki należało wykluczać, ewentualności nie pozostawało wiele. Czas zmieniał ludzi, Achillesa Czibulkę mogły skusić ukryte pod podłogą apteki złote

monety, chęć zawładnięcia nimi mogła stać się pokusą nie do przezwyciężenia. Cóż dopiero powiedzieć o Allerdingsie, którego Reynevan wszak nie znał w ogóle, a miał wszelkie podstawy, by uważać za najemnego łotrzyka?

Głównym podejrzanym pozostawał jednak oczywiście pater Felicjan, Hanys Gwisdek, zwany Weszką, osobnik, u którego kłamstwo, zdrada i przeniewierstwo zdawały się być drugą naturą. Allerdings ostrzegał przed nim Reynevana, ten jednak przestrogi i złe wróżby zlekceważył. *Omnis* ksiądz *avaritia*, przywoływał obiegowe porzekadło, Felicjan nie zdradzi z chciwości, gdyby zdradził, sto florenów przeszłoby mu koło nosa. Allerdingsa to nie przekonało.

Allerdings mógł mieć rację, myślał z rozpaczą Reynevan. Własną skórę ojciec Felicjan mógł cenić wyżej stu florenów, mógł zdradzić ze strachu o skórę. Mógł zdradzić dla łask i znacznie wyżej kalkulowanych przyszłych korzyści.

Tak, wiele wskazywało, że zdrajcą był właśnie ojciec Felicjan. A jeżeli tak...

A jeżeli tak, myślał z rozpaczą Reynevan, to cały misterny wrocławski plan na nic. Szanse na szybkie odszukanie Jutty przepadły, nadzieje się rozwiały. Znowu nie wiadomo, co czynić, od czego zacząć. Znowu w kropce. Znowu punkt wyjścia.

Jeśli w ogóle będzie jakieś wyjście, myślał Reynevan. Wesołek Hlas może się mylić. Może nas wcale nie wymienią? Może być tak, jak na zamku Troski – utrakwistów się kupuje, by później zamęczyć ich na szafocie celem polepszenia morale miejscowej ludności.

A na to, że znów uratuje go tajemnicza iluzoryczna kobieta, tym razem liczyć trudno.

●

Chory przestał jęczeć i bredzić. Leżał spokojnie i chyba nawet miał się lepiej. Przy świadkach Reynevan nie ośmielił się już używać magii, zdrowienie należało więc przypisać czynnikom naturalnym.

●

– Wyłazić! Dalej, dalej! Żywo! Z wozu!

Słońce zakłuło w oczy, łyk zimnego powietrza omal nie pozbawił go przytomności. By utrzymać się na rozmiękłych w galaretę nogach,

musiał uchwycić się barku Jana Kuropatwy z Łańcuchowa. Stojącemu obok Nadobnemu nie było lepiej, zwisał wręcz, blady jak trup, z ramienia Kochłowskiego. Handlarz bronią, choć najmniej okazały posturą, okazał się obok Hlasa z Liboczan najbardziej wytrzymałym. Obaj z Czechem stali pewnie i najlepiej ze wszystkich udawali, że się nie boją.

– Będzie wymiana jeńców, panowie husyci – uświadomił ich z wysokości kulbaki Eberwin von Kranz, dowódca najemników. – Wnet będziecie wolni. Łaskę tę zawdzięczacie tu obecnemu wielmożnemu paniczowi Gebhardowi Ungerathowi, synowi jaśnie wielmożnego pana Kaspra Ungeratha. Skłonić się tedy! Nisko! Ale już!

Gebhard Ungerath, krępy i brzydki jak gnom, zadarł wyniośle głowę i wydął wargi. Po czym obrócił konia i odjechał stępa.

– Ruszać się, heretycy, ruszać! Tam, ku mostowi! Hola, sami tu, tego chorego trzeba będzie nieść!

– Ta rzeka to Olza – mruknął spoważniały nagle setnik Hlas. – My gdzieś między Frysztatem a Cieszynem są. Na moście będzie wymiana. To taka tradycja.

Na przedmościu kazano im stanąć, otoczono końmi. Pod mostem wezbrana Olza szumiała, omywała filary, przelewała się przez izbice.

Nie czekali długo. Na przeciwległym brzegu pojawił się jeździec. W kapalinie, kolczym kapturze z pelerynką, burej jace wdzianej na brygantynę, typowy man, drobny husycki szlachcic. Przyjrzał im się. Dwa razy zatoczył koniem, nim z łomotem podków wjechał na most. Przejechał na ich stronę, rozglądając się czujnie. Eberwin von Kranz podążył mu na spotkanie. Chwilę rozmawiali. Potem obaj zajechali przed oblicze Gebharda Ungeratha.

– Mówi – odkaszlnął Eberwin von Kranz – jako słowa dotrzymali. Przywiedli panicza Gilberta. Wiedzą, że miast pięciu, jak było umówione, sześciu mamy, tedy, by dobrą wolę pokazać, wraz z paniczem Gilbertem jeszcze jednego Ślązaka uwolnią. Ino pierwej chce naszych jeńców uwidzieć.

Gebhard wydął wargi, przyzwalająco kiwnął głową. Wiedziony przez Eberwina husycki man stępa podjechał do więźniów, spojrzał na nich spod kapalinu. A Reynevan pochylił głowę. Z obawy, że nie zapanuje nad twarzą.

Manem był Urban Horn.

Rolę mało znaczącego i jeszcze mniej rozgarniętego posłańca grał świetnie. Ze spuszczonymi oczami coś pobełkotał do Eberwina uniżonym półgłosem, ukłonił się Gebhardowi Ungerathowi.

– Zobaczyłeś, coś chciał zobaczyć – rzekł doń Eberwin. – Ruszaj tedy do swoich. Upewnij, że i my słowa dodzierżali i że zdrady nijakiej nie knujemy. Uczciwa wymiana.

– Nuże, marsz – skomenderował więźniom, patrząc, jak Urban Horn przejeżdża most i znika w lesie. – Pomóżcie temu choremu!

– Widziałeś? – szepnął Kochłowski. – To był...

– Widziałem.

– Co to wszystko...

– Nie wiem. Bądź cicho.

Z przeciwnej strony już zbliżał się oddziałek husycki, lekkozbrojni z czerwonymi kielichami na jakach. Do mostu dotarli jednocześnie. Po chwili husyci pozwolili wejść na most dwóm mężczyznom. Widząc to, najemnicy Ungeratha ponaglili na most swoich więźniów. Obie grupy jęły kroczyć ku sobie. Któryś ze zbliżających się od lewego brzegu musiał być Gilbertem Ungerathem, choć żaden nie był podobny, żaden nie był krępy ani nie przypominał gnoma. Jeden z nadchodzących był wysoki i rudawy, drugi miał twarz cherubina i pasujące złote kędziorki. Kogoś Reynevanowi przypominał. Ale Reynevan był zajęty, wraz z Kochłowskim podtrzymywali chorego. Który nie miał już gorączki i samodzielnie stawiał nogi.

– *Miserere nobis...* – przemówił nagle całkiem przytomnie. Reynevana przeszył dreszcz. I obawa. Słuszna, jak się okazało.

Z lasu na lewym brzegu Olzy wyłonił się silny konny podjazd, strzelcy, kopijnicy i ciężkozbrojni. Rozwijając się w półkole, nowo przybyli odcięli husytom drogę ucieczki, zmusili do cofnięcia się na most. Jan Kuropatwa zaklął, odwrócił się. Ale od prawego brzegu na most wjeżdżali już śląscy najemnicy. Byli odcięci. Osaczeni.

– Widzę, mać, *Syriam ab oriente* – wymruczał biblijny cytat Kochłowski. – *Et Philisthim ab occidente...*

– *Tosme...* – jęknął Hlas. – *Tosme su v prdeli...*

Gebhard Ungerath uściskał brata, którym okazał się ten rudawy. Potem spojrzał na więźniów i na husytów. Wzrokiem pełnym nienawiści. Z twarzą wykrzywioną jak prawdziwy gnom.

– Myśleliście, kacerze – przemówił zjadliwie – że wam na sucho ujdzie? Że skóry ocalicie? Że targów tu sobie będziemy dobijać? O, nie, nic z tego, żadnego tarżenia z wami, psie syny, żadnych układów. Dla was, wyrodki, jeno to, na co zasługujecie: stryk, topór, stos. I będziecie wisieć, będziecie na stosach skwierczeć, dacie głowy. Bo się odstawi was z powrotem tam, skąd się was wzięło.

Przybyli kopijnicy i ciężkozbrojni ciasno zablokowali przedmoście na lewym brzegu. Dowodzący nimi rycerz miał na tarczy skrzyżowane topory.

– Ciebie zaś, wyklęty odszczepieńcze – Gebhard Ungerath wycelował palec w Reynevana – wydamy biskupowi wrocławskiemu. Biskup, wiemy to, marzy o tym, by cię mieć w izbie tortur. I będzie zasługa dla Kościoła...

– My też wiemy – powiedział, unosząc głowę, Urban Horn – że dla zasług to wszystko. Całe to perfidnie uknute oszustwo, cały ten straganiarski szwindel. Nie przez ciebie zresztą, chociażeś straganiarz, wykoncypowany. To twój tatuniek parweniusz zamierzał tym sposobem sławę zyskać i szlachectwa się dochrapać. Szlachetny pan kupczyk von Ungerath, w herbie grosz złamany. Gówno będzie w herbie, Gebhard. Bo gówno z waszego konceptu.

– Za te słowa – bryznął śliną Gebhard Ungerath – skórę z ciebie pasami złupię, heretyku. Już po tobie! Nie widzisz, żeś w matni?

– To ty jesteś w matni. Rozejrzyj się.

Wśród kompletnej ciszy, jaka nagle zapadła, na obu brzegach Olzy pojawili się nowi zbrojni. W sile przynajmniej setki. Szybko otoczyli most. Z obu końców.

– To są... – Gebhard roztrzęsioną ręką wskazał wielką czerwoną chorągiew ze srebrnym Odrzywąsem. – To są rycerze pana z Kravarz! Katolicy! Nasi!

– Już nie wasi.

Zaskoczeni i osłupiali najemnicy Ungeratha dali się rozbroić bez najmniejszego oporu. Reynevan widział, jak Paszko Rymbaba wodzi wkoło szeroko otwartymi oczami, pojąć nie mogąc, dlaczego odbierają mu oręż husyci ozdobieni Kielichami sprzymierzeni nagle ze zbrojnymi rycerza z toporami w herbie. Widział, jak Eberwin von Kranz, blady jak płótno, nie rozumie, dlaczego rozbrajają go i biorą do niewoli Morawianie spod znaku Odrzywąsa.

Po chwili wszyscy byli na lewym brzegu Olzy. Podczas gdy Horn bez słowa ściskał prawice Reynevana i Polaków, Morawianie spędzili w kupkę i wzięli pod straż ich niedawnych ciemiężycieli, teraz samych będących jeńcami. Stali, z pospuszczanymi głowami, wciąż oniemieli i w szoku: najemnicy Kranza, Gilbert Ungerath, rycerzyk o twarzy cherubina. I Gebhard, z wykrzywioną gnomią gębą, wybałuszający gnomie oczy na głównego sprawcę zajścia, przyodzianego w pyszną zbroję wielmożę ze śniadą twarzą i bujnym czarnym wąsem. Wielmożę, którego Reynevan już kiedyś widział.

Zaiste, pomyślał, ten świat jest bardzo mały.

Na czele swych hejtmanow i rycerzy, pod chorągwią z Odrzywąsem, rodowym znakiem Beneszowiców, zajeżdżał oto przed nich Jan z Kravarz, pan na Nowym Jiczynie, Fulneku, Bilovcu, Sztramberku i Rożnowie, magnat, potężny feudał, władca dominium obejmującego ogromną powierzchnię północno-zachodniej części margrabstwa Moraw.

– Ten z toporami w herbie, obok pana z Kravarz, to Sylwester z Kralic, hejtman fulnecki – wyjaśnił półgłosem Horn. – A ten drugi, z brodą, to Jan Helm.

Jan z Kravarz wstrzymał konia.

– Paniczom Ungerathom – przemówił spokojnym, nawet nieco beznamiętnym głosem – należy się kilka słów wyjaśnienia. Od czasu, gdy panicz Gebhard i tu obecny pan Sylwester z Kralic ułożyli swój sprytny, acz niezbyt uczciwy plan, sytuacja uległa zmianie. Zmianie, rzekłbym, zasadniczej. Duch mnie, moi panowie, natchnął, spłynęła na mnie łaska oświecenia, łuski spadły z mych oczu. Ujrzałem prawdę. Zrozumiałem, przy kim słuszność. Pojąłem, kto za szczerą wiarę Chrystusową staje, a kto za antychrysta. Z dniem wczorajszym, moi panowie, z sobotą przed niedzielą Oculi, wypowiedziałem posłuszeństwo Luksemburczykowi i Albrechtowi, przyjąłem sakrament *sub utraque specie* i zaprzysiągłem cztery artykuły praskie. Z dniem wczorajszym dobrzy Czesi spod znaku Kielicha nie są już moimi wrogami, lecz braćmi w wierze i sprzymierzeńcami. Oczywistym jest, że nie mogę dopuścić, by braci i sprzymierzeńców spotykały zdrada i przeniewierstwo. Wasz układ z panem z Kralic obwieszczam więc niebyłym i nieważnym.

– To... To... – wybełkotał Gebhard Ungerath. – Nie godzi się... To nieuczciwie... To zdrada... To...

– O zdradzie radzę nie mówić, mości Ungerath – przerwał spokojnie pan na Jiczynie. – Bo jakoś paskudnie słowo to w waszych uściech dźwięczy. A nieuczciwość gdzie niby widzicie? Toć wszechno tu uczciwe i za Bożym porządkiem. Miała być wymiana? Jest wymiana. Wedle umowy: Czesi wam oddali waszych, wy Czechom oddaliście ichnich. Mówiąc po kupiecku, byście lepiej zrozumieli: bilans wyszedł na zero. Ale teraz ja wam otwieram rachunek. Całkiem nowy. Teraz ze mną, panie Ungerath, będzie się waścin rodzic o okup układał. Za was i za brata. A nim się ułożym, obaj w jiczyńskiej wieży posiedzicie. A z wami i ci insi panowie. Wszyscy, ilu was tu jest.

Jan Helm roześmiał się, Sylwester z Kralic zawtórował mu, waląc się pancerną dłonią w udo. Jan z Kravarz uśmiechnął się tylko.

– Kpem będę, panowie Ślązacy, jeśli za was wszytkich na pytel dwóch tysięcy grzywien nie wyduszę. Praw był Prokop, prawyś był i ty, Horn, że mi się przejście na Kielich sprofituje! Że mi Bóg wynagrodzi! Wierę, już wynagradza!

– Wielmożny panie Janie – odezwał się nagle Reynevan. – Prośbę do was mam. Za dwoma z tych rycerzy proszę. Byście ich wolno puścili.

Magnat patrzył na niego długo.

– Horn – wyrzekł wreszcie, nie odrywając wzroku. – To jest ten wasz szpieg?

– On.

– Śmiały. Faktycznie wart dla was tyle, by mu ta śmiałość płazem uszła?

– Wart.

– Muszę – parsknął Jan z Kravarz – wierzyć na słowo?

– Jeśli wolicie – Reynevan nie spuścił oczu – możecie ocenić po faktach.

– Jakich to? – drwiąco wydął wargi pan na Jiczynie. – Z ciekawości płonę.

– Rok Pański 1425, trzynasty września, Śląsk, cysterska grangia w Dębowcu. Narada w stodole. Naprzeciw was, panie Janie, siedział Gotfryd Rodenberg, Krzyżak, wójt z Lipy. Po waszej lewicy pan Puta z Czastolovic, starosta kłodzki. Po prawicy rycerz z jelenim rogiem na lentnerze, podobnym do herbu Bibersteinów, tyle że tynktury inne.

– Pan Tas z Prusinovic – kiwnął głową Jan z Kravarz. – Dobrze zapamiętałeś. Dlaczego więc ja ciebie nie pamiętam?

– Nie byłem tam z wami. Byłem nad wami. Na poddaszu. Skąd wszystko widziałem i słyszałem. Każde wypowiedziane tam słowo.

Magnat milczał, kręcąc czarny wąs.

– Prawyś – powiedział wreszcie. – Isto, można cię oceniać po faktach. Oceniłem i znalazłem niezłym. Obrotny z ciebie szelma, musi z twych szelmostw Tabor pożytek mieć. Ale mój pożytek, panie szpiegu, też nie szpilka. Za Ślązaków, co o nich prosisz, byłaby korzyść. Jeśli ich puszczę, korzyści nie być. A brak korzyści to strata. Kto mi ją wynagrodzi?

– Bóg – wtrącił niedbale Urban Horn. – A w chwilowym zastępstwie Prokop, słusznie zwany Wielkim, *director operationum Thaboritarum*. Nie będziecie stratni, panie Janie. Gwarantuję wam.

– Twoja gwarancja rzecz cenna – uśmiechnął się Jan z Kravarz. – I w cenie rosnąca. A nadto ten Reynevan udał mi się. Ze strychu nas wtedy podejrzał i podsłuchał, niech mnie diabli, z takiej bliskości, że biskupowi Konradowi mógł z góry na tonsurę napluć! A legatowi Orsiniemu za kołnierz naszczać! Chwat, choć szpieg. Tam do kata, stać mnie na łaskawość! Tych dwóch zwalniam, panie Helm. Resztę pod eskortę! I sposobić się do drogi, wnet do Jiczyna ruszamy!

Jeńców odprowadzono. Gebhard Ungerath wrzeszczał i klął, Gilbert płakał, lał łzy, nie bacząc na wstyd. Paszko Rymbaba obejrzał się.

– Reinmar! – zawołał żałośnie. – A ja? Wybaw i mnie!

– Nie, Paszko.

– A czemu?

– Zakazali.

Reynevan zwrócił się ku uwolnionym za jego wstawiennictwem Eberwinowi von Kranz i cherubinowatemu rycerzykowi. Kranz patrzył na niego ponuro.

– Wiem – powiedział chrapliwie – czemu taka mi od ciebie łaska, Bielau. Rymbaba mi powiedział. Nie przedłużajmy zatem tej żałosnej sceny. Chcesz wiedzieć, przez co wpadłeś we Wrocławiu? Przez przypadek. I przez długi jęzor Wilkosza Lindenaua. Ów wdzięczny ci był. Chwalił dobroć i szlachetność. Za bardzo, za często, za głośno. Mogę iść?

Więc to nie Achilles, nie Allerdings, Reynevan aż westchnął, tak mu ulżyło. I nie Felicjan! Nie wszystko zatem stracone, Felicjan wciąż szuka Jutty... A może już znalazł?

– Hmm, hmm...

Podniósł głowę. Eberwin poszedł już sobie, przed nim stał rycerzyk z włosami skręconymi w złote kędziorki.

– Ja natomiast, mości panie – przemówił drżącym lekko głosem – całkiem nie pojmę, dlaczegoście mnie uwolnili. Nie wiem ni miana waszego, ni herbu. Aleście husyta. Wiedzcie tedy, że mi wiara katolicka i cześć rycerska wchodzić z kacerzem w żadne bliższe konwikcje nie pozwala. Ale i to wiedzcie, żem wam za uwolnienie zobowiązan. Dług spłacę, przed Bogiem to przysięgam.

– Husycie przysięgasz?

– Bóg mi wskaże, jak przysięgę wypełnić, by bez grzechu było i bez obrazy wiary.

– Bóg – Reynevan spojrzał mu w oczy – twą przysięgę słyszał. A jak wypełnić, mogę ci zaraz rzec. Toast wzniesiesz.

– Hę?

– Wzniesiesz i wypijesz zdrowie damy mego serca. Panny... Nikoletty Jasnowłosej. Ale nie inaczej, jak na twym własnym weselu, panie Wolframie Pannewitz. Na swadźbie z panną Katarzyną Biberstein. Wtedy i tylko wtedy przysięgę uznam za spełnioną. A ciebie za człeka honoru.

Wolfram Pannewitz zbladł i zaciął usta. Potem poczerwieniał silnie.

– Wiem już, kim jesteście – przełknął ślinę. – Bo i słyszałem wiele... Skorzyście, baczę, pannę z dzieckiem mi swatać... Jakiż to powód po temu macie, hę? Może ów dzieciak...

– Nie bądźże durniem, Pannewitz – przerwał mu cicho Reynevan. – Jedź na Stolz. Spojrzyj na chłopaczka. A potem w zwierciadło. Gadać z tobą o tym więcej nie myślę.

– Bóg słyszał – dorzucił, głośniej, by wszyscy słyszeli. – Bóg słyszał, coś przysiągł.

– Reynevan – wezwał niecierpliwie Urban Horn. – Jedźmy. Nie przedłużaj tej żałosnej sceny.

Rozdział czwarty

w którym Reynevan traci część ucha i większość złudzeń.

– Dzięki ci za ratunek – powtórzył Reynevan. – Ale nie jadę z tobą. Wracam na Śląsk.

Urban Horn milczał długo, patrząc w ślad za oddalającym się pocztem Jana z Kravarz. Potem odwrócił się w siodle. Pozbył się już przebrania czeskiego szlachcica szaraczka i był znowu dawnym Hornem: Hornem w eleganckim płaszczu z delikatnej wełny, Hornem w rysim kołpaku z pękiem czaplich piór. Hornem z przenikliwymi, wiercącymi jak świdry oczami.

– Nie wracasz na Śląsk – powiedział zimno. – Jedziesz ze mną.

– Nie słuchałeś? – podniósł głos Reynevan. – Nie dotarło do ciebie? Muszę wrócić! Od tego zależy los bliskiej mi osoby!

– Panny Jutty de Apolda – potwierdził beznamiętnie Horn. – Wiem.

– Ach, wiesz? Wiesz zatem i to, że zrobię wszystko, by...

– Wiem – przerwał ostro Horn – że zrobisz wszystko. Pytanie, ile już zrobiłeś.

– O czym ty... – Reynevan poczuł, że blednie. A potem czerwienieje. – Do czego ty pijesz?

– Ciszej, jeśli łaska. – Horn spojrzał na obserwujących ich Polaków, ruszył konia, podjeżdżając tak blisko, że zetknęli się strzemionami. – Rozgłos sprawie nie pomoże. A do czego piję, to ty dobrze wiesz. Wieści rozchodzą się szybko, plotki jeszcze szybciej. Wieści niosą, że niedawno zmuszono cię do zdrady. Plotki zaś głoszą, że byłeś zdrajcą od dawna. Od początku.

– Do diabła! Przecież mnie znasz. Przecież...

– Znam cię – przerwał znowu Horn. – Dlatego plotkom wiary nie daję. Co do wieści... Te muszą być sprawdzone. Nie ma, jak mawiają, dymu bez ognia. Dlatego, powtarzam, nie wracasz na Śląsk. Jedziesz ze mną na Sowiniec, stamtąd pod eskortą natychmiast wyekspediuję cię do Pragi. To polecenie Neplacha. Muszę je wykonać, chyba to pojmujesz.

– Posłuchaj...

– Koniec dyskusji. W drogę.

•

Na odwieczerz pożegnali Polaków i Hlasa z Liboczan. Kochłowski, Nadobny, Kuropatwa z Łańcuchowa i taborycki setnik skręcili na trakt ołomuniecki, którym zamierzali dotrzeć do Odr. W Odrach, jak wynikało z wcześniejszych rozmów, stacjonował obecnie stary znajomy, Dobiesław Puchała, z całym swym polskim hufcem. Od jakiegoś już czasu Odry stały się centrum rekrutacji ochotników z Polski i głównym ośrodkiem handlu przemycaną z Polski bronią.

Pożegnanie było wylewne. Polacy wyściskali i wycałowali Reynevana, a Kuropatwa serdecznie zaprosił go do Odr, by, jak się wyraził, wojować ramię w ramię i wspólne przedsiębrać imprezy. Reynevan nie mógł wówczas przewidzieć, jak szybko dojdzie do tego przedsiębrania. I jak fatalne będzie to miało skutki.

Oddział Horna ruszył na zachód, kamienistą doliną rzeki Morawicy. Wraz z Polakami odjechało ośmiu taborytów, w oddziale zostało siedmiu zbrojnych Morawian, jak się wyjaśniło, burgmanów na Sowińcu, będącym celem podróży zamku. Towarzyszył im również uwolniony chory. Kim był ten osobnik i dlaczego Horn zabrał go z sobą, pozostawało zagadką. Wciąż był widocznie niezdrów, pocił się, kasłał, kichał. Kolebał się i przysypiał w siodle, dwaj wyznaczeni przez Horna Morawianie czuwali, by nie spadł.

– Horn?

– Słucham cię.

– Nie jestem zdrajcą. Nie wierzysz przecież, bym mógł być. A może wierzysz?

Horn wstrzymał konia, odczekał, aż miną ich zbrojni.

– Krążące wieści sprawiają – powiedział, wiercąc Reynevana wzrokiem – iż moja wiara słabnie. Umocnij mnie w niej zatem. I utwierdź.

– Domyślam się – wybuchnął Reynevan – skąd to wszystko, skąd te wredne plotki i oszczerstwa. Rozniosło się, że Jan Ziębicki schwytał mnie w Białym Kościele, uwięził i usiłował zmusić do zdrady, do tego, bym okłamał Kralovca, bym wciągnął w zasadzkę i posłał na zgubę Sierotki...

– Dobrze się domyślasz. Faktycznie się rozniosło.

– I co? Zdradziłem? Wpadł Kralovec w zasadzkę pod Wielisławiem? Klęska tam była czy zwycięstwo? Kto został na głowę pobity? My czy oni?

– Punkt dla ciebie. Kontynuuj.

– Byłem zawsze wierny sprawie Kielicha. Współpracowałem z Neplachem, w 1427 naprowadziłem go na trop spisku Hynka z Kolsztejna i Smirzyckiego. Potem miałem setki okazji do zdrady. Wiedziałem dużo, miałem dostęp do sekretów, znałem tajne plany i strategie. Mogłem wsypać Tybalda Raabego. Mogłem sprzedać Vogelsang. Mogłem zdradzić w 1428, przed rejzą i podczas rejzy, w Kłodzku, w Kamieńcu, we Frankensteinie. Mogłem wydać ciebie, Horn, były po temu liczne sposobności. Biskup wrocławski złotem by mnie obsypał. Nie każ mi więc utwierdzać cię w wierze, bo to mi uwłacza. Bo tu nie ma stopni pośrednich, kolorów ani odcieni. Jest wóz albo przewóz. Wierzysz albo nie wierzysz. Ufasz albo nie.

Urban Horn szarpnął wodze, zmusił chrapiącego konia do dreptania w miejscu.

– Twoje szczere uniesienie – wycedził – należałoby podziwiać. Ale rzeczywistość każe załamać nad nim ręce. Nad nim i nad twoją naiwnością. Albowiem istnieją stopnie pośrednie, Reinmarze. Istnieją odcienie, a co do kolorów, to jest ich cała gama, istna tęcza. Już ci mówiłem: nie daję wiary plotce, nie wierzę, byś był prowokatorem i zdrajcą od początku, byś przybył do Czech i przyłączył się do nas tylko po to, by zdradzić. Ale zostałeś szpiegiem. Naszym co prawda, ale to żadna w sumie różnica. Zostałeś szpiegiem. A taka jest, kurwa, szpiegowska dola, taki szpiegowski los i kurewskie dobro szpiegowskiego inwentarza: kiedyś wpadniesz i kiedyś cię przewerbują. To rzecz normalna w tym fachu. Porwali dziewkę, w której się zadurzyłeś. I zaszantażowali. A ty uległeś szantażowi.

– Szybko wyciągasz wnioski. Dalej też będzie takie tempo? Na wyrok też nie przyjdzie mi długo czekać? Ani na egzekucję?

– To ty za szybko wyciągasz wnioski. Wybitnie za szybko. Czas na popas, zmierzcha. Hej, ludzie! Tu staniemy, pod lasem! Z koni!

●

Podsycany wiatrem ogień huczał i trzaskał, płomienie strzelały wysoko w górę, iskry leciały ponad szczyty jodeł. Las szumiał.

Morawianie, opróżniwszy pękaty gąsior śliwowicy, kolejno kładli się spać, owijając opończami i kożuchami. Ułożony opodal chory stękał, kaszlał, odpluwał. Urban Horn kijem trącał i poprawiał polana w ognisku, ziewał. Reynevan był bardziej głodny, niż śpiący. Żuł owczy ser z lekka tylko opieczony nad żarem.

Chory zakrztusił się w kolejnym spazmie kaszlu.

– Nie zająłbyś się nim? – wskazał głową Horn. – Jesteś wszak medykiem. Godzi się pomóc cierpiącemu.

– Nie mam lekarstw. Mam użyć magii? W obecności kaliszników? Dla nich czarnoksięstwo to *peccatum*...

– ...*mortalium*, wiem. Może więc coś naturalnego? Zioła jakieś albo rośliny?

– W lutym? Dobra, jeśli są tu wierzby, rankiem przyrządzę odwar z kory. Ale jego stan się poprawia. Gorączka wyraźnie spadła i poty już tak na niego nie biją. Horn?

– Co?

– Odnoszę wrażenie, jakbyś się o niego troszczył.

– Doprawdy?

– Odnoszę wrażenie, że w wymianie jeńców szło o niego. Bardziej niż o mnie.

– Doprawdy?

– Kto to jest?

– Ktoś.

Reynevan zadarł głowę, długo patrzył na Wielką Niedźwiedzicę, co i rusz zasłanianą sunącymi niebem chmurami.

– Rozumiem – powiedział wreszcie. – Jestem w podejrzeniu. Takiemu się sekretów nie zdradza. Co z tego, że podejrzenia dęte i nie udowodnione. Nie zdradza się i już.

– Nie zdradza się i już – potwierdził Horn. – Idź spać, Reinmarze. Długą drogę masz przed sobą. Długą i daleką.

●

Drogę długą i daleką, powtórzył w myślach, patrząc na gwiazdy poprzez poruszane wichrem gałęzie. Tak powiedział. Sądził, że nie ułowię przekąsu i dwuznaczności? Czy wręcz przeciwnie: sugerował?

Stąd do Pragi będzie jak obszył czterdzieści mil, ostrożnie licząc dziesięć dni jazdy. Droga faktycznie daleka. I wiedzie prosto w łapy

Bohuchvala Neplacha, zwanego Flutkiem, szefa wywiadu Taboru. Flutka niełatwo będzie przekonać, sprawić, by uwierzył, droga do tego może też być długa. Trudna. I bolesna. Wiadomo, co Flutek robi z podejrzanymi, zanim im uwierzy. I z tymi, którym nie uwierzy.

Wyznać wszystko? Powiedzieć o porwaniu Jutty, o Bożyczce, o szantażu? Ha, życie może tym i ocalę. Jeśli uwierzą. Ale zaufania nie odzyskam. Wezmą mnie pod klucz, żywcem pochowają w jakiejś wieży, w jakimś zamku na pustkowiu. Nim wyjdę – jeśli w ogóle wyjdę – Jutta będzie daleko, zamężna lub w klasztorze. Utracę ją na zawsze.

Ucieczka, pomyślał, wstając ostrożnie, będzie przyznaniem się do winy. Tak będzie potraktowana: jako jawny dowód zdrady.

No i niech tam. Szlag niech to wszystko trafi. Innego wyjścia nie ma.

Ognisko przygasło, pogrążyło w mroku całą polanę. Cały biwak. Ludzi śpiących z głowami na siodłach, wiercących się pod przykryciami, chrapiących, pierdzących, bełkocących przez sen. O wystawieniu warty nikt nawet nie pomyślał. Reynevan cichcem wycofał się w mrok, pomiędzy krzaki. Ostrożnie i pomału, bacząc, by nie nastąpić na suchą gałązkę, jął posuwać się w kierunku spętanych koni.

Konie zachrapały, gdy się zbliżył. Reynevan zamarł, stanął jak wryty. Szczęściem las szumiał, w nieustannym szumie niknęły inne dźwięki. Odetchnął. Za wcześnie.

Ktoś rzucił się na niego, obalając impetem. Runął na ziemię; nim upadł, zdołał gwałtownym, rwącym ścięgna rzutem ciała zamienić upadek w skok, co ocaliło go przed przygniatającym chwytem. I uratowało mu życie. Wywijając się i turlając, złowił kątem oka błysk ostrza. Odchylił głowę, mający rozpłatać mu gardło nóż zawadził tylko o małżowinę ucha, rozcinając ją chyba na pół. Nie zważając na wściekły ból, przeturlał się po wystających z ziemi korzeniach i z mocą kopnął podnoszącego się na czworaki napastnika. Napastnik zaklął, ciął szeroko, chcąc dziabnąć go w nogę. Reynevan obrócił się i kopnął go jeszcze raz, tym razem obalając. I zerwał się z ziemi. Krew, czuł to, ciurkiem lała mu się za kołnierz.

Napastnik zerwał się również. I natychmiast zaatakował, tnąc na krzyż szybkimi wymachami noża. Mimo ciemności Reynevan wiedział już, z kim ma sprawę. Zdradził to odór potu, gorączki i choroby.

Chory nie był wcale taki chory. A nożem potrafił obracać. Miał wprawę. Ale Reynevan też miał.

Zwodem zmylił przeciwnika, zmusił do wychylenia. Podbił lewym przedramieniem przegub, prawym uderzył w łokieć, podstawił nogę, szarpnięciem za rękaw pozbawił równowagi, dla dobrej miary walnął nasadą dłoni w nos. Chory zawył, padł, padając zdołał jednak jeszcze dźgnąć go w krocze, nóż rozpruł spodnie, cud tylko i szybkość reakcji pozwoliły Reynevanowi ocalić genitalia i tętnicę udową. W uniku potknął się jednak i też upadł. Chory rzucił się na niego jak żbik, zamierzając do ciosu z góry. Reynevan oburącz chwycił rękę z nożem. Trzymał ze wszystkich sił, kuląc głowę, gdy napastnik walił go gdzie popadło lewą pięścią.

Skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Dokoła zaroiło się od ludzi. Kilku ułapiło chorego i ściągnęło go z Reynevana, przy operacji chory charczał, syczał i parskał jak kot. Nóż wypuścił dopiero wtedy, gdy jeden z Morawian mało delikatnie nastąpił mu obcasem na dłoń.

Urban Horn stał obok ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Przyglądał się i milczał.

– Napadł na mnie! On! – krzyknął Reynevan, wskazując, kto. – Szedłem się wysikać, a on rzucił się na mnie z nożem!

Trzymany przez sowinieckich burgmanów chory chciał coś powiedzieć, ale zdołał tylko wybałuszyć oczy, zarzęzić i rozkaszleć się ciężko. Reynevan nie przepuścił okazji.

– Napadł na mnie! Bez powodu! Chciał zamordować! Zobaczcie, jak mnie urządził!

– Opatrzcie go – przemówił Horn. – Żywo, widzicie, że krwawi. A tego puśćcie, pozwólcie mu wstać. Nóż zabierzcie. A na przyszłość proszę lepiej strzec broni. To nóż któregoś z was. On noża nie miał.

– Jak to, puśćcie? – wrzasnął Reynevan. – Co to znaczy, puśćcie? Horn! Związać go każ, cholera! To morderca!

– Zamknij się. Niech ci opatrzą ucho. Potem przyjdź do nas, tam, na ubocze. Nie obejdzie się, jak widzę, bez poważnej rozmowy.

●

Chory wspierał się o pień drzewa. Patrzył w bok. Ocierał krew, wciąż sączącą się z nosa. Tłumił kaszel. Pocił się. I wyglądał jak kupa nieszczęścia.

– Chciał mnie zamordować – wycelował weń palec Reynevan. – To zabójca. Udawał bardziej chorego, niż jest. A faktycznie wypatrywał

okazji, by mnie zabić. Planował to od chwili, gdy dowiedział się, kim jestem.

Urban Horn skrzyżował ramiona na piersi, nie skomentował.

– A ja wiem już, kim jest on – ciągnął zupełnie już spokojnym głosem Reynevan. – Miałem podejrzenia, teraz wiem. Gdy nas wieźli na wymianę, był chory rzeczywiście. Leczyłem go magią, a on majaczył. *Adsumus, Domine Sancte Spiritus, adsumus peccati quidem immanitate detenti, sed in nomine tuo specialiter congregati. Adsumus!* Kojarzy ci się z czymś to zawołanie?

– Owszem – twarz Horna nie drgnęła. – To popularna modlitwa. Inwokacja do Ducha Świętego. Autorstwa świętego Izydora z Sewilli.

– Wiemy obaj – Reynevan nie podniósł głosu – czyje to zawołanie. Wiemy obaj, kim jest ten typ. Ty ponad wątpliwość wiesz o tym od dawna, ja właśnie się dowiedziałem. Szkoda, że nie od ciebie, Horn. Twój sekret omal nie kosztował mnie życia. Mało brakowało, a drań poderżnąłby mi gardło...

– A co? – przemógł kaszel chory. – A co? Miałem czekać, aż on poderżnie gardło mnie? Musiałem się zabezpieczyć! Musiałem się bronić! On zaczynał mnie podejrzewać... A wreszcie dowiedziałby się prawdy... Zabiłby mnie jak nic, gdyby się dowiedział, że...

– Że zabiłeś mu brata – dokończył sucho Urban Horn. – Tak, Reinmarze, nie mylisz się w podejrzeniach. Pozwól sobie przedstawić: Bruno Schilling. Jeden z Roty Śmierci, Czarnych Jeźdźców Birkarta Grellenorta. Jeden z tych, którzy zamordowali twojego brata Peterlina.

●

Reynevan nie zmrużył oka do świtu. Początkowo nie dawały mu zasnąć podniecenie i adrenalina, złość, ból zranionego ucha. Potem przyszły wspomnienia. I majaczenia. Cysterski Bór, szaleńcza kawalkada, Czarni Jeźdźcy, krzyczący: „*Adsumus!*”. Dzikooki, sinoblady, wyjący jak demon rycerz spod Grochowej Góry... Nocny pościg w lesie pod Troskami...

Rodzony brat, Peterlin, dźgany i przeszywany ostrzami mieczy.

A ten, który dźgał, który zadawał sztychy, jeden z tych, którzy Peterlina zamordowali, leżał, nakryty derką, w odległości dziesięciu kroków, po przeciwnej stronie ogniska, gdzie kasłał i pociągał nosem.

Pod czujnymi spojrzeniami dwóch Morawian, którym Horn zlecił dozór nad nim.

Dozór? A może ochronę?

Na szlak wyruszyli wczesnym rankiem. W ponurych raczej nastrojach, do których pogoda jednak dopasować się nie zechciała – od świtu słońce świeciło pięknie, a około dnia godziny trzeciej przygrzewało już naprawdę mile. Wiosna roku 1429 przyszła wcześnie.

W drodze Reynevan demonstracyjnie trzymał się na dystans, odwracał głowę, ilekroć Horn spoglądał w jego stronę. Hornowi dość szybko zbrzydły demonstracje.

– Przestań, do jasnej cholery, stroić fochy – wycedził, podjechawszy kłusem. – Jest jak jest, sytuacji nie zmienisz. Więc się dostosuj. I zaakceptuj.

– Do tego – Reynevan wskazał ruchem głowy – że tam oto morderca mego brata, typ, który ubiegłej nocy chciał mnie zabić, jedzie sobie na wronym koniku, pokasłując, jak gdyby nigdy nic? Choć powinien wisieć na suchej gałęzi?

Jadący kilkanaście kroków przed nimi chory – Czarny Jeździec, Bruno Schilling, Reynevan wciąż nie mógł się zdecydować, jak go zwać – jak gdyby wyczuwał, że o nim mówią, co i rusz zerkał bowiem ukradkiem. Dwaj Morawianie nieustannie mieli go na oku.

– Kazałeś im, jak widzę, mieć napięte kusze – zauważył Reynevan. – To za mało, Horn, za mało. Kiedyś przyłożyłem rękę do zabicia jednego z nich. By padł, potrzeba było czterech bełtów, każdy po lotki.

– Dzięki za wskazówkę. Ale zostaw to mnie. Wiem, co robię.

– Gdybyś wiedział, gdybyś wiózł go jako jeńca, na śledztwo, kazałbyś go zakuć i transportować w zamczystym furgonie, tak jak parę dni temu nas wieziono na wymianę. A ty się o niego troszczysz, masz o niego staranie. To jest morderca. Asasyn, bezwolna maszyna, zabijająca na rozkaz. Terroryzująca Śląsk Rota Śmierci! Nie sposób zliczyć ludzi przez nich zamordowanych. Naszych ludzi, ludzi wiernych naszej sprawie. Tych, którzy nam pomagali, współpracowali z nami. A ty, choć o tym wiesz, nawet związać go nie kazałeś.

– Reynevan – odrzekł poważnie Horn. – Trwa wojna. Uczestniczymy w niej na wszystkich frontach. To nie jest zwykła wojna. To wojna religijna, nie było takich dotychczas. Wojna religijna różni się od innych wojen tym, że ludziom po obu stronach frontu często zdarza się

zmieniać religie. Dziś husyta, jutro papista, dziś katolik, jutro kalisznik. Naoczny przykład miałeś wczoraj, w osobie pana Jana z Kravarz. Pan Jan był jednym z najzagorzalszych wrogów Kielicha i idei Husa, wraz z Przemkiem Opawskim i biskupem Ołomuńca stanowił na Morawie bastion wojującego katolicyzmu, nie zliczyłbyś husytów, których spalił lub powiesił na suchych gałęziach. A dziś co? Zmienił religię i walczącą stronę. Kielich i Tabor zyskały dzięki tej zmianie potężnego sprzymierzeńca. A ty sam zyskałeś wolność i ocaliłeś życie. W sumie nasza sprawa odniosła korzyść. Toczymy wojnę religijną. Ale fanatyzm i zelocki zapał zostawmy masom, które posyłamy w bój. My, ludzie spraw wyższych, winniśmy zakreślać okiem szersze horyzonty. Pragmatyzm, chłopcze. Pragmatyzm i praktycyzm.

– Czyżbym pojął analogię? Ten tam, jak mu...

– Bruno Schilling. Pojąłeś dobrze i w lot. To już nie Czarny Jeździec, nie Rota Śmierci. Zmienił religię. I stronę.

– Renegat?

– Pragmatyzm, Reynevan, nie zapominaj. Nie renegat, nie zdrajca, nie Judasz Iskariota, lecz korzyść. Dla naszej sprawy.

– Posłuchaj, Horn...

– Dość. Dość o tym, koniec gadania. Nie mówiłem ci tego wszystkiego bez kozery, nie nawracałem na pragmatyzm bez powodu. Wkrótce staniesz przed Neplachem. Pomnij wówczas na nauki, których ci udzieliłem. Zrób z nich użytek.

– Ale ja...

– Dość gadania. Sowiniec przed nami.

●

Na Sowińcu nie zabawili długo. Reynevan w szczególności nie zabawił wcale. Świeżego konia dano mu tuż za bramą, przy rozbrzmiewającej brzękiem metalu kuźni, tam też zjawiła się jego nowa eskorta, pięciu nadzwyczaj ponurych knechtów. W sumie nie minęła godzina, a już był znowu w drodze, a za jego plecami malał w miarę oddalania się wysoki walec bergfrydu, znak rozpoznawczy Sowińca, wznoszący się ponad zalesione grzbiety wzgórz.

A po krótkim czasie dogonił ich Urban Horn.

– Jakoś nie możesz się ze mną rozstać – zauważył cierpko Reynevan, na dany znak zostając w tyle za eskortą. – Czyżbyś wiedział coś, czego ja

nie wiem? Że, dajmy na to, już mnie więcej żywego nie ujrzysz?

Horn pokręcił tylko głową, wstrzymując konia.

– Chcę udzielić ci rady. Na pożegnanie.

– Udzielaj więc. Nie przedłużajmy tej żałosnej sceny. Mów, co mnie czeka w Pradze? Co ze mną będzie?

Horn odwrócił wzrok, ale tylko na chwilę.

– To zależy od ciebie. Tylko od ciebie.

– Możesz jaśniej?

– Jeśli cię przewerbowali – mięśnie na szczękach Horna drgnęły zauważalnie – Neplach będzie chciał to wykorzystać. Przewerbuje cię podwójnie. To standardowa procedura. Będziesz przekazywał tamtym informacje. Tyle że fałszywe. Spreparowane.

– Gdzie jest haczyk?

– To niebezpieczne. Podwójnie.

– Posłuchaj mnie uważnie – przerwał długie milczenie Horn. – Posłuchaj uważnie, Reinmarze. Ucieczki ci nie doradzam. Ucieczka będzie dowodem winy. I wyrokiem. Neplach zdaje sobie sprawę, ile sekretów poznałeś, ile znasz naszych planów i wojskowych tajemnic. Nie zaznasz już spokoju. Choćbyś uciekł na koniec świata, nie będziesz pewny dnia ani godziny. Ani ty, ani ludzie ci bliscy. Mogłeś ugiąć się pod szantażem w strachu o los panny Jutty. Panna Jutta to zatem twój czuły punkt, miejsce, w które można najboleśniej cię ugodzić. Nie łudź się, że Neplach przegapi taką sposobność.

Reynevan nic nie powiedział. Przełknął tylko ślinę i kiwnął głową. Horn też milczał.

– Wierzyłem w sprawę rewolucji – wyrzekł wreszcie Reynevan. – Miałem niekłamane poczucie misji, walki o apostolską wiarę, o ideały, o sprawiedliwość społeczną, o nowe lepsze jutro. Wierzyłem naprawdę szczerze, że odmienimy stary ład, że ruszymy świat ze skostniałych posad. Walczyłem dla sprawy, ufając głęboko, że nasze zwycięstwo położy kres nieprawościom i złu. Gotów byłem oddać za sprawę rewolucji krew, gotów byłem się poświęcić, rzucić jak kamień na szaniec... I rzuciłem się, jak szaleniec, jak ślepiec, jak błazen. Jak ty to powiedziałeś? Fanatyzm? Zelocki zapał? Pasuje, pasuje jak ulał. A teraz co? Zelota i neofita będzie miał za swoje; głupie zaślepienie i wariacka pasja przywiodą go do tego, że oberwie po karku, że ucierpi nie tylko on sam, ale również jego bliscy i kochani. Ha, mam nadzieję, że opiszą

rzecz w jakichś kronikach. Ku nauce i przestrodze dla innych neofitów i głupków, gotowych ślepo angażować się i poświęcać. Żeby wiedzieli, jak to jest.

– Przecież zawsze tak jest. Nie wiedziałeś?

– Teraz wiem. I zapamiętam.

●

– Mości Houżviczka!

– Czego?

– Karczma! Może staniemy?

Houżviczka zaburczał i zamruczał.

Houżviczka, dowódca eskorty, był typem burkliwym i mrukliwym, burczeniem i mruczeniem od samego początku podróży zbywał wszystkie pytania, potrwało trochę, nim Reynevan zdołał pojąć, że nazwisko rodowe Houżviczki to nie „Viczka" ani „Żviczka", ani „Ożviczka". Pozostała czwórka knechtów też nie była zbyt rozmowna, nawet między sobą rozmawiali rzadko. Jeden, jak się zdawało, zwał się Zahradil, a drugi Smetiak. Pewności nie było.

– Daleko nam jachać – wyburczał Houżviczka. – A my ledwo w Libinie som, jeszcze nawet do Szumperku nie dotarlim. Pospieszać nam trza, a nie stawać.

– Widzisz, iżem ranny. – Reynevan wskazał omotujący mu głowę bandaż. – Mus zmienić opatrunek. Inaczej wda się zgorzel, dostanę gorączki i pomrę wam w drodze. W Pradze nie ucieszą się z tego, możesz mi wierzyć.

W rzeczywistości skaleczenie goiło się całkiem dobrze, ucho nie puchło, tętniący ból zelżał, zakażenia nie było. Reynevan po prostu chciał dać wypocząć obolałym od siodła pośladkom i porozkoszować się dawno nie kosztowaną prawdziwie ciepłą kuchenną strawą, a od przycupniętej przy rozdrożu karczemki wiaterek donosił całkiem miłe aromaty.

– Nie ucieszą się w Pradze – powtórzył, przybierając posępną minę. – Winnych jak nic do odpowiedzialności pociągną.

Houżviczka zaburczał, w burczeniu ewidentnie dały się słyszeć brzydkie dość epitety pod adresem Pragi, prażan i odpowiedzialności.

– Stajemy – zgodził się wreszcie. – Ino by na niedługo.

Wewnątrz, w pustej świetlicy, z miejsca okazało się, że pośpiech Houżviczki był udawany, a jego obiekcje na pokaz jeno.

Dowódca eskorty z zapałem nie mniejszym niż Smetiak, Zahradil czy pozostali rzucił się na postny żur, groch, knedle i duszoną kapustę, z nie mniejszym niż podwładni entuzjazmem trąbił też kolejne kufle piwa, wciąż donoszone przez zdyszaną służbę. Obserwujący ich znad miski Reynevan z kufla na kufel nabierał pewności, że wojaż się odwlecze. Że właśnie tu, w karczemce pod wsią Libina, przyjdzie im zanocować.

Skrzypnęły drzwi, gospodarz wytarł ręce w fartuch i pobiegł witać nowych gości. A Reynevan zamarł z łyżką w połowie drogi do szeroko otwartych ust.

Nowo przybyli – było ich dwóch – zdjęli płaszcze, noszące ślady podróży długiej i odbytej w warunkach często zmieniającej się pogody. Jeden z przybyszów był potężnego wzrostu i budowy, pod jego krokami podłoga dudniła i drżała. Ostrzyżony przy samej skórze, twarz miał dziecka, i to dotkniętego matołectwem. Twarz drugiego z gości, niższego i szczuplejszego, ozdobiona była blizną na podbródku oraz dużym i szlachetnie garbatym nosem.

Obaj siedli na sąsiedniej ławie, odmówili chcącemu przyjąć zamówienie karczmarzowi. W milczeniu przyglądali się Reynevanowi i sowinieckim knechtom. Na tyle natarczywie, by zwróciło to uwagę Houżviczki, który odwzajemnił spojrzenie. I zaburczał.

– Powitać, powitać kompanię – powiedział wolno Szarlej, krzywiąc usta w imitacji uśmiechu. – A dokądże to kompania zmierza? Dokąd, ciekawym, droga wiedzie?

– A do Pragi – wydusił z siebie Smetiak, nim Houżviczka zdążył kuksańcem nakazać mu, by się zamknął.

– A wam... – z wysiłkiem przełknął przeszkadzający mu w wymowie knedel. – A wam na co to wiedzieć, hę? Co wam do tego?

– Do Pragi – powtórzył Szarlej, ignorując go zupełnie. – Do Pragi, mówicie. Kiepski pomysł, bracia. Bardzo kiepski.

Houżviczka i knechci wybałuszyli oczy. Szarlej wstał, dosiadł się do nich.

– W Pradze mąt – oświadczył, przesadnie modulując głos. – Rozruch, zamieszki, walki na ulicach. Nie ma dnia bez sieczki i palby. Łatwo, oj, łatwo tam postronnemu oberwać.

Samson Miodek, który też się dosiadł, energicznymi kiwnięciami głowy potwierdzał każde stwierdzenie.

– Po co tedy do Pragi? – kontynuował demeryt. – Nie ma sensu. Ja bym nie jechał, na waszym będąc miejscu. A to i przecie Wielkanoc za pasem. Gdzież to myślicie Zmartwychwstanie powitać, gdzie święconego pokosztować, gdzie jajeczkiem się podzielić? W rowie przydrożnym?

– Wam – wybuchnął Houžviczka – o co się rozchodzi? Hę?

– Ależ o was. – Szarlej wciąż uśmiechał się, Samson wciąż kiwał głową. – O waszą wygodę, bracia w Chrystusie. Wracajcie, radzę, do dom. Nie mówcie tylko, że wam obowiązek nie pozwala. Od obowiązku, czyli od tego tu młodzieńca, z chęcią was wybawię. Odkupię go od was. Za trzydzieści madziarskich dukatów.

Szybkim ruchem odpiął od pasa kaletę i wywalił na stół kupkę złotych monet. Zahradil o mało się nie udławił. Pozostałym oczy niemal wyszły z orbit. Houžviczka głośno przełknął ślinę.

– Że jaaak? – zdołał wreszcie wykrztusić. – Jaaak? Czegooo? Wy tego... Wy... jego?

– Ależ jak najbardziej ja jego – Szarlej uwodzicielsko złożył usta, delikatnym ruchem przygładził włosy na skroni. – Właśnie jego chcę posiąść. Drogą kupna. Wielce mi do gustu przypadł. Uwielbiam takich wdałych chłopczyków, osobliwie blondynków... Czemuż to tak dziwnie na mnie spoglądasz, bracie? Czyżbyś miał przesądy? Czyżbyś nie był tolerancyjny?

– Sakra! – ryknął Houžviczka. – Czego wy chceta, hę? Idźta se stąd! Gdzie indziej se chłopczyków kupujcie! Tu nijakich handlów nie będzie!

– Może więc – Samson wykrzywił się jak kretyn, smarknął, rozmazał smarki rękawem, wyjął i postawił na stół kości i kubek. – Może więc wolicie hazard? Zagramy? Obecny tu młodzieniec przeciw obecnym tu trzydziestu dukatom? Decyduje jeden rzut. Ja zaczynam.

Kości poturlały się po blacie.

– Dwa oczka i jedno oczko – odczytał wynik Samson, udając zafrasowanie. – Trzy punkty. Ajaj... Ojojoj... Chyba przegrałem, jak nic przegrałem... Ależ ja jestem głupi... Panów kolej. Proszę rzucać.

Wyszczerzony radośnie Zahradil wyciągnął rękę ku kościom, ale Houžviczka trzepnął go po palcach.

– Ostaw, twoja mać! – wrzasnął z groźną miną. – A wy, pankowie, idźta precz! Razem z waszymi dukatami! Diabeł was tu nadał! To i do diabłaże z wami!

– Nachyl się ku mnie – wycedził do niego Szarlej. – Mam ci coś rzec.

Nikt mający choć trochę oleju w głowie nie byłby usłuchał. Houžviczka usłuchał. Nachylił się. Pięść Szarleja trafiła go w szczękę i zmiotła z ławy.

W tym samym momencie Samson Miodek wyciągnął potężne ramiona, ułapił dwóch sowinieckich knechtów za czupryny i gruchnął ich głowami o blat, aż podskoczyły i posypały się naczynia. Smetiak, wykazując refleks, chwycił ze stołu lipową misę i z całej siły walnął nią olbrzyma w czoło. Misa pękła na dwoje. Samson pomrugał oczami.

– Gratuluję, dobry człowieku – powiedział. – Udało ci się mnie wkurwić.

I kropnął Smetiaka pięścią. Z druzgocącym skutkiem.

Tymczasem Szarlej pięknym sierpowym obalił pod stół Zahradila, rozdał pomiędzy usiłujących powstawać knechtów kilka tęgich kopniaków, celnie trafiając w krocza, brzuchy i szyje. Reynevan skoczył na gramolącego się z podłogi Houžviczkę, Houžviczka wyrwał się, rąbnął go łokciem prosto w zranione ucho. Reynevanowi w oczach pociemniało z bólu i wściekłości. Trzasnął Houžviczkę kułakiem, poprawił raz, drugi, trzeci. Houžviczka obmiękł z twarzą na deskach. Zahradil i pozostali dwaj knechci odpełźli za ławę, unoszonymi rękoma dawali znać, że mają dość.

Zza pieca dolatywały odgłosy uderzeń i suche stuki czaszki o ścianę. To Szarlej i Samson lali wciśniętego w kąt Smetiaka. Lany Smetiak krzyczał okropnie.

– Olaboga, pany! Nie bijta mię już! Nie bijta! Dobra, już, dobra, bierzcie młodzika, jeśli wola, oddaję go, oddaję!

●

Szarlej jeszcze raz sprawdził, czy zawory są porządnie zasunięte, wstał, otrzepał kolana. Karczmarz, czerwony z przejęcia i podniecenia, obserwował każdy jego ruch, nerwowo poruszając gałkami ocznymi.

– Nie otwieraj aż do jutrzejszego ranka. – Szarlej wskazał na klapę w podłodze. – Niechaj tam siedzą. Gdyby się potem ciskali, powiesz im, żem ci śmiercią groził... A zresztą, masz, dasz im po dukacie na głowę.

Powiesz, że ode mnie, tytułem basarunku. A tu, dzierż, dukat dla ciebie. Za szkody i kłopoty. A, niech stracę, bierz dwa. Byś we wdzięcznej zachował pamięci.

Karczmarz skwapliwie przyjął pieniądze, przełknął głośno ślinę. Spod klapy, z piwnicy, dochodziły stłumione krzyki, klątwy i głuche łomotanie. Ale klapa była dębowa i zamczysta.

– Nic to, wielmożny panie – rzekł pospiesznie karczmarz, uprzedzając Szarleja. – Niech ta walą, niech ta pomstują. Nie odemknę aż do jutrzni. Pomnę, coście kazali.

– Iście – wzrok i głos Szarleja zrobiły się o ton zimniejsze – lepiej, byś nie zapomniał. Samsonie, Reinmarze, na koń. Reinmarze, co ci?

– Ucho...

– Nie jęcz, nie stękaj. Jak się chce być głupim, trzeba być twardym.

– Jak mnie znaleźliście? Skąd wiedzieliście?

– To długa historia.

Rozdział piąty

w którym Reynevan zostawia ledwo co odzyskanych przyjaciół na wyspie Ogygii, sam zaś wyrusza w drogę. By wnet stanąć przed trybunałem rewolucyjnym.

Jechali. Początkowo galopem, zwalnianym tylko podczas pokonywania wzniesień. I po to, by konie nie padły. Jechali tak, że gruda strzelała spod kopyt. Gdy jednak od karczmy w Libinie oddzieliła ich jakaś mila, gdy legły między nimi a Libiną wzgórza, bory, lasy i krzaki, zwolnili tempo. Nie było sensu szarżować.

Wiał wiatr od gór, ciepły, wiosenny wiatr. Samson prowadził, wysforowawszy się na czoło kawalkady. Szarlej i Reynevan jechali równo, bok w bok, nie starając się dopędzić olbrzyma.

– Dokąd jedziemy? Szarleju? Dokąd wiedzie ta droga?

Koń Szarleja, piękny kary ogier, zapląsał, wcale nie zmęczony cwałem. Demeryt poklepał go po szyi.

– Do Rapotina – odpowiedział. – To wieś pod Szumperkiem. Mieszkamy tam.

– Mieszkacie? – Reynevan usta otworzył ze zdumienia. – Tu? W jakimś Rapotinie? A mnie jakeście odnaleźli? Jakim cudem...

– To był – parsknął Szarlej – jeden z istnej serii cudów. A co cud, to cudowniejszy. Zaczęło się trzy niedziele temu. Od tego, że Neplach wyciągnął kopyta.

– Co?

– Flutek opuścił padół. Zszedł był. *Florentibus occidit annis*. Krótko mówiąc, umarł. Naturalną śmiercią, wystaw sobie. Jedni mu stryczek prorokowali, inni stryczka mu życzyli, w sumie nikt nie wątpił, że łobuz pożegna ten świat nie inaczej jak na szubienicy. A on, wystaw sobie, umarł jak dzieciątko, względnie zakonnica. We śnie, we słodkim. Uśmiechnięty.

– Niemożliwe.

– Uwierzyć trudno – zgodził się Szarlej. – Ale przyjdzie. Jest wielu świadków. Między nimi Haszek Sykora, pamiętasz Haszka Sykorę?

– Pamiętam.

– Haszek Sykora przejął tymczasowo funkcję i obowiązki Flutka. A jest on, trzeba ci wiedzieć, bardzo przyjaźnie do cię nastawion. Kojarzysz jakąś ewentualną przyczynę?

– Nawet dwie. Dwa miękkie szankry, oba w miejscu przykrym i bardzo kłopotliwym dla żonatego mężczyzny. Wyleczyłem go magiczną maścią.

– Boże wielki! – Szarlej wzniósł oczy ku niebu. – Serce roście, gdy się widzi, że bywa jeszcze wdzięczność na tym świecie. Dość będzie powiedzieć, że to właśnie on posłał nas tobie w sukurs. Jedźcie, rzekł, pod Sowiniec i Szumperk, odbijcie, rzekł, Reynevana, nim go do Pragi dowiozą, Praga dla niego niedobra. Co tam z Reynevanem było, rzekł, to było. Jegomość Neplach, rzekł, zawzięty nań był, ale jegomość Neplach umarł. Mnie, rzekł, do tej afery nic, a gdy Reynevan zniknie, afera z czasem przycichnie. Niechaj tedy znika medyk, niechaj jedzie, dokąd chce, jeśli winien, niech go Bóg sądzi, jeśli niewinny, niech mu Bóg dopomaga. Porządny gość.

– Bóg?

– Nie. Haszek Sykora. Dość gawęd, chłopcze. Daj koniowi ostrogę. Zobacz, jak Samson się odsadził. Za bardzo zostajemy.

– Dokąd mu tak spieszno?

– Nie dokąd, lecz do kogo. Zobaczysz.

●

Zasygnalizowana szczekaniem psów i zapachem dymu zagroda skryta była za brzozowym gajem i gęstym tarninowym żywopłotem, zza którego wyrastała strzecha stodoły. Za stodołą była szopa i lamus z trzcinowym dachem, ogrodzenie z żerdzi, a za nim sad, pełen przysadzistych śliw i jabłoni, dalej podwórze, biały gołębnik, studnia z żurawiem. I dom. Duży dom, postawiony z bali na zrąb, kryty gontem, z podpartym słupami podsieniem.

Ledwo wjechali na podwórze, ze schodków podsienia zbiegła młoda kobieta. Reynevan poznał ją, jeszcze nim zsunięta w biegu chustka odsłoniła bujne rude włosy. Poznał ją po tym, jak się poruszała, a poruszała się tak, jakby tańczyła, w pląsie, rzekłbyś, nie dotykając ziemi, iście nimfa, najada czy inna zjawa nieziemska. Prosta szara sukieneczka opływała jej ciało, przywodząc na myśl owe zwiewne i nierealne szatki, którymi – tak dla przyzwoitości, jak i dla kompozycji – artyści okrywali

zmysłowe ciała swych Madonn i bogiń na freskach, obrazach i miniaturach.

Marketa dopadła Samsona, z siodła olbrzym zsunął się wprost w jej objęcia. Wyswobodziwszy się, uniósł dziewczynę jak pióreczko, pocałował.

– Wzruszające – Szarlej, zsiadając, mrugnął do Reynevana. – Nie widzieli się z pół dnia. Tęsknota, jak widzisz, mało ich nie zabiła. Jakaż to radość, spotkanie po tak długim rozstaniu.

– Ty, Szarleju – zaczął Reynevan – nigdy chyba nie zdołasz zrozumieć, czym jest...

Nie dokończył. Z krytego darnią loszku przy sadzie wyłoniła się druga istota płci pięknej. Dojrzalsza. W każdym, chciałoby się rzec, kształcie, wdzięku i calu. Galatea lub Amfitryta, sądząc z oblicza i figury, Pomona lub Ceres, wnosząc z niesionego kosza z jabłkami i kapustą.

– Coś mówiłeś? – spytał Szarlej z miną niewiniątka.

– Nie. Nic.

– Rada cię widzę, paniczu Reynevan – powiedziała pani Blażena Pospichalova, wdowa po Pospichalu, swego czasu gospodyni domu mieszczącego się w Pradze, na Nowym Mieście, na rogu ulic Szczepana i Na Rybniczku. – Pospieszajcie, panowie, pospieszajcie. Wnet obiad na stole.

●

Wiosna idzie, stwierdził Reynevan, idąc u boku Szarleja rozmokłą miedzą. Z gołych drzew kapała woda. Pachniało mokrą ziemią. I czymś, co gniło.

– Do Pragi – mówił Szarlej – przybyłem późną jesienią zeszłego roku, po rakuskiej rejzie. Przezimowałem u Samsona. W stolicy nigdy nie było specjalnie spokojnie, ale teraz, wiosną, zrobiło się całkiem źle. I cholernie niebezpiecznie. Istny kocioł z kipiącym warem, mówię ci. Poszło o rokowania Prokopa Gołego z Zygmuntem Luksemburskim...

– Prokop układa się z Luksemburczykiem?

– Owszem. Mowa nawet o mirze i uznaniu Luksemburczyka królem. Warunkiem jest przyjęcie przez tegoż czterech artykułów praskich i legalizacja sekularyzacji dóbr kościelnych. Na coś takiego Zygmunt, rzecz jasna, nigdy się nie zgodzi i układy zerwie. Prokop wie o tym doskonale, na rokowania przystał, by pokazać, że to Luksemburczyk i

katolicy są stroną agresywną, chcącą wojny, nie pokoju. To oczywiste, ale nie dla wszystkich. Pragę rzecz poróżniła ostro. Stare Miasto rokowania popiera, woła o pojednanie i o Zygmunta jako króla Czech. Nowe Miasto nawet słyszeć o tym nie chce. Oliwy do ognia dolewają kaznodzieje z ambon. U Panny Marii Śnieżnej nazywa się Luksemburczyka „królem babilońskim" lub „ryżym szelmą" i podżega do rozprawy z „ugodowcami i zdrajcami". Na Starym Mieście, u Matki Bożej Przed Tynem, wzywa się zaś do wytępienia „fanatyków" i „radykałów". W efekcie Praga podzieliła się na dwa wrogie obozy. Bramy Svatohavelską, Horską i Porzyczyską zabarykadowano, ulice pogrodzono kobylicami i łańcuchami. Na rubieży dzień i noc huczą strzelby, świszczą bełty, latają kule, regularnie dochodzi do starć, po których krew aż pieni się w rynsztokach. Obie strony prowadzą regularne polowania na zdrajców, a ujść za takiego niezmiernie łatwo. Był najwyższy czas się stamtąd zabierać. Blażena... Hmm... Jejmość Pospichalova wyznała, że ma w schedzie dom pod Szumperkiem. A gdy wyniknęła sprawa z tobą, gdy Sykora wskazał, że przez Szumperk właśnie cię powiozą, uznałem to za znak od opatrzności. Wynieśliśmy się z Pragi bez deliberowania. I bez żalu.

– I teraz co? – Reynevan nie skrył drwiny. – Zostaniesz tu? Osiądziesz i będziesz gospodarzył na roli? A może myślisz o ożenku?

Szarlej spojrzał na niego. Wbrew oczekiwaniom bardzo poważnie.

– Myślę – odrzekł równie poważnie – o tobie, przyjacielu. Gdyby otóż nie ty, z Pragi ruszyłbym w zupełnie innym kierunku. Gościńcem budzińskim mianowicie, prościuteńko na Węgry, i dalej, do Konstantynopola. Ale wyszło, że wpierw trzeba będzie pomóc druhowi. W tarapatach, w jakie druh głupio popadł. Bo wszak popadł?

– Szarleju...

– Popadł czy nie?

– Popadł.

– Wpieprzył się w kabałę? W straszną i sakramencką kabałę?

– Wpieprzył.

– Opowiadaj.

●

Opowiadać przyszło dwakroć, gdy po wieczerzy zeszli się w lamusie, by pogwarzyć, Samson Miodek też zapragnął zapoznać się z

przebiegiem wydarzeń i z detalami kabały, w jaką Reynevan się wpieprzył. Jeśli jednak Szarlej tylko głową kręcił, słuchając, Samson z punktu wystąpił z wnioskami.

– Powrót na Śląsk – zaczął – odradzam absolutnie. Nic tym nie zyskasz, wystawisz się tylko na niebezpieczeństwo. Zdemaskowali cię we Wrocławiu i schwytali raz, więc następnym razem też im się uda. A na altarystę Felicjana nie liczyłbym. Nie dowie się niczego, za wysokie progi na jego nogi. Inkwizycja potrafi strzec swych tajemnic. A już z pewnością nie jest aż tak głupia, by przetrzymywać pannę Juttę w miejscu łatwym do wykrycia przez byle przekupnego klechę.

– Co więc mam robić? – spytał ponuro Reynevan. – Wrócić do husytów? Posłusznie wykonywać to, co mi Inkwizycja rozkaże? Licząc, że wreszcie ich zadowolę na tyle, że zwolnią mnie i oddadzą mi Juttę?

Szarlej i Samson popatrzyli na siebie. Potem na Reynevana. Zrozumiał.

– Nigdy mi jej nie oddadzą. Prawda?

Zapadło wymowne milczenie.

– Powrót do husytów – rzekł wreszcie Samson – tylko z pozoru jest lepszym wyborem. Z twojej opowieści wynika, że cię podejrzewają.

– Dowodów nie mają.

– Gdyby mieli, już byś nie żył – zauważył spokojnie Szarlej. – A gdy zwiejesz, dowód dostarczysz na tacy. Twoja ucieczka będzie dowodem winy. I wyrokiem zarazem.

– Husyci będą cię obserwować – dodał Samson. – Będą patrzeć na ręce. Jednocześnie odsuną od sekretów i spraw tajnych. Choćbyś nawet chciał, nie zdobędziesz informacyj, którymi mógłbyś zadowolić Inkwizycję.

– Inkwizycja nie skrzywdzi dziewczyny – rzekł Szarlej, prędko, acz bez przekonania. – Ten Hejncze to chyba uczciwy facet. I twój znajomy ze studiów...

Zamilkł. Rozłożył ręce. Ale niemal natychmiast odzyskał kontenans.

– Głowa do góry, Reinmarze, głowa do góry. Jeszcze nie zatonął nasz korab, jeszcze płynie pod żaglami. Znajdziemy sposób. Homer ani Wergili o tym nie wspominają, ale upewniam cię: już wywiad trojański miał swych agentów wśród Achajów. I też pozyskiwał ich szantażem. A szantażowani agenci znajdowali sposoby, by wykiwać Troję. Wykiwamy Troję i my.

– Jak? – spytał Reynevan gorzko. – Masz jakiś pomysł? Może być byle jaki. Wszystko jest lepsze niż bezczynność.

Pomilczeli chwilę.

– Trzeba się z tym przespać – powiedział wreszcie Szarlej. – *De mane consilium*, poranek przyniesie radę.

●

Reynevanowi poranek nie przyniósł rady, po prawdzie nie przyniósł niczego poza obolałym karkiem. Dla Samsona i Szarleja, jak się zdawało, poranek również nie był przesadnie szczodry, przynajmniej pod względem rad i wskazówek. Wielkolud w ogóle nie nawiązał do wczorajszych rozmów, uwagę, jak się zdawało, skupiał wyłącznie na rudowłosej Markecie, tak przy śniadaniu, jak i po nim. Reynevan i Szarlej wykorzystali więc pierwszy lepszy pretekst, by wyjść. I pójść. Daleko, na wytyczoną szpalerem koślawych wierzb groblę, rozdzielającą dwa spuszczone stawy.

– Z Marketą i Samsonem – zaczął Reynevan, wskazując głową w stronę zagrody i domostwa – to, jak wychodzi, poważna sprawa.

– Wychodzi, że poważna – potwierdził poważnie demeryt. – Jak zresztą wszystko u Samsona. To osobnik naprawdę z innego jakby świata. Bywają chwile, że zaczynam wierzyć...

– Do diaska, Szarleju! To nasz druh, jaki miałby interes w tym, by nas okłamywać? Jeśli twierdzi, że jest przybyszem z innego wymiaru, to trzeba mu wierzyć! W tej kwestii wypowiedziały się, nie bez łamania głów, poważne, wyspecjalizowane i niekwestionowane autorytety. Bezdiechovsky, Axleben, Rupilius... Sądzisz, że daliby się zwieść szachrajstwem, że nie zdemaskowaliby oszusta? Skąd więc u ciebie ta nieufność, ten brak wiary?

– Stąd, że widziałem w życiu szachrajstwa, na które dawały się nabrać nawet autorytety. Sam, przyznam ze skruchą, dopuściłem się kilku. Grzechy młodości... Dość o tym. Powiedziałem: zaczynam wierzyć. Jak na mnie to dużo.

– Wiem. A Rupilius, jeśli już o nim napomknąłem...

– Nie będzie nic z tego – uciął sucho demeryt. – Samson nie chce. Rozmawiałem z nim. Gryzie się trochę z tytułu obietnicy, jaką złożyliście Rupiliusowi, ale decyzję podjął. Rupilius, oświadczył, musi radzić sobie

sam, albowiem on, Samson Miodek, ma na głowie coś ważniejszego. Coś, z czego nie zrezygnuje.

– Marketa.

– Oczywiście, że Marketa.

– Szarleju?

– Co?

– Hmm... Czy ona w ogóle mówi?

Demeryt milczał chwilę, nim odpowiedział.

– Ja nie słyszałem.

●

Dzień kolejny – według kalendarza środa – był pod względem rad i rozwiązań równie skąpy co poranek i również niczego sensownego nie przyniósł. I zszedł na niczym.

Gdy zaczęło się ściemniać, zasiedli do wieczerzy, wszyscy pięcioro. Rozmowa nie kleiła się, więc większością milczeli. Rudowłosa adamitka jadła mało, mając wzrok bezustannie wbity w Samsona, a jedną rękę stale zajętą dotykaniem jego ogromnej dłoni. Widok jej pełnych czułości spojrzeń i gestów nie tylko kłopotał i żenował, ale i budził zazdrość: Reynevan nie pamiętał, by Jutta kiedykolwiek – nawet w intymnych momentach namiętności – dawała mu tak jawne i widome dowody uwielbienia. Zdawał sobie sprawę, że mało racjonalna jest ta zazdrość, ale jej ukłucia nie były przez to wcale mniej kłujące.

Kłuło także, tym razem jego męską dumę, zachowanie Blażeny Pospichalovej. Wdowa całą, calusieńką atencję poświęcała Szarlejowi. Choć czyniła to powściągliwie i nie przesadzała z kokieterią, między nią a demerytem aż iskrzyło od erotyzmu. Reynevan zaś, choć między nim a wdową też coś niecoś dawniejszymi czasy zaiskrzyło, nie zarobił nawet na wymowniejsze spojrzenie. Kochał, rzecz jasna, Juttę i ani mu głowie była pani Blażena. Ale kłuło. Jakby jeż umościł się za pazuchą.

W nocy, gdy na szeleszczącym sienniku starał się zasnąć, przyszły refleksje poważniejsze.

A po refleksjach decyzje.

●

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy osiodłał konia i wyprowadził go ze stajni, czyniąc to tak cicho i skrycie, że nawet psy się nie rozszczekały.

Ledwie świtało, gdy wyruszył. Ledwie się rozjaśniło, gdy podkowy załomotały na ubitym trakcie.

Znaleźli to, co chcieli znaleźć, myślał, oglądając się na wieś Rapotin. Obaj. Samson Miodek ma coś ważnego. Ma Marketę, swoją Kalipso, ma tu, w tej wiosze, swoją wyspę Ogygię. Szarlej ma Blażenę Pospichalovą, nieważne, zostanie z nią czy ruszy dalej, do swego wyśnionego Konstantynopola, do Hippodromu, Hagii Sofii i smażonych ośmiornic w tawernie nad Złotym Rogiem. Nieważne, czy tam kiedykolwiek dotrze. Nie jest istotne, co będzie dalej z Samsonem i Marketą. Ale bez sensu byłoby kazać im rezygnować, kazać wszystko porzucić, kazać wyruszać w świat, w nieznane, by ryzykować życiem w cudzej sprawie. W mojej sprawie.

Bywajcie, przyjaciele.

Ja też mam coś ważnego, coś, z czego nie zrezygnuję. Wyruszam.

Sam.

●

Plan Reynevana był prosty: doliną rzeki Morawy i podnóżem Śnieżnika dotrzeć do Przełęczy Międzyleskiej i ważnego traktu handlowego z Węgier, wiodącego wprost w Kotlinę Kłodzką. Według szacunkowych obliczeń od przełęczy nie dzieliło go nie więcej niż pięć, sześć mil. Był, co prawda, i drugi wariant: doliną rzeki Branny i przełęczą do Lądka, stamtąd zaś Drogą Solną do Krutvaldu, Nysy i Ziębic. Drugiego wariantu, choć wiódł go wprost do celu, Reynevan bał się jednak – trasa wiodła przez góry, a pogoda wciąż była niepewna.

Nie tylko pogoda niosła zagrożenie. Jak liczne regiony Moraw, tak i kraj szumperski przedstawiał sobą obecnie istną szachownicę – włości wiernych księciu Albrechtowi panów katolickich przeplatały się z dziedzinami szlachty popierającej husytów, przy czym połapać się było trudno, zbyt często zmieniano strony i stronnictwa. Zamieszanie potęgował fakt, że niektórzy zachowywali neutralność, to znaczy było im wszystko jedno, kogo napadają i grabią, napadali i grabili wszystkich.

Reynevan uzyskał od Szarleja nieco informacji i doskonale zdawał sobie sprawę, że dla niego wszyscy są jednako groźni i że najlepiej byłoby przemknąć się niepostrzeżenie, tak by nie napatoczyć się na żadną z partyj. Ani na popierających Kielich panów Strażnickich z Kravarz na Zabrzehu i panów z Kunsztatu z niedalekich Losztic. Ani tym

bardziej na trzymających stronę Albrechta katolików: szumperskich Valdsztejnów, panów ze Zvole i licznych manów biskupa Ołomuńca, stale nękających okolicę wypadami.

Z nagła zaczął sypać śnieg, śnieżynki, początkowo drobne, przybrały postać wielkich i mokrych płatów, w mgnieniu oka zalepiających oczy. Koń chrapał i trząsł łbem, ale Reynevan jechał. Modląc się w duchu, by to, co uważał za gościniec, było nim faktycznie.

Szczęściem zamieć ustała równie szybko, jak się zaczęła. Śnieg przyprószył i ubielił pola, ale drogi nie zaniósł, wciąż była widoczna i wyraźna. I nawet ożyła. Rozległo się beczenie i brzęk dzwonków, a na drogę wylał się kierdel idących truchcikiem owiec. Reynevan popędził konia.

– Niech Bóg pomaga.

– I wam, khe, khe – pastuch pokonał strach. – I wam, panoczku.

– Skądeś? Co to za wioska, tam, za kopcem?

– Tamój? A dyć wioska.

– Jak się zowie?

– A dyć Keperov.

– A czyj ten Keperov?

– A dyć klasztorny.

– Zbrojni tam aby jacy nie stoją?

– A na co by miały stać?

Indagowany pastuch zeznał, że za Keperovem są położone nad Morawą Hynczice, a dalej Hanuszowice. Reynevan oddychał z ulgą, wychodziło, że pewnie trzyma się trasy i nie pobłądzi. Pożegnał pastucha i ruszył dalej. Droga zawiodła go wkrótce wprost do brodu na zasnutej mgłą Morawie, dalej biegła prawym jej brzegiem. Niebawem minął wspomniane Hynczice, kilka chałup, z daleka sygnalizowanych zapachem dymu i szczekiem psów. Wkrótce usłyszał niedaleki dzwon, w Hanuszowicach, wychodziło, był kościół farny, i to taki, którego nie spalono. Musiał ostać się tam też proboszcz lub przynajmniej wikary, komuż innemu chciałoby się targać za sznur dzwonu, do tego rankiem. Reynevan postanowił odwiedzić duchownego, wypytać go o dalszą drogę, o wojska, o zbrojne drużyny – i może nawet wprosić się na śniadanie.

Nie dane mu było pośniadać.

Zaraz za kościółkiem wpakował się na grupę zbrojnych, pięciu w siodłach, trzymających luzaki, pięciu pieszo u kruchty, w dyskusji z zagradzającym wejście kurduplowatym proboszczem. Na widok Reynevana wszyscy zamilkli i wszyscy, w tym ksiądz, utkwili w nim nieprzyjazny wzrok. Reynevan przeklął w duchu swój pech, przeklął go bardzo brzydko, słowami, których absolutnie nie należało używać przy dzieciach i niewiastach. Mus był jednak grać takimi kartami, jakie rozdano. Uspokoił się głębokim oddechem, dumnie wyprostował w siodle, ukłonił niedbale i stępa ruszył ku opłotkom i chałupom, planując galop, gdy tylko zniknie z oczu. Nic z tego nie wyszło.

– Hola! Poczekajcie no, panku!

– Ja?

– Wy.

Zagrodzili mu drogę, otoczyli. Jeden, z brwiami jak wiechcie, chwycił wodze konia przy munsztuku, odwinięty w ruchu płaszcz odsłonił wielki czerwony kielich na kryjącej pancerz tunice. Baczniejsze spojrzenie ujawniło husyckie godła i u innych. Reynevan westchnął z cicha, wiedział, że jego sytuacji wcale to nie poprawiało.

Husyta z brwiami wpatrywał się w jego twarz, a własne jego oblicze, ku zdziwieniu Reynevana, zmieniało wyraz. Z nachmurzonego na zdziwiony. A ze zdziwionego na jakby uradowany. I ponownie na nachmurzony.

– Wyście są Reynevan z Bielawy, Ślązak – stwierdził tonem nie dopuszczającym dyskusji. – Medyk od leczenia.

– Aha? I co dalej?

– Znam was. Nie zaprzeczajcie tedy.

– Przecież nie zaprzeczam. Pytam, co dalej.

– Bóg nam was zesłał. Nam właśnie medyka potrzeba, do chorego. Rzecz zwłoki nie cierpi. Pojedziecie tedy z nami. Bardzo prosim. Bardzo grzecznie prosim.

Bardzo grzecznej prośbie towarzyszyły złe spojrzenia, zagryzione usta, grające mięśnie na żuchwach. I dłonie na pasach blisko rękojeści. Reynevan uznał, że lepiej będzie prośbie nie odmawiać.

– Może jednak dowiem się wpierw, z kim mam sprawę? Dokąd mam jechać? Kto jest chory? I na co?

– Jedziecie niedaleko – uciął husyta z brwiami, ewidentny dowódca podjazdu. – Moje miano Jan Pluh. Podhejtman polnych wojsk Sierocych

wspólnoty nachodskiej. Reszty dowiecie się wnet.

●

Reynevana niezbyt cieszył fakt, że miast zmierzać ku Przełęczy Międzyleskiej, przyszło mu nagle jechać w kierunku dokładnie przeciwnym, prawym brzegiem Morawy na południe. Na szczęście Jan Pluh nie kłamał, do celu w samej rzeczy nie było specjalnie daleko. Wkrótce zobaczyli leżący w zamglonej dolinie duży wojskowy obóz, typowy obóz maszerujących husytów: zgrupowanie wozów, namiotów, szałasów, kleci i innych malowniczych bud. Nad obozem powiewał bojowy sztandar Sierotek, przedstawiający promienistą hostię i pelikana rozdzierającego dziobem własną pierś. Na skraju piętrzyła się imponująca kupa kości i innych odpadków, opodal, nad wpadającym do Morawy potokiem, grupa kobiet urządzała pranie, dzieciarnia zaś rzucała do wody kamienie i goniła za psami. Gdy przejeżdżali, kobiety odprowadziły ich wzrokiem, prostując grzbiety i ocierając czoła dłońmi lśniącymi od mydlin. Między wozami snuł się dym i smród, smutno ryczały krowy w zagrodzie. Prószył drobny śnieg.

– Tędy. Ta chata.

Przed chatą, zajęty wylewaniem pomyj z cebra, stał chudy i wyblakły młodzian. Na ich widok podniósł głowę. Minę miał tak żałosną i nieszczęsną, że mógłby pozować do iluminacji w mszale, rozdział o Hiobie.

– Znaleźliście! – krzyknął z nadzieją. – Znaleźliście medyka! Cud to widomy, niechaj Najwyższemu zań będą dzięki! Zsiadajcie, panie, co żywiej!

– Tak pilna potrzeba?

– Nasz hejtman... – Chudy młodzieniec upuścił ceber. – Nasz główny hejtman zachorzał. A cyrulika nie mamy...

– Przecież mieliście – przypomniał sobie Reynevan. – Wołali go brat Albertus. Całkiem wprawnym był medykiem...

– Był – przytaknął dość ponuro podhejtman Jan Pluh. – Ale jak my niedawno papieżnickich jeńców ogniem piekli, to się stawiać jął, krzykać, pry, że to niechrześcijańskie i że tak nie lza... To go hejtman wziął i obuszkiem zmacał...

– A mnie zaraz po pogrzebie felczerem zrobili – pożalił się chudy młodzian. – Rzekli, żem uczony, to sobie poradzę. A ja tyle że gramotny,

u aptekarza w Chrudimiu karteluszki ino wypisywałem i na buteleczki przylepiałem... W leczeniu ni chu-chu... Mówię im to, a oni swoje, pry, uczonyś, dasz radę, medycyna sztuka niewielka: komu do nieba, temu i tak święty Boże nie pomoże, a komu na życie, to mu i najgorszy lekarz nie zaszkodzi...

– Ale jak samego hejtmana niemoc chyciła – wtrącił drugi z Sierotek – to jednak kazał co koń wyskoczy lecieć i lepszego medyka szukać. Iście, sprzyjał nam Pambu, cośmy was tak rychło znaleźli. Hejtman srogie cierpi katusze. Sami zobaczycie.

Reynevan wpierw poczuł, niż zobaczył. Pod niską powałą chaty wisiał odór tak ohydny, że niemal zwalający z nóg.

Leżący na zbitej z desek pryczy tęgi mężczyzna twarz miał całkiem mokrą od potu. Reynevan znał i pamiętał tę twarz. Był to Smil Pulpan, obecnie, jak się okazywało, główny hejtman Sierotek z Nachodu.

– Niech mnie kule... – Smil Pulpan słabym głosem dał znać, że rozpoznał go również. – Niemiecki doktorek, hejtmański pupilek... Cóż, na bezrybiu i rak ryba... Chodź no tu, znachorze. Rzuć okiem. I tylko mi nie mów, że nie umiesz tego wyleczyć... Nie mów tego, jeśli ci własna skóra droga.

Smród powinien w zasadzie przygotować Reynevana na najgorsze, ale nie przygotował. Na wewnętrznej stronie uda Smila Pulpana, niebezpiecznie blisko pachwiny, było coś. Coś miało wielkość kaczego jaja, barwę sino-czarno-czerwoną i wyglądało gorzej niż okropnie. Reynevan widywał już takie rzeczy i miewał z nimi do czynienia, mimo to nie opanował odruchu wstrętu. Zawstydził się, ale tylko przed sobą. Odruch był tak nieznaczny, że inni nie zauważyli.

– Co to jest, panie? – spytał cicho aptekarczyk z Chrudimia, felczer z przypadku i przymusu. – Nie dżuma czasem? Straszne wrzodzisko... I w miejscu takim...

– To z pewnością nie dżuma – oświadczył z przekonaniem Reynevan, woląc wpierw jednak upewnić się dotykiem, czy nie wyczuje charakterystycznego dla dymienicy chełbotania. Nie wyczuł. Pulpan zawył krótko, zaklął.

– To jest – zdiagnozował pewnie Reynevan – *carbunculus*, inaczej zwany czyrakiem gromadnym. Najpierw było kilka niewielkich wyprysków, prawda? Które szybko się powiększały, zamieniały w guzy, każdy z żółtawą krostą na szczycie, otwierające się i sączące ropę? By

wreszcie zrosnąć się razem w jedno wielkie, bardzo bolesne nacieczenie?

– Jakbyście – aptekarczyk przełknął ślinę. – Jakbyście przy tym byli...

– Co stosowaliście dotychczas?

– Eee... – zająknął się młodzian. – Jakieś okłady... Baby przyniosły...

– Wyciskać próbowaliście? – Reynevan zagryzł wargi, bo znał odpowiedź.

– A próbował, taka jego mać, próbował – zastękał Pulpan. – Małom, psiakrew, nie zdechł od bólu...

– Myślałem ropę wydusić... – nerwowo wzruszył ramionami aptekarczyk. – Bo co było robić?

– Ciąć.

– Nie pozwolę... – wycharczał Pulpan. – Nie pozwolę się kaleczyć... Wy ino byście rżnęli, rzeźnicy.

– Zabieg chirurgiczny – Reynevan otworzył torbę – jest tu konieczny. Tylko tym sposobem można spowodować pełny *abscessus* ropy.

– Nie dam się kroić. Już wolę wyciskanie.

– Wyciskanie nie pomoże – Reynevan wolał nie mówić, że wręcz zaszkodzi, wiedział, że Pulpan nie daruje chrudimskiemu aptekarczykowi błędu w sztuce, że będzie się mścił. – Karbunkuł trzeba przeciąć.

– Bielawa... – Pulpan gwałtownie chwycił go za rękaw. – Gadają o tobie, żeś magik. Odczyńże tedy urok, zadaj mi jakieś zaklęcie albo dekokt czarodziejski... Nie kalecz mnie. Nie pożałuję złota...

– Złotem cię nie wyleczę. Zabieg jest absolutnie konieczny.

– Gówno, konieczny! – wrzasnął Pulpan. – Co, zmusisz mnie? Ja tu hejtman jestem! Ja cię... Ja rozkazuję! Kuruj mnie czarami i driakwiami! Z nożem ani podchodź! Tknij mnie, znachorze zasrany, a końmi cię każę rozerwać! Hej, ludzie! Straż!

– Dalszy rozrost karbunkułu – Reynevan wstał – grozi bardzo poważnymi konsekwencjami. Mówię to, byś wiedział. Reszta to twoja decyzja, twoja wola, twoja chęć. *Scienti et volenti non fit injuria*.

– Ty się mścisz, łaciński wyskrobku – wycharczał Pulpan. – Za tamto. Za ubiegły rok, za Śląsk, za Frankenstein, za mnichów, cośmy ich wtedy oprawili... Widziałem, jakeś wtedy na mnie spoglądał... Z jaką nienawiścią... Teraz się chcesz odegrać...

Podhejtmani i centurioni, którzy na krzyk weszli do chaty, patrzyli na Reynevana spode łba. Potem pokręcili nosami, pochrząkali.

– Ja tam, hejtmanie, nie wiem – wymamrotał jeden. – Ale to, widzi mi się, samo nie przejdzie. Trza by jednak coś z tym zrobić...

– Po co my – zaburczał Jan Pluh – medyka szukali i przywieźli? Po próżnicy?

Pulpan zastękał, opadł na poduszki, pot obficie sperlił mu czoło i policzki.

– Nie zdzierżę... – wydyszał wreszcie. – Dobra, nuże, niechaj konował czyni, co ma czynić... Jeno nie zostawiajcie mnie z nim sam na sam, bracia, patrzcie mu na ręce i na kozik... By mnie nie zarżnął, niecnota, albo nie wykrwawił... I gorzałki mi przynieście... Gorzałki, żywo!

– Gorzałka – Reynevan zakasał rękawy, spróbował ostrza noża opuszkiem palca – będzie potrzebna w samej rzeczy. Ale dla mnie. W twoim stanie, Pulpan, medycyna spożycia wyskoku zabrania.

●

– Gojenie i ziarninowanie potrwa najmniej tydzień – pouczył Reynevan felczera-aptekarczyka, kończąc pakowanie torby. – W tym czasie chory musi leżeć, a o ranę należy zadbać. Dopóki się nie zabliźni, stosować okłady.

Aptekarczyk skwapliwie pokiwał głową. Z oblicza nie schodził mu głupawy dość wyraz podziwu i uwielbienia. Wyraz taki przyozdobił oblicze młodzieńca zaraz po tym, jak Reynevan dokonał zabiegu. I ani myślał znikać.

Reynevan daleki był od puszenia się, ale w rzeczy samej za zabieg wstydzić się nie musiał. Choć z uwagi na wielkość karbunkułu cięcia musiały być głębokie i wykonane na krzyż, magicznie zaś znieczulić pacjenta nie odważył się przy świadkach, operacja poszła błyskawicznie. Smil Pulpan zdążył tylko wrzasnąć i zemdleć, znacznie ułatwiając tym samym proces usuwania ropy i opracowania rany. Jeden z przyglądających się Sierocych centurionów nie wytrzymał i porzygał się, ale pozostali nagrodzili zręczność i umiejętności chirurga pełnymi uznania mruknięciami, a Jan Pluh na koniec nawet łupnął go familiarnie w plecy. A aptekarczyk tylko wzdychał z podziwu. Niestety, wychodziło, że na nic więcej z jego strony nie można było liczyć.

– Mówiłeś, że poprzednio stosowaliście kataplazmy. Sporządzane przez kobiety.

– Jako żywo, panie medyku. Baby przyrządzały. A przykładała taka jedna... Elżbieta Donotek. Przywołać?

– Przywołaj.

●

Elżbieta Donotek, kobieta lat, jak się zdawało, niespełna dwudziestu, miała włosy koloru lnu i oczy błękitne jak niezapominajki. Byłaby niezwykle urodziwa, gdyby nie okoliczności. Była wszak kobietą husyckich wojsk, kobietą przemarszów, odwrotów, zwycięstw, klęsk, upałów, chłodów i słot. I nieustannej harówki. I wyglądała jak one wszystkie. Ubierała się w co popadło, byle grubo, blond włosy kryła pod szarą zgrzebną chustą, a dłonie miała czerwone od zimna i spękane od wilgoci. I przy tym wszystkim, o dziwo, promieniowało od niej coś, co nazwać można było godnością. Dostojeństwem. Coś, co cisnęło się na myśl i usta jako *das ewig Weibliche*.

Reynevan doszedł do wniosku, że już słyszał nazwisko. Osobę jednak widział po raz pierwszy.

– Ty robiłaś hejtmanowi okłady? Z czego?

Elżbieta Donotek podniosła na niego oczy niezapominajki.

– Z tartej cebuli – odrzekła cicho. – I z ugniecionych pąków brzezinowych...

– Znasz się na leczeniu? Na zielarstwie?

– Taka tam nauka... Tyle, co każda we wsi baba. I przecie nic te okłady nie pomogły...

– Nieprawda, pomogły – zaprzeczył. – I to bardzo. Teraz też mu pomożesz. Po zdjęciu opatrunku na ranę trzeba przykładać kleik z siemienia lnianego. Wiosna, ale na bajorkach powinna być już rzęsa. Rób okłady z wyciśniętego soku. Na zmianę, raz kleik, raz rzęsa.

– Dobrze, paniczu Reynevan.

– Znasz mnie?

– Słyszałam, jak o was mówiono. Baby mówiły.

– O mnie?

– Dwa roki temu. – Elżbieta Donotek odwróciła oczy, ale tylko na chwilę. – Czasu rejzy na Śląsk. W mieście Złotoryja. W kościele farnym.

– Tak?

– Nie daliście z druhami Bogurodzicy pokrzywdzić.

– Ach, tamto... – zdziwił się. – Było o tym wydarzeniu aż tak głośno?

Patrzyła na niego długo. W milczeniu.

– To wydarzenie – odpowiedziała wreszcie, wolno wymawiając słowa – się wydarzyło. A tylko to jest ważne.

●

Donotek, Elżbieta Donotek, powtarzał w myśli, jadąc kłusem na północ, znów w kierunku Hanuszowic. Coś mówiono, przypominał sobie. Plotkowano. O kobiecie, mającej wielki mir wśród ciągnących z Sierotkami kobiet, o naturalnej przywódczyni, z której zdaniem liczyli się nawet niektórzy husyccy hejtmani. Była też, kojarzył plotki, w tym wszystkim jakaś tajemnica, była miłość i śmierć, wielka miłość do kogoś, kto poległ. Do kogoś, kogo nikt już nie mógł zastąpić, kto pozostawił po sobie tylko wieczną pustkę, wieczny smutek i wieczne niespełnienie. Historia jak z kart Chrétiena de Troyes, myślał, jak spod pióra Wolframa von Eschenbach. Zupełnie nie pasująca do siermiężnego wyglądu jej bohaterki. Zupełnie nie pasująca. I przez to zapewne prawdziwa.

Wiatr od Śnieżnika owiewał mu twarz, łagodząc nieco wstyd, którego doznał, gdy mówiła o wydarzeniu w złotoryjskim kościele, o drewnianej Madonnie. Rzeźbie, w obronie której i owszem, wystąpił, ale nie z własnej inicjatywy, lecz idąc za przykładem Samsona Miodka. I nie należała mu się za tamten incydent pochwała. Ani uznanie w oczach osoby takiej jak Elżbieta Donotek.

Za Hanuszowicami trakt skręcił i powiódł na zachód. Wszystko się zgadzało. Od Przełęczy Międzyleskiej, jak obliczał, dzieliła go mila z hakiem, miał nadzieję dotrzeć tam przed nocą. Popędził konia.

Dopadli go przed wieczorem.

●

Dopadli go w dziesięć koni, otoczyli, zwlekli z konia, spętali. Na nic się zdały protesty. Nic nie mówili, a jego, gdy nadal protestował i domagał się wyjaśnień, uciszyli ciosami kułaków. Powieźli z powrotem do obozu Sierotek. Związanego wrzucili do pustego chlewa, w nocy omal nie uświerkł tam z zimna. Na wołania nie reagowali. Rankiem wywlekli, skostniałego zupełnie poprowadzili, nie żałując szturchańców, pod

kwaterę głównego hejtmana. Czekał tam Jan Pluh i kilku innych znanych mu już Sierocych dowódców.

I było to, co Reynevan przeczuwał. Czego się bał.

Wewnątrz, na pryczy, niemal w tej samej pozycji, w jakiej zostawił go po operacji i opatrunku, spoczywał Smil Pulpan. Tyle tylko, że sztywny. Absolutnie nieboszczykowski i totalnie martwy. Twarz, białą jak twaróg, upiornie zniekształcały wybałuszone, wyłażące niemal z oczodołów oczy. I grymas ust, wykrzywionych w jeszcze upiorniejszy uśmiech.

– I co na to powiesz, medyku? – spytał chrapliwie i złowrogo Jan Pluh. – Jak nam taką medycynę wyjaśnisz? Potrafisz wyjaśnić?

Reynevan przełknął ślinę, pokręcił głową, rozłożył ręce. Zbliżył się do pryczy z zamiarem uniesienia okrywającej trupa derki, ale żelazne ręce setników osadziły go w miejscu.

– Nie, bratku! Dowody zbrodni zatrzeć radbyś, ale ci nie damy. Zamordowałeś go, odpowiesz za to!

– Co z wami? – szarpnął się. – Czyście poszaleli? Jakie morderstwo? To absurd! Byliście wszyscy przytomni przy operacji! Żył po niej i miał się dobrze! Przecięcie karbunkułu w żaden sposób nie mogło spowodować śmierci! Pozwólcie mi zbadać...

– Przeliczyłeś się, czarowniku – przerwał mu Pluh. – Myślałeś, że ci na sucho ujdzie. Ale brat Smil ocknął się. Krzyczał, że go w płucach i trzewiach pali, że mu ból głowę rozsadza. I ciebie, nim skonał, o magię i trucicielstwo oskarżył.

– To niedorzeczność!

– A ja bym rzekł, że dorzeczność. Nienawidziłeś brata Smila, wszyscy to wiedzą. Znalazłeś sposobność i otrułeś nieboraka.

– Byliście przy zabiegu! Ty też byłeś!

– Czarami omamiłeś nam wzrok! Wiemy, żeś guślarz i czarownik. Są to na świadkowie.

– Jacy świadkowie? Czego świadkowie?

– Pokaże się na sądzie. Brać go!

●

Stłoczone na majdanie zgromadzenie Sierotek huczało jak ul, jak rój trzmieli.

– Na co ten sąd? – ryczał ktoś. – Po diabła te jasełka? Szkoda czasu i zachodu! Na stryk truciciela! Powiesić go na dyszlu!

– Czarownik! Na stos z nim!

– Filistynie! – Czarno odziany kaznodzieja ze śmieszną koźlą brodą przyskoczył, z bliska napluł Reynevanowi w twarz. – Ohydo Molocha! Poślemy cię do piekła, plugawcze! W ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!

– Zabić Niemca!

– Pod cepy go! Pod cepy!

– Cichajcie! – zagrzmiał Jan Pluh. – My są Boży bojownicy, ma być po Bożemu! Sprawiedliwie i jak się patrzy! Nie bojajcie się, śmierć brata naszego i hejtmana pomścimy, płazem nie puścimy! Ale za porządkiem! Za wyrokiem trybunału naszego rewolucyjnego! Dowody są! Świadkowie są! Nuże, powołać świadków!

Tłum ryczał, wył, huczał, potrząsał sudlicami i cepami.

Pierwszym powołanym przed oblicze sądu świadkiem był aptekarczyk z Chrudimia, blady jak pergamin i rozdygotany. Głos trząsł mu się, a zęby dzwoniły, gdy zeznawał. Przecięcia wrzodu, zeznał, trwożliwie łypiąc na rewolucyjny trybunał, podsądny Bielawa dokonał wbrew wyraźnej woli hejtmana Pulpana, a czynił to z nadmierną brutalnością i niegodnym lekarza okrucieństwem. Podczas zabiegu podsądny mruczał coś pod nosem, niewątpliwie gusła. W ogóle wszystko, co robił, podsądny robił zwykłym obyczajem czarnoksiężników.

Tłum wył.

Świadków, jako że nigdy ich nie brak na tym świecie, znalazło się jeszcze paru.

– Prawił mi jeden... Zabyłem kto, ale pamiętam, że łońskiego roku to było, w zapusty. Prawił, że ten tu Bielawa pod Białą Górą Neplacha uleczył! Czarami! Wszyscy mówili, że czarami!

– Mnie, wysoka komisjo, wiadomo, że ten Bielawa z diabłem jest w zmowie, że od diabła czary umie, któremi w kości oszukuje! Powiadał mi to jeden setnik od brata Rohacza, któren na własne oczy widział. Dwa roki temu nazad to było, jesienią... A może zimą? Ja tam nie wiem... Ale oskarżam!

– Jam widział, klnę się na grób brata Żiżki, jak onże Bielawa czasu zeszłorocznej rejzy na Śląsk z wielebnym naszym Peszkiem Krejczirzem się poswarzył, o jakieś papieżnickie zabobony poszło. Jakoś tak wtedy Bielawa na wielebnego popatrzał dziwnie, musi urok rzucił. I co?

Pomarł skutkiem tego uroku brat Peszek, zginął męczeńską śmiercią mało co później!

– Nie Czech on przeca, bracia trybunały, nie swojak, ale Niemiec! Słyszałem, jak gadali w Hradcu Kralove, że to szpieg katolicki. Wciskają między nas papiści tajnych zbrodniarzów, by naszych hejtmanów zdradziecko mordowali! Przypomnijcie pana Bohusława ze Szwamberka! Przypomnijcie sobie brata Hviezdę!

– A jam słyszał, wysoka komisjo, że ten Bielawa z prażanami ze Starego Miasta trzyma! A kto są staromiejscy? Zdrajcy Kielicha, zdrajcy mistrza Husa, zdrajcy Czterech Artykułów! Babilońskiego Luksemburczyka chcą na czeski tron przywrócić! Ani chybi tego Bielawę staromiejscy nasłali, by hejtmana zgładził!

– Śmierć mu! – ryczał tłum. – Śmierć!

Wyrok, oczywista rzecz, mógł być tylko jeden i zapadł błyskawicznie. Ku ogólnej a dzikiej radości nachodskich Sierotek Reynevan Bielawa, czarownik, truciciel, zdrajca, Niemiec, szpieg katolicki i nasłany przez Stare Miasto skrytobójca, ogłoszony został winnym wszystkich zarzucanych mu czynów, w związku z czym rewolucyjny trybunał jednogłośnie skazał go na śmierć przez spalenie żywcem na stosie. Od wyroku odwołanie w oczywisty sposób nie przysługiwało: nim Reynevan zdążył usta otworzyć w proteście, został ucapiony przez kilka par silnych rąk i powleczony w asyście ryczącego tłumu na skraj obozu, gdzie piętrzyła się ułożona zawczasu spora kupa bierwion i chrustu. Ktoś wytoczył wielką i śmierdzącą kapustą beczkę, ktoś postarał się o denko, młotek i gwoździe. Reynevana uniesiono i przemocą wpakowano do beki. Targał się i wrzeszczał, że mało mu płuca nie pękły, ale jego wrzask ginął wśród wycia rozentuzjazmowanego motłochu.

Coś ogłuszająco huknęło. A powietrze przesycił swąd prochowego dymu. Tłum cofnął się, dając tym samym Reynevanowi możliwość zobaczenia, co się stało.

Od strony obozu zajechał dziwny orszak, złożony z trzech wozów bojowych. Załogę jednego stanowiła dziesiątka kobiet w bardzo różnym wieku, od podlotków po staruchy. Wszystkie, prócz powożących, uzbrojone były w piszczały, handkanony i hakownice.

Z drugiego wozu, obsadzonego przez cztery kobiety, złowieszczo patrzyła wylotem lufy dziesięciofuntowa bombarda. To właśnie z niej

przed chwilą wystrzelono, silnym, ale ślepym prochowym nabojem: w obłoku dymu, wirując jak płatki śniegu, wciąż opadały strzępki przybitki.

Na trzecim wozie, w towarzystwie dwóch kobiet i jakiegoś nakrytego płachtą urządzenia, stała Elżbieta Donotek. Zrzuciła z ramion kożuch, a z głowy chustę, teraz, niebieskooka, z rozwianym i wzburzonym lnianym włosem, przypominała Nike wiodącą lud na barykady. Jej śmiertelnie poważne i groźne oblicze budziło jednak więcej skojarzeń z rozwścieczoną erynią Tysyfone.

– Co to ma być? – ryknął, ścierając z twarzy drobinki prochu, Jan Pluh. – Co ma być, ichmość Donotkowa? Igrce? Maszkary? Comber babski? Kto wam, niewiasty, oręż ruszać zwolił?

– Idźcie stąd – powiedziała głośno Elżbieta Donotek, jakby go nie słysząc. – Ale już. Natychmiast. Nie będzie żadnego palenia. Dość tego.

– Bezczelna białogłowo! – wrzasnął koźlobrody kaznodzieja. – Zapamiętała w pysze Jezebel! Razem z Filistynem w ogniu zgorzejesz! A przedtem posmakujesz kańczuga!

– Idźcie sobie stąd – Elżbieta Donotek i na niego nie zwróciła uwagi. – Idźcie, chrześcijanie, Sierotki, dobrzy Czesi. Uklęknijcie, na niebo wejrzyjcie, Bogu się pomódlcie, Panu naszemu Jezusowi i świętej Rodzicielce jego. W dusze swe zajrzyjcie. Pomyślcie o Dniu Sądu, który się bliży. Pokajajcie się, wy, którzy nie znacie drogi pokoju, którzy uczyniliście krętymi własne swoje ścieżki. Patrzyłam przez pięć lat, jak niszczyliście w sobie to, co dobre, jak kładliście w groby to, co człowiecze, jak zamienialiście ten kraj w trupiarnię. Patrzyłam, jak zabijaliście w sobie sumienia. Mam dość, na więcej nie pozwolę. W nadziei, że nie wszystko jeszcze w sobie zabiliście. Że choć ociupinka została, maleńkie coś, co warto ratować przed zniszczeniem. Dlatego idźcie sobie stąd. Pókim dobra.

– Pókiś dobra? – krzyknął szyderczo Pluh, biorąc się pod boki. – Pókiś dobra? A co nam zrobisz, babo? Z puszki jużeś ślepakiem wypaliła! A ninie co? Kieckę zadrzesz i rzyć wypniesz?

Kobiety na wozach jak na komendę zaczepiły haki strzelb o burty. A Elżbieta Donotek, *alias* erynia Tysyfone, szybkim ruchem zdarła płachtę z urządzenia, obok którego stała. Jan Pluh odruchowo cofnął się o krok. A wraz z nim cały tłum. Z pomrukiem zgrozy.

Reynevan nigdy nie widział tej osławionej broni, słyszał o niej tylko. Reakcja tłumu nie zdziwiła go. Na wozie obok Elżbiety Donotek stała dziwna konstrukcja. Na dębowej ramie i skomplikowanym obrotowym stelażu zamocowano, jedną tuż przy drugiej, dwanaście spiżowych luf. Całość przypominała kościelne organy i tak też broń nazwano. Mówiono o „organach śmierci", zdolnych w ciągu jednego *Pater noster* wystrzelić około dwustu funtów ołowiu. W postaci ostrych siekańców.

Elżbieta Donotek uniosła lont, podmuchała nań, rozżarzając tlący się koniuszek. Na ten widok Sierotki cofnęły się o dalszych kilka kroków, kilku potknęło się, kilku przewróciło, niektórzy zaczęli wycofywać się na dobre i chyłkiem zmykać.

– Idźcie stąd, Czesi! – podniosła głos Elżbieta Donotek. – Paniczu Reynevan, czeka koń osiodłany! Nie traćcie czasu!

Nie dał sobie dwa razy powtarzać.

●

Nie żałował wierzchowca. Gnał doliną rzeki pełnym galopem, w wyciągniętym *ventre à terre*, tak że aż leciały na boki uderzane podkowami otoczaki. Koń mydlił się pianą i zaczynał już chrapać, ale Reynevan nie zwalniał. Nie łudził się. Wiedział, że Sierotki będą go ścigać.

Ścigali. Długo nie potrwało, gdy usłyszał za sobą dalekie wrzaski. Nie chcąc, by w otwartej dolinie gonili go na oko, skręcił w wikliny i łozę, gnał, rozbryzgując błoto, nie szczędząc wierzchowcowi ostróg.

Wypadł na gościniec, stanął w strzemionach. Pościg nie dał się zmylić, z wrzaskiem i hałłakowaniem darł się przez krzaki. Reynevan skulił się w kulbace i poszedł w galop. Koń chrapał, ronił płaty piany.

Minął w pędzie chałupy i pasterskie chaty, poznawał miejsce, wiedział, że jest już blisko Hanuszowic. Ale pogoń też już była blisko. Gromki chóralny wrzask oznajmił, że Sierotki go widzą. Za chwilę i on ich widział. Co najmniej dwudziestu jeźdźców. Ukłuł konia ostrogami, koń, choć graniczyło to z cudem, przyspieszył. Z głuchym łomotem wpadł na mostek nad strumykiem.

Od strony wioski gnali jak wicher dwaj konni. Jeden, olbrzymiej postury, wywijał, niczym rózeczką, ciężkim flamandzkim gudendagiem. Drugi, na pięknym karoszu, uzbrojony był w krzywy falcjon.

Wyminąwszy Reynevana, Samson i Szarlej z impetem wpadli na Sierotki. Szarlej dwoma zamaszystymi ciosami posłał dwóch jeźdźców na ziemię, trzeci, chlaśnięty w twarz, zakolebał się w siodle. Samson kropił gudendagiem na przemian ludzi i konie, czyniąc straszny zamęt. Reynevan zawrócił, zaciskając zęby. Miał rachunki do wyrównania. Za bicie, za plucie, za beczkę po kapuście. Mijając bezwładnie kolebiącego się w kulbace, wyłuskał mu miecz, wpadł w krętwę, rąbiąc na lewo i prawo. Usłyszał wykrzykiwane biblijne cytaty, zlokalizował po nich dowódcę pogoni, koźlobrodego księdza. Przedarł się ku niemu, odbijając ciosy innych.

– Diabli pomiocie! – Ksiądz dostrzegł go, poderwał konia i skoczył, wywijając mieczem. – Filistynie! Odda cię Pan w moją rękę!

Ścięli się gwałtownie raz, drugi, potem rozdzieliły ich szalejące konie. A potem ostatecznie rozdzielił ich Szarlej. Szarlej bimbał na honorowe pojedynki i rycerskie kodeksy. Zajechał kaznodzieję od pleców i potężnym cięciem falcjona zmiótł mu głowę z karku. Krew buchnęła gejzerem. Na ten widok Sierotki spięły konie, cofnęły się. Szarlej, Samson i Reynevan wykorzystali to, odcwałowali na mostek. Mostek z trudem mieścił trzy konie bok w bok, nie było więc obawy, że zostaną otoczeni. Ale ścigających wciąż było dobre trzy razy więcej. Mimo poniesionych strat ani myśleli o odwrocie. Na szczęście do natychmiastowego ataku też niezbyt się kwapili. Przegrupowali się tylko. Ale jasnym było, że nie odpuszczą.

– Długa rozłąka – wydyszał Szarlej – sprawiła, żem zapomniał. W twojej kompanii, Reinmarze, nie zaznasz nudy.

– Uwaga! – ostrzegł Samson. – Atakują!

Połowa Sierotek frontalnie uderzała na mostek, reszta, wparłszy konie w wodę, forsowała strumień, by zajść ich od tyłu. Jedynym wyjściem był odwrót. I to szybki. Reynevan, Szarlej i Samson obrócili konie i galopem puścili się w stronę wsi, ścigani dzikim hałłakowaniem pogoni.

– Nie odpuszczą! – krzyknął Szarlej, oglądając się. – Chyba cię nie lubią!

– Nie gadaj! W konie!

Wiatr zawył im w uszach, wpadli na szerokie błonie przed wsią. Pogoń rozsypała się ławą, chcąc ich otoczyć. Reynevan z przerażeniem stwierdził, że nagle zaczyna szybko zostawać w tyle, że pęd jego konia

słabnie wyraźnie. Że chrapiący wierzchowiec potyka się i zwalnia. Bardzo zwalnia.

– Koń mi pada! – wrzasnął. – Samsonie! Szarleju! Zostawcie mnie! Uciekajcie!

– Chybaś zgłupiał – Szarlej wrył i zawrócił konia, dobył falcjona. – Chybaś zgłupiał, chłopcze.

– Nie chcę być niemiły – Samson splunął w dłoń, chwycił gudendag – ale chybaś bardzo zgłupiał.

Sierotki wrzasnęły triumfalnie, ich ława zaczęła się ścieśniać, zaciskać na podobieństwo saka.

I byłoby pewnie całkiem źle, gdyby nie *Deus ex machina*. Przybierający w tym dniu postać piętnastu uzbrojonych po zęby jeźdźców, dzikim cwałem nadjeżdżających od strony Hanuszowic.

Ścigający spięli i wryli konie, w zdezorientowaniu nie bardzo wiedząc, kto, co, jak i dlaczego. Bojowy wrzask i błyski wzniesionych nad głowami mieczy rozwiały jednak wszelkie ich wątpliwości. I momentalnie odebrały wolę i chęć kontynuowania imprezy. Zawróciwszy jak na komendę, nachodskie Sierotki czmychnęły, dały nogę. Siedzący na świeższych koniach nowo przybyli dogoniliby ich bez trudu i rozbigosowali, gdyby chcieli. Ale najwyraźniej nie chcieli.

– Proszę, proszę, cóż za fortunne zrządzenie losu – powiedział, podjechawszy stępa, Urban Horn. – Bo ja właśnie ciebie szukam, Reynevan, twoim śladem zdążam. I choć przypadkiem, ale zdążyłem, jak widzę. A jak powiem, że w samą porę, to się nie pomylę?

– Nie pomylisz się.

– *Salve*, Szarleju. *Salve*, Samsonie. I ty też tutaj? Nie w Pradze?

– *Amicus amico* – wzruszył ramionami Samson Miodek, bawiąc się gudendagiem i spod opuszczonych powiek przypatrując otaczającym ich zbrojnym. – Gdy przyjaciel w potrzebie, ruszam z pomocą. Staję u boku. Niezależnie od... okoliczności.

Horn pojął w lot, zaśmiał się.

– *Pax, pax*, przyjacielu przyjaciela! Reynevanowi z mej strony nic nie grozi. Zwłaszcza teraz, gdy słyszę, że imć Flutek spoczął był pod grubą warstwą ziemi. O czym z pewnością i wam wiadomo. Ekspediować Reynevana do Pragi nie ma zatem sensu. Zwłaszcza że potrzebna jest mi, ba, niezbędna, pomoc Reynevana na zamku Sowiniec, dokąd bardzo uprzejmie go zapraszam. Bardzo uprzejmie.

Reynevan i Samson rozejrzeli się. Ze wszech stron owiewał ich smród końskiego potu i para z nozdrzy, a miny otaczających ich zbrojnych były dość wymowne.

– Pobyt na Sowińcu – Horn nie spuszczał oka z Szarleja i z ręki, którą ten trzymał na falcjonie – może być i dla ciebie z korzyścią, Reinmarze. Jeśli naprawdę droga ci pamięć brata.

– Peterlin nie żyje – pokręcił głową Reynevan. – Już mu w niczym nie pomogę. Jutta zaś...

– Pomóż mi na Sowińcu – przerwał Horn. – A ja potem udzielę ci pomocy względem twojej Jutty. Daję słowo.

Reynevan spojrzał na Szarleja i Samsona, obrzucił wzrokiem otaczających ich jeźdźców.

– Za słowo więc cię trzymam – powiedział wreszcie. – Jedźmy.

– Wy – Horn zwrócił się do Szarleja i Samsona – możecie udać się, dokąd wola. Doradzałbym jednak pośpiech. Tamci mogą wrócić. Z posiłkami.

– Moją wolą – wycedził Szarlej – jest jechać z Reinmarem. Rozszerz więc i na mnie twoje uprzejme zaproszenie, Horn. Aha, przy okazji: dzięki za ratunek.

– Nie da się, widzę, rozdzielić przyjaciół. – Urban Horn obrócił konia. – Cóż, zapraszam na Sowiniec. Ciebie również, Samsonie. Wszakże i ty nie odstąpisz Reynevana. *Vero?*

– *Amicus amico* – uśmiechnął się Samson. – *Semper*.

Horn stanął w strzemionach, spojrzał w stronę rzeki, w ślad niedawnym ścigającym, po których zresztą ni śladu już nie zostało.

– Nachodskie Sierotki – rzekł poważnie. – Niedawno wojsko polne, teraz włócząca się po kraju i siejąca strach banda. Oto jakie skutki ma przeciągające się zawieszenie działań zbrojnych, oto jak szkodliwy jest pokój. Najwyższy czas na wojnę, panowie, na rejzę. A swoją drogą trzeba będzie poprosić braci Koudelnika i Czapka, by zwrócili uwagę na tego Pulpana. By nieco skrócili mu smycz.

– Nie trzeba będzie prosić. Pulpan... Hmm... Nie ma już Pulpana.

– Hę? Jak niby? Jaką modą?

Reynevan opowiedział, jaką. Urban Horn słuchał. Nie przerywał.

– Wiedziałem – rzekł, wysłuchawszy – że twoja pomoc będzie mi niezbędna. Ale nie spodziewałem się, że aż tak bardzo.

Rozdział szósty

w którym na morawskim zamku Sowiniec bohaterowie przekonują się, że zawsze, w każdej sytuacji, bezwzględnie należy mieć w zanadrzu plan awaryjny. I we właściwym momencie z zanadrza go wyciągnąć.

Zza zakratowanego okna wieży, z podwórca, dobiegały przekleństwa, rżenie koni i metaliczny stuk podków. Sowinieccy burgmani, zgodnie ze swym częstym obyczajem, wyruszali, by spatrolować przełęcze, zlustrować okolicę i dopuścić się wymuszeń na okolicznej ludności. Po raz nie wiedzieć który piał dziko i w zapamiętaniu kogut, darła się na męża jedna z zamieszkujących zamek żon. Przeraźliwie beczało jagnię.

Bruno Schilling, były Czarny Jeździec, obecnie dezerter, renegat i więzień, był lekko blady. Bladość powodowała chyba jednak wyłącznie przebyta niedawno choroba. Jeśli Bruno Schilling się bał, to umiejętnie to ukrywał. Powstrzymywał się od wiercenia na zydlu i biegania wzrokiem od jednego śledczego do drugiego. Ale nie unikał kontaktu oczu. Horn miał rację, pomyślał Reynevan. Właściwie go ocenił. To nie byle tępy zbir. To szczwany lis, sprytny gracz i kuty na cztery nogi szelma.

– Zaczynamy, szkoda dnia – przemówił Urban Horn, kładąc dłonie na stole. – Tak, jak poprzednio, jak to już ustaliliśmy: zwięźle, rzeczowo, na temat, bez żadnego „już to przecie mówiłem". Jeśli o coś pytam, ty odpowiadasz. Układ prosty: ja przesłuchuję, ty jesteś przesłuchiwany. Nie wypadaj zatem z roli. Czy to jest jasne?

Jagnię z podwórca nareszcie przestało beczeć. A kogut piać.

– Zadałem pytanie – przypomniał sucho Horn. – Nie zamierzam domyślać się twoich odpowiedzi. Bądź więc łaskaw ich udzielać, ilekroć pytam. Od tej chwili poczynając.

Bruno Schilling spojrzał na Reynevana, ale szybko odwrócił wzrok. Reynevan nie zadał sobie trudu, by kryć niechęć i antypatię. W ogóle się nie starał.

– Schilling.

– Jest jasne, panie Horn.

•

– Nie widzę sensu tych przesłuchań – powtórzył Reynevan. – Ten Schilling to zwykły zbir, nożownik i morderca. Asasyn. Takiego posyła się do mokrej roboty; wskazawszy ofiarę, szczwa się takiego ze smyczy jak gończego psa. I tylko do takich rzeczy wykorzystywał tego typa Grellenort. Wykluczam, by przypuszczał go do konfidencji i wyjawiał mu rzeczy tajne. Moim zdaniem typ wie tyle, co nic. Ale będzie kręcił, będzie zmyślał, będzie karmił cię konfabulacjami, będzie udawał świetnie poinformowanego. Bo zdaje sobie sprawę, że tylko taki jest dla ciebie coś wart. A poczuł się pewnie, przy tym, jak go traktujesz. Bardziej jak gościa, niż więźnia.

Zza okna dolatywało pohukiwanie krążących wokół wieży sów i puchaczy, których w okolicy były, jak się wydawało, całe chmary. Miało to swoje dobre strony – myszy ani szczura w okolicy nie uświadczyłeś. Niedojedzona z wieczora i położona przy łóżku pajda chleba czy racuch były jak znalazł na podkurek.

– Ty, Reinmarze – Horn rzucił psu ogryzioną kość – znasz się na medycynie i magii. Bo studiowałeś i praktykowałeś. Ja znam się na technice przesłuchań. Za twe rady dziękuję, ale niechaj każdy z nas zostanie przy swoich specjalnościach i robi to, co najlepiej mu wychodzi. Dobrze?

– Jak ci wyjdzie z tym renegatem, to ja nie wiem – Reynevan popatrzył na wino pod światło lichtarza. – A przeczucia mam nie najlepsze. Ale, skoro nastajesz, radził i doradzał więcej nie będę. Do czego w takim razie, jeśli nie do rad, jestem ci potrzebny?

Horn wziął się za ogryzanie drugiej kości. Szarlej i Samson poszli w jego ślady. Żaden, ani olbrzym, ani demeryt, nie włączali się do dyskursu.

– Schilling – Horn na moment przerwał ogryzanie – opowiada o zamku zwanym Sensenberg, kwaterze i kryjówce Czarnych Jeźdźców. Mówi o czarach i zaklęciach, o eliksirach, o magicznych narkotykach i truciznach. Mało się w tym wyznaję, a on to zauważył. Jesteś w błędzie, mając go za tępego zbira, to chytry lis i bystry obserwator. Widział, że odesłałem cię pod eskortą, założył, że już nie musi się ciebie bać. A gdy teraz nagle zobaczy, że towarzyszysz mi przy przesłuchaniu, zlęknie się.

I dobrze. Niechaj mu trochę skręci strach bebechy. Ty zaś demonstruj mu nienawiść. Pokazuj wrogość.

– Tego nie będę musiał udawać.

– Byleś nie przesadził. Mówiłem ci to już: fanatyzm jest dobry dla ciemnych mas, nam, ludziom spraw wyższych, nie przystoi. Bruno Schilling przyłożył rękę do zabójstwa twego brata. Jeśli jednak myślisz o zemście, to on, paradoksalnie, dopomoże ci w niej. Informacjami, których nam udzieli.

– Konfabulacjami, chciałeś powiedzieć.

– On wie – oczy Horna błysnęły – że żyje tylko dzięki mnie, że za moją sprawą wyszedł żywy z lochu w Kłodzku. Wie, że tylko ja mogę go ocalić przed Grellenortem, przed Czarnymi Jeźdźcami, od których zdezerterował. Żyje i jest bezpieczny tylko dzięki temu, że Grellenort nie ma pojęcia o jego dezercji, mniema go jednym z poległych pod Wielisławiem. Wie, że jeśli przyłapię go na kłamstwach, po prostu wypędzę stąd i rozgłoszę to przed światem, a jego dni będą wówczas policzone.

– To co ja mam robić? Poza okazywaniem wrogości?

– Gdy znowu zacznie o magii na Sensenbergu, pokaż mu, żeś specjalista, że byle bujdy nie kupisz. Jeśli zacuka się i zaplącze, będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

– Jeśli taki z niego lis, jakim go głosisz, to wątpię, by dał się podejść. Ale obiecałem pomóc, pomogę więc, wywiążę się z obietnicy. Licząc, że ty nie zapomnisz o twojej. Kiedy zaczynamy?

– Jutro. Z samego rana.

●

– Skrytobójcze zamachy – Horn wciąż trzymał dłonie na stole – dokonywane za pomocą trucizny, zaplanowane przez Grellenorta i wrocławskiego biskupa. Opowiedz nam o tym, Schilling.

– Birkart Grellenort – zaczął bez chwili zwłoki i dość usłużnie renegat – ma na zamku Sensenberg alchemika. To nie jest człowiek. Podobno żyje już sto lat z okładem. Włosy białe jak śnieg, oczy jak ryba, uszy w szpic, skóra na twarzy i dłoniach niemal przezroczysta, każda żyłka prześwieca niebiesko...

– Sverg – potwierdził Reynevan, widząc uniesione brwi i pełną niedowierzania minę Horna. – Jeden z Longaevi.

– Nazywa się Skirfir – mówił szybko Bruno Schilling. – Alchemik i mag, wprawny wielce. Warzy dla Grellenorta różne dekokty i sporządza eliksiry. Głównie płynne złoto. Mówią, że to dzięki temu złotu Grellenort ma taką moc. I że jest nieśmiertelny.

Horn żachnął się, pytająco spojrzał na Reynevana.

– Jest możliwym – potwierdził, nie kryjąc raptownego zainteresowania Reynevan – przemienienie metalu, jak również kamienia szlachetnego, w ciecz, w stan ciekły. Dokładniej w*collodium*, czyli koloid. O konsystencji na tyle rzadkiej, by można go pić.

– Pić metal? – Z twarzy Horna ani myślał znikać wyraz niedowierzania. – Albo kamień?

– Cała Natura – Reynevan wykorzystał okazję, by błysnąć – każda rzecz, żywa czy martwa, każda *materia prima* przepojona jest energią kreacji, praduchem, pratworzywem i siłą formującą. Hermes Trismegistos nazywa ją *totius fortitudinis fortitudo fortis*, mocą ponad wszystkie moce, która przezwycięża każdą rzecz delikatną i przenika każdą rzecz litą. Stąd też podstawowa zasada alchemii: *solve et coagula*, rozpuszczaj i skrzepiaj, oznacza właśnie proces rozpuszczenia tej energii, po to, by potem ją skoagulować, uchwycić w koloid. Można tak postąpić ze wszystkim, z każdą substancją. Z metalem i minerałem również.

– I ze złotem?

– Ze złotem też – skwapliwie pokiwał głową Bruno Schilling. – A jakże.

– *Collodium* złota, zwane *aurum potabile* – wyjaśnił Reynevan, wciąż podniecony – to jeden z potężniejszych eliksirów. Niewiarygodnie wzmacnia siły życiowe, moc intelektu i potęgę ducha. Jest to też niezawodny lek na obłąkania, demencje i inne choroby umysłu, zwłaszcza te wywoływane przez nadmiar *melancolii*, czarnej wydzieliny żółci. Sporządzenie koloidu jest jednak niezwykle trudne, potrafią tego dokonać tylko najzdolniejsi alchemicy i czarnoksiężnicy. A udaje się to tylko w bardzo specyficznych i rzadkich koniunkcjach...

– Dobra, dosyć – machnął ręką Horn. – Nie rób mi tu przyspieszonego kursu alchemii. Pitne złoto wzbudziło moją ciekawość, tą zaspokoiłeś. Wróćmy do zasadniczego tematu. Czyli trucizn. I trucia.

– Jedno – renegat otarł pot z czoła – łączy się z drugim. Skirfir robi dla Grellenorta różne eliksiry. Płynne złoto, płynne srebro, płynny ametyst, płynne perły, wszystko to dla wzmocnienia magicznej potencji,

czarnoksięskich zdolności, odporności ciała i ducha. Niektóre i nam dawali na Sensenbergu, więc wiem, jak działają. Ale trucizny Skirfir też przyrządzał. Nie było tajne, o co szło: Grellenort chciał wyeliminować co znaczniejszych husytów, otruć ich, ale takim sposobem, by nikt nie powziął najmniejszych podejrzeń. By wyglądało...

– By wyglądało na śmierć wskutek rany – wykorzystał zająknienie Schillinga Reynevan. – Obrażenia odniesionego w boju lub wypadku. By w żaden sposób nie móc skojarzyć śmierci z trucizną. Nagła śmierć zawsze budzi podejrzenie otrucia, natychmiast śledztwo; po nitce do kłębka truciciela znajdą. A przy truciźnie, o której mowa, nie ma żadnych objawów, zatruta ofiara nie odczuwa i nie podejrzewa niczego. Dopóty...

– Dopóki nie zostanie zraniona żelazem – wpadł w słowo renegat. – Albo stalą. Niczym innym. Śmierć jest nieuchronna. Oni tę truciznę nazywali: „Dux".

– *Dux omnium homicidarum* – potwierdził w zamyśleniu Reynevan. – Także *Mors per ferro*. Urywki zaklęć, jakich używa się przy sporządzaniu. Dlatego Guido Bonatti w swych pismach używa nazwy: „Perferro", tak też podaje *Picatrix*... W łacińskim przekładzie, bo w oryginale jest *khadhulu ahmar al-hajja*, co znaczy... Zapomniałem, co to znaczy.

– Nie szkodzi – włączył się Horn. – Bom wcale nie ciekaw. Reynevan, czcigodny magu, potwierdzasz więc, że taka trucizna istnieje? I że działa właśnie tak, jak tu było powiedziane?

– Potwierdzam to, co piszą niektóre źródła. – Reynevan ochłonął, spojrzał Schillingowi w oczy. – Ale nie pominę tego, co piszą inne. Według których do sporządzenia Perferro niezbędna jest tak zwana Czarna Tynktura...

– Tak jest, tak jest, macie w pełni rację, panie Bielau – potwierdził pospiesznie Schilling. – Słyszałem, jak Grellenort i Skirfir o tym gadali.

– Legendarną Czarną Tynkturę – kontynuował Reynevan, nie spuszczając wzroku – można otrzymać tylko drogą transmutacji metalu zwanego *chalybs alumen*, którym rządzi Ósma Planeta. Problem w tym, że według wielu uczonych wspomniany metal też istnieje jedynie w legendach. A nie trzeba być uczonym, by wiedzieć, że planet jest tylko siedem.

– Planet jest osiem – zaprzeczył żywo renegat. – To również podsłuchałem. Ósma planeta nazywa się Posejdonos, o jej istnieniu Grellenort dowiedział się pono od samego Diabła.

– Zostawmy – znowu wtrącił się Horn – na chwilę Diabła. I Ptolemeusza. Nie wychodź z roli, Schilling. Ja przesłuchuję, ty jesteś przesłuchiwany. A *messer* Reynevan zacytował przed chwilą autorytety, które trochę jakby przeczą temu, co zeznajesz. Które wkładają twe zeznania pomiędzy legendy. I bajki. Ostrzegam: opowiadanie mi bajek może mieć dla ciebie przykre konsekwencje.

– Panie Horn – Bruno Schilling momentalnie wyzbył się uniżoności. – Autorytety niechaj sobie będą autorytetami, niechaj sobie Ptolemeusz dolicza się tylu planet, ilu zechce. A ja wam mówię, że włóczęgów po gościńcach łapałem, żebraków i innych wałęsów, dowoziłem ich na Sensenberg, Grellenortowi i Skirfirowi do eksperymentów. Widziałem, jak im truciznę podawali. Widziałem, jak ich później żelazem kaleczono, własnymi oczyma patrzałem, jak pod wpływem żelaza trucizna zaczynała działać...

– A jak – przerwał Reynevan – działała? Jakie były objawy?

– Rzecz w tym, że różne. To jest zaleta tego jadu, że nie tak łatwo go wykryć wedle objawów, objawy mylą. Jedni z otrutych, nim skonali, rzucali się, inni trzęśli, inni krzyczeli, że ich w głowie pali i w żywocie, a umierali wykrzywieni tak, że aż ciarki na ten widok przechodziły. A inni zwyczajnie zasypiali i konali we śnie. Uśmiechnięci.

Horn szybko spojrzał na Reynevana, wymownie powstrzymał go od reakcji.

– Komu z naszych – zwrócił oczy na Schillinga – podano tę truciznę? Kiedy? Jakim sposobem?

– Tego nie wiem. Na Sensenbergu truciznę tylko wytwarzano, resztą zajmował się kto inny.

– Ale ludzi do eksperymentów uprowadzaliście wy, Czarni Jeźdźcy. Kiedy rozkazano wam to robić? Do kiedy to trwało?

– Zaczęliśmy... – Bruno Schilling odchrząknął, otarł czoło. – Zaczęliśmy porywać zimą roku 1425, po Gromnicznej. I porywaliśmy do Wielkanocy. Potem już nie było rozkazu.

Urban Horn milczał długo, bębniąc palcami po stole. Reynevan patrzył na Schillinga, nie kryjąc tego, co myśli. Renegat unikał jego wzroku.

•

Ciepły wiatr owiewał im twarze, gdy stali na murach, patrząc w kierunku, skąd wiał, a wiał z południa, od Oderskich Wierchów.

– Dzisiaj rano – powiedział ponuro Horn – zaciąłem się przy goleniu.

– To nic – uspokoił go Reynevan, sam nie będąc całkiem spokojny. – Perferro wymaga głębszego naruszenia tkanki, zarażenia krwiobiegu... Limfa, rozumiesz, i w ogóle...

– My wszyscy – Horn nie czekał na to, co w ogóle. – Wszyscy możemy nosić to w sobie. Ja, ty...

– Celem zamachów byli hejtmani, ludzie ważni. Nie cenię się tak wysoko.

– Skromny jesteś nad podziw. Szkoda, że w głosie twym mało słyszę przekonania. Ten Smil Pulpan od nachodskich Sierotek do prominentów nie należał; nie pyszniąc się, mam nas obu za dużo ważniejszych. Ale truciznę najłatwiej podać podczas biesiad, a Pulpan z pewnością biesiadował z ważnymi hejtmanami. Ja też biesiadowałem. Ty też biesiadowałeś... Ha, ale ty przecież byłeś ranny łońskiego roku. I żyjesz. A Schilling twierdził, że po 1425 już nie truto.

– Wcale tego nie twierdził. Mówił tylko, że w 1425 zaprzestano porywania ludzi do eksperymentów. A ja mam dowód, że truciznę podawano i prawdopodobnie podaje się nadal.

– Myślisz o Neplachu? Wykończyła go ta trucizna, to oczywiste. Ale otruty mógł być wcześniej. Nigdy nie brał udziału w walkach, mogło minąć wiele czasu, nim skaleczył się czymś żelaznym...

– Myślę o Smilu Pulpanie. Byłem przy tym, jak go zraniono we Frankensteinie, rok temu, żelazny grot urwał mu ucho. A umarł tydzień temu, gdy stalowym ostrzem przeciąłem karbunkuł.

– Ha, masz słuszność, masz słuszność. I w pełni potwierdza się to, co podsłuchałeś w cysterskiej grangii. Biskup i Grellenort zaplanowali zamachy, Smirzycky podał im cele. To było we wrześniu 1425. Miesiąc później, w październiku, postrzelono z kuszy Jana Hviezdę, głównego hejtmana Taboru. Rana nie wyglądała na groźną, ale Hviezda nie przeżył.

– Bo bełt miał grot z żelaza, a Hviezda we krwi już miał Perferro – potwierdził Reynevan. – A krótko potem, w listopadzie, następca Hviezdy, Bohuslav ze Szwamberka, zmarł po z pozoru równie

niegroźnym zranieniu. Tak, Horn, ja już wcześniej podejrzewałem, że Hviezdę i Szwamberka wykończono z pomocą czarnej magii, po tym, co wyznał mi Smirzycky, byłem już pewien. Ale żeby tak perfidnie...

– Fachowo – poprawił Urban Horn. – Pomysł genialny, fachowe wykonanie, wiedza... A skoro już przy wiedzy jesteśmy... Reynevan?

– Co?

– Co, co. Jakbyś nie wiedział. Odtrutka na to jest?

– O ile wiem, nie ma. Jeśli Perferro już jest w krwiobiegu, usunąć go stamtąd nie można.

– Powiedziałeś, że o ile wiesz. A może jest coś, czego nie wiesz?

Reynevan nie od razu odpowiedział. Myślał. Nie zamierzał zdradzać się z tym przed Hornem, ale podczas znajomości z praskimi magami z apteki „Pod Archaniołem" zażywał chroniące przed truciznami specyfiki, w tym takie, które na toksyny dawały pełny immunitet. Nie był pewien, czy dotyczyło to również Perferro. I czy w ogóle był jeszcze na cokolwiek odporny, nie przyjmując specyfików od ponad roku.

– No – ponaglił Horn. – Jest odtrutka czy nie ma?

– Nie wykluczam, że jest. W końcu postęp dokonuje się nieprzerwanie.

– Cała nadzieja więc w postępie – Horn zagryzł wargi. – Przynajmniej w tej interesującej nas dziedzinie.

●

Zamek Sowiniec stał na skalnym cyplu Niskiego Jesionika już sto lat, sto lat już jego dumny i groźny bergfryd wznosił się nad lasem i straszył okolicę. Zbudowali go i przekształcili w rodową warownię dwaj bracia, rycerze ze starego morawskiego rodu Hrutoviców, za zasługi wojenne obdarowani przez biskupa Ołomuńca lennem w postaci wiosek Krziżov i Huzova. Bracia pisali się odtąd „panami z Huzovej" i pieczętowali tarczą w ukośne pasy. Pobudowawszy niecałą milę od Huzovej zamek, nadali mu nazwę – biorącą się od sów, w ogromnych ilościach gnieżdżących się w okolicznych lasach. I pisali się odtąd „panami de Aylburk". Niemiecka nazwa, mimo mody, nie przyjęła się jednak i burg definitywnie został Sowińcem.

Obecnym właścicielem i panem zamku był rycerz Paweł z Sowińca, zwolennik nauki Husa i sprzymierzeniec Taboru. Gdzie przebywał teraz,

w marcu roku 1429, wiadomo nie było. Teraz na Sowińcu gospodarzył Urban Horn, a nad okolicą niepodzielnie panowali burgmani.

●

W sobotę przed niedzielą Letare kobiety z Sowińca urządziły pranie, od samego rana zamek na wskroś przesyciła mokra para i przenikliwa woń ługu i mydlin. Około południa zaś, gdy Reynevan i Horn zakończyli kolejne przesłuchanie, cały zamkowy podwórzec udekorowany został rozwieszoną do suszenia bielizną. Przeważały gacie, których Szarlej i Samson – z nudów chyba – doliczyli się stu dziewięciu par. Ponieważ już wcześniej doliczono się na zamku trzydziestu dwóch burgmanów i knechtów, wychodziło, że gaci była na Sowińcu obfitość, ale prano je rzadko.

Przyjaciele siedzieli na sągu drewna, na dziedzińcu gospodarczym, niedaleko stajni, ciesząc się wiosennym słońcem. Reynevan, nie kryjąc podekscytowania, relacjonował kolejne zasłyszane podczas przesłuchań rewelacje.

– Niesamowite, nieprawdopodobne wręcz historie opowiada ten Bruno Schilling. O zamku Sensenberg w Górach Kaczawskich. Magia ewidentnie tkwi tam już od czasów templariuszy, którzy Sensenberg budowali. Schilling tego nie wie ani nawet nazwać nie potrafi, ale dla mnie, specjalisty, nie ulega wątpliwości, że na Sensenbergu wciąż obecna jest *theoda*, *spiritus purus*, rodzaj *genius loci*, moc czarodziejska jakiegoś dawno zmarłego a potężnego maga. Taka *theoda* niesłychanie silnie oddziaływuje na *mens* przebywających tam ludzi, u osób mniej odpornych i o słabej woli potrafi *mens* bardzo silnie wypaczyć, a nawet zupełnie zdegenerować. Schilling potwierdził, że były przypadki *mentis alienatio*, zdarzały się nawet nieuleczalne *amentia* i *paranoia*.

– *Amentia* i *paranoia* – powtórzył jakby od niechcenia Szarlej, przyglądając się gaciom. – No, no. Kto by pomyślał.

– A w dziedzinie alchemii – Reynevan coraz bardziej się rozpalał – dowiedziałem się rzeczy i spraw, od których aż dech zapiera. Mówiłem wam już o kompozycyjnej truciźnie Perferro, wspominałem o koloidalnych metalach. Wśród tych metali, przedstawcie sobie tylko, opisane przez Flamela zagadkowe *Potassium*, wciąż przez niektórych uważane za fantazję. Tajemnicze*Thallium*, z którym jakoby

eksperymentował Arnold Villanova, bliski wytworzenia kamienia filozofów. Niesłychane, niesłychane!

Szarlej i Samson zachowywali milczenie, nie odrywając wzroku od gaci.

– Nadzwyczajne i zaskakujące rzeczy przekazał nam też Schilling w kwestii specyfików, za pomocą których Czarni Jeźdźcy wprawiają się w trans. Uważano, że najsilniejsze właściwości odurzające i halucynogenne mają substancje występujące w dziełach Gebera i Avicenny jako *al-qili*, a które w Pradze nazwaliśmy alkaloidami. Miano je za ekstrakty z ziół czarodziejskich, a co się okazuje tymczasem? Że rosną w pierwszym lepszym lasku! Że chodzi o zwykłą solankę gęsią nożkę i jeszcze od niej zwyklejszy muchomór, *muscarius*. To są właśnie podstawowe składniki owego słynnego odurzającego napoju, w rękopisach Morienusa nazywanego: „bhang". Przedstawiacie sobie?

Szarlej i Samson zapewne sobie przedstawiali. A jeśli nawet nie, to nie dali tego po sobie poznać. Ni słowem, ni gestem, ni wyrazem twarzy.

– A ów osławiony, owiany tajemnicą haszsz'isz, którym odurzał swych asasynów al-Hasan ibn-al-Sabbah, Starzec z Gór, w swej górskiej cytadeli Alamut? Tym samym haszsz'iszem, jak podejrzewałem, odurzają się również Czarni Jeźdźcy Grellenorta. Sporządza się go z żywicy kwiatostanów rośliny zwanej z grecka kannabis, podobnej do konopi. Jak się jednak okazuje, są dwie odmiany tego specyfiku. Jedna nosi nazwę ghandżja i jest napojem, pije się ją i wpada w euforyczny trans. Drugą, zwaną haszsz'isz, zapala się, a dym wdycha... Wiem, brzmi to nieprawdopodobnie, ale Bruno Schilling przysięgał...

– Ten Bruno Schilling – wtrącił spokojnie Szarlej – zamordował ci brata, specjalisto. Trudno mi się wczuć, jestem jedynakiem, sądzę jednak, że z zabójcą brata, gdybym miał brata, nie rozprawiałbym o magii i muchomorach. Skręciłbym mu po prostu kark. Gołymi rękami.

– Sam mnie kiedyś przekonywałeś o bezsensie zemsty – uciął kwaśno Reynevan. – A z Schillingem nie rozprawiam, lecz przesłuchuję go. A jeśli kiedyś wystawię komuś rachunek za Peterlina, to będzie to inspirator zbrodni, nie ślepe narzędzie. Do tego przyda mi się wiedza zdobyta podczas przesłuchań.

– A Jutta? – spytał cicho Samson Miodek. – W jakim stopniu wiedza o *al-qili* i haszsz'iszu posłuży temu, by ją uwolnić i ocalić?

– Jutta... – zająknął się Reynevan. – Wnet wyruszymy na ratunek. Wkrótce. Horn obiecał pomóc, a bez pomocy się nam nie obejść. Ja pomogę jemu, on pomoże nam... Dotrzyma słowa.

– Dotrzyma – Szarlej wstał, przeciągnął się. – Albo nie dotrzyma. Niezbadane są wyroki.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że życie nauczyło mnie nie ufać zbyt pochopnie i zawsze mieć w zanadrzu plan awaryjny.

– Co, pytam raz jeszcze, chcesz przez to powiedzieć?

– Nic poza tym, co powiedziałem.

●

– Panie Horn?

– Tak?

– Przyrzekliście mi wolność. Gdy wszystko uczciwie i skrupulatnie wyznam.

– Nie wszystko jeszcze wyznałeś. Nadto po co ci wolność? Grellenort wytropi cię i wykończy nawet na końcu świata. A na Sowińcu cię nie znajdzie.

– Przyrzekliście...

– Wiem, Schilling, wiem. Przyrzekłem, dotrzymam. Gdy wszystko wyznasz. Wyznawaj więc. Ilu ludzi zabiliście?

Reynevan nie oczekiwał, że pytanie speszy Schillinga. Nie pomylił się. Nie speszyło. Renegat zmrużył tylko lekko oczy. I odrobinę dłużej niż zwykle zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Myślę – odpowiedział wreszcie z obojętną miną – że chyba więcej niż trzydziestu. Liczę jeno tych, którzy byli celem głównym, tych, których z imienia wskazał nam Grellenort. Jeśli nie dało się takiego dopaść samego, w pojedynkę... Wtenczas ginęli i postronni. Kompanioni, ciury, pachołcy... Czasem krewni...

– Kupca Czajkę zamordowaliście wraz z żoną – Horn spokojnym głosem udowodnił, że poinformowany jest dobrze i że wie, w czym rzecz. – Johann Cluger i cała jego rodzina zginęli w pożarze, w domu, który podpaliliście, tarasując uprzednio drzwi i okna.

– Bywało tak – przyznał sucho renegat. – Ale rzadko. Zwykle czatowaliśmy na samojednych...

– Jak na mojego brata... – Reynevan sam dziwił się swemu spokojowi. – Opowiedz mi o tym zabójstwie. Bo przecież brałeś w nim udział.

– Ano, brałem – w podsinionych oczach Schillinga mignęło coś dziwnego. – Ale... Musicie wiedzieć... Byłem na ghandżji i haszsz'iszu, wszyscy byliśmy, jako zwykle. Wonczas nie wie się, sen czy jawa... Ale nie ugodziłem waszego brata, panie Bielau. Nie kłamię. By was w tym utwierdzić, rzeknę, że ugodzić chciałem, alem się zwyczajnie nie dopchał. Było nas wtedy ośmiu, Grellenort dziewiąty. On, Grellenort, uderzył pierwszy.

– Brat... – Reynevan przełknął ślinę. – Umarł szybko?

– Nie.

– Zawsze jeździliście zabijać pod komendą Grellenorta? – Horn uznał, że czas wkroczyć i zmienić temat. – Wiem, że niekiedy zabijał sam. Własnoręcznie.

– Bo lubił – skrzywił wargi renegat. – Ale główną miarą szło o to, by na kogo innego skierować podejrzenie. Albo postrach wzbudzać, że niby to siła jakaś nieczysta kupców zabija. Było raz, w 1425, po Matce Boskiej Śnieżnej kazał nam Grellenort wykończyć mistrza rymarskiego w Nysie, zapomniałem, jak go zwali, potem zaś bystro pod Świdnicę jechać i ubić kupca Neumarkta. On zaś, Grellenort, w tenże czas własną ręką zakatrupił niejakiego Pfefferkorna w kruchcie niemodlińskiego kościoła i zaraz po tym rycerza Albrechta Barta pod Strzelinem. No i wierzyli ludziska, że to sprawka Złego albo z diabłem w zmowie. A o to szło.

– Pod Stary Wielisław – wyrzekł Horn – Grellenort przywiódł dziesiątkę Jeźdźców. Prócz ciebie, który tchórzliwie dałeś drapaka, żaden głowy z bitwy nie uniósł. Ilu zostało na Sensenbergu?

– Nie dawałem drapaka i nie jestem tchórzem – niespodzianie żywo zareagował Bruno Schilling. – Porzuciłem Grellenorta, bom to od dawna planował i ino sposobności wyglądał. Bom dość miał tych wszystkich zbrodni. Bom się kary Bożej zląkł. Bo nam Grellenort „*Adsumus*” i „*Veni ad nos*” wołać kazał. I wołaliśmy. Krzyczeliśmy, mordując: „*In nomine Tuo!*” A jak przychodziło otrzeźwienie po ghandżji, strach brał. Przed karą Bożą za bluźnierstwo. I zdecydowałem się porzucić... Porzucić i odpokutować... Nie jestem ja całkiem i do gruntu zły...

Kłamie, pomyślał Reynevan, a oczy i głowę raptownie wypełniły mu wizje, wizje wyraźne i brutalnie czyste. Dławiący się krzyk, krew, odbity

w klindze blask pożaru, odbita w polerowanej stali wykrzywiona twarz Schillinga, jego okrutny rechot. Znowu krew, sikająca strumieniami na strzemiona i tkwiące w nich szpiczaste żelazne sabatony, znowu pożar, znowu rechot, ohydne klątwy, miecze, siekące po rękach czepiających się buchającego ogniem i żarem okna. Kłamie, wzdrygnął się Reynevan. Kłamie. Jest z gruntu i dogłębnie zły. Tylko takich przyciąga Sensenberg i czary Grellenorta.

– Kłamiesz, Schilling – powiedział beznamiętnie Horn. – Ale ja nie o to pytałem. Ilu Jeźdźców zostało na Sensenbergu?

– Góra dziesięciu. Ale Grellenort wkrótce będzie dysponował tyloma, ilu mu potrzeba. Jeśli już nie dysponuje. Ma na to sposób.

– Jaki?

Renegat otworzył usta, chciał coś powiedzieć, zająknął się. Rzucił okiem na Reynevana, szybko odwrócił wzrok.

– On przyciąga, panie Horn. Przyciąga do siebie... niektórych. Wabi, jakby... No... Jak...

– Jak płomień ćmy?

– Tak właśnie.

●

Wyprawa, jaką sowiniecka załoga przedsięwzięła dokądś na południe, musiała się powieść i opłacić. Knechci wrócili weseli i właśnie jeszcze bardziej się rozweselali. Niektórzy, wnosząc z nieskładnej mowy i śpiewu, bliscy byli nawet rozweselenia się do nieprzytomności.

Tři věci na světě
hojí všecky rány:
vínečko, panenka
a sáček nacpaný!

– Horn?

– Słucham cię, Reinmarze.

– W jaki sposób dowiedziałeś się o dezercji Schillinga? I o tym, że Ungerath ma go i chce wymienić na syna?

– Mam swoje źródła.

– Bardzoś lakoniczny. O nic więcej nie zapytam.

– I dobrze.

– Miast pytać, stwierdzę: Schilling był jedynym powodem twojej akcji nad Olzą.

– Owszem – przyznał obojętnie Horn po chwili przerywanej hukaniem sów ciszy. – Dla mnie. Dla innych powodem był Kochłowski. Gdyby nie Kochłowski, nie dostałbym od Korybuta ani ludzi z Odr, ani pieniędzy. Kochłowski to ważna figura w handlu bronią. A zmiana barw i stron przez Jana z Kravarz była nader szczęśliwym trafem, nic ponadto. O tobie zaś, by uprzedzić następne pytanie, nawet nie wiedziałem. Ale ucieszyłem się na twój widok.

– Miło z twojej strony.

Odgłosy z podwórca cichły. Nieliczni trzeźwiejsi burgmani śpiewali jeszcze. Ale w repertuarze jęły przeważać kawałki mniej jakby ucieszne.

Ze země jsem na zem přišel,
na zemi jsem rozum našel,
po ní chodím jako pán,
do ní budu zakopán...

– Horn?

– Słucham cię, Reinmarze.

– Nie znam twoich planów w tym względzie, ale sądzę...

– Powiedz mi, co sądzisz.

– Sądzę, że to, co wiemy o Perferro, powinniśmy zachować w tajemnicy. Nie mamy pojęcia, kto mógł zostać otruty, a gdybyśmy nawet wiedzieli, nie mamy możliwości pomóc. Jeśli zaś rozejdą się słuchy o truciźnie, zapanuje zamieszanie, panika, strach, diabli wiedzą, jakie to może mieć konsekwencje. Powinniśmy milczeć.

– Czytasz w moich myślach.

– O Perferro wiemy my dwaj i Schilling. Schilling, jak mniemam, nie opuści Sowińca. Nie wyjdzie stąd, by rozpowiadać.

– Dobrze mniemasz.

– Mimo danego mu przyrzeczenia?

– Mimo. O co ci chodzi, Reynevan? Nie bez kozery wszak zacząłeś tę rozmowę.

– Poprosiłeś mnie o pomoc, pomogłem. Minął prawie tydzień. Nie wypytujesz już Schillinga o sprawy związane z magią. Mnie zaś każdy dzień, każda godzina spędzona na Sowińcu przypomina, że gdzieś tam daleko uwięziona Jutta wygląda ratunku. Mam zatem zamiar odjechać.

W najbliższym czasie. Uspokoiwszy cię wpierw. Wszystko, czego się tu dowiedziałem, zwłaszcza o Perferro, zachowam w sekrecie, nikomu i nigdy tego nie zdradzę.

Horn milczał długo, sprawiając wrażenie zasłuchanego w pohukiwanie sów.

– Nie zdradzisz, powiadasz. To dobrze, Reinmarze. Bardzo mnie to cieszy. Dobranoc.

●

Zima całkiem, jak się zdawało, ustąpiła już pola wiośnie. I nie wyglądało, by chciała o to pole walczyć. Był dzień świętych Cyryla i Metodego, ósmy marca Anno Incarnationis Domini 1429.

●

Horn czekał na Reynevana w komnacie myśliwskiej Sowińca, udekorowanej licznymi trofeami łowieckimi.

– Wyjeżdżamy – zaczął bez wstępów Reynevan, gdy usiedli. – Jeszcze dziś. Szarlej i Samson pakują juki.

Horn milczał długo.

– Zamierzam – oświadczył wreszcie – zaatakować, zdobyć i spalić Sensenberg. Zamierzam wykończyć do ostatniego Czarnych Jeźdźców. Zamierzam wykończyć Birkarta Grellenorta, wykorzystawszy go wprzód do zdyskredytowania i zniszczenia Konrada z Oleśnicy, biskupa Wrocławia. Mówię ci to, byś znał moje zamiary, choć i tak z pewnością domyśliłeś się ich po pytaniach, które stawiałem Schillingowi. I pytam cię wprost: chcesz wziąć w tym udział? Być przy tym? I przyłożyć się?

– Nie.

– Nie?

– Nie przed oswobodzeniem Jutty. Jutta jest dla mnie ważniejsza. Najważniejsza, pojmujesz?

– Pojmuję. A teraz coś ci opowiem. Wysłuchaj. I postaraj się pojąć mnie.

– Horn, ja...

– Wysłuchaj.

– Nie jestem – zaczął Horn – ani Hornem, ani Urbanem. Przybrane imię, przybrane nazwisko. W istocie nazywam się Roth. Bernhard Roth.

Moją matką była Małgorzata Roth, beginka ze świdnickiego beginażu. Moją matkę zamordował Konrad, obecny biskup Wrocławia.

– Jak to było na Śląsku z begardami i beginkami, niezawodnie wiesz. Ledwo trzy lata po tym, jak sobór w Vienne ogłosił ich heretykami, biskup Henryk z Wierzbna zarządził wielkie polowanie. Naprędce powołany dominikańsko-franciszkański trybunał poddał torturom i posłał na stos ponad pół setki mężczyzn, kobiet i dzieci. Pomimo tego begardzi uchowali się, nie zdołano ich wytrzebić także podczas kolejnych fal prześladowań, w 1330, gdy szalał Schwenckefeld, i w 1372, gdy zawitała do nas Czarna Śmierć. Stosy płonęły, begardzi trwali. Gdy w roku 1393 wszczęto kolejną nagonkę, moja matka miała czternaście lat. Uchowała się dotąd, może dlatego, że była w beginażu mało ostentacyjna, mało rzucała się w oczy, dzień i noc tyrając w szpitalu Świętego Michała.

– Ale przyszedł rok 1411. Na Śląsk wróciła zaraza i na gwałt szukano winnych, przy czym nie Żydów, Żydzi jako winni już się opatrzyli, potrzebne było urozmaicenie. A matkę opuściło szczęście. Sąsiedzi i współobywatele uczyli się szybko. Już podczas poprzednich łowów wyszło na jaw, że denuncjować się opłaca, że jest z tego wymierny zysk. Że jest z tego łaska władz. I że nie ma lepszego sposobu, by odsunąć podejrzenia od własnej osoby.

– A nade wszystko był tam Konrad, pierworodny syn księcia Oleśnicy. Konrad, który bezbłędnie wyczuł, gdzie jest prawdziwa władza, zrezygnował z rządów nad odziedziczonym księstwem, wybrał karierę duchowną. W 1411 był prepozytem wrocławskiej kapituły katedralnej i bardzo, bardzo pragnął być biskupem. Do tego trzeba jednak było wykazać się, zasłynąć. Najlepiej jako obrońca wiary, postrach kacerzy, odstępców i czarowników.

– I oto z donosów wynika, że pomimo bogobojnych wysiłków przetrwała w Świdnicy i Jaworze begardzka zaraza, że istnieją jeszcze katarzy i waldensi, że wciąż działa Kościół Wolnego Ducha. I znowu dominikańsko-franciszkański trybunał bierze się do pracy. Trybunałowi aktywnie pomaga świdnicki oprawca, Jorg Schmiede, pracujący z zapałem i entuzjazmem. I jemu to zawdzięczać należy, że obrzydła beginka i heretyczka Małgorzata Roth przyznała się do wszystkich zarzucanych jej czynów. Że modliła się o powtórne przyjście Lucyfera. Że dokonywała zabiegów aborcyjnych i dopuszczała się badań

prenatalnych. Że spółkowała z diabłem i rabinem, jednocześnie zresztą. Że z tego spółkowania miała bękarta. Czyli mnie. Że zatruwała studnie, szerząc tym samym zarazę. Że wykopywała na cmentarzu i bezcześciła zwłoki. I wreszcie najstraszniejsze: że w kościele, podczas Podniesienia, nie patrzyła na hostię, lecz na ścianę.

– Kończąc: matkę spalono na stosie na błoniu za kościołem Świętego Mikołaja i cmentarzem zadżumionych. Przed śmiercią pokajała się, okazano jej więc łaskę. Podwójną. Uduszono ją przed spaleniem i oszczędzono jej bękarta. Miast utopić, czego domagali się sędziowie, oddano mnie do klasztoru. Wpierw jednak kazano mi patrzeć, jak ciało matki syczy, wzbiera bąblami i wreszcie zwęgla się przy palu. Miałem dziewięć lat. Nie płakałem. Od tamtego dnia nie płakałem. Nigdy. Przez dwa lata w klasztorze. Głodzony, bity, znieważany. Po raz pierwszy rozpłakałem się w roku 1414, w Zaduszki. Na wieść o tym, że oprawca Jorg Schmiede zmarł, przeziębiwszy się. Płakałem z wściekłości, że mi się wymknął, że nie będę mógł z nim zrobić tego, co podczas bezsennych nocy obmyśliłem i w szczegółach zaplanowałem.

– Ten szczenięcy płacz zmienił mnie. Przejrzałem. Pojąłem, że głupotą jest szukanie zemsty na narzędziach i wykonawcach, że niepotrzebną stratą czasu jest tropienie i wykańczanie donosicieli, fałszywych świadków, członków trybunału, a nawet przewodniczącego, świątobliwego Piotra Bancza, lektora świdnickich dominikanów. Zrezygnowałem z nich. Postanawiając zarazem twardo, że zrobię wszystko, by dosięgnąć prawdziwego winowajcę. Konrada, biskupa Wrocławia. Niełatwo dosięgnąć kogoś takiego jak Konrad, potrzebny jest szczęśliwy traf, szansa. I oto Bruno Schilling jest dla mnie taką szansą.

– Musisz zrozumieć więc moje racje, Reinmarze, musisz pojąć, że inaczej postąpić nie mogę. Nie ma, jak mawiają, dymu bez ognia. Nie mogę wykluczyć, że jednak cię przewerbowano, że pracujesz dla tamtej strony. Teraz, po przesłuchaniach Schillinga, zwyczajnie za dużo wiesz, bym mógł pozwolić ci odejść. Bo być może i pomknąłbyś stąd, szlachetny i szalony Lancelocie, prosto na odsiecz i ratunek twej ukochanej Ginewrze. Być może dotrzymałbyś obietnicy dochowania sekretu. Myślę, ba, wierzę, że tak byś właśnie postąpił i tak się zachował. Ale nie mogę wykluczyć innych zachowań. Takich, które mogłyby

zniweczyć moje plany. Nie mogę ryzykować. Zostaniesz tu, na Sowińcu. Tak długo, jak to będzie konieczne.

– Siedzisz spokojnie – sam Horn przerwał długie milczenie, jakie zapadło po jego wypowiedzi. – Nie wrzeszczysz, nie ciskasz wyzwiskami, nie rzucasz się na mnie... Widzę dwa wytłumaczenia. Pierwsze: zmądrzałeś. Drugie...

– Właśnie drugie.

Horn wstał. Nic więcej uczynić nie zdołał. Drzwi otwarły się z trzaskiem, do komnaty wpadli Szarlej, Samson i Houżviczka. Houżviczka trzymał napiętą kuszę i celował z niej wprost w twarz niedawnego szefa.

– Kozik, Horn. – Bystrym oczom Szarleja jak zwykle nic nie uchodziło. – Kozik na podłogę.

Houżviczka uniósł kuszę. Urban Horn upuścił na podłogę sztylet, który zdołał niepostrzeżenie wydobyć z rękawa.

– Pomyliłeś się względem mnie – rzekł Reynevan. – Bo ja, widzisz, przestałem być naiwnym idealistą. Stosując się zresztą do twych światłych nauk. Przeszedłem na wyrachowany pragmatyzm i praktycyzm, na stosowne przekonania i zasady. Że mój własny interes stoi w hierarchii wyżej od cudzych. Że zawsze trzeba mieć w zanadrzu plan awaryjny. I że jeśli w coś wierzyć, to najlepiej w złote węgierskie dukaty, za które można kupić niejedną lojalność. Twoi burgmani wrócą z wyprawy dopiero pojutrze, twoi knechci siedzą pod kluczem. Ty też pójdziesz pod klucz. Do celi. My zaś odjedziemy.

– Gratuluję, Szarleju. – Horn splótł ręce na piersi. – Gratuluję tobie, bo to wszak twój plan i twoja akcja; mając się za przebiegłego pragmatyka, Reinmar nazbyt sobie pochlebia. Cóż, dobra wasza, zła moja. Jest was trzech, nie licząc tego zdrajcy z kuszą, którego, Bóg to widzi, kiedyś pociągnę do odpowiedzialności. Jednak ty, Szarleju, rozczarowałeś mnie. Miałem cię za mężczyznę.

– Horn – przerwał Szarlej. – Przejdź do rzeczy. Albo przejdź do celi.

– Straszyłbyś mnie celą, gdyby nas tu było tylko dwu? Ty i ja? Jeden na jednego? *Le combat singulier?* Nie chciałbyś się przekonać, co by wówczas zaszło?

Samson pokręcił głową. Reynevan otworzył usta, ale Szarlej uciszył go gestem.

– Przekonajmy się więc, co by zaszło. Naprawdę tego chcesz?

Horn nie odpowiedział. Miast tego skoczył, jak pchnięty sprężyną, potężnie kopnął Szarleja w pierś. Demeryt poleciał na bieloną ścianę, odbił się od niej plecami, uskoczył szybko, ale Horn był jeszcze szybszy. Dopadł, uderzył prawym sierpowym w szczękę, poprawił lewym, Szarlej upadł, druzgocąc zydel, Horn już był przy nim, biorąc zamach do kopniaka. Demeryt wykręcił się, capnął go oburącz za nogę i obalił. Zerwali się z podłogi niemal jednocześnie. Ale to już był koniec walki. Horn wyprowadził sierpowy, Szarlej delikatnym, niemal niezauważalnym zwodem uniknął pięści, z obrotu krótko huknął Horna w podbródek, poprawił z zamachu, aż się rozległo, z piruetu uderzył w twarz łokciem, z drugiego piruetu przedramieniem, z odwrotnego obrotu kułakiem. Po tym ostatnim ciosie Horn przestał być zdolny do walki. Demeryt dla dobrej miary walnął go jeszcze raz, bardzo mocno, po czym kopnął, definitywnie kładąc na deski.

– No, to by chyba było na tyle. – Otarł wargę, wypluł krew. – Przekonaliśmy się. Do celi, Horn.

– Zamkniemy cię oddzielnie – zaproponował Reynevan, wraz z Samsonem pomagając Hornowi wstać. – A może wolisz razem z Schillingiem? Pogadacie sobie. Przy gadce czas mniej się dłuży.

Horn spojrzał na niego jadowicie zza szybko rosnącej opuchlizny. Reynevan wzruszył ramionami.

– Twoi ludzie, gdy wrócą, wypuszczą cię. My już wówczas będziemy daleko. A tak nawiasem, do twojej wiadomości i dla uspokojenia: mknę, jak Lancelot, na odsiecz Ginewrze, porwanej przez złego Meleaganta. Inne zagadnienia, w tym twoje plany, chwilowo mnie nie interesują. Niweczyć, w szczególności, ich nie zamierzam. A sekretu dochowam. Z Bogiem więc. I nie wspominaj źle.

– Idź do diabła.

●

Na podwórcu Houžviczka, Smetiak i Zahradil otrzymali od Szarleja wypruty z siodła skórzany pakiecik. Było to dwadzieścia madziarskich dukatów w złocie, druga rata, obiecana i należna po wykonaniu usługi. Szarlej nie był taki głupi, by dawać im całość od razu. Morawianie nie mieszkając wskoczyli na siodła i znikli w oddali.

– Pośpiech zrozumiały i wskazany – skomentował Szarlej, patrząc im w ślad. – Ich powtórne spotkanie z Urbanem Hornem mogłoby

skończyć się niemiło. Stryczkiem w najlepszym razie, bo i powolniejszej śmierci bym nie wykluczał. Co jako żywo przypomina mi, że i my winniśmy oddalić się co rychlej.

– Zamiast gadać, popędź konia. W drogę!

Podkowy głośnym echem zadudniły pod sklepieniem bramy. A potem owiał ich wiatr, ciepły wiatr od Oderskich Wierchów.

Ruszyli galopem po stromiźnie wzgórza, drogą wiodącą w dolinę.

W dolinie wjechali w lasy, w ciemny i wilgotny leśny wąwóz. Wąwóz wywiódł ich na gołoborze.

A tu drogę zagrodziło im pół setki jeźdźców.

Jeden, wierzchem na siwku, wyjechał przed szereg.

– Reynevan? Dobrze, że cię widzę – powiedział Prokop Goły, zwany Wielkim, najwyższy hejtman Taboru, *director operationum Thaboritarum*. – Właśnie cię szukam. Jesteś mi pilnie potrzebny.

Rozdział siódmy

w którym na chwilę porzucamy bohaterów na Morawach, by przenieść się – również w czasie – do miasta Wrocławia. Które, jak się okaże, bywa miastem niebezpiecznym.

– Antychryst – przeczytał z przejęciem pisarz, schylony nad arkuszem – ma być z pokolenia Dana.

Odchrząknął, spojrzał na biskupa. Konrad z Oleśnicy łyknął z kielicha, zapatrzony w uchylone, błyskające refleksami światła okno. Wydawało się, że nie słucha, że przygotowany tekst w ogóle go nie obchodzi. Pisarz wiedział, że tak nie było bynajmniej.

– Święty Ireneusz – wznowił czytanie – tak o antychryście trzyma, iż na końcu świata przyjść ma, półczwarta lata królować, w Jeruzalem świątynię sobie zbudować, mocą króle opanować, święte trapić i cały Kościół Boży zburzyć. Zwać go mają z proroctwa Objawienia liczbą 666, a będą to imiona Evanthas, Lateinos, Teitan. Hipolit Męczennik kładzie wszelako owo 666 na imiona Kakos, Olicos, Alittis, Blaueros, Antemos i Genesiricos. Także imię tureckie Mahometis kładą, na które też służy 666, z liter greckich, któremi liczbę sądzą. A to jeszcze wywieść można, że jeśli od 666 odejmiem ilość ryb, jakie w Morzu Tyberiadzkim złowił Piotr, a zasię pomnożym przez liczbę żeglarzy na okręcie, którym żeglował do Italii Paweł, i podzielim przez długość arki w przybytku Bożym podług księgi Exodus, wyjdzie w języku kapadockim jako żywo „Ioannes Hus apostata". Z tego wszystkiego pokazuje się niezmierny niewstyd heretyków, którzy owego Husa czczą. O, wy mizerni przesłańcy antychrystowi! Już w was antychryst tajemnice swoje sprawuje, gdy sakramenta i ofiary wymiatacie; gdy Boga w Trójcy i Najświętszą Panienkę bluźnicie, gdy bóstwo Synowi Bożemu, abyście je antychrystowi przypisali, odejmujecie, gdy wszystkie niezgody, zbrodnie i ohydy siejecie, gdy wszystkę prawdę wiary świętej katolickiej depczecie. Boże! Zmiłuj się nad wami.

Pisarz opuścił arkusz, zerknął trwożliwie na lico biskupa Konrada, z którego jednak wciąż trudno było coś wyczytać.

– Dobre – ocenił wreszcie biskup ku uldze skryby. – Całkiem dobre. Iście niewiele jest do poprawienia. Tam, gdzie mowa o mizernych husytach, dopisz jeszcze „O, Czesi, wy nikczemna nacjo słowiańska". Nie, nie, lepiej „podła i nikczemna..."

– „Podła, nikczemna i pogardy godna" – poprawił Pomurnik. – Tak będzie najlepiej.

Pisarz zbladł, pobielał jak papier, który trzymał, widział bowiem to, czego nie zobaczył odwrócony plecami biskup. To mianowicie, jak siadający na parapecie ptak zamienia się w człowieka. Czarnowłosego, czarno odzianego, o jakby ptasiej fizjonomii. I wejrzeniu demona.

– Przepisz postyllę. – Szorstki rozkaz biskupa wyrwał pisarza z osłupienia i przywrócił światu. – Przepisawszy, daj do kancelarii, niechaj powielą i po kościołach rozniosą, proboszczom dla kazań. Idź.

Skryba, przyciskając swe dzieło do brzucha, zgiął się w ukłonie, rakiem cofając się w stronę drzwi. Biskup Konrad westchnął ciężko, upił wina, dał znać pacholikowi, że może mu dolać. Pacholikowi trzęsły się ręce, szyjka karafy dzwoniła o brzeg pucharu. Biskup odprawił go gestem.

– Dawno się nie pokazywałeś – zwrócił się do Pomurnika, gdy zostali sami. – Dawnoś nie wlatywał oknem, nie zatrważał mi służby, dawnoś nie rodził plotek. Już się zaczynałem martwić. Gdzieżeś to bywał, synu, cóżeś to czynił? Pozwól, niech zgadnę: studiowałeś na Sensenbergu diabelskie księgi i grymuary? Ogłupiałeś się haszsz'iszem i jadem z muchomorów? Wywoływałeś Szatana? Czciłeś demony, składałeś im ludzi w ofierze? Mordowałeś więźniów w celach? Traciłeś podwładnych, twych słynnych Czarnych Jeźdźców, na polach bitewnych? Pozwalałeś wymykać się zdrajcom i wodzić za nos szpiegom? Nuże, synu, opowiadaj. Relacjonuj. Pochwal się, które z moich rozkazów i poleceń zlekceważyłeś ostatnio. W jaki sposób psułeś mi ostatnimi czasy reputację.

– Skończyłeś, ojczulku?

– Nie, synu. Nie skończyłem z tobą. Ale wierz mi, naprawdę kusi mnie, by wreszcie skończyć.

– Skoro o tym mówisz, nie jest tak źle – błysnął zębami Pomurnik, rozpierając się w dębowym karle. – Gdybym naprawdę dokuczył albo przestał być użyteczny, wykończyłbyś mnie po cichu i bez ostrzeżenia. I bez litości. Nie bacząc na więzy krwi.

– Już ci mówiłem – zmrużył oczy Konrad – i nie każ mi powtarzać. Nie ma między nami żadnych więzów krwi. Zwę cię synem i traktuję jak syna. Ale moim synem nie jesteś. Jesteś synem czarownicy, trucicielki, do tego przechrzty, którą ocaliłem od stosu, robiąc z niej mniszkę. Fakt, że wielekroć czyniłem twej matce zaszczyt chędożenia jej, bynajmniej nie oznacza, iżeś owocem mych lędźwi, Birkarcie, żeś z mojego się począł nasienia. Skłaniam się ku mniemaniu, synu, że spłodził cię sam Diabeł. I nie w tym rzecz bynajmniej, że w Lubaniu żaden śmiertelny mężczyzna nie mógł mieć do twej matki przystępu, zbyt dobrze znam zarówno żeńskie klasztory, jak i temperament twojej chutliwej mamusi, głowę dam, że niejeden ksiądz spowiednik wzuł ją tam na dzidę. Jednak to twój charakter zdradza, za czyją naprawdę sprawą przyszedłeś na świat.

– Mów dalej, ojczulku, mów dalej. Niech ci ulży.

– Wychodzi – ciągnął biskup, bawiąc się nóżką kielicha i wyrazem twarzy Pomurnika – żeś jest synem Diabła i wszetecznej Żydówki. Wypisz, wymaluj: antychryst, bohater moich ostatnich propagandowych postylli. Evanthas, Lateinos lub inny Kakos czy też Kutos, zapomniałem. Nalej mi wina. Wypłoszyłeś służbę, to sam usługuj. I mów, co masz do mnie. Czego chcesz?

– Niczego. Wpadłem złożyć uszanowanie. Spytać o zdrowie, wszak godzi się synowi interesować zdrowiem rodzica. Chciałem, jak dobry syn, spytać, może ojcu czego trzeba? Może potrzebuje ojciec jakichś synowskich posług? Albo usług?

– Poniewczasie twa troska. Potrzebowałem cię przed miesiącem. I iście szkoda, że nie było cię pod ręką. Szkoda i dla ciebie, jak sądzę. Reynevan z Bielawy pojawił się we Wrocławiu. A tobie kiedyś dziwnie na nim zależało.

Twarz Pomurnika zmieniła się nieznacznie. Tak nieznacznie, że nie spostrzegłby tego nikt, kto Pomurnika nie znał. Biskup Pomurnika znał.

– Miesiąc po tym, jak go ekskomunikowałem – ciągnął. – Dwa miesiące po Wielisławiu, gdzie ciebie pokonał i upokorzył, ten łotr ośmiela się pokazać swą heretycką gębę w moim mieście. Mało tego: udaje mu się uciec. Samych głupców mam w służbie, na Szatana, głupców i niedorajdów.

– Co on robił we Wrocławiu? – spytał przez zaciśnięte zęby Pomurnik. – Czego tu szukał? Był sam czy z kompanami? Kto i jak go zdemaskował?

Jakim cudem uciekł? Szczegóły, biskupie. Szczegóły.

– Nie obchodzą mnie szczegóły – parsknął Konrad. – Obchodzi mnie efekt, a ten jest żaden. O detale nie pytałem, i tak by mnie okłamali, chcąc ukryć własną nieudolność. Wybadaj Kuczerę von Hunta, może coś z niego wyciągniesz. A teraz idź. Zjawiłeś się nie w porę. Oczekuję gościa. Oswald von Langenreuth, sekretarz i doradca Konrada von Dauna, arcybiskupa mogunckiego. Przybywa wprost z Wołynia. Z Łucka.

– Chciałbym zostać. Łuck i mnie interesuje. W pewnej mierze.

– Zostań – zgodził się biskup po chwili namysłu. – Na zwykłych warunkach, rzecz jasna. W klatce, znaczy.

Pomurnik uśmiechnął się, uśmiech, zdawałoby się, przetrwał metamorfozę, rozwarty w skrzeku dziób ptaka dziwnie z uśmiechem się kojarzył. Ptak strzepnął skrzydłami, łypnął czarnym okiem, podfrunął do stojącej w rogu komnaty złoconej klatki, siadł, strosząc pióra, na złotej grzędzie.

– Żadnego bicia skrzydłami – uprzedził biskup, kołysząc wino w pucharze. – Żadnego krakania w nieodpowiednich momentach. Wejść!

– Jaśnie wielmożny pan – zaanonsował sługa – Oswald von Langenreuth.

– Prosić. Witam, witam.

– Wasza biskupia dostojność – Oswald von Langenreuth, starszawy, wysoki, ascetycznie chudy i bogato odziany mężczyzna, skłonił się z szacunkiem. – Wasza dostojność jak zwykle prezentuje się młodzieńczo, zdrowo i w pełni sił. Taki wygląd cóż sprawia? Czyżby czary?

– Praca i modlitwa – odrzekł Konrad. – Pobożność i wstrzemięźliwość. Siadajcie, siadajcie, miły panie Langenreuth. Skosztujcie alikantu, z Aragonii przywiezionego. A wnet jesiotra podadzą. Wybaczcie, że tak skromnie. Wszak post.

W okno wdarł się powiew. Ciepły i wiosenny.

– Mówcież, mówcież – skinął biskup, splatając palce. – Ciekawym wieści z dalekiego Wołynia. Był tu niedawno jego wielebność legat papieski Andrea de Palatio. Podobnie jak wy z Łucka właśnie powracał, ale mnie ploteczkami uraczyć zaniedbał, okrutnie się do dom spieszył... A minę kwaśną miał, oj, kwaśną... Tak przy okazji, wiecie, jak Czesi nazwali ów Łuck? Zjazdem trzech starców.

– Ci trzej starcy rządzą połową Europy – zauważył cierpko Oswald von Langenreuth. – Drugą zaś połowę chronią przed inwazją Turków.

Najstarszy zaś i najbardziej zgrzybiały ze starców ma dwóch synów, gwarantujących ciągłość założonej przez starca dynastii.

– Wiem. Najmłodszy zaś ze starców jest naszym królem. A niebawem, co daj nam Bóg, będzie cesarzem. Zasługuje na to jak najbardziej. Zwłaszcza po tym, com o Łucku słyszał.

– I dziwi was kwaśna mina legata? – uniósł brwi Langenreuth. – Andrea de Palatio powiózł był do Polski tajne papieskie bulle. Jego świątobliwość Marcin V nawołuje w nich i zachęca króla Władysława i księcia Witolda do świętego dzieła i zbożnego trudu, jakim będzie krucjata na Czechy. Przez, cytuję, wzgląd na Boga, miłosierdzie i dobro duszy namiestnik Piotrowy wzywa króla Polski i wielkiego księcia Litwy, by ruszyli na Czechów, by ich nawracać, tępić i kres kłaść heretyckiej ich zakale. W imieniu Stolicy Apostolskiej papież zezwala na eksterminację kacerzy zgodnie z postanowieniami świętych praw Kościoła. Koniec cytatu. A co się w Łucku stało? Papieskie marzenia o krucjacie jako ten dym się rozwiały. Bo co uczynił w Łucku nasz drogi król, ów Zygmunt Luksemburski, któregoście cesarzem widzieć radzi? Ofiarował Witoldowi koronę. Koronę! Królem Litwy go czyni!

– Mądrze czyni.

– Niepojęty to rodzaj mądrości. Król rzymski już drugi raz zresztą taką mądrość przejawia. W roku 1420 wydając wyrok wrocławski rozwścieczył Witolda, dzięki temu mamy ninie w Czechach Korybuta i jego polski hufiec. Teraz dla odmiany Zygmunt rozwściecza Jagiełłę, oferując Witoldowi koronę i odrywając Litwę od Polski. Rozwścieczony Jagiełło mało że porzuci wszelkie plany krucjaty na Czechów, on przymierze z husytami gotów zawrzeć! To macie za polityczną mądrość, cny biskupie? Doprowadzenie do aliansu Polski i Czech? Chcecie, wy i wasz król Zygmunt, mieć przeciw sobie armię, w której u boku zwycięzców spod Usti i Tachowa walczyć będą zwycięzcy spod Grunwaldu? Zeszłej wiosny Prokop stał pod murami Wrocławia. Dzięki polityce króla Zygmunta przyszłą wiosną może stanąć tu sprzymierzona armia czesko-polska. A wtedy ani się obejrzycie, jak będzie się w waszej katedrze udzielać komunii *sub utraque specie*. Z liturgią po polsku.

– Polakami mnie nie straszcie – parsknął biskup. – Im Grunwald trafia się raz na sto lat. I nawet gdy im się trafi, to wykorzystać nie umieją. Na przekór i mimo Grunwaldu Zakon Panny Marii wciąż trwa, wciąż jest silny, wciąż się z nim musi Polska liczyć. Zakon stoi na straży nas

wszystkich, całej nacji i Rzeszy niemieckiej. Polska dawno już byłaby objęła protekcję nad husytami, gdyby się nie bała Zakonu i kary, jaką by Zakon za to przewrotnej Polsce wymierzył. Najlepszym sposobem do wytępienia czeskiej zarazy jest zniszczyć źródło, skąd Czesi czerpią swe siły. Jagiełło herezję popiera, jawnie wręcz to czyni, papieżowi i Europie oczy jeno mydli. Nie dlatego legat odjechał z Polski z kwitkiem, że się król Zygmunt z Witoldem zbliżył, lecz dlatego, że Jagiełło nigdy o krucjacie nawet nie pomyślał, a na bulle papieskie pluje. Polska ma inne plany, panie Langenreuth, zupełnie inne. Ich plan to wespół z kacerzami w proch nas zetrzeć i słowiańskie panowanie nad Europą roztoczyć. Mądrze więc, po trzykroć mądrze król Zygmunt czyni, plany te krzyżując i niwecząc. Dla nas, nacji niemieckiej, groźna jest nie Polska i nie Litwa. Groźna jest unia. Korona dla Witolda oznacza koniec unii, korona wszak w koronę wcielona być nie może. Dając Witoldowi koronę, król Zygmunt rozbija unię. Rzuca kość niezgody. Może być z tego, co daj Bóg, nawet wojna polsko-litewska. Może z tego wyniknąć, co ziść Boże, rozbiór. Co? Panie Oswaldzie von Langenreuth? Nie uśmiecha się wam rozbiór Polski?

– Uśmiechałby – przyznał Langenreuth – gdybym był fantastą.

– Fantazje się ziszczają – uniósł się Konrad. – Mówi prorok Daniel, iż Bóg zmienia czasy i pory, utrąca królów i królów stanowi. Tedy módlmy się, by tak się stało. Daj nam Bóg nowe Cesarstwo Rzymskie, uczyń nam Zygmunta Luksemburskiego nowym Cezarem. Niechaj ziści się marzenie o Europie, o zjednoczonej Europie, którą rządzi Germania. Germania ponad wszystko! A inne narody na kolanach. Na kolanach, zhołdowane. Albo, na Szatana, wybite! W pień wycięte!

– A kacerze – kiwnął głową Langenreuth – jako psy na zewnątrz murów tej Nowej Jerozolimy. Wierę, piękna wizja. Aż żal, że realistą być życie nauczyło. Nie marzyć, lecz przewidywać, a przewidywać podług realiów. Przewiduję zatem, że nie dojdzie do Witoldowej koronacji. Nie przystanie na to Polska, nie przystanie papież. Luksemburczyk ręką machnie, inną intrygę gdzie indziej zacznie. Jagiełło w antyhusyckiej krucjacie udziału nie weźmie, Czechów wspierać nie przestanie. A Krzyżacy cicho siedzieć będą, bo wiedzą, że w przeciwnym razie mogą któregoś ranka zobaczyć husyckie wozy pod Malborkiem, Chojnicami, Tczewem i Gdańskiem.

– Gdzieście – zadrwił Konrad – taki bieg wydarzeń wyczytali? W gwiazdach?

– Nie – zaprzeczył zimno Oswald von Langenreuth. – W oczach biskupa krakowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego. Ale zostawmy to, dość będzie o Polsce, Litwie, o całym tym dzikim wschodzie. Pomówmy o naszych, zachodnich problemach. O zbliżającym się soborze. O sprawach wiary katolickiej... *Herrgott!* Co się stało waszemu ptakowi? Oszalał? Omal okna nie rozbił! Czemu nie zamykacie klatki?

– To wolne ptaszysko – odrzekł poważnie biskup Konrad. – Robi, co chce. Niektóre tematy go nudzą. Wtedy odlatuje.

●

Podkowy bułanego konia dzwoniły o kamienie podwórca, dźwięczne echo tłukło się wśród murów biskupiej rezydencji. Przechylona w kulbace Douce von Pack ściągała wodze w bok, obracała wierzchowca jak w tańcu, zmuszała do drobienia nogami. Nie spuszczała przy tym ciekawych oczu z Pomurnika, spiesznie idącego w stronę wrót. Pomurnik zauważył ją, ale spojrzenia nie odwzajemnił. Był zły.

– Jest zły – pokiwał głową Ulryk von Pack, pan na Klępinie. – Jest zły jak cholera. Zawzięty, widać.

– Zawzięty – potwierdził Kuczera von Hunt. – Jeszcze jak zawzięty.

– Wszystko mu rzekliście – stwierdził ponuro Hayn von Czirne, dowódca najemników wrocławskich. – Ledwo spytał, a wy od razu wszystko. O tropieniu tego Bielawy, o donosach... Całe śledztwo mu opowiedzieliście. A podobno nie lubicie go.

– A bo i prawda. – Kuczera splunął na kamienny próg, roztarł plwocinę butem. – Nie lubię skurwysyna. Ale biskup mi nakazał. A wroga w Grellenorcie nie chcę mieć. Wy też nie chcielibyście, wierzajcie.

– Wierzym – Ulryk Pack wzdrygnął się lekko. – Na honor, wierzym.

– Onże Bielawa ni brat mi, ni swat – powiedział Kuczera takim głosem, jakby się usprawiedliwiał. – Wyklęli go, znaczy, już po nim, policzone jego dni. Ale z tym, com mu rzekł, Grellenort nie pocznie wiele, nie zdziała więcej od nas. My dwie niedziele temu zupełnym przypadkiem przecie na ślad Bielawy wpadliśmy, tak samo i ratuszowi. Zupełnym przypadkiem. Nie wiada, czego on we Wrocławiu szukał i co knuł, gdzie się skrywał, jakich i ilu miał wspólników...

– Grellenort to czarownik – stwierdził ponuro Hayn von Czirne. – Czarną magią dokaże, czego wyście nie dokazali.

Na dziedzińcu znowu załomotały kopyta, Douce von Pack puściła konia w dziki galop. Idący podwórcem mnich franciszkanin przywarł do muru, paź w barwach biskupich uskoczył za filar, ledwo zdołał uskoczyć pisarz, roniąc i rozsypując naręcze dokumentów. Czirne i Hunt przyglądali się w milczeniu. Wiedzieli co nieco o dziewczynie, znali powód, który przywiódł Ulryka von Packa do Wrocławia. Douce, słodkie dziewczę o błękitnozielonych oczach i usteczkach aniołka, w Klępinie zabiła oszczepem dwóch włóczęgów i wiejskiego przygłupka, bez żadnego powodu, czym wzbudziła słuszny gniew klępińskiego plebana. Rycerz Ulryk przybył do biskupa z supliką, by raczył uciszyć klechę, psioczącego z ambony na całą familię Packów.

Hayn von Czirne odchrząknął.

– Ostro sobie poczyna – rzekł – wasza córa, panie Ulryku. W siodle, znaczy.

– Syna Bóg nie dał – odrzekł Ulryk Pack, jakby się usprawiedliwiał. – Czasem myślę, że może i dobrze. Natura, powiadają, równowagą stoi. Byłby syn, to by pewnie szydełkował.

●

– Pierwszą rzeczą – zrelacjonował szpieg, miętosząc czapkę w rękach – wziął się jegomość pan Grellenort wypytywać imć pana Kuczerę von Hunta. Używał magii, a dwojakiej. Raz, celem sprawdzenia prawdomówności. Dwa, by nastraszyć. Ale pan von Hunt zastraszyć się nie dał. Co panu Grellenortowi rzekł, to rzekł, ale znać było, że nierad pan Grellenort i że zły.

– On zawsze zły – skrzywił się biskup Konrad, pociągnąwszy tęgo z kubka. – Mów dalej, Grajcarek.

– Potem – szpieg oblizał wargi – pobieżał pan Grellenort do ratusza, stróżę grodową wypytywał. Potem zaś na Ostrów Tumski wrócił, do Świętego Krzyża, pytać kleryków o wielebnego Ottona Beessa, ale nie dowiedział się nic ponad to, że kanonik w pierwszą niedzielę postu do Rogowa ujechał i tamój siedzi. Był też pan Grellenort w domu „U Złotego Pucharu", wypytywał ludzi pana Eisenreicha... Jemuż podobno Reinmar Bielawa pasierba rannego zratował...

– To wiem. Mów mi o tym, czego nie wiem.

– Nazajutrz pan Grellenort samego wielmożnego pana Eisenreicha był odwiedził. Długo gadali... O czym, nie wiem, nie lza było podkraść się tak blisko. Alem słyszał, że głośno dość krzykali na się wzajem.

– Ha! – parsknął biskup. – Jeśliś to słyszał, wychodzi, że wcale blisko się podkradłeś. Miej baczenie. Birkart głupi nie jest, domyśli się, że kazałem go śledzić. Wiesz, że to nekromanta. Jeśli cię nakryje, to pożegnaj się z miłym żywotem. I Czternastu Świętych Wspomożycieli ci nie pomoże.

– Jam takoż nie pierwszy lepszy – szpieg wyprostował mizerną postać w odruchu zawodowej dumy. – Nie od wczoraj się śledzeniem param, a magią też się posłużyć umiem. Wasza dostojność dobrze wie...

– Wiem – biskup zmierzył szpiega wzrokiem. – A jakże. Miałem cię nawet za twoje guślarstwo spalić, zlitowałem się. Ale na mieście miejże z magią baczenie, złapią cię na czarowaniu, spalą albo utopią. Nie wybronię cię, bo jakże mi takiego bronić? Czarownictwo to łamanie praw boskich i ludzkich. A ty przecie nawet ludzką istotą nie jesteś.

– Jestem człowiekiem, wasza dostojność. W połowie. Matka moja...

– O matce twojej słuchać nie chcę. Ni tym bardziej o ojcu, inkubie jakimś czy innym płanetniku. Mów mi o tym, coś wyszpiegował. Co zrobił Birkart po wizycie u Eisenreicha?

– Wielmożny pan Bartłomiej Eisenreich, jużem to waszej dostojności donosił, zdeponował na rzecz Reinmara z Bielawy znaczną sumę w kantorze Fuggerów, w nagrodę za pasierba zratowanie. Musiał się do tego panu Grellenortowi przyznać, bo pan Grellenort od razu do kantoru Fuggerów pobieżał... A kantor z zewnątrz przed magią sielnie zabezpieczony... O czym tam mówiono, nie wiem...

– A ja to, wystaw sobie, wiem, bez twego szpiegowania i bez twoich czarów – biskup wyciągnął kubek w stronę usłużnie zgiętego pacholika z dzbanem. – Bo Fuggerów znam. Tedy wiem też, czym się rozmowa skończyła.

●

Rzeźbiony kominek napełniał izbę ciepłem. Zdobione sztukwerkiem dębowe skrzynie i jaworowe almarie pochodziły niezawodnie z Gdańska, wykwintne szkło z Pragi, a kobierce i tapiserie z Arras. Kompania Fuggerów dbała o swój wizerunek. Było ją też na to stać.

– Jest mi przykro, panie Grellenort – powtórzył urzędnik. – Jest mi niewymownie przykro, ale nie potrafimy panu pomóc. Kompania Fuggerów nie posiada informacyj, o które pan pyta.

– Posiada – zaprzeczył Pomurnik, patrząc na jaśniejszy czworokąt na ścianie, ślad po zdjętej mapie. – Dobrze wiem, że posiada. Tyle tylko, że ich nie udzieli. Bo z przestrzegania tajemnicy handlowej uczyniła sobie *principium*.

– A czyż to – teraz urzędnik się uśmiechnął – nie na jedno wychodzi?

– Tajemnicą handlową nie wolno zasłaniać się tam, gdzie idzie o przestępstwo. O rację stanu i dobro wiary. Reinmar z Bielawy, widziany, jak w lutym wchodził do kantoru kompanii, to przestępca kryminalny.

– Reinmar z Bielawy? Kto to? Nie słyszałem jakoś.

– Reinmar z Bielawy – Pomurnik z pozoru mógłby służyć za wzorzec spokoju i cierpliwości – to obłożony klątwą heretyk. Obdzwoniono to w kościołach. Nie słyszeć o tym to grzech.

– Kompania Fuggerów ma wykupiony w Rzymie ryczałtowy odpust.

– Wyklętemu kubka wody nie lza podać, cóż dopiero przyjmować w kantorze i wchodzić w konszachty. Gdyby to doszło do Świętego Oficjum...

– Kompania Fuggerów – przerwał spokojnie urzędnik – wyjaśni i uładzi swe sprawy ze Świętym Oficjum. Tak, jak to czyniła do tej pory. To znaczy szybko i gładko. To samo dotyczy biskupa wrocławskiego. Któremu waść służysz, panie Grellenort.

– Fuggerowie – powiedział po chwili Pomurnik – nie powinni kryć Reinmara z Bielawy. Kompania poniosła wszak z jego winy poważną stratę finansową. To przecie on obrabował poborcę, wiozącego ściągnięty od was podatek. Który w wyniku tego incydentu musieliście zapłacić jeszcze raz. To poważna strata w bilansie...

– Kompania umie sobie radzić z bilansem. Zatrudnia w tym celu księgowych.

– A prestiż firmy? Cóż to, Fuggerowie pozwolą się bezkarnie rabować? Nie zrewanżują się rabusiowi?

Urzędnik kompanii Fuggerów złożył dłonie, splótł palce i długo wpatrywał się w twarz Pomurnika.

– Zrewanżują się – powiedział wreszcie. – Z czasem. Tego możecie być pewni.

– Winowajcą napadu na kolektora jest Reinmar von Bielau. Schwytanie go...

– Panie Grellenort – przerwał urzędnik. – Obrażacie moją inteligencję. A tym samym prestiż kompanii Fuggerów, który rzekomo leży wam na sercu. Nie wracajcie już do tych kwestii, proszę. Ani do napadu na kolektora, ani do Reinmara z Bielawy. Osoby, która, jak już zdążyłem was upewnić, w ogóle nie jest nam znana.

– A kanonik Otto Beess? To również nie znana wam persona? A Bartłomiej Eisenreich, który zdeponował na rzecz Reinmara z Bielawy znaczną sumę w tym kantorze?

– Macie do mnie coś jeszcze, panie Grellenort? – Urzędnik wyprostował się. – Jakieś inne sprawy? Takie, w których Kompania Fuggerów może być pomocna? Jeśli nie...

– Niegdyś – Pomurnik nie ruszył się z miejsca – inaczej przebiegały nasze rozmowy. Znajdowaliśmy wspólny język. I obustronnie korzystne interesy. Wiele było wspólnych interesów. Niezawodnie pamiętacie. Czy może mam przypomnieć?

– Niezawodnie pamiętamy – uciął urzędnik. – My wszystko pamiętamy. Wszystko jest w księgach, panie Grellenort. Każdy rachunek, każdy debet, każdy kredyt. I wszędzie zgadza się saldo, co do feniga. Buchalteria to podstawa ładu. A teraz... Piasek w klepsydrze niemal się przesypał. Kolejni interesanci czekają...

– Wyczuliście koniunkturę. – Pomurnik nadal nieruchomo tkwił w fotelu. – Wywęszyliście waszymi psimi nosami kupczyków, skąd wiatr wieje. Kiedyś, gdy szło o wasz zysk, my byliśmy dobrzy. Kłanialiście się nam w pas, nie szczędziliście zachodów, nie żałowaliście łapówek i bakszyszów. Dzięki nam zdobywaliście pozycję, dzięki nam wykańczaliście konkurencję, dzięki nam obrastaliście w tłuszcz. A teraz kumacie się z naszymi śmiertelnymi wrogami, czarownikami, husytami i Polakami. Nie za wcześnie? Fortuna kołem się toczy. Antychryst, mówią, nadchodzi. A o Łucku na Wołyniu słyszeliście? Dziś mniemacie nas słabymi, pokonanymi, pozbawionymi wpływów, nieperspektywicznymi, więc wykreślacie nas ze swych ksiąg, stornujecie z bilansów. Nie doceniacie sił, które za nami stoją. Mocy, którymi dysponujemy. A są to, upewniam was, moce wielkie. Największe, jakie zna natura. I takie, których natura nie zna.

Wyciągnął dłonie, rozpostarł palce. U każdego z paznokci pojawił się nagle cienki i siny języczek płomienia, rosnący błyskawicznie i zmieniający barwę na czerwoną, a potem białą. Na lekki ruch palców płomień wybuchnął z potężną siłą, otoczył ręce Pomurnika skłębioną masą ognia. Pomurnik przelał ogień z dłoni do dłoni, wykonał gest. Ogień oblizał skraj zdobionego sztukwerkiem stołu, migocącą kurtyną wzniósł się, tańcząc, niemal sięgając rzeźbionych belek powały.

Urzędnik nie drgnął nawet. Nawet nie zmrużył oczu.

– Ogień kary – powiedział wolno Pomurnik. – Ogień na strzesze domostwa. Ogień w składzie towarów. Ogień stosu. Ogień Piekła. Ogień czarnej magii. Najpotężniejszej siły, jaka istnieje.

Cofnął dłonie, strzepnął palcami. Ogień znikł. Bez śladu. Bez swądu nawet. Nie zostawiając nigdzie nawet znaku spalenizny.

Urzędnik Kompanii Fuggerów powoli sięgnął do sekretarzyka, wyjął coś stamtąd, gdy cofnął rękę, na blacie stołu pozostała złota moneta.

– To jest *florino d'oro* – powiedział wolno urzędnik Kompanii Fuggerów. – Floren, zwany też guldenem. Średnica około cala, waga około ćwierci łuta, dwadzieścia cztery karaty czystego kruszcu, na awersie florencka lilia, na rewersie święty Jan Chrzciciel. Niechaj przymknie pan powieki, panie Grellenort, i wyobrazi sobie takich florenów więcej. Nie sto, nie tysiąc i nie sto tysięcy. Tysiąc tysięcy. *Millione*, jak mówią Florentczycy. Roczny obrót Kompanii. Niech pan sobie to wyobrazi, postara się zobaczyć to mocą imaginacji, oczyma duszy. A wtedy ujrzy pan i pozna prawdziwą moc. Prawdziwą siłę. Najpotężniejszą, jaka istnieje, wszechmocną i niezwyciężoną. Uszanowanie, panie Grellenort. Zna pan drogę do wyjścia, nieprawdaż?

•

Choć wiosenne słońce aktywnie wpychało swe promienie w wąskie okna kościoła Świętej Elżbiety, w nawie bocznej panował mrok. Grajcarek nie widział osoby, z którą rozmawiał, nawet zarys postaci umykał jego oczom. Wyczuwał tylko jej zapach, nikły, ale rozpoznawalny aromat rozmarynu.

– Niewiele wskórał Grellenort – zeznał usłużnie. – Na mieście mówi się, że próżno się stara, że Reinmara z Bielawy nie dostanie, bo ów dawno uciekł za siedem gór. Gdy od Fuggerów go wyproszono, sroga cholera Grellenorta ogarnęła, z biskupem bardzo się też był skłócił.

Zakazywał mu biskup do dominikanów chodzić i Świętemu Oficjum się naprzykrzać, aliści Grellenort nie usłuchał. Tyle wiem.

Ukryta w ciemności postać nie poruszyła się.

– Bardzo jesteśmy ci wdzięczni – powiedziała miękkim, podniecająco modulowanym kobiecym altem. – Bardzo wdzięczni. Niechaj ta mała sakieweczka choć symbolicznie wyrazi, jak bardzo.

Zabrzęczało srebro. Szpieg ukłonił się nisko, wepchnął sakiewkę do kieszeni. Z trudem. Bo bynajmniej nie była mała. Ale po dwóch miesiącach szpiegowania Grajcarek zdążył już przywyknąć do figur retorycznych mówiącej altem kobiety.

– Zawsze usłużę – zapewnił, kłaniając się. – Jakby co było nowego... U biskupa, znaczy... Jeśli jakieś informacje... Zawsze doniosę waszej łaskawości.

– I zawsze spotkasz się z naszą wdzięcznością. Jeśli zaś już przy informacjach i donosach jesteśmy, nie obiło ci się o uszy nazwisko Apolda? Jutta de Apolda? Dziewczyna, którą więzi Inkwizycja?

– Nie, pani, o tym nic nie wiem. Ale jeśli chcecie, mogę spróbować...

– Chcemy. A teraz odejdź w pokoju.

Mówiąca altem i pachnąca rozmarynem kobieta wstała, światło z okien padło na jej twarz. Szpieg natychmiast spuścił wzrok, schylił głowę. Instynkt ostrzegał go, że lepiej nie patrzeć.

– Wielmożna pani?

– Słucham.

– Zdradzam biskupa i donoszę na niego, bo mam złość... Aleć to duchowny, sługa Boży... Będę za to potępiony?

– Znowu biskup ci się naraził? Czym tym razem?

– Tym, co zawsze. Matkę moją znieważa. Wiecie wszak, pani, ojciec mój był kobold, ale matka moja dobrą i przyzwoitą była niewiastą...

– Twoja matka była żydówką – przerwała mówiąca altem kobieta. – Z przechrzczonych rodziców, ale to niczego nie zmienia. Po matce i ty jesteś żydem, ojciec się nie liczy, nieważne, kobold, skrzat, faun, centaur, a choćby i smok latający. Jesteś żydem, Grajcarek. Chodziłbyś do synagogi, wiedziałbyś, że w Dzień Sądu czeka żyda albo Ogród Edenu, albo ogień gehenny, w zależności od uczynków żyda, tych dobrych i tych złych. Uczynki zapisywane są w Księdze. To bardzo stara Księga, wręcz odwieczna. Kiedy zaczęto ją spisywać, nie było biskupów,

nawet tego słowa nie znano. Nie masz się więc czym martwić. Gdybyś donosił na rabina, o, to byłby powód do niepokoju.

●

Douce von Pack zatoczyła koniem, poderwała go do galopu, w pełnym pędzie miotnęła oszczepem. Grot z głuchym stukiem wbił się w słup przy wrotach, drzewce zadrżało. Dziewczyna odchyliła się w kulbace, wyhamowała konia do kłusa.

– Skaranie boskie – pokręcił głową Ulryk Pack. – Utrapienie mam z tą dziewką.

– Za mąż wydajcie. Niechaj się mąż trapi.

– To może wy się skusicie, panie Czirne? Chcecie? Dam wam ją choćby dziś. A na posagu nie poskąpię.

– Pięknie dziękuję. – Hayn von Czirne popatrzył na wbity w słup oszczep. – Ale nie skorzystam.

– Panie von Hunt?

– Wybaczcie – Kuczera von Hunt wzruszył ramionami – ale wolę takie, co szydełkują.

●

Dzwon u dominikanów bił na nieszpór. Zachodzące słońce malowało szybki w oknie czerwienią, purpurą i złotem.

– Jego wielebność inkwizytor jest nieobecny – odpowiedział ze swym polskim akcentem Łukasz Bożyczko. – Wyjechał.

Pomurnik już dwa razy próbował czarnej magii, dwakroć skrycie rzucanymi zaklęciami usiłował zastraszyć diakona i zmusić go do uległości. Zaklęcia nie poskutkowały, zamiar spełzł na niczym. Było oczywistym, że to za sprawą czarów ochronnych. Cała rezydencja papieskiego Oficjum, pomyślał Pomurnik, a kto wie, może i cały Święty Wojciech są zapewne obłożone blokadą. Bo przecież nie do wyobrażenia jest, by zaklęcia znał i umiał ich używać Bożyczko, ten ofermowaty księżulo.

– Wyjechał – powtórzył za diakonem. – Do Rzymu pewnie, *ad limina*? Nie musisz odpowiadać, Bożyczko, to jasne, że Hejncze nie powiedział ci, dokąd jedzie. Powodu wyjazdu, odgaduję, też nie zdradził. Inkwizytor nie opowiada się byle komu. Ale może chociaż określił datę powrotu?

– Także w kwestii powrotu – twarz Łukasza Bożyczki była jak wykuta z granitu – jego wielebność inkwizytor nie uznał za celowe się opowiadać. Co się wszakoż tyczy powodu peregrynacji, to ten wiadomy jest wszem.

– Słucham, niechaj będzie wiadomy i mnie.

– Jego wielebność inkwizytor poświęcił się obecnie problemowi walki z terroryzmem.

– Szczytny cel – pokiwał głową Pomurnik – postawił sobie Hejncze. Jest z czym walczyć. Prawdziwym problemem stał się husycki terroryzm.

– Jego wielebność inkwizytor – Bożyczko nie spuścił wzroku – nie precyzował, o który terroryzm mu idzie.

– A szkoda. Bo w walce można by wszak połączyć siły.

– Jego wielebność inkwizytor negocjuje łączenie sił z biskupem Konradem. Któremu służycie, panie Grellenort.

Pomurnik milczał długo.

– Rad jesteś ze swej funkcji, Bożyczko? Dobrze ci Hejncze płaci?

– Czemuż to – twarz diakona nie zmieniła wyrazu – mam przypisać ciekawość waści w tym względzie?

– Ciekawości – odrzekł Pomurnik. – Wyłącznie ciekawości. Bo też to ciekawa rzecz, ów terroryzm, o którym mówimy. Nie uważasz? Usuwa z rynku konkurencję, tworzy nowe miejsca pracy, napędza koniunkturę w przemyśle, rzemiośle i handlu, pobudza indywidualną przedsiębiorczość. Uzasadnia rację bytu licznych organizacji, stanowisk, funkcji i całych rzesz ludzi funkcje te pełniących. Rzesze całe czerpią zeń dochody, tantiemy, gaże, dywidendy, prebendy, pensje i premie. Zaiste, gdyby terroryzmu nie było, należałoby go wymyślić.

– Jego wielebność Hejncze – uśmiechnął się Łukasz Bożyczko – mówił o tym. Nawet w podobnych słowach. Jeno w innym nieco sensie.

●

Most Kapliczny tonął w wilgotnej mgle, spychanej wiaterkiem od wschodu, z Jeziora Czterech Kantonów. Podzwaniała sygnaturka któregoś z lucerneńskich kościołów.

Kroki nadchodzącego człowieka, choć wyraźnie ostrożne, ozwały się głuchym echem pod kryjącym most zadaszeniem. Oparty o balustradę

mężczyzna w szarym płaszczu z kapturem poderwał głowę. I zmacał rękojeść ukrytego pod płaszczem noża.

Nadchodzący zbliżył się. Też był zakapturzony. I też miał rękę skrytą pod połą opończy.

– *Benedicite* – przybysz odezwał się pierwszy, półgłosem, obejrzawszy się wpierw. – *Benedicite, parcite nobis*.

– *Benedicite* – odrzekł półgłosem mężczyzna w szarym płaszczu. – *Fiat nobis secundum verbum tuum*.

– *Qui creira sera sals*?

– *Mas qui no creira sera condampnatz*.

– *Qui fa la volontat de Deu?*

– *Esta en durabletat.*

– Amen. – Przybysz odetchnął z wyraźną ulgą. – Amen, bracie. Witam cię całym sercem. Pójdźmy dalej.

Podeszli pod niemal przylegającą do mostu, zanurzoną w jeziorze kamienną ośmioboczną wieżę. Pod deskami chlupotała woda.

Mgła zaczynała się rozwiewać.

– Witam cię całym sercem – powtórzył przybysz. Teraz, wyzbyty podejrzliwości, mówił z wyraźnym akcentem helweckim. – Wyznam, iż mi ulżyło, gdyś wypowiedział odzew na hasło w świętym języku naszej wiary. Lękaliśmy się, co tu mówić... Niektórzy z *Parfaits*... Mieli cię w podejrzeniu. Mniemali cię nawet agentem Inkwizycji.

Grzegorz Hejncze rozłożył ręce z uśmiechem, który miał oznaczać, że wobec podejrzeń jest bezsilny, a na oszczerstwa nic poradzić nie może.

– Doszło do nas – podjął Helwet – że interesuje cię osoba niejakiego Birkarta Grellenorta. Zgodę Doskonałych uzyskałem, toteż rad będę okazać ci pomoc, bracie, wiem bowiem co nieco o tym osobniku. Obecnie przebywa on na ziemiach Korony Czeskiej, konkretnie zaś w Silesii, w mieście Vratislavia. Służy tamtejszemu biskupowi...

– To akurat – przerwał łagodnie Hejncze – rzecz mi wiadoma. Ze Śląska przybywam. Właśnie z Wrocławia.

– Ach. Rozumiem. Interesuje cię zatem nie teraźniejszość, lecz przeszłość. Skoro tak, musimy cofnąć się do roku 1415. Do soboru w Konstancji. Jak pewnie wiesz, bracie, w Konstancji ustalono...

Grzegorz Hejncze był w Konstancji w roku 1415 i wiedział, co tam ustalono. Nie przerywał jednak.

– ...ustalono, że najlepszym sposobem położenia kresu Wielkiej Schizmie będzie obiór nowego, jednego papieża, poprzedzony dobrowolnym ustąpieniem wszystkich trzech podówczas papieżami się tytułujących: Grzegorza XII, Benedykta XIII i Jana XXIII. Dwaj pierwsi byli spolegliwi, ale nie Jan. Ten czuł się wówczas mocnym, miał poparcie Fryderyka Austriackiego, miał poparcie Burgundów, miał pieniądze od Medyceuszy, zaczął się więc stawiać. Kardynałowie nie deliberowali długo, postanowili go przycisnąć. Według prostej zasady: ustąpienie albo stos. Szybciutko sfabrykowano zarzuty. Standardowe, wedle szablonu. Defraudacja, korupcja, herezja, symonia, pedofilia, sodomia...

– Słyszałem o tym. Wszyscy słyszeli.

– Ach, tak? – Doskonały obrzucił inkwizytora szybkim spojrzeniem. – Pominę więc rzeczy ogólnie znane. Przejdę do tych mniej znanych. Choć wzięty pod klucz i strzeżony nie mniej pilnie niż Hus, w nocy dwudziestego marca Jan XXIII zbiegł z Konstancji. Schronił się w Szafuzie, u swego protektora Fryderyka. Stamtąd też dotarła do soboru wieść, że powodzenie ucieczki zapewniła mu potężna magia. Służący Fryderykowi możny czarownik, Żyd Meir ben Haddar, wydusił straże trującymi miazmatami i uwiózł Jana czarodziejskim napowietrznym okrętem. Wieść rozpuścił ewidentnie sam Jan, by uświadomić soborowi, jak potężnych ma sojuszników. By ostrzec kardynałów, że bez walki z Piotrowego stolca nie zejdzie, że wystąpi czynnie przeciw każdemu pontyfikowi, którego wybiorą. I oto wielka schizma, miast ulec likwidacji, na oczach soboru zaczynała się rozrastać.

– Wśród kardynałów zapanowało lekkie zamieszanie, nikt nie wiedział, co robić. I wówczas, jak czarcik z pudełka, wyskoczył książę Cunradus de Oels, Konrad z Oleśnicy, towarzyszący na soborze biskupowi Vratislavii. Konrad był postacią znaną, liczącą się w polityce międzynarodowej, cieszył się wielką estymą króla Sigismonda Luksemburskiego, kardynałowie dali mu więc posłuch pomimo niskiej kościelnej rangi. A Konrad obiecał, ni mniej, ni więcej, że w ciągu dwóch miesięcy doprowadzi do pojmania zbuntowanego antypapieża, dostarczenia go do Konstancji i postawienia przed soborem. Pod jednym warunkiem: nikt nigdy nie będzie go pytać, jak tego dokonał, w jaki sposób i z czyją pomocą. I co? Dwudziestego piątego maja Anno Domini 1415 Jan XXIII, już jako zwykły Baldassare Cossa, stał przed

kardynałami, dygotał ze strachu, płakał i trzęsącym się głosem błagał o litość, przysięgając wypełnić wszystko, co sobór nakaże.

– Radość i euforia z tytułu końca Schizmy początkowo wszystkie inne rzeczy usunęła w cień, ale przyszedł moment, gdy zaczęto sprawę badać. Wyjaśniać, co się stało w czasie tamtych dwóch miesięcy. Co sprawiło, zadawano sobie pytanie, że zaprawiony w bojach Cossa tak nagle zmiękł? Czym go nastraszono, co zobaczył wojowniczy antypapież, że zmienił się nagle w zaśliniony i żałosny strzęp człowieka? Dlaczego Fryderyk Austriacki zaszył się na zamku w Innsbrucku i nie wysuwa stamtąd nosa? Co się stało z towarzyszami antypapieża, którzy uciekli z Konstancji wraz z nim? I gdzie podział się Żyd Meir ben Haddar? Bo po magu Haddarze zaginął ślad. Od tamtego czasu, od maja roku 1415, nikt nigdy już Haddara nie widział.

– I to wszystko – zdecydował się na niedowierzającą konkluzję Hejncze – miałoby być za sprawą Birkarta Grellenorta?

– Nie inaczej – kiwnął głową Doskonały. – Birkart Grellenort, akolita i poufnik Konrada, jego wychowanek, a jak wręcz twierdzą niektórzy, bękart. Mag. Teurg. Sortilegus. Nekromanta. Metamorf, potrafiący odmieniać postać...

– Grellenort – wymówił wolno Hejncze – w czasie soboru w Konstancji liczył sobie najwyżej...

– Dwadzieścia lat – dokończył Doskonały. – Tak jest. Dwudziestolatek załatwił Meira ben Haddara, maga, o którym gadano, że ma konszachty z samym Diabłem. Z kim... lub czym miałby zatem konszachty Grellenort?

– Kościół nie zdecydował się na nic w tej kwestii? Ani nowo obrany papież?

Doskonały pokręcił głową.

– Jeszcze w czasie soboru – przypomniał – spalono Johannesa Husa, a w Bohemii rozgorzał bunt. Nim skończył się sobór, Konrad z Oleśnicy został biskupem. Biskupem, który z zapałem tłumił rewolty, który heretyków kazał przed spaleniem włóczyć końmi po vratislavskim rynku. Najwierniejszy sojusznik papieża i króla Sigismonda, sprzymierzeniec w trudnych czasach. Czepiać się takiego z powodu tak błahego, jak wysługiwanie się czarownikiem? Ale tam. Aferę zatuszowano, zamieciono pod dywan. Wymazano z akt. Uznano za niebyłą. Przynajmniej formalnie.

– A nieformalnie?

– Przeprowadzono ciche dochodzenie. Wyniki utajniono. Ale my je znamy. W pewnym momencie my też zainteresowaliśmy się Grellenortem.

– Po tym – Hejncze zdecydował się przyspieszyć tok rozmowy – jak na rozkaz wrocławskiego biskupa Grellenort zaczął z pomocą czarnej magii prześladować katarów i beginki.

– W miastach Jawor i Świdnica – potwierdził Helwet. Wymawiał: „Jaua" i „Zwynyz". – Nie uczyniliśmy wtedy nic, pozostaliśmy zupełnie bezczynni, albowiem... Albowiem nie można na terror odpowiadać terrorem. Piotr de Castelnau, Piotr z Werony, Konrad z Marburga, Schwenckefeld... Terroryzm jest złem i wiedzie donikąd. Tak myślimy my, Dobrzy Ludzie, Amici Dei. Terroryzm to zło i grzech.

Którym najlepiej obciążyć cudze, nie własne sumienie, pomyślał inkwizytor. Dlatego i wyłącznie dlatego mi pomagacie. Tylko dlatego udzielacie informacji. Przekonani, że szukam zemsty. Że planuję zamach. Akt terroru. Terroru, którym się brzydzicie. Ale gdy się już dokona, będziecie mruczeć: *„Deo gratias"*. Na kolanach. Z oczyma wzniesionymi ku niebiosom. Bezgrzeszni. Ale zadowoleni. Usatysfakcjonowani.

Doskonały milczał, wpatrzony w ciemny masyw Pilatusa, góry schylonej nad Lucerną jak przykucnięty olbrzym. Inkwizytor nie ponaglał go.

– Grellenort – podjął Helwet – wyedukował się w Andaluzji. W Aguilar koło Kordoby.

– Alumbrados – mruknął Hejncze.

– Oświeceni – potwierdził Helwet. – Tajna sekta, sięgająca korzeniami otchłani prehistorii, starsza, jak twierdzą niektórzy, niż Potop, ba, niż ludzkość sama. Początkowo tylko muzułmańska, dla chrześcijan otwarta przez Gerberta z Aurillac, papieża Sylwestra II. Wśród alumnów ich szkoły znane nazwiska. Arabowie Hali i Alkindi, legendarni Morienus i Artefiusz, Joachim z Fiore, Albertus Magnus, Walter Map, Duns Scotus. William Ockham. Michał z Ceseny. Jakub Deuze, czyli papież Jan XXII. Grellenort też jest wychowankiem i alumnem Aguilar, to tłumaczy tempo jego magicznej edukacji. Ale to nie wszystko.

Hejncze uniósł brwi.

– Jemu ktoś pomaga – stwierdził z przekonaniem Doskonały. – Wspiera go magicznie, pompuje dla niego Moc. Stale. Nie mogliśmy dojść, kto.

●

– Wciąż we Wrocławiu? – spytał Pomurnik. – Nie myślałaś nad tym, by się przenieść? Na wieś, dla przykładu?

– Ja lubię Wrocław. – Brunatna twarz neufry rozpłynęła się w parodii uśmiechu. – Nie ma to jak duże miasta. Jak mawiają: *Stadtluft macht frei*.

– Jednak wieś jest bezpieczniejsza.

– Nie czuję się zagrożona. Przyniosłeś?

Pomurnik sięgnął do sakwy, wydobył duży czworokątny flakon z ciemnego szkła. Gruzłowate i szponiaste palce neufry drgnęły, wydawało się, że wyrwie mu flakon z rąk. Opanowała się, podsunęła kielich, wpatrywała jak urzeczona w powoli napełniający naczynie płyn o lawendowej barwie. Niecierpliwym gestem dała znać, że dość. Chwyciła kielich, zawahała się.

– Ty... się nie napijesz?

– Nie, Kundrie, dziękuję. – Nie chciał jej robić przykrości, wiedział, jak bardzo uzależniona jest od *aurum potabile* i jak ceni każdą kroplę. – Wszystko dla ciebie.

– Dzięki wielkie, synku, dzięki wielkie. – Neufra, pokonując drżenie dłoni, upiła łyk, jej bursztynowe oczy zajaśniały natychmiast. – Cóż, przejdźmy zatem do rzeczy. Mów, co cię trapi?

Pomurnik westchnął. Lub udał, że wzdycha.

Swej prawdziwej matki nie znał. Zmarła w klasztorze magdalenek w Lubaniu przy jego urodzeniu. Wychowywały go, w kolejności: przytułek, szkoła parafialna, wrocławska ulica. I wreszcie Kundrie. Neufra. Żywiołaczka. Jedna z Longaevi, Odwiecznych.

Swego faktycznego wieku Kundrie nie wyznała Pomurnikowi nigdy, wiadomo było jednak, że we Wrocławiu zamieszkiwała od lat blisko dwustu, pamiętała bowiem najazd tatarski. Pomurnik poznał ją, gdy sam miał siedem. Niezapomniane było to spotkanie. Doszło doń na Rybim Targu, po którym Pomurnik kręcił się, by coś ukraść i złapać kota celem zamęczenia. Kundrie, by móc egzystować wśród ludzi, kryła się pod silnym czarem iluzyjnym. Pomurnik, od maleńkości zdradzający talenty magiczne i moce pozazmysłowe, przejrzał iluzję i zobaczył neufrę w jej

własnej postaci. Widok sprawił, że doznał szoku i wpadł w panikę. Coś, co wygląda jak skrzyżowanie spróchniałej wierzby z dwunogim jaszczurem i człapie, roniąc śmierdzące grudki, środkiem Rybiego Targu, to było trochę za wiele jak na siedmiolatka. Nawet takiego siedmiolatka jak Pomurnik.

Siła początkowego wrażenia wpłynęła na moc dalszej przyjaźni. Neufrę, istotę drapieżną i niebywale okrutną, zafascynowało okrucieństwo chłopca. I jego zdolności magiczne. Zrobiła wiele, by je pogłębić, a jej sięgająca korzeni prapoczątków wiedza dawała takie możliwości. Pomurnik był pilnym uczniem. W wieku lat ośmiu był psionikiem, swobodnie używał prostej magii i telepatii, rzucał uroki, psuł żywność i zsyłał choroby. Gdy skończył dziesięć, wprawnie posługiwał się magią wyższą i goecją, za pomocą której nauczył się zabijać. Mając dwanaście, był magiem na tyle biegłym, by móc pojechać po nauki do szkoły Alumbrados, mieszczącej się w Aguilar pod Kordobą. Pojechał tam za pieniądze księcia Konrada z Oleśnicy, podówczas kleryka wrocławskiego. Który to książę i kleryk nagle sobie o Pomurniku przypomniał. Z przyczyn, których Pomurnik nie znał. Ale się domyślał.

Do Wrocławia wrócił w roku 1414. Jako teurg i nekromanta z punktu został zausznikiem Konrada, teraz już katedralnego prepozyta z wielkimi szansami na mitrę biskupią. Którą otrzymał w 1418. Wynosząc – prócz siebie – na szczyty władzy również swego przybocznego czarownika. A Kundrie, neufra, przybrana matka, została zauszniczką utalentowanego pupila. Jego doradczynią. Pomurnik – mimo starań – wciąż był tylko człowiekiem, do tego młodym. I bardzo aroganckim. Talent talentem, ambicje ambicjami, lecz Najwyższe Arkana rodowitych Longaevi wciąż były dlań niedostępne, a do bycia jednym z prawdziwych Nefandi wciąż było mu daleko. Kundrie, żywiołaczka związana z ziemią, umiała moce Longaevi i Nefandi odfiltrowywać. Na użytek Pomurnika. A jeśli Pomurnik nie potrafił mocy wykorzystać, robiła to za niego. Jeśli poprosił. To jest, jeśli przemógł pychę. Wiele go to kosztowało, toteż zwracał się o pomoc rzadko. W sprawach, które rzeczywiście były dlań ważne.

Teraz, Kundrie nie miała wątpliwości, sprawa była ważna. Gdy o niej mówił, gdy relacjonował, głos miał spokojny i zimny. Ale odruchowo ściskał zęby. I pięści. Tak, że aż bielały knykcie.

– Taaak – podsumowała przeciągle, zlizując koloid z warg. – Zalazł ci za skórę ten Reynevan Bielawa, zalazł. Wydrwił, ośmieszył przed biskupem, okrył sromotą, zmusił do ucieczki. I masz słuszność, syneczku, bezwzględną słuszność: jeśli teraz pojma go lub zabije ktoś inny, ty nie zmyjesz hańby. Więc to ty musisz go schwytać. Własnoręcznie. I sprawić, by pamiętano tylko jedno: jego kaźń. Każ go żywcem obedrzeć ze skóry. Tak, by głowa została przy skórze. To zawsze daje efekt, tak, zawsze daje. Skórę zaś wygarbuj i wystaw na widok publiczny. Na rynku.

Zamilkła, drapiąc pokryty naroślami policzek. Widziała, jak ściska pięści z niecierpliwości i złości. Uśmiechnęła się. Z wystudiowaną złośliwością nauczycielki, mogącej dokuczyć aroganckiemu uczniowi, któremu ubzdurało się, że już nauk nie potrzebuje i obędzie się bez nich.

– No tak – powiedziała z uśmiechem. – No tak. Zapomniałam. Pierwej trzeba tego Reynevana złapać. A z tym idzie jak po grudzie, co? Na przekór wysiłkom, w których wszak nie ustajesz. Na przekór nekromancji, uprawianej w podziemiach pod Świętym Maciejem. A wszak uczyłam, wszak powtarzałam: zaczynać od myślenia, od logiki. Po nekromancję sięgać dopiero wtedy, gdy logika zawiedzie.

– Kundrie – warknął Pomurnik. – Wiem, że jesteś samotna. Że nie masz z kim pogadać i rekompensujesz to sobie przy każdej nadarzającej się okazji. Ale odpuść sobie. Nie przyszedłem tu wysłuchiwać twych łabędzich śpiewów.

Kundrie nastroszyła kolce grzbietowe, ale pohamowała gniew. W końcu smarkacz był jej wychowankiem. Jej synem. Oczkiem w głowie.

– Przyszedłeś – powiedziała spokojnie – a raczej przybiegłeś prosić o pomoc. Nuże więc, proś. Grzecznie.

– Proszę grzecznie bardzo – w ptasich oczach Pomurnika zamigotał ogień. – Bardzo bardzo. Zadowolona?

– Bardzo bardzo. – Neufra znów łapczywie łyknęła z kielicha. – Do rzeczy więc. Zaczynamy od logicznego myślenia. Od postawienia pewnych pytań. Reynevan Bielau, jak wynika z twojej relacji, był we Wrocławiu dwukrotnie, w styczniu i w lutym. Dwakroć zatem lazł lwu w paszczę. Nie jest szaleńcem ani samobójcą. Dlaczego tak ryzykował? Czego szukał we Wrocławiu, co warte było aż takiego hazardu?

– Szukał pomocy. U kanonika Ottona Beessa, swego kumotra.

– Pomocy w czym? Mówi się na mieście, że w grudniu książę Jan Ziębicki uwięził umiłowaną pannę Reynevana, jakąś konwersę od klarysek. Podobno zhańbił ją i kazał zgładzić, oto powód, dla którego pod Wielisławiem oszalały i opętany zemstą Reynevan zakatrupił księcia. Niby więc pannę pomścił, słodką zemstą się nasycił. U boku idących wówczas z rejzą husytów mógłby nasycić się jeszcze bardziej. Jednak samotnie krąży po Śląsku. Dlaczego?

– Bo mniema, że dziewka żyje, uwięziona, i szuka jej – wzruszył ramionami Pomurnik. – Jest w błędzie. Ja też jej szukałem, była mi potrzebna. Nie, nie tylko jako przynęta na Bielawę. Miałem zamiar zmusić ją do zeznań, które potwierdziłyby kacerstwo klarysek z Białego Kościoła. Biskup i inkwizytor Hejncze nie chcieli skandalu, wysłali mniszki na pokutę. A ja chciałem posłać je wszystkie na stos; zdołałbym, mając zeznania Apoldówny. Niestety, nic z tego nie wyszło. Nie znalazłem jej. Ani w Ziębicach, ani w okolicznych zameczkach, w których książę Jan zwykł przetrzymywać swe nie zawsze dobrowolne wybranki...

– Dziewka, mówisz – przerwała Kundrie – była ci potrzebna. A co, jeśli była potrzebna komuś jeszcze? I ten ktoś znalazł ją wcześniej?

Pomurnik milczał. Patrzył, jak dopija *collodium* złota. Jak odstawia puchar, jak oczy jarzą się jej bursztynowo.

– Nie bądź zadufany, syneczku. Nie lekceważ przeciwników. Nie sądź, że są głupsi. Nie łudź się, że nie potrafią ubiec cię, uprzedzić i przechytrzyć. Wtedy, w Szafuzie, w sprawie z tym Żydem Haddarem, podobny błąd omal nie kosztował cię życia. W obecnym przypadku, mniemam, jest podobnie. Ktoś, kogo zlekceważyłeś, przechytrzył cię i uprzedził. Odgadłszy, że kto ma pannę, ten ma Reynevana... I ma czym Reynevana zaszantażować...

– Pojąłem – uciął Pomurnik, wstając. – Teraz pojąłem, w czym rzecz. Podejrzewałem coś takiego, ale to ty naprowadziłaś mnie na właściwy ślad. Teraz rozumiem, dlaczego Wrocław... Bywaj, matko. Muszę iść i coś załatwić. Zajdę niebawem.

Neufra, nie mówiąc ni słowa, wzrokiem wskazała kielich z lawendową kroplą na dnie.

– Jasne. Przyniosę więcej.

●

Odnalazł ojca Felicjana na zapleczu biskupiego dworca, przy kuchni, siedzącego na beczułce i łapczywie wyjadającego coś z glinianej miski. Gdy zobaczył Pomurnika, zakrztusił się i zadławił. Pomurnik nie myślał tracić czasu. Uderzeniem pięści wytrącił altaryście miskę z rąk, chwycił go za odzież na piersi, poderwał, potrząsnął, gruchnął o ścianę z taką mocą, że spadły i posypały się z brzękiem miedziane panwie. Ojciec Felicjan wybałuszył oczy, zacharczał, po czym wykaszlał i wypluł wprost na wams Pomurnika obślinioną resztkę pieroga z grzybami. Pomurnik odwinął rękę i z całej siły strzelił go w twarz, poprawił na odlew, powlókł, wyjącego, na zasłany pierzem i srebrzący się od rybich łusek kuchenny podwórzec. Felicjan rzucił mu się do nóg, ułapił za kolana, cios pięści cisnął nim o ziemię. Usiłował uciekać na czworakach, Pomurnik doskoczył i z rozpędu kopnął go w tyłek. Altarysta runął nosem w kapuściane liście i jarzynowe obierki. Pomurnik wyrwał z rąk oniemiałego kuchcika ożóg, walnął nim Felicjana raz i drugi, potem jął tłuc, gdzie popadło. Altarysta wył, krzyczał i płakał. Dziewki kuchenne i kucharze uciekli w popłochu, porzucając garnki, sagany, kotły i kociołki.

– Od dawna nosiłem się z tym zamiarem. – Pomurnik odrzucił ożóg, stanął nad altarystą. – Od dawna zbierałem się przetrzepać ci skórę, ty szczurze, ty kanalio w sutannie, ty zakłamany klecho. Ale czasu nie było, aż do dzisiaj. Potraktuj to jako zadatek. Na poczet tego, co dostaniesz od biskupa. Gdy się wreszcie dowie, że donosisz nań inkwizytorowi Hejnczemu.

Ojciec Felicjan załkał rozdzierająco.

– Ode mnie, jeśli cię to uspokoi, biskup się nie dowie – mówił dalej Pomurnik, poprawiając mankiety. – Bo to nie mój interes. Mój interes jest w czymś innym... Szpiegujesz dla Inkwizycji, a ja chcę wiedzieć... Ejże, bratku? A cóż to od ciebie tak nagle strachem powiało? Czyżbyś miał jeszcze coś do ukrycia?

– Wszystko powiem! – zaszlochał Felicjan. – Wyznam jak na spowiedzi! Ja nie po dobrej woli! Zmusili mnie! Napadli... Pobili! Pod groźbą kazali... Jeśli zdradzę, zginąłem... Mówić o tym nie mogę...

Pomurnik zgrzytnął zębami. Chwycił duchownego za kołnierz, poderwał, przycisnął do kadzi na ryby. Przydusił kolanem.

– Nie możesz? – wysyczał. – No to sprawimy, byś mógł.

Chwycił altarystę za nadgarstek, wywarczał zaklęcie. Zasyczało, zadymiło, ojciec Felicjan skurczył się, twarz mu poczerniała, a dziki wrzask wstrząsnął aż posadami dworca. Pomurnik nie puszczał, dopóki nie zaśmierdziało palonym mięsem. Uwolniony wreszcie altarysta padł na kolana, zanosząc się szlochem, hołubił przy brzuchu poparzoną rękę.

– Łapsko – Pomurnik wyprostował się – posmarujesz maścią i za parę tygodni będzie jak nowe. Ale krocze, o, krocze wyleczyć naprawdę trudno. Gadaj, sukinsynu, nim przypalę ci jaja. Miłe ci one? Zależy ci na nich? Darzysz je sympatią? No to powiesz mi teraz wszystko. Niczego nie zataisz. Słóweczkiem nie skłamiesz.

I ojciec Felicjan, łkając, płacząc i smarcząc, powiedział wszystko. Niczego nie zataił i w niczym nie skłamał.

– Był to... – dokończył łamiącym się głosem. – Reinmar z Bielawy... Heretyk wyklęty... Pod czarem się krył, alem po głosie poznał... Bił mnie, katował... Groził śmiercią...

– Inkwizytor Grzegorz Hejncze – zrekapitulował Pomurnik – ten, któremu donosisz, porwał i więzi gdzieś sekretnie pannę, znaną jako Jutta de Apolda. Reynevan Bielawa kazał ci wywiedzieć się, gdzie jest więziona. W jaki sposób ma z tobą nawiązać kontakt? Kim byli jego wspólnicy?

Ojciec Felicjan rozpłakał się. Tak rozpaczliwie, że Pomurnik uwierzył w jego niewiedzę.

– Co już zdążyłeś wyszpiegować?

– Nic a nic... – zachlipał altarysta. – Bo i jak? Toć ja ino robak... Gdzież mnie do sekretów Inkwizycji?

– Jesteś inkwizytorskim szpiclem. Znaczy, Hejncze darzy cię jakimś tam zaufaniem.

– Robak nędzny jestem...

– A jesteś, jesteś, bez dwóch zdań. – Pomurnik spojrzał nań z pogardą. – Słuchaj no więc, robaku. Szpieguj dalej. Jeśli wyszpiegujesz miejsce uwięzienia Apoldówny, doniesiesz mi o tym. Jeśli Bielawa lub jakiś jego kamrat skontaktuje się z tobą, doniesiesz także. Jeśli sprawisz się dobrze, to w nagrodę hojnie podreperuję twą robaczą egzystencję, nie pożałuję grosza. Ale jeśli mnie zawiedziesz lub zdradzisz... Wtedy, robaczku, nie skończy się na jednym małym przysmażeniu. Piędzi zdrowej skóry na tobie nie zostawię. Precz tedy, do dzieła, dalejże na przeszpiegi. Jazda, już cię tu nie ma.

Altarysta zemknął chyłkiem, tuląc rękę do piersi. Ani razu się nie obejrzał.

Pomurnik patrzył mu w ślad. I odwrócił się, czując czyjś wzrok, lepiący mu się do karku.

Przy kamiennych schodkach stała dziewczyna. Na oko szesnastoletnia. W męskim watowanym wamsiku i zawadiackim berecie z piórami. Jej drapieżnie zadarty nos niezbyt pasował do blond loczków, zaróżowionej buzi i ust laleczki. Nie pasował. Ale nie szpecił.

Słyszała, pomyślał Pomurnik, odruchowo sięgając po ukryty w rękawie nóż. Widziała i słyszała wszystko. Nie uciekła, bo strach ją sparaliżował. I teraz jest świadkiem. Całkiem zbędnym świadkiem.

Dziewczyna zbliżyła się wolno, wciąż wpijając w niego oczy. Ocienione długimi na pół cala rzęsami oczy o barwie toni górskiego jeziora. W oczach tych, Pomurnik dostrzegł to nareszcie, malował się nie strach, lecz zachwyt tym, co zaszło. Zachwyt oraz dzika, szalona, emanująca feromonami fascynacja. Sam się sobie dziwiąc, poczuł, że fascynacja zaczyna się udzielać i jemu.

– Pokrewna duszyczka – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Odziana jak chłopczyk.

Douce von Pack podeszła jeszcze bliżej. Strzepnęła długimi rzęsami.

Dopadł jej jak jastrząb. Obrócił, pchnął na beczkę, chwycił za kark, przegiął gwałtownie. Beret zjechał Douce na oczy. Pomurnik wpił palce w blond loczki, zdarł z pośladków wełnian*ebraccae* i bieliznę, przywarł do dziewczyny silnie. Douce dygotała z podniecenia. A potem krzyknęła. Głośno.

Ból i namiętność były w tym krzyku.

●

– Coś się szykuje – powtórzył, mnąc czapkę, Grajcarek. – W mieście widziano różnych dziwnych ludzi. Niebezpiecznie wyglądających...

– Mów – zniecierpliwił się biskup. – Wykrztuśże to, do diabła.

– Na mieście plotkują, że wielu osobom naraził się imć pan Grellenort. Że wielu życzy mu źle. Nawet bardzo źle.

– Nie nowina to dla mnie.

– I jeszcze... – Szpieg zakasłał w pięść. – Wasza dostojność wybaczy, że powiem...

– Wybaczę. Gadaj.

– Mówią, że zjechali do Wrocławia krewniacy... Krewniacy tych, co ich zabito... Pana von Barta z Karczyna... Pana Czambora z Heissensteinu... Bo mówi się na mieście, że to pan Grellenort jest... Jest winnym tych zabójstw...

Biskup milczał, bawił się piórem.

– Wasza dostojność – przerwał ciszę szpieg. – Ja mniemam...

– Hę?

– Należałoby ostrzec pana Grellenorta. Ale wasza dostojność sama już najlepiej wie, co uczynić...

Biskup milczał, bawił się piórem, gryzł wargi.

– Masz rację – odrzekł wreszcie. – Wiem najlepiej.

●

U Świętego Jakuba już jakiś czas temu oddzwoniono kompletę, teraz, jak dało się słyszeć, mnisi wzięli się chórem za *Salve regina*. Lada moment miał rozbrzmieć dzwon późny, *pulsus serotinus*, lada chwila należało też oczekiwać dzwonów na *ignitegium*.

Świece w komnacie były pogaszone, nikłe światło dawała gruba, w której dogorywały polana. Czerwony poblask dodawał iście czarodziejskiego uroku gładkiej skórze i szczupłemu ciału Douce von Pack, leżącej obok wśród rozburzonej pościeli. Wsparty na łokciu Pomurnik patrzył na dziewczynę, na jej szeroko rozwarte, wpatrzone w niego oczy. Przypominał sobie inne ognie, inne oczy, inne nagie ciała, inny gwałtowny, elektryzujący bólem seks. Na sabatach i orgiach w górach Harzu, na leśnych polanach Pomorza, w jaskiniach Alpujarras i na pustkowiach Estremadury. Kiedy to ziemia dygotała od łomotu bębnów, a w dartym trelami piszczałek nocnym powietrzu śmigały nietoperze i sowy.

Trupi księżyc zaglądał przez okno.

Niepotrzebnie się z nią związałem. Przywabiłem ją, przyciągnąłem do siebie, to był błąd. Błąd, który trzeba będzie naprawić.

Douce von Pack westchnęła, uniosła się. Pomurnik odruchowo spojrzał na jej szyję, szybko ocenił, jak chwycić i jak przekręcić.

Wystarczyłyby dwa ruchy, pomyślał. I ten błysk skonałby w jej oczach...

Synku, rozbrzmiało mu nagle w głowie. Usiadł na łożu.

Synku, mówiła Kundrie, przyjdź zaraz. Chcę ci coś koniecznie pokazać, coś, co wiąże się z poszukiwaną dziewczyną. Czekam. Przyjdź.

Akurat, pomyślał. Zwyczajnie skończyło się potworzycy *aurum potabile*. Ale cóż, trzeba będzie pójść. Matka, było nie było.

– Czy coś się stało? – Douce usiadła, odgarnęła włosy z czoła. Ogień z gruby cieniami igrał na jej małych piersiach. Migotał w jej szeroko rozwartych oczach.

– Coś się stało? Wychodzisz?

– Tak. Wrócę późno.

– Zostawiasz mnie samą?

– Ale nie w tej chwili.

Chwycił ją za ramiona. Przycisnął do poduszek. Uległa mu, zmuszona do uległości. I kochali się w zapamiętaniu. W blasku żaru i bladej poświacie trupiego księżyca.

●

Stadtluft macht frei, przypomniał sobie Pomurnik, idąc od Mostu Piaskowego w dół ulicy Zamkowej.

Fakt, że we Wrocławiu stale bytowały liczne stwory nocy, nie był dla niego bynajmniej nowością. Minął jednak jakiś czas, odkąd wędrował tu po zmierzchu i czas ten, jak się okazywało, sporo zmienił. Zaiste, konstatował idąc, nie tylko dla Kundrie oddech wielkiego miasta niósł powiew wolności. Nie ona jedna, jak się okazywało, dobrze i swobodnie czuła się we Wrocławiu. Nie jej jednej, jak się okazywało, odpowiadał wielkomiejski habitat.

Zaskoczony przy bramie dzantyr uniósł wydłużony pysk, ewidentnie nie pojmując, jakim cudem Pomurnik go widzi. Wreszcie skrył się w mroku, wygarbiając jak kot i jeżąc sierść.

Pod wylotem rynny siedziało, liżąc zagnojony bruk, kilka urkinów, nadętych w puszyste kule. Zgrzytnąwszy pazurami, zemknął w ciemność zwinny jak jaszczurka rapion. Tuż dalej był skład win, majstrujący przy kłódce łysy gnom w skórzanym kabacie nawet nie podniósł głowy. Jego uzbrojony w łom kamrat obrzucił Pomurnika złym spojrzeniem, zawarczał coś pod nosem, trudno było zgadnąć, pozdrowienie czy obelgę.

W odchodzącym ku ulicy Wąskiej zaułku ostro cuchnęło magią i alchemią – czyli ektoplazmą, saletrą, witriolem, ałunem i winnym

wyskokiem. Rynsztok wyraźnie fosforyzował, pełzały w nim esfiliny, zwabione sublimacyjnym odpadem. Tuż opodal, w podcieniach, czaił się garou, rozwinięte zmysły powstrzymały go jednak przed atakiem, w porę wyczuł aurę Pomurnika i wiedział, że lepiej nie próbować. Kilkanaście kroków dalej podobnie zachowała się lamia. Wampirzyca zaczekała nawet, aż Pomurnik się zbliży, a upewniwszy się, że naprawdę ją widzi, pozdrowiła ukłonem, owinęła się w opończę i znikła, szara na tle szarego muru.

Między przyporami kościoła Świętego Ducha siedział kludder, stękając i drapiąc się w brzuszysko. Na maswerkach, sterczynach i pinaklach świątyni szeleściły i trzepotały skrzydła spłoszonych latawców. Tuż za szpitalem Pomurnik dostrzegł na kamieniach błyszczącą smugę świeżej krwi. Wiedziony ciekawością – rzecz w sumie go nie obchodziła – wzmocnił wzrok zaklęciem, przejrzał ciemność. Schylona nad skrwawionym trupem, podrażniona czarem kalkabra wyszczerzyła dwucalowe kły, a włosy uniosły się jej nad głową jak srebrzysta korona. Pomurnik wzruszył ramionami, przyspieszył kroku. Jak dawniej, tak i teraz, okazywało się, niebezpiecznie było chodzić nocą po Wrocławiu.

Przeciął Targową, wyszedł na placyk przy studni. I wtedy go opadli. Ze wszystkich stron. Odziani tak, że niemal niewidzialni. Niezwykle szybcy. Jak na ludzi.

Tylko błyskawiczny unik ocalił mu życie, w ostatniej niemal chwili złowił okiem blady blask godzącej w niego klingi. Chwycił napastnika za połę kubraka, zakręcił nim, pchnął wprost na drugiego atakującego, wprost na ostrze miecza. Odwinął się, poczuł, jak stal muska mu włosy. Odskoczył, widział, jak miecz innego zamachowca krzesze iskry z żelaznej kraty. Ucapił za rękę z mieczem, szarpnął, pozbawił napastnika równowagi, rzucił na kolana, szybkim, jednoczesnym ruchem obu rąk skręcił mu kark. Kolejny dopadł, zadał sztych, Pomurnik uniknął ostrza delikatnym półobrotem, złapał za łokieć i nadgarstek, wyłuskał miecz z łamanej ręki. Napastnik zawył. Zasłaniając się nim jak tarczą, Pomurnik pchnął następnego atakującego mieczem w brzuch, skoczył, nie czekając, aż upadnie, ku innym. Gdy pierzchnęli, zawrócił, ostrym pociągnięciem przeciął gardło temu ze złamaną ręką.

Leżało trzech, zostało trzech.

Trupi księżyc łysnął zza chmury, a Pomurnik zaatakował.

Uciekli przed nim za studnię, ale to ich nie uratowało. Nie widzieli go, gdy ich dopadł. Pierwszy osunął się na kolana, pchnięty w pachwinę; nim zdążył się porządnie rozkrzyczeć, miał rozchlastaną tchawicę. Drugi skoczył na ratunek, atakując w klasycznej pozycji szermierczej. Pomurnik dopuścił go na właściwą odległość, sparował sztych i pchnął, mocno i pewnie, w twarz, między oko a nos. Pchnięty wyprężył się, zadygotał, bezładnie trzęsąc rękami. Potem zsunął się z ostrza, miękki jak szmata.

Został tylko jeden, czający się w mroku. Uprzedził Pomurnika, zaatakował sam. Krzycząc niezrozumiale, wznosząc do ciosu jakąś dziwną broń, ni to topór, ni to maczugę. Pomurnik wymanewrował go unikiem, ciął krótko. Napastnik padł na kolana. A potem na twarz.

Pomurnik spojrzał na miecz. Od razu widać było, że niepospolita to broń. I nietania. Prawdopodobnie mediolańska. Na głowni była punca płatnerza, niewielka, trudno rozpoznawalna w mroku. Pomurnikowi nie chciało się zresztą rozpoznawać.

Jeden z powalonych zacharczał, zadygotał, zazgrzytał sprzączką pasa po kamiennej płycie studni, do której się doczołgał. Pomurnik był tam w trzech krokach, rąbnął raz, drugi, za trzecim mediolańska głownia pękła z jękiem. Odrzucił złomek.

Zajęczał inny. Ten powalony jako ostatni. Pomurnik zbliżył się, podniósł dziwny oręż. Był to krzyż. Duży, ciężki, żelazny krzyż z prostymi ramionami. Na ramionach połyskiwał srebrem grawerunek. Napis.

T
R
I
SIT MIHI CRUX
ADVERSUS DAEMONES
U
M
P
H
U
S

– Nie jestem, kurwa, demonem – powiedział Pomurnik.

Wzniósł krzyż i uderzył jak toporem.

Skrajem płaszcza zabitego wytarł obryzgane mózgiem nogawki. I poszedł w swoją drogę. Przez nocny Wrocław. Miasto, które nocą potrafiło być niebezpieczne.

Rozdział ósmy

w którym na zamku Odry Prokop Goły obdarza Reynevana zaufaniem, a widmo bez palca u nogi przepowiada przyszłość potomkom Gedymina.

Gdy nadjeżdżało się od północy, z biegiem Odry, położone na prawym brzegu miasto widoczne było już z daleka. Nad wieńczącym stromą skałę zamczyskiem wznosiła się okrągła wieża ze szpiczastym dachem. Wzniesiony, jak chciała legenda, przez templariuszy zamek łączył się z naszpikowanym przysadzistymi basztami czworobokiem murów miejskich. Nad miastem połyskiwała nowiutką złotą blachą dzwonnica kościoła farnego.

Nad rzeką snuł się opar, mgła płoziła się po zieleniejących wiklinach i wierzbach. Prokop Goły stanął w strzemionach, zastękał, rozcierając krzyże.

– Oto i Odry przed nami. Pospieszajmy.

Z czatowni nad bramą dostrzeżono oddział, okrzyknięto. Jazgotnęły łańcuchy, huknął opuszczany most, zazgrzytała podnoszona krata. Wjechali z łomotem kopyt. W podwale, potem w wąskie uliczki, pomiędzy warsztaty, sklepy i kupieckie domy.

– Twoja medycyna przestaje działać – sarkał Prokop. – Jezu Chryste, Reynevan, rwie mnie tak, że chyba z kulbaki zlecę...

– Cierpliwości. Niech tylko znajdę aptekę...

– Apteka jest w rynku – rzekł jadący obok Biedrzych ze Strażnicy. – Zawsze była. Chyba że ją już zdążyli rozgrabić.

Miasto Odry rozwój zawdzięczało położeniu: ulokowane było w tak zwanej Bramie Morawskiej, szczerbie pomiędzy łańcuchami Sudetów i Karpat, na szlaku wiodącym z dorzecza Dunaju nad Odrę i Wisłę. Szlaku, łączącym południe z północą, Gdańsk i Toruń z Budą, Kraków z Wiedniem i Wenecją, Poznań i Wrocław z weneckimi posiadłościami nad Adriatykiem. Była to więc z natury rzeczy ważna droga handlowa, którą nieustannie ciągnęły kupieckie karawany.

Za husytów szlak zamarł, kupcy zaczęli omijać wiecznie płonącą i zrewoltowaną okolicę, reszty dokonała blokada. A w roku 1428 Odry

opanował i zasiadł tu Dobiesław Puchała z Węgrowa, sprzymierzony z Taborem polski rycerz herbu Wieniawa, sławny weteran Grunwaldu, pogromca Krzyżaków w starciach pod Radzyniem i Golubiem. Puchała na czele swych polskich zuchów spadł na kraj jak jastrząb, paląc, co się dało, i wyrzynając w pień stawiających opór. Obwarowawszy się na Odrach, skutecznie odciął biskupi Ołomuniec od będącej w antyhusyckiej koalicji Opawy, uniemożliwiając koordynację działań Przemkowi Opawskiemu i morawskiej szlachcie. Tym samym stał się solą w oku i celem licznych ataków, które jednak zawsze potrafił skutecznie odeprzeć. Odpieranie mu zresztą nie wystarczało, sam najeżdżał wraże dziedziny, siejąc strach i świecąc ufortyfikowanym katolikom w oczy łunami. Teraz zaś, gdy na Kielich przeszedł i sprzymierzył się z Taborem Jan z Kravarz, Puchała kontrolował wszystkie trasy komunikacyjne, w tym i gościniec dla husytów najważniejszy, cieszyński, którym bez przerwy płynęły do Odr transporty broni i grupy polskich ochotników. Zbrojnych było w Odrach tyle, że miasto przypominało obóz wojenny. Większość uliczek tarasowały maszyny oblężnicze, bojowe wozy i bombardy, dostarczając dzikiej radości hulającej po nich dzieciarni.

– Jadę na zamek, do Puchały – oświadczył Prokop. – Bracie Pardus, zajmij się rozkwaterowaniem ludzi. Reynevan, ty znajdź aptekę, nabądź co trzeba i przybywaj nieść ulgę cierpiącemu. A racz się pospieszyć, bo się gotów cierpiący wkurzyć.

– Najważniejsze, by w aptece mieli ingrediencje...

– Będą mieli – zapewnił Biedrzych. – Tutejszy aptekarz to wedle plotki również alchemik i czarnoksiężnik. Wszelką magiczność będzie miał na składzie, obaczysz. Chyba że go już zdążyli za czarownictwo wykończyć.

●

Zabrać się za leczenie Prokop Goły rozkazał Reynevanowi niemal natychmiast po spotkaniu w jesionickich lasach, w pierwszym napotkanym smolarskim szałasie.

Powodem katuszy hejtmana był reumatyzm, dokładniej *myalgia*, gościec mięśniowy, w tym konkretnym przypadku powodujący przewlekłe i dotkliwe bóle okolicy lędźwiowej, *lumba*, skąd brała się też popularna wśród medyków uniwersyteckich i czarodziejów nazwa lumbago. Przyczyny choroby nie do końca były poznane, leczenie

tradycyjne nie dawało zwykle żadnych efektów poza doraźnymi. Magia odnotowywała większe sukcesy, czarodziejskie balsamy, jeśli nawet i nie były w stanie całkowicie wykurować, to uśmierzały ból o wiele szybciej i długotrwalej. Najskuteczniejsze w leczeniu lumbaga były niektóre wiejskie babki, ale babki bały się leczyć, bo palono je za to na stosie.

Nie dysponując magicznymi komponentami do balsamów i okładów, Reynevan musiał ograniczyć się do położenia rąk i zaklęć, wspomożonych Algosem, jednym z miniaturowych amuletów z ocalonej przez Szarleja szkatułki. Nie było to wiele, ale ulgę przynieść powinno. I przyniosło. Czując, jak ból cichnie i odpływa, Prokop aż zastękał z radości.

– Cudotwórca z ciebie, Reinmarze. Uuch... Dobrze by było mieć cię pod ręką na stałe...

– Hejtmanie, ja nie mogę zostać. Ja muszę...

– Guzik mnie obchodzi, co musisz. Powiedziałem ci już, jesteś mi potrzebny. I nie tylko do leczenia. Nie pytam cię o nic, nie każę tłumaczyć, skąd się wziąłeś pod Sowińcem i coś tam porabiał. Nie pytam o drakę z nachodskimi Sierotkami ani o tajemniczy zgon Smila Pulpana. Nie pytam, choć może powinienem. Bez gadania więc. Zostajesz przy mnie, a jedziemy do Odr. Jasne?

– Jasne.

– No to nie mów mi więcej, że coś musisz.

Stękając, jął wdziewać koszulę. Reynevan patrzył na jego szerokie plecy, na bezwłosą, różową jak u dziecka skórę.

– Bracie Prokop?

– Hę?

– Zdziwi cię może to pytanie, ale... Czy nie doznałeś ostatnio... zranienia? Żelaznym ostrzem lub klingą? Nie skaleczyłeś się żelaznym przedmiotem?

– A co cię to obchodzi? Ach, to musi związane z jakimś czarodziejstwem... Otóż wystaw sobie, że nie. Nigdym w życiu nie był ranny, nawet draśnięty. Wszyscy niemal w Taborze ran doznali lub od ran ginęli... Mikulasz z Husi, Żiżka, Hviezda, Szwamberk, Kunesz z Bielovic, Jarosław z Bukowiny... A ja, choć w niejednej stawałem bitwie, bez zadrapania... Po prostu fart.

– W istocie. Fart, nic innego.

●

Apteka ocalała; była tam, gdzie być powinna, w rynku, naprzeciw kamiennego pręgierza. Ingrediencje do balsamu na lumbago też się znalazły, prawda, że nie od razu, lecz dopiero po wyrecytowaniu przez Reynevana *„Visita Inferiora Terrae”*, opartego na Tablicy Szmaragdowej hasła alchemicznej międzynarodówki. To przełamało wreszcie nieufność aptekarza. Niemałą zasługę miał również Samson Miodek, który w pewnym momencie udał, że zaczyna się ślinić i chce rzygać. Aptekarz dał im wszystko, czego żądali, byle tylko sobie poszli.

Na rynku roiło się od zbrojnych. Zewsząd rozbrzmiewała mowa polska. W swej bardzo uproszczonej wersji. Składającej się głównie ze słów prostych i żołnierskich.

– Toś wsiąkł – skonstatował Szarlej, gapiąc się na kopułę dzwonnicy kościoła farnego. – Prokop ma cię w garści. Zatrzyma przy sobie, to pewne, do jakich użyje celów, nie wiadomo. Wątpię jednak, by były zgodne z twoimi. Wsiąkłeś, Reinmarze. A my wraz z tobą.

– Ty i Samson zawsze możecie wrócić do Rapotina.

– Nie możemy. – Szarlej udał, że przygląda się baranicom na straganie. – Choćbyśmy i chcieli. Śledzą nas, wypatrzyłem ogon, jaki nam doczepiono. Wszczęto by, ręczę, alarm natychmiast, gdybyśmy tylko spróbowali skierować kroki w stronę którejś z miejskich bram.

– Żaden z nas – rzekł Samson – nie ma wszak Prokopa za głupiego. Z pewnością dotarły doń plotki o padającym na Reynevana cieniu podejrzenia.

– Oczywiście, że doń dotarły. – Reynevan poprawił na ramieniu sakwę z aptecznymi nabytkami. – I teraz nas sprawdza. Dobra, niechaj więc sprawdzanie wypadnie na naszą korzyść. Wy chwilowo nie próbujcie uciekać z miasta, ja zaś wedle rozkazu udam się na zamek i zajmę terapią.

●

Zamek oderski posiadał łaźnie, łaźnie nowoczesne, kamienne i eleganckie. Ale Prokop Goły był tradycjonalistą i zwolennikiem prostoty. Wolał łaźnię tradycyjną, stojącą wśród nadrzecznych wierzb drewnianą budę, w której wodę z cebrzyków lało się wprost na rozpalone kamienie, a buchająca para pozbawiała oddechu. Siedziało się w takiej

budzie na pryczach z niedbale oheblowanych desek i powoli czerwieniało, jak rak we wrzątku. Siedziało się, ścierając z powiek cieknący strumieniami pot i kojąc spieczone przez parę gardło łykami zimnego piwa.

I siedzieli, goli jak święci tureccy, lejąc wodę na syczące otoczaki, w obłokach pary, z czerwoną skórą i ociekającymi potem twarzami. Prokop Goły, zwany Wielkim, *director operationum Thaboritarum*, naczelny sprawca Taboru. Biedrzych ze Strażnicy, orebicki kaznodzieja, niegdyś główna postać Nowego Taboru Moraw. Młody hejtman Jan Pardus, jak dotąd niczym szczególnym nie wsławiony. Dobko Puchała herbu Wieniawa, wsławiony tak, że proszę siadać.

I Reynevan, aktualnie hejtmański lejbmedyk.

– Masz, dzierż! – Prokop Goły chlasnął Biedrzycha pękiem brzozowych witek. – Na pokutę. Jest Wielki Post? Jest. Trza pokutować. Masz i ty, Pardus. Au, do diabła! Puchała, odbiło ci?

– Wielki Post, hetmanie – wyszczerzył zęby Wieniawczyk, mocząc rózgi w kuble. – Pokuta. Jak wszyscy, to wszyscy. Masz i ty wieniczkiem, Reynevan! Po starej znajomości. Rad jestem, żeś przeżył tamten postrzał.

– Ja też.

– A ja najbardziej – dodał Prokop. – Ja i moje plecy. Wiecie, chyba go osobistym konsyliarzem naznaczę.

– Czemu nie? – Biedrzych ze Strażnicy uśmiechnął się dwuznacznie. – Wszak on zaufany. Godzien zaufania.

– I znaczna persona.

– Znaczna? – parsknął Biedrzych. – Znana raczej. I to szeroko.

Prokop spojrzał na niego koso, chwycił ceber, chlusnął wodą na kamienie. Para oślepiła, gwałtowne gorąco z oddechem wdarło się do gardeł. Na czas jakiś uniemożliwiając konwersację.

Puchała uderzył się po ramionach brzozową miotełką.

– Jam – oświadczył dumnie – także w znaczną personę urósł, na Wawelu głośno o mnie. A to za sprawą listów, co to je Witold, wielki książę litewski, do króla Jagiełły cięgiem słać raczy. Doniesiono mi z pierwszej ręki, tedy wiem, co w onych listach o mnie stoi. Żem, cytuję, zbój, żem łotr, żem szkodnik, że zło i szkody przynoszę. Żeby mi Jagiełło pod karą gardłową Odry opuścić kazał, bo w zawarciu pokoju przeszkadzam, czyniąc tu, cytuję, *iniuras, dampna, depopulationes, incendia, devastationes et sangvinis profluvie*.

– Poznaję styl – rzekł Biedrzych. – To Zygmunt Luksemburski, nasz eks-król. Jedynym wkładem Witolda jest kulawa łacina.

– Te listy – odezwał się Jan Pardus – to oczywisty efekt zjazdu w Łucku, gdzie Luksemburczyk księcia Litwy skaptował i na swą modłę urobił.

– Obiecując mu królewską koronę – kiwnął głową Prokop. – I inne gruszki na wierzbie, niebywały wręcz urodzaj gruszek. Niestety, wygląda, że *magnus dux Lithuaniae* uwierzył w te gruszki. Słynący dotąd mądrością, rozwagą i litewskim sprytem Witold daje się Luksemburczykowi owinąć wokół palca. Zaiste, prawdę powiadają: *Stultum facit Fortuna quem vult perdere*.

– To zbyt zadziwiające, jak na mój gust – oświadczył Biedrzych. – Do tego stopnia, że podejrzewam w tym jakąś gierkę. Nie pierwszyzna to zresztą byłaby dla Witolda i Jagiełły. Nie pierwsza ich oszukańcza gra.

– Fakt – Prokop polał się wodą z cebra i otrząsnął jak pies. – Problem w tym, że gra toczy się na szachownicy, na której i my stoimy w charakterze figur. A gdyby nagle polski król wyszedł zza roszady, za którą dotąd się chował, gotów w układach namieszać. Mus nam tedy, jak w szachach, przewidywać kilka ruchów naprzód. I stawiać na newralgicznych polach nasze własne pionki. Jeśli już przy pionkach jesteśmy... Reynevan!

– Tak, hejtmanie?

– Pojedziesz na Śląsk. Z misją.

– Ja? Dlaczego ja?

– Bo ja tak rozkazuję.

Prokop odwrócił głowę. Biedrzych przeciwnie, patrzył na Reynevana przenikliwym wzrokiem. Pardus skrobał piętę szorstkim kamieniem. Puchała chlastał się rózgami po barkach.

– Bracie Prokopie – przemówił w ciszy Reynevan. – Nasłuchałeś się plotek i masz mnie w podejrzeniu. Chcesz mnie poddać próbie. Kazałeś śledzić mnie i moich druhów. A teraz nagle misja na Śląsk. Tajna misja, zapewne, jaką powierza się tylko ludziom najbardziej zaufanym i pewnym. Mniemasz mnie takim właśnie? Nie sądzę, byś mniemał. Rozumiem to. Prowokacji nie rozumiem. Ni jej celu i ni jej sensu.

Prokop milczał długo.

– Pardus! – wrzasnął wreszcie. – Biedrzych! Krucyfiks! Ale już!

– Co?

– Dawajcie mi tu, kurwa, krucyfiks!

Rozkaz wykonano błyskawicznie. Prokop wyciągnął krzyż w stronę Reynevana.

– Połóż palce. W oczy mi patrz! I powtarzaj: Na ten Święty Krzyż i Mękę Pana naszego przysięgam, iż pojmany przez Jana Ziębickiego nie zdradziłem i nie przeszedłem na stronę biskupa wrocławskiego i nie służę teraz biskupowi dla pognębienia braci moich, dobrych Czechów, stronników Kielicha, celem wrednego szkodzenia im zdradą. Jeślim zełgał, niech zdechnę, niech mnie szlag trafi i piekło pochłonie, a wcześniej niech mnie dosięgnie surowa ręka rewolucyjnej sprawiedliwości, amen.

– ...pojmany przez Jana Ziębickiego nie zdradziłem... Nie służę biskupowi... Amen.

– No – podsumował Prokop. – I wszystko wyjaśnione. Sprawa jest klarowna.

– Może jeszcze dla pewności spróbować ordaliów? – Biedrzych ze złośliwym uśmiechem wskazał na rozpalone kamienie. – Sądu Bożego przez próbę ognia?

– Można – zgodził się spokojnie Prokop, patrząc mu w oczy. – Na mój znak oskarżyciel i oskarżony siadają na kamieniach, obaj jednocześnie, gołą dupą. Kto dłużej usiedzi, przy tym prawda. Gotowyś, Biedrzych? Zaraz dam znak!

– Żartowałem.

– Ja też. I ciesz się z tego

●

– Krucyfiks – skonkludował Szarlej, krzywiąc się jak po occie. – Chryste, cóż za żałosny i jarmarczny spektakl. Sztuka naiwna, prymitywna i wyprana z gustu. Chybaś nie uwierzył w te jasełki?

– Nie uwierzyłem. Ale to raczej bez znaczenia, bo Prokop nie żartował bynajmniej. On naprawdę chce mnie wysłać z misją na Śląsk.

– Szczegóły podał?

– Żadnych. Powiedział, że poda, gdy czas przyjdzie.

Szarlej, nawet nie próbując przekrzyczeć ucztujących opodal Polaków, uniósł się i gwałtownie zamachał rękami. Oberżysta dostrzegł, wezwał dziewkę, ta wnet podbiegła z nowymi kuflami.

– A zatem jedziesz na Śląsk – zdmuchnął pianę. – Tak jak chciałeś. A my z tobą, nie zostawimy cię wszak samiutkiego. Ha, trzeba będzie się stosownie wyekwipować. Rankiem przejdę się po bazarze, obejrzę przeszmuglowane z Małopolski towary, dokonam zakupów...

– Środków ci wystarczy?

– Bez obaw. W odróżnieniu od ciebie dbam, by mój udział w husyckiej rewolucji owocował profitami. Wystawiam w sprawie Kielicha skórę na szwank, ale przestrzegam przy tym zasady *virtus post nummos*. Ha, to przywodzi mi na myśl pewną rzecz...

– Słucham cię.

– Może szykująca się tajna i tajemnicza ekspedycja na Śląsk jest szczęśliwym losu zrządzeniem? Może to jest ten traf, którego wyglądaliśmy?

– Traf?

Szarlej popatrzył na Samsona. Samson odłożył patyk, który strugał, westchnął i pokręcił głową. Demeryt też westchnął. I też pokręcił.

– Przed Hornem – spojrzał Reynevanowi w oczy – popisałeś się niedawno tyradą o wyrachowanym pragmatyzmie. Twierdziłeś, że euforia ci przeszła, że zapał wychłódł, że przestałeś być naiwnym idealistą. Własny interes stoi w hierarchii wyżej od cudzych, to twoje własne słowa. I oto okazja się nadarza do wprowadzenia słów w czyn.

– Niby jak?

– Pomyśl.

– Zdradzić, tak? – Reynevan zniżył głos. – Sprzedać Inkwizycji informację o misji, z którą śle mnie Prokop? Licząc, że wdzięczna Inkwizycja odda mi Juttę. To mi radzisz?

– Poddaję pod rozwagę. Pod zastanowienie i ocenę, czyj interes stoi wyżej w twej hierarchii. Co ważniejsze: Kielich czy Jutta? Rozważ, wybierz...

– Dość, Szarleju – przerwał łagodnie Samson Miodek. – Skończ z tym. Nie namawiaj Reinmara do rozważań, które nie mają sensu. I nie nakłaniaj do wyborów tam, gdzie wybierać nie można.

●

Księżyc skrył się za dachami kupieckich kamienic. Reynevan kroczył śmiało i szparko, zmierzając ku podwalu.

Skręcił w zaułek. Miast jednak iść dalej, bezszelestnie skrył się we wnęce bramy. Czekał, nieruchomo i cierpliwie.

Za małą chwilę dobiegły jego uszu ciche stapnięcia, ledwie słyszalne szurnięcie ciżmy o bruk. Odczekał, aż idący jego śladem człowiek wynurzy się z ciemności. A wtedy doskoczył, schwycił z tyłu za kapucę, targnął z całej siły. Człowiek zacharczał, obiema rękami sięgnął do gardła. Reynevan okutą głowicą noża łupnął go w żebra, dwie dłonie nad biodro. Uderzony wciągnął powietrze, zachłysnął się nim. Reynevan obrócił go szarpnięciem za bark, wziął rozmach i walnął głowicą, walnął po lekarsku, w *plexus solaris*, w samo serce. Człowiek w kapucy zarzęził, padł na kolana.

Gdzieś wysoko, na dachu, miauczał kot.

– Powtórz Prokopowi... – Reynevan klingą noża uniósł podbródek klęczącego. – Powtórz Prokopowi, że mogę jeszcze raz przysiąc na krzyż. Mogę przysiąc nawet kilka razy. Ale to musi wystarczyć. Nie życzę sobie być śledzonym. Następnego szpicla, którego przydybię, zabiję. Powtórz to Prokopowi...

– Panie...

– Co? Głośniej!

– Ja nie od Prokopa... Ja z zamku... Z rozkazu...

– Czyjego? Kto rozkazał?

– Jego wielmożność książę.

●

Mroki zamkowej kaplicy rozpraszał jedynie blask dwóch świec, gorejących przed surowym ołtarzem. Migotliwe światło refleksami igrało na pozłotce figury świętego, Macieja apostoła bodajże, bo z katowskim toporem. Siedzącego w stallach mężczyzny światło ledwie sięgało. Wydobywało z mroku posturę, krój i detale bogatego ubioru. Nie ujawniało oblicza. Nie musiało. Reynevan wiedział, kto to jest.

– Witaj, medyku. Góra z górą. Oto i znów się spotykamy, po latach. Ileż to ich minęło od bitwy pod Usti? Trzy? Dobrze liczę?

– Dobrze książę liczy.

Mężczyzna w stallach wyprostował się. Światło padło na jego twarz.

Był to Zygmunt Korybutowicz, kniaź litewski z krwi Ruryka, z plemienia Mendoga, prawnuk Gedymina, wnuk Olgierda, zrodzony z kniaziówny riazańskiej Anastazji syn Dymitra Korybuta, młodszego

brata Władysława Jagiełły, wsławiony – jako wyrostek zaledwie – w bitwie grunwaldzkiej. Liczący sobie teraz niewiele ponad trzydzieści lat Litwin, wychowany wśród Polaków na Wawelu, łączył najgorsze cechy obydwu nacji: zacofanie, kołtuństwo, obłudę, chorobliwą ambicję, pychę, dzikość, niepohamowaną żądzę władzy i totalny brak samokrytycyzmu.

Kniaź spod opadającej na oczy czupryny łypał na Reynevana, Reynevan patrzył na kniazia. Trwało to kilka chwil, w czasie których przez głowę Reynevana w błyskawicznym tempie przeleciały obrazki z krótkiej, acz burzliwej kniaziowej kariery.

Husyckie Czechy zdetronizowały Luksemburczyka i potrzebny był im nowy król. Proszeni Jagiełło i Witold odmówili, do Czech, jako ich namiestnik, udał się Korybutowicz. Wjechał do Złotej Pragi w roku 1422, na świętego Stanisława.

Na stołecznych ulicach okrzyki radości, wiwaty. Cudowna muzyka dla pychy i próżności. W muzyce nagle zgrzyty, złe tony. Nagle z tłumu słychać: „Przybłęda! Precz! Nie chcemy!" Rozczarowanie i złość, gdy zamiast królewskiego Hradu rezydencją okazuje się pałacyk na Staromiejskim Rynku. Potem kontakt z Taborem. Żiżka, jego budzące grozę jedyne oko i cedzone spod zjeżonych wąsów: „Wolnym ludziom króla nie potrzeba". Praga, zła, groźna, przyczajona i powarkująca jak zwierz.

Trwa to ledwo pół roku. Przyciśnięty przez papieża Jagiełło nakazuje bratankowi powrót. Opuszczającego Pragę Korybuta nikt nie zatrzymuje, nie żegna ze łzami. Ale gra polityczna toczy się nadal. Do Krakowa jedzie poselstwo czeskie. Z prośbą, by Korybut wrócił, by powrócił do Czech jako *postulatus rex*. Jagiełło kategorycznie odmawia. Ale Korybut wraca. Wbrew królowi. W 1424, w wigilię Nawiedzenia Marii wjeżdża ponownie do Pragi. Tytułują go tam „panem". Nigdy „królem". W Polsce jest wyklętym infamisem. W Czechach nie wiadomo kim. Ale Korybut bardzo chce być kimś. Spiskuje. Wysyła posłów i listy. Wciąż nowych posłów i nowe listy. W roku 1427 dochodzi do katastrofy.

Będący naocznym świadkiem wypadków praskich roku 1427 Reynevan nie rozumiał pobudek Korybuta. Jak wielu, upatrywał w młodym Litwinie kandydata na tron czeski. Zupełnie nie pojmował więc, co przyszłego króla husyckich Czech skłoniło do spiskowania z ludźmi, którzy przyszłość Czech widzieli zupełnie inaczej, ludźmi gotowymi na

każde ustępstwa i ugody, byle tylko móc powrócić pod skrzydełka Stolicy Apostolskiej i na łono chrześcijaństwa. Potem, po rozmowach z Flutkiem i Urbanem Hornem, Reynevan zmądrzał i zrozumiał, że książątko było po prostu marionetką. Kukiełką, za sznurki której pociągali nie ugodowcy, nie katoliccy panowie, lecz Witold. Bo to Witold Kiejstutowicz, wielki książę Litwy, posłał Korybuta do Czech. Witold chciał Czech na tyle husyckich, by nie dopuściły na tron Luksemburczyka. Czech uznających supremację Rzymu na tyle, by ich monarchę namaścił papież. Inaczej mówiąc: Czech, których Witold, syn Kiejstuta, mógłby zostać królem. Koronowanym władcą państwa sięgającego od Berlina po Brno, od Kowna po Kijów, od Żmudzi po Krym.

Spisek wykrył – przechwytując listy – Jan Rokycana, zajadły wróg ugodowców. W Wielki Czwartek roku 1427 uderzono w dzwony, a podjudzony przez Rokycanę tłum ruszył na Stary Rynek. Pochwycony w pałacu Korybut mógł mówić o szczęściu: choć motłoch wył i żądał krwi, uwięziono go tylko, a kilka dni po Wielkanocy wywieziono z Pragi. Nocą, zamaskowanego, by uchronić przed rozpoznaniem i samosądem. W więzieniu na zamku Waldsztajn przesiedział do późnej jesieni roku 1428. Wypuszczony, podobno za wstawiennictwem Jagiełły, nie wrócił na Litwę. Został w Czechach. W Odrach, u Puchały. Jako...

Właśnie, pomyślał Reynevan. Jako kto?

– Patrzysz – odezwał się Zygmunt Korybut. – I wiem, co myślisz.

– Prokop znieważa mnie – podjął po chwili. – Po przyjeździe ledwo parę słów ze mną zamienił. I dwóch pacierzy rozmowa nie trwała. Nawet burgrabiego zaszczycił dłuższą konwersacją. Nawet stajennych.

Reynevan milczał.

– Nie może mi zapomnieć Pragi – warknął Korybut. – Ale ja się domagam szacunku, do diabła! Należnego szacunku! Jestem księciem! W Odrach stoi tysiąc polskich rycerzy. Przybyli tu na moje wezwanie! Jeśli ja stąd odejdę, oni pociągną za mną! Nie zostaną w tym przeklętym przez Boga kraju, choćby Prokop na klęczkach ich błagał!

– Pan Jan z Kravarz – podniecał się kniaź – przyjął komunię pod obojgą postacią, jest obecnie sojusznikiem Taboru. Kto to sprawił, jeśli nie ja? Pan na Jiczynie układał się ze mną, z księciem. Z Prokopem nie gadałby w ogóle, nie wyciągnąłby ręki ku taborskim rezunom i duszegubom! A w stronę praskich łyków nie splunąłby nawet!

Przymierze z Kravarzem to moja zasługa! I co mnie za to spotyka? Podziękowania? Nie! Afront za afrontem!

Zupełnie skołowany Reynevan najpierw rozłożył ręce, potem się ukłonił. Korybut słyszalnie wciągnął powietrze.

– Byłem ich ostatnim władcą – powiedział spokojniej. – Ostatnim władcą Czech. Po tym, jak mnie haniebnie wypędzili, nie znaleźli już nikogo, kogo mogliby takim uznać i okrzyknąć. Mogąc mieć królestwo rządne i będące w zgodzie ze światem chrześcijańskim, woleli pogrążyć się w chaosie.

– A wszystko zawdzięczam rodzinie – dodał gorzko. – Stryjaszek Jogajła chciał moimi rękami wyciągać kasztany z ognia. A stryjaszek Witold mistrzowsko się mną posłużył. Cały czas szachował mną Luksemburczyka, mamiąc zarazem Czechów. Ale to przecież on, Witold, skontaktował mnie z Rzymem. Na jego polecenie przysięgałem papieżowi, że uczynię Królestwo Czeskie na powrót chrześcijańskim, że cały husytyzm sprowadzę do drobniuteńkich zmian w liturgii. Że zwierzchnictwo Stolicy Apostolskiej nad Czechami zapewnię i że wszystkie dobra Kościołowi zwrócę. Obiecałem Ojcu Świętemu to, co Witold kazał mi obiecać. To Witold zatem powinien siedzieć na Waldsztajnie, Witolda powinno się obłożyć anatemą i wyzuć ze wszystkiego. Ale to ja siedziałem, mnie wyklęli, mnie wyzuli. Chcę za to wszystko zadośćuczynienia! Rekompensaty! Chcę coś z tego mieć! Coś mieć i kimś być! I osiągnę to, jebana mać!

Korybut uspokoił się głębokim wdechem, wlepił w Reynevana oczy.

– Osiągnę to – powtórzył. – A ty mi w tym pomożesz.

Reynevan wzruszył ramionami. Nie zamierzał nawet udawać uniżoności. Dobrze wiedział, że pod protekcją Prokopa jest nietykalny, że nikt, nawet taki raptus jak Korybut, nie ośmieli się ubliżyć mu i tknąć choćby palcem.

– Książę raczy mnie przeceniać – powiedział zimno. – Nie widzę sposobu, w jaki mógłbym być księciu pomocny. Chyba że książę niedomaga. Jestem medykiem. Jeśli więc to stan zdrowia stoi na przeszkodzie w realizacji książęcych planów, gotów jestem usłużyć.

– Wiesz doskonale, jakiego rodzaju usług od ciebie chcę. Twoja fama cię wyprzedza. Wszyscy wiedzą, żeś jest czarownik, guślarz i gwiaździarz. Zaklinacz, *raganius*, jak mówimy na Żmudzi.

– Czarownictwo to w myśl artykułów praskich zbrodnia karana śmiercią. Książę życzy mi śmierci?

– Przeciwnie. – Korybut wstał, podszedł, przeszył go wzrokiem. – Życzę ci szczęścia, pomyślności i wszystkiego najlepszego. I wręcz to oferuję. W postaci mojej wdzięczności i łaskawości. Doszły cię wieści o Łucku? O konflikcie Witolda z Jogajłą? Wiesz, co z tego wyniknie? Powiem ci: zwrot w polskiej polityce względem Czech. A zwrot w polskiej polityce czeskiej to ja. To moja osoba. Jesteśmy znowu w grze, medyku, znowu w grze. I warto, wierz mi, stawiać na naszą kartę.

– Oferuję ci wdzięczność i łaskę, Reinmarze z Bielawy. Całkiem inną od tej, której zaznałeś od Czechów, od Neplacha i Prokopa, którzy posyłali cię na śmierć, a odwracali się, gdyś był w potrzebie. Gdybyś to mnie oddał usługi, jakie oddałeś im, twoja panna już by była u twego boku, wolna. By ocalić niewiastę wiernie służącego mi człowieka, spaliłbym Wrocław albo zginął, próbując. Bóg widzi, tak by było. Bo taki obyczaj u nas, na Litwie i Żmudzi. Bo tak postąpiłby Olgierd, tak postąpiłby Kiejstut. A jam krew z ich krwi i kość z kości. Zastanów się. Bo jeszcze nie za późno.

Reynevan milczał długo.

– Czego – wychrypiał wreszcie – książę życzy ode mnie?

Zygmunt Korybutowicz uśmiechnął się. Z książęcą wyższością.

– Na początek – powiedział – wywołasz dla mnie kogoś z zaświatów.

●

Na oderskim rynku rozległy się nagle podniesione głosy, krzyki i przekleństwa. Kilku Polaków popychało się tam, szturchało, szarpało za kubraki, wrzeszcząc na siebie, wygrażając pięściami i tytułując wzajemnie gnojami, kutasami i kurwimi synami. Ich druhowie próbowali godzić i rozdzielać, potęgując tym samym zamęt. Znienacka syknęły miecze w pochwach, błysnęły klingi. Wzbił się wysoki krzyk, zbrojni zakotłowali się, zwarli, odskoczyli i rozbiegli momentalnie. Na bruku zostało drgające ciało i rosnąca kałuża krwi.

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć – powiedział Reynevan.

– Ale tam – parsknął lekceważąco Szarlej, któremu Reynevan zrelacjonował właśnie wczorajszą rozmowę w zamkowej kaplicy. – Korybut dopuścił się przesady. Na Odrach stoi na dziś nie więcej niż pięciuset Polaków. Wątpię też, by choć jeden pociągnął za Korybutem,

gdyby ów faktycznie obraził się i odszedł. Ten Żmudzin ma wygórowane mniemanie o sobie. Zawsze miał, to nie tajemnica. Zastanów się, Reynevan, czy warto wchodzić z nim w konszachty. Mało masz kłopotów?

– Znowu dajesz się wykorzystywać – pokiwał głową Samson. – Czy ty nigdy nie zmądrzejesz?

Reynevan odetchnął głęboko. I powiedział o książęcej łasce, o wdzięczności, o korzyściach, jakie z tego mogą płynąć. Powiedział o zjeździe w Łucku i o tym, że Łuck zbliży króla Jagiełłę do husytów, przez co karta Korybuta ma duże szanse stać się kartą atutową. Mówił o tym, że dobre układy z Korybutem mogę być ratunkiem dla Jutty.

Szarlej i Samson nie dali się przekonać. Znać to było z ich min.

●

– Zdziwi cię może to pytanie, książę, ale... Czy nie przydarzył ci się ostatnio jakiś wypadek? Rana, zranienie żelazem?

– Ostatnio? Nie. Z dawniejszych lat, ha, zostało na skórze parę znaków. Ale od dłuższego czasu nic, nawet draśnięcia. Bóg strzeże. A dlaczego pytasz?

– Ot, tak sobie.

– Tak sobie, dobre sobie. Skończ z głupstwami, Reynevan, i skup się. Chcę ci opowiedzieć o wieszczku Budrysie.

Wieszczek Budrys, opowiedział Korybut, naprawdę nosił miano Angus Deirg Feidlech, a pochodził z Irlandii. Na Litwę przybył jako bard w orszaku rycerza Anglika, jednego z licznych zamorskich gości, jacy ciągnęli na wschód, by pod sztandarami Zakonu Teutońskiego krzewić wiarę Chrystusową wśród litewskich pogan. Na przekór obietnicom malborskich kapelanów, gwarantującym krzewicielom stuprocentową boską protekcję, już w pierwszym starciu z wojami Kiejstuta walnięty maczugą Anglik obryzgał własnym mózgiem głazy nad Niemnem, a wzięty w plen i powleczony do Trok Angus miał wraz z innymi krzyżackimi jeńcami spłonąć żywcem na ofiarnym stosie. Uratował go niespotykany, iście nieziemski, ogniście czerwony kolor włosów, który zafascynował kapłanów Perkuna. Rychło okazało się też, że przybysz zza mórz czci Białą Trójboginię, że oddaje cześć Milde, Kurko i Żwerine. Zowiąc boginie, co prawda, imionami Birgit, Badb i Morrigan, ale nie w imionach wszak sprawa, Bogini to Bogini. Podczas pobytu w Wilnie, w

świętym gaju na Łukiszkach, Iryjczyk zdradził zdolności wieszcze i prorocze, zasymilował się więc ze środowiskiem kapłanów bez problemów. Pod przybranym imieniem Budrysa Ważgajtisa przybysz z Zielonej Wyspy wnet zasłynął jako zdolny wejdalotas, czyli wróżbita i wieszczek.

– Budrys – opowiadał Korybut – trafnie przepowiedział mnóstwo wydarzeń, od wyniku bitwy na Kulikowym Polu poczynając, a na ożenku Jogajły z Jadwigą kończąc. Był z nim jednak problem. Wieszczył cholernie zawile i kurewsko niezrozumiale.

Syn kultury Zachodu, Iryjczyk, wplatał w swe proroctwa liczne do tej kultury nawiązania, skryte aluzje, zakamuflowane metafory, używał łaciny lub innych języków obcych. Litwini tego nie lubili. Woleli mniej wyrafinowane metody wróżenia. Jeśli święty wąż wyściubiał na wołanie łeb z dziury, los sprzyjał, jeśli wąż wołanie olewał i łba wyściubiać ani myślał, rokowania były złe. Jagiełło i Witold, nieco bardziej zachodni od współplemieńców, traktowali Budrysa poważniej i słuchali jego wieszczb, w sprawach wagi państwowej jednak i oni preferowali węża.

– A ja go zawsze ceniłem i podziwiałem – przyznał się Korybut. – Chciałem, by mi wróżył, postawił horoskop i przepowiedział przyszłość. Prosiłem go o to wiele razy, ale *proklatyj did*odmawiał. Karierowiczem, stary chrzan, mnie nazywał i coś o kowalstwie własnego losu pierdolił. Dopiero stryj Witold go przekonał, na krótko przed moim wyjazdem do Czech. Gwiaździarz miał rzucić żrebia i sporządzić horoskop dla nas wszystkich, dla Jogajły, Witolda i dla mnie. Ale nagle, ni z tego, ni z owego, umarł. Kopyrtnął na amen.

– Ty, Bielawa, jesteś nigromanta i dywinator. Wywołaj go z zaświatów. Niechaj wejdalotas spełni jako duch to, czego nie zdążył spełnić za życia.

●

Reynevan długo starał się wyperswadować księciu pomysł, ale bez skutku. Korybut nie chciał słuchać o wiążących się z nekromancją trudnościach, o grożących podczas dywinacji niebezpieczeństwach, o ryzykach, jakie niosło *vehemens imaginatio*, niezbędne dla udanej konjuracji wytężenie wyobraźni. Głuchy był na wspominki o królu Saulu i czarownicy z Endor. Machał ręką, wydymał wargi, wreszcie rzucił coś

na stół. Coś miało rozmiar, kształt i kolor starego wysuszonego kasztana.

– Ty mi tu kręcisz – wycedził. – A ja się też co nieco znam na czarach. Ducha wywołać nie jest wcale trudno, gdy się ma kawałek nieboszczyka. To, o, jest kawałek Budrysa Ważgajtisa.

– Mieli go spalić na stosie, starego poganina, z pełnym ofiarno-pogrzebowym ceremoniałem. Leżał na marach, paradnie odziany, przybrany jedliną, polnym kwieciem i listowiem. Zakradłem się nocą, ściągnąłem dziadowi łapeć i urżnąłem wielki palec od nogi.

– Zbezcześciłeś zwłoki?

Korybut parsknął.

– Nie takie rzeczy bezcześciło się w naszej rodzinie.

●

O północy zerwał się wicher, świszcząc i gwiżdżąc w szczelinach murów. W odległym skrzydle zamku, w starej zbrojowni, przeciąg pochylał płomyki świec z czarnego wosku, kręcił w spirale dym tlącego się na trójnogu kadzidła. Pachniało woskiem i aloesową sufumigacją. Reynevan przystępował do dzieła, uzbrojony w leszczynową różdżkę, amulet Python i wypożyczony od aptekarza podniszczony egzemplarz *Enchiridionu*. Wewnątrz nakreślonego na blacie stołu kredowego koła stało zwierciadło i leżał zmumifikowany wielki palec od nogi, niegdyś własność i nierozdzielna część zmarłego Budrysa Ważgajtisa. Kontakt z duchem nieboszczyka umożliwić miała więc kombinacja dywinacji, nekromancji i katoptromancji.

– Colpriziana – wymówił Reynevan, wykonując amuletem znaki nad zakreślonym kredą kołem. – Offina, Alta, Nestera, Fuaro, Menuet.

Ukryty w cieniu Korybut poruszył się niespokojnie. Leżący wewnątrz koła paluch ani drgnął.

– *Conjuro te, Spiritum humanum.* Zaklinam cię, duchu Angusa Deirg Feidlecha, *alias* Budrysa Ważgajtisa! Przybądź!

– *Conjuro et adjuro te, Spiritum, requiro atque obtestor visibiliter praesentem.* Rozkazuję przez Ezela, Salatyela i Yegrogamela! Theos Megale patyr, ymas heth heldya, hebeath heleotezyge! *Conjuro et adjuro te!*

– Przez Yemegasa, Mengasa i Hacaphagana, przez Haylosa! Przybądź, duchu! Przybądź ze wschodu, z południa, z zachodu lub z północy!

Zaklinam cię i rozkazuję! Przybądź! *Ego te conjuro!*

Powierzchnia umieszczonego w kredowym kole lustra zmętniała, jak gdyby ktoś niewidzialny chuchnął na nią. W zwierciadle coś się pojawiło, coś na obraz mgły, mętnego oparu. Na oczach zdumionego do granic Reynevana, który w powodzenie przedsięwzięcia niezbyt wierzył, opar przybrał kształt postaci. Dało się słyszeć coś jakby westchnienie. Głębokie, świszczące westchnienie. Reynevan schylił się nad *Enchiridionem* i w głos odczytał formułę zaklęcia, sunąc po wersach amuletem. Obłok w lustrze zgęstniał. I zauważalnie zwiększył rozmiary. Reynevan uniósł ręce.

– *Benedictus qui venis!*

– *Quare* – tchnął obłok cichym, świszczącym wydechem – *inquietasti me?*

– *Erit nobis visio omnium sicut verba libri signati.* Imieniem wielkim Tetragramaton rozkazuję ci, duchu, odpieczętować księgę tajemnic i zrozumiałymi dla nas uczynić jej słowa.

– Pocałuj mnie – zaszeptał duch – w moją astralną dupę.

– Rozkazuję ci – Reynevan uniósł amulet i różdżkę – byś przemówił. Rozkazuję, byś słowa dotrzymał. Byś dokończył horoskopu, przepowiedział losy Mendogowego i Gedyminowego pokolenia, w szczególności...

– To, co tu leży – duch ze zwierciadła nie dał mu dokończyć – to nie mój palec od nogi przypadkiem?

– On.

Dym kadzidła zatętnił, uniósł się spiralnie. Powierzchnia lustra zmętniała.

– Ojca swego syn piąty – przemówiło szybko widmo – chrzczony z niemiecka i grecka, a poganin w duszy, o królestwie marzy, bynajmniej nie niebieskim. Gwiazda Syriusz wbrew tym zamiarom wschodzi, a przyobiecana korona przepadnie, porwie ją Smok ogniem ziejący, na grzbiecie krwią w kształt krzyża skropiony. *O quam misericors est deus justus et pius!*Smok śmierć zwiastuje, a dzień zgonu wiadomy. Pontyfikatu Kolumny *anno penultimo*, dzień to Wenusowy, dnia tegoż *diluculum*.

– Gdy od tego zgonu minie dni sto i dziewiętnaście, Kolumna upadnie, miejsca Wilkowi ustępując. Pontyfikatu Wilka *anno quarto* Znak się stanie: gdy słońce w dom ostatni wejdzie, wiatry niespotykanej

siły powieją i burze szaleć będą przez dni dziesięć bez wytchnienia. A gdy od tych wydarzeń sto i dziesięć dni minie, odejdzie ze świata ojca swego syn siódmy, król i mocarz, Rzymem chrzczony, a poganin w duszy. Zwabiony słowika słodkim pieniem, ducha wyzionie w zameczku małym, o *gallicinium dies Martis*, nim Słońce wzejdzie, onoż będzie wonczas *in signo Geminorum*.

– A ja? – nie wytrzymał z kąta Korybut. – Co ze mną? Mój horoskop! Mój obiecany horoskop!

– Od drewna i żelaza zginiesz, ojca swego synu wtóry – odrzekło złym głosem widmo. – Dopełni się los twój w *dies Jovis*, dni czternaście przed *Equinoctium autumnale*. Gdy nad rzeką świętą z wilkiem się zmierzysz. Oto twój horoskop. Wywieszczyłbym ci może co lepszego, aleś mi palec od nogi urżnął. Masz tedy to, co masz.

– Co to niby ma znaczyć? – zerwał się książę. – Gadaj mi tu zaraz jasno! Co ty sobie myślisz? Nieboszczykiem jesteś! Trupem! Nie będziesz mi tu...

– Książę – przerwał Reynevan, zamykając grymuar. – Ducha już tu nie ma. Odszedł. Powiał, dokąd zechciał.

●

Leżąca na stole mapa była mocno pokreślona. Narysowane na niej linie i krechy łączyły Czechy z Łużycami – z Żytawą, Budziszynem, Zgorzelcem. Jedna prowadziła na Opawę i na Śląsk, ku Raciborzowi i Koźlu. Jedna prowadziła w dolinę Łaby, do Saksonii, inna, najgrubsza, prościutko na Wrocław. Więcej Reynevan zobaczyć nie zdołał, Prokop Goły zakrył mapę arkuszem papieru. Uniósł głowę. Długo patrzyli sobie w oczy.

– Doniesiono mi – rzekł wreszcie Prokop – że skumałeś się z Zygmuntem Korybutem. Że dużo czasu ze sobą spędzacie, magią i astrologią się zabawiając. Chciałbym wierzyć, że nie bawicie się w nic innego.

– Nie rozumiem.

– Z pewnością rozumiesz. Ale skoro wolisz wprost, służę. Korybut to zdrajca. Znosił się z papieżem, znosił z Janem Przybramem, z Rożmberkiem, z Henrykiem von Plauen, z katolikami z Pilzna. Dążył, twierdzi, do zawarcia pokoju, bo biadał nad dziejącym się przelewem krwi chrześcijańskiej. A ja twierdzę, że to bajki, nie był aż tak głupi, by

nie rozumieć, o co naprawdę szło papieżowi i katolikom. Pokój? Kompromisy? Układy? Bzdura! Chcieli nas poróżnić, sprawić, byśmy zaczęli bić się między sobą i wzajem wyrzynać, oni zaś wyrżnęliby niedobitków. Korybut musiał o tym wiedzieć, był więc winien zdrady, za zdradę powędrował do więzienia, miał szczęście, że go nie stracili. A siedziałby na Waldsztajnie do sądnego dnia, gdyby nie wstawiennictwo Jagiełły i hojny okup, jaki Jagiełło zapłacił.

– Dogadaliśmy się teraz. Siedząc tu, na Odrach, Korybut i Puchała oddają, przyznaję to, Taborowi cenne przysługi, dzięki im obu mocno trzymamy Bramę Morawską, bastion przeciw sojuszowi Luksemburczyka z Albrechtem i łącznik z Polską. Dogadaliśmy się i sprzymierzyli, zawarli układ. Korybut ma u mnie dwa plusy. *Primo:* definitywnie pożegnał się z nadziejami na tron czeski. *Secundo:* nienawidzi Starego Miasta praskiego. Łączy nas zatem wspólnota interesów. Póki ta wspólnota trwać będzie, Korybut będzie moim sojusznikiem i towarzyszem broni. Póki trwać będzie. Zrozumiałeś mnie?

– Zrozumiałem. Ale... Jeśli wolno zwrócić uwagę...

– Mów.

– Znalazłby się może dla Korybuta i trzeci plus. Zjazd w Łucku poróżnił Jagiełłę z Witoldem, a że rolę podszczuwacza odegrał Luksemburczyk, Jagiełło poszuka sposobu, by Luksemburczykowi za to odpłacić. Można założyć, że tym sposobem będzie kniaź Korybut. Można założyć, że notowania Korybuta mocno pójdą w górę. Może więc nie od rzeczy byłoby stawiać na tę kartę?

Prokop przez chwilę gryzł wąs.

– Nie od rzeczy, powiadasz – powtórzył wreszcie. – Stawiać na kartę, powiadasz. Powiadasz, że notowania rosną. Aż taki dalekowzroczny z ciebie strateg i polityk? Dotąd nie przejawiałeś jakoś talentów w tym kierunku. Zdecydowanie lepszy był z ciebie medyk i magik. Czyżby to zatem magia? Astrologia? Tym się z Litwinem zajmujecie? Jeśli tak, to niechaj i ja się dowiem, co w gwiazdach słychać, jakież to ewenementy, jakież losu zrządzenia wróżą nam ciał niebieskich obroty, koniunkcje i opozycje?

– Na stolcu Piotrowym – zaczął Reynevan ostrożnie – zasiądzie wkrótce nowy namiestnik. Wielki książę Witold tego nie dożyje, umrze w przedostatnim roku pontyfikatu Marcina V. Władysław Jagiełło, król

Polski, przeżyje obu, tak Witolda, jak i Marcina. Opuści ten padół w czwartym roku pontyfikatu nowego papy.

Prokop milczał.

– Przypuszczam – przypuścił wreszcie – że wróżby, jak zwykle, nie są do końca jasne. I że nie podają konkretnych dat.

– Nie są – Reynevan i okiem nie mrugnął. – I nie podają.

– Ha. Ale Marcin V, jak by nie liczyć, ma dobre sześćdziesiąt na karku, dwanaście lat od konklawe mija. Podobno słabuje, więc tylko patrzeć, jak kopnie w kalendarz... Ha! A Witold, powiadasz, kopnie w kalendarz przed nim, jeszcze przed papą Marcinem do wrót raju zastuka... Ha. Ciekawe. Słyszałeś o horoskopie, który sporządził dla królowej Sonki astrolog Henryk z Brzegu?

– Słyszałem. Horoskop nie jest zbyt pomyślny dla synów Jagiełły, Władysława i Kazimierza. Za ich królowania klęski pono spadną na Królestwo Polskie.

– Ale będą królować – rzekł z naciskiem Prokop. – Obaj będą królować. Na Wawelu. Najpierw jeden, po nim drugi.

– Są królewiczami, więc to raczej normalne.

– Mówimy o Polsce – przypomniał Prokop. – Tam nic i nigdy nie jest normalne. Ale mniejsza z tym, horoskopy bywają mylne, że o wróżbitach nie wspomnę. Ale cóż, naszej ciekawości rzeczy przyszłych nic nie pohamuje. Jeśli my już przy tym, to co z książęciem Korybutem? Co jemu gwiazdy wróżą?

– Jemu – wzruszył ramionami Reynevan – wróżą akurat dobrze. Przynajmniej on sam tak uważa. Umrzeć ma nad świętą rzeką, po tym, jak z wilkiem się zmierzy. Wilk, uważa Korybut, to według przepowiedni Malachiasza następca Marcina V. A święta rzeka to Jordan. Książę nie wybiera się do Palestyny i nie zamierza nad Jordanem mierzyć się z papieżem. Uważa, że to zapewni mu długie lata żywota.

– A jak ty uważasz?

– Duchy czasem drwią z ludzi przepowiedniami. A ta Korybutowa nazbyt przypomina mi legendę Gerberta z Aurillac, papieża Sylwestra II. Papieżowi Sylwestrowi przepowiedziano, że umrze po odprawieniu mszy w Jerozolimie, mniemał więc, że jeśli tam nie pojedzie, żył będzie wiecznie. Umarł w Rzymie, po odprawieniu mszy w kościele Santa Croce. Kościół ten zwano: „Gerusalemme”.

– Mówiłeś o tym Korybutowi?

– Nie.

– I nie mów.

Director operationum Thaboritarum wstał, przeszedł przez komnatę, otworzył okno. Powiało wiosną.

– W poniedziałek wyruszacie na Śląsk. Ważne sprawy macie tam do załatwienia. Obdarzam cię zaufaniem, Reynevan. Nie zawiedź mnie. Bo jeśli mnie zawiedziesz, duszę z ciebie wywłóczę.

●

Nadeszła niedziela Palmowa, w Czechach zwana Kwietną. Dzwony wezwały wiernych na procesję, potem na mszę. Dokładniej: na dwie msze.

Mszę dla husytów celebrował sam Prokop Wielki, naczelny sprawca wojsk w polu wojujących. Oczywiście według liturgii taboryckiej, pod gołym niebem, za murami miejskimi, na łące zwanej Karpią, przy Kielichu na stole nakrytym skromnym białym obrusem. Msza dla katolików, przeważającą miarą Polaków, odprawiała się w mieście, w kościele Świętego Bartłomieja, a celebrował ją przed ołtarzem ksiądz Kołatka, proboszcz z Nasiedla, specjalnie w celach duszpasterskich schwytany podczas wypadu na Opawsko i uprowadzony wraz ze wszystkim liturgicznym strojem, przyborem i paramentem.

Reynevan uczestniczył w mszy husyckiej. Szarlej nie uczestniczył w żadnej, kult, jak mawiał, dawno już go zniechęcił, a celebra znudziła. Samson poszedł nad rzekę, długo spacerował wzdłuż brzegu, popatrując na niebo, na krzaczki i na kaczki.

●

Na Karpiej Łące Prokop Wielki głosił tłumom swe kazanie.

– Oto dzień Pański nadchodzi okrutny! – wołał. – Najwyższe wzburzenie i straszny gniew, żeby ziemię uczynić pustkowiem i wygładzić z niej grzeszników. Bo gwiazdy niebieskie i Orion nie będą jaśniały swym światłem, słońce się zaćmi od samego wschodu i swoim blaskiem księżyc nie zaświeci!

– Choćbyście nawet mnożyli modlitwy, ja nie wysłucham – przemawiał z ambony u Świętego Bartłomieja ksiądz Kołatka – Ręce wasze pełne są krwi. Obmyjcie się, czyści bądźcie! Usuńcie zło uczynków waszych sprzed moich oczu! Przestańcie czynić zło!

Zaprawiajcie się w dobrem! Troszczcie się o sprawiedliwość, wspomagajcie uciśnionego, oddajcie słuszność sierocie, w obronie wdowy stawajcie! Choćby wasze grzechy były jak szkarłat, jak śnieg wybieleją; choćby czerwone jak purpura, staną się jak wełna.

– Pan – przetaczał się po Karpiej Łące bas Prokopa – kipi gniewem na wszystkich pogan i wrze z oburzenia na wszystkie ich wojska! Przeznaczył je na zagładę, na rzeź je wydał! Zabici ich leżą porzuceni, rozchodzi się zaduch z ich trupów; od krwi ich rozmiękły góry!

– Zamysły ich zbrodnicze – kazał spokojnym głosem ksiądz Kołatka. – Spustoszenie i zagłada są na ich drogach. Nie znają drogi pokoju. Prawości nie ma w ich postępowaniu. Uczynili krętymi dla siebie własne swoje ścieżki. Dlatego prawo jest od nas dalekie i sprawiedliwość do nas nie dociera. Oczekiwaliśmy światła, a oto ciemność; jasnych promieni, a kroczymy w mrokach. Jak niewidomi macamy ścianę i jakby bez oczu idziemy po omacku. Potykamy się w samo południe jak w nocy, w pełni sił jesteśmy jakby umarli.

– Przyszło twe światło – ksiądz Kołatka wyciągnął ręce ku wiernym w nawie – i chwała Pańska rozbłyska nad tobą. Bo oto ciemność okrywa ziemię i gęsty mrok spowija ludy, a ponad tobą jaśnieje Pan i Jego chwała jawi się nad tobą. I pójdą narody do twojego światła, królowie do blasku twojego wschodu.

Słońce wyjrzało zza chmur, jasnością zalało okolicę.

– *Ite, missa est.*

Rozdział dziewiąty

w którym w trakcie tajnej misji na Śląsku Reynevan poddawany jest licznym i różnym sprawdzianom lojalności. On sam znosi to dość cierpliwie, w przeciwieństwie do Samsona Miodka, który jest urażony i daje temu wyraz.

Lecieli przez ogarniany wiosną kraj, lecieli w skok, w rozbryzgach wody i błota z rozmiękłych dróg.

Za Hradcem sforsowali Morawicę, dotarli do Opawy, stolicy Przemka, księcia z rodu Przemyślidów. Tu zwolnili, by nie budzić podejrzeń. Gdy oddalali się od miasta, żegnani biciem dzwonów na Angelus, Reynevan zorientował się, że coś tu nie gra. Zorientował się po trosze samorzutnie, po trosze nakierowany wymownymi spojrzeniami Szarleja. Jakiś czas rozważał i oceniał, czy się aby nie myli. Wyszło, że nie. Że ma rację. Coś tu nie grało.

– Coś tu nie gra. Nie jest tak, jak powinno być. Biedrzych!

– Hę?

– Mieliśmy jechać na Karniów i Głuchołazy, tak mówił Prokop. Na północny zachód. A jedziemy na północny wschód. To jest gościniec raciborski.

Biedrzych ze Strażnicy zawrócił konia, podjechał blisko.

– Względem gościńca – potwierdził chłodno, patrząc Reynevanowi w oczy – masz absolutną rację. Względem reszty nie. Wszystko gra i wszystko jest tak, jak powinno być.

– Prokop mówił...

– Tobie mówił – przerwał Biedrzych. – Mnie wydał rozkazy. Ja dowodzę tą misją. Masz co do tego jakieś obiekcje?

– Może powinien mieć? – odezwał się Szarlej, podprowadzając swego urodziwego karosza. – Bo ja mam.

– A może – Samson na wielkim kopijniczym ogierze zajechał Biedrzycha od prawej. – A może tak zdobyć by się na trochę szczerości, panie ze Strażnicy? Trochę szczerości i zaufania. Czy to tak wiele?

Jeśli mowa Samsona osłupiła Biedrzycha, to tylko na krótko. Oderwał oczy od oczu olbrzyma. Spojrzał koso na Szarleja. Spojrzeniem dał

sygnał swym czterem podwładnym, Morawianom o zaciętych gębach i sękatych łapach. Spojrzenia wystarczyło, by Morawianie jak na komendę opuścili łapy i wsparli je na styliskach wiszących u siodeł toporów.

– Trochę szczerości, tak? – powtórzył, krzywiąc usta. – Dobra. Wy pierwsi. Ty pierwszy, wielkoludzie. Kim ty naprawdę jesteś?

– *Ego sum, qui sum.*

– Odbiegamy od tematu. – Szarlej ściągnął karoszowi wędzidło. – Udzielisz Reynevanowi wyjaśnień? Czy ja mam to zrobić?

– Zrób to ty. Chętnie posłucham.

– Niespodziewanie zmieniliśmy trasę – zaczął bez zwłoki demeryt – by wywieść w pole szpiegów, biskupich zbirów i Inkwizycję. Podróżujemy gościńcem raciborskim, a oni pewnie wypatrują nas pod Karniowem i tam pewnie zastawili na nas zasadzkę. Bo doniesiono im, którędy pojedziemy. Ty im o tym doniosłeś, Reinmarze.

– Jasne. – Reynevan ściągnął rękawicę, otarł czoło. – Wszystko jasne. Wychodzi, Prokopowi mało jednak było przysięgi na krucyfiks. Nadal mnie sprawdza.

– Do diabła! – Biedrzych ze Strażnicy pochylił się w kulbace, splunął na ziemię. – Dziwisz mu się? Postąpiłbyś inaczej na jego miejscu?

– Tylko po to wysłał mnie na Śląsk? By poddać mnie próbie? Tylko dlatego tłukliśmy się taki szmat drogi i wpakowali w środek wrogiego terytorium? Tylko i wyłącznie dlatego?

– Nie wyłącznie – Biedrzych wyprostował się. – Bynajmniej nie wyłącznie. Ale dość o tym. Czas nagli, ruszamy.

– Dokąd? Pytam, by donieść biskupim zbirom.

– Nie przeginaj pały, Reynevan. Jedziemy.

●

Jechali, już bez pośpiechu, rozmokłą drogą wśród lasów. Przodem dwaj Morawianie, za nimi Biedrzych i Reynevan, dalej Szarlej i Samson, na końcu dwaj Morawianie. Jechali ostrożnie, byli wszak na nieprzyjacielskim terytorium, na ziemiach księstwa raciborskiego. Młody książę Mikołaj był zawziętym wrogiem husytów, zawziętszym nawet niż jego niedawno zmarły ojciec, osławiony hercog Jan zwany Żelaznym. Hercog Jan dla dokuczenia husytom nie bał się nawet zadrzeć z potężną Polską i jej królem. W roku 1421 wywołał poważny

incydent dyplomatyczny: schwytał i zaaresztował cały orszak zmierzającego do Krakowa poselstwa czeskiego, a posłów – z możnym Wilemem Kostką z Postupic na czele – wtrącił do ciemnicy, ograbił do koszuli i sprzedał Luksemburczykowi, który zwolnił ich dopiero po ostrej nocie Jagiełły i mediacji Zawiszy Czarnego z Garbowa. Czujność była więc uzasadniona. Złapanym przez Raciborzan nie pomogłyby ni noty, ni mediacje, zawiśliby na stryczkach bez żadnych ceregieli.

Jechali. Biedrzych łypał na Reynevana, Reynevan niechętnie łypał na Biedrzycha. Nie wyglądało to na początek pięknej przyjaźni.

•

Biedrzych ze Strażnicy pochodził, jak wieść niosła, z władyków, ale z tych raczej uboższych. Przed rewolucją był podobno klerykiem. Choć nie wyglądał na starszego od Reynevana i chyba starszy nie był, miał za sobą długi i barwny szlak bojowy. Po stronie rewolucji opowiedział się zaraz po jej wybuchu, uniesiony, jak wielu, falą euforii. W roku 1421 jako taborycki kaznodzieja i emisariusz rozpętał husycką burzę na wiernych dotąd Luksemburczykowi Morawach. Jego dziełem i tworem był morawski Nowy Tabor na Uherskim Ostrohu, słynący głównie z napadów na klasztory i palenia kościołów, zwykle razem z duchownymi. Po kilku bojach z Węgrami Luksemburczyka, gdy zaczęło się robić gorąco, Biedrzych zostawił Morawy Morawianom i wrócił do Czech, gdzie przystał do orebitów, a potem do Mniejszego Taboru Żiżki. Po śmierci Żiżki związał się z Prokopem Gołym, któremu służył jako adiutant do specjalnych poruczeń. Kaznodziejstwem przestał się parać, zgolił apostolską brodę razem z wąsami, przemieniając się w młodzieniaszka o aparycji rodem wprost ze świętych obrazków. Kto go nie znał, mógł dać się nabrać.

– Reynevan.

– Co?

– Mamy z sobą do porozmawiania.

– Może i czas najwyższy. Mnie, widzisz, ta sytuacja mierzi w najwyższym stopniu. I po prostu dość mam tego. Prokop rozkazał mi jechać na Śląsk, rozkaz posłusznie wykonałem. Jak widać, popełniłem błąd. Należało odmówić, nie bacząc na konsekwencje. A teraz jestem tu, diabli wiedzą po co. Celem próby? Jako instrument prowokacji? Czy jej przedmiot? Czy wyłącznie po to, by...

– Już ci mówiłem – przerwał ostro Biedrzych – że bynajmniej nie wyłącznie. Pomysł z niespodziewaną zmianą trasy był mój. Prokop ci ufa. Względem misji na Śląsk nie miał zresztą wyboru. Jedziemy spotkać się i negocjować z... Z pewnymi osobami. Osobistościami nawet. Persony te postawiły warunek, warunek dziwny i zaskakujący: zażądały, byś to ty, Reinmar z Bielawy, własną osobą uczestniczył w spotkaniach i negocjacjach. Nie pytaj mnie, dlaczego. Nie wiem, dlaczego. A może ty wiesz?

– Nie wiem. Wierz lub nie, dla mnie jest to równie dziwne i zaskakujące. Tak bardzo, że węszę kolejny twój podstęp. Bo przecież ty wciąż mi nie dowierzasz.

Biedrzych ze Strażnicy ostro wstrzymał konia.

– Mam propozycję – rzekł, prostując się w kulbace. – Niezależnie od wszystkiego, zawrzyjmy rozejm, choćby tylko na czas tej misji. Zapuściliśmy się w sam środek wrażego obozu. Źle skończymy, jeśli nie będziemy sobie dowierzać, jeśli nie będziemy solidarni, czujni i solidarnie gotowi do wzajemnej obrony naszych tyłków, gdyby do tego przyszło. Jak będzie? Uściśniesz mi rękę?

– Uścisnę. Ale od tej chwili między nami szczerość, Biedrzych.

– Szczerość, Reynevan.

●

Następnego dnia minęli miasteczko Krzanowice i dotarli do wsi Bojanów, znacznej surowym budynkiem konwentu, filii klasztoru raciborskich panien dominikanek. Od Raciborza, jak wyliczył Biedrzych, dzieliła ich jakaś mila.

– Przypominam – zebrał ekipę i rozpoczął odprawę – że jesteśmy kupcami z Prus, z Elbląga, byliśmy na Węgrzech, właśnie stamtąd wracamy. Jesteśmy przygnębieni, bo pod Odrami zatrzymali nas i okradli husyci. Takiej wersji się trzymamy, gdyby co. Reynevan i Szarlej po niemiecku mówią, wiem. A ty, waligóro? Który jesteś, kim jesteś?

– Mówię wszystkimi językami ludzi, mimo to jestem jak cymbał brzmiący i jako miedź brząkająca. A zwę się Samson. Zwracaj się więc do mnie imieniem, komendancie.

●

W oddali widzieli już mury i wieże Raciborza, wpierw, nawet jeszcze nie dojeżdżając do podgrodzia, minęli kościółek, cmentarz i dekorującą szczyt płaskiego wzgórza szubienicę. Na poprzecznej belce kołysało się na łagodnym wietrze kilka ciał w zróżnicowanym stopniu rozkładu.

– Wieszają nawet w Wielkim Tygodniu – zauważył Szarlej. – Znaczy, jest zapotrzebowanie. Znaczy, łapią.

– Wszędzie teraz łapią – wzruszył ramionami Biedrzych. – Po zeszłorocznej rejzie wszędzie widzą husytów. Psychoza strachu.

– Rejza – zauważył Reynevan – nawet nie zawadziła o księstwo raciborskie. Oni husytów nawet nie widzieli.

– A diabła ktoś widział? A wszyscy się boją.

Przejechali przez zasnute dymami podgrodzie, rozbrzmiewające głosami rozlicznych zwierząt i odgłosami zajęć, jakich ludzie zwykli imać się zarobkowo. Pod Bramą Mikołajską siedziało dobre ćwierć setki żebraków, demonstrujących spod łachmanów zropiałe kikuty i wrzody. Biedrzych rzucił im kilka miedziaków, dla uwiarygodnienia pozorów i przykrywki: wkraczali do miasta jako kupcy, a wśród kupców istniała moda na jałmużny, darczynienie i temu podobne popisy.

– Tu się rozdzielamy – oświadczył, gdy opuścili przedbramie i znaleźli się przy klasztorze dominikanek. – Znacie Racibórz, jak sądzę? To jest ulica Panieńska, jadąc prosto dotrzecie do Rynku i odchodzącej od niego ulicy Odrzańskiej, wiodącej do bramy o tej samej nazwie. Jest tam gospoda znana jako „Waga Młyńska”. Tam się zatrzymacie i zaczekacie na nas. Znaczy na mnie i na Reynevana.

– Wy zaś – zmrużył oczy Szarlej – udacie się tymczasem pod inny adres. Pod jaki, jeśli można wiedzieć?

– W zasadzie można. – Twarz Biedrzycha nie drgnęła. – Ale czy warto? Jeśliby, tfu, tfu, coś poszło nie tak, mogą o ten adres pytać. Wtedy lepiej móc zasłonić się niewiedzą.

– Jeśliby, tfu, tfu, coś poszło nie tak – rzekł spokojnie demeryt – trzeba może będzie wyciągać wasze dupska z potrzasku. Wiedza może wtedy okazać się pomocną. W odróżnieniu od niewiedzy.

Kaznodzieja milczał przez chwilę, przygryzając wargę.

– W rynku – powiedział wreszcie. – Wschodnia strona, róg Długiej. Dom „Pod Złotą Koroną”.

●

O pomyłce mowy być nie mogło, kamienica we wschodniej pierzei rynku, na rogu ulicy Długiej, ozdobiona była na froncie okazałym reliefem, przedstawiającym złotą koronę wśród roślinnych motywów. Skryte w podsieniu drzwi przypominały wrota twierdzy, równie długo przyszło też do nich kołatać, by doczekać się reakcji. Biedrzych kołatał i klął z cicha. Reynevan oglądał się, wypatrując możliwych śledzących. Wreszcie otworzono im, wysłuchano, poprowadzono, wprowadzono. Reynevan aż westchnął ze zdumienia. Wnętrze, w którym się znaleźli, było identyczne z tym wrocławskim, w którym w lutym odbierał depozyt Ottona Beessa, identyczne w każdym niemal detalu, wliczając gdańskie meble, kominek i wielką mapę na ścianie naprzeciw. Rezydujący w znajomym wnętrzu urzędnik też wyglądał znajomo. I nie dziwota, bo to był ten sam urzędnik.

– Witam panów w pięknym i bogatym mieście Raciborzu. – Urzędnik Kompanii Fuggerów uniósł się zza stołu, dał znać, by usiedli. – Pan Biedrzych ze Strażnicy, jak sądzę?

– W istocie – potwierdził kaznodzieja. – To zaś jest...

– Reinmar von Bielau vel Hagenau – przerwał z uśmiechem urzędnik. – Miałem już przyjemność. Rad jestem widzieć waści, rad konstatuję, że wyszedłeś obronną ręką z rozlicznych turbacyj, jakie niedawno stały się waści udziałem. Waszmość pana zaś, panie ze Strażnicy, proszę o przekazanie hejtmanowi Prokopowi Wielkiemu, że uradował mnie widok pana Reinmara.

– Uczynię to – odrzekł Biedrzych z kamienną twarzą.

– Musisz bowiem wiedzieć, Reinmarze – z warg urzędnika nie znikał uśmieszek – że twa obecność tutaj to swoisty sprawdzian. Test na zaufanie. Hejtman Prokop zdecydował się poddać próbie Kompanię Fuggerów. Kompania, która nigdy nie pozostaje dłużna, poddała próbie hejtmana Prokopa. Próby, stwierdzam to, wypadły nadzwyczaj pomyślnie. Dla wszystkich.

– Proponuję przejść do rzeczy – rzekł kwaśno Biedrzych. – Czas nagli.

– Oszczędzajmy zatem – zgodził się urzędnik – czas i słowa. Czas to pieniądz, zaś *verbis ut nummis utendum est*. A mówić wszak mamy o pieniądzach. W powietrzu wisi wojna, a *nervus belli pecunia*. Słucham zatem, panie ze Strażnicy. Jakie są względem *pecunii* oczekiwania hejtmana Prokopa, naczelnego sprawcy wojsk Taboru? Na jaką sumę obliczył Tabor swoje potrzeby? Jaka suma was zadowoli?

– Sto tysięcy kóp groszy praskich.

Urzędnik pogładził gładko ogolony podbródek.

– To niemało. Powiem więcej: to dużo.

– Hejtman Prokop proponuje, by Kompania potraktowała to jako inwestycję.

– Wojna – odrzekł urzędnik – to rzecz zbyt niepewna, by angażować w nią tak wielki kapitał z myślą o przyszłych zyskach. Inwestycja taka nie wchodzi w grę również z powodów moralnych i etycznych, Kompania Fuggerów, niczym żona Cezara, musi dbać o swój wizerunek i reputację. Zostaje nam więc pożyczka. Poufny kredyt. Udzielimy wam kredytu, spłacicie go... Powiedzmy, w ciągu trzech lat. Oczywiście z procentem. Procent, rzecz jasna, będzie wysoki. Ale bezgotówkowy.

– To znaczy – uniósł brwi Biedrzych – bez gotówki?

– Tak, to właśnie to znaczy. Bezgotówkowy, czyli bez gotówki. Udzielony kredyt spłacicie według wartości nominalnej. A odsetki w postaci świadczeń.

– Jakich?

– Najdalej za rok – zaczął po chwili napiętego milczenia urzędnik Fuggerów – ruszycie z wielką rejzą na Saksonię. Przesądza o tym sytuacja gospodarcza, polityczna i militarna. Wyprawa będzie miała charakter głównie łupieski, nie mniej ważne będą jej cele drugorzędne: eksport rewolucji, propaganda i posianie postrachu, jak również zdruzgotanie ekonomiki wroga, złamanie jego morale i pokrzyżowanie planów kolejnej krucjaty na Czechy.

Biedrzych nie skomentował, twarz mu nie drgnęła. Ale oczy mówiły wiele.

– Z uwagi na skalę imprezy – kontynuował urzędnik – Tabor sprzymierzy się z Sierotkami i Pragą. W głąb Saksonii wejdziecie, jak odgadnąć nietrudno, przez Góry Kruszcowe, doliną Łaby ruszycie na Drezno i Miśnię. I tam rozpoczniecie spłacanie procentu od kredytu, którego udzieli wam Kompania. W drodze świadczeń. Czy miewasz problemy z zapamiętywaniem, panie ze Strażnicy?

– Nie miewam.

– To dobrze. Świadczenie pierwsze: zniszczycie hutę szkła w Glashütte.

– Aha. Należy, zgaduję, do konkurencji?

– Nie zgadujcie, panie Biedrzychu, bo to nie zgaduj-zgadula. Ani inna zbliżona charakterem zabawa ludowa. Kontynuując: w Lengefeld jest kopalnia rudy żelaznej. Zniszczycie koła i kieraty służące do odwadniania, czerpaki, płuczkarki, kruszarki i stępy do rozbijania urobku, młoty...

– Chwilę. Jeszcze raz. Co mamy tam zniszczyć?

– Wszystko – uśmiechnął się samymi wargami urzędnik Kompanii Fuggerów.

– Jasne.

– W ramach dalszych świadczeń – głos urzędnika był chłodny i beznamiętny – zrujnujecie szyb kopalni w Hermsdorfie, hamr, fryszerkę i wszystkie dymarki. Zniszczycie kopalnię srebra w Marienbergu. Kopalnię węgla we Freitalu. I kopalnię cyny w Altenbergu. Spamiętacie?

– Jasne.

– Doskonale. Jeśli Tabor przystanie na warunki, sto tysięcy kóp groszy zostanie wam dostarczone w ciągu miesiąca. To wszystko, panie ze Strażnicy. Proszę przekazać hejtmanowi Prokopowi wyrazy uszanowania. Zaś pana von Bielau poproszę, by został. Mam doń dwa słowa. Prywatnie.

Biedrzych ukłonił się, obrzucił Reynevana niechętnym spojrzeniem. I wyszedł.

– Twoje sprawy we Wrocławiu nie mają się najlepiej – zaczął urzędnik, gdy tylko zostali w cztery oczy. – Wiem, że pokładałeś nadzieje w altaryście, zwanym ojcem Felicjanem. Nadzieje to płonne. Altarysta ci nie pomoże, sam wpadł w tarapaty, z których niełatwo będzie mu się wykaraskać. Jakikolwiek kontakt z nim jest obecnie absolutnie niewskazany. Absolutnie niewskazane są też wizyty we Wrocławiu. I w jego szeroko rozumianych okolicach.

– Czy Felicjan dowiedział się czegoś o...

– Nie – przerwał urzędnik. – Ani on, ani nikt inny.

– Co z moimi przyjaciółmi? Czy są bezpieczni? Czy mogę być o nich spokojny?

– Nikt – odrzekł urzędnik – nie jest w tych czasach bezpieczny. A na luksus spokoju nie stać nawet najmożniejszych tego świata. Mogę cię jedynie uwiadomić, że Grabisa Hempla, zwanego Allerdingsem, we Wrocławiu nie ma, znikł, wyjechał, miejsce pobytu nieznane. A

aptekarza Czibulki nikt z tobą nie łączy. I nie połączy. W tym względzie zdaj się na Kompanię.

– Dziękuję. Jeszcze jedno: w lutym z rąk wrocławskich strażników uratowała mnie... Kobieta. Wiecie może coś o niej?

Urzędnik uśmiechnął się.

– Kobieta, Reinmarze, to puch marny. Kompanię Fuggerów interesują wyłącznie zagadnienia ważkie.

●

Biedrzych nie czekał „Pod Koroną", poszedł sobie. Reynevan był sam na raciborskim rynku.

W odróżnieniu od gwarnego i tętniącego aktywnościami podgrodzia, wewnątrz swych murów Racibórz był cichy i jakby przygasły. Reynevan, nie będąc bywalcem, nie wiedział, czy miasto było takie zawsze, czy też udzielała się mieszkańcom ciężka atmosfera Wielkiego Tygodnia. Pod mijanym właśnie kościołem farnym Wniebowzięcia zbierał się tłum idących na mszę, ale wiernych nie zwoływał dzwon: był Wielki Czwartek, dzwony świątyń oniemiały, zastąpione przez paskudnie i złowrogo klekocące drewniane kołatki.

Reynevan zmierzał ku farze właśnie, ale nagle skręcił w stronę ratusza. Był niespokojny, co i rusz zerkał przez ramię, upewniając się, czy nie jest śledzony. Winę ponosił urzędnik Fuggerów, który dość stanowczo zalecił czujność i zasugerował powrót inną trasą, najlepiej przy użyciu czarodziejskiego amuletu Pantaleona. Reynevan nie miał już jednak Pantaleona, maskujący wygląd artefakt został we Wrocławiu, w aptece „Pod Mandragorą". Pod koniec pobytu we Wrocławiu, lękając się szkodliwych dla zdrowia skutków ubocznych noszenia amuletu, Reynevan ukrył go w sienniku i nie używał. Zapewne dlatego został schwytany.

Teraz wolał być ostrożny nawet do przesady. Miast iść wprost do towarzyszy pod „Wagę Młyńską", kluczył. Wszedł w zatłoczone sukiennice, zatrzymał się przy ławie rymarza, gdzie tłok był największy. Czujnie obserwował przechodniów. Żaden nie wyglądał na szpicla. Odetchnął.

I omal się nie udławił, gdy ktoś znienacka klepnął go w ramię.

– Pochwalony – powiedział Łukasz Bożyczko. – Witaj na Śląsku, Reynevan. Gdzieżeś to bywał tak długo?

•

– No, nie każ czekać – ponaglił Bożyczko. – Jakie informacje masz dla mnie?

Na ciemnym podwórzu, dokąd wciągnął Reynevana, śmierdziało kiszoną kapustą. Rzygowinami. I kocim moczem.

– Dalej, dalej – niecierpliwił się Polak. – Pokaż, że jest z ciebie pożytek.

– Jeśli zdołałeś mnie tu znaleźć – Reynevan oparł się plecami o mur – to dysponujesz informacjami o niebo lepszymi niż ja. To, co ja wiem, pożytku ci nie przyniesie. Bo wiem tyle, co nic.

– Twoja Jutta – Bożyczko jakby go nie słyszał – ma pod naszą kustodią pełny luksus, wikt i opierunek, ma ciepło, czysto i wykwintnie, jest jej jak u mamy, ba, nawet lepiej, bo towarzystwo ciekawsze. Ten luksus kosztuje, ekspensujemy nań pieniądze. Nuże, upewnij nas, że nie idą one w błoto.

– Nic nie wiem. Nie mam o czym donieść.

– Rozczarowujesz mnie.

– Przykro mi.

– Przykro to ci dopiero może być – syknął Bożyczko. – Masz mnie za idiotę? Znalazłem cię tu, albowiem, jak słusznie się domyśliłeś, dysponuję informacjami. Wiem, żeś jest blisko Prokopa, blisko Horna, blisko Biedrzycha ze Strażnicy, blisko Korybutowicza. Musiałeś coś słyszeć, coś widzieć, czegoś być świadkiem lub uczestnikiem. Plany wojenne, zamysły polityczne, sojusze i przymierza, sposoby zdobycia środków finansowych. Musisz coś wiedzieć.

– Nie wiem o niczym.

Bożyczko tupnięciem odpłoszył łaszącego się do cholewek kota.

– Są dwie możliwości – powiedział. – Pierwsza: kłamiesz. Druga: jesteś głupcem i ślamazarą. W obu wypadkach okazujesz się nieprzydatnym, obie ewentualności przekreślają cię jako wartościowego współpracownika. Niedobrze to dla ciebie, jeszcze gorzej dla twojej Jutty. Luksusów, które ma teraz, możemy ją z łatwością pozbawić. A wygody zamienić na niewygody. Tak niewygodne, że aż bolesne.

– Przyrzekałeś, że jej nie skrzywdzicie! Łamiesz przyrzeczenie!

– Pozwij mnie do sądu.

– Wiem – wypalił Reynevan – o czymś, co was może zainteresować. Jeśli ciekawi was przyszłość świata.

– Mów.

– W roku 1431, w miesiącu lutym prawdopodobnie, umrze papież Marcin V. Cztery niedziele przed Wielkanocą konklawe ogłosi papieżem Gabriela Condulmera, kardynała ze Sieny, w proroctwie Malachiasza figurującego jako *Lupa coelestina*, wilczyca niebiańska. Zanim to się stanie, umrze Witold, wielki książę Litwy. Umrze jako książę, królewska korona nie będzie mu dana, knowania Luksemburczyka skutku nie odniosą. Zgon Władysława Jagiełły, króla Polski, nastąpi w Roku Pańskim 1434, w końcu maja lub na początku czerwca. Zygmunt Korybutowicz przeżyje obu stryjów.

– Od kogo masz te informacje?

– Jeśli powiem, że od pewnej czarownicy i od pewnego ducha z zaświatów, uwierzysz?

Odpędzony kot miauczał. Bożyczko przez kilka chwil mierzył Reynevana przenikliwym wzrokiem.

– Uwierzę – odrzekł wreszcie. – Bo skąd, jeśli nie z zaświatów lub czarów? Wiem coś o tym, podobnie jak ty jestem adeptem arkanów tajemnych. Żadna ujma, wszak nie kto inny, a trzech czarowników pierwszymi powitało Jezusa w Betlejem, przynosząc mu mirrę, kadzidło i złoto. Dzięki za wiedzę, wykorzystamy ją bez żadnego *dubium*. Ale to za mało. Zdecydowanie za mało. Chcę wiedzieć...

Urwał, wyprostował się, uniósł głowę, gestem nakazał Reynevanowi milczenie. Reynevan wytężył słuch, ale nie słyszał nic oprócz miauczenia kota, gwaru niedalekich sukiennic i stukotu drewnianych kołatek z kościoła Wniebowzięcia. Powęszył, bo zdało mu się, że wśród smrodu podwórca powiało nagle nikłym zapachem rozmarynu.

– Co jest? Bożyczko?

Łukasz Bożyczko, miast odpowiedzieć, capnął Reynevana za rękaw i targnął silnie. Reynevan stracił równowagę, usiłował uchwycić się słupa, miast słupa uchwycił człowieka. Kompletnie niewidzialny w mroku i zwinny jak cień człowiek odepchnął go z mocą; nim upadł, dostrzegł błysk ostrza, zobaczył, jak na człowieka rzuca się Bożyczko. Klinga zgrzytnęła po murze, rozległ się odgłos uderzenia, a zaraz potem wściekła klątwa, drugie uderzenie, po nim gruchot i trzask łamanych desek. Coś rozbłysło z mocą błyskawicy, na moment rozjaśniając podwórze, powietrze zawyło, silny zapach ozonu i terpentyny zdradził magię goetyjską. Reynevan nie zamierzał czekać i sprawdzać, kto rzucił

zaklęcie. Zerwał się z ziemi, wskoczył na stos drewna, przesadził parkan, przez sąsiednie podwórze rzucił się ku podbramiu. Był szybki, ale nie dość. Ktoś raptownie skoczył mu na plecy i przewrócił, przygniatając do ziemi.

– Spokojnie – wymruczał mu do ucha miękki i melodyjny kobiecy alt. – Spokojnie, Reynevan.

Usłuchał. Ucisk zelżał. Mówiąca altem i nieuchwytnie pachnąca rozmarynem kobieta pomogła mu wstać.

– Inkwizytor uciekł, niestety – powiedziała, ledwie widoczna w mroku. – A szkoda. Ze złapanego dałoby się może wycisnąć, gdzie trzymają Apoldównę.

– Wątpię... – pokonał zdumienie i opór wyschniętego gardła. – Wątpię, by się dało.

– Może i słusznie wątpisz – zgodził się alt. – Ale chociaż porządnie go nastraszyłam. I dwa razy walnęłam, a zdrowo, bo mam kastet w rękawicy. Aż mu zęby zadzwoniły! Żeby uciec, musiał użyć magii, czarownik zapowietrzony...

– I teraz odegra się na Jutcie.

– Nie zrobi tego. A ciebie będzie się przez jakiś czas bał nękać.

– Kim jesteś?

– Nie tak szybko, nie tak szybko – w podniecająco modulowanym głosie zadźwięczała drwina. – Jestem przyzwoitą dziewczyną, mam zasady. *Coitus* najwcześniej na trzeciej randce, zwierzenia, wyznania i inne poufałości na czwartej albo jeszcze później. *Piano* tedy, chłopcze, *piano*. Dość ci wiedzieć, że jestem po twojej stronie.

– Uratowałaś mnie we Wrocławiu...

– Przecież mówiłam. Jestem po twojej stronie. Dbam, by cię nic złego nie spotkało. W ramach tego dbania chcę ci dopomóc odzyskać ukochaną. W tym celu proponuję spotkanie w Strzegomiu.

– Kiedy?

– Trzeciego dnia miesiąca Tamuz. Na ulicy Kościelnej, w pobliżu szkoły i budynku komandorii joannitów. Nie będąc do końca pewną, jak wykalkulujesz datę, będę tam zaglądać przez kolejne trzy dni. Jeżeli naprawdę zależy ci na narzeczonej, zmieść się w terminie.

– Dlaczego akurat Strzegom?

– To bliskie mi miasto.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Mam w tym interes.

– Jaki?

– Na dziś – powiedział rozmarynowy alt – taki: wkrótce pewien twój stary znajomy poprosi cię o radę. Stoi w obliczu decyzji, waha się. Spraw, by przestał się wahać. Utwierdź go w mniemaniu, że pierwsza myśl była dobra i że postępuje właściwie.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Bywaj, wracaj do druhów. No, czego tu jeszcze stoisz?

– Zdradź mi tylko jedno...

– Reynevan!

– ...jesteś człowiekiem? Normalną... Hmm... Ludzką kobietą?

– W tej kwestii – odpowiedział mu z mroku drwiący chichot – zdania są podzielone. A opinie różne.

●

Nazajutrz, w Wielki Piątek, wczesnym i smutnym rankiem opuścili Racibórz. Indagowany o cel i trasę podróży Biedrzych napomknął coś o wiodącym na wschód trakcie krakowskim, nikogo jednak nie zdziwiło, gdy zostawiając po prawej most na Odrze, pojechali na północ, lewym brzegiem, a na rozstaju, do którego wnet dotarli, miast głównego szlaku na Nysę, Biedrzych, nie mówiąc słowa, wybrał drogę mniej uczęszczaną. Prowadzącą ku Koźlu.

O wydarzeniach poprzedniego wieczora Reynevan nie wspomniał druhom ani słowem.

Kaznodzieja naglił, jechali więc szybko i jeszcze przed zachodem słońca ujrzeli wieże grodu. Reynevan już wcześniej domyślił się, co to za gród, wtedy, gdy nie dojeżdżając do Koźla, skręcili ostro na zachód, w lasy, wiedział, dokąd – i do kogo – zmierzają. A jeśli miał jakiekolwiek wątpliwości, rozwiał je widok orszaku rycerstwa, wyjeżdżającego naprzeciw. Znał rycerzy, pamiętał ich miana i herby. Prawdzic. Nieczuja. A na czele...

– Bóg pomagaj! – powitał, osadzając konia, Krzych z Kościelca herbu Ogończyk. – Pomagaj Bóg waszmościom. Rad was widzę, panie Reynevanie. Witamy w Głogówku. Pospieszajmy. Książę Bolko czeka. Pilnie waszmościów wygląda.

●

Widok z murów głogóweckiego zamku dawał pełny obraz zniszczeń i klęsk, jakich w wyniku ubiegłorocznej rejzy doznała i doświadczyła *Glogovia Minor*, do niedawna perełka architektury śląskiej. Położone za rzeką Ozobłogą Przedmieście Wodne po prostu znikło, trudno było się domyślić, że na czarnej skorupie wyżarzonej ziemi stały kiedyś jakieś zabudowania. Podobny los spotkał ludne niegdyś i gwarne Przedmieście Zamkowe. Na Przedmieście Kozielskie życie powoli powracało, jednak i tu widać było wyraźne ślady pożarów, jakie szalały przed rokiem, w piątek przed niedzielą *Letare* Anno Domini 1428, gdy na Głogówek, złupiwszy pierwej klasztor paulinów w Mochowie, uderzyły oddziały Taboru: Czesi Jana Zmrzlika ze Svojszyna i Polacy Dobka Puchały.

Nie tylko przedmieściom się wówczas dostało, przypomniał sobie Reynevan. Bramy rozwalono, mury sforsowano, Zmrzlik i Puchała wdarli się do grodu, czyniąc rzeź i pożogę, z której Głogówek nie podniósł się do tej pory. Czarne od sadzy i kopcia były kamienice w rynku, ruinę, mimo trwającej odbudowy, przedstawiała sobą południowa część miasta, okolice kolegiaty Świętego Bartłomieja. Sama kolegiata też zdrowo oberwała, poważnie ucierpiał klasztor franciszkański.

– Przygnębiający widok, nieprawdaż, Reynevan? – Książę Bolko Wołoszek oparł się łokciami o mur. – A wiadomym ci wszak, że miasto i tak miało szczęście. Gdy wówczas, w marcu, ułożyłem się z wami, Prokop powstrzymał palenie i kazał uwolnić wziętych w niewolę mieszczan. Uwolnieni wzięli się za odbudowę, tylko dzięki temu nazwa Głogówek nie znikła z mapy Śląska. A trochę potrwa, nim na mapę wrócą Prudnik, Biała i Czyżowice.

– Nie dopuszczę, by kolejne miasta podzieliły los Prudnika i Białej – podjął książę. – Głogówek ocalał dzięki przymierzu z wami, husytami. Które zawarłem za twoją radą, Reinmarze, kamracie i druhu z praskiej wszechnicy. Pamiętam o tym. Dlatego nalegałem, byś teraz znalazł się w składzie Prokopowego poselstwa. Pomówimy o tym, ale w komnatach, przy winie. Przy dużej ilości wina. Widok tych pogorzelisk regularnie budzi we mnie przemożną chęć zalania się w trupa.

●

– Słyszałem – Wołoszek zakołysał węgrzynem w pucharze – że we Wrocławiu obłożyli cię klątwą. Witaj tedy w konfraterni! Teraz my nie

dość, że kamraci, żacy z praskiego Karolinum, to i obaj pod anatemą. Mnie przyłożyli za układy z wami, rzecz jasna. I za to, żem wtedy temu księdzu maczużką czerep rozłupał. Ale ja gwiżdżę na ich anatemy. Mogą wyklinać do sądnego dnia, mam ich gdzieś. Mnie, kamracie, i tak z pompą Bracia Mniejsi w odbudowanym głogóweckim konwencie pochowają, w krypcie, śpiewać będą nad trumną, modlić się, świece palić i kadzidła. Pełna pompa i parada będzie, nie wiem, kurwa, czy biskupa tak ufetują, gdy nogi wyciągnie, co zresztą daj nam Boże jak najrychlej. Dziwi cię, skąd to wiem, to o swoim pochówku? Mam, bracie, wróżbitę na usługach, *sortiariusa* i czarodzieja. Taki trochę z niego po prawdzie drobiarski więcej czarodziej, kury i kaczki łapie, patroszy, z patrochów przyszłość czyta. Ale czyta udatnie, przyznać trzeba.

– I to on, ten haruspik, taki ci paradny pogrzeb wywróżył? Niech zgadnę: w wieku sędziwym? Po życiu szczęśliwym? W sławie i bogactwie? Niech zgadnę: płacisz mu hojnie? Zapewniasz byt rodzinie, krewnym i znajomym?

– Próżno drwisz – książę spochmurniał. – Wieszczek nie dla zysku wieszczył ani dla pochlebstwa. Bo nie wahał się przepowiedzieć mi też rzeczy, za któreżem go o mało końmi nie kazał włóczyć. Przepowiedział mi... A, nic ci do tego. Zresztą co ma być, to będzie. Losu nie zmienisz.

– Ale można losem kierować.

– I na to, mówiąc szczerze, liczę – przyznał Wołoszek. – Czarodziej i owszem, wyczytał mi z kaczych bebechów życie długie i prosperowne, po nim zgon w sławie i szacunku, i pogrzeb wystawny. Ale na laurach przecie z tego tytułu nie zlegnę, nie będę na owo wywróżone szczęście czekał w bezczynności. Chcę losem pokierować. Świat na rozstajach stanął, sam to dobrze wiesz. Śląsk też się na rozstajach znalazł. Niby wiem, co chcę uczynić, decyzję prawie podjąłem. Alem chciał pierwej z tobą się spotkać, kamracie. Dlategom zażądał, byś był w poselstwie. Ufam ci.

Reynevan łyknął węgrzyna, nie skomentował.

– Równo rok temu – podjął Wołoszek – nad Stradunią, gdy podobnie jak dziś wierzba baziem kwitła, mówiłeś mi o rewolucji. O rydwanie historii, zmiatającym w pędzie Stare, by uczynić miejsce dla Nowego. Radziłeś mi, bym przyłączył się do zwycięzców, albowiem zwyciężonym biada, zwycięzców zaś czeka chwała, władza i potęga. Roztaczałeś przede mną miraże.

– Minął rok. Jest Wielka Sobota, jutro Wielkanoc. Przybył Biedrzych ze Strażnicy, poseł od Prokopa. Z ofertą, z konkretną propozycją. Chcę wiedzieć: Uczciwa to gra? Reynevan? Mam zawrzeć przymierze z Prokopem i Korybutowiczem?

Bolko Wołoszek, pan na Głogówku, dziedzic księstwa opolskiego, Piast z Piastów, utkwił w Reynevanie przenikliwe spojrzenie.

Reynevan nie spuścił wzroku.

– Sprzymierzając się z Taborem – spytał poważnie książę – wsiądę na rydwan historii czy zstąpię do otchłani? Czym jest owo nadchodzące i wytęsknione Nowe? Rajem? Czy apokalipsą, która ogłosi: „Biada zwycięzcom na równi ze zwyciężonymi?" Mam sprzymierzyć się z Prokopem i Biedrzychem, z ich ideą, z ich wiarą? Połóż rękę na sercu, Reinmarze, spójrz mi w oczy. I odpowiedz jak przyjacielowi, jak kamratowi z uniwerku, odpowiedz jednym słowem: Tak czy nie? Wstrzymuję oddech.

●

Niedziela Wielkanocna od świtu powitała Głogówek słońcem, wiosennym ciepłem i ptaków śpiewem. Rozdzwoniły się dzwony, ruszyła procesja rezurekcyjna.

Surrexit Dominus, surrexit vere
Et apparuit Simoni
Alleluia, alleluia!

Procesję wiódł gwardian minorytów i zarazem kolegiacki lektor. Za nim postępowali inni Bracia Mniejsi. Za nimi rycerstwo, wnosząc z herbów głównie polskie. Za nimi patrycjat, mieszczanie, kupcy. Nieliczni, którzy pozostali w zrujnowanym i wyzbytym znaczenia mieście.

Advenisti desiderabilis,
quem expectabamus in tenebris,
ut educeres hac nocte vinculatos de claustris.
Te nostra vocabant suspiria,
te larga requirebant lamenta...
Alleluia!

Procesja dotarła pod klasztor franciszkanów. Wołoszek z rozmysłem dobrał miejsce. Widok pogruchotanych, osmalonych, ale większą miarą ocalałych murów miał nieść przesłanie. Miał przypominać, komu i czemu mury zawdzięczały to, że wciąż stoją.

Z orszaku wystąpił herold odziany w tabart ze znakiem złotego opolskiego orła. Odczekawszy, aż szmer i pogwar ucichną i zapadnie pełna cisza, herold rozwinął obwieszony pieczęciami pergamin.

– *In nomine Sancte et Individue Trinitatis, amen* – odczytał gromko. – *Nos Boleslaus filius Boleslae, Dei gratia dominus Glogovie et dux futurus Oppoliensis, significamus praesentibus litteris nostris, quorum interest, universis et singulis.*

– Wiadomym czynimy, jako dla ratowania pokoju, ziem i poddanych naszych ślubujemy i zaprzysięgamy przymierze, braterstwo broni oraz wiary ze Wspólnotą Taboru i wszystkimi Taboru sojusznikami. Zaprzysięgamy stać wiernie u boku Taboru i wspólnie walczyć o pokój i stabilizację, to znaczy wspólnie napadać na innych, stabilizacji przeciwnych.

Gwardian franciszkanów zrobił się blady, wyblakł jak całun nieboszczyka, podobnie wyglądała reszta mnichów i duchownych. Choć książę wstępnie przygotował ich na to, co miało nastąpić, szok ich nie ominął.

– W nagrodę i dla zadośćuczynienia niniejszemu przymierzu ziemie i grody nasze, w aneksie wyszczególnione, Taborowi darowujemy, za wyjątkiem tych, które dla siebie warujemy. W zamian Tabor przyrzeka nam ziemie i grody w aneksie wyszczególnione, a dziś komu innemu przynależne, które w walce o pokój obecnym właścicielom odbierzemy.

– *Factum est* – dokończył herold – *in Dominica Resurrectionis Anno Domini MCCCCXXIX ad laudem Omnipotentis Dei amen*.

Ciszy nie zmącił nawet szmer.

Z orszaku wystąpił książę Bolesław Wołoszek, syn Bolesława, wnuk Bolesława, prawnuk Bolesława, Piast z Piastów. Był w pełnej zbroi, złoty łańcuch na piersi i gronostajowy kołnierz płaszcza sprawiały, że wyglądał jak król. Po jego prawicy stanął marszałek, też w pełnej płycie, za nim seneszal, obok goście księcia, rycerze polscy, jeden Leliwita, drugi Kornicz. Po lewicy księcia stanął blady gwardian franciszkanów. Z tyłu postępował chorąży z chorągwią z orłem.

Herold, nim zaczął, znowu odczekał na ciszę.

– Wiadomym też czynimy wszem wobec i każdemu z osobna, że dla zacieśnienia przymierza z Taborem przyjmujemy oto komunię świętą sposobem Chrystusowym, czyli oboim, *sub utraque specie*, nikogo wszakoż z poddanych naszych do takiej komunii nie przymuszając i swobodę obrządku gwarantując. Zaprzysiężemy też artykuły cztery, przez wolnych ludzi w Królestwie Czeskim ogłoszone i przyjęte.

Herold usunął się. Wołoszek postąpił krok do przodu, seneszal i opat zostali z tyłu. Z orszaku wyłonił się Biedrzych ze Strażnicy, zmieniony nie do poznania czarną, ściągniętą skórzanym pasem sutanną. Husycki kaznodzieja dzierżył patenę i złoty, pięknie grawerowany kielich. Wołoszek uniósł prawą rękę.

– Przysięgam, że w księstwie od Boga mi danym swobodnie, bezpiecznie i bez przeszkód głoszone będzie słowo Boże. Że Ciało i Krew Chrystusa Pana rozdawane będą wiernym pod postacią obojgą chleba i wina wedle reguły Pisma i nauki Zbawiciela. Że papieskim księżom odebrana będzie świecka władza nad bogactwem i dobrem doczesnym, i że dobro doczesne, i bogactwo będzie im odjęte, jako że przeszkadza im żyć, wierzyć i nauczać tak, jak czynił to Chrystus ze swymi apostołami. Że wszystkie grzechy śmiertelne i jawne występki przeciw prawu bożemu karane będą. Tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż.

Skończywszy, książę uklęknął. Biedrzych zbliżył się, podał księciu patenę z hostią, a po niej kielich z winem. Potem oburącz wzniósł naczynie.

– *Fiat voluntas Tua!*

– Amen! – odpowiedzieli zgromadzeni.

Wołoszek wstał, zgrzytając zbroją.

– Załatwione – odwrócił się do stojących najbliżej. – Chodźmy nareszcie coś zjeść. I wypić.

●

Uczta odbyła się u franciszkanów, w refektarzu. Mury znaczyła mozaika pęknięć, a wnętrze wciąż cuchnęło spalenizną. Ale mnisi nalegali, by móc podjąć księcia, wszyscy zaś wiedzieli, dlaczego. Nawrócony na Kielich i wiarę czeską Wołoszek nie krył się z zamiarem wypędzenia z Głogówka księży, prałatów i kolegiackich kanoników. Bracia Mniejsi liczyli, że im pozwoli zostać.

Franciszkańscy kucharze samych siebie prześcignęli w kulinarnym mistrzostwie. Na stole pyszniły się cztery ogromne pieczone dziki, każdy nafaszerowany wieprzowiną i kiełbasami. Cztery jelenie. Osiem saren, dwanaście prosiąt, dwanaście cietrzewi, moc szynek, wędzonek, kiszek i półgęsków. Całości dopełniało bogactwo bab, ciast, pierników i mazurków. Środek stołu zajmował upieczony w całości wół z pozłacanymi rogami, ozdobiony wykonanymi ze słoniny inskrypcjami. Jedna głosiła: *O IESU, SPECULUM CLARITATIS AETERNAE*. Druga, mocno pochlebcza: *DEI GRATIA DUX BOLKO HUIUS LOCI BENEFACTOR*.

Imponująca była też bibenda: cztery beczki wina cypryjskiego, *exemplum* czterech pór roku. Dwanaście, jak miesięcy w roku, antałków węgrzyna i win italskich. Mnóstwo – nie chciało się liczyć, lecz zapewne pięćdziesiąt dwie sztuki, tyle co tygodni – konwi win mołdawskich i węgierskich, dzbanów miodu i gąsiorków słynnego kowieńskiego lipca.

Czterdzieści dni postu zrobiło swoje. Z najwyższym wysiłkiem wytrzymawszy odmówione przez bladego gwardiana *Pater Noster* i *Benedic Domine*, wyposzczeni biesiadnicy rzucili się na jadło i napitek tak, jak jastrząb rzuca się na słonkę, jak Karol Młot rzucił się pod Poitiers na Arabów, jak łabędź rzucił się na Ledę, a byk kreteński na przebraną za krowę Pazyfae. Stół, który z początku przedstawiał się jako *cornu copiae*, niewyczerpany zasób rogu kozy Amaltei, jął wcale szybko pustoszeć, widokiem ogryzionych kości coraz to bardziej i bardziej przywodząc na myśl rozgrzebane cmentarzysko.

Książę Bolko Wołoszek rozpiął knefle wamsu. I beknął. Przeciągle i po pańsku.

– Wysilił się – powiedział – zakon żebraczy. Choć koszta ja poniosłem, by ich do szczętu nie rujnować. Złe czasy idą na mnichów i popów. Wszystkich na cztery wiatry przepędzę. Uważaliście gwardiana, jaka gęba blada, jaki kwaśny tam siedzi? Jak się na ścianę gapi, jakby Mane, Tekel, Fares tam zobaczył? Franciszkanów to mi zresztą nawet żal, bo porządni z nich braciszkowie, sami Polacy i Czesi, wierni zasadom świętego z Asyżu. Leczyli chorych, wspomagali nędzarzy, gdzie bieda, gdzie klęska, gdzie nieszczęście, zawsze byli tam, gdzie ich potrzebowano. Żal mi tedy będzie ich wypędzać. Ale cóż, wypędzę. Idzie Nowe, wielkie zmiany, rewolucja, ostatni będą pierwszymi i *vice versa*. Niewinni ucierpią na równi z winnymi. Bo idzie Nowe, a co to za Nowe,

co nie zaczyna od dania w dupę Staremu. Mam rację, Reynevan? Prawda, bracie Biedrzychu?

– Wyście więc – powiedział jeden z polskich gości, Leliwita – są prezbiter Biedrzych ze Strażnicy.

– Jam jest – potwierdził Biedrzych, zaprzestając na chwilę dłubania w zębach. – Wyście zaś są Spytek Leliwa z Melsztyna, wojewodzic krakowski. A wy, panie, jesteście Mikołaj Kornicz Siestrzeniec, burgrabia będziński. Jak widzicie, znane są mi nie tylko miana wasze i herby, ale i urzędy. Dozwólcie i mnie przedstawić się urzędem. W wyniku zawartego dziś przymierza i wspólnych działań wkrótce cały Górny Śląsk zostanie opanowany, należał będzie do Taboru, Zygmunta Korybutowicza i obecnego tu księcia Bolesława. Ja zaś będę nosił rangę i tytuł*directora*, głównego sprawcy placówek Taboru na Śląsku.

Wołoszek, świeżo upieczony adept nauk Husa, czujnie rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nietrzeźwość innych biesiadników pozwala mówić swobodnie.

– Podzieliliśmy już, jak baczycie – rzekł do Polaków – Górny Śląsk między siebie. Korybut dostanie Gliwice, taboryci Biedrzycha Niemczę i co tam jeszcze tylko wyrwą biskupowi. Księstwo opolskie, ma się rozumieć, też musi zyskać. I to zyskać dużo. Chcę ziemi namysłowskiej, Kluczborka, Rybnika i Pszczyny. I połowy Bytomia, tej, którą dziś dzierży ten pieprzony Krzyżak, Konrad Biały, biskupa najmłodszy braciszek. Słupy graniczne, jak mi przyrzekano, przesunie się na korzyść zwycięzców. Nuże więc, zwyciężajmy i przesuwajmy!

– Może jutro – zaoponował Mikołaj Kornicz Siestrzeniec. – Bom się tak objadł i opił, że ani wstać.

– A pojutrze nam w drogę – oświadczył Spytek z Melsztyna. – Nie tak li, panie Biedrzychu? Panie Reynevanie? Wszak razem nam podróżować.

Reynevan spojrzał na Biedrzycha, pytająco uniósł brwi. Kaznodzieja westchnął.

– Pojedziemy nazad pod Racibórz – powiedział. – A stamtąd na trakt krakowski.

– Trakt krakowski, mówisz. Do Polski więc?

– Okaże się.

– Ty, Reynevan, wciąż zasępiony – zauważył mocno już kraśny od wina Wołoszek. – Jest Wielkanoc, Dzień Zmartwychwstania Bożego. Wiosna, odmiana w przyrodzie, odmiana w polityce, Nowe idzie, Stare

przemija, *lux perpetua* mroki rozjaśnia, Dobro zwycięża, Zło czmycha, moc truchleje. Aniołowie się radują, pod niebiosa wyśpiewują, *Gloria, Gloria in excelsis*, charcica się oszczeniła, a najładniejsza z dwórek księżnej małżonki nareszcie dała się przelecieć. Słowem, raduje się ciało, raduje się dusza, radujcie się *tandem* wszyscy wraz, raduj się i ty, Reynevan. Radujże się, do czarta! Pij, przepijam do cię. I mów, co cię trapi, bracie żaku.

Reynevan powiedział, co go trapi.

– Inkwizycja porwała ci dziewkę? – zmarszczył brew książę. – Grzegorz Hejncze zniżył się do uprowadzenia? Nie do wiary. Gdyby biskup Konrad, ten przed niczym się nie cofa... Ale Gregorius? Nasz kamrat z Karolinum? Ha, czasy się mienią, ludzie też. Słuchaj, bracie, tyś mnie wsparł, w decyzji pomógł. To i ja ci pomogę. Mam źródła informacji, mam swoich ludzi, zdziwiłby się biskup, gdyby wiedział, jak blisko niego, zdziwiłby się i Hejncze. Jutta de Apolda, powiadasz? Rozkażę, by uszy na to imię naostrzyli. W końcu ktoś na ślad trafi, wszak na dłuższą metę nic się nie ukryje, dobrze mówi przysłowie: *quicquid nix celat, solis calor omne revelat.*

– Święta prawda – potwierdził z dziwnym uśmiechem Biedrzych ze Strażnicy.

●

Wymarsze o brzasku stały się już tradycją misji, tym razem też nie było inaczej. Nim słońce porządnie się uniosło nad mgły, daleko zostawili już za sobą Głogówek i szparko zmierzali na wschód. Niebawem dotarli na rozstaje.

– Biedrzych? Którędy teraz? – spytał z niewinną miną demeryt.

– Na Racibórz. A stamtąd traktem krakowskim do Zatora. Przecież mówiłem.

– Wiemy, co mówiłeś wczoraj. Pytam, dokąd jedziemy dzisiaj?

– Nie przeginaj pały, Szarleju.

Jechali więc na Racibórz, ku traktowi krakowskiemu. Oddziałem liczniejszym o obu polskich rycerzy i ich giermków. A dokoła wiosna rozfiglowywała się na dobre.

– Mości Reynevan?

– Słucham was, panie z Melsztyna.

– Jesteście Niemcem...

– Nie jestem Niemcem. Jestem Ślązakiem.

– Nie jesteście Czechem – podsumował Spytek. – Cóż was tedy pociąga w husytyzmie? Jak to się stało, że stanęliście po ich stronie?

– Trwała walka dobra ze złem. Gdy przyszło wybierać, gdy mus był wybierać, wybrałem dobro.

– Mus? Można było wszak nie angażować się po żadnej ze stron.

– Być neutralnym w walce dobra ze złem, to opowiedzieć się po stronie zła.

– Słuchaj dobrze, Mikołaju – zwrócił się do drugiego rycerza Spytek z Melsztyna. – Słuchaj, co mówi.

– Ano, słucham – potwierdził Siestrzeniec. – Słucham też słuchów. A o tobie krążą, że magią się parasz, panie z Bielawy. Że czarownik z ciebie.

– Nie kto inny – odrzekł spokojnie Reynevan – a trzech czarowników pierwszymi powitało Jezusa w Betlejem. Przynosząc mu mirrę, kadzidło i złoto.

– Powiedz to Inkwizycji.

– Inkwizycja to wie.

– Zmieńmy – wtrącił się Spytek z Melsztyna – może temat.

●

– Gracko dość podzieliliście między siebie Śląsk Górny – ocenił ironicznie Siestrzeniec. – Gracko, chwacko i zamaszyście. Tabor, Wołoszek, Korybutowicz, już skóra na niedźwiedziu podzielona. A gdzie interes Korony Polskiej?

– Tak wam ten interes na sercu leży? – spytał z nie mniejszą ironią Biedrzych. – Aż tak oń dbacie?

– Trudno będzie wasze zamysły zrealizować, jeśli Polska ich nie poprze. Będzieli w polskim interesie popierać?

– Orzec trudno – zgodził się Biedrzych. – Bo problem z Polską ten sam, co zwykle: nie wiadomo, co to i kto to. Jagiełło? Synowie Jagiełły? Sonka Holszańska? Witold? Biskup Zbyszko Oleśnicki? Szafrańcy? W Polsce każdy, kto u władzy, ma własne, prywatne interesy i niezmiennie własny interes dobrem ojczyzny nazywa, tak u was od wieków jest i po wiek wieków będzie. Pytacie, panie Kornicz, gdzie interes Korony Polskiej. A ja pytam: O czyj konkretnie interes wam idzie?

Siestrzeniec parsknął, ściągnął wierzchowcowi wodze.

– Panie Biedrzychu! Toć my jeno posłańcy w służbie person dostojnych, eskorta liczących się statystów. Nam aby eskortować. Sprawy prawdziwie ważkie statyści ze statystami jadą omawiać.

– O tym, co się w Łucku stało – odrzekł Biedrzych – nie tylko statystom wiadomo. I nie tylko statyści widzą, co się teraz w Polsce dzieje. Biskup Oleśnicki prześladuje polskich husytów, pcha Jagiełłę do krucjaty na Czechy. Witold zaraz koronuje się na króla Litwy...

– Nie dojdzie do tej koronacji – wtrącił się Reynevan. – Możecie mi wierzyć.

– Pewnie, że nie – Siestrzeniec spojrzał nań przenikliwie. – Papież nie dopuści. A może coś innego mieliście na myśli?

– Nie miał – zapewnił za Reynevana Biedrzych. – A ja, cni panowie, nadal nie wiem, w czyim imieniu jadą do Czech te dostojne persony, na spotkanie których do Zatora zmierzamy. I którym za eskortę mamy służyć.

– Jadą w imieniu Królestwa Polskiego – zmarszczył ciemną brew Spytek z Melsztyna. – To wam oświadczam. Gadajcie sobie, co chcecie, Polska jest jedna, jej dobro nade wszystko. Z królami, książętami, biskupami, dobrze. A jeśli trzeba będzie, choćby i mimo królów i biskupów.

– Mimo? – Biedrzych uśmiechnął się kącikiem ust. – To jakby sygnał do buntu, panie Melsztyński. Bunt wam w głowie?

– Nie, nie bunt. Konfederacja. Tarcza, schronienie, przybytek złotej wolności naszej. Przywilej stanu naszego rycerskiego. Aby wstrzymać zły kierunek sprawy powszechnej albo przekroczenia władzy, czy to królewskiej, czy to kościelnej, żeby utrzymać ład w królestwie źle rządzonym, w postępie hamowanym lubo wręcz ku zgubie pchanym, potrzeba środków gwałtownych. Dzielnych. Bojowych. Bo bywa zło do ostateczności dochodzące, koniecznie gwałtownych leków wymagające, które bądź jak bądź zagoić trzeba. Bądź jak bądź. Choćby mieczem.

– Poważnie to zabrzmiało.

– Wiem.

●

– Panowie! – Szarlej stanął w strzemionach. – Za rzeczką ziemia pszczyńska.

– Musimy być czujni – rzekł Biedrzych. – Tutaj ostro się poluje na husytów i ich sprzymierzeńców. Wdowa na Pszczynie hojnie za złapanych płaci.

– Ona wciąż wdowa? – zdziwił się Siestrzeniec. – Gadali, że się wydała za Przemka Opawskiego.

– Przemko – potwierdził kaznodzieja – rozważał ożenek. Raz, że przez małżeństwo z wdową przyłączyłby dział pszczyński do Opawy. Dwa, że z wdówki jest okazały egzemplarz kobitki, nie najmłodszej, prawda, ale zdrowej i jurnej Litwinki. Kto wie, może tego właśnie się stary Przemko zląkł, że w łożu nie wydoła? Dość rzec, że wziął za żonę jakąś Bośniaczkę, a wdowa została na Pszczynie wdową. Ale plotki krążyły tak uporczywie, że wielu już ją Przemka żoną widziało. A że Bośniaczce też przypadkowo Helena, to i mylą się poniektórzy.

– Helena z Pszczyny – upewnił się Reynevan – to rodzona siostra Zygmunta Korybuta?

– Jako żywo – potwierdził Spytek. – Córa Dymitra Korybuta Olgierdowica. Bratanica króla Jagiełły.

– Bratanica czy nie – uciął Biedrzych – wystrzegać się jej nam jak diabła. Dalej, w konie. Im szybciej się od Pszczyny oddalimy, tym lepiej.

– Damy radę – cmoknął na karosza Szarlej. – Jak dotąd szło nam jak z płatka.

Zapeszył.

●

– Panie! – zawołał jeden z Morawian wystawionych na warcie za opłotkami karczmy, w której stanęli celem nabycia obroku. – Panie! Jadą jacyś!

– Zbrojni! – ogłosił drugi. – Z tuzin koni...

– Do kupy, broń w pogotowiu – skomenderował Biedrzych. – Zachować spokój, może miną.

Siestrzeniec odpiął od siodła ciężki czekan, wsunął stylisko z tyłu za pas. Spytek podciągnął rękojeść miecza bliżej ręki, ale zasłonił broń płaszczem. Morawianie w pośpiechu odwiązywali konie od koniowiązu. Samson zamknął drzwi karczmy i oparł się o nie.

Szarlej chwycił Reynevana za ramię.

– Weź to.

Wręczoną mu bronią była kusza. Myśliwska, z pięknie intarsjowanym łożem. Ze stalowym łęczyskiem, ale raczej lekka. Napinana niemieckim lewarem, korbową zębatką.

Na trakcie załomotały kopyta, zarżał koń, w szpalerze krzywych wierzb ukazał się oddział trzynastu zbrojnych, stępa podążających w stronę Pszczyny.

– Miną – mruknął Biedrzych – czy nie miną?

Nie minęli. Wjechali na majdan. Od razu dało się miarkować, że to nie zwykli knechci, strój i broń zdradzały najemników. Reynevan spostrzegł, że prowadzą jeńca. Obok jednego z koni, na powrozie łączącym skrępowane ręce z łękiem siodła, biegł truchtem człowiek.

Dowódca podjazdu, chudogęby wąsacz, zmierzył Biedrzycha i kompanię złym spojrzeniem. Prowadzony przy koniu odwrócił głowę. A Reynevan mimowolnie otworzył usta.

Jeńcem był Bruno Schilling. Czarny Jeździec, renegat, dezerter z Roty Śmierci.

Rozpoznał Reynevana natychmiast. W oczach zapalił mu się błysk, zły błysk, twarz ścięła się i skurczyła w grymas, jakiego Reynevan nie widział u niego wcześniej, ani razu, ani podczas podróży znad Olzy, ani podczas sześciu dni przesłuchań na Sowińcu. Natychmiast pojął, co ten grymas oznaczał.

– To husyci! – wrzasnął Schilling, targając powrozem. – Oni! Ci ludzie! To husyci! Czescy szpiedzy! Hej! Nie słyszycie, co mówię?

– Czego? – spytał opryskliwie dowódca podjazdu. – Że co niby?

– To są husyccy szpiedzy! – Schilling aż się opluł.– Wiem, bo znam ich! Mnie więzicie, chociażem niewinny! A ci to prawdziwi złoczyńcy! Aresztujcie ich! Zakujcie w kajdany!

Spytek z Melsztyna zbladł i zaciął zęby, ręka Siestrzeńca momentalnie skoczyła ku rękojeści. Biedrzych oczami dał sygnał swym Morawianom. Szarlej zdjął czapkę, wystąpił.

– A to ci dopiero frant – rzekł wesoło. – Wyszczekanego złodziejaszka ułowiliście, panowie wojacy, nie ma co! By własnej bronić skóry, innych się bierze oczerniać. A dajcież mu tam w Pszczynie baty, panie oficyjerze, nie poskąpcie plag takiemu synowi! Niechaj wie, jak oszczercom bywa!

– A wy – szczeknął wąsacz – co za jedni?

– Jesteśmy kupcami z Elbląga – oświadczył spokojnie Biedrzych ze Strażnicy. – Powracamy z Węgier...

– Tacy z was kupcy, jak z nas zakonnice.

– Zaręczam...

– Kłamie! – wrzasnął Schilling. – To husyta!

– Zamknij gębę – powiedział wąsacz. – Wam zaś, moiściewy, przyjdzie się jednak z nami do Pszczyny pofatygować, tamój już zwierzchność rozbierze, ktoście tacy, kupcy czy łże-kupcy. Petzold, Mladota, z koni, przetrząśnijcie im juki i łuby. I odbierzcie broń.

– Panie dowódco. – Biedrzych lekko odsunął połę płaszcza, znacząco poklepał wiszącą u pasa pękatą kaletę. – A może się jakoś dogadamy?

Wąsacz podprowadził konia bliżej, spojrzał na nich z góry. Po czym wykrzywił chudą gębę w pogardliwym uśmiechu.

– W Pszczynie – wycedził – za heretyków lepiej płacą. A że łapówkę dajesz, toś heretyk pewny. Pójdziesz w pęta. A twój mizerny mieszek i tak będzie nasz.

– Bóg widzi – wzruszył ramionami kaznodzieja – żem tego nie chciał.

– Czegoś nie chciał?

– Tego.

Biedrzych chwycił podaną kuszę, płynnie podrzucił kolbę do policzka. Szczęknęła cięciwa, wystrzelony z bliska bełt zmiótł wąsatego z konia.

– Bij!

Spytek z Melsztyna ciął jednego z żołdaków mieczem, Siestrzeniec wpadł na pozostałych, rąbiąc i dziabiąc na przemian mieczem i czekanem. Najemnicy skoczyli na nich z wrzaskiem, pochylając włócznie i wywijając toporami. Trzech spadło z koni, trafionych bełtami z kusz Morawian i polskich giermków, czwarty plasnął w kałużę postrzelony przez Szarleja. Reszta wpadła na nich, wrzeszcząc bojowo. I wtedy uderzył Samson.

Olbrzym chwycił wykonaną z przepołowionego pnia ławę, uniósł ją, jakby nic nie ważyła, choć ważyła. I jak cyklop Polifem miotał głazy w okręt Odyseusza, tak Samson Miodek miotnął ławą w konnych pszczyńskich najemników. Z lepszym niż Polifem skutkiem. Czyniąc straszliwy pogrom wśród ludzi i zwierząt.

Reynevan, zwinnie lawirując z boju, rzucił się ku Schillingowi. I zobaczył coś niewiarygodnego.

Renegat uczepił się kubraka konnego, który go prowadził, zwlókł go na ziemię. Konny, wielki chłop, nie dał się przewrócić, odtrącił Schillinga i pchnął go nożem. Schilling uniknął pchnięcia lekkim obrotem i przechyleniem korpusu, gwałtownym ruchem barku przegiął rękę żołdaka, mocno wypchnął bark do przodu, wbijając atakującemu własny nóż w gardło. Błyskawicznie przeciął więzy na przegubach o wiszący u siodła topór, wskoczył na siodło, poderwał konia do cwału.

I byłby uciekł, gdyby nie myśliwska kusza z niemiecką windą, wykonana w Norymberdze, wyeksportowana do Krakowa, przewieziona na Morawy, do Odr, gdzie Szarlej nabył ją od polskiego przemytnika broni za wcale nie wygórowaną cenę czterech węgierskich dukatów. Reynevan oparł łoże o płot, spokojnie wycelował i strzelił. Trafiony bełtem w zad koń zakwiczał i wierzgnął szaleńczo, Schilling wyleciał z siodła jak z procy i unurzał się w kupie mokrych trocin. Reynevan dopadł doń z dobytym z cholewy nożem. Renegat zerwał się jak kot, błysnął własnym ostrzem. Zwarli się w serii cięć, pchnięć i uderzeń.

Schilling znienacka pchnął z wypadu, doskoczył, rozcapierzonymi palcami lewej ręki godząc w oczy. Reynevan ocalił wzrok, odwodząc głowę w uniku, odskoczył przed szerokim cięciem. Drugie cięcie sparował klingą, aż iskry poszły. Schilling kopnął go, jednocześnie bijąc nożem z góry. Reynevan zdążył się zasłonić, ale to była finta. Renegat obrócił nóż w dłoni i ciął go w udo. Gdy targnął nim ból, Reynevan zgubił się na moment. Schillingowi to wystarczyło. Zawinął się płynnym obrotem i chlasnął go w ramię.

– W lutym – zasyczał, przygarbiony – uszedłeś z życiem, bo byłem chory. Ale już wyzdrowiałem.

– Zaraz znowu zachorujesz.

– Wtedy tylko ucho ci nakarbowałem. Teraz wykrwawię jak świnię. Jak twojego brata.

Skoczyli ku sobie, tnąc i dźgając. Reynevan sparował wredne pchnięcie, uderzył Schillinga łokciem w twarz, poprawił z obrotu pięścią, kopnął w goleń, obrócił nóż i dziabnął z góry, z całej siły. Chrupnęło, ostrze weszło po jelec. Renegat szarpnął się, odskoczył. Popatrzył na sterczącą z obojczyka rękojeść. Uchwycił ją, jednym płynnym ruchem wyciągnął nóż z rany. I odrzucił za siebie.

– Wcale nie bolało, ha, ha – powiedział wesoło. – A teraz flaki z ciebie wypruję. Wyciągnę z ciebie kiszki i owinę ci je wokół szyi. I tak zostawię.

Reynevan cofnął się, potknął, upadł. Schilling skoczył, wrzeszcząc triumfalnie. Szarlej wyrósł jak spod ziemi i ostro ciął go falcjonem przez brzuch. Renegat zakasłał, spojrzał na buchającą krew, uniósł nóż. Szarlej ciął go jeszcze raz, tym razem przez prawy bark. Krew siknęła na sążeń w górę, Schilling padł na kolana, ale noża nie wypuścił. Szarlej ciął jeszcze raz. I jeszcze raz. Po drugim razie renegat upadł. Po trzecim zupełnie przestał się poruszać.

– *Terra sit ei levis* – powiedział Biedrzych, żegnając się znakiem krzyża. – Niech mu ziemia i tak dalej. Aż się boję pytać... Znaliście go?

– Przelotna znajomość – odrzekł Szarlej, wycierając głownię.

– I już nieaktualna – dodał Reynevan. – Skreślamy go z listy znajomych. Dzięki ci, Szarleju. Mój brat z zaświatów też ci dziękuje.

– Tak czy siak – Biedrzych skrzywił się, oglądając skaleczoną dłoń – to nie kto inny, a ów znajomy ma na sumieniu pszczyńskich wojów, których doczesne szczątki są właśnie topione w gnojówce. Gdyby nie on, wyłgalibyśmy się bez bitki. Teraz zaś trzeba nam stąd wiać i to chyżo. Medyku, możesz opatrzyć mi rękę?

– Jedną chwilę – Reynevan ściągnął kubrak i przesiąkniętą krwią koszulę. – Wytrzymaj jeszcze. Wezmę tylko igłę i nitkę. Muszę się w paru miejscach pozszywać.

●

Jechali, nie żałując koni. Reynevan nie był jedynym, którego zszyto, a który teraz kurczył się w siodle, posykiwał i klął. Lekką ranę w udo odniósł w walce z pszczyńskimi najemnikami Spytek z Melsztyna, jeden z Morawian dostał w żebra, dość mocno oberwał po czuprynie giermek Siestrzeńca. Wszyscy trzymali się jednak w siodłach. Pojękiwali, postękiwali, ale tempa nie zwalniali.

– Biedrzych? Jak twoja ręka?

– To drobiazg. Prosiłem o opatrunek, by nie poplamić krwią spodni. To nowe spodnie.

– Byłeś już kiedyś ranny? Żelazem?

– Pod Brzecławiem, w dwudziestym szóstym, węgierską spisą w goleń. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie.

●

– Schilling... – zdecydował się poruszyć ponurą kwestię Reynevan. – Jeśli Schilling znalazł się tutaj, to znaczy, że uciekł z więzienia. To zaś może oznaczać... Może oznaczać, że Horn...

– Nie – przerwał natychmiast demeryt. – Nie wierzę. Horn nie dałby się zaskoczyć. Swoją drogą...

– Trzeba będzie sprawdzić – dokończył Reynevan. – Zajrzymy na Sowiniec. Zaraz po tym, jak wrócimy do Odr.

– To już niedługo – rzekł spokojnie Samson Miodek. – Trzy, najwyżej cztery dni.

– Samsonie?

– Nasz komendant znowu zmienił kierunek. Od godziny wiedzie nas na południe. Prościutko do Bramy Morawskiej. Lada moment zobaczymy Skoczów.

Reynevan bardzo paskudnie zaklął.

●

– Tak jest, przyznaję. – Ostro zaatakowanemu Biedrzychowi nie drgnęła nawet powieka. – Celowo wprowadziłem was w błąd. Nigdy nie miałem zamiaru jechać do Zatora.

– Kolejna próba – warknął Reynevan – mojej lojalności? Tak? Wiem, że tak!

– Jeśli wiesz, to po co pytasz?

W zarośniętym grubą warstwą rzęsy leśnym bajorze kumkały, obłapiając się, tysiące żab.

– Trzeba przyznać – rzekł Szarlej – że potrafisz zadziałać na nerwy, Biedrzych. Masz w tym kierunku nieprzeciętne talenty. Tym razem udało ci się rozjuszyć nawet tak spokojnego człeka jak ja. I obiłbym ci gębę jak amen w pacierzu, gdyby nie wstyd przed obcokrajowcami.

– Ja zaś – wycedził obcokrajowiec Siestrzeniec – poczułem się waszym krętactwem osobiście dotknięty. Szczęście wasze, mości Biedrzychu, że was duchowna sukienka broni. Inaczej na udeptanej ziemi nauczyłbym was moresu. I kości porachował.

– Tam, w Zatorze – wtrącił się zapalczywie Spytek z Melsztyna – czekają pan Szafraniec i pan z Oporowa! Mieliśmy wieść ich na Morawę

i ochraniać w drodze! Hetman Prokop ślubił polskiemu poselstwu asystę i eskortę! My zaś daliśmy słowo rycerskie...

– Pan podkomorzy krakowski – Biedrzych splótł ręce na piersi – i pan podkanclerzy koronny są już w drodze do Odr, zapewne dotrą tam przed nami. Prowadzą ich zaufani ludzie, a ochrona im niepotrzebna. Teraz, gdy Jan z Kravarz przeszedł był na Kielich i sprzymierzył się z Taborem, drogi tam są bezpieczne. Dość tedy tego gdakania, panowie. Na koń i w drogę!

– Może u was, Czechów – zgrzytnął zębami Mikołaj Kornicz Siestrzeniec – taka moda, by pasowanych rycerzy łgarstwami karmić, na manowce wodzić, a mowę ich gdakaniem nazywać. W Polszcze to bezkarnie nie uchodzi. Szczęście wasze, że was broni...

– Co mnie broni? – wrzasnął Biedrzych, już w siodle. – Duchowna sukienka? A gdzie ty na mnie sukienkę widzisz? I w ogóle do dupy z sukienką! W oczy ci mówię: miałem podejrzenia, nie ufałem żadnemu z was, nie dowierzałem, musiałem poddać was próbie, wszystkich. Rozumiesz, Kornicz? I co? Urażonyś na twym polskim honorku? Chcesz się bić? Chcesz satysfakcji? Nuże! Który z was...

Nie dokończył. Samson Miodek podjechał doń na kopijniczym ogierze, ucapił za kołnierz i spodnie, wywlókł z kulbaki, wrzeszczącego podniósł i z rozmachem wrzucił do zarośniętego rzęsą bajora. Plusnęło, zaśmierdziało, żaby ucichły na moment.

Samson wśród zupełnego milczenia odczekał, aż kaznodzieja wynurzy się, zielony od zielska i plujący mułem.

– Ja – powiedział – poczułem się urażony na mym honorku. To mi wystarczy jako satysfakcja.

Rozdział dziesiąty

w którym ponownie odwiedzamy Wrocław, w dniach poprzedzających Wielkanoc. Jako że dzieje się tam wiele rzeczy, o których iście żal byłoby nie opowiedzieć.

Rankiem spadł gwałtowny deszcz, słońce, gdy wzeszło, zapaliło miedzianozłote ognie na wrocławskich kościołach. Niczym złote runo błyszczał dach nad nawą główną u Świętej Elżbiety, pałały rażącym oczy blaskiem bliźniacze wieżyce Marii Magdaleny, błyszczały kopuły i hełmy Mikołaja, Wojciecha, Doroty, Jakuba, Świętego Ducha, Marii na Piasku, wszystkich trzydziestu pięciu wrocławskich świątyń. Niebiańska światłość odbijała się w mokrych dachach miasta, miasta, które zdawało się być już równie wiecznym.

Zadzwoniła śpiewnie sygnaturka u Bożego Ciała. Wrocław obudził się już, pod Bramą Świdnicką zaczynał się ruch.

Był dwudziesty pierwszy marca Anno Domini 1429.

Grzegorz Hejncze, *inquisitor a sede apostolica* na diecezję wrocławską, wyprostował się w siodle, przeciągnął, aż chrupnęły stawy.

Dobrze być znowu w domu, pomyślał.

●

Dzwon u Świętego Wincentego zaczął bić na *Angelus*. Joannici schylili głowy i przeżegnali się. Biskup Konrad skinął na pachołków, każąc nalać w kielichy. Obszerną salę kapitulną ołbińskiego opactwa napełniła szlachetna woń burgunda zaprawionego cynamonem, imbirem i rozmarynem.

Z kościoła dobiegał mnisi śpiew.

Gratiam tuam, quaesumus, Domine,
mentibus nostris infunde:
ut qui, Angelo nuntiante,
Christi Fili tui incarnationem cognovimus...

– Tak więc – biskup uniósł kielich – kurprinc i margraf brandenburski Jan postanowił wesprzeć Śląsk w boju przeciw heretyckim Czechom. I

śle nam z pomocą czterystu ciężkozbrojnych joannitów z Marchii. Kto by się spodziewał... Wszak ojciec Jana, elektor Fryderyk Hohenzollern, częściej jakoś o Polsce, niż o Śląsku myśleć raczy... Ach, mniejsza z tym. Szlachetny to gest ze strony margrafa, godzien, by zań wypić. Zdrowie margrafa Jana! I zdrowie waszmościów!

Baltazar von Schlieben, *Herrenmeister* Marchii, odwzajemnił toast. Koścista, pokryta brunatnymi plamami dłoń drżała mu pod ciężarem pucharu.

– Szpitalnikom Świętego Jana Jerozolimskiego – przemówił nosowo – nie lza pozostawać bezczynnymi w obliczu zagrożenia wiary i Kościoła. Składaliśmy śluby i ślubów dotrzymamy. My, rycerze baliwatu brandenburskiego, szczycimy się wiernością ślubom i zakonnym zasadom.

– Tak jest – potwierdził dumnie Mikołaj von Thierbach, komandor Swobnicy.

– Tak nam dopomóż Bóg – dodał, wysuwając żuchwę, Henning de Alzey, brat poległego pod Nysą Dytmara.

– Pijmy tedy, pijmy – ponaglił Konrad. – Na pohybel husytom!

– Na pohybel – warknął Henning de Alzey. Biskup wiedział, że drugi jego brat, Dytryk, poległ pod Drahimiem. W walce z Polakami.

– Waszych rycerzy, mistrzu Baltazarze – biskup zwrócił się do Schliebena – na czas pobytu we Wrocławiu ugości Ołbin, tutejsi bracia premonstranci. A wszelki ekspens pokryję ja, z mojej własnej szkatuły. Dokąd z Wrocławia ruszycie?

– Do Legnicy. Do księcia Ludwika.

– A jakże – Konrad zmrużył lekko oczy. – Przecie Ludwik Brzeski to margrafa szurzy. Ha, szczerą nadzieję żywię, że teraz, mając pod komendą słynnych orężem joannitów z Marchii, książę Ludwik większym niźli dotychczas wojennictwem się wykaże. Bo w dotychczasowych walkach z husytami raczej się nie wykazał. Zasłynął jedynie wojną manewrową. Czymże bowiem, jeśli nie manewrem, jest szybki odwrót? Ale dość, dość o niemiłych sprawach. Zdrowie wasze!

– Wieść wam powiem – biskup otarł usta, powiódł wzrokiem – która dopiero co z Francji dotarła, wraz z tym przednim burgundem, który pijemy. Otóż w Chinon, na dworze króla Karola VII objawiła się wieśniaczka z Szampanii, pospolita dzieweczka o imieniu Jehanne, mistyczka, a może i wróżka, bo króla całkiem opętała i zauroczyła. Głosy

świętych z nieba, rzekła, obwołały ją zbawczynią Francji, biczem Bożym na angielskich najeźdźców. I wiecie, co? Porwała za sobą i gnuśnego króla, i całe rycerstwo, i nawet lud prosty. Okrzyknąwszy ją *La Pucelle*, Dziewicą, pod jej sztandarem wszyscy walą na Orlean, a oblegający gród Anglicy portkami już trzęsą ze strachu.

– Nie przystoi – zmarszczył brew Baltazar von Schlieben – taka rzecz dziewce. Nowe to jakoweś mody, francuskie mody. W waszym dworcu, biskupie, na Wyspie Tumskiej, na dziedzińcu też taką jedną widzieliśmy, w męskim stroju, wierzchem i z oszczepem. A nie lza dziewce stroju męskiego przywdziewać. Przeciwny to Bogu jest obyczaj. Bluźnierczy.

– A ja wam powiadam – wyprostował się biskup – że cel uświęca środki. I że nie doceniacie wagi symbolu. Gardło zedrzesz, wołając o honorze, o ojczyźnie, o wierze i Kościele, ani drgną, gdzieś mają pustą gadkę. A daj im symbol, choćby lada jaki, a ruszą za nim jak w dym. Taki symbol więcej znaczy niźli hufiec wojska. Dlatego kto wie, może rozejrzę się i ja za taką Jehanne u nas, na Śląsku. Przezwę Prawiczką, nauczę o głosach z nieba, każę bzdury wygłaszać i na husytów szczuć, odzieję w zbroję, proporzec wręczę... A nuż poskutkuje?

– Wżdy nie lza tak – powtórzył surowo wielki mistrz. – Strój męski na dziewce to grzech, rozpusta, lubieżna prowokacja i bluźnierstwo. Palić by dziewki, co strój męski noszą, którym roi się, że mężom mogą być równe. Palić takie!

– Pewnie – parsknął Konrad. – Pewnie, że palić! Ale gdy już zrobią swoje i przestaną być potrzebne.

●

Od biskupa dwadzieścia dwa grosze, po raz kolejny podsumował Grajcarek, skrobiąc palcem po blacie stołu w ciemnym kącie oberży „Pod Modrym Karpiem”. Od kobiety pachnącej rozmarynem trzydzieści. Od Inkwizycji dwanaście, mało, zaraza, skąpe te klechy... Od Fuggerów dwadzieścia. Odjąwszy koszty, zostaje jakieś pięćdziesiąt. A żonie też trzeba dać na życie, czworo dzieci, psia mać, piąte w drodze, Jezu, kiedy ta kobieta zacznie wreszcie chodzić z ciążą do czarownic? Odłożyć da się góra czterdzieści. Mało. Ciągle zbyt mało, by do spółki ze szwagrem kupić od rycerza Wernera Pannewitza młyn nad Widawą. Rycerz Pannewitz, żeby go za zdzierstwo diabli w piekle smażyli, żąda za młyn osiemdziesięciu pięciu grzywien...

Trzeba pracować więcej. I aktywniej. A robi się niebezpiecznie. Do Wrocławia powrócił inkwizytor Hejncze, będzie odrabiał zaległości, za Świętym Wojciechem już stosy układają. Od agentów na mieście aż gęsto. Kuczera von Hunt węszy i śledzi. Biskup zrobił się podejrzanie miły... Jakby coś podejrzewał...

I Grellenort. Grellenort dwa razy spojrzał na mnie dziwnie.

Za plecami coś zaszeleściło. Grajcarek wzdrygnął się i podskoczył, sięgając po nóż i jednocześnie składając palce do magicznego charakteru.

To tylko szczur. Tylko szczur.

●

Konrad z Oleśnicy nie był tego wieczora sam w swych komnatach, Pomurnik wiedział o tym, domyślał się, kogo zastanie. Plotka o nowej biskupiej miłośnicy rozeszła się po Wrocławiu szybko, szybko też przestała być plotką, a stała się wieścią jak najbardziej oficjalną. Siedemnastoletnia Klaudyna Haunoldówna nie była pierwszą mieszczańską córką, która wpadła biskupowi w oko i została skutkiem tego wpadnięcia *carnaliter copulata*. Klaudyna była jednak pierwszą, przy której patrycjat zachował się tak, jak mu przystało. Po nowobogacku mianowicie. Do biskupiej rezydencji przybyła oficjalna delegacja wrocławskich patrycjuszy. By oficjalnie zażądać za cnotę Klaudyny finansowej nawiązki. Biskup zapłacił bez mrugnięcia okiem. Wszyscy byli zadowoleni.

Oficjalnie opłacona Klaudyna, córka możnych Haunoldów, siedziała na tureckim taborecie u boku biskupa, robiąc to, co zwykle, to znaczy objadając się kandyzowanymi owocami i roztaczając wdzięki. Połyskliwie złote włosy rozpuściła jak mężatka i co i rusz wypinała atrakcyjny biust, całkiem nieźle widoczny w głębokim dekolcie. Ilekroć wkładała pomiędzy karminowe wargi kandyzowany owoc, zawsze zamierała w ruchu na czas dostatecznie długi, by móc pozachwycać się podarowanymi przez biskupa pierścieniami.

– Witaj, Birkart.

– Niech Bóg zachowa waszą dostojność.

Klaudyna Haunoldówna podarowała mu powłóczyste szafirowe spojrzenie i widok drogiej ciżemki spod kraju sukni. Pomurnik wiedział, że można było przy niej spokojnie mówić o wszystkim. Nadzwyczajną

urodę i nieprzeciętne walory ciała natura zrównoważyła u Klaudyny niedoborami. Głównie w mózgu.

Biskup łyknął z pucharu. Mimo późnej pory był, jak wyglądało, najzupełniej trzeźwy. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Pomurnik zanotował w pamięci, by przy sposobności dopaść i zmusić do zeznań biskupiego konsyliarza. Mógł to bowiem być objaw choroby. Albo jej skutek.

– Co tam u ciebie, Birkarcie? Nie spotkała cię przypadkiem ostatnio... przygoda jakaś?

– Przygoda? Nie.

Klaudyna uszczypnęła biskupa w udo. Konrad wyciągnął dłoń i pogiglał ją w szyję jak kota.

– W jednej kwestii – podniósł wzrok – nie zdążyłem cię wypytać. Twoich ludzi, wiesz, kogo mam na myśli, husyci zmasakrowali pod Wielisławiem. Jak długo potrwa, nim zdołasz zwerbować nowych? Kiedy można się tego spodziewać?

– Radość im niespodziewańsza, tym większa – zadrwił Pomurnik. – Spodziewaj się więc śmiele, póki dusza w ciele.

Klaudyna zaśmiała się gardłowo, ale biskup nie był w nastroju.

– Nie powiadaj mi tu facecji! – szczeknął. – Widzieli wesołka! Twoi Jeźdźcy potrzebni mi pilnie, chcę ich na zawołanie mieć! Odpowiadaj więc, kiedy pytam!

– *Pax*, ojczulku – zmrużył oczy Pomurnik. – Nie wściekaj się, bo to niezdrowo. Wino, kobiety, śpiew, a do tego złość. Jeszcze cię krew zaleje. I jakiegoś Polaka gotowi biskupem zrobić. Względem zaś odpowiedzi, to wolałbym jednak *inter nos*.

Biskup gestem nakazał Klaudynie unieść się, a klapsem w krągły tyłeczek dał znać, by się oddaliła. Dziewczyna fuknęła, wydęła karminowe wargi, zmierzyła obu złym spojrzeniem, zabrała z patery garść bakalii i odeszła, interesująco kołysząc biodrami.

– Jeźdźców – rzekł Pomurnik, gdy zostali bez świadków – mam już w tej chwili na każde zawołanie. Kilku na Sensenbergu, ze starej gwardii. Tu, we Wrocławiu, już zdążyłem zwerbować kilkunastu nowych.

– Potwierdzają się plotki – biskup spojrzał nań spod opuszczonych powiek. – O tym, że czarną magią ich wabisz, że ciągną do ciebie jak te ćmy do płomienia. Skarżył się Hayn von Czirne, dowódca najemników,

że mu z chorągwi dezerterują, a co jeden, to gorszy łotr. Ale żeby joannici? Bo i mistrz von Schlieben się skarżył.

– Wiem, że ci pilno, ojczulku. To i nie przebieram, biorę, co się da, ghandżja i haszsz'isz zrobią swoje. Ktoś jeszcze się na mnie skarżył?

– Ulryk Pack, pan na Klępinie – w głosie Konrada zabrzmiała drwina. – Ale w inszej materii. Nie poznaję cię, synu. Ty i panna?

– Zostaw to, biskupie. A Packa udobruchaj.

– Już to zrobiłem. I nie musiałem się specjalnie starać. Wracając *ad rem*: masz zatem ludzi gotowych. Zdolni będą zapewnić mi bezpieczeństwo? Obronę? Gdyby wbrew twej opinii Reinmar z Bielawy planował jednak zamach na mnie?

– Reinmar z Bielawy nie planuje zamachu. Jeśli więc moich ludzi potrzebujesz tylko...

– Nie tylko – przerwał biskup.

Milczeli czas jakiś. Z damskich komnat dobiegało poszczekiwanie italskiego pieska i melodyjny głos Haunoldówny, obrzucającej służące wyzwiskami.

– Czas nastał niepewny i zły – przerwał ciszę Konrad z Oleśnicy. – A najgorsze jeszcze przed nami. Wystarczyło kilku heretyckich najazdów, by wstrząsnąć Śląskiem. Ludzie zrobili się chwiejni, w złych czasach skorzy do zapominania o dekalogu, o wartościach, o honorze, o obowiązkach, o przysięgach. Słabi ludzie zapominają o sojuszach, a najsłabsi zaczynają upatrywać ratunku w paktach z wrogiem. Przestają pamiętać, co to prawo, co to ład społeczny, co to *amor patriae*. Upadają duchem. Zapominają o Bogu. O tym, co Bogu powinni. Ba, Bóg z Bogiem, oni odważają się zapominać o tym, co powinni mnie.

– Takich ludzi, synu – podjął po chwili milczenia – trzeba będzie zawrócić ze złej drogi. Udzielić im lekcji patriotyzmu. A jeśli tego będzie mało, trzeba będzie...

– Usunąć ich z tego łez padołu – dokończył Pomurnik – winą obarczając demony lub husyckich terrorystów. Załatwi się, biskupie. Wskaż tylko i wydaj rozkaz.

– Takim cię lubię, Birkarcie – westchnął biskup. – Właśnie takim.

– Wiem.

Milczeli obydwaj.

– Pożyteczną rzeczą – westchnął po raz wtóry biskup – jest terroryzm. Ileż to spraw załatwia. Jak byśmy sobie bez niego radzili?

Kogo byśmy za wszystko winili, na co wszystko zwalali? *Vero*, gdyby terroryzm nie istniał, należałoby go wymyślić.

– No proszę – uśmiechnął się Pomurnik. – Myślimy tak samo, nawet słów używamy identycznych. A ty wciąż się mnie wypierasz, ojczulku.

●

Gdy tak siedzieli za jednym stołem, objadając się szczupakiem w żółtej od szafranu galarecie, nikt, absolutnie nikt nie wziąłby ich za rodzonych braci. Ale na przekór pozorom byli rodzonymi braćmi. Starszy, Konrad, biskup Wrocławia, miał prezencję prawdziwego Piasta, potężnego, rumianego i czerstwego sybaryty. Długa broda i lekko zapadłe policzki Konrada Kantnera, księcia na Oleśnicy, czyniły go podobnym raczej eremicie.

– Jeno zgryzoty – powtórzył Konrad Kantner, sięgając do misy po kolejne dzwonko szczupaka – mam przez te dzieci, com je był napłodził. Nic, jeno zgryzoty.

– Wiem. – Biskup kaszlnął, charknął przeciągle, wypluł ość. – Wiem, jak to jest, bracie. Znam ten ból.

– Mojej Aneżce – Kantner udał, że nie rozumie – idzie na piętnasty. Umyśliłem, jak wiesz, dać ją za Kaspra Schlicka, dufam, że chłystek wysoko zajdzie, kanclerska głowa. Dobra partia. Luksemburczyk przyrzekł mi to *matrimonium*, wszystko już było domówione. A ninie, słyszę, rai Schlickowi córkę grafa Bertolda z Hennebergu. Łgarz cholerny. Ten człowiek w życiu słowa prawdy nie powiedział!

– Fakt. – Biskup oblizał palce. – Dlatego nie przejmowałbym się. Mniemam otóż, iż nasz łaskawy król raczy właśnie, dla chwilowych korzyści, okłamywać i za nos wodzić grafa Bertolda. Nic to. Jeszcze tęgo, obaczysz, popijemy na weselu Agnieszki i Schlicka.

– Daj Bóg. – Kantner łyknął z kielicha, odchrząknął. – Ale to nie koniec. Wpadłem na myśl, uważasz, spiknąć mego Konradka z Barbarą, córką brandenburskiego margrafa Jana. Pojechałem z chłopakiem w Gody do Spandau, niech się, dumam, młodzi poznają. A Konradek, uważasz, popatrzył. I mówi, że nie. Że nie chce jej, bo gruba. Pacanie, ja mu na to, dzieweczka sześć ledwie wiosenek liczy, z wiekiem jak nic wyszczupleje. To po *primo*, a po *secundo* kochanego ciała nigdy nie za dużo, będziesz miał, gdy do pokładzin przyjdzie, pełne łóżko rozkoszy, od kraja do kraja. A on, że jak już łoże zapełniać, to woli dwiema albo

trzema szczupłymi. Uważasz bezczelnego smarkacza? W kogo to się wdało?

– W nas – zarechotał biskup. – Piastowska krew, bracie, piastowska kość. Ale po prawdzie rzec ci muszę, żeś nienajlepszą partię Konradkowi wykoncypował. Nie po drodze nam z Hohenzollernami. Im się unia z Polską marzy, knują z Jagiełłą, knują z husytami...

– Przesadzasz – skrzywił się Kantner. – Złość masz do starego Fryca Hohenzollerna, bo poswatał syna z Jadwisią Jagiellonką. Ale prawda taka jest, że Hohenzollernowie w górę idą. Z tymi, co w górę, trzymać, z nimi się koligacić. I jeszcze coś ci rzeknę.

– Rzeknij.

– Jagiellonowie też w górę idą. Królewiczowi Władysławowi roków pięć. Anusi, mojej najmłodszej, też pięć.

– Albo żarty stroisz – zmarszczył brwi biskup – alboś oszalał. Z czym ty myślisz piastowską krew mieszać?

– Myślę piastowską krew na polski tron wrócić – wyprostował się Kantner. – Na Wawel! A ciebie nienawiść zaślepia. Ty zmian nie zauważasz. *Gott im Himmel!* Nie widzisz, że świat się zmienił? Tu o przyszłość Śląska idzie. Husyci urośli w potęgę, sami im się nie oprzemy! Potrzebna pomoc. Prawdziwa. Mocna. A co my robimy? Związek Strzeliński, sojusz z Bischofswerda, zjazd w Świdnicy, psiakrew, strata czasu jeno. Sześć Miast, kurfirst saski, Miśnia, to mają być sprzymierzeńcy? Z nich każdy sobie rzepkę skrobie, bo każdy jednako portkami przed husytami trzęsie. Ruszą Czesi na nas, Łużyczanie i Sasi w zamkach się pochowają, nie wystawią nosa. Z pomocą nie przyjdą. Ani my im, gdyby to na nich uderzono...

– Do czego ty zmierzasz, bracie? Bo miarkuję wszak, że zmierzasz.

– Przyjmij... – Kantner zająknął się. – Przyjmij posła. Uczynisz, jak zechcesz, tyś Śląska namiestnikiem. Ale przyjmij. Wysłuchaj.

– Brandenburgia? – uśmiechnął się krzywo biskup. – Czy Polacy?

– Wysłannik Zbyszka Oleśnickiego, biskupa krakowskiego. Spotkałem w drodze. Pogwarzyliśmy... O tym i owym...

– A jakże. Kto zacz?

– Andrzej z Bnina.

– Nie znam – rzekł biskup. – Ale nim do audiencji dojdzie, ręczę, będę wiedział o nim wszystko.

•

Andrzej z Bnina herbu Łodzia liczył sobie lat mniej niż trzydzieści, był mężczyzną wdałym, czarnowłosym i smagłym. Magister Akademii Krakowskiej, sekretarz królewski, prezbiter pobiedziski, kanonik łęczycki i poznański, robił w Polsce szybką karierę w duchownej hierarchii. Ambitny lekko nawet ponad miarę, mierzył w biskupy, nie niżej. Cieszył się, jak wieść niosła, dużym zaufaniem Oleśnickiego. A nie każdy się cieszył.

– Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski – kontynuował spokojnie – to najgorliwszy *candor fidei catholicae*, najzagorzalszy odstępstwa i heretyctwa *persequens*. *Negotium fidei*, walka za wiarę, to dla biskupa krakowskiego rzecz wagi najwyższej. Biskup wyznaje pogląd, że walka z herezją tak samo ważną, o ile nie ważniejszą, jest rzeczą, co bój z pogany o Święte*Sepulchrum*. Biskup rozumie, co to *Crux cismarina*, krucjata po tej stronie morza. Zwłaszcza że jest to nasza wspólna strona morza. Prosił biskup wam to rzec: jesteśmy po tej samej stronie morza. Kraków czy Wrocław, jesteśmy po tej samej stronie, na tym samym brzegu. A przed nami wzbiera fala herezji, gotowa brzeg ten zalać i zatopić.

– Rzecz mi nie nowa – kiwnął głową Konrad, biskup Wrocławia – że Zbyszko Oleśnicki ugrozę herezji widzi i rozumie. Rzecz mi to nie nowa i bynajmniej nie dziwna. Zbyszko w kardynały się sposobi, a jakże przyszłemu kardynałowi na kacerstwo oko przymykać? Jakże mu heretykom pobłażać? Jakże nie pojmować, że to, co się w Czechach wyprawia, tysiąckroć dla nas ważniejsze niźli *Outremer*, Jerozolima, Grób Święty i inne mrzonki? Bo prawda to, że nie za morzem husycka zaraza, ale tu, u nas. Prawda to, że uratować nas może jeno *Crux cismarina*. Pytam tedy: gdzie polskie chorągwie, na Czechy z krucjatą ciągnące? Dlaczego wciąż ich nie widać? Aż tak trudno biskupowi krakowskiemu przygiąć zuchwałe karki Szafrańcom i innym husyckim poplecznikom? Aż tak trudno przygiąć wreszcie kark zgrzybiałemu Jagielle?

– Wasze to słowa, dostojny biskupie? – uniósł lekko brwi Andrzej z Bnina. – Bo zda mi się, że słyszę waszego króla, Zygmunta Luksemburskiego. On w tę samą dudkę dmie. Czemu Polacy na Czechy nie ruszą, gdzie polska wiara, gdzie polskie chorągwie, bla, bla, bla.

Gdzie polskie chorągwie, pytacie? Granic Wielkopolski strzegą, Kujaw, Ziemi Dobrzyńskiej. Przed Krzyżakami, którzy tylko czekają, aż polskie wojsko na Czechy odejdzie, by wtedy Polskę mieczem i ogniem najechać. Z błogosławieństwem waszego Luksemburczyka. Zbyszko Oleśnicki, biskup krakowski, przyszły kardynał, jest dobrym katolikiem i herezji wrogiem. Ale przede wszystkim jest Polakiem.

– Moim praojcem – wydął wargi Konrad – Piast Kołodziej, pramacią Rzepicha. Pradziadem Chrobry. Dziadami Krzywousty, Plątonogi, Brodaty. Ale ojcowie moi, gdy nadszedł czas, by myśleć o przyszłości, wiedzieli, co wybrać. Wybrali Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Wybrali Europę. Wybrali rozwój i postęp. Zbyszko Oleśnicki uważa się za Polaka, a wysługuje Jagielle. Neoficie, skrytemu poganinowi, którego ojciec składał litewskim diabłom ofiary z ludzi. Jako Polak, Zbyszko winien pojmować, że przyszłość Polski to nie Litwa, nie Ruś, nie dziki Wschód, lecz Europa. Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Powtórzcie Zbyszkowi moje słowa, panie Bniński.

– Powtórzę. Ale wątpię, by słuchał. Biskup krakowski nieco inaczej pojmuje polskość. Trochę inaczej widzi też Niemców i ich cesarstwo. Pozwala sobie, wybaczcie śmiałe słowa, mocno wątpić w szczerość niemieckich intencji. Ma po temu podstawy.

– Czegoż więc – uniósł się w karle biskup – Zbyszko chce ode mnie? Hę? Po diabła cię tu przysłał, panie Łodzic? Szuka pomocy? Potrzebuje sprzymierzeńca? Przeciw marzącemu o koronie Witoldowi? A może przeciw coraz wyżej podnoszącemu głowę Świdrygielle?

– Azaliż – uśmiechnął się Andrzej z Bnina – przymierze to rzecz aż tak zła, by mówić o nim z aż takim przekąsem? Zwłaszcza tu, na Śląsku? Nie przydałoby się wam przymierze rok temu, w 1428, kiedy Czesi Śląsk w popiół obracali? Nie przydałaby się wam wtedy pomoc zbrojna? Nie sądzicie, że może się przydać, gdy zwali się na was następna husycka rejza? Bo przecież zwali się, nie dziś, to jutro. Czesi przyjdą. Dopalą, czego nie spalili, splądrują, czego nie splądrowali. Kto przeciw nim stanie? Jeden śląski książę zabity, reszta zastraszona. Rycerstwo zdemoralizowane. Sojusznicy się rozpierzchli, na najemników brak pieniędzy. Luksemburczyk z odsieczą nie przyjdzie. Pomyślcie, biskupie Konradzie, namiestniku Śląska: Nie przydałaby się w chwili rozpaczy pomoc? Pomoc, czyli... Interwencja?

Biskup wrocławski milczał długo.

– Pojąłem – wyrzekł wreszcie przeciągle. – Nareszcie pojąłem, o co wam idzie. Rozwiązana łamigłówka. Interwencja. Polskie wojsko na Śląsku. Krucjata na Czechy: nie. Ale na Śląsk: owszem. Niedoczekanie. Powtórz to Zbyszkowi, panie Bniński. Niedoczekanie.

Andrzej z Bnina milczał, nie spuszczając wzroku. Konrad wzroku nie spuścił również.

– Polskie mrzonki – wyrzekł wreszcie. – Polskie mrzonki o Śląsku. Prohusyccy, antyhusyccy, katolicy, prawosławni, wszystkim wam się Śląsk znów polskim śni. Furt Śląsk byście na powrót do Korony Polskiej włączali. Pojąć nie możecie, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Wyzbyliście się Śląska sami, nie będzie już Śląsk polskim nigdy. Wiecie to wszak. A furt marzycie, mrzonki snujecie. Tylko czyhacie, by mi Śląsk siłą wyrwać!

– Na co – Andrzej z Bnina uśmiechnął się dość pogardliwie – wedle was, czyhamy? Na to, co zostało po 1428? Na wasze ruiny? Na dwadzieścia pięć spalonych miast, na setki osad w zgliszczach, na wypalone łany, na których nic nie urodzi się przez dziesięciolecia? Siłą, mówicie, Śląsk wyrywać wam zamierzamy? A na cóż nam siła? Śląscy książęta na wyprzódki pod polską protekcję się pchają. Bolko Wołoszek z Opolszczyzną pierwszy, za nim Cieszyn, Głogów, Oświęcim. A po następnej husyckiej rejzie dołączą i inni. Może wszyscy?

– Aleście zadufani – zgrzytnął zębami Konrad. – Polskie zadufki. Iście to specjalność wasza polska: zadufanie i kompletny brak umiejętności przewidywania.

– Umiejętność przewidywania – Andrzej z Bnina wyprostował się, rysy mu stwardniały – ocenia historia, a weryfikuje ją czas. A czas, z całym szacunkiem, dość boleśnie zweryfikował wasze własne umiejętności w tym względzie, cny biskupie wrocławski. Gdzież bowiem rozbiór Polski, w Pożoniu z Węgrami i Krzyżakami uknuty? Gdzie Ziemia Siewierska, Sieradz i pół Wielkopolski, które po rozbiorze wam miały przypaść? I wy o zadufaniu mówicie?

Konrad milczał, demonstracyjnie patrząc w bok.

– Wróćmy tedy – o ton złagodził głos Andrzej z Bnina – do przewidywań. Rzeknę wam, cny wrocławski biskupie, co przewiduje Zbigniew Oleśnicki, episkopus krakowski. A będzie to wypadków bieg następujący. Po następnej czeskiej rejzie połowa książąt śląskich przejdzie na husytyzm, a druga połowa schroni się pod skrzydła

Władysława Jagiełły, króla polskiego. Papież, by zjednać sobie Jagiełłę, odwoła was z biskupstwa. A że Wrocław kościelnie podpada pod metropolię gnieźnieńską, waszego następcę w diecezji powoła Zbyszko Oleśnicki, a zatwierdzi król Polski. A Luksemburczyk, któremu tak wiernie służycie? Myślicie, że palcem w waszej sprawie kiwnie? Otóż nie. Nie kiwnie. Przyśle wam Order Smoka. Na otarcie łez. Jako to ma we zwyczaju.

Biskup milczał długo. Potem odwrócił głowę.

– Nagadaliście się – przemówił, patrząc Polakowi w oczy. – Napletliście, co siły. A w rezultacie i tak na moje wyszło. Pro- czy antyhusyccy, wszyscy jednako wrogami mi jesteście, cała nacja wasza. A Zbyszko Oleśnicki wrogiem moim najgorszym.

– Biskup krakowski – rzekł wolno Bniński – wrogiem waszym nie jest. I łacno tego może dowieść.

– Jak?

– Wyświadczając wam przysługę.

– W zamian za zgodę na polską interwencję?

– Dla chwały Bożej.

– No, no. I czymż to chce mi się Zbyszko przysłużyć?

– Informacją.

– Słucham pilnie.

– Biskup krakowski – ważył słowa Andrzej z Bnina – dobry katolik i herezji wróg nieprzejednany, ma swoich ludzi wśród Polaków, którzy husytom służą. Ma ich i wśród kupców, którzy z Czechami obchód prowadzą. Wiele dzięki temu zdobył informacji. W tym jedną ważną dla was. Dla Śląska. Dotyczącą działającej na Śląsku husyckiej siatki szpiegowskiej.

– Z husyckimi szpiegami – wydął wargi Konrad – sami sobie radzimy.

– Czyżby? – uśmiechnął się Polak. – Jest jeden, z którym poradzić sobie wszak nie możecie.

●

Dzień nie różnił się niczym od innych dni powszednich. Znad Młynówki dolatywały przekleństwa flisaków, z przykościelnej uliczki łomot toczonych beczek i stuk młotków, z zaułka okrzyki kramarzy, z jatek bek owiec i kwik świń. W gwarze miasta ginął monotonny głos magistra i głosy powtarzających lekcję uczniów. Choć głosy te były

ledwie słyszalne, Wendel Domarasc wiedział, jaką lekcję powtarzali uczniowie. W szkole kolegiackiej Świętego Krzyża w Opolu piastował wszak stanowisko rektora. Sam układał szkolny program.

Si vitam inspicias hominum, si denique mores,
Cum culpant alios, nemo sine crimine vivit.

Przed tym, co się stanie, ostrzegł go instynkt. Wendel Domarasc zerwał się zza stołu, chwycił raporty agentów i cisnął je w ogień. Na sekundę przed tym, zanim wyleciały z zawiasów wyłamywane drzwi, magister dobył z kredensu niebieski flakonik. Zdołał wypić zawartość, nim wpadający do izby drabi wykręcili mu ręce, chwycili za włosy i przygięli głowę. Rektor zacharczał.

– Puście go.

Choć nigdy go przedtem nie widział, Domarasc z punktu wiedział, kto przed nim stoi. Domyślił się tego po czarnym odzieniu, czarnych, sięgających ramion włosach. Po dziwnej, ptasiej jakby fizjonomii. I wejrzeniu diabła.

– Z trucizną – Pomurnik podniósł niebieski flakonik, obrócił w palcach – jest jak z kobietą. Po dwakroć jak z kobietą. *Primo*: nie można ufać, zdradzi i zawiedzie, gdy najbardziej jej potrzebujesz. *Secundo*: trzeba często wymieniać. Na nową i świeżą, bo zestarzała traci wszelki walor.

– Nie uciekniesz mi w śmierć – dodał z paskudnym uśmiechem. – Twoja zwietrzała trutka nie zabije cię. Co najwyżej dostaniesz rozwolnienia. I bólu brzucha. Już cię, widzę, zaczyna skręcać. Posadźcie go, bo upadnie.

Drabi przeszukiwali izbę, a czynili to z zauważalną wprawą. Pomurnik zamknął okno, odcinając komnatę od gwaru ulicy. Głosy powtarzających lekcję uczniów przybrały przez to na sile. Można było już rozpoznać słowa.

Nolo putes pravos homines peccata lucrari;
Temporibus peccata latent, sed tempore parent

– *Disticha catonis* – rozpoznał Pomurnik. – Nic się nie zmienia. Od wieków wbijacie szczeniakom do głów mądre sentencje, w kółko te same. Ty także, bakałarzu, obrywałeś wszak niegdyś rózgą w takt tych dwuwierszy. Ale, jak się okazuje, nie dość mocno bito. Poszła w las

nauka, wywiało z głowy katońską mądrość. *Temporibus peccata latent, sed tempore parent*. A ty co, myślałeś w nieskończoność kryć się przed nami ze swym procederem? Panie szpiegu nad szpiegami, osławiony Cieniu, człowieku bez twarzy? Miałeś nadzieję na wieki pozostać bezkarny? Płonna to była nadzieja, Domarasc, płonna. Innymi słowy: Porzuć wszelką nadzieję. Nadzieja matką głupich.

Pochylił się, z bliska zajrzał szpiegowi w oczy. Choć skurcze żołądka niemal pozbawiały go przytomności, Wendel Domarasc zdobył się na to, by odpowiedzieć spojrzeniem. Spokojnym, twardym i lekceważącym.

– *Spes* – odrzekł spokojnie – *una hominem nec morte relinquit*.

Pomurnik milczał chwilę, po czym uśmiechnął się. Bardzo paskudnie.

– Katon – powiedział, przeciągając słowa – nie pojadł wszystkich rozumów. W szczególności o nadziei mniemanie miał wygórowane. Widocznie przez brak doświadczeń. Nigdy, wnoszę, nie trafił do piwnic wrocławskiego ratusza i mieszczącej się tam izby tortur.

Wendel Domarasc, główny rezydent husyckiego wywiadu na Śląsku, milczał długo, walcząc ze spazmami trzewi i zawrotami głowy.

– Rzecze filozof... – wypowiedział wreszcie, patrząc w czarne oczy Pomurnika. – Rzecze filozof, że cierpliwość to największa z cnót. Wystarczy siąść nad brzegiem rzeki, siąść i czekać. Trup wroga z pewnością przypłynie, prędzej czy później. Będzie można na trupa popatrzeć. Jak prąd nim obraca. Jak go rybki podszczypują. Wiesz, co zrobię, Grellenort, gdy się już to wszystko skończy? Usiądę sobie na brzegu rzeki. I będę czekał.

Pomurnik milczał długo. Jego ptasie oczy nie wyrażały absolutnie niczego.

– Zabrać go – rozkazał wreszcie.

●

Inkwizytor Grzegorz Hejncze złożył dłonie i skrył je pod szkaplerzem. Szkaplerz, podobnie jak habit, był świeżo prany, pachniał ługiem. Zapach uspokajał. Pomagał się uspokoić.

– Pragnę – głos inkwizytora był spokojny – pogratulować waszej dostojności ujęcia husyckiego szpiega. To sukces. Rzecz z wielką korzyścią *pro publico bono*.

Biskup Konrad ochlapał wodą twarz, przyłożył palec do nosa, wysmarkał się do misy. Wziął ręcznik z rąk pachołka.

– Mówią – wytarł się i znowu wysmarkał, tym razem w ręcznik – że byłeś w Rzymie?

– Jeśli mówią – Grzegorz Hejncze wdychał zapach ługu – to pewnie byłem.

– Jak się ma ojciec święty Marcin V? Nie widać po nim jakich oznak? Bo to, widzisz, wieszczą, że już niewiele życia mu ostało.

– Kto tak wieszczy?

– Wieszczki. Opuściwszy Rzym, udałeś się pono do Szwajcarii? I cóż tam we Szwajcarii?

– Ładnie tam. Sery też mają dobre.

– I piechotę. – Biskup gestem przepędził pachołka z misą, przywołał drugiego, z obszytą futrem opończą. – Piechotę też mają dobrą. Może użyczą z tysiąc pik, gdy znowu z krucjatą na Czechy ruszymy? Rozmawiałeś o tym z nimi? Z biskupem Bazylei?

– Rozmawiałem. Nie użyczą. Krucjata, powiedzieli, dostanie baty. Jak zwykle. Szkoda żołnierzy.

– Sukinsyny. – Biskup owinął się opończą, usiadł. – Śmierdzące serowary. Wina, Grzesiu? Pij, nie lękaj się. Nie zatrute.

– Nie lękam się. – Hejncze spojrzał na biskupa znad kielicha. – Regularnie przyjmuję magiczny mitrydat.

– Magia jest grzechem – zarechotał biskup. – Nadto są trucizny, na które nie ma odtrutki, żaden czar nie pomoże. Zapewniam cię, są takie. Opowiem ci kiedyś o nich. Ale teraz ty opowiadaj. Jakie wieści z Bambergu? Moi szpiedzy donoszą, że u biskupa Bambergu też byłeś. Co tam u niego?

– Rozumiem, że wasza dostojność nie pyta o jego zdrowie?

– Gówno mnie obchodzi jego zdrowie. Pytam, czy dołączy do krucjaty? Czy da zbrojnych, działa, strzelby? Ilu, ile?

– Jego wielebność Fryderyk von Aufsess – twarz inkwizytora była poważna jak zapalenie płuc – unikał jednoznacznej odpowiedzi. Inaczej mówiąc, kręcił. Cóż, krętactwo zdaje się być trwale i nierozerwalnie związane z mitrą biskupią. Zza krętactw wyziera jednak prawda, wyziera, jak mówią klasycy, niczym dupa z pokrzywy. Prawda taka, że bliższa koszula ciału. We Frankonii i w Bawarii motłoch miejski się burzy, chłopstwo się rozzuchwala. Z Francji płyną wieści o Dziewicy, o Jehanne d'Arc, świętej bożej bojowniczce. Szerzy się plotka, że gdy *La Pucelle* skończy z Anglikami, na czele ludowej armii weźmie się za

panów i prałatów. A husyci? Husyci od Bambergu są daleko, nikt się ich w Bambergu nie lęka, nikt nie wierzy, by tam zdołali dojść, a nawet gdyby, to mury miasto ma wysokie i mocne. Słowem, Bambergu husyci ani ziębią, ani grzeją, niech się husytami przejmują ci, co mają powody. To własne słowa jego wielebności biskupa Fryderyka.

– Pies go trącał, starego durnia. A arcybiskup Magdeburga? Wszak i jego odwiedziłeś.

– Odwiedziłem. Arcybiskup metropolita Gunter von Schwarzburg zbyt jest rozsądny, by husytów lekceważyć. Udziału w krucjacie nie wyklucza, aktywnie nawołuje do sojuszy obronnych. Konsekwentnie formuje armię, ma już w tej chwili pod rozkazami więcej tysiąca ludzi. Wystąpiły jednak, rzeknę to szczerze, pewne problemy. Arcybiskup jest otóż mocno pogniewany. Na ciebie, biskupie Konradzie.

– O – skomentował jednosylabowo Konrad.

– Pogniewany jest – ciągnął Hejncze – za przyczyną osoby, która cieszy się twymi łaskami. Chodzi o Birkarta Grellenorta. Arcybiskup przedstawił mi długą listę zarzutów, nie będę nimi zanudzał, bo to większością rzeczy trywialne: morderstwa, gwałty, czarna magia. Również rabunki: arcybiskup Gunter oskarża Grellenorta o dokonaną we wrześniu roku 1425 kradzież pięciuset grzywien podatku. Największą wściekłość metropolity wzbudza jednak osoba jakiegoś nieludzia, jakiegoś sverga imieniem bodajże Skirfir, alchemika i czarownika, którego arcybiskup chciał męczyć i spalić, a którego Grellenort bezczelnie wykradł i uprowadził. By się nim posłużyć.

Biskup Konrad zarechotał. Hejncze zmierzył go zimnym wzrokiem.

– Tak, to dość śmieszne – przytaknął zimno. – I trywialne do mdłości. Ale to godzi w sojusz Saksonii ze Śląskiem, sojusz w obliczu husyckiego zagrożenia nieodzowny. Mogący decydować o śląskim być lub nie być. Chciałbym tedy wiedzieć, co wasza dostojność ma zamiar przedsięwziąć w tej sprawie.

Konrad spoważniał, wpił w inkwizytora oczy.

– W jakiej sprawie? – wycedził. – Nie widzę żadnej sprawy. Czyżbyś ty widział, Grzesiu? Czyżbyś chciał oznajmić mi, że Birkarta Grellenorta, choć to mój faworyt, a wedle gminnych plotek bękart, powinienem przegnać na cztery wiatry, wykląć, ogłosić banitą, sekretnie uwięzić lub zgładzić? Że powinienem uczynić to dla dobra sprawy, albowiem Birkart Grellenort to*persona turpis*, szkodząca naszym sojuszom i stosunkom z

sąsiadami? Mógłbym ci odpowiedzieć, Grzesiu, że sojuszom i stosunkom szkodzą głupi i małostkowi dostojnicy kościelni, dąsający się jak dzieci, gdy się im odbierze zabawkę. Mógłbym, ale nie odpowiem. Odpowiem inaczej, odpowiem krótko a konkretnie: jeśli ktokolwiek, biskup, kardynał, sufragan czy inkwizytor, za jedno mi, spróbuje zaczepiać Birkarta Grellenorta, jak Bóg na niebie, ciężko tego pożałuje.

– Bóg na niebie – odrzekł bez mrugnięcia powieką Hejncze – wszystko widzi i wszystko słyszy. Taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą. Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem, którzy zamieniają ciemności na światło, a światło na ciemności.

– Banały, Grzesiu, banały. Cytujesz Biblię jak wiejski proboszcz. Rzekłem, odczep się od Grellenorta, odczep się ode mnie. Poszukaj belki we własnym oku. A może wolisz inny biblijny cytat? Z listu do Koryntian może? Nie możecie pić z kielicha Pana i z kielicha demonów; nie możecie zasiadać przy stole Pana i przy stole demonów. Reinmar z Bielawy, mówi ci coś to nazwisko? Heretyk, którego we Frankensteinie osobistą interwencją ocaliłeś od bolesnego śledztwa? I tak długo ochraniałeś, aż zdołał uciec? Protegowałeś koleżkę. Bo to wszak twój druh, twój kompan, twój kamrat z uniwerku. Reynevan Bielawa, wyklęty heretyk i zbrodniarz, czarownik, nekromanta, *persona turpis* całą gębą. Zasiadałeś z nekromantą przy stole demonów, inkwizytorze. A kto z kim przestaje, takim się staje. Zainteresuje cię może, że pomieniony Bielawa miesiąc temu pojawił się we Wrocławiu.

– Reinmar Bielau? – Grzegorz Hejncze nie zdołał ukryć zdumienia. – Reinmar Bielau był we Wrocławiu? Czego tu szukał?

– A mnie skąd wiedzieć? – Biskup obserwował go spod opuszczonych powiek. – To rzecz inkwizytora, nie moja, śledzić Żydów, heretyków i apostatów, wiedzieć, co knują i z kim. I widzi mi się, Grzesiu, że ty wiesz, po co Bielawa tu przybył. Czego, a raczej kogo, tu poszukiwał.

●

Z pobliskiego kościoła Piotra i Pawła dolatywało paskudne, drażniące uszy klekotanie. Podczas trzech poprzedzających Wielkanoc dni nie bito w dzwony, wiernych zwoływały do świątyń drewniane kołatki.

– Hejncze nie wiedział – powtórzył Grajcarek, garbiąc się usłużnie. – Nie wiedział o tym, że Bielawa był we Wrocławiu. Nie wiedział też, po co był, w jakim celu. Grellenort był w rezydencji, w ukryciu, podsłuchiwał,

a gdy inkwizytor poszedł, pokłócili się z biskupem. Biskup twierdził, że Hejncze udawał, że to ćwik i chytrus, w kurii rzymskiej w gierkach i knowaniach wyćwiczony. Grellenort zaś...

– Grellenort – wtrąciła w zamyśleniu mówiąca altem i pachnąca rozmarynem kobieta. – Grellenort był skłonny uznać, że Hejncze był zaskoczony szczerze i naprawdę.

●

– Był zaskoczony szczerze i naprawdę – powtórzył dobitnie Pomurnik. – Jestem tego absolutnie pewien. Z ukrycia rzuciłem na niego zaklęcie. Miał, jasna rzecz, blokadę, jakiś talizman ochronny, jego myśli przejrzeć nie zdołałem, ale gdyby udawał i zwodził, mój czar zdemaskowałby go. Nie, Kundrie, Grzegorz Hejncze nie wiedział o Reynevanie, zdumiała go informacja o nim, zaskoczył fakt, że Reynevan kogoś tu szukał. Trudno w to uwierzyć, ale wygląda, że Hejncze nic nie wie o Apoldównie. Co oznaczałoby, że to jednak nie Inkwizycja ją uprowadziła.

– Pospieszny wniosek. – Kundrie zamrugała wszystkimi czterema powiekami. – Hejncze to nie Inkwizycja. Hejncze to trybik w machinie. A sam wszak biskup stara się, ile mocy, by trybik ten zdyskredytować i wyeliminować. Może wreszcie sukces odniosły intrygi? Może Hejncze już się w machinie nie liczy, lub liczy tak mało, że nie jest informowany? Może rzeczy dzieją się tam za jego plecami?

– Może, może, może – zagryzł wargi Pomurnik. – Dość mam już hipotez. Chcę konkretów. Arkana, Kundrie, arkana. Nekromancja i goecja. Specjalnie wysyłałem ludzi do Schönau, by wykradli osobiste rzeczy Apoldówny, przedmioty, których dotykała. Dostarczono ci je. I co?

– Zademonstruję. – Neufra ociężale uniosła się z karła. – Pozwól.

Pomurnik sądził, że wie, czego się spodziewać. Kundrie zwykle posługiwała się magią Longaevi. Zniechęcona zapewne brakiem efektów, neufra przestawiła się jednak na magię używaną przez Nefandi. Pomurnik popatrzył i prędko przełknął wzbierającą w gardle ślinę.

Na stole ułożony był okrąg z długiego pasa skóry, zdartej podobno z żywego człowieka. Na pasie, wyznaczając wierzchołki trójkąta, umieszczone były koźle rogi, zmumifikowany nietoperz i kocia czaszka. Nietoperz został utopiony we krwi, kota zaś przed zabiciem karmiono ludzkim mięsem. Co robiono z kozłem, Pomurnik wolał nie wiedzieć. W

środku okręgu, przybita do blatu żelaznym hufnalem, leżała trupia głowa, cieknąca już i śmierdząca gorzej niż lekko. Oczy, psujące się najszybciej, Kundrie zdążyła już wydłubać, a oczodoły zasmarować woskiem. Okolice ust trupiej głowy były zwęglone, wargi zwisały w poskręcanych strzępach, pozwijanych jak zbutwiała kora. Przed trupią głową leżała para trupich dłoni, również przygwożdżonych do blatu. Między dłońmi spoczywało coś, co obdarto ze skóry i zmasakrowano: duży szczur lub mały pies.

– Dostarczony mi szalik – Kundrie zademonstrowała kawałek szarej wełny – przezornie pocięłam na części. To jest wszystko, co mi zostało. Spójrz.

Położyła szmatkę pomiędzy trupimi dłońmi. Dłonie drgnęły, zatrzepotały, ich palce zaczęły skręcać się nagle i wić jak robaki, jak gdyby usiłując uchwycić strzępek. Kundrie uniosła ręce i wyciągnęła je przed siebie, jej własne palce objęło niekontrolowane dygotanie, dokładnie imitujące ruchy dłoni przybitych do stołu.

– Iä! Iä! Nya-hah, y-nyah! Ngg-ngaah-Shoggog!

Trupie dłonie wpadły w istną furię, szarpiąc się na gwoździach i bębniąc o stół. Zwęglone wargi trupiej głowy poruszyły się. Ale zamiast słów, na które czekali, buchnął z nich gwałtowny siny płomień, jęzor ognia, paląc i momentalnie zamieniając strzępek szarego szalika w szczyptę szarego popiołu. Wszystko na stole znieruchomiało w rzeźnicką martwą naturę.

– I co ty na to, synku?

– Kontrmagia.

– I to bardzo silna – potwierdziła Kundrie. – Ktoś przeszkadza. Ktoś nie chce, byśmy wyśledzili tę Apoldównę, czy jak jej tam. Magia nie jest typowa, nosi ślad astralny, syderyczny. Nie każdy potrafi posłużyć się elementem syderycznym... Czemu zgrzytasz zębami, można wiedzieć? Ach... Rozumiem. Przypomniałam. Ów kamrat Reynevana, olbrzym o obliczu przygłupa. Ten, który pod Troskami zmusił cię do ucieczki. Druga plama na honorze. Twierdziłeś...

– Że to astral – dokończył zimno Pomurnik. – Bo to jest astral. Przybysz z astralnej płaszczyzny. Kontrmagia, która nam przeszkadza, może być jego dziełem. Pod Troskami widziałem jego aurę. Nigdy w życiu nie widziałem podobnej.

– Nie ma dwóch jednakowych aur. Nie znajdziesz dwóch par oczu, które identycznie postrzegają tę samą aurę. To się nazywa optyka. Nie czytałeś Witelona?

– Rzecz – wzruszył ramionami Pomurnik – nie w barwie, wielkości i intensywności aury, które rzeczywiście są zmienne i zależne od oka patrzącego. Rzecz w tym, że wszystko, absolutnie wszystko na świecie ma trzy aury. Żywe czy martwe, przyrodzone czy nadprzyrodzone, pochodzące z tego świata czy z zaświatów, wszystko, absolutnie wszystko ma trzy aury. Dwie, zwykle żółta i czerwona, niemal przylegają do obiektu. Trzecia pulsuje wieloma kolorami i jest od obiektu oddalona, tworzy wokół niego sferę.

– To wiedza szkolna.

– Typ, którego zobaczyłem pod Troskami, miał dwie aury. Jedna, połyskliwie złota, przylegała do niego tak, że wyglądał jak odlany z kruszcu posąg. Druga... bo były jedynie dwie... nie była aurą w ścisłym znaczeniu. Jasnobłękitna poświata... Ulokowana... Za plecami. Z tyłu. Jak rozwiany płaszcz, jak tren... Albo...

– Albo skrzydła? – parsknęła neufra. – A mandorli nie było? Albo aureoli? Nimbu nad głową? Nie towarzyszyła zjawisku światłość wiekuista, *lux perpetua*? Bo w takim wypadku mógłby to być archanioł, choćby Gabriel. Nie, Gabriel, pamiętam, był szczupły, raczej drobny i urodziwy, a tamten spod Trosk miał, jak twierdziłeś, gębę kretyna i konstytucję giganta. Ha, może był to więc święty Wawrzyniec? Ten podobien był wołu, tak budową, jak i pomyślunkiem. Upiekli go na żelaznym ruszcie, na węglach, *super carbones vivos*. Pamiętam, piekli, piekli, a on wciąż był krwisty. Zużyli masę *carbones*, nim się dopiekł.

– Kundrie – warknął Pomurnik. – Wiem, że jesteś samotna i nie masz z kim gadać. Ale odpuść sobie anegdoty. Nie chcę anegdot. Chcę konkretów.

Kundrie nastroszyła kolce grzbietowe.

– Czy radę – zasyczała – uznasz za coś konkretnego? Bo radę dla ciebie mam, i owszem. Przed kolosem przygłupem miej się na baczności. Wątpię, by był faktycznie istotą astralną, bytem syderycznym, przypadków wizyt z syderycznej płaszczyzny nie notowano od dziesięcioleci. Ale krążą po tym świecie jeszcze inni, mający aurę podobną tej, którą opisałeś i umiejący posługiwać się elementem gwiezdnym. Równie odwieczni, co my, Longaevi. Równie

groźni, co Nefandi. Wasza Księga zowie ich Czuwającymi, ale oni nie mają nazwy. Niewielu ich zostało. Ale wciąż są. I niebezpiecznie jest zadzierać z nimi.

Pomurnik nie skomentował. Zmrużył tylko oczy, nie dość szybko, by neufra nie zdołała dostrzec ich błysku.

– Wpadnij pojutrze – westchnęła. – Przynieś *aurum*. Spróbujemy nowych zaklęć. Zdobądź świeżą głowę, bo ta już trochę śmierdzi.

– Przyślę z *aurum* pachołka – odrzekł sucho. – Możesz sobie wziąć jego głowę. Nie zależy mi na niej.

●

Msza wielkanocna się skończyła. Prałaci i zakonnicy kroczyli, odziani w białe szaty, środkiem nawy. Śpiew budził echa pod sklepieniem katedry.

Christus resurgens ex mortuis,
iam non moritur:
mors illi ultra non dominabitur,
Quod enim mortuus est peccato,
Mortuus est semel:
Quod autem vivit, vivit Deo.
Alleluia!

Na Wyspie Tumskiej zebrał się chyba cały Wrocław. Na placach przed katedrą i obu kolegiatami ścisk był nieprawdopodobny, tłum napierał na halabardników, czyniących drogę dla idących w procesji biskupa, prałatów, mnichów i kleryków. Procesja szła od katedry do Świętego Idziego, stamtąd do Świętego Krzyża, na kolejne msze.

Surrexit Dominus de sepulcro
qui pro nobis pependit in ligno
Alleluia!

Zakapturzona i pachnąca rozmarynem kobieta chwyciła Grajcarka za rękaw, pociągnęła go pod mur, za przyporę przy kaplicy chrzcielnej.

– Czego chcesz? – warknęła. – Co masz aż tak alarmująco ważnego? Mówiłam, byś nie spotykał się ze mną za dnia. A co dopiero takiego dnia.

Grajcarek obejrzał się, otarł pot z czoła, oblizał wargi. Kobieta obserwowała go uważnie. Szpieg odchrząknął, otworzył usta, znowu je zamknął. I nagle zbladł.

– Aha – domyśliła się błyskawicznie kobieta. – Biskup jednak zapłacił więcej?

Szpieg cofnął się, drgnął, napotykając plecami twardy opór ściany, rozdygotaną ręką spróbował nakreślić w powietrzu magiczny charakter. Kobieta doskoczyła, uderzyła go, krótko, bez rozmachu. Kolanem przyparła do muru.

– Dobry Żyd – zasyczała – nie zdradza. Ty zły Żyd jesteś, Grajcarek.

Błysnął nóż, szpieg zakrztusił się i złapał oburącz za gardło, spomiędzy palców zatętniła krew. Kobieta narzuciła mu płaszcz na głowę, zwaliła na ziemię, sama wpadła w tłum.

– Łapaj! – krzyknął do swych agentów Kuczera von Hunt. – Łaaapaaaj!

W tłumie zakotłowało się.

Advenisti desiderabilis,
quem expectabamus in tenebris...

Wkręcając się w ciżbę jak kret w glebę, jeden z agentów dopadł kobiety, ucapił ją za ramię. Zobaczył żółtozielone oczy. Nie zdążył nawet krzyknąć, nóż błysnął i rozpłatał mu tchawicę i przełyk. Drugi agent zastąpił kobiecie drogę, tłum zafalował i zwarł się dokoła. Agent jęknął, oczy zaszły mu mgłą, nie upadł, został, bezwładny jak kukła, zawieszony w ścisku między niebem a ziemią. Ludzie zaczęli krzyczeć, przeraźliwie piszczała dziewczynka, zesztywniałymi rączkami rozmazując posokę na odświętnej białej sukience. Kuczera von Hunt przedarł się przez tłum, ale zastał już tylko trupy. Rozdeptaną na bruku krew. I nikły zapach rozmarynu.

Alleluia, alleluia!

Procesja rezurekcyjna zbliżała się do kolegiaty świętokrzyskiej.

●

– Panie... – wybełkotał ojciec Felicjan, gnąc się w ukłonach. – Kazaliście, żeby donieść... Jam gotów... Możnali mówić?

– Można.

– To mówię... Jest, uważacie, tak... W Karłowicach targ koński był... Końmi tamój handlowali...

– Składniej – syknął Pomurnik. – Składniej, klecho. Wolniej, wyraźniej i składniej.

– Wasza miłość kazała, coby wyśledzić dziewkę... Ukrywaną. Żeby donieść zaraz... Podsłuchałem u Świętego Wojciecha... Jak inkwizytorscy agenci między sobą gadali... Dzierżka, wdowa po Zbylucie z Szarady, koniarka ze Skałki pod Środą... Na koński targ do Karłowic zjechała. I dziewka z nią była. Niby córka, ale wszyscy wiedzą, że owa Dzierżka córki nie ma nijakiej... No to się huczek podniósł wśród kupców, bo wielu przemyśliwało, jakby się tu z wdówką poswadźbić, wszak w wianie najlepsza stadnina na Śląsku... A tu masz, dziewka nieślubna albo przysposobiona, dziedziczyć gotowa...

– Do rzeczy.

– Na rozkaz. Dziewka ta, owa niby-córka, gadał jeden agent drugiemu, znikąd się wzięła, jakby z nieba spadła, i ninie w Skałce żywie. Tom pomyślał: A nuż to ta dziewka, co jej Bielawa szuka i wasza miłość też? Wiek się zgadza jakby... Bom słyszał, jak gadali... Opisali, jak ta dziewka wygląda...

– Opisali, powiadasz. Powtórz zatem opis. Dokładnie i szczegółowo.

●

Biskup Konrad słuchał. Z pozoru uważnie, ale Pomurnik znał go zbyt dobrze. Biskup był rozkojarzony, być może dlatego, że trzeźwy. Dzielił uwagę pomiędzy Pomurnika, wydzierającą się w damskich komnatach Klaudynę Haunoldównę i dobiegające z podwórca pokrzykiwania Kuczery von Hunta.

– Aha – powiedział wreszcie. – Aha. A więc dziewczyna, która była świadkiem napadu na kolektora i która ten napad przeżyła, żyje nadal. Choć dwukrotnie ją osaczałeś, wymykała się. I teraz, twierdzisz, ukrywa się w Skałce, w dobrach Dzierżki de Wirsing, wdowy po Zbylucie z Szarady.

– I należałoby, uważam, coś w tej sprawie przedsięwziąć.

Konrad podrapał się w ciemię, podłubał w uchu.

– A co tu przedsiębrać? – lekceważąco wydął wargi. – Szkoda czasu i zachodu. Dzierżka de Wirsing prowadzi się przykładnie, z husytami już nie handluje, suto na Kościół łoży. Nie widzę powodów, by ją... A

dziewka? Dziewka jest nikim. Co z niej za świadek? Jeśli nawet zapamiętała coś z tamtych zdarzeń, jeśli nawet zdolna będzie kogoś rozpoznać, kto jej posłucha, kto da wiarę? Wszak wiadomo, że panny różne cudaczne fantasmagorie imaginują, gdy im wapory menstrualne do rozumów uderzają. Nie zaprzątajmy sobie nią głowy. Zapomnijmy o niej. Zapomnijmy w ogóle o przygodzie, która spotkała poborcę podatków. Minęły już niemal cztery lata. Ja już zapomniałem. Wszyscy zapomnieli.

– Nie wszyscy – pokręcił głową Pomurnik. – Fuggerowie, dla przykładu, nie zapomnieli. Niedawno dano mi to do zrozumienia. Wierz mi, ojczulku, będą chcieli dociec prawdy i dobrać się winnym do dupy. Wykorzystają do tego celu wszystko, co da się wykorzystać. Wszystko. Ta dziewczyna może i jest nikim, ale stanowi zagrożenie.

– Cóż... – Biskup splótł palce, pochylił głowę. – Jeśli tak... Zrób więc, co uważasz za stosowne.

– A ty co? – Ptasie oczy Pomurnika błysnęły. – Umywasz ręce jak Piłat? To o twój, przypominam, zad idzie, tyś zrabował podatek, ciebie mogą pogrążyć zeznania dziewczyny. Jeśli decydujesz się na rozwiązanie, nie machaj od niechcenia pastorałem, ale wydaj mi rozkaz. Konkretny i niedwuznaczny.

– Birkarcie – Konrad wytrzymał spojrzenie. – Uważaj. Nie przekrocz granicy.

Długo milczeli obaj, próbując oczami swego hartu. Klaudyna ucichła, także z podwórca nie dobiegały już żadne odgłosy. Wreszcie biskup wyprostował się, rysy mu stwardniały, usta zacięły.

– Z mojego rozkazu – powiedział – uczynisz to, co uczynisz. A to, co będzie uczynione, my, biskup Wrocławia, *volumus et contentamur*, akceptujemy i uznajemy za zgodne z naszą wolą. I pełną na się za to bierzemy odpowiedzialność. Wystarczy?

– Teraz w zupełności.

●

Wielki zegar miejski, wiszący na wieży wrocławskiego ratusza od czasów biskupa Przecława z Pogorzeli, wśród zgrzytów trybów i pojękiwania sprężyn obwieścił nagle metalicznym biciem dziewiątą godzinę dnia. Teraz, w końcu marca, oznaczało to, że do zachodu słońca i *ignitegium* pozostawało około trzech godzin.

Douce von Pack stała w oknie, całkiem naga, obrócona plecami do Pomurnika, wsparta o framugę jak kariatyda. Pomurnik nie mógł oderwać wzroku. Mógłby tak na nią patrzeć godzinami.

– Podejdź tu – odezwał się. – Proszę.

Usłuchała.

– Mówiłaś – powiedział wolno – że pragniesz robić to, co ja. U mego boku. Nadal tego chcesz? Nie zmieniłaś zdania? Jesteś na to gotowa?

Kiwnęła głową. Wolno.

– Jeśli zaczniesz, nie będzie odwrotu. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Znowu kiwnięcie. Pomurnik wstał.

– Włóż to.

Po chwili stała już przed nim w czarnym pikowanym aketonie, nogawicach i wysokich butach. Pomógł jej założyć i zapiąć płyty napierśnika, naplecznik, gorget, naramienniki, awanbrasy, resztę blach. Czarną opaskę na włosy. Czarny płaszcz z kapturem.

– Miecz?

– Wolę oszczep.

– Wypij to. Do dna. Powtarzaj za mną: *Adsumus, Domine, adsumus peccati quidem immanitate detenti...*

– Przybądź do nas, pozostań z nami, zechciej przeniknąć nasze serca...

– Amen. Idziemy.

– Co to było... To, co wypiłam?

– Narkotyk.

– Niezbyt to smaczne.

– Przywykniesz. Idziemy. Aha. Jeszcze jedno. Powiedz mi...

Uniosła głowę. I oczy. Koloru toni górskiego jeziora. Piękne. Urzekające. I absolutnie nieludzkie.

– Jak ty – spytał Pomurnik z ociąganiem – właściwie masz na imię?

●

Dzierżka de Wirsing nie wiedziała, co ją zbudziło. Nie było to szczekanie psów, psy, niepokojone być może przez podkradającego się leśnego zwierza, szczekały w Skałce całą noc, ich szczek tylko z początku przeszkadzał w zaśnięciu, potem spowszedniał i stracił swój alarmujący charakter, stał się dla ucha czymś zwyczajnym. Prawdopodobnie była to więc mara, straszny koszmar senny, który sprawił, że Dzierżka nagle gwałtownie poderwała się, usiadła na łożu,

spięta, przytomna i gotowa do akcji. Pewna, że oto właśnie stało się to, czego obawiała się przez całe ostatnie cztery lata.

Psy nie szczekały.

– Elencza! Zbudź się! I ubieraj!

– Co się stało?

– Wstawaj! Żywo!

Dzwoniąca w uszach nienaturalna cisza pękła nagle, rozpruta przez dobiegający z podwórza krzyk mordowanego. Krzykowi prawie natychmiast zawtórowały inne, w mgnieniu oka cały skałecki folwark rozbrzmiał wrzaskami i tętentem. A w okiennych błonach zamigotał ogień.

– Elencza! Tu! Tędy!

Dzierżka przesunęła skrzynię, zdarła ze ściany żubrzą skórę, otworzyła ukryte za nią drzwiczki. Zza drzwiczek powiało stęchlizną i chłodem.

– Pani Dzierżko!

– Prędko, nie ma czasu! Przechód doprowadzi cię nad strumień. Ukryj się tam, nie wychodź, dopóki... Dopóki wszystko się nie skończy. Żywo, dziewczyno!

– A ty? Nie zostawię cię!

– Do przechodu! Natychmiast! Nie waż się być nieposłuszną! Idź, dziecko, idź...

Zamknęła drzwiczki, zamaskowała je skórą i skrzynią. Zerwała ze ściany w sieni rohatynę. I wypadła na podwórze.

Nie zdążyła zobaczyć nic poza migotaniną sypiących iskrami pochodni. Na samym progu staranował ją rozpędzony koń, runęła na ziemię z dławiącym oddech impetem. Podkute kopyta tłukły o grunt tuż obok niej, groziły zmiażdżeniem. Nie miała siły się poruszyć. Ktoś chwycił ją, powlókł. Poznała. Sobek Snorbein.

– Pani... Ratujcie się...

Więcej Sobek Snorbein powiedzieć nie zdołał. Stęknął, padł na kolana, z ust buchnęła mu krew. Dzierżka zobaczyła grot oszczepu, wyzierający mu z piersi. Obok przemknął konny, niewyraźny jak czarny nocny ptak, usłyszała złośliwy dziewczęcy chichot. I okrzyk.

– *Adsumus! Adsumuuus!*

Dookoła znowu załomotały kopyta, zaroiło się od jeźdźców. Czarnych Jeźdźców.

– *Adsumuuus!*

Wprost na nią, wyciągając ręce, biegła kobieta w koszuli. Na oczach Dzierżki Czarny Jeździec rozwalił jej głowę ciosem miecza. Dzierżka zerwała się, ale znowu najechano ją, obalono. Poderwał ją arkan, ręce w żelaznych rękawicach. Zawisła między dwoma końmi. Trzeci naparł na nią.

– Gdzie jest dziewczyna?

Dzierżka splunęła. Coś świsnęło, w oczach rozbłysło. Skurczyła się z bólu.

– Gdzie jest dziewczyna?

Bicz znowu spadł, smagnął. Zawyła. Jej krzyk mieszał się z innymi, dobiegającymi od stajni i stodół.

– Gdzie jest dziewczyna?

– Nie dostaniecie jej... Nie ma jej tu... Jest daleko.

Czarny Jeździec nachylił się ku niej z siodła. Zobaczyła jego oczy. Ptasie i złe.

– Twoich pachołków, koniuchów, dziewki i dzieciaki – powiedział – kazałem zamknąć w stajni. Spalę ich tam, upiekę razem ze wszystkimi twoimi końmi. Jeśli nie powiesz, gdzie jest dziewczyna, wszystkich usmażę żywcem.

– Nie dostaniesz jej – powtórzyła, wypluwając krew płynącą z przeciętych biczem warg. – Nigdy jej nie znajdziesz i nigdy nie zdołasz skrzywdzić.

Jeździec odwrócił się, wydał rozkaz. Wnet noc eksplodowała gorącym podmuchem, pojaśniała czerwonym blaskiem wielkiego ognia. I potwornym krzykiem, głosem, którego nie był w stanie zgłuszyć ryk pożaru. Kwikiem żywcem płonących zwierząt. I ludzi.

Boże, wybacz mi, powtarzała w myśli Dzierżka, kuląc głowę w ramiona pod uderzeniami bata. Boże, wybacz grzech. Ale oni zabiliby Elenczę... A ludzi i konie spaliliby i tak...

Ogień bił aż pod niebo. Zrobiło się jasno jak w dzień. Ale Dzierżka nie widziała nic. Była jak ślepa.

Obalono ją na ziemię. Rzemieniem spętano nogi w kostkach. Koń zarżał, zatupał, rzemień się napiął, poczuła szarpnięcie, poszorowała po ziemi.

– Masz ostatnią szansę, koniarko – dobiegł skądś z góry zły głos Czarnego Jeźdźca. – Powiesz, gdzie jest dziewczyna, a podaruję ci

szybką śmierć.

Dzierżka zacisnęła zęby. Zaraz będę znowu z tobą, Zbylut, pomyślała szybko. Trochę pocierpię, nic to, wytrzymam. I będę znów u twego boku.

Ktoś krzyknął, ktoś gwizdnął, koń runął w cwał. Świat w oczach Dzierżki zmienił się w długą ognistą linię. Żwir ciął skórę jak raszpla.

Po trzecim nawrocie straciła przytomność.

●

– Będzie żyć – stwierdził sucho wezwany ze Środy zakonnik, infirmierz z klasztoru Braci Mniejszych. – Przeżyje, jeśli Bóg pozwoli... Nowa skóra z czasem rany pokryje. Pozrastają się i wydobrzeją, da Bóg, kości i stawy...

– Chodzić wydoli? – spytał, gryząc wąs, rycerz Tristram Rachenau, pan na Bukowie. Jego syn, Parsifal, wyglądał mu zza pleców.

– Konno jeździć zdoła? Toć ona koniarka, z koni żyje. Zdoła na kulbakę?

Franciszkanin pokręcił głową, spojrzał na Elenczę.

– Nie wiem... – zająknął się. – Może. Może kiedyś, z łaską boską... Strasznie jest zmasakrowana... Szczęście to, szlachetny panie, żeście z drużyną w czas z pomocą przyskakali, tamtych przepłoszyli. Inaczej...

– Somsiedzka pomoc, zwykła rzecz – odburknął Tristram Rachenau. – Takoż, jasna sprawa, tu, u mnie, w stanicy, niechaj leży i się kuruje. Póki nie ozdrowieje, na nogi nie stanie, a jej ludzie Skałki nie odbudują. Ha, cud to, że się z tej stajni wyłamali, inaczej wszyscy by tam zgorzeli, żywa noga by nie uszła. I koni większość uciec z pożaru zdołała... Na honor, cud to, cud prawdziwy.

– Bóg tak chciał. – Franciszkanin przeżegnał się. – I ja tu ostanę, panie rycerzu, jeśli zezwolicie. Mus teraz nieustawnie chorej doglądać, opatrunki zmieniać... Panienka mi pomoże. Panienko?

Elencza uniosła głowę, otarła przegubem opuchnięte od płaczu powieki.

– Pomogę.

Dzierżka de Wirsing poruszyła się na łożu, głucho jęknęła spod bandaży.

●

Był trzydziesty marca Anno Domini 1429.

Rozdział jedenasty

w którym wracamy na Morawę, do miasta i na zamek Odry, gdzie polskie poselstwo proponuje usunąć przeszkodę w zacieśnieniu bratnich związków z Czechami, a Reynevan dowiaduje się tego i owego o polityce.

Był piąty kwietnia, gdy dotarli do Odr.

Incydent ze zbiegłym Schillingiem sprawił, iż niepokoili się o los Horna, już w drodze postanowili jechać na Sowiniec. Ale nie musieli. Pierwszą osobą, którą spotkali na zamkowym dziedzińcu, był Urban Horn właśnie.

Gdy ich zobaczył, twarz mu pociemniała, a oczy zapłonęły. Nie uczynił jednak najmniejszego gestu, stał spokojnie i nieruchomo. Może dlatego, że ruchy mocno ograniczały mu grubo obandażowana szyja i podtrzymywana temblakiem lewa ręka. I że ich było trzech, a on jeden.

– Witaj – zaczął banalnie Reynevan. – Jak się masz?

– Tak, jak wyglądam.

– Ojej.

– Zostawiliśmy cię – Szarlej ledwie dostrzegalnie mrugnął do Reynevana i Samsona – mimo wszystko w lepszym stanie. Kto cię tak urządził?

Horn zaklął, splunął i spojrzał na nich spode łba.

– Schilling – zacisnął zęby. – Zaskoczył mnie, drań. Uciekł z Sowińca.

– Uciekł, ajajaj. – Szarlej przesadnie załamał ręce. – Słyszysz, Reinmarze? Samsonie? Schilling uciekł! To niedobrze, bardzo niedobrze. Lecz z drugiej strony dobrze.

– Co? – warknął Horn. – Co dobrze?

– Że uciekł niedaleko – wypalił Reynevan. – Spotkaliśmy się. A tu obecny Szarlej, ten, który właśnie szczerzy zęby, pociął go swym szabliskiem na dzwonka, jak szczupaka. Świat wypiękniał, gdy jednego łotra na nim mniej. No, Horn, bez urazy, zostawmy swary. Proponuję, byś się rozchmurzył i uścisnął nam prawice. Co?

Urban Horn pokręcił głową.

– Z diabłem w zmowie chyba jesteście, cała wasza cholerna trójca. Diabła macie za skórą, każdy jeden z was. Lepiej, zaraza, być z wami, niż odwrotnie. Bez urazy. A za łotra Schillinga dzięki wielkie. Daj rękę, Szarleju. Reinmarze... Auu, Samsonie! Bez uścisków, cholera, bez uścisków! Szwy mi się rozejdą!

●

Prokop Goły przyjął Reynevana na stojąco. Sam stał i siadać nie prosił.

– Ty – zaczął obcesowo – zdaje się, czegoś oczekujesz? Czego? Wyrazów wdzięczności za nieoceniony wkład w misję na Śląsku? Niniejszym wyrażam ci te wyrazy i zapewniam, że zasługi twe nie będą zapomniane. Wystarczy? Czy może czekasz na akt skruchy z tytułu wystawienia cię na próbę wierności i poddania testowi na lojalność? Nie doczekasz się takiego aktu. Odwet zresztą, jak słyszę, wzięliście już za to na Biedrzychu, aż dziw, że wam to odpuścił. Czy jest jeszcze coś, czego wymienić zapomniałem? Mów prędko, nie mam czasu, polscy posłowie czekają.

– Moi przyjaciele chcą opuścić Odry, pragną odwiedzić bliskich. Mogą to zrobić bez przeszkód?

– Szarlej i głupek? Mogą robić, co chcą. Zawsze mogli.

– A ja?

Prokop odwrócił wzrok. Długo patrzył na chmury za oknem.

– Ty też.

– Dziękuję, hejtmanie. Tu, proszę, jest *decoctum*. Sporządziłem cały flakon, na zapas... Gdyby bóle wróciły...

– Dzięki, Reynevan. Jedź, szukaj tej twojej panny. A nim się pożegnamy, jeszcze jedna rzecz. Jedno pytanie. Proszę, byś udzielił na nie szczerej odpowiedzi.

– Pytaj.

Prokop Goły wolno odwrócił ku niemu głowę. Jego oczy kłuły jak sztylety.

– Czy to ty wsypałeś Domarasca w Opolu? Czy za twoją sprawą wpadł? Ty go zdradziłeś?

– Nie zdradziłem nikogo. A owego Domarasca w szczególności. Nie mam pojęcia, kto to jest. Nie znam nikogo tego miana.

– Oczekiwałem takiej odpowiedzi. – Oczy Prokopa nie zmieniły wyrazu. – Właśnie takiej. Ale gdyby czystym trafem było inaczej, wtedy...

Wtedy nie wracaj, Reynevan. Zamiast wracać, uciekaj, rzuć wszystko i uciekaj. Bo Domarasca ci nie daruję. Gdyby się okazało, że to ty, że to przez ciebie, zabiję cię. Własnymi rękami. Nic nie mów. Idź już. Bywaj z Panem Bogiem.

●

Pożegnali się za Bramą Górną. Wiał ostry wiatr od Odry, przenikał chłodem do szpiku kości. Reynevan schował uszy w futrzany kołnierz.

– Jedź z nami. – Szarlej ściągnął wodze karoszowi. – Jedź tak, jak stoisz. Nie rozumiem, co cię tu jeszcze trzyma. Do diabła, chłopcze, mam wyrzuty. I niespokojne sumienie. Nie powinienem cię zostawiać.

– Wkrótce zjawię się w Rapotinie – skłamał. – Będę lada dzień. Tymczasem pozdrów panią Blażenę. Ukłony dla Markety, Samsonie. Uściskaj ją ode mnie.

– Ma się rozumieć – uśmiechnął się smutno olbrzym. – Ma się rozumieć. Czekamy na ciebie, Reinmarze. Tymczasem bywaj i...

– Tak?

– Nie daj sobą manipulować. Nie pozwól, by cię wykorzystywano.

●

– Nie zaprosili mnie na naradę. – Korybutowicz miał głos spokojny, ale widać było, że wewnątrz aż gotował się ze złości.

– Nie zaprosili mnie – powtórzył. – A z poselstwa polskiego nikt nawet nie przekazał mi uszanowań. Jakby mnie tu w ogóle nie było! Jakby o mnie nie wiedziano! Jestem, do czarta, synowcem ich monarchy! Jestem kniaziem!

– Mości książę... – Reynevan odchrząknął, a potem jął recytować to, co kazał mu wyrecytować Biedrzych ze Strażnicy.

– Racz zrozumieć delikatną sytuację. Król Jagiełło całemu chrześcijańskiemu światu ogłosił, że jesteś w Czechach bez jego wiedzy, udziału i wręcz wbrew woli. W Polsce jesteś wyklęty i obłożony banicją. Dziwisz się, że oficjalnemu polskiemu poselstwu nijak się z tobą znosić? Byłaby to woda na młyn Luksemburczyka, nowy pretekst do krzyżackich oszczerstw. Znowu by krzyczano, że Jagiełło husytów wspiera, czynnie i zbrojnie. Wiesz wszak, książę, że solą w oku jesteś Luksemburczykowi, ty i twoje rycerstwo. On wie, jaką jesteś potęgą. I zwyczajnie się ciebie boi.

Twarz Zygmunta Korybuta pojaśniała, przez moment zdawało się, że pęknie, że pycha go rozsadzi. Reynevan kontynuował wyuczoną lekcję.

– Choć na naradę cię nie zaprosili, niezawodnie była o tobie mowa. Ze Śląska wracam, z misji, tedy wiem, że na tobie, książę, na twojej sile wszystkie plany są oparte, a plany to wielkie. Nie zapomina się w tych planach o twoich zasługach, będą one nagrodzone.

– Jeszcze by nie – parsknął kniaź. – Jak myślisz, dlaczego się w Czechach znalazłem i to na przekór Jogajle? Było w Polsce stronnictwo, które chciało wyzyskać swary z Luksemburczykiem dla sposobności odepchnięcia Niemczyzny od ziem słowiańskich. Stronnictwo istnieje i rośnie w siłę, kto, jak sądzisz, właśnie do Odr zjechał? O planach aneksji Górnego Śląska wiem od dawna. I wesprę te plany. Jeśli coś z tego będę miał, rzecz jasna, jeśli dadzą mi to, czego chcę. Jeśli wykroją mi z Górnego Śląska królestwo. Reynevan? Dadzą mi to, czego chcę? O czym radzili? Co postanowili?

– Przeceniasz mnie, książę. Takiej wiedzy nie mam.

– Czyżby? Reynevan, ja potrafię się odwdzięczyć. Nie gardź wdzięcznością, gdy twoja panna wciąż w niewoli. Dowiedz się, o czym Prokop z Polakami uradzał, a ja ci pomogę w jej oswobodzeniu. Mam pod rozkazami ludzi, którzy diabła z piekła wykraść zdolni. Dam ci ich na usługi. Jeśli ty przysłużysz się mnie. Dowiedz się, o czym Polacy z Prokopem uradzali i co uradzili. Mus mi to wiedzieć.

– Postaram się.

Korybut milczał, gryząc wargi.

– Mus mi to wiedzieć – powtórzył wreszcie. – Bo może być, że ja tu na próżno... Że tylko życie tu marnuję.

●

Reynevan zastękał i syknął, macając udo. Urban Horn parsknął.

– Ja zacięty i ty zacięty – przemówił. – I tym razem nie przy goleniu. Jak to ty wtedy powiedziałeś? Głębsze naruszenie tkanki? No to naruszył nam, psia jego mać, ten drań tkankę, porżnął nas żelazem, ciebie nożem, mnie kawałem blachy oderwanym z drzwi. Mimo to obaj żyjemy. Rozumiesz? Mamy pewność, że nie otruto nas Perferro, że nie mamy tej diabelskiej trucizny we krwi. Pocieszająca wiedza, nie uważasz?

– Uważam. Horn?

– Tak?

– To polskie poselstwo... Wiesz, kto w nim jest?

– Przewodzi podkomorzy krakowski, Piotr Szafraniec herbu Starykoń, pan na Pieszkowej Skale. Pan Piotr i jego brat Jan, od niedawna biskup kujawski, to zdeklarowani wrogowie Luksemburczyka i wszelkich z nim układów, dlatego przychylni są husytom. Z Szafrańcem przybył Władysław z Oporowa, prepozyt łęczycki, podkanclerzy koronny, zaufany Jagiełły. Obu młodszych już poznałeś. Mikołaj Kornicz Siestrzeniec, burgrabia będziński, jest człowiekiem Szafrańców. Wojewodzic krakowski Spytek to potomek sławnych Leliwów Melsztyńskich. Mało o nim dotąd słyszałem. Ale pewien jestem, że jeszcze usłyszę.

– Jak myślisz, o czym tam na zamku radzono? Z czym Polacy przyjechali do Prokopa?

– Nie domyśliłeś się? – Horn zmierzył go spojrzeniem. – Jeszcze się nie domyśliłeś?

●

Prokop, jako gospodarz, powitał gości. Podkomorzy krakowski Piotr Szafraniec wygłosił mowę powitalną, krótką, bo męczyła go zadyszka i szósty krzyżyk na karku. Prokop słuchał, ale widać było, że jednym uchem.

– Wpierw – ogłosił niecierpliwie – ustalmy, kogo reprezentujecie? Króla Jagiełłę?

– Reprezentujemy... – Szafraniec odchrząknął. – Reprezentujemy Polskę.

– Aha – Prokop spojrzał nań bystro. – Znaczy, reprezentujecie siebie.

Szafraniec żachnął się lekko, byłby może coś powiedział, ubiegł go Władysław z Oporowa, podkanclerzy koronny, rektor wszechnicy krakowskiej.

– Reprezentujemy – rzekł z naciskiem – stronnictwo, któremu przyszłość Polski na sercu leży. A że przyszłość Polski ściśle się w mniemaniu naszym z przyszłością Czech wiąże, radzibyśmy związki nasze zacieśniać. Radzibyśmy Królestwo Czeskie w pokoju widzieć, w pojednaniu, nie zaś w zamęcie i wojennej pożodze. Pragniemy, by zgoda zapanowała i *pax sancta*. Po temu i nasze pośrednictwo oferujemy w układach między Czechami a Apostolską Stolicą. Albowiem...

– Albowiem Jagiełło nad grobem stoi – przerwał mu Prokop spokojnym głosem. – Zgrzybiały jest i zniedołężniały. Rad by pozostawić po sobie jagiellońską dynastię, zapewnić synom dziedziczny tron na Wawelu. A szlachta bruździ, nie w smak jej te zamysły. Do tego unia z Litwą zagrożona, Witoldowi zachciało się korony, którą mu Luksemburczyk snębi i ręce aż z uciechy zaciera, jak mu się pięknie rzecz uknuła. Zachęcony przykładem, może wpaść na coś karkołomnie głupiego Świdrygiełło. Papież tymczasem nawołuje, by na husytów nareszcie z krucjatą ruszyć. A Krzyżacy tylko na to czekają. Czy jest coś, czego zapomniałem wymienić, księże podkanclerzy koronny?

– Raczej nie – tym razem podkanclerzego ubiegł w odpowiedzi Szafraniec. – Wymieniliście wszystko, hetmanie. W szczególności ów Łuck i ów niewydarzony pomysł z koroną dla Witolda.

– Który to pomysł – wpadł mu w słowo Mikołaj Siestrzeniec – nader się dla was, Czechów, korzystnym okazać może. Król Jagiełło mało że papieża nie posłucha i zbrojnie z krucjatą przeciw Czechom nie wystąpi, on o przymierzu z wami myśli. Rozsierdził go Łuck, pali się, by Luksemburczykowi dokuczyć, odpłacić pięknym za nadobne. Zamyśla, wiem to, by wespół z wami, husytami, na Krzyżaków uderzyć. Ha, na mą duszę! W przymierzu i sojuszu Lech i Czech, bracia Słowianie, ramię w ramię w bój, na Teutonów plemię wraże. Nie chciałoby się z wozami na Pomorze, hetmanie? Nad Bałtyk? Do Gdańska?

– Choćby dziś – zaśmiał się Dobko Puchała, a Jan Pardus zatarł dłonie i wyszczerzył zęby. Prokop uciszył ich spojrzeniem.

– Bałtyk daleko – rzekł sucho. – Długo by wozom jechać. I to przez nieprzyjazny kraj, przez klechów rządzony. Kto nas w Polsce pożywi, kęsek chleba da, wody koniom, obroku? Jeśli za to klątwa, infamia lub stos? Wdzięcznym wam, burgrabio, iż mi zamysły króla polskiego powiadacie. Wżdy myślę: wystarczy, aby Jagielle mocy, by na przekór klechom one zamysły urzeczywistnić? Wystarczy mu aby na to czasu? Nim go Bóg przed siebie powoła? Ostawcie Bałtyk i Gdańsk, panowie Polacy. O bliższej geografii gadajmy.

– Słusznie – kiwnął głową Piotr Szafraniec. – Co powiedzielibyście na bardzo bliską? Przez miedzę wręcz? Prawda to, że unia z Litwą zagrożona, nie stanie Jagiełły, koniec może być z unią. Może by więc, póki czas, o nowej unii pomyśleć? Wszak my słowiańskie ludy, z jednego pnia wyrosłe.

– Dobrze słyszę? Proponujecie unię? Polski i Czech?

– Cóż was tak dziwi? Sami oferowaliście królowi Jagielle czeską koronę. Kilka razy.

– I za każdym razem odmawiał. Powody, rzecz jasna, rozumieliśmy. Ale Czesi nie zaakceptują króla, który nie zaprzysięgnie czterech artykułów praskich i nie zagwarantuje swobody wyznania.

Szafraniec wyprostował się.

– Zjednoczone unią Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie – przemówił dumnie – to potęga sięgająca od Bałtyku po Krym. To siła, która w puch i proch rozbiła pod Grunwaldem butny Zakon Krzyżacki. To siła, która w szachu dzierży dzikich Tamerlanów, Mechmetów i innych synów Beliala. A wszak tak potężny twór to zarazem unia dwóch kościołów, łacińskiego i greckiego, wewnątrz tak potężnego tworu są wszak różnice w dogmatach wiary: kwestia *filioque*, chleb komunii, sakramenty, bezżenność kapłanów i inne dyferencje. Korona Polska wiernie przy rzymskiej wierze stoi, ale mają wszak Litwa i Ruś pełne prawo wyznawania swej religii, jest całkowita równość obu obrządków. Równe są prawa dla wszystkich ziem królestwa, nie ma różnic między szlachtą ruską a polską...

– Komu wy – Prokop uniósł głowę, podkręcił wąs – oczy mydlicie, panie Piotrze? Mnie czy sobie samemu? Może chcielibyście, by tak było, ale nie jest. Wielkie słowa o równości i tolerancji pięknie brzmią w krakowskich aulach, głoszone przez doktorów. Ale na zewnątrz mów tych jakoś nie słychać, głuszą je ściany Akademii. Za uniwersyteckimi murami kończy się teoria, zaczyna praktyka. Polska praktyka, czyli Kościół rzymski. A dla rzymskiego Kościoła kim są prawosławni? Pogańską sektą, schizmatykami i heretykami, którzy opuścili prawdziwą owczarnię zarażeni haniebnymi błędami i występkami. Ludzie pokroju waszego Oleśnickiego głośno mówią o inkorporacji Litwy i Rusi do Korony, choćby gwałtem, a to właśnie z tytułu niższości Rusinów i ich wiary. Takaż to unia? Gdzie się siłą wciela?

– Gdzie gwarancja, że w unii z Polską nas, Czechów przyjmujących z Kielicha, nie będziecie traktować tak samo? Że nie będziecie chcieć nas przemocą nawracać, rebabtyzować, opresją i gwałtem przywracać na łono? Gdzie gwarancja, że nie będziecie chcieli przerobić Czechów na modłę ruską, metodą rozbratu, dzieląc na złych schizmatyków i dobrych unitów? Na wiernych, dla których szacunek, dostojeństwa i przywileje, i

na odstępców, dla których wzgarda, dyskryminacja, ucisk i prześladowania? Co? Panie podkomorzy? Odpowiedzcie!

– Nie wszystko – milczącego Szafrańca wyręczył w odpowiedzi Spytek – jest u nas idealne, tu słuszność macie, panie Prokopie. My takoż to widzimy. I o zmianach zamyślamy. Zaręczam wam, że zamyślamy.

– Jasne, że zamyślacie – ruszył wąsem Prokop. – Teraz, gdy Świdrygiełło głowę podniósł, a popiera go, prócz Krzyżaków, także ruskie prawosławie. Dostanie więc prawosławny Rusin, być może, garsteczkę przywilejów, byleby za Świdrygiełłą nie stanął. Póki potrzebny, oczy mu się tolerancją zamydli. A potem zrobi się z nim to, co Rzym nakaże.

– *Roma est caput et magistra* wszystkich wierzących w Boga chrześcijan – rzekł Władysław z Oporowa. – Ojciec Święty w Rzymie to namiestnik Piotrowy. Czy się komu to podoba, czy nie. Nie można wchodzić w otwarty konflikt...

– Można – przerwał mu Prokop. – Jeszcze jak można. Skończcie z tym, księże. Gdybym chciał tego słuchać, pojechałbym do Krakowa. Tam wy byście mnie nawracali, a Oleśnicki tymczasem zakazałby w mieście nabożeństw i interdyktem straszył. Ale nie jesteśmy w Krakowie, jesteśmy na Odrach. Znaczy, ja jestem u siebie, a wy tu z poselstwem. Którego treści wciąż nie poznałem, choć czasu zmitrężyliśmy sporo.

Na czas jakiś zapadła cisza. Przerwał ją, kaszlnąwszy wpierw kilkakroć, Piotr Szafraniec.

– Nie będziemy tedy marnować waszego czasu, mości Prokop. Nie przyjechaliśmy tu, by was nawracać. Ani do unii z Polską Czechów nakłaniać, bo choć taka unia dobrą mi się zda rzeczą, może za wcześnie jeszcze o niej mówić. Bo na konflikt z Rzymem Polska pozwolić sobie nie może, zaraz by nas znowu Krzyżacy poganami okrzyknęli. Jako Polacy i wierni poddani króla Władysława Jagiełły, dobro Polski musim mieć na względzie.

– Do rzeczy przejdźcie.

– Zacieśnienie kontaktów ze słowiańskimi Czechami to rzecz dla Polski dobra. Co jest przeszkodą w zacieśnieniu? Co porozumieniu przeszkadza, co na drodze leży, co niczym wbity klin żelazny kraje nasze rozdziela? To Górny Śląsk. Usuńmy tę przeszkodę, hetmanie Prokop. Usuńmy ją raz na zawsze.

●

– Pojmujesz, Reinmarze? – Palcem zamoczonym w piwie Urban Horn szybko nakreślił na blacie stołu schematyczną mapę dorzecza górnej Odry. – Śląsk Górny połączony z Małopolską to Królestwo Polskie złączone z Czeskim. Górny Śląsk w ręku Taboru i Polski, obsadzony przez husytów, pod formalną władzą Korybutowicza, Bolka Wołoszka i innych ciążących ku Polsce hercogów. Cieszyn, Pszczyna, Rybnik, Zator, Oświęcim, Gliwice, Bytom, Siewierz, Opole, Kluczbork, Wołczyn, Byczyna, Namysłów. Z Królestwem Polskim ponad sześćdziesiąt mil wspólnej granicy. Husyckie placówki niecałe czterdzieści mil od ziem Zakonu, dla Taboru z wozami bojowymi zaledwie sześć dni marszu, a Tabor i Sierotki aż palą się z ochoty, by dobrać się Krzyżakom do skóry. I kto się sprzeciwi aneksji, kto będzie protestował? Luksemburczyk? Górny Śląsk to prawnie ziemie czeskie, a Czesi Luksemburczyka królem nie uznają. Papież? Jagiełło oświadczy, że Śląsk opanował warchoł Korybutowicz bez jego wiedzy i zgody, *sine sciencia et voluntate*, a polskie wojska zajęły pograniczne śląskie twierdze jedynie celem utworzenia kordonu przed rozprzestrzenieniem się herezji.

– Kto uwierzy w takie koszałki-opałki? W takie dyrdymały?

– To polityka, Reinmarze. Polityka ma dwa alternatywne cele: jednym jest porozumienie, drugim konflikt. Porozumienie osiąga się, gdy jedna ze stron udaje, że wierzy w dyrdymały opowiadane przez drugą.

– Pojmuję.

– Czas, byśmy opuścili Odry. Jadę na Sowiniec, potem w dalszą drogę. Ucieczka Schillinga skomplikowała mi plany, teraz dodatkowo Prokop śle z misją, w drogę daleką i długą. Tobie zaś, Lancelocie, z pewnością pilno do będącej w kłopotach Ginewry. Chyba że się coś zmieniło?

– Nic się nie zmieniło, nadal mi pilno. Ale jedź sam. Ja muszę tu jeszcze zostać.

●

Przy ulicy Pasowej, przytulony do miejskiego muru, stał ponury kamienny budynek, mieszczący miejską szatławę, katownię i dom oprawcy. Miejsce roztaczało złowrogą aurę na całą najbliższą okolicę, kto mógł, unikał go, wyniosły się stąd handel i rzemiosło. Został jedynie browar, któremu, jeśli dobrze warzył, żadna lokalizacja nie mogła

zaszkodzić. Została też, co dziwne, piwniczna gospoda, do której wiodły strome schody. Gospodę, nie bojąc się skojarzeń, właściciel nazwał „U Kata".

Schody wiodły głęboko, do sklepionych piwnic. Tylko w jednej, najdalszej, ucztowano. Reynevan zbliżył się do ucztujących. Trochę potrwało, nim go zauważono. I przywitano głuchą ciszą.

– To Reynevan – ogłosił wreszcie Adam Wejdnar herbu Rawicz. – Medyk z Pragi. On sam! Bóg pomagaj, eskulapie! Wejdź, zapraszamy. Znasz wszystkich, prawda?

Reynevan znał prawie wszystkich. Jan Kuropatwa z Łańcuchowa herbu Szreniawa i Jakub Nadobny z Rogowa herbu Działosza, z którymi całkiem niedawno przyszło mu dzielić uwięzienie, pozdrowili go uniesieniem rąk, podobnie uczynił znany Reynevanowi z czasów praskich Jerzy Skirmunt herbu Odrowąż. Siedzący obok Skirmunta Błażej Poraj Jakubowski znał Reynevana, ale jakoś nie kwapił się z tym zdradzać. Pozostali, wyjadający kaszę z misek i pozornie tylko kaszą zajęci, nie byli mu znani.

Znany był mu natomiast herszt całej *comitivy*, szpakowaty mężczyzna z twarzą ogorzałą i poznaczoną dziobami po ospie. Zapamiętany z czasów ubiegłorocznej śląskiej rejzy Fedor z Ostroga, starościc łucki, ruski kniaź i watażka, najemnik w służbie husyckiej. Ten nie spuszczał z Reynevana czarnych oczek, których złowrogiej przenikliwości nie zdołał skryć ani stłumić półmrok izby i snujący się dym.

– Ci dwaj przy kaszy – przedstawiał dalej Wejdnar – to pan Jan Tłuczymost herbu Bończa. I Daniło Drozd, z bojarów putnych. Siednij se, Reynevan.

– Postoję. – Reynevan zdecydował się na oficjalny ton. – Bo też i dużo czasu nie mam. Książę Zygmunt Korybutowicz, w którego służbach panowie pozostają, prosił mnie, bym nawiązał kontakt. Oddałem, trzeba panom wiedzieć, księciu niejakie usługi, przyrzekł mi za to *auxilium* w pewnych impedymentach, jakie pojawiły się na mej drodze. Jak rozumiem, panowie macie być owym *auxilium*? To wy macie mi być pomocni?

Zapadła długa i raczej przygnębiająca cisza.

– Nu i masz tobie – przemówił wreszcie Fedor z Ostroga. – Ot, popadł nam Niemiec wyszczekany, szczob trastia joho maty mordowała. Znaj ty... Nu, zapomniał ja, jak zwać?

– Reynevan – podpowiedział Kuropatwa.

– Znaj ty, Reynevan, czort z twoim ksylium czy konsylium, ostaw ich dla pedymentów czy inszych sodomitów, myśwa chłopy są normalne i brzydzimy się tych mód francuskich. Nie chcesz siadać, to stój, furda mi, stoisz czy siedzisz. Ty nam rzekaj, co tobie rzec kazali.

– Niby co?

– *Herrgott!* Nam Korybutowicz mówił, ty wiesz, kiedy i kędy tu na Odry hroszi powiozą, wełykie hroszi. Z Polski czy ze Śląska. Nam kniaź rzekał, ty nam drogę powiesz, co nią owe hroszi wieźć będą.

– Książę Zygmunt – odrzekł wolno Reynevan – słowem nie wspomniał o żadnych wiezionych pieniądzach. A gdyby nawet i uronił o tym słowo, to bym go panom z pewnością nie powtórzył. Wydaje mi się, że zachodzi nieporozumienie. Powtarzam, książę przyrzekł mi wasze usługi...

– Usługi? – przerwał Fedor. – Usługiwać? Czortu w żopu! Jam kniaź, jam pan na Ostrogu! Tfu! *Baszom az anyát!* Korybutowicz mi rozkazywać ne bude! Wielki mi szysz, Korybutowicz, książę z łaski czeskiej malowany!

– Rozumiem. – Reynevan uniósł głowę, spojrzał hardo. – Bo też i jasno było powiedziane. Wobec tego żegnam szanowną kompanię.

– Czekaj – Jan Kuropatwa uniósł się zza stołu. – Czekaj, Reynevan, po co ta gorączka? Pogawędźmy. Mówiłeś, pomoc ci potrzebna. Dyć my nie od tego, by tobie pomóc, jeśli i ty nam pomoc okażesz, w naszej imprezie...

– W jakiej? W rabunku?

– A co ty taki honorny? – spytał Nadobny. – Hę? Nosa zadzierasz? A co tobie przyniosła dotąd ta wojaczka? Ta rewolucja? Rany, guzy, anatemę i infamię, jak nam. Nie pora o sobie pomyśleć, medyku, o własnym dobru, zdrowiu i szczęściu?

– Co nam popłuży – oznajmił dobitnie Kuropatwa – to i tobie popłuży. Pomożesz nam w imprezie, do podziału cię dopuścim, do kiesy grubo wpadnie. Dobrze mówię, mości Ostrogski?

– Żegnam panów. – Reynevan nie czekał, aż kniaź potwierdzi. – Bóg z wami.

– A ty kudy? – spytał zimno Fedko z Ostroga. – Czto wzdumał? Donieść Prokopowi? Nie, brateńku, nic z tego. Łapaj go, Kuropatwa!

Reynevan wywinął się, pchnął Kuropatwę na Nadobnego. Wejdnar zerwał się z ławy, Reynevan metodą Szarleja kopnął go w kolano, padającego walnął w nos. Tłuczymost herbu Bończa skoczył nań i obłapił, z pomocą pospieszył mu przez stół bojar putny Daniło, strącając i tłukąc naczynia. Ostrogski, Skirmunt i Jakubowski nie ruszyli się z miejsc.

W ręce bojara błysnął nóż, Reynevan wyszarpnął się z uścisku Tłuczymosta i sięgnął po własny puginał, ale Wejdnar uwiesił mu się u łokcia, a Kuropatwa chwytem unieruchomił lewe przedramię. Bojar Daniło pchnął nożem. A Reynevanowi przypomniał się Bruno Schilling, renegat z Roty Śmierci.

Odchylił korpus, czując na piersi łokieć uzbrojonej ręki zgiął ją nagłym ruchem ciała, przekręcił, obrócił, pchnął barkiem, ile mocy. O dziwo, wyszło, choć nie całkiem. Miast wbić się w gardło, odwrócone ostrze rozpłatało tylko policzek. Bojar zawył jak zwierzę, zalał krwią siebie i okolicę. Fedor z Ostroga zaryczał.

Zaryczał i padł uderzony głowicą korda Tłuczymost, wrzasnął cięty w dłoń Nadobny. Rąbnięty pięścią i kopnięty Kuropatwa poleciał na stół, w gliniane skorupy i rozlane piwo.

– W nogi, Reynevan! – Urban Horn zawinął kordem, kopniakiem obalając usiłującego wstać Wejdnara. – W nogi! Na schody! Za mną!

Nie dał sobie dwa razy powtarzać. Z dołu ścigało ich wycie bojara putnego. I wściekłe ryki kniazia Fedka z Ostroga.

– *Baszom az anyát! Baszom a világot!* Job twoju mać, *zkurvena kurva!*

●

– Psiakrew. – Urban Horn zgarbił się w siodle. – Krwawię. Od tych ekscesów szwy mi puściły.

– Mnie też puściły. – Reynevan zmacał udo, obejrzał się za siebie. – Zajmę się tym, mam przy sobie instrumenty i leki. Wpierw jednak oddalmy się.

– Oddalmy – zgodził się Horn. – Oddalmy jak najdalej. Żegnaj nam, miasto Odry. A jak z nami będzie, kamracie? Pojedziesz ze mną na Sowiniec?

– Nie. Wracam na Śląsk. Zapomniałeś? Ginewra w potrzebie.

– Ratuj więc Ginewrę, Lancelocie. A zły porywacz Meleagant powinien dostać za swoje. W konie.

– W konie, Horn.
Puścili się w galop.

Rozdział dwunasty

w którym kobieta pachnąca rozmarynem oferuje Reynevanowi współpracę i pomoc, skutkiem czego sprawy raptownie przybierają zły obrót. Sytuację ratuje legenda, która niczym *Deus ex machina* wyłazi nagle ze ściany.

Niedaleko szkoły, naprzeciw budynku komandorii joannitów, na murku, by górować nad zebranym tłumem, stał człowieczek w czarnej opończy, o długich, rzadkich, opadających na ramiona włosach.

– Bracia! – krzyczał, gestykulując żywo. – Antychryst się objawił! Wśród znaków i fałszywych cudów! Przepowiedziany morderca świętych, siedzący jak tyran w mieście siedmiu wzgórz! W Rzymie, prostytuując stolec Piotra, rządzi namiestnik Szatana i herszt szatańskich sług! Zaprawdę powiadam wam, to papież rzymski jest Antychrystem! Ohydą zesłaną przez Piekło!

Tłumek słuchaczy gęstniał. Twarze słuchających były ponure, ponure było ich milczenie, złe, ciężkie, iście grobowe. Było to raczej niecodzienne, zwykle tego typu wystąpieniom, ostatnimi czasy wcale częstym, towarzyszyły śmiechy, brawa i okrzyki aprobaty, mieszane z gwizdami i wyzwiskami.

– Czym jest dziś – wołał w podnieceniu długowłosy – Kościoł rzymski i kler cały? To spisek apostatów i oszustów, rządzący się chciwością jedynie. To tarzająca się w brudzie i rozpuście banda złoczyńców, syta bogactwem, władzą, zaszczytami, odziana w pozór świętości i maskę religii, czyniąca ze świętego imienia Bożego złodziejskie narzędzie, rynsztunek dla swego nierządu. To odziana w purpurę babilońska kurwa, pijana krwią męczenników!

– Patrzcie, patrzcie – powiedział za plecami Reynevana alt miękki jak atłas. – Banda złoczyńców. Pijana kurwa. Kto by przypuścił, że sprawy zajdą tak daleko. Zaprawdę, nastał czas wielkich przemian.

Odwrócił się. I poznał ją natychmiast. Nie tylko po głosie. Iluzja, którą maskowała się wtedy, we Wrocławiu, nie ukryła tego, co i teraz widział. Żółtozielonych oczu o bezczelnym wyrazie. Oczu, które zapamiętał.

– Jeszcze rok temu – przysunęła się do niego, dość bezceremonialnie wzięła pod ramię. – Jeszcze rok temu motłoch już byłby rozpędzony, a krzykacz pod kluczem. A tu proszę: gada i gada, i to w ludnym punkcie miasta. Czyżby coś się kończyło? A może zaczynało?

– Kim jesteś?

– Nie teraz.

Czuł przy boku ciepło, którym emanowała przez płaszcz i męski watowany wams. Jej ciepło również zapamiętał. Wtedy, we Wrocławiu, gdy szukał na jej ciele objawów zarazy. Jej włosy krył kaptur, ale wydzielały ów ledwie uchwytny zapach rozmarynu, który pamiętał z Raciborza.

– Zaprawdę powiadam wam – coraz bardziej zaperzał się i podnosił głos człowieczek w opończy – Kościoł rzymski nie jest kościołem Chrystusa, lecz diecezją Diabła, jaskinią zbójców! Na targ rzuca się tam uświęcone prawa, tajemnice Boskości, wcielenie Słowa! Dzieli się na kawałki niepodzielną Trójcę. Zręczni szalbierze, fałszywi prorocy, oszukańczy kapłani, kłamliwi nauczyciele, zdradzieccy pasterze! Wyprorokowano ich nam! Przepowiedziano: przez nich droga prawdy obrzucona będzie bluźnierstwami; dla zaspokojenia swej chciwości obłudnymi słowy was sprzedadzą. I oto pojrzyjcie na rzymską kurię, na jej bulle, na kłamane msze, na odpusty. Czyż, wierę, nie sprzedają nas? Nie wydają dusz naszych na potępienie?

– Bracia! Musimy oddzielić się od nasłanych przez Diabła niegodziwców i łotrów, nie możemy mieć z nimi żadnej wspólnoty ani udziału w czynionej przez nich ohydzie. Jakoż w całym stworzeniu są tylko dobrzy i źli, wierzący i niewierzący, ciemności i światłość, ci, którzy są z Boga, i ci, którzy wbrew Bogu trzymają z Belialem!

– Nie kuśmy losu – powiedziała odziana w męski wams, pachnąca rozmarynem właścicielka zielonych oczu. – Zmiany zmianami, ale do ideału jeszcze temu światu daleko. Jest ciemność, jest światłość i są tacy, co donoszą. Za chwilę będą tu drabi z ratusza i łapsy Inkwizycji. Chodźmy stąd.

– Dokąd?

– Chodźmy, mówię.

– Nie. Najpierw wyjaśnisz mi...

– Chcesz odzyskać Juttę czy nie?

– Drżyjcie przed gniewem Pana – słyszeli, odchodząc – wy, którzy uwierzyliście kłamstwu, a zamknęliście uszy na prawdę. Którzy upodobaliście sobie nieprawość i idziecie za rozpustą. Wy, na których wyrok potępienia od dawna jest w mocy! Drżyjcie i pokutujcie! Albowiem przybliża się dzień gniewu, dzień nieszczęsny, dzień łez. Przybliża się Dzień Sądu!

– *Dies irae, dies illa* – mruczała, przyciskając się do jego ramienia, tajemnicza zielonooka. – *Et lux perpetua*.

– Dokąd idziemy?

– Do synagogi. Ale nie bój się, nie będę cię nawracać. Bądź sobie gojem aż po Sądny Dzień. Ale w synagodze nie bywa szpiegów. Nie zaglądają tam. Boją się żydowskich czarów.

●

Do synagogi, mieszczącej się w północno-wschodniej części miasta, niedaleko Bramy Nowej, nie weszli jednak. Rozmawiali, siadłszy na murku, skryci za schodami wiodącymi do Ezrat Naszim, czyli babińca. Reynevan czuł się niepewny i spięty pod przenikliwymi spojrzeniami dziwnej kobiety, spojrzeniami oczu zielonych jak u kota i podobnie nieodgadnionych. Przełamał się. Miał dość niepewności. Dość tajemnic. I dość bycia manipulowanym.

– Najpierwej rzeczy pierwsze – przerwał jej, ledwie zaczęła mówić. – Od nich zacznijmy. Kim jesteś? Dlaczego pomogłaś mi we Wrocławiu, dlaczego interweniowałaś, gdy mnie aresztowano? Dlaczego jesteś tu teraz, by, jak twierdzisz, pomóc mi uwolnić Juttę? Z czyjego polecenia działasz? Bo przecież oczywistym jest, że nie robisz tego z własnej inicjatywy, samodzielnie, poruszona ludzką krzywdą...

– A dlaczego niby – przechyliła głowę – to takie oczywiste? Czyżbym nie wyglądała na kogoś, kogo może poruszyć krzywda? Najpierwej rzeczy pierwsze, powiadasz. Zgoda, o ile uściślimy, co jest tym pierwszym. Względem prezentacji mogę się zgodzić. Po namyśle. Już mnie zresztą o to wypytywałeś, w Raciborzu, wiosną. Masz prawo znać moje personalia. I nie tylko.

Zerwała z głowy kaptur, gwałtownym ruchem rozrzuciła włosy, czarne i połyskliwe jak krucze pióra.

– Nazywam się Rixa Cartafila de Fonseca. Możesz mówić Rixa. Co się tak wytrzeszczasz?

– Nie wytrzeszczam się.

– Wytrzeszczasz się. Wypatrujesz, gdzie mam naszyty *Judenfleck*? Byłoby ci lżej, gdybym nazywała się Rachel? Albo Sara?

– Przestań, proszę – odzyskał kontenans. – Przedstawiłaś się, dziękuję, kłaniam się, jestem zaszczycony, przyjemność po mojej stronie.

– Jesteś zupełnie pewien, że przyjemność?

– Najzupełniej. Tej kwestii nie będziemy już poruszać. Przejdźmy do innych.

– Nie mogę ci powiedzieć, z czyjego polecenia działam. Nie mogę i już, koniec na tym, żadnych pytań. Musi ci wystarczyć to, co wiesz.

– Nie wystarczy. Twoje własne tajemnice to twoja rzecz. Gdy dotyczą tylko twojej osoby, niech sobie będą sekretem. Ale nie wtedy, gdy dotyczą mnie. Chcesz czegoś ode mnie. Chcę wiedzieć...

– Zgoda – przerwała natychmiast. – Najwyższy czas, byś się tego dowiedział. Dłużej ukrywać tego nie sposób. Chcę od ciebie dokładnie tego samego, co Łukasz Bożyczko i Inkwizycja: współpracy i informacji. Bożyczko zmusza cię do współpracy szantażem i groźbą. Ja chcę cię do współpracy przekonać, dowodząc wspólnoty interesów. W zasadzie już tego dowiodłam. Dbałam, by cię nic złego nie spotkało, robiłam za twojego anioła stróża. Teraz zaś pomogę ci odzyskać Juttę. Deklaruję pomoc i to pomoc natychmiastową, wyruszamy jeszcze dziś. Czy to mało?

– To dużo. Ale dokończ, proszę.

– Jesteś blisko Prokopa – zmrużyła oczy. – Blisko Prokupka, Puchały, Biedrzycha ze Strażnicy, Korybutowicza, Kralovca, znasz się z Koldą z Żampachu, Piotrem Polakiem i Janem Czapkiem. Wszędzie dopuszczają cię do konfidencji. I do sekretów. Ja też chcę znać te sekrety. Rozumiemy się?

– Nie.

– Będziesz mnie informował o tym, co szykują husyci. Tylko konkretnie, Reinmarze, konkretnie. Żadnych przepowiedni Malachiasza, żadnych dat zgonów i temu podobnych wróżbiarskich rewelacji.

– Podsłuchałaś nas w Raciborzu. Mnie i Bożyczkę.

– Owszem, podsłuchałam. Zaimponowałeś mi wtedy, wiesz? Dostarczyłeś mu informacji, a przy tym nie sprzeniewierzyłeś się przekonaniom, nikogo nie zdradziłeś, nikomu nie zaszkodziłeś. Rzecz jasna, gdyby nie moja wówczas interwencja, Bożyczko zmusiłby cię do

wyjawienia rzeczy konkretniejszych. A skoro to ja mu w tym przeszkodziłam, będzie sprawiedliwie, jeśli te konkrety otrzymam teraz ja właśnie.

– Ciekawie pojęta sprawiedliwość – wstał. – Posłuchaj, Rixo Fonseko. Nie będę twoim donosicielem. Nie dowiesz się ode mnie niczego. Jeśli to był warunek naszej współpracy, to współpracy nie będzie.

– Jestem po twojej stronie. – Rixa też wstała. – Dowiodłam tego. Nie nakłaniam cię do przeniewierstwa. Nie zniewalam do zdrady. Chcę współpracy. Obopólnie korzystnej kooperacji.

– Obopólnie korzystnej. Niebywałe.

– Powtarzam, jestem po twojej stronie. Również po stronie ideałów, którym jesteś wierny.

– Jasne – parsknął. – Całym sercem popierasz Kielich i kochasz ruch husycki, to z miłości chcesz szpiegować Prokopa i infiltrować Tabor. To, jak widzę, polityka wysokiego szczebla. Znam się trochę na polityce, wiem, że ma dwa alternatywne cele: jednym jest porozumienie, drugim konflikt. Porozumienie osiąga się, gdy jedna ze stron udaje, że wierzy w dyrdymały opowiadane przez drugą. My dwoje, niestety, jesteśmy skonfliktowani. Nie wierzę w dyrdymały, które opowiadasz. I nie myślę udawać, że wierzę.

Prześwidrowała go oczami.

– Nie każę ci wierzyć. Chcę współpracy, nie wiary.

– Nie będę twoim informatorem. I koniec. Dzięki za pomoc. Dzięki za dotychczasowe wysiłki, mój aniele stróżu.

– Nie zapominasz aby o czymś? A Jutta?

– Szantażem nic nie wskórasz. Żegnaj. Bóg z tobą.

– Ciszej – uśmiechnęła się. – Bo jeszcze rabin usłyszy. Reynevan, ja się tylko z tobą droczyłam.

– Powtórz, proszę.

– Droczyłam się z tobą. Ciekawiło mnie, jak zareagujesz. Jestem po twojej stronie. Nie chcę od ciebie żadnych informacji. Nie będę nakłaniać do wydawania sekretów. Juttę pomogę ci odnaleźć i uwolnić bez żadnych pobocznych warunków i zobowiązań. Chcesz odzyskać Juttę?

– Chcę.

– Wyruszamy jeszcze dziś.

– Mam prośbę.

– Słucham.

– Nie drocz się ze mną więcej. Nigdy więcej.

●

Gdy opuścili miasto, Reynevan kilkakroć oglądał się za siebie, pogrążony w myślach. Po raz trzeci los rzuca mnie tu, myślał, po raz trzeci na przestrzeni ostatnich czterech lat. Pod Strzegomiem spotkałem Szarleja, w Strzegomiu zobaczyłem go w akcji, gdy spuścił lanie trzem fircykom. Ze Strzegomia obaj uciekaliśmy przed pogonią, którą za nami wysłano. To było latem roku 1425. Po raz drugi byłem pod Strzegomiem cztery miesiące temu, w lutym, w Środę Popielcową, gdy bombardy i blidy Sierotek miotały na miasto kule i zapalające pociski, ślady tego ostrzału wciąż są widoczne. Spod Strzegomia odjechałem, by poszukiwać Jutty we Wrocławiu...

– Szukałem Jutty – odezwał się do jadącej obok Rixy – we Wrocławiu. Szukałem jej w Ziębicach, w Białym Kościele, w Strzelinie, w Niemczy, w Oławie. Próbowałem magii, bezskutecznie. Próbowałem zastraszać i szantażować. Co teraz? Dokąd zmierzamy? Jakie mamy plany?

– Podobnie jak ty – Rixa Cartafila de Fonseca odwróciła się w siodle – ja też zaczęłam od Ziębic. Znałam zwyczaje księcia Jana. Zwykł więzić panny, by sobie na nich folgować, a nie lubił w tym celu daleko jeździć. Wytyczywszy wokół Ziębic okrąg o promieniu mili, dałoby się znaleźć Juttę Apoldównę w góra dwa dni, w jakimś zameczku lub klasztorku, niczym Rapunzel wyglądającą z okienka swego królewicza z bajki. Ale królewicza ubiegła Inkwizycja. Porwali Rapunzel i szukaj teraz wiatru w polu...

Spojrzał na nią, a wzrok musiał mieć wymowny, bo natychmiast spoważniała.

– Magia nic nie da – powiedziała – gdy zastosowano czary ochronne. Szantaż i przekupstwo to metody dobre, ale nie względem takiego tchórza i szui jak ksiądz Felicjan. Ale nie turbuj się. Są inne sposoby. Jedziemy, jak zauważyłeś, gościńcem jaworskim. W Jaworze odwiedzimy osobę, która zwykle bywa dobrze poinformowaną, spróbujemy sprawić, by zechciała się informacją podzielić. Ale to dopiero jutro. Ważnym jest, byśmy byli na miejscu rankiem, a nie chcę nocować w Jaworze, tam za bardzo szpicle węszą po zajazdach. Staniemy na nocleg w Rogoźnicy, „Pod Bocianem”, tam jest bezpiecznie,

a pchły występują w ilościach rozsądnych i akceptowalnych. Wstrzymaj konia. Muszę cię uprzedzić. I ostrzec.

– Słucham?

– Udajemy dwóch klerków w podróży, tacy nie budzą podejrzeń ani nawet zainteresowania. O ile zachowują się normalnie. Jak na klerków przystało.

– To znaczy?

– W oberży zawsze biorą jedną izbę z jednym łóżkiem. Chodzi o koszty. Zazwyczaj.

– Rozumiem. A ostrzec chciałaś mnie przed czym?

Rixa zaśmiała się głośno.

●

Oberżysta „Pod Bocianem" bez cienia wątpliwości i mrugnięcia okiem zaakceptował ich jako dwóch klerków, co jeszcze mocniej utwierdziło Reynevana w przekonaniu, że Rixa używała czarów kamuflujących i magii empatycznej, z pewnością też dysponowała amuletami w rodzaju Pantaleona. Bez żadnych obiekcji ze strony gospodarza i za niewygórowaną cenę „klerkowie" weszli w posiadanie mieszczącej się na poddaszu izdebki wyposażonej w jeden zydel i jedno łóżko. Rixa bez ceregieli ściągnęła kubrak i buty, wypróbowała siennik i rzuciła się nań na wznak, gestem wskazując Reynevanowi miejsce obok.

Leżeli nieruchomo. W ścianie tykał kornik. W powale szeleściły i skrobały myszy. Rixa Cartafila de Fonseca odchrząknęła głośno.

– To niebezpieczne – odezwała się, patrząc w sufit. – Dwie osoby różnej płci w jednym łożu. Jest duże zagrożenie grzechem. I jeszcze większe niechcianą ciążą. Dobrze, że nas to nie dotyczy. My jesteśmy bezpieczni. Nas strzeże prawo.

– Słucham?

– Jeśli Żyd zostanie przychwycony na grzechu z chrześcijanką, ucina mu się kuśkę i wyłupia jedno oko. Chrześcijanin, który uprawia seks z Żydówką, ryzykuje konsekwencje poważniejsze. Grozi mu oskarżenie o *bestialitas*, o rozpustę *contra naturam*. A za coś takiego stos jest pewny.

– Ha.

– Co: ha? Boisz się?

– Nie.

– Odważny z ciebie chłopiec! A może to nie odwaga, a nieświadomość zagrożenia? Ty mnie wszak nie znasz, nie wiesz, z kim ci przyszło dzielić łoże. A ja straszna kobieta jestem. Mam to we krwi.

– Cóż takiego masz?

– Żydzi są winni śmierci Zbawiciela, dobrze mówię? Sprawiedliwym jest i naturalnym, by winni śmierci Zbawiciela nosili zawsze i po wieczność piętno swej nikczemności.

– A konkretnie?

– W moich żyłach, drogi chłopcze, płynie krew wielu pokoleń narodu wybranego. Mój przodek Lewi, gdy wiedziono Jezusa na Golgotę, napluł nań, odtąd wszyscy Lewici bez przerwy charczą, ale nie mogą pozbyć się flegmy. Żydzi z krewniaczego mi plemienia Gada włożyli Jezusowi cierniowy wieniec, dlatego co roku pojawiają im się na głowach śmierdzące wybroczyny, które uleczyć może tylko posmarowanie krwią chrześcijańską. I wreszcie najstraszniejsze: plemię Naftalego wykuło gwoździe do ukrzyżowania, za radą zaś Żydówki imieniem Ventria, niezawodnie mojej praszczurki, stępiło ich czubki, aby przysporzyć Jezusowi więcej cierpień. Za to łotrostwo kobietom z pokolenia Naftalego po trzydziestym trzecim roku życia, gdy śpią, lęgnie się w ustach żywe robactwo. Nie lękaj się jednak, chłopcze, śpij spokojnie. Ja mam dopiero dwadzieścia.

– Ja miałbym się lękać? – Reynevan z poważną miną włączył się do gry. – Ja? Ja jestem jeszcze lepszy. Jestem czarnoksiężnikiem, znam *artes prohibitae*. Mam to we krwi, cały na wskroś przesycony jestem straszliwą czarną magią. Gdy sikam, nad strugą moczu pojawia się tęcza.

– Ha! Musisz mi pokazać.

– Nadto – ogłosił dumnie – jestem husytą. W święta chodzę całkiem goły i nie mogę się doczekać dnia, kiedy żony będą wspólne. Jestem również, ostrzegam, kacerzem. Czy wiesz, drogie dziewczę, skąd ta nazwa? Bierze się, jak uczy Alanus ab Insulis, od kota. Na naszych tajemnych kacerskich zgromadzeniach Szatan objawia nam się pod postacią czarnego kocura, któremu my, heretycy i husyci, zadzieramy ogon i kolejno całujemy w jego kocią dupę.

– Jest możliwym – dodała równie poważnie Rixa – że to, co całujecie, to żydowska dupa. Żyd bowiem, jak naucza Piotr z Blois, postępując drogami diabła, swego ojca, często przybiera potworne kształty.

– Tak. Masz rację. To jest możliwe. Dobranoc.

– Dobranoc, Reinmarze. Miłych snów.

●

Nazajutrz dotarli do Jawora. Rixa znała drogę, prowadziła bezbłędnie, widać było, że czuje się tu jak u siebie.

– Czujesz się tu jak u siebie.

– Jestem u siebie – skwitowała. – To jest uliczka Rzeczna. Tu zamieszkuje osoba, którą odwiedzimy.

– Owa dobrze poinformowana osoba – domyślił się Reynevan. – Kto to taki? Czym się zajmuje?

– Maizl Nachman ben Gamaliel. Zajmuje się pożyczaniem pieniędzy na procent.

– Lichwiarz?

– Nie. Finansista.

Dom na Rzecznej był okazały, ale surowy, pozbawiony wszelkich ozdób, przypominał forteczkę. Dostępu bronił mur, obszerne arkadowe podsienie kryło zaś okute wrzeciądze, opatrzone mosiężną kołatką i malutkim okienkiem. Rixa chwyciła za kołatkę i energicznie zakołatała. Po chwili okienko otwarło się.

– Nu? – rozległo się z wewnątrz.

– Szalom – pozdrowiła Rixa. – Wędrowcy z interesem do czcigodnego Maizla Nachmana ben Gamaliela.

– Nie ma.

– Jestem Rixa Cartafila de Fonseca – w głosie dziewczyny pojawiła się znienacka złowroga nuta. – Przekaż to rabbiemu, pachołku. Jeśli go nie ma, niech sam mi to powie.

Znowu przyszło czekać kilka chwil.

– Nu?

– Rabbi Maizl Nachman ben Gamaliel?

– Nie znam takiego. I nie ma go w domu.

– Nie zajmiemy dużo czasu, rabbi. Wpuść nas, proszę. Potrzebujemy tylko informacji.

– Nu? A czego jeszcze potrzebujecie? Może gotówki? Może żona ma wam przyrządzić *gefilte fisz*? Może chcecie się wyspać i wywczasować? Idźcie precz, goje.

– Rabbi...

– Nie idą? Chcą, by ich pobłogosławić? Szmul! Przynieś hakownicę!

– Rabbi Maizl – zniżyła głos Rixa, zbliżając zaciśniętą pięść do okienka. – Z hakownicą radzę uważać. Jestem Rixa Cartafila de Fonseca. Noszę pierścień cadyka Chalafty.

– Aj-waj! – dobiegło z wewnątrz. – A ja jestem król Salomon. I mam pierścień do pieczętowania dżinnów w dzbankach. Idźcie precz, prowokatorzy.

– Nie nazywaj mnie prowokatorką, rabbi – zasyczała dziewczyna. – Jestem Rixa Cartafila de Fonseca. Nie wierzę, byś nie słyszał o mnie.

– Nu? Może słyszał, może nie słyszał – odrzekł nieco łagodniej głos zza wrót. – Czasy takie, że nie wolno wierzyć ni oczom, ni uszom. A co dopiero pogłoskom. Wy idźcie do miasta. Wy zobaczcie, co się tam szykuje. Wy osądźcie: może w takich czasach Żyd otwierać drzwi? Choćby Żyd i coś słyszał o kimś? Nie, dziewczyno nosząca pierścień cadyka Chalafty. Niemądrze jest otwierać drzwi, jeśli na zewnątrz samo zło. Idźcie i zobaczcie. Sami się przekonacie. Aj, gdybyście wy mieli drzwi, to też byście nie otworzyli.

●

Ulice Jawora wydawały się dziwnie wyludnione. I ciche. W powietrzu, oprócz zwykłego smrodu gnoju i padliny, wisiało coś nieokreślenie złego, coś, co stawiało sztorcem włosy na karku i pełzało ciarkami po plecach. Coś, co kazało większości mieszkańców miasta przezornie pozostać w domach.

Rixa była jak u siebie. Z rynku skręciła w zaułek, w którym wielki i barwny szyld wskazywał drogę do traktierni „Pod Słońcem i Księżycem". Tu, odwrotnie niż na zewnątrz, ludzi było sporo, panował wręcz ścisk. Dokładniej określić nie było można, Reynevan ocenił jednak, że karczmę okupowało dobre sto osób. Do tego wszyscy gadali, gwarzyli, w głowie szumiało od jednostajnego gwaru.

Rixa rozejrzała się bacznie, szybko przesunęła w stronę kąta, gdzie z wąsami w kuflu siedział siwowłosy mężczyzna w filcowym kapeluszu z naddartym rondem. Dziewczyna dosiadła się, trąciła go łokciem.

– Panienka?

– Witaj, Schlegelholz. W karczmie już od rana?

– Dusza boli – otarł wąsy siwowłosy. – Mus, mus ukoić... Czasy straszne... Straszne...

– Co się dzieje?

– Okropność, okropność się stała. Przyjdzie nam wszystkim pomrzeć... Nie masz ratunku przed zarazą, nie masz...

– O co chodzi?

– Dni temu będzie cztery – Schlegelholz upił tęgi łyk piwa – ze studni przy Świętym Marcinie świński łeb wyłowili, całkiem ze skóry odarty. A zaraz po tym dzieciak pomarł piekarzowej Kuncowej. Znaczy, wodę zarazili. Zarazą morową. Ciepnęli nam we studnię zadżumionego wieprzka.

– Kto?

– Kto, kto. Wiadomo, kto. To i zebrał się naród, uradza. Sami widzicie, panienko.

– Widzę – potwierdziła Rixa, wskazując na mężczyznę w łatanym kubraku, który właśnie wlazł na ławę i z wysoka dawał znać zebranym, by byli łaskawi się uciszyć. – Tamten typ i jego kompania, co za jedni?

– Obcy. Niedawno zjechali. Dziwne jakieś ludzie.

– Jaworzanom – krzyknął mężczyzna w łatanym kubraku – można, baczę, nie tylko w kaszę dmuchać, ale i w polewkę pluć! Tak to duch upadł w tutejszym narodzie? Wasi ojce w 1420 troszkę Żydowinów pogromili, wam by całkiem skończyć z nimi, ni jednego nie zostawić! A wy co? Oni studnie wam zatruwają, a wy siedzicie i piwo trapicie? Na co jeszcze przeklętym parchom pozwolicie? By wam, jako w Budziszynie, z kościoła hostię skradli i zbezcześcili? By z dzieciątek waszych krew spuszczali, jak to się w Zgorzelcu zdarzyło?

– A może – wstał drugi, z czupryną kręconą jak baranie runo – zaczekacie, aż husyci nadejdą, a Żydzi im nocą bramy otworzą, jak łońskiego roku we Frankensteinie uczynili? Co, nie wiedzieliście? Nie wiedzieliście może i tego, że Kłodzko chcieli Izraelici husytom na łup wydać, pożar w grodzie wzniecając? Nie wiedzieliście, że Juda z dawien dawna z czeskim kacerzem w zmowie? Nie mówił wam tego proboszcz na kazaniu? Że spisek jest między Szatanem, Żydem i husytą? Co? Nie mówił? Tak wy mu baczniej przyjrzyjcie się, Jaworzanie, waszemu pasterzowi. Przypatrzcie, co się czyni, nadstawcie uszu na to, co mówi. Nie brak odstępców i wśród duchownych, niejeden podszeptom Szatana uległ! Jeśli uznacie, że z waszym plebanem coś nie tak, donieście! Wnet donieście władzom!

Coraz to któryś z Jaworzan wstawał, chyłkiem przemykał ku wyjściu. Oblicza innych też nie zdradzały zbytniego zapału.

Mówcy dostrzegli to.

– Tchórze jesteście i dziady! – krzyknął ten łatany. – Na was samych warto by donieść! Bo jeśli kto nie przeciw Żydom, sam widno z Diabłem trzyma, sam jest jak Żyd! Żydzi, powiadam, oddani są złym mocom! To wraża dłoń Judy odciąga chrześcijanina od prawdziwej wiary. Byłby, myślicie, Hus, gdyby nie było Żyda? Kto, jak nie Żyd, za podszeptem Diabła Czechów do herezji podżegł? Toć plugawa husycka sekta nie na czym innym, a na Talmudzie się wzoruje! A na Kabale opiera!

– Zaraz po Szatanie – zawtórował kręcony – nie ma większego wroga chrześcijan niżeli Żydzi. Oni w swych codziennych wstrętnych modlitwach o naszą zagładę się modlą, przeklinają nas, magicznymi obrządkami swymi i zaklinaniami błagają, by nas wygubił Szatan, ich ojciec i ich Bóg. Sto lat temu chcieli unicestwić nas Czarną Śmiercią, nie udało się, Chrystus mocniejszym się okazał. To teraz wymyślili husytów. Nam, chrześcijanom, na zgubę!

– Idziemy. – Rixa wstała, naciągnęła kaptur. – Ja to już słyszałam, znam na pamięć. Schlegelholz, nie widziałeś nas. Jasne? Mnie tu w ogóle nie było.

Nim przepchnęli się ku wyjściu, na ławę wskoczył trzeci mówca, z ogoloną do skóry głową.

– Siedzicie spokojnie, Jaworzanie? Szczyny więc chyba, nie krew, macie w żyłach, jeśli tolerujecie w mieście śmierdzących Judejczyków i ich przeklętą bóżnicę, jeśli znosicie wśród siebie kacerzy, magów, dzieciobójców i trucicieli! Złodziei i lichwiarzy, krwiopijców takich jak ten główny tutejszy parch, Maizl Nachman! Dawno już należało go zatłuc!

– Proszę, proszę – mruknęła Rixa. – Nareszcie coś nowego, cierpliwość nagrodzona. Już wiem, kto, co i po co. Znam typka. To były cysters, zbieg z klasztoru w Dobryługu. Ogolił pałę, by skryć tonsurę. Jest agentem Inkwizycji. Tu, wygląda, szykuje się właśnie malutka prowokacja.

– Inkwizycja? Niemożliwe – żachnął się Reynevan. – Grzegorz Hejncze nigdy nie zniżyłby się...

– Nie Wrocław. Magdeburg. Nie patrz na nich, nie ściągaj na siebie uwagi. Wychodzimy.

●

– To ciebie nie dotyczy, Reynevan. To nie twoja wojna.

Rixa poprawiła na sobie żelazną koszulkę, wyjęła z pakunków zakrzywiony tasak, dobyła go z pochwy, kilkakroć machnęła, aż zaświszczało.

– Sprawdziłam, zasięgnęłam języka – powiedziała. – Dużo ich. Liczna chewra zjechała z Magdeburga. Oprócz prowokatorów są też zabójcy. Czternastu chłopa. Zaatakują, jak tylko się ściemni.

Reynevan odtroczył od juków i rozpakował swoją myśliwską kuszę, przewiesił przez plecy sajdak z bełtami. Sprawdził nóż, dodatkowo wsunął mizerykordię do cholewy. Rixa przyglądała się w milczeniu.

– To ciebie nie dotyczy – powtórzyła. – Nie musisz się w to pchać i nadstawiać karku.

Spojrzał jej w oczy.

– Miałaś się nie droczyć, przypominam. Idziemy.

●

Magdeburska Inkwizycja nie dała na siebie długo czekać, uderzyła zaraz po zapadnięciu zmroku. Przed bramą domu na Rzecznej wyłoniły się nagle z ciemności niewyraźne postacie, szybkie tak, że aż rozmazujące się w oczach. W drzwi z hukiem uderzył taran. Dom czuwał, odpowiedział. Huknęło, z okienka w drzwiach trysnął ogień. Wśród postaci zakotłowało się, ktoś wrzasnął. Taran gruchnął w drzwi drugi raz, tym razem przeciągły trzask oznajmił powodzenie. Rixa splunęła w dłoń, uchwyciła rękojeść.

– Teraz! Na nich!

Wyskoczyli z zaułka, wpadając między tłoczących się u bramy ludzi, zaskakując ich i roztrącając. Reynevan szybko ciął nożem, Rixa od ucha rąbała tasakiem. Wrzaski i klątwy wypełniły uliczkę.

– Do środka!

Zza wywalonych wrzeciądzy znowu wypaliła rucznica, zawyły siekańce. W błysku wystrzału Reynevan zobaczył tuż przed sobą mężczyznę z ogoloną do skóry głową, spostrzegł wznoszony do cięcia toporek. Chwycił przewieszoną przez ramię kuszę, strzelił z biodra, nie celując. Ogolony stęknął i runął na bruk.

– Do środka!

Napastnicy też mieli kusze, też mieli samopały. Gdy z Rixą wpadali na podwórze, zrobiło się nagle jasno od wystrzałów, w powietrzu zasyczały bełty. Ogłuszony przez huk Reynevan potknął się o trupa, upadł w krew. Ktoś biegnący śladem potknął się o niego, zwalił obok z przekleństwem i brzękiem. Reynevan zdzielił go kuszą, odturlał się szybko, wprost pod nogi następnego. Tuż obok jego głowy coś metalicznie szczęknęło o bruk, krzesząc iskry. Wyszarpnął mizerykordię z cholewy, poderwał się, pchnął, aż chrupnął bark, czwórgranna klinga ze zgrzytem przeszyła kółka kolczugi. Napastnik zawył, upadł na kolana, upuszczając wprost na Reynevana ciężki żelazny hak. Złapał żelazo i z rozmachem walnął klęczącego, czuł i słyszał, jak hak wbija się w kość czaszki.

– Reynevan! Tutaj! Szybko!

W głębi podwórza ktoś zawył, zacharczał i zadławił się. Reynevan skoczył na równe nogi i pobiegł w stronę wejścia do domu. Bełt świsnął mu tuż nad głową. Coś huknęło i rozbłysło, na kamieniach podwórca rozlała się ognista kałuża, zaśmierdziało palonym tłuszczem. Druga butelka roztrzaskała się na ścianie domu, płonący olej spłynął kaskadą po gzymsach. Trzecia pękła na schodach, płomienie momentalnie ogarnęły dwa leżące tam ciała, zasyczała parująca krew. Od strony bramy leciały następne pociski. Nagle zrobiło się jasno jak w dzień. Reynevan zobaczył klęczącego za filarem podsienia brodacza w lisiej czapie, mógł być nim tylko gospodarz domostwa, Maizl Nachman ben Gamaliel. Obok klęczał wyrostek, trzęsącymi się rękami usiłując nabić hakownicę. Za drugim filarem stała Rixa Cartafila de Fonseca z zakrwawionym tasakiem, a twarz miała taką, że Reynevan zadrżał. Tuż za Rixą, z samopałem w ręku...

– Tybald Raabe? Ty tutaj?

– Kryj się!

Od bramy poleciały bełty, odłupując tynk z muru. Usiłujący nabić hakownicę wyrostek krzyknął przeszywająco i zwinął się w kłębek. Rixa cofnęła się przed huczącym ogniem, osłaniając twarz przedramieniem. Reynevan wciągnął wyrostka za mur, pomógł mu Tybald Raabe.

– Źle jest... – wydyszał goliard. – Źle z nami, Reynevan. Zaraz ruszą... Nie dostoimy...

Od bramy, jakby potwierdzając, odpowiedział mu bojowy wrzask, pełne złości wycie. Ogień zalśnił na klingach, zamigotał w brzeszczotach.

– Śmierć Żydom!

Rabbi Maizl Nachman ben Gamaliel wstał. Uniósł głowę ku niebu. Rozpostarł ręce.

– *Baruch Ata Haszem, Eloheinu* – zawołał, śpiewnie modulując głos. – *Melech ha-olam, bore meori haesz!*

Ściana domu pękła, eksplodowała erupcją tynku, wapna i zaprawy. Z chmury kurzu wyszło to coś, co w ścianie było, co w niej zamurowano. Reynevan ze świstem wciągnął powietrze. A Tybald Raabe aż przykucnął.

– *Emet, emet, emunah!* Abrakadabra! Abrakaamra!

Wylazłe ze ściany coś, wyglądające jak bałwan z gliny, było z grubsza człekokształtne, w miejscu głowy miało jednak między barami tylko nieznaczne wybrzuszenie. Niższe od średnio wysokiego człowieka, było jednak grube i pękate jak beczka, kroczyło na krótkich słupowatych nogach, grubaśnymi łapskami sięgając ziemi. Na oczach Reynevana łapska zacisnęły się w pięści, wielkie jak kule do bombardy.

Golem, pomyślał, to jest golem. Najprawdziwszy golem, legendarny golem z gliny, marzenie czarodziejów. Marzenie, pasja i obsesja Radima Tvrdíka z Pragi. Że też Radima tu nie ma... Że też nie może tego zobaczyć...

Golem zaryczał, a raczej zatrąbił jak monstrualna okaryna. Na stłoczoną w bramie magdeburską chewrę padł blady strach, trwoga, wydawało się, sparaliżowała zbirów, odebrała im władzę w nogach. Nie byli zdolni uciekać, gdy golem biegł ku nim kołyszącym truchtem. Nawet się nie bronili, gdy wpadł na nich, równo i metodycznie grzmocąc i łupiąc ogromnymi kułakami. Wrzask, okropny wrzask rozdarł nocne powietrze nad Jaworem. Nie trwało to długo. Zapadła cisza. Syczał tylko olej płonący w kałużach.

Z muru przy bramie wolno ściekała gęsta, zmieszana z mózgiem krew.

●

Wzeszło słońce. Gliniany golem wrócił do dziury w murze, stał tam, zlany z tłem i niewidoczny.

– Byłem umarły, a oto jestem żyjący – powiedział ze smutkiem Maizl Nachman ben Gamaliel. – Ale przelano krew. Dużo krwi. Oby było mi to wybaczone, gdy nadejdzie Dzień Sądu.

– Ocaliłeś niewinnych. – Rixa Cartafila de Fonseca ruchem głowy wskazała zażywną kobietę, obejmującą i tulącą do siebie trzy czarnowłose dziewczynki. – Broniłeś życia najdroższych, rabbi, przed tymi, którzy zapragnęli ich skrzywdzić. Mówi Pan: Pamiętaj, co ci uczynił Amalek w drodze, gdyś wyszedł z Egiptu. Wygładzisz imię Amaleka spod nieba. Wygładziłeś.

– Wygładziłem. – Oczy Żyda rozbłysły, by natychmiast przygasnąć. – A teraz co? Znowu wszystko rzucić? Znowu tułaczka? Znowu do innych drzwi przytwierdzać mezuzę?

– To z mojej winy – burknął Tybald Raabe. – Naraziłem cię na szwank. Przeze mnie teraz...

– Wiedziałem, kim jesteś – przerwał mu Maizl Nachman – gdy dawałem ci schronienie. Wspierałem twoją sprawę z przekonania. Mając świadomość, czym ryzykuję. Cóż, ucieczka i tułaczka rzecz mi nie nowa...

– Nie sądzę, by to było konieczne – odezwał się Reynevan. – Uprzątając trupy, tutejsi ocenili zajście raczej jednoznacznie. Napadnięto cię w celach rabunkowych, a ty się broniłeś. Nikt chyba w Jaworze nie miał ci tego za złe. I nikt nie będzie cię niepokoił, gdy zostaniesz.

– O, święta naiwności – westchnął Maizl Nachman. – Święta i dobra... Imię twe jak? Reynevan?

– Zwie się Reynevan, tak jest – wtrącił się Tybald Raabe. – Znam go i ręczę...

– Aj, co ty mnie ręczysz? On pospieszył z pomocą Żydowi. Czy mnie trzeba lepszych poręczeń? Hola! Co z twoją dłonią, dziewczyno? Tą z pierścieniem cadyka Chalafty?

– Trzy palce złamane – odrzekła zimno Rixa. – Drobiazg. Do wesela się zagoi.

– Do jakiego wesela? A kto by cię zechciał? Stara, pyskata, usposobienie gwałtowne, gotować też nie umiesz, założę się o co chcesz, choćby o własny tałes. Ty daj rękę, sziksa. Jehe sz'meh raba mewarach l'alam ul'almej almajja!

Na oczach zdumionego Reynevana palce Rixy wyprostowały się, momentalnie zniknęła z nich opuchlizna, rozpłynęły się w nicość krwiaki. Dziewczyna westchnęła, poruszywszy dłonią. Reynevan pokręcił głową.

– No, no – powiedział wolno. – Jestem medykiem, rabbi Maizl, nieobce są mi też *artes magicae*. Ale żeby tak gładko wyleczyć wyłamane stawy... Pełen jestem podziwu. Ciekawym, gdzie można się tego nauczyć?

– U mnie – odrzekł sucho rabbi. – Będziesz miał wolne siedem lat, wpadnij. Nie zapomniawszy wpierw się obrzezać. Ale teraz, jak mawiał król Salomon do królowej Saby, przejdźmy do rzeczy. Chcieliście ode mnie informacji. Niech się tedy rzeczy dowiem.

Reynevan pokrótce wyłożył sprawę. Maizl Nachman wysłuchał, kiwając brodą.

– Jasne – powiedział. – Rozumiem. I myślę, że zdołam pomóc. Słyszałem bowiem o podobnym przypadku.

Wsadził palec do nosa, dłubał długo i zapamiętale, udając, że nie widzi, jak Reynevan gotuje się z niecierpliwości.

Wreszcie wydłubał, co trzeba, obejrzał. I wznowił przemowę.

– Takie przypadki – oznajmił – to zawsze możliwy geszeft, na niczym się tak dobrze nie zarabia, jak na informacji. Zdarzyło się to w Legnicy. Przed sześcioma laty. Panna Wiryda Hornig, córka kupca, zadała się z aptekarzem, co go wołali Gałązka. Wbrew ojcu, który przyrzekł jej rękę komuś innemu. A ten inny miał jakoby koneksje z Inkwizycją, ze Świętym Oficjum. I panna Wiryda nagle znikła.

– Aptekarz Gałązka – podjął Żyd – został zadenuncjowany, oskarżony o herezję musiał uciekać ze Śląska. Po roku sprawa przyschła, a Wiryda nagle odnalazła się, bardzo skruszona i bardzo posłuszna, zupełnie jak po pobycie w klasztorze. Posłusznie wyszła za tego, komu ją przyrzeczono.

– Nu, pomyśleliśmy w kahale, warto wiedzieć, któż to taki, kto ma takie układy z Oficjum, żeby móc sprawiać znikanie panien. I jakoś tak wyszło, że Mojsze Merkelin, kuzyn mojej szwagierki, znał się z niejakim Jochajem ben Icchakiem, stryjeczny zaś brat tego Jochaja, niejaki Szekel, miał pasierbicę o imieniu Debora, ta zaś dowiedziała się od swej znajomej Estery pewnej rzeczy, którą tamta zasłyszała w babińcu od... Cholera, zapomniałem, od kogo. To zresztą nieważne. Ważne, że kuzyn Mojsze, Żyd pazerny i bezczelny, zażądał za informację piętnastu guldenów. Uznałem, że to zbyt dużo.

– Ha.

– Ale tyś mi z pomocą przyszedł, a to zmienia co nieco skalę wartości. Teraz te piętnaście to nie tamte piętnaście, to zupełnie inne piętnaście, to piętnaście zmienione tak, że po prostu nie do poznania. Teraz cena jest rychtyk w sam raz. A pazerny kuzyn Mojsze nie mieszka w Palestynie. Mieszka w Opolu. Na Mojżesza, za pięć dni będziesz miał informację. A do tego czasu gościnę u mnie.

– Dzięki, rabbi. Co się zaś tyczy owych piętnastu guldenów, to gotów jestem...

– Nie obrażaj mnie, chłopcze.

●

– Nie będę – zachrząkał niepewnie Tybald Raabe – z wami tu czekał, czas mi w drogę, obowiązek wzywa. Wam zaś powiem tak... Jeśli się już dowiecie, czego się macie dowiedzieć, to spieszcie się. Spieszcie się bardzo. Myślę...

– A ja myślę – Rixa spojrzała mu w oczy – że powinieneś przestać kręcić. I powiedzieć nam prawdę.

– Ja nic nie wiem – odrzekł goliard szybko, za szybko, by ocalić wiarygodność. Po czym uciekł oczami przed spojrzeniem Reynevana.

– Tybaldzie – rzekł wolno Reynevan. – Zeszłej nocy biliśmy się ramię w ramię, razem zaglądaliśmy śmierci w oczy. A teraz skrywasz coś przede mną? Znałeś mojego brata. Znasz mnie, niedawno nawet za mnie ręczyłeś. Wiesz, że krążę po Śląsku, ryzykując życiem, bo moja miła jest w potrzebie, muszę ją odnaleźć i oswobodzić. Ona jest uwięziona, każdy dzień niewoli zwiększa jej mękę...

– Reinmarze – goliard oblizał wargi, spuścił oczy. – Czesi nie ufają ci, krążą o tobie różne plotki... Jeśli się wyda, że ci powiedziałem...

– Na Łużyce czy na Śląsk? – zniecierpliwiła się Rixa. – Którędy pójdzie rejza? Bo na to, że wnet pójdzie, tośmy już wpadli.

– Ja nic nie wiem... Ale jak pomyśleć krzynę... To może Łużyce?

– Proszę – uśmiechnęła się Rixa. – Jak łatwo poszło. Najtrudniejszy jest początek. A teraz poprosimy o szczegóły.

– Czego wy ode mnie chcecie? – Tybald Raabe udał, że się rozzłościł. – Co to ja, hejtmanem jestem, czy co? Ja jestem zwykły agitator, do strategii mnie nie dopuszczają... Ale przecie jasne każdemu, kto na mapę okiem rzuci i pomyśli krzynę... No, pomyślcie krzynę. Którędy ruszy Tabor, jeśli nie doliną łużyckiej Nysy?

– Żytawa i Zgorzelec? – Reynevan przypomniał sobie mapę, którą widział u Prokopa na Odrach.

– Nie wykluczałbym... – chrząknął Tybald. – Nie wykluczałbym też przejścia na prawy brzeg Kwisy. Lubań, Bolesławiec...

– Żagań? – spytała zmienionym głosem Rixa.

– Możliwe.

– Kiedy? Data, Tybaldzie.

– Czerwiec. Tak jakoś.

– Jak jakoś?

– Jedni mówili, że na Świętego Jana. Drudzy, że na Świętego Wita. Ja raczej tym drugim wierzę. Ale kto to wie...

– Stokrotne dzięki. – Rixa zmierzyła goliarda cieplejszym nieco spojrzeniem. – Bardzoś pomógł, wdzięcznam bezgranicznie. Dałabym ci gęby, ale się wstydzę, wstydliwa jestem jak cholera. A skoro ci jechać, bywaj.

– Bywajcie i wy. Reinmarze?

– Tak?

– Powodzenia. Z całego serca.

●

Pięć dni minęło, jak z bicza strzelił. Dwunastego czerwca, w niedzielę, Rabbi Nachman ben Gamaliel wezwał do siebie Reynevana i Rixę.

●

– Kuzyn Mojsze – zaczął bez wstępów – przyjął pieniądze z ochotą, cieszył się a radował, jakby okazyjnie nabył Arkę Przymierza. Tym sposobem ja wiem, kto położył kres romansowi Wirydy Hornig, denuncjując jej galanta aptekarza, a ją samą wsadzając do klasztoru, wszystko to dzięki koneksjom z Inkwizycją. Ten sam, kto potem został szczęśliwym małżonkiem Wirydy. Otto Arnoldus, osoba dość znana, ale niekoniecznie ze swych cnót. Ongiś rajca, dziś burmistrz miasta Bolesławca.

– Choć podłoże było prywatne, nie zaś polityczne, twoja sprawa zdradza z aferą Wirydy Hornig nieco podobieństw, Reinmarze. Na twoim miejscu wybrałbym się do Bolesławca i pogawędził, jeśli nie z samym burmistrzem Arnoldusem, to z jego ślubną. Ona może pamiętać,

w jakim klasztorze wówczas znikła. Jest zaś duże prawdopodobieństwo, że Inkwizycja wciąż korzysta z tych samych.

– Stokrotne dzięki. Jedziemy jak najrychlej.

– Tak, tak – rzekł szybko Maizl Nachman, zniżając głos. – Doradzałbym pośpiech.

– Wiemy – mruknęła Rixa. – Święty Wit za pasem. Ruszamy jutro skoro świt. Bywaj w zdrowiu, rabbi Maizl.

– Bywajcie – kiwnął brodą Żyd. – Dzięki wam za wszystko. A ty, dziewczyno, zbliż się.

Rixa pochyliła głowę. Rabbi położył dłonie na jej kruczych włosach.

– *Jewarechecha Haszem wejiszmerecha* – powiedział. – Oby Haszem Cię błogosławił i strzegł. Oby Haszem zwrócił ku tobie swoje oblicze i zesłał Ci pokój. Żegnaj, Rixo Fonseko. Żegnaj i ty, Reinmarze z Bielawy.

Rozdział trzynasty

w którym mowa jest o snach i ich interpretacji, a niespodziewane osoby zawierają niespodziewane sojusze.

We Wrocławiu powoli zapadał zmierzch, nastawała pora godziny szarej, zwanej *inter canem et lupum*, godziną między psem a wilkiem, kiedy to ciemniało, ale świateł jeszcze nie zapalano. Było gorąco, wilgotno i duszno, zbierało się na burzę. Kundrie gwałtownym łykiem opróżniła kielich z resztek *aurum potabile*, oblizała wargi.

– A zatem – powiedziała, mrużąc bursztynowe oczy – jedziesz do Jawora i na łużyckie pogranicze. Albowiem doszła cię wieść o pojawieniu się tam Reinmara z Bielawy. Choć wieść, jak rozumiem, nie potwierdzona i mało pewna, ty rzucasz wszystko i pędzisz na oślep. Ode mnie zaś żądasz czarów i zaklęć zdolnych zlokalizować istotę syderyczną. Choć już sto razy mówiłam ci, że to niemożliwe.

– Nie ma – odrzekł Pomurnik – rzeczy niemożliwych. To była pierwsza rzecz, jaką wpoili nam w Aguilar.

Neufra westchnęła. A potem ziewnęła, demonstrując imponujący garnitur kłów.

– Cóż – rzekła. – Reinmar z Bielawy, to rozumiem, trzeba go usunąć, inaczej będzie utrapieniem, wciąż szukając zemsty za brata. Popieram zamiar, by go pojmać i kazać umierać powolną śmiercią; wcześniej, jeśli by się udało, zamęczywszy na jego oczach ową Apoldównę, której wciąż poszukuje. Idea rewanżu jest słuszna i przyklaskuję jej. Ale ten jego kamrat, ten olbrzym... Ten rzekomy przybysz ze świata astralnego... Jego radziłabym ci jednak poniechać. Według mnie to Czuwający, jeden z *Refaim*. Z nimi nie zaleca się zadzierać. Bardzo niedobre przeczucia nawiedzają mnie odnośnie twego polowania. Nie działasz racjonalnie. Twoje zainteresowanie tym olbrzymem coraz bardziej zaczyna wyglądać...

– Na co?

– Na obsesję – dokończyła zimno. – W czystej klinicznej postaci. Tyś w manię popadł, synku. Martwi mnie to. Tym bardziej, że nie jedyna to ostatnio twoja mania.

– Coś powiedziała?

– Nie jedyna to twoja mania. Jak widzę i słyszę. A zwłaszcza czuję. Węchem.

– Że co?

– Nie udawaj głupiego. Bywam na mieście, słucham plotek. O tobie i pannie von Pack. A węch mam dobry. Od dwóch miesięcy przychodzisz tu, zalatując jej cipką.

– Uważaj – syknął – byś nie przeholowała.

– Nie poznaję cię. Dziewek miałeś na kopy. Ty, Birkart Grellenort, marzenie i przedmiot westchnień połowy andaluzyjskich wiedźm. Aleś nigdy dotąd nie wiązał się z żadną białogłową, żadnej nie dałeś się ogłupić. Strzeż się, masz wrogów. Nie dali ci rady żelazem, mogli sięgnąć po inny oręż. Nie pomyślałeś, że ta Packówna może być podstawiona? A nuż chcą pokarać cię biblijnie, ręką kobiety? Panna załatwi cię jak Dalila Samsona. Albo jak Judyta Nabuchodonozora... Czy Holofernesa? Zapomniałam. Wasza Biblia to sakramencko zagmatwana lektura. Za dużo bohaterów, za dużo nieprawdopodobieństw i jawnych zmyśleń. Wolę już Chrétiena de Troyes i innych *romanceros*.

Oczy Pomurnika błysnęły. I zaraz przygasły.

– Każde dzieło literackie – odrzekł spokojnie – w tym i Biblia, wśród morza zmyśleń kryje perłę prawdy. I tu wracamy do naszego wielkoluda. Gdy go schwytam, wyduszę z niego wiedzę, poznam, co to prawda i gdzie ona leży. Bo on nie rzekomo, ale naprawdę przybył stamtąd, z płaszczyzny syderycznej, z miejsca, którego nie znamy, o którym na dobry porządek nic nie wiemy. Jedni, jak wiesz, uważają to miejsce za domenę Istoty Najwyższej, popularnego Boga. Politeiści utrzymują, że to domena wielu bogów, półbogów, bóstw i demonów. Inni są zdania, że bytują tam wyłącznie demony. Jak jest w istocie, nie wie nikt, bo choć stamtąd przybywali do nas goście, tam nikt dotąd nie przeniknął. Nikt, wliczając twych pobratymców Longaevi i twych nieledwie wszechpotężnych Nefandi...

– Schwytasz więc olbrzyma – przerwała neufra. – I co? Jeśli to Refaim, niczego z niego nie wyciągniesz.

– Wyciągnę. Jest uwięziony w materialnym ciele, skazany na ciała tego wady i niedostatki. W szczególności odczuwa ból, na który to ciało można wystawić. Ja, Kundrie, wystawię to ciało na ból. Wystawię tak, że on wyśpiewa mi wszystko.

– W tym i to, jak się dostać do domeny gwiezdnej?

– Lub przynajmniej nawiązać z nią kontakt – potwierdził. A zaraz potem zerwał się z karła, kilkoma krokami przemierzył pomieszczenie, od opartej o szafę trumny do stojącego pod najdalszą ścianą kompletnego szkieletu wieprza, Bóg jeden wie, do jakich celów służącego żywiołaczce.

– Co ma mi do zaoferowania ten świat? – podniósł głos. – Co może mi dać? Ten prymitywny świat, w którym wszystko już podzielono, rozkradziono i rozdrapano, w którym już *nulle terre sans seigneur*? Czym ja tu mogę być? Jaką władzę zdobyć, jaką potęgę? Kanonika katedralnego? Starosty i zarządcy Wrocławia albo, czym wabi mnie biskup, namiestnika całego Śląska? A choćbym i został biskupem, kardynałem i w końcu papieżem, co to za władza w obecnych czasach? Nawet jeśli uda się zniszczyć husytów, przykład przetrwa, idei unicestwić się nie da. Po husytach przyjdą inni, spękany gmach Rzymu nigdy nie odzyska już struktury niewzruszalnego monolitu. Królowie i książęta padać będą jak kukiełki, bo co to za władza, którą można zniweczyć miarką trucizny lub dziesięcioma calami klingi sztyletu. A zapatrzeni w moc pieniądza Fuggerowie? Zobaczą, jak pieniądz staje się mniej wart od plew. Magowie i czarodzieje? Są śmiertelni, bardzo śmiertelni. Longaevi? Tylko z nazwy są wieczni, przeminą razem ze swą magiczną mocą...

Gruchotem przetoczył się daleki grom, kontrapunktując przemowę. Kundrie milczała. Pomurnik odetchnął głęboko.

– Marco Polo – podjął – dotarł do Cathayu. Portugalczycy dopłynęli do *Insulas Canarias*, do Madery, do Azorów, zbierają się do wyprawy oceanicznej. Wierzą, że tam, za oceanem, w nie odkrytym jeszcze świecie, znajdą bogactwo i prawdziwą władzę. Wierzą w kraj Księdza Jana, w ziemię Mogal, w Ofir i Taprobane, zamierzają tam dotrzeć; by to osiągnąć, nie cofną się przed niczym. Ja też nie zamierzam się cofać.

Neufra nadal nie odzywała się, na przemian strosząc i kładąc kolce grzbietowe.

– Czy wiesz – spytała wreszcie – kto był ostatnim, który coś takiego powiedział? Co ciekawe, w identycznym kontekście? Szalony poeta i czarownik Abdallah Zahr-ad-Dihn, autor księgi o tytule *Al Azif*, tytuł to onomatopeiczny zapis odgłosu wydawanego przez nocne owady i

upiory. W późniejszych przekładach nazwisko autora strawestowano na Abdul Alhazred, a tytuł zmieniono na *Necronomicon*. I to się przyjęło.

– Wiem.

– Wiesz więc i to, że Abdul Alhazred przemożnie pragnął przedostać się do *syderium*, że nie cofał się przed niczym. Był na nawiedzanej przez upiory pustyni Roba el-Khaliyeh, był w Irem, poszukiwał Kadath. Zginął okropną śmiercią w roku 738, w Damaszku, w biały dzień, na oczach wielu świadków rozszarpał go i pożarł straszliwy demon. Nie schładza to twego zapału?

– Nie schładza.

– W takim razie – neufra przewróciła oczami – życzę szczęścia. Dużo, dużo szczęścia.

– Idę. – Pomurnik wstał. – Jutro wyruszam. Aha, Kundrie, znajdzie się może w twoich zapasach trochę Perferro? Chciałbym mieć na podorędziu.

– Dobra idea – żywiołaczka wyszczerzyła żółte kły – mieć to pod ręką. Zadaj panience, tej całej Douce von Pack. Mocniej związesz ją ze sobą. Zdobędziesz gwarancję, że nie ucieknie z innym. A jeśli ucieknie, to nie na długo. Do pierwszego skaleczenia żelazem...

– Kundrie.

– Już nic nie mówię. Perferro mam, ale niewiele, jedną dawkę, dla jednej osoby. Zwróć się do biskupa, wiem, że ma zapas. A na Sensenbergu masz przecież Skirfira i jego alchemiczne atanory.

– Biskup nie przyzna się, że ma. A na Sensenberg jechać mi nijak.

– Myślę, że mnie śledzą – wyjaśnił, widząc jej uniesione brwi. – Nie jestem pewien nawet mojej Roty. To zbieranina...

– Zbieranina mętów – dokończyła. – Hałastra złożona z łotrów, hultajów, rzeźników i zboczeńców. Twoi Czarni Jeźdźcy. Takich masz pod komendą, bo tylko takich zdołałeś zwerbować. I z takimi ruszasz na wyprawę. Zaiste, bardzo jesteś zdesperowany.

– Dasz mi Perferro czy nie?

– Dam. I dołożę coś jeszcze. Coś specjalnego. Powinno pomóc w poszukiwaniach.

Otworzyła stojący na stole kuferek, wyjęła coś stamtąd. Pomurnik z trudem zapanował nad odruchem obrzydzenia.

– Atrakcyjne, co? – zarechotała neufra. – Uaktywnia się zaklęciem. Wywodzącym się zresztą z *Al Azif*, a udoskonalonym przez Nefandi i

italskich nekromantów. Świerkanie nocnych owadów, szelest ich skrzydełek... Ma dwie funkcje. Powinno wskazywać miejsce pobytu Bielawy albo jego panny.

– A druga funkcja?

– Posłuż się, gdy zajdzie potrzeba kogoś zabić. Zabić tak, by zabijany czuł, że umiera.

– Bywaj, Kundrie.

– W zdrowiu, synku.

W dach zastukały pierwsze krople deszczu.

●

Błyskawica rozdarła niebo, prawie natychmiast gruchnął grom, przeciągle i ostro, z trzaskiem dartego materiału. Ulewa nasiliła się, ściana wody kompletnie przesłoniła świat.

– Jakby się kto na nas uwziął. – Reynevan strząsnął wodę z kołnierza. – Czas nagli, a tu masz, chmura się obrywa. Potop po prostu.

Przeczekiwali burzę w lesie, w gęstych zaroślach, które jednak ochronę dały tylko przez chwilę, teraz lało się na nich równo. Konie trzęsły grzywami, pospuszczawszy łby.

– Deszcz słabnie – otarła mokry nos Rixa. – Burza się oddala. Zaraz przejdzie, a wtedy polecimy w skok, cwałem, wicher nas osuszy. I wywieje złe myśli z głów.

●

Ulewa nie odpuściła jednak tak prędko, a rozmiękły po niej gościniec nie bardzo pozwalał na cwał i inne hippiczne wyczyny, toteż droga zajęła im znacznie więcej czasu, niźli planowali. Do Legnicy, miasta określanego jako „drugie po Wrocławiu", wjechali dopiero za dwa dni, akurat w momencie, gdy dziesięciotysięczną populację jęły wzywać na mszę dzwony wszystkich siedemnastu kościołów. Rixa i w Legnicy czuła się jak u siebie, wiodła bez błądzenia. Minęli imponującą, nowiutką, całkiem niedawno konsekrowaną kolegiatę Bożego Grobu, przebili się przez zatłoczony rynek i diabelnie błotnisty po deszczach targ warzywny. Minęli kramy konwisarzy i igielników. Za kramami Rixa zatrzymała konia, zsiadła. Byli u wejścia w zaułek, z którego bił silny zapach kadzideł, ziół i korzennych przypraw.

– Mam tu – wyjaśniła – sprawę do załatwienia. Mogę pójść sama, ciebie prosząc, byś zaczekał w karczmie za rogiem. Możemy pójść razem, aby umacniała się nasza oparta na wzajemnym zaufaniu kooperacja.

– Pozwólmy się jej umacniać. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

– Idziemy więc. Poproszę tylko o dwie rzeczy. Nie zadawaj żadnych pytań.

– A druga?

– Nie udzielaj żadnych odpowiedzi.

Zaułek, jak się okazało, był Zaułkiem Magów. Mieszczące się tu kramiki i ławki oferowały głównie zioła, eliksiry, periapty, amulety, talizmany, dzwonki loretańskie, szklane kule, kryształy, paciorki, kamyki, słomiane kukiełki, muszle, poroża i inne cudactwa. Reynevan słyszał o Zaułku, tolerowanym przez rajców i legnickie duchowieństwo. Powody tolerancji były dwa: wysokie opłaty na rzecz miasta i fakt, że oferowany w Zaułku towar z prawdziwą magią niczego wspólnego nie posiadał zgoła. Rzutu oka wystarczyło, by Reynevan utwierdził się w tym absolutnie: wśród towaru na ladach królowały szarlataneria, tandeta i chłam.

Rixa zatrzymała się przed ladą, za którą ładna czarnowłosa dziewczyna omiatała miotełką towar z kurzu. Towarem były głównie zasuszone żaby.

– My do mistrza Zbrosława.

Czarnowłosa spojrzała na Reynevana, strzepnęła długimi rzęsami, znikła na zapleczu. Reynevan oglądał ladę. Zdziwił się, dostrzegłszy nagle wśród bezliku wysuszonej gadziny rogatą jaszczurę ze spiralnie skręconym ogonem. Identyczną widział kiedyś na ilustracji w *Grand Grimoire*.

– Mistrz prosi.

Mistrz Zbrosław trochę Reynevana zaskoczył. Był pewien, że sprzedawca suszonych żab, będąc wszak kontaktem Rixy, przybrał słowiańskie imię tylko dla kamuflażu. Ale wewnątrz, w silnie woniejącym imbirem, goździkami i kamforą pomieszczeniu powitał ich Słowianin całą gębą. Barczysty, jasnowłosy, jasnowąsy, jasnooki, wypisz wymaluj król Krak z legendy.

– Witam. Czym służyć mogę?

– Jestem Rixa Cartafila de Fonseca. Przysyła mnie... cadyk Chalafta.

Mistrz Zbrosław milczał długo, przebierając palcami. Wreszcie uniósł oczy.

– Ten z Oławy?

– Nie. Ten z Oleśnicy.

Uśmiechnęli się do siebie, radzi z udanej wymiany hasła i odzewu.

– Podobno – Rixa nie zamierzała tracić czasu – jesteś znawcą sennikόw, mistrzu Zbrosławie. Umiesz jakoby czytać w snach.

– Bόg dociera do nas poprzez nasze sny. Sny dają nam wskazόwki, wzmacniają nas, leczą i uzdrawiają duszę.

– O ile poznamy ich znaczenie. Mądry rabbi Hisda mawiał, że sen nie objaśniony jest jak list otrzymany, a nie przeczytany. A ja miałam sen.

– Słucham.

– W moim śnie wielkie niebezpieczeństwo groziło miastu Żagań.

– Ciekawe – mistrz Zbrosław wpił w Rixę słowiańskie oczy – że właśnie Żagań. Są wszak inne miasta. Leżące znacznie bliżej... zagrożenia. Bliżej Żytawy, która podobno właśnie gorączkowo szykuje się do obrony na wieść o możliwym ataku.

– Tamte miasta – Rixa nie spuściła wzroku – niechaj się same o siebie martwią. W moim śnie ich nie było. W moim śnie książę Jan Żagański miał cudowną wizję. Anioł Pański zstąpił był z niebios i natchnął go, jak ma ratować swój kraj. Szukaj, książę, rzekł anioł, ratunku w pobożnym Królestwie Polskim, w umiłowanym przez Bożą Rodzicielkę polskim narodzie. Wyglądaj ratunku od pobożnego króla polskiego Władysława. Miast knuć z Luksemburczykiem, rzekł anioł...

– Tak rzekł? Tymi słowy?

– Tymi właśnie – potwierdziła głosem zimnym jak święta Kinga w łόżku. – Miast knuć z Luksemburczykiem, zwróć się, książę, ku Polsce. Luksemburczyk daleko, a Polskę masz za miedzą. Czasy biedy pełne, a Polska swych przyjaciόł w biedzie nie porzuca...

– Masz ci los – westchnął mistrz Zbrosław. – Anioł polonofil. W snach taki oznacza duże zmartwienie... Cóż, sen, jakkolwiek dziwności pełen, wart interpretacji. List otrzymany... Ów mądry rabin, jak się zwał? Przejęzyczyć się lękam...

– Hisda.

– List otrzymany, jak uczy rabbi Hisda, trzeba przeczytać. Ale tu są, że tak powiem, dwa listy. Mamy do czynienia ze snem w śnie. Waćpani

śniłaś o śnie księcia żagańskiego. Ciekawe, czy sam książę żagański śnił...

– Nie śnił. – Z tonu Rixy wynikało, że jest rzeczy absolutnie pewna. – I w tym właśnie problem. Trzeba go koniecznie o tym śnie poinformować.

– Proponuję – dodała z naciskiem – zwrócić się z tym o pomoc do tutejszych franciszkanów. Niechaj przekażą wieść swym konfratrom z Głogowa, tym od Świętego Stanisława. Z prośbą, by ci powiadomili braci z Żagania.

Mistrz Zbrosław przechylił głowę.

– Głogowski Święty Stanisław – zauważył – nie podlega kustodii saskiej. Klasztor w Głogowie należy do kustodii gnieźnieńskiej. Mnisi z Głogowa natychmiast dadzą znać do Gniezna. I wnet o wszystkim wiedzieć będą w Krakowie.

– A to nie szkodzi.

– Rozumiem.

Mistrz odprowadził ich przed stragan, na którym ładna czarnowłosa wciąż odkurzała żaby. Możeś ty i Zbrosław, pomyślał Reynevan, ale ona to Rebeka.

– Co to? – Przedmiot na ladzie przykuł nagle jego uwagę. – Cóż to takiego? Czyżby...

– To? – Mistrz uniósł za sznurek żyłkowany kamyk z oczkiem w kolorze i kształcie ludzkiego oka. – Amulet Viendo. Kastylijski, przywieziony wprost z Burgos. Jak dla was, trzy grosze. Bierzecie?

●

– Nie panikuj, Reynevan – powtórzyła Rixa. – Zdążymy do Bolesławca. Raabe mógł się mylić co do terminu rejzy, wątpię zresztą, by dokładny znał.

– Mógł się mylić i w drugą stronę. – Rysy Reynevana ściągnęły się i stwardniały. – Może się zacząć wcześniej. A ja wiem, jak szybko oni potrafią iść. Sześć, nawet siedem mil na dobę, nawet bezdrożami. A wiem i to, co potrafią uczynić, gdy dojdą. Byłem w kilku zdobytych miastach. Między innymi w Chojnowie, niedaleko stąd. Psiakrew, trzeba się spieszyć!

– I jechać na noc? Bez sensu. Przenocujemy...

– By nazajutrz – wpadł w słowo – kogoś jeszcze poinformować o husyckiej rejzie, tak? Rixo, Tybald nam zaufał. Liczył, że nie roztrąbimy tego na cały Śląsk. Ty zaś...

– Reynevan – kocie oczy Rixy rozbłysły. – Nie pouczaj mnie. I nie plącz się do moich spraw.

– I niechaj umacnia się nasza oparta na wzajemnym zaufaniu kooperacja.

– Przyjmij do wiadomości, że wiem, co robię. I że jestem po twojej stronie. O czym już kilka razy cię zapewniałam. I mam dość powtarzania. Informując Żagań o zagrożeniu, też byłam po twojej stronie. Podobnie jak w marcu w Raciborzu, gdy przy twoim pośrednictwie pomagałam podjąć decyzję wahającemu się Wołoszkowi.

– Tym niemniej chciałbym wiedzieć...

– Wiesz tyle, ile powinieneś – przerwała mu ostro. – A wiesz wcale niemało, masz oczy, masz uszy i nie jesteś głupi. I niech tak zostanie.

Milczeli. Z dołu, z głównej izby zajazdu, niosły się okrzyki, śmiechy, odgłosy zabawy. Myszy chrobotały i piszczały w powale, świeca mrugała.

– Reynevan?

– Tak?

– Nie bez kozery nalegałam, by tu zanocować. Jutro też wolałabym nie hamować nam tempa. Masz jakiś lek na babskie sprawy?

– Znaczy, na miesiączkę?

– Znaczy: masz czy nie masz?

Wydobył z torby puzdro z lekami, rad z siebie, że przezornie zaopatrzył się w aptece „Pod Archaniołem".

– Weź to – wręczył Rixie elektuarium w opłatku. – Popij winem.

– Gorzkie jak cholera.

– Bo z aloesem. To *Hiera Picra*, przez Galena zwana *species ad longam vitam*. Na kobiece dolegliwości też skutkuje.

– Mam nadzieję.

Świeca mrugała. Myszy przestały chrobotać.

– Rixa?

– Czego?

– Czy to, że pochodzisz... Że jesteś...

– Żydówką? Czy to ma wpływ na to, co robię? Oczywiście.

– Mój ród – niespodzianie zaczęła po dość długim milczeniu – wywodzi się z Nadrenii, z Xanten. Wszystkich niemal z rodziny wymordowano w roku 1096. Krucjata! *Deus lo volt!*Rycerze Emich i Gotszalk wysłuchali apelu papieża Urbana II. I z entuzjazmem wprowadzili go w czyn. Zaczęli walkę o Grób Chrystusowy od masakry nadreńskich Żydów. W Xanten ocalał jeden chłopiec, Jehuda, podobno dzięki temu, że się przechrzcił. Jako Guido Fonseca zamieszkał w Italii, gdzie wrócił do wiary przodków, czyli, jak wy to mówicie, ponownie popadł w*judaica perfidia*. Jego potomków, znowu Żydów, wypędzono z Neapolu w roku 1288. Rozjechali się po świecie. Część rodu wywędrowała do Berna. W roku 1294 przepadło tam dziecko. Bez śladu, w niewyjaśnionych okolicznościach. Sprawa jasna, mord rytualny, Żydzi porwali gówniarza i przerobili na macę. Za straszny ten czyn wszystkich Żydów z Berna wypędzono. Mój przodek, rabin, noszący wówczas imię Mevorach ben Kalonymos, zamieszkał we Frankonii, w Weinheim.

– W roku 1298, we frankońskiej miejscowości Röttingen ktoś jakoby zbezcześcił hostię. Zubożały rycerz Rindfleisch otrzymał w tej sprawie znak od Boga. Świętokradcami są Żydzi, głosił ów znak, bij Żyda, kto w Boga wierzy. Wierzących znalazło się wielu, Rindfleisch wnet stanął na czele hordy rezunów, z którymi rozpoczął zbożne dzieło. Po wyrżniętych do nogi gminach w Rothenburgu, Würzburgu, Nördlingen i Bambergu przyszła kolej na Weinheim. Dwudziestego września Rindfleisch i jego zbiry wtargnęli do dzielnicy żydowskiej. Rabina Mevoracha z rodziną, wszystkich Żydów, Żydówki i ich dzieci zapędzono do synagogi i wraz z nią spalono żywcem. Razem siedemdziesiąt dziewięć osób. Niewiele, zważywszy, że łącznie we Frankonii i Szwabii Rindfleisch zabił pięć tysięcy. Z czego wielu na sposoby dużo wymyślniejsze niż spalenie.

– Z resztą rodziny, tej w diasporze, też klasyka: przechrzczony prapradziad, Paolo Fonseca, zostaje zamordowany w 1319, we Francji, podczas rewolty *Pastoureaux*, czyli Pastuszków.*Pastoureaux* mordowali z zasady szlachtę, zakonników i księży, ale za Żydów i przechrztów brali się ze szczególnym zapałem, często przy spontanicznej pomocy miejscowej ludności. Świadom, co *Pastoureaux* robią z kobietami i dziećmi, więziony w lochu w Verdun-sur-Garonne prapradziad Paolo własnymi rękami udusił praprababkę i dwoje dzieci.

– Zamieszkały w Alzacji pradziad, Icchak Jochanon, traci całą niemal rodzinę w 1338, podczas jednej z osławionych masakr dokonywanych przez chłopskie bandy zwące się*Judenschlägerami*. Którąś z moich prababek, której nie miał kto miłosiernie udusić, *Judenschlägerzy* zbiorowo i wielokrotnie gwałcą. Jest tedy możliwe, że od tamtego czasu posiadam jakąś tam przymieszkę krwi chrześcijańskiej. Nie raduje cię to? Mnie, wystaw sobie, też nie.

Rixa zamilkła. Reynevan odchrząknął.

– Co było... potem?

– Rok 1349.

– Czarna Śmierć.

– Jakbyś zgadł. Winnymi wybuchu i szerzenia zarazy byli naturalnie Żydzi, to był żydowski spisek, uknuty dla zagłady wszystkich chrześcijan. Toledański rabin Peyrat, musiałeś o nim słyszeć, rozsyłał po całej Europie emisariuszy, by zatruwali studnie, źródła i ruczaje. Wzięto się więc za karanie trucicieli. Szeroko zakrojone. Było sporo moich krewniaków wśród sześciu tysięcy żywcem spalonych w Moguncji i wśród dwóch tysięcy spalonych w Strasburgu, byli moi wśród ofiar masakr w Bernie, Bazylei, Freiburgu, Spirze, Fuldzie, Regensburgu, Pforzheim, Erfurcie, Magdeburgu i Lipsku, w innych spośród trzystu eksterminowanych wówczas w Niemczech żydowskich gmin. Byli moi wśród zamordowanych w Bazylei i w Pradze, a także w Nysie, Brzegu, Górze, Oleśnicy i Wrocławiu. Zapomniałam ci bowiem powiedzieć, że spory odłam mojej rodziny zamieszkiwał już podówczas na Śląsku. I w Polsce. Tam miało być lepiej. Bezpieczniej.

– Było?

– W sumie tak. Ale później, gdy zaraza ucichła. Ot, jeden pogrom we Wrocławiu w 1360. Był pożar, obwiniono Żydów, zatłuczono lub utopiono w Odrze kilkadziesiąt osób, z mojej rodziny wszystkiego dwie. Nieco poważniej było w Krakowie, w roku 1407, we wtorek po Wielkanocy. Znaleziono zabite chrześcijańskie dziecko, oczywiście celem pozyskania krwi, niezbędnej wszak do wypieku paschalnych chlebków. Winnymi są więc oczywiście Żydzi, wątpliwości co do tego rozwiewają księża z krakowskich ambon. Podjudzony w kościołach motłoch rzuca się wymierzać karę. Kilkuset Żydów traci życie, kilkuset zostaje zmuszonych do ochrzczenia się. Tym to sposobem, uważaj dobrze, dwa lata później przychodzę na świat jako chrześcijanka, z

ochrzczonych mamy i taty. Obmyta wodą chrztu otrzymuję imię Anna, na cześć świętej, której krakowski kościół poszedł w 1407 z dymem, podpalony z rozpędu przez rozswawolonych krakowiaków. Anną na szczęście zwę się niezbyt długo, bo w 1410 rodzina ucieka z Polski na Śląsk, do Strzegomia, i wraca, o, *judaica perfidia!*, do wiary mojżeszowej. W Strzegomiu zamieszkuje kilku krewniaków, a łącznie żyje tam sto czterdzieści osób naszego wyznania. Siedemdziesiąt trzy z nich, wśród nich mój ojciec, Samuel ben Gerszom, tracą życie w pogromie roku 1410. Powód? Dęcie w szofar na Rosz Ha-Szana uznane zostało za sygnał do ataku na chrześcijan. Matka z siostrami ojca i ze mną, rocznym dzieciakiem, ucieka do Jawora. Tam, w roku 1420, mając lat jedenaście, mój drugi pogrom oglądam już sama, własnymi oczyma. Uwierz, niezapomniane to wrażenie.

– Wierzę.

– Ja się nie użalam. – Gwałtownie uniosła głowę. – Przyjmij to do wiadomości. Nie rozczulam się ani nad sobą, ani nad współplemieńcami. Ani nad Jerozolimą, ani nad świątynią. *Uwene Jeruszalaim ir hakodesz bimhera wejameinu!* Słowa znam, ich znaczenie mi umyka. Nad rzekami Babilonu siedzieć i płakać nie myślę. Nie oczekuję współczucia od innych, o tolerancji nawet nie wspominając. Pytałeś jednak, czy to miało wpływ. Ano miało. Za pewne rzeczy lepiej się nie brać, jeśli się boisz, jeśli paraliżuje cię lęk przed skutkami, przed tym, co się może stać. Ja się nie boję. Przez pokolenia kumulowałam odwagę... Nie, nie odwagę. Odporność na strach. Nie, nie odporność. Niewrażliwość.

– Rozumiem.

– Wątpię. Śpijmy. Jeśli twój specyfik podziała, wyruszymy skoro świt. Jeśli nie podziała, też.

●

Zjazd rodzinny w Sterzendorfie przebiegał nad podziw spokojnie i składnie. W podziwu godnym tempie i pomyślnie załatwiono wszystkie niemal sprawy, jakie były do załatwienia. Zasługa, jak się wydawało, należała się za to całkowicie dwóm przewodniczącym zjazdu, którymi jednogłośnie obrano Henryka Landsberga, kanonika kolegiaty niemodlińskiej, oraz rycerza Apeczkę, seniora rodu Sterczów. Bez oczekiwanych kłótni załatwiony został tedy spór o miedzę, jaki od lat czterech wiedli Henryk „Żuraw” von Baruth i reprezentowany przez

burkliwego mnicha klasztor w Namysłowie. Nie doszło do oczekiwanej przez wszystkich dzikiej awantury pomiędzy Moroldem von Stercza i Lanzeletem von Rachenauem, zwaśnionymi oszukańczą jakoby transakcją zakupu bydła. Gładko poszło z Hrozwitą von Baruth i Beatryczą von Falkenhayn, skłóconymi skutkiem wzajemnego zelżenia się paskudnymi słowy. Przyjął przeprosiny cześnik Bertold de Apolda, od lat wściekły na Tomasza Eichelborna za niedotrzymaną umowę pożenienia dzieci. Ta ostatnia sprawa mocno, ale to mocno zaniepokoiła Parsifala von Rachenaua. Parsifal przybył na zjazd wraz z ojcem, panem Tristramem von Rachenauem, a ojciec jął się natychmiast wzajemnych grzeczności z Albrechtem Hackebornem, panem na Przewozie. Nie było tajemnicą, że pan na Przewozie zabiega o koneksję z Rachenauami i prze ku temu, by wydać swą córkę Zuzannę za Parsifala właśnie. Parsifala zaś Zuzanna Hackeborn zupełnie nie pociągała. Parsifal, ilekroć trafiła się okazja myśleć, myślał głównie o jasnowłosej Ofce, córce Henryka Barutha ze Studziska. Ofka była zresztą obecna na zjeździe, wraz z pozostałymi dziewczętami usadzona przez opiekunki w damskiej świetlicy i zmuszona do wyszywania na bębenku.

Dwa dni zjazdu minęły jak z bicza strzelił, pozostała tylko jedna sprawa, sprawa trudna, która poważnie poróżniła rody Bischofsheimów i Sterczów. O ugodzie, wydawało się, nie było co nawet marzyć. Ale kanonik Henryk i Apeczko Stercza, przewodniczący, nie od parady mieli głowy. Dla uspokojenia atmosfery kanonik odmówił długą i nudną modlitwę po łacinie, Apeczko zaś zaproponował odbycie tryzny żałobnej za spokój dusz krewniaków i druhów poległych w stoczonych w obronie wiary bojach z husytami, w szczególności Heinemana Barutha, Gaweina Rachenaua, Reinharda Bischofsheima i Jencza Knobelsdorfa, zwanego Puchaczem. Uroczystości żałobne potrwały dzień i noc, wznowienie zaś obrad przyszło wstrzymać do czasu, aż żałobnicy dojdą do zmysłów.

Parsifal Rachenau w popijawie udziału nie wziął, młodym nie pasowanym tego co prawda nie zabraniano, ale też i nie zachęcano ich. Parsifal wolał zatem udać się na obchód wałów i stajni. Nagle ku ogromnemu zdumieniu spostrzegł swego druha, Henryka Barutha, zwanego Szpaczkiem, szparko idącego w jego stronę i wiodącego...

Swą kuzynkę. Jasnowłosą Ofkę von Baruth.

– Prezentuję – wysapał zdyszany Szpaczek, mrugając przy tym znacząco – mego druha i towarzysza broni, Parsifala von Rachenaua, syna pana Tristrama z Bukowa. Powiadam ci, Ofka, trudno o dzielniejszego niźli on. Jam, nie chwalęcy się, też przeciw Czechom wojował, ba, z czarownikami i czarownicami sprawę przyszło mieć... Ale on! Nie uwierzysz! On przeciw hordom heretyka Ambroża stawał pod Nachodem, samowtór ze mną przeciw stu. A na murach Kłodzka, ha, nie uwierzysz, dziewczyno! Choć ranion i krwią spływający, nieustraszenie odpór dawał kacerzom, którzy Kłodzko szturmowali. Sam pan Puta z Czastolovic głowę mu potem ścisnął!

Na policzki Parsifala uderzył karminowy rumieniec. I nie szło nawet o to, że Szpaczek łgał jak z nut. Parsifal po prostu nie mógł nie rumienić się na widok panny, jej wielkich orzechowych oczu i zadartego, usianego piegami nosa. Były to najpiękniejsze piegi, jakie Parsifal widział w życiu.

– Zostawiam was – rzekł szybko Szpaczek. – Pogawędźcie sobie. Ja ważne rzeczy mam na głowie.

Zostali sami. A Parsifal, który jeszcze przed minutą gotów był odwdzięczyć się druhowi koniem z rzędem, teraz czuł, że chętnie rozkwasiłby mu nos. Choć bardzo chciał, nie mógł się bowiem przełamać i wydobyć z siebie słowa. Pewny, że panny użyczają ucha tylko gładkiej mowie trubadurów i błędnych rycerzy, czuł się teraz jak ostatni dureń.

Wiał ciepły wiatr, w fosie zapamiętale kumkały żaby.

– Byliście ranni, tak? – przerwała okropną ciszę Ofka, marszcząc piegowaty nos. – Pokażcie, gdzie.

– Nie! – Parsifal aż podskoczył.

– Nie lza – dodał szybko – się przechwalać. Chwalipięta rycerskiego pasa nie godzien.

– Aleście się bili?

– Biłem.

– Tedy odważniście? Śmiali?

– Nie godzi się chwa...

– Obaczym, czyście tacy śmiali. – Ofka schyliła się nad fosą. – O! Złapcie dla mnie tę żabę.

– Żabę?

– Przecież mówię. Tę wielką. Dziękuję. A teraz zjedzcie ją.

– Co?

– Zjedzcie ją. Obaczym, czy wam śmiałości starczy.

Parsifal ścisnął żabsko w pięści. Zamknął oczy. I otworzył usta.

Ofka von Baruth chwyciła go za rękę, wydarła żabę i wrzuciła ją do wody. I poczerwieniała jak wiśnia.

– Wybaczcie, proszę. – Schyliła głowę. – Nie tak chciałam... Wcale nie tak. Prawie o mnie mówią, żem płocha...

– Nie jesteście... – przełknął ślinę Parsifal. – Nie jesteście płocha, pani. Jesteście...

Ofka uniosła głowę. Jej orzechowe oczy zrobiły się jeszcze większe, niż były.

– Jesteście piękna.

Ofka patrzyła nań długo. A potem uciekła.

Zjazd wznowiono, nierozstrzygalny, zdało by się, spór Bischofsheimów ze Sterczami zakończono wreszcie ugodą. Parsifal słuchał piąte przez dziesiąte. Był w innym świecie. Śnił na jawie.

– My, Henryk Landsberg, scholastyk kolegiaty niemodlińskiej, wszystkim wyznawcom Chrystusa, do których dotrze ten dokument, zaświadczamy, iż Burchard Mencelin, zarządca należącego do pana Guntera von Bischofsheima majątku w Niwniku, pozbawiony został życia przez Dietera Haxta, armigera pana Wolfhera von Stercza. Za zbrodnię tę pan von Stercza i Dieter Haxt zgodzili się uiścić na rzecz rodziny zabitego kwotę pokutną w zatwierdzonej przez świadczących panów rycerzy wysokości czterdziestu grzywien. Sumę pięciu grzywien otrzyma nadto parafia kościoła w Niwniku. Wezwany do pomocy chirurg nie otrzyma nic, jako że pomoc ni żadnego skutku nie przyniosła. Na znak ugody wzniesiony zostanie na miejscu zbrodni krzyż pokutny kosztem wzmiankowanego armigera Haxta, na którym to krzyżu wykute będzie narzędzie zbrodni, czyli topór. Tym samym przychodzi do zgody między sprawcą zbrodni a rodziną zamordowanego, jako też wzmiankowanymi panami rycerzami. Działo się szóstego dnia czerwca w roku Łaski tysiąc czterysta dwudziestym dziewiątym.

– Parsifal! Mówię do ciebie! Śpisz czy co?

Poderwał głowę, wyrwany z głębiny marzeń. I struchlał. Wyraźnie rozgniewany ojciec był w towarzystwie dwóch rycerzy, starszego i młodszego. Młodszego, z twarzą kanciastą i ozdobioną białą szramą,

Parsifal nie znał. Starszym był szlachetny Albrecht von Hackeborn, pan na Przewozie, rodzic Zuzanny. Jestem zgubiony, przemknęła Parsifalowi przez głowę spłoszona myśl, już po mnie. Zaraz mnie zaręczą. I wnet zaślubią. Żegnaj, piękna Ofko...

– Oddaję cię – pan Tristram Rachenau mówił przez nos, jak zawsze, gdy był niezadowolony – w giermkowanie panu Egbertowi de Kassel z Kopańca. Pan Egbert to człek wojenny, a wojny z husytami ino patrzeć. Służ wiernie, bij się dzielnie, szlacheckiego honoru strzeż, a da Bóg, zasłużysz na pas i ostrogi. Bacz jeno, chłystku, cobyś wstydu nie przyniósł, mnie i rodowi.

Parsifal przełknął ślinę. Miał od dawna przyobiecane, że będzie giermkował w Kłodzku, u pana Puty z Czastolovic, ramię w ramię ze swym druhem Szpaczkiem Baruthem. Zbyt dobrze znał jednak ojca, by nie tylko słowem, ale choćby drgnieniem powieki wyrazić obiekcje. Skłonił się głęboko przed rycerzem z blizną.

– Do dni pięciu – rzekł sucho pan Egbert de Kassel – stawisz się w Kopańcu, konno i zbrojno. Pojąłeś?

– Tak jest.

●

– Ooo – klasnęła na jego widok w ręce Elencza ze Skałki. – Parsifal! Na koniu? Zbrojny od stóp do głów? Na wojnę jedziesz, czy jak?

– Jużci – napuszył się lekko. – Jest rozkaz, tedy mus jechać. Ojczyzna w potrzebie. Husyci pono znów do napaści się sposobią.

Elencza spojrzała spod powiek, westchnęła. Zawsze wzdycha, gdy mowa o husytach, skojarzył. Widać nie bez przyczyny. Plotka krąży, że dziewczyna od husytów krzywd zaznała. Pani Dzierżka nigdy o tym wprost nie mówiła, ale coś tu na rzeczy musi być.

– Przez Skałkę mi droga wypadła – wyprostował się w siodle, poprawił fantazyjny szaperon – tom zadumał zajrzeć. O pani Dzierżki zdrowie spytać...

– Bóg zapłać – powiedziała Dzierżka de Wirsing. – Dzięki ci za troskę, młody panie Rachenau.

Przestąpiła próg z wielkim trudem, wspierając się na kosturze, widać było, że każdy ruch kosztuje ją mnóstwo wysiłku. Wciąż, jak zauważył, nie była w stanie wyprostować pleców. I tak cud, że już wstaje z łoża, pomyślał, od napadu minęły wszak zaledwie dwa miesiące. Skałka nadal

była w trakcie odbudowy, krokwi nad nową stajnią wciąż jeszcze nie pokrywał dach, trwały prace przy nowych stodołach i szopach.

– Ociec kazali wam rzec, pani, byście się nie lękali – Parsifal znowu poprawił szaperon. Ustroiła go weń matka, a on za nic nie mógł przywyknąć. – Chroni was somsiedzki landfryd, niechby was kto spróbował ruszyć, z całym okolicznym rycerstwem będzie miał do czynienia.

– Dzięki wielkie... – Dzierżka wyprostowała się, na ile mogła, mrużąc oczy z bólu. – A ty giermkować jedziesz? Wolno spytać, u kogo?

– U szlachetnego rycerza Egberta de Kassel.

– Pana na Kopańcu. – Dzierżka znała na Śląsku niemal wszystkich. – Rycerz to bitny, czasem nawet aż za bardzo. Familiant Hackebornów z Przewozu.

A więc jednak, zajęczał w duszy Parsifal. A więc to giermkowanie to nic innego, a wstęp do zaręczyn.

– Pan de Kassel – mówiła dalej Dzierżka – to również dobry znajomy naszego inkwizytora, wielebnego Grzegorza Hejnczego. Drużą ze sobą. Nie wiedziałeś o tym? No to już wiesz. A na czymże to ty wierzchem, chłopcze, na służbę wyruszasz? Na fryzyjskim źrebcu? Niezły rumak, niezły... Ale pod juki. Wsiądziesz na lepszego.

– Pani... Nie godzi mi się...

– Ani słowa. Coś wam zawdzięczam, twojemu ojcu i tobie. Pozwól mi się choć konikiem zrewanżować.

●

Inkwizytor Grzegorz Hejncze przedefilował wraz z Egbertem de Kassel przed drużyną, mierząc każdego ze zbrojnych bacznym spojrzeniem. Przed Parsifalem wstrzymał konia.

– Nowy – przedstawił de Kassel. – Młody Rachenau, syn pana Tristrama z Bukowa.

– Tak przypuszczałem – kiwnął głową inkwizytor. – Bo podobieństwo uderzające. A koń, ha, przepiękny, widać, że prawdziwie kastylijskiej krwi. Ze skałeckiej stadniny, o zakład idę. Od Dzierżki de Wirsing, wdowy po Zbylucie Leliwicie.

– Buków Rachenauów – wyjaśnił de Kassel – ze Skałką po somsiedzku. Pan Tristram jejmość Dzierżkę odsieczą wybawił... Gdy się przydarzył ów napad, wiecie...

– Wiem – uciął Hejncze, patrząc Parsifalowi prosto w oczy. – Dzierżka dwakroć się śmierci wywinęła... I oto ty, chłopcze, na koniu od niej otrzymanym... Dziwnie się losy plotą, dziwnie... Rozkaż wymarsz, Egbercie.

– Tak jest, wasza wielebność.

●

Jedziemy jak na wojnę, pomyślał Parsifal. W wojennym szyku, zbroi i oporządzeniu, z bronią pod ręką, pod surową wojenną komendą i regułą. Wystarczy spojrzeć na twarze rycerza Egberta i inkwizytora, na oblicza armigerów, na opatrujących kusze inkwizytorskich knechtów. Idziemy do walki. Wczoraj w nocy śniły mi się krew i ogień... Będziemy się bić jak nic. I nie gdzieś na granicy, lecz chyba tu, w samym sercu Śląska, przy strzegomskim gościńcu, w kierunku Bolkowa, niedaleko wsi...

– Wieś Chmielno – wskazał Egbert de Kassel. – I karczma. Dokładnie tak, jak w donosie. Co rozkażesz, Grzegorzu?

– Otoczyć.

●

Piał kogut. Ujadały psy. Kaczki kwakały, taplając się w bajorku. Śpiewał kos, brzęczały pszczoły, bzyczały muchy nad gnojówką, a słonko świeciło, że aż dusza rosła. Wychodzący właśnie z ustępu chłop cofnął się gwałtownie na widok zbrojnych, skrył za drzwiami z wyrżniętym serduszkiem. Baba w chustce na głowie rzuciła grabie i uciekła pędem, zadzierając plączącą łydki spódnicę. Dzieciaki z zachwytem gapiły się na broń, strój i oporządzenie otaczających budynki armigerów i knechtów z Kopańca. Parsifal zajął wyznaczone mu stanowisko. Wytarł w płaszcz spocone dłonie, nadaremnie, bo natychmiast spociły mu się znowu.

– Urbanie Horn! – zawołał głośno i dźwięcznie inkwizytor Grzegorz Hejncze. – Wyjdź!

Żadnej reakcji. Parsifal przełknął ślinę, okręcił pas, namacał rękojeść miecza.

– Urbanie Horn! Karczma jest otoczona! Nie masz żadnych szans! Wyjdź po dobrej woli!

– Kto wzywa? – rozległo się z wewnątrz, zza uchylonej okiennicy.

– Grzegorz Hejncze, *inquisitor* papieski! I dobry rycerz Egbert de Kassel z Kopańca!

Drzwi karczmy skrzypnęły, uchyliły się. Knechci unieśli kusze, de Kassel spacyfikował ich gestem i warknięciem.

Na progu stanął mężczyzna odziany w krótki szary płaszcz spięty błyszczącą klamrą, w obcisłym, szamerowanym srebrem wamsie i wysokich kurdybanowych butach. Głowę mężczyzny krył czarny atłasowy szaperon jeszcze bardziej fantazyjny od Parsifalowego, z jeszcze dłuższą i jeszcze fantazyjniej zawiniętą *liripipe*.

– Jestem Urban Horn. – Mężczyzna w szarym płaszczu rozejrzał się. Oczy miał przenikliwe, na ustach arogancki grymas. – A gdzież panowie Hejncze i de Kassel? Wokół widzę wyłącznie uzbrojonych gemajnów z gębami opryszków.

– Jam jest Egbert de Kassel – wystąpił rycerz. – A otaczają was moi ludzie, tedy darujcie sobie obelgi.

– I nie traćmy na nie czasu. – Inkwizytor stanął obok. – Znasz mnie, Urbanie Horn, wiesz, kim jestem. I doskonale rozumiesz swoje położenie. Jesteś osaczony, nie wyrwiesz się. Dostaniemy cię, jak nie żywego, to umarłego. Nasza oferta brzmi: uniknijmy przelewu krwi. Nie jesteśmy barbarzyńcami, lecz ludźmi honoru. Poddaj się z dobrej woli.

Mężczyzna milczał chwilę, krzywiąc usta.

– Moi ludzie – powiedział wreszcie – to sześciu Czechów i czterech tutejszych, Ślązaków. Wszystko najemnicy, ze mną powiązani wyłącznie pieniężnym kontraktem, żadnym innym sposobem. Nie wiedzą nic, a żadnego przestępstwa się pod moim dowództwem nie dopuścili. Żądam, by puszczono ich wolno.

– Nie możesz żądać, Horn – uciął Hejncze. – Ale zgadzam się. Zostaną zwolnieni. O ile nie ciąży na którymś kondemnata za jakieś dawniejsze sprawki.

– Słowo rycerskie?

– Słowo duchownego.

Horn parsknął, powstrzymał się. Dobył z ozdobnej pochwy sztylet, ująwszy za klingę wręczył go inkwizytorowi.

– Składam broń. – Ukłonił się beztrosko. – I zarazem składam propozycję. Zamierzałem właśnie zaordynować obiad do alkierza. Zamiast jednej kaczki mogą podać trzy, a apetycznie wyglądały te ptaki

na rożnach. Zechcą panowie przyjąć zaproszenie? Jesteśmy wszak ludźmi honoru, nie barbarzyńcami.

●

Obiadującej w alkierzu trójce asystowało tylko dwóch armigerów, pan de Kassel wezwał do siebie tylko Jana Karwata i Parsifala von Rachenaua. Karwata dlatego, że był przybocznym i w pełni zaufanym. Parsifala, bo był nowy, zielony i miał nikłe pojęcie, o czym mówiono. Parsifal nie miał co do tego złudzeń ani wątpliwości.

– Dobry masz rok, Grzegorzu – rzekł Horn, rwąc zębami mięso z trzymanej oburącz kaczki. – W marcu aresztowanie Domarasca, teraz ja. Jeśli my już przy tym, Domarasc żyje jeszcze?

– Nie odwracaj ról, Horn – uniósł oczy Hejncze. – Na spytki to ja ciebie będę brał. Marzę o tej chwili od czterech lat, od czasu, gdyś wymknął mi się we Frankensteinie.

– Kiedy mi szczęście sprzyjało, to sprzyjało – pokiwał głową Horn. – A kiedy opuściło, to na dobre. Wczoraj śniła mi się, psiakrew, zdechła ryba, taki sen zawsze wróży niefart. Żeś mnie dopadł akurat teraz, dzisiaj, mój pech i zła moja. Zwykłeś widzieć we mnie husyckiego wywiadowcę, zdziwi cię, ale tym razem przybyłem na Śląsk w innej roli. Prywatnie. W sprawie osobistej.

– Ach. Być nie może.

– Przybyłem na Śląsk – Urban Horn zlekceważył drwinę – dla prywatnej zemsty. Czy zaciekawi cię, o kogo chodzi? Powiem: o Konrada, biskupa Wrocławia. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Wszak i ty, Grzegorzu, masz z biskupem na pieńku. Jak to mówi przysłowie? Wróg mojego wroga...

– Horn! – Inkwizytor wycelował w niego kość z kaczego udka. – Ustalmy jedno. Moje zatargi z biskupem to moja rzecz. Ale biskup to najwyższa instancja kościelna na Śląsku, ostoja stabilizacji i gwarant ładu. Cios wymierzony w biskupa to cios w ład, nie wciągniesz mnie w coś takiego. Nawet nie próbuj. Ja wiem, co ty osobiście masz do biskupa. Zbadałem, wystaw sobie, sprawę świdnickich beginek, znam dokumenty z procesu i relację z egzekucji twojej matki. Współczuć ci mogę, współdziałać nie będę. Zwłaszcza nie do końca przekonany o twoich intencjach. Wmawiasz mi, że kierują tobą pobudki osobiste, że idzie o porachunki, że to w tym celu przybyłeś na Śląsk z najemnikami.

A dla mnie byłeś, jesteś i pozostaniesz husyckim szpiegiem, działasz na rzecz naszych wrogów. A że nie dla idei poprawy świata? Że nie dla Husa, nie przeciw błędom, wypaczeniom i korupcji Rzymu? Nie z dogłębnego przekonania o konieczności reformy *in capite et in membris*? Że to dla prywaty, dla osobistej zemsty? Żadna to dla mnie różnica. Tak jak żadna dla głodujących żebraków, których widziałem w drodze, siedzących u ruin i pogorzelisk wsi. To ty spaliłeś te wsie, Urbanie Horn, ty skazałeś tych ludzi na nędzę i śmierć głodową.

– Trwa wojna – odparł hardo szpieg. – A wojna, wybacz banał, jest okrutna. Nie bierz mnie pod włos, Grzegorzu. Ja też mógłbym ci pokazać spalone osady pod Nachodem i Broumovem, tamtejszych okaleczonych ludzi, zgliszcza i groby pomordowanych, znaczące szlaki katolickich krucjat!

– Wybaczyłem jeden banał, ten o wojnie. Nie zasypuj mnie kolejnymi.

– I wzajemnie.

Milczeli jakiś czas. Wreszcie Horn cisnął psu resztkę kaczki, porwał kubek i wypił go duszkiem.

– Zostawmy – odstawił kubek ze stukiem – na chwilę biskupa i dobro Kościoła. A co powiesz o Grellenorcie? Moim celem nie był biskup wrocławski, zdaję sobie sprawę, że to ciut za wysoko dla mnie, gdzie mi z motyką na słońce. Celem mojego ataku miał być owiany tajemnicą zamek Sensenberg, kryjówka Grellenorta. Miejsce, w którym ten biskupi bękart bluźni Bogu, uprawia czarną magię i nekromancję, gdzie warzy trucizny, jady i odurzające dekokty, dokąd przyzywa demony i diabły. Skąd wysyła swych Jeźdźców na terrorystyczne misje, każąc mordować spokojnych obywateli. Poucz mnie, inkwizytorze, jak to jest? Możnali atak na takie miejsce uznać za agresję na Kościół? A może prawdą jest to, co mówią, że dla Rzymu cel uświęca środki, że do walki z wolną myślą, herezją i ruchami reformatorskimi wolno zaprząc i wykorzystać wszystko, w tym i czarną magię?

Teraz na Grzegorza Hejnczego przyszła kolej długo pomilczeć. Parsifal, choć rozumiał piąte przez dziesiąte, zawisł wzrokiem na jego twarzy. Widział, jak mięśnie na żuchwach inkwizytora zagrały, jak oczy błysnęły, a usta złożyły się do odpowiedzi.

– Wiem, gdzie się znajduje zamek Sensenberg – uprzedził go Urban Horn. – I jak tam trafić.

– Czarni Jeźdźcy – odezwał się de Kassel – zamordowali Albrechta Barta z Karczyna, ów był mi druhem. Jeśli o mnie idzie, gotów jestem...

– Nie mieszaj się do tego, Egbercie – przerwał ostro inkwizytor. – Proszę.

Pan na Kopańcu zachrząkał, nerwowo zatarł dłonie. Grzegorz Hejncze w milczeniu skinął, dając znak, by Horn mówił dalej.

– To jest – rzekł Horn – niepowtarzalna okazja.

Hejncze milczał, przyłożywszy dłoń do czoła tak, by skryć oczy.

– Grellenorta – kontynuował cicho husycki szpieg – na Sensenbergu nie ma. Z większością swych zbirów pojechał na łużyckie pogranicze, polować na naszego wspólnego znajomego, medyka Reinmara z Bielawy. Dowiedział się bowiem, że Reynevan...

Inkwizytor odjął dłoń od czoła. Horn umilkł pod jego wzrokiem.

– Tak – odchrząknął. – Przyznaję. To za moją sprawą Grellenort dowiedział się o Reynevanie. To ja sprawiłem...

– Wiemy już – przerwał Hejncze – co sprawiłeś.

– Reynevan się wykaraska... On zawsze się wykaraska...

– Do rzeczy, Horn.

– Na Sensenbergu zostało zaledwie kilku. Naszą połączoną siłą sprawimy się z nimi w mig. I spalimy to gniazdo żmij, siedlisko zła. Pozbawimy Grellenorta kryjówki, ośrodka terroru, czarnoksięskiego zaplecza, źródła haszsz'iszu i innych narkotyków. Zasiejemy zwątpienie i strach wśród jego Jeźdźców. Przyspieszymy jego upadek.

– Ha! – Egbert de Kassel zatarł dłonie, spojrzał na inkwizytora, zmilczał.

– Spotkałem się – powiedział powoli Grzegorz Hejncze – ostatnio z opinią, że terroryzm jest złem i że wiedzie donikąd. To zdaje się wątpliwościom nie ulegać. Jest jednak jedna rzecz gorsza od terroryzmu: metody jego zwalczania.

Długo panowała cisza.

– Cóż – odezwał się wreszcie inkwizytor. – *Ad maiorem Dei gloriam*, cel uświęca środki... Hajże zatem na Sensenberg. *Viribus unitis*... Stać, stać, powoli, dokąd to, Horn? Nie dokończyłem zdania. Zawieramy rozejm, będziemy współdziałać. Ale za pewnymi kondycjami.

– Słucham.

– Nie chcąc nazwać naszego rozejmu kruchym, nazwę go tymczasowym. Wolny jeszcze nie jesteś, po Sensenbergu będę chciał z

tobą pogawędzić. Dokonać wymiany informacji. I ustalić zakres... wzajemnych przysług... W przyszłości.

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz, o co. Ty coś dasz, ja coś dam. By się nam lepiej i dyskretniej rozmawiało, odosobnię cię. Nie w więzieniu. W klasztorze.

– Jeśli już – uśmiechnął się Urban Horn – to proszę w żeńskim. Na przykład w tym, w którym więzisz narzeczoną Reynevana.

– O czym ty, u diabła, mówisz? – uniósł się Hejncze. – Jaka narzeczona? Już któryś raz dochodzą do mnie te banialuki. Ja miałbym... Święte Oficjum miałoby uprowadzać i inkarcerować panny? To jakiś absurd!

– Twierdzisz, że to nie Inkwizycja więzi Juttę Apoldównę?

– Tak właśnie twierdzę. Dość bzdur, Horn. Przed nami *sanctum et gloriosum opus*. Sensenberg i Czarni Jeźdźcy.

– Damy im radę, bośmy w kupie. – Egbert de Kassel wstał, palnął pięścią w stół. – A w kupie siła! W drogę, z Bogiem! Jeżeli Bóg z nami, któż przeciw nam?

– *Si Deus pro nobis* – podjął Hejncze – *quis contra nos*?

– *Když jest Bůh z námi* – dokończył z uśmiechem Horn – *i kdo proti nám*?

●

Pojechali nie tracąc czasu, w skok, w czterdzieści pięć koni, drużyna kopaniecka, knechci inkwizytora, najemnicy Horna. Jechali w kierunku Gór Kaczawskich; drogi Parsifal dokładnie nie spamiętał, będąc w stanie permanentnego i bliskiego dygotu podniecenia.

Po jakimś czasie zostawili za plecami ostatnią wioskę, ostatni ślad ludzkiego bytowania, znaleźli się wśród dzikich pustkowi, na Śląsku, jakiego Parsifal nie znał. Przekonany o pełnym już triumfie cywilizacji, ze zdumieniem patrzył na prastary bór, którego nie tknęła siekiera. Na kamieniste, jałowe, poprzecinane wąwozami pustacie, których od lat chyba nie deptała ludzka stopa.

A potem zobaczyli. Strome, poszarpane urwisko. Wznoszący się nad nim szczyt. A na szczycie ruinę zamku, zębatą krenelażami miniaturę rycerskiego kraku z Ziemi Świętej.

Do zamku wiódł kręty wąwóz. U jego wejścia powitał ich widok tego, co zostało z poprzedników. Marsową twarz Egberta de Kassel pokryła

bladość, zbledli zahartowani w bitkach armigerzy. Knechci żegnali się znakiem krzyża, niektórzy jęli modlić się głośno. Parsifal zamknął oczy. Mimo tego widział. Widok wrył się w pamięć.

Wejście do jaru zupełnie niemal tarasowała wielka kupa kości. Bynajmniej nie bezładna. Ktoś zadał sobie trud, by z czaszek, miednic, femurów i splecionych z żebrami piszczeli ułożyć powitalną dekorację, coś w rodzaju łuku triumfalnego. Mdlący smród dowodził, że konstrukcja była w stałej rozbudowie, coś dołożono do niej całkiem niedawno.

Konie nie chciały iść, zaczęły chrapać, miotać się i tłuc kopytami. Nie było wyjścia, mus był je zostawić. Spieszony oddział ruszył wąwozem. Przy spętanych koniach pan de Kassel rozkazał objąć straż czterem knechtom. Pod komendą armigera. I Parsifala von Rachenaua.

Tym to sposobem Parsifal von Rachenau, będąc formalnie pełnoprawnym uczestnikiem zdobywania Sensenbergu, z samego zdobywania nie widział nic. W szczególności ominął go widok straszliwej śmierci trzech knechtów, których w bramie zamku zbryzgała ogniem greckim magiczna pułapka. Nie widział, jak najemnicy Horna po ciężkiej walce zmasakrowali czterech Czarnych Jeźdźców na dziedzińcu. Jak knechtów inkwizytora, którzy wtargnęli do alchemicznego laboratorium, zaatakował monstrualny karzeł, gnom czy inny piekielnik, ciskając w nich butlami ze żrącym kwasem. Jak potwór spłonął żywcem, sam w rewanżu obrzucony pochodniami.

Parsifal nie widział zaciętej walki, jaką stoczyło z de Kasselem i kopanieckimi armigerami pięciu ostatnich Jeźdźców, osaczonych w sali rycerskiej. Nie widział, jak ich wreszcie rozsieczono, porąbano po prostu na kawałki. Nie widział, jak ich krew sikała na mury i na freski na nich. Na Jezusa, po raz wtóry upadającego pod krzyżem, na Mojżesza z kamiennymi tablicami, na Rolanda w bitwie z Saracenami, na wjeżdżającego do Jerozolimy Godfryda de Bouillon. I na Percivala, klęczącego przed Graalem.

Był wieczór, gdy oddział wrócił. Inkwizytor Hejncze. Urban Horn z zabandażowaną ręką. Ranny w głowę Egbert de Kassel z Kopańca. I dwudziestu czterech ludzi. Z trzydziestu sześciu, którzy z nimi wyruszyli.

Odjechali w milczeniu, w skupieniu. Bez zbędnego gadania, bez zwykłego przy w takich okazjach przechwalania się czynami i

przewagami. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. *Sanctum et gloriosum opus*, oto, czego dokonali.

A na tle rozgwieżdżonego nieba czarny blok ruiny zamku Sensenberg płonął jak pochodnia, buchając ogniem ze wszystkich swych okien.

●

– W nocy śnił mi się pożar – powiedział Reynevan, zarzucając siodło na konia. – Wielki ogień. Ciekawe, co też może znaczyć taki sen. Może przed wyjazdem odwiedzimy mistrza Zbrosława? Bo może to był sen wieszczy? Może znaczy, że trzeba się spieszyć jak do pożaru?

– Oby nie. – Rixa dociągnęła popręg. – Obejdziemy się bez takich wieszczb, bez ogni i bez pożarów. Zwłaszcza że dzień zapowiada się upalny.

Rozdział czternasty

w którym krwawią hostie i spotykają się przyjaciele. A nad miastem Bolesławiec zapada noc. I niczym u Wergilego sen pogrążył wszystko co żywe.

Dzień dziewiątego czerwca Anno Domini 1429 powitał ciepłem od samego brzasku, zaś już około trzeciej godziny dnia zapanował skwar, upał wręcz paraliżujący. Mieszkańcy Gelnau, wsi położonej u samego wylotu Przełomu Nysy, którzy zawsze, każdego dnia bacznie poglądali ku wznoszącej się na południu górze Warnkoppe, dziewiątego czerwca zalegli w cieniu, błogo rozleniwieni i obojętni na wszystko.

Z otępienia wyrwał ich krzyk. Krzyk pełen przerażenia.

– Sygnał! Sygnaaał!

Krzyczał rolnik z najdalej położonego pola. Krzyczał, wskazując na górę Warnkoppe, ze szczytu której wznosił się i bił w niebo pionowy słup czarnego dymu.

•

W Jemlitz, miasteczku położonym na południe od Żytawy, proboszcz parafii Świętego Cyriaka dreptał przez nawę kościółka, ocierając rękawem sutanny spoconą twarz. Spocił się, pokrzykując i pomstując na robotników, którzy remontowali budynek gospodarczy plebanii, teraz spieszył do zakrystii, by wytchnąć w chłodzie murów. Nader, oj, nader często zapominał, by w drodze przystanąć, przyklęknąć i przeżegnać się przed ołtarzem, a jeśli nawet to czynił, to machinalnie i bezmyślnie. Zeszłej nocy proboszcza nawiedził jednak sen, zły sen, po którym duchowny przysiągł sobie nie dopuszczać się więcej podobnych zaniedbań.

Zatrzymał się, przyklęknął. I zaczął krzyczeć. Głosem tak okropnym, że usłyszeli i przybiegli robotnicy z plebanii.

Ołtarz zalany był krwią. Krwią, która wyciekła z tabernakulum.

•

Na żytawskim gościńcu załomotały kopyta, obok wozu przemknął goniec konny, zostawiając za sobą wielką chmurę kurzu. Drwal Hunsrück zdążył jednak na ułamek sekundy zobaczyć wykrzywioną w zgrozie twarz jeźdźca. Od razu wiedział, co się święci.

– Jorg! – wrzasnął na syna. – Biegiem przez las do chałupy! Niech matka pakuje dobytek! Uciekamy! Czechy idą!

●

Biły na trwogę dzwony kościołów Świętego Krzyża i Piotra i Pawła. Dudniły buty, szczękało żelazo, krzyczeli setnicy. Miasto gotowało się do obrony.

– Przodem idą patrole – zameldował przybyły ze zwiadu rycerz Anzelm von Redern. – Za nimi idzie oddział konny, będzie nad trzysta koni. Za konnymi ciągnie cała potęga, jakieś sześć, siedem tysięcy z więcej jak dwiema setkami wozów. Nie ma machin oblężniczych.

– A zatem na miasto nie uderzą – odetchnął Lutpold Uechteritz, starosta Żytawy. – Zgorzelec za swymi murami też może, widzi mi się, spać spokojnie. Ale co się dostanie miasteczkom, podgrodziom i wsiom, to się dostanie. Niektórym już po raz drugi.

– W Ostritz – załamał ręce Venantius Pack, opat franciszkanów – ledwo nowe krokwie gontem kryją... Klasztor cysterek ciągle w ruinie... Bernstadt jeszcze się z popiołów nie podniosło...

– Pozwolim na to? – zawołał zapalczywie młody Kaspar Gersdorf. – Nie wyjdziem zza murów? Nie ruszym w pole?

Ulryk von Biberstein, pan na Frydlandzie i Żarach, tylko parsknął lekceważąco. Starosta Uechteritz spojrzał młodzikowi w oczy.

– Ich jest siedem tysięcy – odrzekł zimno. – Z czym chcesz w pole, chłopcze?

– Z imieniem Boga na ustach! Przebóg, ja z moimi idę!

– Nie zatrzymuję.

– Jeśli pozwolicie, opuszczę Żytawę i ja. Z moimi ludźmi.

Lutpold Uechteritz obejrzał się. I przełknął ślinę.

Birkart Grellenort, wysłannik biskupa wrocławskiego. Wysoki, szczupły, czarnowłosy i czarno odziany. Ptasie oczy, zły uśmiech. I wejrzenie diabła.

– Idźcie – skinął przyzwalająco. – Idźcie, panie Grellenort.

Oby jak najdalej, dodał w myśli. I nie wracajcie. Ani ty, ani żaden z twoich piekielnych jeźdźców.

●

Reynevan czuł magię. Umiał ją wyczuwać. Nie stracił, jak się okazało, tej przydatnej umiejętności.

Wysoką drogę opuścili wkrótce po wyjeździe z Legnicy, zmusiła ich do tego nagła a nadzwyczajna aktywność podjazdów i patroli, zatrzymujących wszystkich do kontroli i naprzykrzających się na wszelkie możliwe sposoby. Wieści z Łużyc sprawiły, że psychoza husyckich szpiegów, czarownic i żydowskich dywersantów udzieliła się w Legnicy wszystkim, zapanowała nad wszystkimi umysłami. Przy wyjeździe z miasta zmitrężyli mnóstwo czasu, Brama Chojnowska była kompletnie zakorkowana. Kontroli i śledztwu poddawano co prawda tylko chcących wjechać do miasta, ale i opuszczającym przyglądano się nader podejrzliwie. Drogi roiły się od zbrojnych. Zaraz za Legnicą, ledwo wjechali na Via Regia, trakt wiodący przez całą Europę, napatoczyli się na kontrolujący podróżnych oddział konny. Od kłopotów wybawiła ich awantura, jaką wszczął zmierzający do domu kupiec z Kijowa, rozeźlony tym, że knechci bebeszą mu wozy i zupełnie nie pojmują, co do nich mówi. Około ćwierć mili dzieliło ich od komory mytniczej w Eibenmühl, Rixa podejrzewała tam kolejny punkt kontrolny; posterunek i blokada były też prawdopodobnie przy komorze celnej w Tomaszowie. Choć tedy *Via Regia* dawała możność podróżować szybko i wygodnie, rozsądniej było porzucić transeuropejski trakt i jechać lasami.

Noc zastała ich w bliskości Chojnowa, po ubiegłorocznej rejzie wciąż będącego ruiną i pogorzeliskiem. Przyjrzawszy się rankiem zgliszczom miasta, Reynevan zwątpił, by kiedykolwiek zdołało podnieść się z ruin.

Nadal trzymali się dróg polnych, ścieżek i wyboistych leśnych duktów, zmierzając ku zachodowi. Minęli, patrząc z góry, położoną w dolinie wioszczynę nad zakolem krętej rzeczki. I tu Reynevan wyczuł magię.

Czuł ją, węszył w leśnym zapachu mchu i żywicy, w wietrze, słyszał w nerwowym pokrzykiwaniu sójek i srok, w szumie liści i skrzypie pni. Wzbierający gwałtowną falą niepokój sprawił, że zatrzymał Rixę, mocno

chwytając za tręzle jej konia. Nim zdążyła o cokolwiek spytać, zaczęło się.

– *Adsumus! Adsuuumus!*

Zza porośniętego jeżyną grzbietu po lewej wypadło i runęło na nich po pochyłości dziesięciu Czarnych Jeźdźców.

Obrócili konie i karkołomnym galopem puścili się w dół, ku rzeczce. Gdy forsowali ją w rozbryzgach błota, od prawej flanki osaczyło ich następnych pięciu Jeźdźców. Reynevan zdążył już, choć w pędzie, nakręcić windę swej myśliwskiej kuszy, teraz podrzucił łoże do policzka i nacisnął spust. Pomny dawnych nauk i doświadczeń nie mierzył w człowieka, lecz w konia. Trafiony bełtem kary ogier stanął dęba i zaszalał, zwalając na ziemię nie tylko własnego Jeźdźca, ale i dwóch sąsiednich, wśród pozostałych czyniąc zamieszanie, które pozwoliło im się przemknąć. I teraz rwali, bodąc boki koni ostrogami, kotliną w dół, na równinę, tam, gdzie bieliła się wstążka Wysokiej Drogi. Spod kopyt leciała rwana darń. A pościg następował im na pięty.

– *Adsumus! Adsumus!*

Z jaru po prawej, całkiem z bliska, wypadli kolejni Jeźdźcy, w pięć koni. Byli tak blisko, że w jednym rozpoznał dziewczynę. Ja ją znam, widziałem już, pomyślał. I skulił się w siodle, w samą porę, bo ciśnięty oszczep otarł mu się o ramię.

– *Adsuuuumuuus!*

Z łomotem kopyt wypadli na Via Regia, odsadzili się w szaleńczym cwale. Jeźdźcy byli tuż za nimi. Reynevan z przerażeniem dostrzegł, jak na ich czoło wysuwa się jeden, jak pędzi z rozwianym na kształt demonich skrzydeł płaszczem. Wiedział, kto to jest. Wiedział, zanim rozpoznał. Pochylił głowę na grzywę i runął w dziki bieg. Za Rixą, której gniada klacz rwała jak jeleń. Pomimo szaleńczych wysiłków, Czarni Jeźdźcy zaczęli zostawać z tyłu. Z początku nieznacznie, potem coraz wyraźniej. Zostawali w tyle. Ale nie zaprzestawali pogoni. Reynevan wiedział, że nie zaprzestaną. Rixa też to wiedziała.

– Komora! – przekrzyczała wiatr. – Celna!

Pojął. Punkt kontrolny w Tomaszowie, który chcieli ominąć, teraz mógł być ich ratunkiem. Zbiorowisko ludzi mogło być ich ocaleniem.

Ale od komory dzieliła ich jednak wciąż znaczna odległość. A konie, choć rącze, choć wciąż nie pozwalające Czarnym Jeźdźcom skrócić dystansu, nie były wszak z żelaza.

Reynevan poczuł magię. Usłyszał ją.

Pomurnik, nie zaprzestając cwału, uniósł rękę, wywrzeszczał zaklęcie. Konie Reynevana i Rixy zarżały dziko w odpowiedzi.

Droga przed nimi, biegnąca wśród szpaleru drzew Via Regia, dotychczas płaska jak stół, nagle jakby stanęła dęba. Tam, gdzie jeszcze przed momentem było równo i płasko, teraz wyrosła stromizna. Nie mające końca strome wzniesienie.

– To iluzja! – krzyknął Reynevan. – To czar! Tego nie ma!

– Powiedz to koniom!

Nie było sensu mówić. Konie zwolniły na stromiźnie. Darły się na nią, ale zaczęły chrapać, rzęzić, ronić płaty piany. Z tyłu doleciał ich triumfalny wrzask.

– W pole! Z drogi i w pole!

Skręcili. Ale pole też już nie było polem. Było górą, z pozoru jeszcze bardziej stromą aniżeli droga.

Przyszedł, uznał Reynevan, czas na środki rozpaczliwe.

Wysupłał spod kabata sznurek i zawieszony na nim żyłkowany kamyk z oczkiem w kształcie ludzkiego oka. Jakoby kastylijski, jakoby przywieziony z Burgos, nabyty w legnickim Zaułku Magów. Kosztujący trzy grosze. I prawdopodobnie tyleż wart.

– *Viendo, no vean!* – zakrzyczał, ściskając talizman w spoconej dłoni, tak mocno, jakby chciał go zgnieść. – *Viendo, no vean!* W bok, Rixa, w bok! Ku lasowi! Jedź ku lasowi!

– Widzą nas! Osaczą!

– Skręcaj ku lasowi!

Stało się niemożliwe. Niewiarygodne i nieprawdopodobne.

Talizman zareagował na zaklęcie-aktywator. I zadziałał.

Gnali ku lasowi, a doganiały ich krzyki, krzyki zdumienia i niedowierzania. A potem wściekłości. Nie oglądali się. Z twarzami wtulonymi w grzywy gnali, ile sił w koniach. Spowolnił i wyhamował ich dopiero las, gąszcz, wiatrołom, przepaściste wykroty. I cisza.

– Nie widzieli nas... – wciągnęła powietrze Rixa. – Naprawdę nas nie widzieli... Staliśmy się dla nich niewidzialni...

– Patrząc, nie widzieli – potwierdził, wdechami opanowując szalone bicie serca. – Ten amulet... Nawet się nie spodziewałem... A jeśli działa naprawdę dobrze, zmyli ich jeszcze bardziej, wyda im się, że nas słyszą...

tam, gdzie nas nie ma. A to może być, bo to był naprawdę mocny periapt...

– Był?

Bez słowa pokazał jej sznurek. Bez kamienia, który po aktywacji rozsypał się w proch.

– Jednorazówka – westchnęła Rixa. – Jak długo czar będzie działać?

– Tam jest Grellenort – wzdrygnął się na wspomnienie. – Nie łudźmy się więc zanadto nadzieją. Póki możemy, uciekajmy. Przepadnijmy w lasach.

– Dla zmyłki – Rixa upchnęła zmierzwione włosy pod kaptur – zmieńmy kierunek. Będą nas wypatrywać na drogach wiodących do Bolesławca. Będą myśleć, że zrobimy koło i wrócimy na trakt. A my jedźmy prosto na południe, jak najdalej...

– Nie zwlekając.

Obróciła się w siodle.

– Widziałeś tę dziewczynę? Tę jasnowłosą?

– Widziałem.

– To była Douce von Pack, miłośnica Grellenorta. Diablica wcielona.

Przypomniał sobie. Podwórzec zamku Troski. Oszczep przeszywający stolarskiego czeladnika. Oczy barwy toni górskiego jeziora. Piękne i absolutnie nieludzkie. Douce von Pack.

– Jedźmy.

●

Jechali cały dzień, tak rączo, jak było można bez narażania koni na zajeżdżenie. I tak, jak na to pozwalało bezdroże, gęsty las, mokradła, jary, zatarasowane plątaniną kolczastych gałęzi. Jechali, oglądając się i nasłuchując. Ale słyszeli tylko stukotanie dzięciołów.

By pokonać za dnia jak największy dystans, stanęli dopiero wtedy, gdy ciemności zupełnie uniemożliwiły dalszą jazdę. Zanocowali, nie odważając się rozpalić ognia, na względnie suchym pagórku. Nad koronami drzew świecił sierp księżyca, cieniutki jak wiórek.

●

– Zawracamy – zdecydowała Rixa. – Chyba ich jednak zgubiliśmy na dobre.

Jechali czas jakiś korytem płytkiej rzeczki, będącej według Rixy Bobrzycą, lewym dopływem Bobru. Bobrzyca przepływać miała przez leżący przy Via Regia Tomaszów. Zdaniem Rixy Tomaszowa należało jednak unikać, zasugerowała, by odbić na zachód i odnaleźć drogę wiodącą do wsi Warta. Reynevan zdawał się na jej znajomość okolic. Sam ich nie znał. Był tu wprawdzie z rejzą, wiosną roku 1428, ale wtedy nie podziwiał widoków i nie zapamiętał ich.

Bliskość jakiegoś osiedla, być może owej Warty właśnie, zdradził klekot bocianów i ujadanie psów. Niedługo potem usłyszeli łomot pracującego młyna. Potem zobaczyli młyn i pokryty kożuchem rzęsy staw młyński. Psy wciąż ujadały.

– Wjeżdżamy czy objeżdżamy?

– Wjeżdżamy – zdecydowała Rixa. – Wygląda bezpiecznie. Przy okazji popytamy ludzi. Wątpię, by Grellenort tu dotarł, ale spytać nie zawadzi.

Wjechali między opłotki i grządki. Ostrożnie. Nie dość ostrożnie.

Na samym skraju wsi rósł wielki dąb. Z jego gałęzi zwisało czterech wisielców. Jeden, świeżo widać powieszony, podrygiwał jeszcze.

Wokół dębu gromadził się tuzin zbrojnych, nie Czarnych, kolorowych. Zbrojni dostrzegli ich od razu. I skoczyli ku nim z wrzaskiem. Reynevan i Rixa zawrócili, tylko po to, by zobaczyć, jak od młyna dzikim cwałem pędzi na nich rycerz na koniu okrytym kropierzem. W pełnej zbroi płytowej. W zamkniętej saladzie. Z turniejową tarczą z herbem. Z nastawioną kopią. Nic, tylko Amadis z Walii. Albo inna rycerska legenda.

Rixa uniknęła nadziania, zwisając z siodła, potężny koń kopijnika zderzył się z jej wierzchowcem i obalił go, dziewczyna poturlała się po ziemi aż na brzeg młynówki, potężnie huknęła głową o słup. Koń Reynevana stanął dęba, rycerz rzucił kopię, dobył miecza, machnął nim na odlew; gdyby Reynevan nie zeskoczył, straciłby głowę. Pędzący koń uderzył go i obalił, runął w błoto, wprost pod inne kopyta.

Bojowy wrzask przybrał nagle na sile, jeźdźców dokoła nagle jakby przybyło, Reynevan zorientował się, że do konfliktu włączyły się inne siły. Lekkozbrojni konni w kapalinach, wielu ze znakiem Kielicha na piersi. Nie było jednak czasu na roztrząsanie tego faktu, wokół wrzała walka, chrapały i rżały konie, migały i szczękały ostrza, lała się krew. Ktoś znowu najechał go końską piersią, upadł, dostrzegł wznoszoną do pchnięcia włócznię. W tej samej chwili włócznik wyleciał z kulbaki, zdzielony flamandzkim gudendagiem.

– Samson!

– Reynevan?

Samson zatoczył koniem, chroniąc Reynevana przed kolejnym atakującym. Niepotrzebnie, atakujący już kulił się w siodle, dźgany rohatynami przez dwóch konnych z Kielichami. Trzeci dla dobrej miary ciął go w kark zakrzywionym falcjonem.

– Szarlej!

– Reynevan?

– Żywcem brać! – krzyczał młodzieńczym głosem dowódca husytów, rycerz w burym płaszczu na pełnej płycie. – Herbowych żywcem! Gemajnów pod nóż!

Było po walce. Kogo miano dobić, dobito, kogo związać, związano. Reynevan, cokolwiek ogłupiały, ściskał Szarleja i Samsona. Czemu z wysokości siodła przyglądał się rycerz w burym płaszczu. Gdy uniósł zasłonę salady, jego twarz wydała się Reynevanowi znajoma.

– Nasz hejtman – przedstawił Szarlej. – Brus z Klinsztejna z Ronoviców. Młodszy brat...

Nie dokończył. Jeden z zabitych tylko udawał zabitego, teraz zerwał się i skoczył na Brusa z burderzem. Nie doskoczył. Szarlej z bliska palnął weń z dziwnej krótkiej strzelby, rozwalając mu głowę na strzępy.

– Dzięki – rozgonił dłonią dym Brus z Klinsztejna z Ronoviców, młodszy brat Brazdy z Klinsztejna, hejtmana u Sierotek. – Dzięki, bracie Szarleju.

Reynevan przypomniał sobie o Rixie, rychło w czas, dziewczyna właśnie podniosła się z ziemi i wytrząsała piach z włosów.

– Wszystko w porządku?

– Całkowitym – odrzekła. I nagle usta skrzywił jej grymas, a oczy rozwarły się szeroko.

Patrzyła na Samsona.

– Oddział, zbierać się! – skomenderował Brus z Klinsztejna. – Odchodzimy!

– Młody pan Gersdorf pojedzie z nami – zwrócił się do rycerza kopijnika, owego Amadisa z Walii, który teraz, w niewoli, bez hełmu, stracił całą legendarną aurę, był zwykłym wystraszonym chłystkiem. – Szlachetnie urodzony Kaspar von Gersdorf, syn szlachetnego Lotara Gersdorfa. Liczę na sto grzywien za ciebie, młody panie. Nie mniej. Oddział, wymarsz! Bracie Szarleju, spraw straż tylną!

– W coś ty mnie ubrał? – spytała cicho Rixa, podjeżdżając do zamykającego pochód Reynevana. – Z kim ty się kumasz?

– Z nami – dosłyszał bystrouchy Szarlej. – Ze specjalnym oddziałem dywersyjno-zwiadowczym armii polnej Taboru.

– Rejza.

– A jakże. Tabor, wojsko w polu wojujące pod komendą Jakuba Kromieszyna z Brzezovic, kontyngenty miejskie pod Otikiem z Lozy, jazda pod Mikulaszem Sokołem z Lamberka, prażanie Wacława Cardy. Sześć tysięcy luda, dwieście wozów. My z naszym oddziałem specjalnym zapewniamy zwiad. Zdobywamy konie. Łapiemy dezerterów i bandytów, którzy kradną konie nam. Widzieliście wisielców we wsi? To koniokrady. Tropimy ich od trzech dni, młody Gersdorf nas wyręczył, bo my też mieliśmy dla nich stryczki. A Gersdorf ze swym podjazdem szarpie Tabor od samej Żytawy, dokucza, Kromieszyn rozkazał nam zrobić z nim porządek...

– Gdzie jest Tabor w tej chwili?

– Pod Bolesławcem. Nie słyszysz? To nie burza, Reinmarze, to bombardy. Wnet zresztą zobaczysz sam, tam wszak właśnie zmierzamy. A może masz inne plany? Może inne plany i zamiary ma waszmość pani, której nie znam? A która wygląda na niezbyt zachwyconą naszą kompanią?

– Jestem Rixa Cartafila de Fonseca. Do moich planów i zamiarów nic nikomu. A czym się mam zachwycać? Tym, że tuż obok mnie jedzie dybuk?

Obróciła się i oskarżycielsko wymierzyła palec w Samsona.

– Dybuk, ha! – Szarlej parsknął. – Doczekałeś się, Samsonie, trafiła kosa na kamień. Rozpoznała cię w mig. Dybuk, jak pragnę szczęścia, dybuk całą gębą. Demon, zły duch, wcielony w cudze ciało. A ja, pomyśleć, podejrzewałem w tobie jedynie Żyda Wiecznego Tułacza.

– Z przykrością zmartwię obydwoje – odrzekł zmęczonym głosem Samson Miodek. – Nie jestem dybukiem. Ani Wiecznym Żydem. Wiedziałbym, gdybym był.

– Zostańmy nieco z tyłu. – Szarlej stanął w strzemionach, sprawdził, czy nikt z oddziału nie słucha i nie interesuje się nimi. – Opowiedz, Reinmarze, co się z tobą działo. I co cię tu przywiodło.

●

Wysłuchawszy, demeryt milczał długo. Huk dział z północnego zachodu dolatywał coraz wyraźniej.

– Czarni Jeźdźcy – powiedział wreszcie – dali się poznać i Taborowi. Za Żytawą, cztery dni temu, ogarnęli i wycięli nam *hlidkę*, dziesięciu ludzi, tylko jednemu udało się uciec. Potem znaleźliśmy kilku z tych, których wzięli żywcem. Wisieli za nogi na drzewach. Ktoś bardzo, naprawdę bardzo usilnie skłaniał ich do zeznań. A potem potraktowano ich jak tarcze do ćwiczenia rzutów oszczepem.

– Waszmość pani zaś – zwrócił się ku Rixie – jest tą, która zimą uratowała naszego Reinmara we Wrocławiu. I nadal, jak widzę, wspiera go pomocą, radą, siłą ducha i ujmującą osobowością. Z własnej inicjatywy? Czy też z czyjegoś polecenia, że pozwolę sobie zapytać?

– Wolałabym – Rixa przenikliwie spojrzała mu w oczy – byśmy sobie nie pozwalali. Ja nie będę o nic pytać i oczekuję wzajemności.

– Rozumiem. – Szarlej wzruszył ramionami. – Jako że to jednak oddział wojskowy, muszę coś zmyślić na użytek naszego wodza, Brusa Ronovica. Gdyby ów jednak chciał waszmość panią indagować...

– Poradzę sobie. Możesz mnie nazywać Rixą.

Szarlej trącił konia ostrogą, pokłusował na czoło.

– Co w Rapotinie, Samsonie? Marketa...

– Wszystko w najlepszym porządku – uśmiechnął się szeroko olbrzym. – Naprawdę w najlepszym. Lepszym, niż mógłbym się spodziewać. I chyba dużo lepszym, niż na to zasłużyłem. Nie chciała mnie puścić z Szarlejem. Nie słuchała argumentów...

– A miałeś argumenty?

– Kilka. Jednym byłeś ty. Rixo, czy ty naprawdę musisz tak wiercić mnie wzrokiem? Zdolność widzenia rzeczy ukrytych już udowodniłaś. Ale choćbyś najostrzej patrzyła, dybuka nie zobaczysz.

– A co zobaczę? Widzę ponadnaturalne. A ty jesteś ponadnaturalny.

– Jeden z moich znajomych – Samson nadal się uśmiechał – zwykł mawiać, że nie ma rzeczy ani zjawisk ponadnaturalnych. Niektóre po prostu wykraczają ponad to, co o naturze wiemy.

– To był święty Augustyn. Znałeś go, jak rozumiem, osobiście. I wcale mnie to nie dziwi.

– Robisz, Rixo, nadzwyczajne wprost postępy.

– Nie kpij ze mnie. Dybuku.

Przykłusował Szarlej, obrzucił ich surowym spojrzeniem.

– Co tu – zawarczał – się za filozoficzne dysputy odprawiają? Samsonie? Czesi się zaczynają oglądać. Trzymaj się, cholera, przyjętego incognito.

– Przepraszam, zapomniałem się. Tak może być? Niedawno wypracowałem. Popatrzcie.

Samson zrobił okropnego zeza. Uśmiechnął się głupawo, zakwilił kretyńsko i uślinił z kącika ust. A na finał wypuścił z nosa bańkę. Gdy pękła, wypuścił drugą.

– Ha! – zawołała z niekłamanym zachwytem Rixa. – Dobre, dobre! A ja potrafię udać iluzoryczną dżumę. Pluję krwią i smarkam...

– Niech was cholera! – Szarlej odwrócił się z odrazą. – Chodź, Reinmarze. Zostawmy ich ich zabawom.

●

– Szarleju?

– Tak?

– Ten krótki samopał, z którego strzelałeś pod młynem. Co to za dziwny oręż?

– To? – Demeryt zademonstrował dobytą z futerału przy siodle broń. – To jest, przyjacielu, praska strzelba, popularnie zwana „rucznicą zdradną". Wielce modna teraz sztuka w Pradze, wszyscy noszą. Jest, jak widzisz, na tyle krótka, że można ją ukryć pod płaszczem i użyć znienacka, zdradziecko, stąd nazwa. Lont jest, popatrz, wsadzony w mosiężny kurek, może się cały czas tlić. Za naciśnięciem cyngla, zauważ, że mogę zrobić to jedną ręką, lont dosięga zapału i buuuum! Dobre, co? Postęp, chłopcze, dokonuje się nieprzerwanie.

– Nijak zaprzeczyć. Słyszysz?

– Nic nie słyszę.

– Właśnie. Od dłuższego czasu bombardy milczą.

●

Wyjechali z lasów. Ze wzniesienia mogli podziwiać panoramę. Malownicze zakole Bobru. I miasto na prawym brzegu.

– Przed nami Bolesławiec, Brama Górna – wskazał Brus z Klinsztejna. – Wychodzi, że przybywamy w sam czas. Miasto się poddało.

Brama Górna okazała się wywaloną, zwisające z zawiasów resztki wrzeciądzy były zwęglone, mur i baszta bramna czarne od kopcia i

spękane od ognia. Taboryci ewidentnie zastosowali tu swój standardowy i wypróbowany sposób forsowania bram, polegający na ich przepalaniu. Pod bramą usypywano stos bierwion, dorzucano kilka beczek smoły i dziegciu, podpalano i czekano na efekt. Zwykle była nim kapitulacja. Jak teraz i tutaj.

– Wjeżdżamy. Rixa, a ty?

– Ja tu zaczekam.

– Na kogo? Po co?

Nie odpowiedziała, odwróciła głowę. Szarlej parsknął, potem obrzucił Reynevana wieloznacznym spojrzeniem. Widząc, że Reynevan nie reaguje, popędził konia, pojechał za oddziałem.

W mieście panował spokój, choć wiodące na rynek uliczki zapchane były uzbrojonymi po zęby husytami. Zwarty szyk Taboru stał też na rynku, dookoła ratusza. Stłoczeni pod ścianami domów mieszczanie przyglądali się agresorom w trwożliwej ciszy.

– Albo Bolesławiec już się dogadał – ocenił sytuację Szarlej – albo zaraz będzie się dogadywać. Normalka. Ustalą okup i kontrybucję w postaci utrzymania i zaopatrzenia dla wojska. Dojdą do porozumienia. Inaczej już by tu wszystko stało w ogniu.

U samego ratusza stało w ordynku kilkanaście wozów bojowych, sterczały z nich lufy hufnic. Był wśród nich i wóz sztabowy hejtmana, łatwy do rozpoznania po zdobycznych księżych ornatach, którymi grubo obito obie burty i wymoszczono wnętrze. Przy wozie stał własną osobą hejtman wojsk polnych Taboru, Jakub Kromieszyn z Brzezovic, odziany w zdobny złotym haftem kaftan i wysokie buty z czerwonej skóry. Towarzyszyli mu Otik z Lozy, Mikulasz Sokół z Lamberka i Wacław Carda, dowódca kontyngentu praskiego. I chudogęby kaznodzieja Smolik, którego Reynevan pamiętał z ubiegłorocznej rejzy.

Przyboczna straż przepuściła ich. Zbliżyli się. Reynevan odchrząknął.

– Hejtmanie...

– Nie teraz! – Kromieszyn rozpoznał go i zdziwił się wyraźnie, ale odprawił gestem. – Nie teraz, medyku!

Z ratusza wyłoniło się poselstwo miejskie. Rajcy i mieszczanie, prowadzeni przez otyłego księdza w sutannie i wysokiego brodacza w obfitym niby toga, drapowanym, dołem obszytym bobrzym futrem płaszczu. Płaszcz zwrócił uwagę Reynevana: był błękitny tym

niepowtarzalnym odcieniem błękitu, jaki jego zamordowany brat Peterlin uzyskiwał w swej farbiarni z urzetu i soku borówek.

Brodacz i otyły duchowny stanęli przed Kromieszynem, skłonili się. Brodacz jął mówić. Mówił tak cicho, że stojący o dziesięć kroków Reynevan, Szarlej i Samson pojmowali co piąte słowo. Ale wszyscy, nawet stojący dalej, rozumieli, o co chodzi. Bolesławiec poddawał się. Oferował wykup, byle tylko Tabor ich oszczędził. Ich od miecza, ich domy od ognia. Wszyscy, nawet stojący najdalej, zobaczyli też wściekłą nagle minę Kromieszyna. I usłyszeli jego głos. Jego lwi ryk.

– Teraz? Teraz wykup chcecie dawać? Gdy my już w mieście? Gdyście na naszej łasce? Późno, bolesławianie, późno! Wczoraj, gdym was do poddania wzywał, hardoście z murów odkrzykiwali! Coście to wołali, przypomnijcie? Nie coś o Kratzau przypadkiem? Dam ja wam teraz Kratzau! Popamiętacie mnie, psiepary!

Brodacz cofnął się o krok, zbladł. Gruby ksiądz przeciwnie, zdało się, że skoczy hejtmanowi do oczu.

– Wiedziałem – zapiał – że nie ma co z nimi gadać! *Excoecavit eos malitia eorum!* Tfu, heretycy! Świętokradcy! Zbrodniarze! Smażyć się będziecie w piekle! Spadnie na was kara Boża!

Na znak Kromieszyna taboryccy zbrojni otoczyli delegację, przyparli rajców do muru. Hejtman wojsk polnych stanął przed nimi, oparł pięści o biodra.

– Na was – powiedział – spadnie pierwej. Zaraz. Ja was pokaram w Bożym imieniu.

– Nuże, bracie Smoliku – zwrócił się do chudogębego kaznodziei. – Przemów do nich. Niechaj, nim opuszczą padół, usłyszą głos Bożej prawdy. Zbawienia i tak nie dostąpią, psiepary, sługusy Rzymu, pachołki babilońskiego Luksemburczyka. Ale lekcej im będzie ten świat żegnać.

Kaznodzieja wyprężył się jak struna, nabrał powietrza w płuca.

– Jest to wojna Pana! – zawołał piskliwie. – On więc wydał was w nasze ręce! Jedliście chleb nieprawości i piliście wino przemocy, przyszedł dzień kary. Zawiniliście przeciwko Panu, tedy krew wasza jak kurz będzie rozpryskana, a szpik wasz będzie jak błoto. Grzeszyłeś, przewrotny narodzie, wywyższałeś się pysznie, kłaniałeś kłamliwym idolom Rzymu, więc Bóg pokona cię i utnie ci głowę, jako zrobił Dawid Goliatowi. Bóg kruszy głowy swym wrogom, kudłatą czaszkę tego, co postępuje grzesznie!

– Dobre – ocenił Kromieszyn. – Zwłaszcza to z tą kudłatą czaszką. Chociaż o szpiku też było niezłe. No, chłopcy, słyszeliście? Brać ich i po kolei, jak Bóg nakazał, a brat Smolik przypomniał! Jako zrobił Dawid Goliatowi!

– Litości! – zawył wywlekany z grupy brodacz w błękitnym płaszczu. – Nie zabijajcie! Chrześcijanie! Miłosierdzia!

Taboryci chwycili go, zawlekli do wozu, oparli szyją na dyszlu. Któryś przyskoczył, ciął toporem. Musiał poprawiać dwakroć, w tym czasie mieszczanin rzęził i skrzeczał, a krew chlustała strumieniami. Wreszcie głowa upadła na zbryzgany bruk.

Siepającego się księdza rzucono na ziemię, przyciśnięto kolanami. Do potylicy przystawiono mu sześciocalowy gwóźdź.

I wbito kilkoma uderzeniami obucha, aż po główkę. Ksiądz zakrzyczał tylko raz, potem jedynie trzepotał i wierzgał nogami.

Na ściśniętych w ratuszowym portalu rajców spadły ciosy. Bito ich cepami, kiścieniami i toporami, sieczono mieczami, dźgano rohatynami. Nie minęło pół pacierza, a w kałuży krwi drgało tuzin ciał.

Kromieszyn bez słowa wskazał, a nim opuścił rękę, sześć tysięcy bojowników Taboru z dzikim wrzaskiem rzuciło się na miasto Bolesławiec.

W mig wytłuczono tych, co byli na rynku, wyrżnięto tych, co znaleźli się na ulicach. Potem wtargnięto do domów. Rozbrzmiał stamtąd jeden wielki potępieńczy krzyk, z okien jak grad zaczęli sypać się wyrzucani ludzie. Na zewnątrz kontynuowano masakrę, pardonu nie dawano nikomu, ulice w mig zasłały trupy. Krew rzeką płynęła rynsztokami, wypłukując z nich mydliny i urynę, wymywając śmieci, gnój i mierzwę.

Nie dały schronienia bolesławieckie świątynie. Wybito spieszących do Panny Marii i Mikołaja. Do rzezi doszło przed dominikańskim Świętym Krzyżem i na placyku przed Dorotą. Na krótki czas azyl dał kościół Świętej Jadwigi, w którym schroniła się z górą setka mieszczan i duchownych. Potem husyci wdarli się do kruchty, nawy i prezbiterium. Nikt nie uszedł z życiem, a kościół ogarnął ogień. Jasny płomień i słup dymu wzbiły się pod niebiosa.

Gdy tylko się zaczęło, gdy ścinano brodacza w błękitach, Samson postąpił krok, jakby chciał przeszkodzić. Chwycony przez demeryta za ramiona wyrwał się, ale został w miejscu, nie podszedł, nie wtrącił się. Nie zapobiegł. Odwrócił się tylko, pobladły jak wapno. Popatrzył na

Reynevana. Na Szarleja. I znowu na Reynevana. A potem w górę, na niebo. Zupełnie jak gdyby czegoś się stamtąd spodziewał.

– Bracie! – Reynevan podszedł nie do Kromieszyna, lecz do Otika z Lozy, którego znał lepiej. – Wpłyń na hejtmana, powstrzymajcie tę masakrę! Gdzie jest burmistrz grodu? Otto Arnoldus! Mus mi z nim mówić!

– Bo co?

– Posiada informacje najwyższej wagi! – zełgał gładko, przekrzykując wrzask mordowanych. – Tajne specjalnego znaczenia! Dla sprawy!

– No to macie pecha, ty i sprawa – rzekł przysłuchujący się Kromieszyn. – Oto, o, burmistrz Arnoldus. A oto, o, głowa burmistrza Arnoldusa.

Wskazywał na pierwszego zabitego, brodacza w błękitnym płaszczu, tego, którego ścięto na dyszlu.

– Nawet mi go żal – dodał. – Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. *Et lux perpetua luceat ei.*

– On... – Reynevan przełknął ślinę. – Arnoldus miał żonę... Ludzie! Kto ją zna? Kto wie...

– Ja wiem! – zgłosił się usłużnie jeden z miejscowych, z grupy tych, którzy służyli taborytom za przewodników. – To na ulicy Celnej. Wskażę!

– Prowadź.

●

Wirydę Arnoldusową, świeżo upieczoną wdowę po burmistrzu, zastali żywą. W splądrowanym mieszkaniu. Gramolącą się z podłogi i rozdygotanymi rękami usiłującą doprowadzić do ładu poszarpaną przyodziewę, zakryć nagość strzępami podartej sukni i koszuli. Samson głośno wciągnął powietrze. Szarlej zaklął. Reynevan odwrócił wzrok.

W wojsku polnym Taboru surowo karano za gwałty na niewiastach, wprowadzone przez Żiżkę wojskowe statuty przewidywały za gwałt chłostę lub nawet karę gardłową. Ale cóż, Żiżka nie żył już od pięciu lat, a jego statuty w sposób widoczny przedawniły się i wyszły z użycia. Nie wytrzymały próby czasu. Jak wiele innych zasad i reguł.

Samson zdjął opończę, narzucił na ramiona kobiety. Reynevan uklęknął obok.

– Wybacz, pani – wymamrotał. – Wiem, że nie w porę... Ale to kwestia życia i śmierci. Idzie o ratunek dla osoby w opresji... Muszę... Muszę zadać pytanie. Proszę...

Kobieta potrząsnęła głową, wplotła palce obu rąk w potargane włosy. Reynevan chciał dotknąć jej ramienia, w porę się powstrzymał.

– Proszę cię, pani – powtórzył. – Błagam. Klękam przed tobą. Wiem, że byłaś niegdyś więziona w klasztorze. Powiedz mi, gdzie.

Spojrzała nań znad rosnących na opuchłych policzkach sińców.

– W Mariensternie – powiedziała. – A teraz zostawcie mnie samą. Odejdźcie. I bądźcie przeklęci.

●

Na zewnątrz uspokoiło się. Kromieszyn wydał komendę zaprzestania rzezi, podhejtmani i setnicy nie bez trudu powściągnęli rozochoconych taborytów. Nie obyło się bez interwencji konnych Mikulasza Sokoła, którzy co bardziej zawziętych przywoływali do porządku razami batów, kijów i drzewc włóczni. Utemperowani Boży bojownicy zajęli się teraz wyłącznie plądrowaniem. Wsparty o swój obity ornatami wóz, Kromieszyn z zadowoleniem obserwował znoszone na rynek i składane na kupę zdobycze.

– No i jak, medyku? – Poganiający wojaków Otik z Lozy zobaczył Reynevana. – Znalazłeś burmistrzową? Wyciągnąłeś z niej coś?

– Trzeba mi pilnie na Łużyce. Do klasztoru w Mariensternie.

– Nam? – zmarszczył się Kromieszyn. – Ty jedź, gdzie oczy poniosą, nic mi do ciebie. Ale twoi kamraci służą w wojsku, a wojsko rusza na Żagań. Wnet rozkażę wymarsz.

– Wstrzymaj się z rozkazem, hejtmanie.

Słowa wypowiedział młody człowiek w szkolarskim berecie i czarnym wamsie, wierzchem na karym ogierze. Towarzyszyła mu Rixa Cartafila de Fonseca. I zbrojny w półpancerzu na pikowanym aketonie. Konie chrapały, czując krew, przybysze musieli zsiąść. Hejtman patrzył na nich spode łba.

– Ktoście? O co chodzi?

– Każ się oddalić postronnym.

Kromieszyn gestem odprawił wszystkich, zostali tylko Carda i Otik z Lozy. Reynevana, który też chciał się oddalić, powstrzymała Rixa. Uwagi Kromieszyna to nie uszło.

– Ciebie, zda mi się, już widziałem. – Zmierzył wzrokiem młodzieńca w berecie. – Przy Prokopie. Zwać cię Piotr Preischwitz, pisarz miejski z Budziszyna. Jesteś podobno naszym szpiegiem. Mów, słucham. Co masz do przekazania?

– Mam przekazać: to nie jest dobry moment, by napadać na Żagań.

Wacław Carda zaśmiał się, Otik z Lozy parsknął. Kromieszyn nie zareagował.

– Widzisz – szeroko wskazał trupy, krew na bruku, płomień i dym nad dachami – co uczyniłem temu miastu? Dokonałem odwetu. Za bitwę pod Kratzau. Łużyczanom i Ślązakom pycha do głów uderzyła, z naszej klęski pod Kratzau uczynili symbol ku pokrzepieniu serc. To ja im dam symbol. Taki, że na dźwięk słowa: „Kratzau" w gacie będą robić nawet ich wnuki. Bolesławiec zapłacił. Zapłacą Żytawa, Budziszyn, Zgorzelec, Chociebuż, Kamień i Gubin, przyjdzie na nie czas. A Żagań zapłaci wnet. Hercog Jan Żagański i jego brat Henryk byli pod Kratzau, mają na rękach czeską krew, krew ta woła pomsty. Kamienia na kamieniu z Żagania nie zostawię.

– Książęta Jan Żagański i Henryk na Głogowie – powiedział wolno i dobitnie Piotr Preischwitz – zwrócili się do króla Polski o protekcję, przyrzekli przy Królestwie Polskim wiernie stać i Polskę we wszystkich imprezach wspierać. A w Krakowie bawi akuratnie poselstwo czeskie. Prokop Goły, Anglik Piotr Payne, Biedrzych ze Strażnicy i rycerz Wilem Kostka z Postupic. Oni tam o przymierzu radzą, dobrą wolę pokazują i drużbę, a ty, bracie Kromieszyn, chcesz pustoszyć i palić księstwo będące pod Jagiełłową protekcją? Polecono mi przekazać:*director* Prokop nie popiera idei, by najeżdżać księstwo żagańskie. Sugeruje, by przyjąć oferowany wykup.

– Nijakiego wykupu mi z Żagania nie dawano.

Preischwitz spojrzał na Rixę, potem na zbrojnego w półpancerzu. Zbrojny wystąpił. I przemówił.

– Jaśnie oświecony książę Jan, *illustrissimus dux* i pan na Żaganiu, przekazuje mymi usty poselstwo. Skłonny jest...

– Osiemset reńskich złotych – przerwał obcesowo Kromieszyn. – Zapłaci, to go oszczędzę. Rzekłem. I żegnam. Bracie Carda, staw wojsko w marszowy ordynek.

•

– Marienstern – powtórzyła w zamyśleniu Rixa. – Klasztor cysterek. To jest w połowie drogi między Zgorzelcem a Budziszynem. Stąd będzie jakieś trzy dni jazdy.

– Dwa, jeśli wysilić konie – poprawił Piotr Preischwitz. – To jest Via Regia, dobrze się podróżuje. A ja akuratnie w tamtą stronę. Chętnie poprowadzę.

– Nie traćmy zatem czasu – zdecydowała Rixa. – Przed zmierzchem dotrzyjmy choć do Nowogrodźca.

– Nie mogę – odpowiedział Szarlej na pytające spojrzenie Reynevana. – Kromieszyn miał rację, jestem w służbie. Tabor nie darowałby mi dezercji, a za dezercję stryczek. Ludzie z mego własnego oddziału wciągnęliby mnie na gałąź.

– Ja natomiast pojadę – oświadczył cicho Samson. – Półgłówkom wszystko uchodzi. Nie mogą uznać mnie za dezertera, bom się i nie zaciągał. Byłem u Szarleja na inwentarzu. Gdy powie im, że zniknąłem, to tak, jakby pies mu uciekł.

– Z Bogiem, Szarleju. – Reynevan wskoczył na siodło. – Uważaj na siebie.

– Wy uważajcie. Was jest czworo, a ja mam sześć tysięcy druhów. Plus dwieście wozów z artylerią.

●

Słońce zachodziło. W Bolesławcu śmierdziała spalenizna, pełgały płomyki na zgliszczach. W Bolesławcu krzepła czarna krew w rynsztokach. W Bolesławcu jedne psy wyły, inne szarpały ciała zabitych. Bolesławiec rozbrzmiewał jękami rannych i dogorywających, płaczem skrzywdzonych i osieroconych, urywanymi modlitwami tych, których pozbawiono nadziei.

Wreszcie słońce zaszło, a zranione miasto ucichło.

Nox ruit et fuscis tellurem amplectitur alis. Noc nastała i sen pogrążył wszystko co żywe.

●

Biedny Reynevan.

Bardzo mi go żal, Marketo. Bardzo żałuję, że w żaden sposób nie mogłem pomóc mu w jego nieszczęściu.

Do klasztoru cysterek w Marienstern dotarliśmy po dwóch dniach jazdy. Po to tylko, by dowiedzieć się, że panny Jutty tam nie ma. Przybiło to Reynevana bardzo. A jeszcze bardziej przybiło go to, że Jutta tam była. Przez trzy miesiące, od połowy lutego do Zielonych Świątek. Rozminął się z nią o zaledwie miesiąc.

Objechaliśmy żeńskie cenobia w okolicy. Szukaliśmy u klarysek w Seusslitz, u benedyktynek w Riesa, u magdalenek w Lubaniu. W Zgorzelcu wypytywaliśmy cysterki z Marienthalu pod Ostritz, zbiegłe po spaleniu ich klasztoru w 1427. Nigdzie nie znaleźliśmy Jutty, nigdzie nic o niej nie wiedziano. Reynevan był kompletnie załamany. Nie mogłem mu pomóc.

Bardzo mi go żal.

Tobie też?

Z Łużyc wróciliśmy do Pragi, w połowie sierpnia dotarł tam również Szarlej, jakiś czas spędziliśmy razem, ale wkrótce Szarlej wrócił do wojska polnego. Obecnie stacjonuje gdzieś pod Jiczynem, krąży zaś wieść o kolejnej rejzie na Łużyce, która ruszyć ma po świętym Wacławie.

Reynevan został w Pradze, w aptece „Pod Archaniołem", wespół z tamtejszymi czarodziejami próbował odszukać Juttę za pomocą magii, bezskutecznie. Potem w okolicach Psarz wybuchła zaraza, a on, medyk z powołania, pospieszył leczyć. Nie wahał się ani chwili. Przetrwał załamanie, nie poddał się rozpaczy. Wiele prawdy jest w stwierdzeniu, że to, co nas nie zabije, to nas wzmocni.

A ja?

Ja postanowiłem wrócić tu, do Rapotina. Czy na długo? Na tak długo, jak to będzie możliwe.

Co dalej, pytasz? Z całą pewnością spotkamy się ponownie, my trzej, z całą pewnością nastąpi to rychło. Los silnie związał nas ze sobą, na dobre i na złe. A nic wszak nie dzieje się bez przyczyny.

Los złączył mnie z nimi mocno, Marketo. Bardzo mocno.

Niemal tak mocno jak z tobą.

Rozdział piętnasty

w którym słabość charakteru zmusza Reynevana do zostania bohaterem. Bohaterowie heroicznie przeprawiają się przez rzekę Muldę i heroicznie walczą w krwawej bitwie. Heroizm zostaje nagrodzony. Słabość, o dziwo, też. Stąd morał, od wygłoszenia którego autor się jednak powstrzyma.

Boże, wielki Boże, venerunt gentes in hereditatem tuam, *znowuż przyszli poganie do Twego dziedzictwa!*
Czy to za grzechy nasze, czyliż to nam poena peccati, *że nas wciąż heretyk z mieczem a pochodnią nawiedza?*
Anno MCCCCXXIX, ipso die sancti Johannis baptiste *ukrzywdzili husyccy zbójcy nasz klasztor miły, scriptorium nasze i księgozbiór nasz, dumę naszą! Targnęli się na dzieła tej miary co* De fide catholica *Alanusa ab Insulis*, Libre de meravelles *Rajmunda Lulla i* Clavis sanationis *Szymona z Genui, na białe kruki jak* Hieroglyphica *Horapollona z Egiptu i* Bestiaire *Piotra z Beauvais, na traktaty i kodeksy tak cudownej roboty jak* Expositio totius mundi et gentium, De magia veterum, Liber de mirabilibus natura arcanis, De amore, Secreta mulierum *i wiele innych, być może jedynych w świecie egzemplarzy. Nic, jeno ręce załamać!*
Pół roku nie minęło, a znowu najazd. Znowu wiklefiści, Thaborienses, Orfani et Pragenses, *a na ich czele* Procopius Rasus, *ów, jak kazał się zwać*, gubernator Taboriensium communitatis in campis bellancium, *największy i najokrutniejszy spośród apostatów i herezjarchów, w samej rzeczy istocie nie człek* ex muliere natus, *lecz* monstrum detestabile, crudele, horrendum et importunum. Eodem anno circa festum sancte Lucie *ówże Prokop z całą swą armią dotąd niezwyciężoną*, cum curribus, cum pixidibus, cum peditibus et equitibus ruszył ad marchionatum Misnense, *siejąc mord i pożogę. Aż doszedł do rzeki zwanej Mulda. A zima łagodną była onego roku...*

Pióro wyschło, nieprzyjemnie zaskrzypiało po wyskrobanym pergaminie. Stary mnich kronikarz zanurzył je w kałamarzu.

•

Pachołcy oświetlili komnatę, zapalając świece na wszystkich świecznikach. Biskup wrocławski Konrad aż sapnął z satysfakcji, widząc wyraz podziwu na twarzy Grzegorza Hejnczego. Wiedział, że inkwizytora niełatwo było zdziwić, o podziwie nie wspominając.

– A co? – spytał z dumą, rad z efektu. – Ładna rzecz, hę?

Grzegorz Hejncze odchrząknął. I potwierdził kiwnięciem głowy. Musiał. Rzecz była ładna. Bezdyskusyjnie ładna.

Jedynym meblem w komnacie był ogromny stół, blat którego w całości pokrywała gigantyczna mapa Śląska i krajów ościennych, wykonana z płatów tkanin pokrytych jedwabnym haftem. Choć inkwizytor nigdy wcześniej mapy nie widział, wiedział o jej istnieniu. Wiedział, że zszyły ją i wyhaftowały dominikanki od świętej Katarzyny w oparciu o rysunki sporządzone przez cystersów z Lubiąża. I że zajęło to mniszkom ponad rok.

Jako że mapa służyła głównie do śledzenia i analizowania działań wojennych, ustawiono na niej misternie wyrzeźbione figurki. Wykonał je Ambroży Erler, najlepszy wrocławski snycerz, ściśle według wskazówek samego biskupa. Jednostki wojsk katolickich przedstawiały biało-złote figurki skrzydlatych aniołów z ognistymi mieczami, formacje husytów wyobrażone były jako rogate diabły, siedzące w kucki i wypinające tyłki.

Każdego ranka klerycy odtwarzali dla biskupa aktualną sytuację militarną, ustawiając figurki stosownie do ruchów wojsk na teatrze działań. Od trzynastego grudnia, dnia świętej Łucji, to jest od rozpoczęcia wielkiej rejzy husyckiej na Miśnię i Saksonię, teatr obejmował przestrzeń pomiędzy wyhaftowanymi błękitną nicią ODERA FLV a ALBEA FLV, a figurki klerycy rozstawili w rejonie oznaczonym nazwami SAXONIA, MISNIA, TURINGA i LUSATIA INFERIOR, od północy ograniczonym przez MARCA ANTIQUA, od południa zaś przez BOHEMICA SILVA.

– Pozwól, Grzesiu – ponaglił biskup. – Rzuć okiem.

Inkwizytor rzucił. Sytuację militarną znał, ale na ładne figurki można było popatrzeć. Wypięte diabły ustawiono w okolicach Oschatz, miasta, które wojska Prokopa Gołego puściły z dymem cztery dni temu, dwudziestego dziewiątego grudnia. Czesi szli wzdłuż Łaby w kierunku

Pirny, niszcząc wszystko na drodze ogniem i żelazem. Dokonali spustoszeń w górniczych okręgach Marienbergu i Freitalu. Potem, paląc wsie, doszli do Freibergu, Drezna i Miśni, nie marnowali jednak czasu na obleganie ufortyfikowanych miast. Szybkim tempem marszu pomieszali szyki kurfirstowi saskiemu Fryderykowi, zmuszając jego i jego aliantów do taktycznego odwrotu. Sprawiając, że teraz skrzydlate anioły stały w ścieśnionej grupie na północ od napisu LIPSIA.

– To – biskup powiódł palcem po rozdzielającej diabły i anioły niebieskiej linii – jest rzeka Mulda. Prokop chce się dostać w głąb Saksonii, musi się więc przeprawić. Zrobi to najpewniej gdzieś tu, w okolicach Grimmy. Kurfirst Fryderyk mógłby to wykorzystać. Podczas przeprawy mógłby zgnieść kacerzy, mógłby potopić ich w Muldzie jak koty. Wystarczy ruszyć głową i zdobyć się na odwagę. Jak sądzisz, Grzesiu, ruszy kurfirst głową?

– Mam poważne wątpliwości – podniósł oczy inkwizytor. – Tak względem głowy młodego kurfirsta, jak i jego odwagi. Do tej pory jakoś nie popisał się męstwem w tej kampanii. Gdybym miał szukać klasycznych porównań, nie porównałbym go do Juliusza Cezara. Do Kwintusa Fabiusza Kunktatora raczej.

– A w otoczeniu? Nie znajdzie się w otoczeniu nikt rozumny i waleczny? Żaden Cezar? Nie myślę o margrabim Miśni, tego nawet przezywają „Ustępliwym". Ani o kurprincu brandenburskim Janie, bo to nawiedzony cudak. Kto tam jeszcze jest z takich, co mają jaja?

– Duchowni, naturalnie – uśmiechnął się Grzegorz Hejncze. – Przynajmniej niektórzy. Z pewnością Gunter von Schwarzburg, arcybiskup Magdeburga.

– Spodziewałem się – pokiwał głową Konrad – że jego wymienisz. Tak, arcybiskup Gunter to osoba zdolna dostrzec sposobność, jaką nastręcza przeprawa husytów przez Muldę. On zdołałby przewagę wykorzystać, umiałby pomóc Fryderykowi zaplanować i poprowadzić atak. Ale nie możemy gdybać i zdawać się na przypadek, trzeba to Gunterowi podpowiedzieć. Ktoś musi co koń wyskoczy pędzić pod Lipsk z posłaniem.

Inkwizytor spojrzał na biskupa znacząco, kaszlnął w pięść.

– Wiem. – Konrad skrzywił się jak po occie. – Pamiętam. Arcybiskup Magdeburga ma na mnie zadrę za Grellenorta. Mus więc zdać mi się na ciebie, inkwizytorze. Twoich wskazówek Gunter wysłucha z uwagą,

inkwizytorów ma w estymie, wspiera ich działania i aktywnie w nich uczestniczy. *Crescit cum magia haeresis et cum haeresi magia*, zaś dzień bez stosu to dzień stracony, oto jego dewizy. Skutki widać, w promieniu pięciu mil od Magdeburga czarownicy ani Żyda nie uświadczysz. Pozazdrościć. I żałować, że nie ma tak we Wrocławiu... Nie bierz do siebie, Grzesiu.

– Nie biorę. Przejdźmy do rzeczy.

– Masz kogoś do takiej misji? – Biskup oderwał wzrok od mapy. – Kogoś, kto pojedzie do Saksonii, do Guntera von Schwarzburga? Człowieka wiernego, pewnego i godnego zaufania?

– Mam. A że przewidziałem, że będzie potrzebny, przywiodłem go ze sobą. Czeka w przedpokojach. Zawezwać?

– Zawezwij.

– Wasza dostojność pozwoli. Diakon Łukasz Bożyczko. Człowiek, do którego mam bezgraniczne zaufanie.

●

Wody Muldy były brunatnoszare i spienione, wezbrane tak, że pas wiklin był całkiem pogrążony, wystawał ponad nurt tylko niskim zjeżonym grzebieniem. Nadbrzeżne drzewa zalane były niemal do połowy pni. Na jednym z takich pni zatrzymał się przewrócony na bok wóz. Dalej opierał się o kępę drugi wehikuł, obalony dnem do góry, zatopiony, nad wodę sterczały tylko koła.

– Trzeci zniosło całkiem – uprzedził pytanie Prokopa starszy oddziału czestarzy. – Rzeka porwała. Jeszcze nim na płań dotarlim. Resztę zdołalim wycofać.

– Ano, trzeba przyznać – Jan Kralovec podprowadził konia na sam brzeg, przednimi kopytami w wodę – że niemało wody rzeczka niesie. I sakramencko rwie.

– Ciepła zima, deszcze miast śniegów – kiwnął głową Jakub Kromieszyn z Brzezovic, hejtman wojsk polnych Taboru. – Na innych brodach ani chybi tak samo będzie.

– Rzeka Mulda – Prokop Goły obrócił konia, obrzucił wzrokiem hejtmanów – ma tedy powstrzymać nas w marszu? Te trochę mokrej wody ma pokrzyżować nasze plany? Bracie! Słucham twojego zdania! I decyzji!

Starszy czestarzy długo milczał, ważył słowa. Nikt go nie ponaglał. Wszyscy, wliczając Reynevana, wiedzieli, że doświadczenie miał nieliche. Ze swym oddziałem drogowców przeszedł szlak bojowy Taboru niemal od początku, a sławę zyskał w roku 1424, gdy śmiałą przeprawą przez Łabę wywiódł Żiżkę z okrążenia pod Kostelcem. Rąbał dla wojsk polnych przesieki w lasach pod Tachowem i Retzem, mościł pniami przejścia przez mokradła Moraw, budował mosty na Sazawie i Odrze, przeprawiał wozy przez Nitrę, Kwisę, Bóbr, Regen i Naab.

– Przeprawim się – rozładował wreszcie napięcie stwierdzeniem suchym i rzeczowym. – Ale nie potrójną kolumną, bo za duży napór wody... Trza pojedynczo, wóz za wozem, w rzędzie, z ubezpieczeniem linowym...

– Przeprawa pojedynczą kolumną potrwa najmniej dobę – powiedział, ważąc słowa, Jira z Rzeczycy, hejtman Sierotek. – To długo.

– Na tamtym brzegu – potwierdził ponuro Kromieszyn – będzie nas pomału przybywać, na tym pomału ubywać. Sasi połapią się w tym i uderzą tam, gdzie nas w dany moment będzie najmniej. Mogą nam zdrowo dupę złoić.

– Zwłaszcza przypartym do rzeki – dodał rycerz Wilem Kostka z Postupic, doświadczony wojownik, uczestnik wojny, jaką Polska wiodła z Zakonem Krzyżackim w latach 1410-1414. – Być przypartym do rzeki, to grozi wręcz zagładą.

– Decyzje! – Prokop szarpnął wąs. – Co proponujecie?

– Mszę odprawmy! – wyrwał się kaznodzieja Markolt. – Jesteśmy Boży bojownicy, Bóg nas wysłucha. Odprawmy mszę w intencji, by woda opadła.

Prokop zamarł z ręką u wąsa, patrzył na księdza długo.

– Inne propozycje?

– Próżno deliberować – rzekł krótko milczący dotąd Ondrzej Kerzsky z Rzimovic. – Muldę przejść musimy. Jeśli czestarz mówi, że w rząd, to w rząd.

– Warto by wszak zadbać – zaznaczył Kromieszyn – by się Sasi o przeprawie nie zwiedzieli. Bo jeśli się psiepary zwiedzą...

– Będzie po nas – dokończył Kralovec.

•

– O, Reynevan! – Prokop wyrwał z rąk balwierza ręcznik, wytarł nim ogoloną twarz z resztek mydła. – Dobrze, że jesteś. Maść przyniosłeś?

– Przyniosłem.

– W samą porę. – Prokop odprawił balwierza gestem, ściągnął koszulę przez głowę. Ogolony, pachniał italskim mydełkiem z Savony.

– Krzyż boli jak zaraza. – Usiadł na pryczy, obrócił się. – Namaść mnie tym twoim magicznym mazidłem.

– Przez ten ból – hejtman poddał się nacieraniu – myśli zebrać nie mogę. A akuratnie mus myśleć. Byłeś dziś nad rzeką, wiesz, jak sprawy stoją. Przeprawa łatwa nie będzie, a my w czasie takiej przeprawy jak ten ślimak bez skorupy, byle wróbel zadziobie. Przecie to pojmujesz? Co? Reynevan?

– Jasne, że pojmuję.

– Uch – stęknął Prokop. – Niebiański to iście lek, ta maść, ból jak ręką odjął mija. Co ja bym bez ciebie począł, medyku? Nie strać mi się, Reynevan. Nie zapodziej i nie zagub.

Reynevan poczuł dreszcz, łowiąc w jego głosie dziwnie złowróżbną nutę. *Director* wojsk w polu wojujących spojrzał na obecnych dowódców, dał znak Kromieszynowi. Ten odłożył nóż, którym zrzynał półsurowe mięso z żeber upieczonego barana, wstał, podszedł do drzwi chaty, wyjrzał i rozejrzał się, czy ktoś nie podsłuchuje. Pozostali hejtmani też na chwilę zaprzestali konsumpcji, twarze mieli poważne i nieporuszone.

Reynevan wcierał maść.

– A więc, bracia hejtmani – Prokop podrapał się w świeżo ogolony policzek – zdecydowałem. Pojutrze o świcie zaczniemy przeprawiać się przez Muldę. W górze rzeki, brodem pod Kössern. Nikomu o tym ani słowa. To nie może wyjść poza tę izbę.

●

Obozowe ognie Taboru i Sierotek rozbłyskiwały aż po horyzont. Z zawieszonych nad żarem kociołków niosło wonią przeróżnej żołnierskiej strawy, wonią pomimo głodu nie nazbyt apetyczną. Reynevan szedł, rozmyślając, w stronę zabudowań folwarku, którego husyci nie spalili, chcąc mieć choć kawałek dachu nad głową. Tam spodziewał się zastać Szarleja i Samsona.

Zza mijanego wozu wychynęła nagle drobna postać. Poczuł nikły zapach rozmarynu.

– Rixa?

Zmaterializowała się tuż przy nim, szczelnie owinięta płaszczem, w ciasno przylegającym do głowy kapturze. Od razu przeszła do rzeczy. Głos miała zdecydowany i nieprzyjemny.

– Gdzie i kiedy Prokop będzie się przeprawiał przez Muldę?

– Ja też się cieszę, że cię widzę.

– Gdzie i kiedy będzie przeprawa? Nie każ mi powtarzać.

– Jednak powtórz, jeśli łaska. Chciałbym się wreszcie przekonać, czyjej sprawie służysz. Chciałbym mieć wreszcie pewność.

– Wiem – Rixa jakby go nie słyszała – żeś był przy tym, gdy decydowano o przeprawie. Na Muldzie są trzy brody. Jeden tu, pod Grimmą. Drugi poniżej, w Dornau. Trzeci powyżej, pod wsią Kössern. Który wybrał Prokop? Mów, Reynevan, ja nie mam czasu.

– Nic z tego.

– Posłuchaj. – Jej kocie oczy błysnęły w świetle pochodni, zajarzyły się jak u prawdziwego kota. – To rzecz ważna. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Muszę wiedzieć. Mów, bo...

– Bo co?

Rixa nie zdążyła odpowiedzieć, nie zdążyła zareagować ni słowem, ni gestem, ni czynem. Zza wozu wyłonił się nagle szybki cień. Reynevan usłyszał tępy stuk uderzenia, głuchy jęk Rixy i odgłos padającego ciała. Chciał zareagować, nie zdążył. Usłyszał wypowiadane zaklęcie, zwęszył charakterystyczny dla magii zapach ozonu, poczuł, jak ogarnia go momentalny paraliż.

– Milcz – syknął Łukasz Bożyczko. – I nie rób niczego, czego mógłbyś pożałować.

– Zabiłeś ją.

– Ale tam. – Diakon trącił Rixę nogą, zsunął z palców kastet. – Zrewanżowałem się tylko za Racibórz. Skruszyła mi wówczas dwa zęby. Ja miałem wzgląd na jej płeć, nie chciałem psuć urody choćby siniakiem. Przylałem jej w potylicę. Ale dość o głupstwach, ja tu w ważnej sprawie. Gdzie Prokop będzie przeprawiał się przez Muldę?

– Nie wiem.

– A czy wiesz – spytał po chwili milczenia Bożyczko – że twoja niewiedza może mieć bardzo przykre konsekwencje? Dla Jutty de

Apolda?

– Idź precz – Reynevan głęboko odetchnął. – *Apage*. Zgiń, przepadnij. Nie pozwolę się dłużej zastraszać ani szantażować. Jest granica.

– Jest. Właśnie ją osiągnąłeś. Poważnie ostrzegam przed przekroczeniem.

– Nie wierzę w twoje groźby. Inkwizycja nie odważy się skrzywdzić Jutty.

– Inkwizycja nie. Ja tak. Dość tego, czas nagli. Reynevan, ostrzegam, ja mówię poważnie, nie dubituj, że zrobię to, co zapowiadam, nie zawaham się. Musisz się resolwować. Zdradzisz mi miejsce przeprawy, odzyszczesz Juttę, zwrócę ci ją. W przeciwnym razie nigdy już dziewczyny żywej nie ujrzysz. Stój spokojnie, zachowaj pacjencję, nie zmuszaj mnie do naniesienia uszczerbku tobie lub Żydówce. Trzymam obcas na jej szyi, w każdej chwili mogę zmiażdżyć tchawicę. Ciebie, jeśli postąpisz głupio, też zabiję. A potem każę zabić Apoldównę. Resolwuj się, a szybko. Czas nagli.

Obok przeszło kilku taborytów, ledwo zwróciwszy uwagę. Bitki, szarpaniny i porachunki na peryferiach należały do rzeczy zwykłych, do obozowej codzienności. Reynevan mógł, rzecz jasna, krzyknąć, zawezwać pomocy. Nie zawezwał.

– Uwolnisz... – odchrząknął. – Uwolnisz Juttę? Oddasz mi ją? Przysięgnij.

– Klnę się na zbawienie duszy. Gdzie przeprawa?

– Powyżej Grimma. W Kössern. Pojutrze o świcie.

– Jeśli mnie okłamujesz, twoja Jutta umrze.

– Mówię prawdę. Podjąłem decyzję.

– Podjąłeś mądrą – powiedział Łukasz Bożyczko.

I zniknął w mroku.

●

Po kilku chwilach Rixa zajęczała, poruszyła się. Uniosła na kolana. Znowu jęknęła, gwałtownym ruchem łapiąc się za głowę. Dostrzegła Reynevana.

– Powiedziałeś... – zachłysnęła się. – Powiedziałeś mu, gdzie?

– Musiałem. Jutta...

– Zabiję... – zerwała się, zachwiała. – Zabiję skurwysyna!

– Nie! On ma Juttę! Nie możesz!

Chciał chwycić ją za łokieć. Rixa wywinęła rękę, capnęła go za przegub, wygięła. Wrzasnął z bólu. Podstawiła mu nogę i obaliła na ziemię rzutem przez biodro. Nim zdołał się podnieść, przepadła w ciemnościach.

●

W stronę centrum obozu szedł jak ślepiec, zataczając się i potykając. Kilka razy wpadał na któregoś z taborytów, kilka razy nazwano go pijanym dupkiem i ciulem, kilka razy solidnie szturchnięto. Nie zwracał uwagi.

– Reynevan! – Kolejny potrącony chwycił go za ramiona, potrząsnął. – Hej! Właśnie cię szukam!

– Szarlej? To ty?

– Nie. Święta Perpetua. Co z tobą, u czarta? Oprzytomniej!

– Muszę... Muszę wam coś wyznać... Tobie i Samsonowi... Stało się coś...

Szarlej spoważniał natychmiast, rozejrzał się.

– Chodź.

●

Wysłuchali go na kwaterze, gryząc pieczoną rzepę, której zgromadzili duży zapas. Wysłuchawszy, milczeli długo. Samson kilka razy westchnął, kilka razy rozłożył ręce w geście rezygnacji. Nie powiedział jednak ani słowa. Szarlej intensywnie myślał.

– Cóż – rzekł wreszcie z ustami pełnymi rzepy. – Rozumiem cię, Reinmarze, bo na twoim miejscu też bym tak postąpił. Życie ma do siebie to, że bliższa koszula ciału. Pochwalam twój wybór. Zrobiłeś to, co w danej sytuacji zrobić należało. Postąpiłeś słusznie.

Samson westchnął i pokręcił głową. Demeryt nie przejął się. Przełknął rzepę.

– Postąpiłeś słusznie – powtórzył. – I prawdopodobnie powieszą cię za to, bo taki bywa zwykle los czyniących słusznie.

– Są – dodał po chwili – dwa sposoby, by z tej afery wybrnąć. Ale ponieważ uciekać nie chcesz, zostaje jeden. Musimy zostać bohaterami. Nawet wiem, gdzie, kiedy i jakim sposobem.

●

Nad Muldą wstawał świt, mętny od mgieł. Wezbrany nurt kipiał wirami, falą bryzgał na brzegi. Z wody unosił się opar.

Z zamglonego łęgu wynurzył się zbrojny oddział, z górą trzystu konnych. Prowadził rycerz Jan Zmrzlik ze Svojszyna, pan na zamku Orlik, w pełnej zbroi okrytej krótką jaką ozdobioną znanym i sławnym herbem, trzema pasami czerwonymi w polu srebrnym. Po jego prawicy podążał Przedbor z Pohorzilek, Morawianin, po lewicy Fritzold von Warte, najemnik, Helwet z kantonu Thurgau.

Jan Zmrzlik obrócił konia, zwrócił się twarzą ku swemu wojsku, przez chwilę wyglądało, że będzie chciał zagrzać przemową. Ale wszystko, co było do powiedzenia, zostało powiedziane już wcześniej. O Bogu. O sprawie. O poświęceniu. O misji. I o tym, co zależy od oddziału. Od nich.

Od nich, od oddziału, zależy los całego wojska i całej operacji. Mają sforsować Muldę, rozpoznać lewy brzeg, szybkim marszem osiągnąć i opanować bród w Kössern. I utrzymać go. Ubezpieczyć przeprawę. Za wszelką cenę.

– W rzece – Szarlej trącił Reynevana kolanem – trzymaj się mnie i Samsona. Paskudnie wygląda ta woda.

– Pora poczynać – skinął Jan Zmrzlik. – Bóg z nami, bracia!

Sam pierwszy wparł konia w rzekę. Za nim bez wahania pospieszyli Przedbor i von Warte, za nimi Reynevan, Szarlej i Samson, za nimi kilkudziesięciu innych, za nimi reszta, biało burząc wodę. Straciwszy dno pod kopytami, puścili się wpław.

Prosto początkowo płynące konie uderzył prąd, zaczęło je znosić. Kurczowo trzymający się grzywy Reynevan z przerażeniem zobaczył, jak kilku konnych porwało i uniosło w mgłę. Ubódł konia ostrogami. Obryzgała go woda, przerwał się ku niemu Samson, wsparł, dołączył Szarlej, wszyscy razem przeciwstawili się rzece. Pozostali jeźdźcy też jęli kupić się do siebie i dawać sobie wzajem oparcie. Mimo tego co i rusz kogoś porywało, coraz to zakrzyczał człowiek, coraz panicznie zakwiczał koń. Byli na środku rzeki, nurt rwał tu z szaloną siłą.

– Trzymać się! Trzymać! – usłyszeli krzyk Zmrzlika. – Już niedaleko!

Znoszeni, przepłynęli trzecią część nurtu, prąd osłabł nieco. Ale konie osłabły również, w ich dzikim chrapaniu zaczęła odzywać się rozpacz. A dna wciąż nie było. Jeźdźcom woda sięgała powyżej ud i do pasa, koniom sterczały tylko wzniesione łby. Znowu kogoś porwało, znowu

któryś zniesiony i tonący koń spienił fale w przedśmiertnych konwulsjach, wizżąc, nim woda zalała mu nozdrza.

Koszmar skończył się nagle. Wypłyciło się, konie zarżały dziko, poczuwszy grunt pod kopytami, wydobyły z siebie ostatek sił, przedarły się przez bagno, oczeret i wiklinę. Oddział Jana Zmrzlika sforsował Muldę. On sam, ociekający wodą, stał na skarpie, rachując ocalałych. Słońce przeświecało przez mgłę bladozłotym pieniążkiem.

Policzywszy, hejtmani sformowali kolumnę. Podjazdy już wyszły, jeden na zachód, ku lasom, drugi łukiem przez rybackie osady na północ, trzeci z biegiem rzeki, wprost w stronę brodu przy Kössern. Ale Zmrzlik nie myślał czekać ich powrotu. Wyprowadził oddział z łęgów na suchszy grunt i nakazał marsz. Ruszyli stępa. Słońce było coraz wyżej, ale wnet zupełnie skryło się za chmurami, które nagnał zrywający się wiatr. Zaczął prószyć drobniutki śnieg.

Wrócił pierwszy podjazd. Na zachodzie nikogo, zameldował, ani śladu nieprzyjaciela. Zacięta twarz Zmrzlika nie zmieniła wyrazu.

Byli już niemal na wysokości Kössern, gdy wrócił podjazd wysłany z biegiem rzeki. Pusto, żadnych wojsk, zameldowano. Nastroje poprawiły się widocznie.

Osiągnęli bród. Dano sygnał proporcem, nie minęły trzy pacierze, jak z prawego brzegu przyszła odpowiedź. Nie minęły następne trzy, jak las za Muldą zaroił się ludźmi, prowadzącymi do brodu zaprzęgi i wozy.

I wówczas powrócił ostatni podjazd, ten wysłany najdalej. Szarlej chrząknął znacząco, mierząc Reynevana wzrokiem. Samson westchnął. Zmrzlik też wiedział, i to nim zdano mu raport.

– Idą! Idą, bracie Zmrzliku! Siła ich!

– A więc jednak – rzekł ponuro Przedbor z Pohorzilek. – Zdrada! Zdradzono nas!

– Na to patrzy – potwierdził beznamiętnie Zmrzlik, stając w strzemionach. – Formuj się!

– Będziemy bronić przeprawy? Jest nas mniej niż trzy setki!

– Musi wystarczyć – Zmrzlik spojrzał nań z góry. – Formuj się do boju!

●

Czekali w zasadzce, skryci w sośniaku. Słychać było szepty. Mamrotane modlitwy.

– Reynevan?

– Tak, Szarleju?

– Nie szukaj śmierci. Mamy być bohaterami. Nie poległymi. Jasne?

Nie odpowiedział, gryząc wargi.

Wisząca nad łęgami mgła tłumiła dźwięki, miękki grunt wyciszał łoskot kopyt. Najpierw dobiegło ich uszu rżenie pojedynczego konia. Potem brzęk żelaza. A potem od razu zobaczyli.

– Góra czterysta koni – ocenił półgłosem Zmrzlik. – Strach ma wielkie oczy. A wolno jakoś idą, niemrawo. Nie jak do bitwy...

– W znaku na chorągwi orle skrzydło – zdziwił się Przedbor z Pohorzilek. – Znak pana Hanusza Polenza, landwójta łużyckiego. Skąd tu Łużyczanie? I czemu ich raptem cztery setki?

– To straż przednia – stwierdził Zmrzlik. – Kurfirst saski z całą siłą ciągnie pewnie tuż za nimi. Gdy dojdą, zgniotą Prokopa na przeprawie. Musimy ich zatrzymać. Znak! Trąbić!

Zabrzmiała miedziano-blaszanym dźwiękiem trąba, a wraz z pierwszym jej tonem gruchnęło sto piszczał i rucznic. Ukryci za opłotkami i chałupami spieszeni strzelcy sypnęli w kolumnę gradem kul i bełtów, czyniąc w łużyckim szyku potworny kocioł. Na zmieszanych runęło z prawej flanki sto koni Zmrzlika, druga setka, pod Fritzoldem von Warte, uderzyła w tyły. Strzelcy, znowu w siodłach, wgryźli się we flankę lewą. Wielki wrzask i szczęk wypełnił pole.

Reynevan leciał przed wszystkimi, pierwszy spadł na Łużyczan, pierwszy zwalił przeciwnika z siodła, wbił się w szeregi, tnąc mieczem jak oszalały. Tuż obok pracował Szarlej, siekąc falcjonem, z drugiego boku Samson grzmocił gudendagiem, powalając jeźdźców wraz z końmi. Jazda Taboru, choć lżej opancerzona i mniej liczna, miała przewagę impetu i zaskoczenia. I zawziętości. Na oszołomionych Łużyczan waliły się ciosy, nad bojowe krzyki i wrzaski rannych wybił się ogłuszający huk rąbanych blach.

Wszystkich swych podkomendnych prześcignął w brawurze i wojennej robocie rycerz Jan Zmrzlik, pan na Orliku. Wdarł się w łużyckie szeregi i tam srożył strasznie, acz metodycznie, rąbiąc na prawo i lewo bojowym toporem. Pod jego precyzyjnie mierzonymi ciosami napierśniki i tarcze pękały jak gliniane skorupy, gięły się naramienniki, łamały opachy, a rozłupane salady i skrwawione hundsgugle wylatywały na dwa sążnie w górę. Łużyczanie jęli cofać się i pierzchać przed strasznym wojownikiem, na ten widok zaczęli uciekać i

inni. Tym bardziej, że od strony brodu rozlegał się już bojowy wrzask, pierwsi przeprawieni taboryci spieszyli na pomoc.

A Łużyczanom z pomocą nie przybywał nikt. Zmrzlik tego nie przegapił.

– Hyr na nich! – ryknął. – Bić ich, bić! Nie dać uciec!

Jego głos, lubo donośny, ginął wśród szczęku i wrzawy. A Łużyczan bito i tak. Bito, aż jęli gromadnie podawać tył. By wreszcie zacząć zmykać w popłochu. Część husytów puściła się w pogoń, reszta wybijała tych, co pozostali, zbitych w ciasne grupki i broniących się zaciekle. Najzacieklejszy i najbardziej skuteczny opór stawiała zwłaszcza jedna grupa, dowodzona przez rycerza w pełnej zbroi i na oladrowanym koniu.

– Kacerze, psiewiary! – ryczał spod uniesionej zasłony salady rycerz, rąbiąc wokół siebie wielkim mieczem. – Sami tu! Nuże! Na pojedynczy bój, jeden na jednego! Kto mi stanie? No, podejdź tu który!

Szarlej podjechał do Reynevana, wcisnął mu do ręki praską „zdradną" rucznicę z tlącym się lontem.

– Podejdź – wydyszał – skoro prosi.

Reynevan starł z oczu pot i krew. Podkłusował, uniósł samopał i wypalił rycerzowi prosto w twarz.

Wystarczyło.

– Pardon! – Jeden po drugim rzucali broń Łużyczanie. – Pardon! Zdajem się!

– Znacznych nie bić! – krzyknął ranny i chwiejący się w siodle Przedbor z Pohorzilek. – W pęta ich! Okup...

Zachłysnął się, więcej nie mógł z siebie wydusić.

Jan Zmrzlik podkłusował na wzgórek, zeskoczył ze zbryzganego krwią konia. Starł krew z twarzy. Spojrzał na pole, na którym jego trzystu konnych rozgromiło i zmusiło do ucieczki cztery setki doborowej łużyckiej jazdy. Ukląkł.

– *Non nobis...* – Złożył ręce, wzniósł oczy ku niebu. – *Non nobis, sed nomini Tuo, Domine, da gloriam...*

Inni, widząc to, jęli klękać również.

Reynevan zsiadł z konia, zatoczył się, uchwycił strzemienia. Potem zgiął się wpół i wyrzygał.

– Bohaterem nieźle być – zauważył Samson, dysząc ciężko. – Żeby tylko nie ten strach. Jak się czujesz, Reinmarze?

Reynevan rzygnął. Samson nie powtórzył pytania.

Podjechał Szarlej, też zsiadł. Poczekał, aż Reynevan dojdzie do zdrowia.

– *Veritas Dei vincit* – powiedział. – Sam nie wiem jak, ale *vincit*. Sam nie wiem, jak to się stało, że nie czekało tu na nas dziesięć saskich chorągwi. Chyba faktycznie to boska interwencja. Albo ktoś pomylił brody.

– Ani jedno, ani drugie – odrzekł z posępną miną. – Rixa dogoniła i wykończyła Bożyczkę. Gubiąc tym samym Juttę, skazując ją na śmierć...

Obok Samson kręcił głową. Wreszcie wskazał na przeprawę. Na zbliżający się orszak.

W asyście Kromieszyna, Kerzskiego i innych hejtmanów nadjeżdżał Prokop Goły, odziany w sobolowy kołpak i płaszcz z wilczym kołnierzem narzucony na „tłusty kabat", jak w Czechach nazywano przeszywaną i nabitą guzami brygantynę. Uśmiechał się i promieniał, oglądając pobojowisko. Zsiadł z konia, mocno uściskał Jana Zmrzlika.

– *Non nobis.* – Skromnie schylił głowę pan na Orliku. – Nie nam, lecz imieniu Bożemu ta chwała... Ludzie mężnie stawali... Ofiarnie... O, choćby ci trzej. Wielu poległo...

– Ofiara zapomnianą nie będzie – przyrzekł Prokop. Uśmiechnął się z uznaniem na widok zbryzganego krwią Szarleja i wciąż zdyszanego Samsona. Zobaczył Reynevana. Spoważniał. Podszedł.

– Wybacz – powiedział sucho. – Musiałem. Nie wierzyłem w twoją zdradę, ale nalegano na mnie. Podejrzenia należało rozwiać. I zostały rozwiane. Tu, pod Kössern, przeprawimy się bez strat. A kurfirst saski, landgraf Turyngii i Brandenburczycy całą swą potencją stoją u brodu pod Dornau, dziesięć mil stąd, czekają na nas. A o przeprawie pod Dornau powiedziałem tylko jemu.

Wskazał. Reynevan zobaczył człowieka prowadzonego na powrozach między dwoma końmi. Poznał go, choć poznać było trudno. Nie miał już twarzy, a tylko maskę z zakrzepłej krwi. Był to osobisty balwierz Prokopa. Ten od italskich mydełek.

– Golarz – Prokop spojrzał z pogardą – też nie był z niego najlepszy. Spraw, bracie Kromieszyn, by wszystko wyznał. O wspólnikach, kontaktach i tak dalej.

– Już wszystko wyznał.

– Nie sądzę. Nadal ma, jak widzę, nogi. I może na nich stać. Dołóżcie więcej starań.

– Rozkaz.

Prokop wskoczył na siodło, zatoczył koniem, spojrzał ku rzece, gdzie trwała przeprawa Taboru. Pięciuset konnych pod Mikulaszem Sokołem z Lamberka przeprawiło się już i ruszyło ubezpieczać przyczółek. Teraz przeprawiała się artyleria. Z wód Muldy jeden po drugim wynurzały się wozy wiozące rozmontowane praki, czyli trebusze i blidy, a także działa rozmaitego kształtu i wagomiaru. Nowoczesne, odtylcowo nabijane foglerze na drewnianych podnośnikach. Lekkie sześciofuntowe bombardele, smukłe kulewryny i szlangi. Bombardy średnie, strzelające pociskami wielkości głowy ludzkiej. Na końcu wywleczono z rzeki trzy puszki ciężkie, wagomiaru pięćdziesięciu funtów. Te ostatnie kaznodzieje ochrzcili nazwami „Wolność", „Równość" i „Braterstwo", ale artylerzyści nazywali je między sobą „Kacper", „Melchior" i „Baltazar".

– Dobrze, widzę, zainwestowano kredyt od Fuggerów – mruknął Szarlej, fachowym okiem patrząc na działa. – Teraz wiem, po co niszczyłem te kopalnie pod Marienbergiem i Freitalem...

– Ciszej o tym. Prokop patrzy.

– Reynevan... – *Director operationum Thaboritarum* zainteresował się nimi znowu. – Nie tylko, widzę, skutecznie leczysz, walczysz też mężnie. Zasłużyłeś się, warteś wyróżnienia. Mów, czym cię mogę nagrodzić. Lub chociaż usatysfakcjonować.

– Jak zwykle – beztrosko wpadł w credo Szarlej. – Jak pod Kolinem dwa lata temu. Urlopuj nas z armii, hejtmanie. Dla prywaty, naturalnie. Mamy do załatwienia prywatną sprawę, życiowo ważną. Załatwimy ją i wrócimy, by podjąć obowiązki wobec Boga i ojczyzny.

– Niepatriotycznie – nasępił się Prokop – brzmią twe słowa, bracie Szarleju.

– Gadany patriotyzm – odparował demeryt – to kamuflaż łajdaków i szuj.

Prokop Goły odwrócił głowę. Patrzył na rzekę, w której konny Otik z Lozy ponaglał przeprawiających się taboryckich woźniców. Potem skierował konia w stronę gościńca.

– *Bene* – rzucił krótko na odjezdnym. – Macie wasz urlop.

Tabor wprost z przeprawy szedł na pozycje, formował się w szyki osłaniane na flankach przez pawężników. Od brodu maszerowała ze śpiewem piechota, cepnicy i strzelcy.

Jezu Kriste, štědrý kněže
s Otcem, Duchem jeden Bože,
tvoje štědrost naše zboží
Kyrieleison!

– Któregoś dnia – zbliżywszy się niezauważalnie, odezwała się za plecami Reynevana Rixa Cartafila de Fonseca. – Któregoś dnia i mnie o to zapytają. Czym cię nagrodzić, spytają, za wysiłek i poświęcenie. Służysz, powiedzą, wiernie, nie prosząc o nic, ni o zaszczyty, ni o nagrody. Proś, powiedzą, a czego sobie zażyczysz, będzie ci dane. Mam przygotowaną odpowiedź, wiesz? Chcę, powiem im, do końca życia nosić tylko kobiece suknie. Chcę ogień oglądać tylko w kuchennym piecu i bać się tylko tego, że chała upiecze się z zakalcem. Chcę męża, przyzwoitego Żyda, bogaci wdowcy preferowani. Tak odpowiem, gdy zapytają.

– Zabiłaś Bożyczkę.

– Nie zdołałam. Nie udało mi się go doścignąć.

– Jakim więc cudem...

– Powiodła się husytom przeprawa, bo armia Fryderyka stoi nie tu, lecz pod Dornau? Ty mi to powiedz.

Ty jsi prolil svou krev pro nás
z věčné smrti vykoupil nás,
odpustiž nám naše viny.
Kyrieleison!

– Reynevan?

– Słucham.

– Miałam na ciebie dużą złość.

– Wiem.

– Gdyby Bożyczko... Gdyby Sasi poznali prawdziwe miejsce przeprawy, gdyby rozbili Prokopa u rzeki, gdyby doszło do rzezi... W pierwszym odruchu zamierzałam cię zabić. A jeśli nie zabić, to przynajmniej surowo ukarać. Postanowiłam zataić...

– Zataić co? Rixa!

– Nie dopadłam Bożyczki. Po tym uderzeniu miałam zawroty głowy, rzygałam... A łajdak zna czary translokacyjne, potrafi przenieść się w przestrzeni. Umknął mi bez trudu. Jedno, co mi się udało przechwycić, to jego wiadomość dla ciebie. Twoją, jak sądziłam, zapłatę zdrajcy, Judaszowe srebrniki... Postanowiłam cię ukarać. Tym, że zataję...

– Mów!

– Twoja Jutta jest w Cronschwitz. W klasztorze dominikanek.

Słońce zaszło. I podpaliło horyzont złotoognistą purpurą.

●

Ze zmierzchem forsowanie Muldy musiano przerwać. Obawiano się tej nocy. Na lewym brzegu była dopiero połowa armii, dziesięć tysięcy ludzi z pół tysiącem wozów.

Gdy zapadła noc, niebo na północnym zachodzie rozjaśniła czerwona łuna. Fryderyk II Wettyn, elektor Saksonii, palił przedmieścia Lipska. By nie posłużyły husytom przy obleganiu miasta.

Była to jedyna aktywność, na jaką elektor się zdobył. Przed spiesznym wycofaniem się z armią na północ.

●

Nazajutrz, ósmego stycznia, przeprawiła się reszta Prokopowej armii. Wojska polne Sierotek, pięć tysięcy zbrojnych pod komendą Jiry z Rzeczycy i Sieroce kontyngenty miejskie pod wodzą Jana Kralovca. Prażanie Zygmunta Mandy z Kotenczyc. Wreszcie straż tylna, konne poczty wspierającej husytów szlachty czeskiej. Łącznie półtora tysiąca koni jazdy i więcej ośmiu tysięcy piechoty z wozami.

Husyci byli na lewym brzegu Muldy. Saksonia, Turyngia i Osterland były na ich łasce. Leżały u ich stóp.

●

Zza dalekich wzgórz kłębami wzbijał się czarny dym. To dopalały się przedmieścia Lipska.

– *Principes Germaniam perdiderunt*. – Pomurnik ściągnął chrapiącemu koniowi wodze, wskazał dymy. – Książęta doprowadzili ten kraj do zguby, wydali go na łup najeźdźcy. Pięć heretyckich armii maszeruje na Turyngię, Pleissenland i Vogtland, by zamienić te kraje w zwęgloną pustynię. Zaiste, siarka, sól, spalenizna po całej ziemi! Nie

obsieją jej, nie zakiełkuje, nie urośnie na niej żadna roślina, jak w zagładzie Sodomy, Gomory, Admy i Seboim.

– *Gladius foris, pestis et fames intrinsecus* – potwierdził poważnie Łukasz Bożyczko, również słowami Pisma. – Miecz na zewnątrz, mór i głód wewnątrz. Kto znajdzie się na polu, zginie od miecza, a tego, co w mieście pozostanie, głód i mór pochłoną.

– A mogli rozbić ich podczas forsowania rzeki – pokręcił głową Pomurnik. – Mogli zgnieść ich, wybić do nogi, potopić. Jak to możliwe? Od szpiegów mieli podobno informacje o miejscu przeprawy. Tobie, diakonie, nic o tym nie wiadomo? Byłeś jakoby blisko książąt i biskupów, przybyłeś ze Śląska z jakimś poselstwem, nie będę pytał, z jakim, i tak nie zdradzisz. Ale byłeś tam przecie, gdy podejmowali decyzję. Dlaczego, wyjaśnij, podjęli tak złą i zgubną?

Bożyczko uniósł oczy, złożył dłonie, nie odplątując z nich wodzy.

– Wola nieba – powiedział. – Może Pan pokarał książąt obłędem i ślepotą? Może spadły na nich, jako kara, *amentia et caecitas*?

Pomurnik spojrzał nań koso, przysiągłby, że słyszał ton pogardliwej drwiny. Ale oblicze Bożyczki było istnym zwierciadłem pobożności, szczerości i pokory, w tej mieszance czyniąc fizjonomię niezbyt daleką od obrazu matołectwa.

– Nic więcej – spytał, nie spuszczając z diakona wzroku – do powiedzenia mi nie masz? Niczego nie wiesz? Niczego nie podejrzewasz? Choć byłeś przy książętach? I być może nawet widziałeś tego szpiega?

– Jestem duchownym – odrzekł Bożyczko. – Nie przystoi mi wtrącać się do spraw świeckich, *nemo militans Deo implicat se negotii secularibus*. Teraz zaś, panie, zwólcie, bym się oddalił. Mus mi kwapić się do Wrocławia. A może wy też tam wracacie? Moglibyśmy pospołu, byłoby raźniej, wedle przysłowia *comes facundus in via*...

– *Facundia* – przerwał ostro Pomurnik – nie dopisuje mi ostatnio, marny byłby ze mnie towarzysz podróży. Nadto, mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia.

– Imaginuję – Bożyczko szybkim spojrzeniem obrzucił ustawiony za nimi w szyku oddział Czarnych Jeźdźców. – Kłaniam tedy, panie Grellenort. Niech wam Bóg da... To, na co zasługujecie.

– Dzięki ci – Pomurnik sięgnął do juków, dobył stamtąd manierkę – za błogosławieństwo, sługo Boży. Ja tobie też życzę szczęścia... Na miarę

twej pobożności. Wypij ze mną w tej intencji.

Sam wypił pierwszy. Bożyczko obserwował go bacznie. Potem ujął podaną manierkę, pociągnął łyk.

– Z Bogiem, mości Grellenort.

– Nawzajem, mości Bożyczko.

Douce von Pack podkłusowała, stanęła obok Pomurnika z oszczepem w poprzek siodła. Oboje patrzyli, jak jadący na bułanej szkapie diakon znika za łysym grzbietem wzgórza.

– Teraz – przerwał milczenie Pomurnik – wystarczy odczekać. Prędzej czy później skaleczy się żelazem.

– Pewnie dziwi cię – podjął, nie przejmując się milczeniem dziewczyny – że poświęciłem na tego klechę ostatnią dawkę Perferro? Uszczuploną o łyk, który sam musiałem wypić, by nie nabrał podejrzeń. Dlaczego to zrobiłem? Nazwij to przeczuciem.

Douce nie odpowiedziała. Pomurnik nie był zresztą pewien, czy rozumie. Nie przeszkadzało mu to.

– Nazwij to przeczuciem – powtórzył, obracając konia i dając Jeźdźcom znak do wymarszu. – Intuicją. Szóstym zmysłem. Mów, co chcesz, ale ja mam tego Bożyczkę w podejrzeniu. Podejrzewam, że nie jest tym, za kogo chce uchodzić.

Rozdział szesnasty

w którym czytelnik nareszcie dowie się, co przez cały ostatni rok działo się z uprowadzoną przez złego Meleaganta Ginewrą, ukochaną Lancelota. Czyli Juttą, ukochaną Reynevana.

W klasztorze dominikanek w Cronschwitz przebywały aktualnie cztery nowicjuszki, dwie *ancillae Dei*, sześć konwers i cztery panny z dobrych domów. Liczba zmieniała się, dziewczęta odchodziły i przybywały, a przybycie nowej każdorazowo było sensacją. Nowa rzucała się w oczy. Twarze opatrywały się tak szybko, że każda nowa momentalnie przyciągała wzrok. Nową wyróżniała też postawa: nie przywykła jeszcze garbić się i kornie pochylać głowę, dzięki czemu wystawała ponad poziom. Zdradzał ją głos, dysonansem wybijający się ponad szepty pozostałych. Rzecz jasna, klasztorny rygor niwelował różnice w tempie błyskawicznym, płaszcząc je jak walec, ale przez czas jakiś nowo przybyła robiła za sensację sezonu.

Dziewczyna, którą dokwaterowano do dormitorium w wigilię Jana Chrzciciela, miała, jak oceniła Jutta, wszelkie walory sensacji sezonu. Była nadzwyczaj ładna, zgrabnej figury nie był w stanie zeszpecić nawet paskudny wór, nazywany tu habitem konwersy. Kasztanowate włosy zwijały się na czole w figlarny loczek, a w piwnych oczach igrały szelmowskie iskierki, przeczące zakłopotanemu jakby wyrazowi przyjemnie owalnej twarzy.

Dziewczyna usiadła na przydzielonym jej łóżku, jedynym wolnym w dormitorium. Traf chciał, że było to łóżko obok łóżka Jutty. Która właśnie dormitorium zamiatała.

– Jestem Weronika – przedstawiła się nowo przybyła cicho. I posłusznie. Zakaz używania nazwisk był pierwszą rzeczą, jaką w klasztorze wbijano konwersie do głowy. Jeśli głowa nie była najmocniejszą stroną konwersy, zakaz, bywało, wbijany był inaczej.

– Jestem Jutta. Witaj i rozgość się.

– Porządne łóżko – oceniła Weronika, usiadłszy i podskoczywszy kilkakroć. – W Weissenfels miałam dużo gorsze. Mam nadzieję, że nikt w nim nie umarł?

– W tym miesiącu? Nikt. Nie licząc Kunegundy.

– Psiakrew! – Weronika przestała podskakiwać. – Na co umarła?

– Mówią – Jutta uśmiechnęła się kącikiem ust – że na płuca. Ale ja myślę, że z nudów.

Weronika patrzyła na nią długo, a w jej oczach migotały iskierki.

– Podobasz mi się, Jutto – powiedziała wreszcie. – Mam szczęście. Pomodlę się dziś za nieboszczkę Kunegundę, w podzięce, że zwolniła to łóżko. Względem sąsiadki z lewej trafiłam równie dobrze?

– Jeśli gustujesz w kretynkach, tak.

Weronika parsknęła. I natychmiast spoważniała.

– Naprawdę mi się podobasz.

– Naprawdę nie tracisz czasu.

– Bo żal go tracić – Weronika spojrzała jej w oczy – gdy się spotyka pokrewną duszę. W końcu nie co dzień się zdarza. Cronschwitz to nie pierwszy mój klasztor. A twój?

– Też nie.

– Wciąż chłód – skonstatowała jakby ze smutkiem Weronika. – Wciąż nieufność i nastroszone kolce. Więżą cię albo od bardzo niedawna, albo od bardzo dawna.

– W tym klasztorze – odparła łagodniej Jutta – trzymają mnie od dwudziestego maja. Uwięzioną zaś jestem od końca grudnia ubiegłego roku. Wybacz, ale mówić o tym nie chcę.

●

Wydarzenia grudnia roku 1428 wryły się w pamięć Jutty jako seria gwałtownych, ale porozrywanych znaczeniowo obrazów. Zaczęło się od tamtego dnia, gdy rżenie koni, krzyk i trzask wyłamywanych wrót zakłóciły senny spokój klasztoru klarysek w Białym Kościele. Była w refektarzu, gdy wpadli tam zbrojni, chwycili ją i wywlekli na podwórzec. Wtedy zaczęły się obrazy.

Reynevan w pętach, szarpiący się w rękach knechtów. Opatka z rozbitymi do krwi ustami, jej księgi, jej duma i chluba, pożerane przez ogień na ogromnym stosie. Zapłakane mniszki i konwersy.

Potem Ziębice, dobrze znane jej miasto, znany zamek, znana sala rycerska. Znany jej książę Jan Ziębicki, odziany – jak zwykle modnie – w haftowany lentner, *mi-parti* i *poulaines* z długaśnymi noskami. Jan Ziębicki, nazywany wzorem i zwierciadłem rycerskości, niegdyś tak

dworny wobec jej matki i tak hojny dla ojca, który ją samą zaszczycił kiedyś miłym komplementem. I oto nagle zwierciadło rycerskości z pianą na wargach drze na niej ubranie, przy wszystkich obecnych w sali mężczyznach obnaża ją i wyuzdanie dotyka, obrzydliwie grozi jej hańbą i torturą. A wszystko po to, by zaszantażować i zastraszyć Reynevana, jej umiłowanego, jej kochanka, jej Alkasyna, jej Lancelota, jej Tristana, który patrzy na to wszystko z twarzą skurczoną i białą jak rybi brzuch, z oczami, z których, zda się, za moment tryśnie krew zmieszana ze łzami wściekłości i upokorzenia. I ten sam Reynevan, ten sam, a jednocześnie jakby obcy, zupełnie obcym, nigdy nie słyszanym głosem godzi się na jakieś straszne, okropne, niegodne, haniebne rzeczy. Godzi się na nie, by ją ratować.

Na co Reynevan się wtedy zgodził, nie dowiedziała się. Książę Jan rozkazał knechtom, by ją wyprowadzili. Szarpała się, nie pomogło, wywlekli ją na krużganek i w korytarze. Sukienkę i *chemise* miała rozerwane aż do pasa, piersi na wierzchu. Knechci, rzecz jasna, takiej okazji przepuścić nie mogli. Ledwo znaleźli się w ustronnym miejscu, przyparli ją do ściany. Jeden zacisnął usta śmierdzącą dłonią, pozostali obmacali ją, rechocąc. Dygotała ze wstrętu, trzęsła się spazmatycznie, podobało im się to, zdwoili wysiłki. Ich rechot i plugawe komentarze zwabiły wreszcie kogoś ważniejszego, na knechtów spadły razy, Jutta słyszała odgłosy policzków i głuche uderzenia pięści. Puszczona, osunęła się na posadzkę i straciła przytomność.

Ocknęła się w ciemnej, pustej, cuchnącej skisłym winem piwnicy. Wcisnęła się w kąt, podciągnęła kolana pod podbródek i mocno objęła je ramionami. Zamarła w tej pozycji. Na długo. Na bardzo długo.

Gdy wyprowadzano ją z piwnicy, była obolała i zesztywniała, skołkowaciała jak trup w *rigor mortis*. Kompletnie nie wiedziała, co się z nią dzieje, nawet trwoga nie mogła przedrzeć się przez tuman, który spowił jej zmysły, opatulił je grubą warstwą czegoś miękkiego i nieprzenikalnego.

Było nagle świeże nocne powietrze, zimne, mroźne wręcz. Zrazu wydawało się, że ją oprzytomni, ale było to wrażenie mylne.

Strzelił bat. Konie zarżały. Świat zaczął się trząść.

•

Gdy oprzytomniała, był dzień. Mroźny, słoneczny dzień. Podwórze karczmy lub zagrody, chrapiące konie zmieniane w zaprzęgu, z ich nozdrzy bucha para. Kraczą wrony. Pieje kogut.

– Panno de Apolda.

Mężczyzna, niewysoki, bystrooki. Nieznajomy. Zupełnie obcy.

– Panna raczy się przeodziać. – Dziwny akcent. – Upraszam indulgencji, ale pokazywać się w tak rozdartym odzieniu nie godzi się. Despekt, do tego nazbyt przyciąga oczy. Proszę włożyć o, te rzeczy.

Pieje kogut. Szczeka pies. Chrapie zaprzęgany koń.

– Czy panna mnie słyszy? I rozumie?

●

Strzela bat, konie rżą. Wóz podskakuje i dudni na grudzie. Zimno otrzeźwia. Myśli robią się jaśniejsze.

●

– Panno de Apolda. Tu staniemy na popas. Proszę nie robić...

Rozpłakała się. Rozryczała. Usmarkała jak dziecko, jak dziecko trzęsącą się dłonią rozmazała łzy na twarzy. Przez łzy widziała, jak się skrzywił. Rzucił wodze pachołkowi, sam wziął ją pod ramię, poprowadził w stronę budynku. Coś mówił. Nie słuchała. Była zajęta planowaniem.

Uderzyła go krótko łokciem w ucho, wywinęła się z chwytu i z mocą kopnęła w krocze; gdy się skulił, poprawiła kopniakiem w bok głowy. Pachołek dostał pięścią w oko, usiadł, trzymając się za twarz. W czterech skokach przebiegła podwórze, pchnięciem obaliła drugiego, wyrwała mu wodze, wskoczyła na siodło, kopiąc i tłukąc zmusiła konia do cwału. Podkowy załomotały o grudę. Schyliła głowę ku grzywie i jak strzała pomknęła ku bramie. Uciekłam, pomyślała. Jestem wolna...

Tuż za bramą ją dopadł, ostrym szarpnięciem zwlókł z kulbaki. Targnęła się, na próżno, chwyt miał jak z żelaza. Jakim cudem, pomyślała, jakim cudem się tu znalazł?

– Cud nazywa się translokacja – wysyczał, miażdżąc jej ramię w uścisku. – Zdolność do przenoszenia się w przestrzeni. Jestem czarownikiem. Dla ciebie chyba nic nowego, twój kochanek wszak też nim jest. Nie wyrywaj się.

– Puść... To boli...

– Wiem. Mnie też boli, tam, gdzie kopnęłaś. Wzięłaś mnie przez zaskoczenie. Uśpiłaś czujność, udając płaksę. To się nie powtórzy. Nie uda ci się tego powtórzyć. Uwierz i nie próbuj więcej.

Poderwał ją, popchnął w ręce pachołków. Bez nadmiernej brutalności.

– Ocaliłem cię z łap księcia Jana – powiedział, odwróciwszy głowę, jakby chcąc zademonstrować wyniosłą obojętność. – Wykradłem z Ziębic. Wiozę w miejsce, gdzie jakiś czas będziesz ukryta przed światem. Nie pytaj mnie aby, jakim prawem.

– Jakim prawem?

– Ukryć się na jakiś czas jest w twoim interesie. Głośno się zrobiło o klasztorze w Białym Kościele, za głośno. Kult Wielkiej Matki, Siostrzeństwo Wolnego Ducha, waldenskie rytuały, magia aradyjska... Wierz mi, lepiej będzie, gdy na jakiś czas znikniesz.

– Dla kogo lepiej?

Nie odpowiedział. Machnął ręką, odwrócił się i odszedł.

●

Weronika nie zrezygnowała. Do kolejnej rozmowy doszło trzy dni później, w niedzielę. Gdy po mszy Jutta siedziała na desce w *necessarium*, Weronika weszła, podciągnęła habit i bez żenady zasiadła na dziurze obok.

– Nie wściekaj się – uprzedziła reakcję. – Masz mi za złe, że szukam z tobą kontaktu? A z kim mam szukać? Z tymi idiotkami konwersami?

– To krępujące. – Jutta nie patrzyła na nią, lecz na rysę w murze. – To jest naprawdę krępujące.

– *Pardieu*, Jutta, ja i ty jesteśmy z jednej gliny. Tkwimy tu, głowę gotowam dać, z podobnych powodów. Tobie źle jest samej, widzę to przecież, to dlatego tak reagujesz. Ze mną za miesiąc będzie tak samo. Pomóżmy sobie. Ty mnie, ja tobie.

– O.

– Ty mnie, ja tobie – zniżyła głos Weronika. – Bo ja... Jutto, to mój trzeci klasztor. Ja mam dość. Ja tu zwariuję. Chcę zwiać. I mam propozycję: ucieknijmy razem. We dwie.

Jutta wciąż patrzyła na rysę w murze. Ale bezwiednie kiwnęła głową.

●

Zachody Weroniki uwieńczył, trzeba to było przyznać, sukces pełny. Jutta przestała się boczyć, po czterech dniach dziewczyny zasiadały do wyszywania makatek obok siebie, po tygodniu były już w zażyłości, po dwóch tygodniach doszło do zwierzeń. Weronika nosiła nazwisko von Elsnitz, jej rodzice mieli dobra w okolicach Halle. Klasztor dominikanek w Cronschwitz, jak się okazało, był dla niej trzecim z kolei, przedtem trzymano ją u kanoniczek w Gernrode i u klarysek w Weissenfels. Odosobniono ją, jak twierdziła, z woli rodziców, w karze za występną miłość. Gdy zaś Jutta zdecydowała się wreszcie opowiedzieć własną historię, Weronika aż usta otwarła z podziwu.

– Święta Weroniko, patronko! – Chwyciła się za policzki. – Toż to jak z romansu! Spiski i szpiegostwo! Napady i porwania! Herezja i magia! Książęta, zbójcy i czarodzieje! Twój kochanek to naprawdę husyta i magik? Ach, ach... No to ja wypadam blado, blado i mdło, gorzej niż ta wczorajsza ryba na obiad! Mnie, pomyśleć, wpakował tu głupek, któremu zachciało się żeniaczki!

– To znaczy?

– Syn sąsiadów, ubogich krewniaków. Daleki kuzyn. Spotykaliśmy się i... Byłam napalona, więc... Sama rozumiesz. Przez pół roku przyjemniutko nam czas płynął, a to w stogu, a to w stajni na stryszku, a to, jak się udało, w małżeńskim łożu rodzicieli. Co do mnie, to, szczerze rzekłszy, samo zajęcie podobało mi się dużo bardziej niż kuzyn, myślałam o zmianie obiektu... Ale kuzynek głupek nie pojął, w czym rzecz, wydawało mu się, że to miłość wielka. I poleciał do rodziców prosić o moją rękę. Wszystko się wydało. O małżeństwie mowy nie było, ojciec z matką nie dopuścili nawet takiej myśli, ale przejęli się na tyle, by wsadzić mnie na pokutę do kanoniczek. A kuzyna jego rodzice posłali do Malborka, do Zakonu Panny Marii, pewnie już tam ciapę Litwini złapali i bęben z jego skóry zrobili. Tak więc nie mam co liczyć, że przybędzie tu na ratunek na białym koniu. A twój?

– Co mój?

– Twój kochanek, słynny medyk, czarownik i heretyk. Przybędzie na białym koniu, by cię oswobodzić?

– Nie wiem.

– Rozumiem – pokiwała głową Weronika. – A jakże, rozumiem. Wspominałaś. Husyta, człowiek idei. Wierny ideałom. Najpierw i przede wszystkim ideałom. Znaczy, na białego konia nie ma co czekać. Trzeba

będzie wziąć sprawy we własne ręce, bo ja tu do końca życia wyszywać makatek nie zamierzam, już teraz na widok makatki zbiera mi się na rzyganie. Jutto? Czy myślałaś...

– Tak?

– Myślałaś wcześniej o ucieczce?

– Myślałam.

●

Pierwszą próbę ucieczki podjęła już pod koniec stycznia. Zdeterminowała ją rzecz prozaiczna: zimno. Nie mogła znieść zimna, zimno czyniło ją nieszczęśliwą. W klasztorze magdalenek w Nowogrodźcu jedynym ogrzewanym pomieszczeniem było kalefaktorium, ciepło było również w kuchni. Jutta z radością witała dni, gdy na nią wypadał dyżur kuchenny lub wykonywana w kalefaktorium praca przy wyrobie pergaminu i atramentu. Ale to były nieliczne chwile szczęścia, trzeba było wracać do modlitw. I przędzenia wełny, które w Nowogrodźcu odbywało się na skalę przemysłową, klasztor pracował jak manufaktura, pełną parą, na trzy zmiany. Przy przędzeniu było zimno, posadzka i mury funkcjonowały jak lodownia. Jutta miała tego dość. Przy pierwszej okazji zagrzebała się w przeznaczonej do wywiezienia kupie kuchennych odpadków.

●

Przeorysza zamknęła czytaną księgę, którą była *Liber de cultura hortorum* Walafrida Strabona.

– No i jak się teraz czujesz? – spytała bez gniewu, z wyrzutem raczej. – Jak się czujesz, wyłowiona ze sterty kompostu? Naprawdę było warto?

Jutta wyciągnęła z włosów liść kapusty, starła z ucha i policzka maź ze zgniłej rzepy. I hardo uniosła głowę. Siostra Leofortis zauważyła to.

– Nie ma co z nią gadać – zdecydowała. – Pozwól, matko, wezmę ją do stajni. Dwadzieścia rózeg wystarczy, by jej przeszły te humorki.

– Zastanów się – przeorysza nie zwróciła na mniszkę uwagi. – Co by było, gdyby ci się udało? Załóżmy, że ci się udało. Nocą wypełzasz ze śmietnika i jesteś wolna jak ptak. Dokąd idziesz? Przecież nie znasz drogi. Pytasz kogoś? Kogo? Jesteś samotną dziewczyną, bez opiekuna. Wiesz, kim jest samotna dziewczyna bez opiekuna? Seksualną zabawką dla każdego, kto zechce się zabawić. Dla każdego wiejskiego parobka,

dla każdego wieśniaka, dla każdego wędrowca. A dla każdej bandy rzezimieszków, jakich setki się tu włóczą, jesteś zabawką na czas długi. Dla wszystkich. Dopóki się nie znudzisz, dopóki od tego, co z tobą będą robili, nie zmienisz się w posiniaczony łachman, w ledwie powłóczącą nogami pokrakę z twarzą czarną od bicia i płaczu. Rozmyślałaś o tym, planując ucieczkę? Miałaś wkalkulowane takie ryzyko? Odpowiedz, bom ciekawa.

Jutta gwałtownie odwróciła głowę, z włosów wyleciały jej marchwiane obierzyny.

– Ona – oskarżycielsko wskazała palcem siostra Leofortis – jest ślepa na wszystko. Myśli tylko o jednym. O swoim kochanku. A do ukochanego nie ma złej drogi.

– Czyżbyś – przeorysza nie spuszczała z Jutty wzroku – była rzeczywiście aż tak ślepa? Poinformowano mnie, wiem zatem co nieco o tobie i o twoim lubym. Twoi rodzice, ludzie o znacznym statusie, nigdy nie zaakceptują tego związku. Zamierzasz żyć w grzechu, bez rodzicielskiego błogosławieństwa? Przecież tak nie można. To wbrew Bogu.

– Jej miłośnik – wtrąciła Leofortis – to husyta, wyklęty odszczepieniec. Co jej tam rodzice, co jej tam Bóg. Jej milsza poniewierka. Byle z nim!

– Czy tak jest? Odpowiedz! Odpowiedz wreszcie, pannico!

Jutta zacięła usta.

Ludmilla Prutkow, przeorysza konwentu *Poenitentes sorores Beatae Mariae Magdalenae* w Nowogrodźcu, rozłożyła ręce.

– Poddaję się – powiedziała. – Siostro Leofortis...

– Dwadzieścia rózeg?

– Nie. Chleb i woda przez tydzień.

●

– Jakiś tydzień po Zapustach do Nowogrodźca przybyli po mnie dziwni ludzie. Choć byli małomówni, odgadłam, że to słudzy tego z dziwnym akcentem. Wieźli kilka dni w zamkniętej kolebce, dowieźli do klasztoru cysterek, potem okazało się, że to Marienstern na Łużycach. Widząc się coraz dalszą od domu, byłam zdesperowana. Czułam, że muszę uciekać. W *lavatorium*wykryłam okienko z obluzowaną kratą. Było wysoko, potrzebowałam co najmniej trzech związanych

prześcieradeł. Jedna z konwersek sprawiała wrażenie porządnej. Dopuściłam ją do sekretu, a ona...

– Natychmiast doniosła – domyśliła się z łatwością Weronika.

●

Zofia von Schellenberg, ksieni klasztoru w Mariensternie, widywana była przez mniszki rzadko, praktycznie wyłącznie podczas mszy konwentualnej. Wieść głosiła, że całkowicie pochłania ją praca nad dziełem życia, historią rządów i opisem czynów cesarza Fryderyka I Barbarossy.

– Czym, ciekawam – splotła dłonie na szkaplerzu i różańcu – tak ci dojadło nasze *cenobium*, że zdecydowałaś się zbiec? Pracą przy stawach z karpiami? Nie lubisz karpi? Przykro mi, klasztor musi z czegoś żyć. A oprócz ryb? Jakich krzywd doznałaś? Co tu u nas jest takiego strasznego, przed czym trzeba uciekać, skacząc z wysokiego muru? Co ci dokuczyło, panno Jutto?

– Nuda!

– Ach, nuda. A tam, za murami, w twoim dotychczasowym świeckim życiu, cóż takiego było zajmującego? Czymże to wypełniałaś sobie caluteńkie dnie, jakież to miałaś codzienne atrakcje? Łowy? Pijatyki i bijatyki? Hazard? Turnieje? Wojny? Podróże zamorskie? Hę? W czymże to twoje dotychczasowe życie było bardziej ciekawe? Co miałaś tam, czego nie ma tu? Co? Haftować na bębenku i prząść na kołowrotku możesz i u nas, ile tylko chcesz. Plotkować i szczebiotać o głupstwach możesz do woli, i to lepiej niż w domu, bo kompania więcej inteligentna. Czego ci więc, pytam, brakuje? Mężczyzny?

– A choćby – odrzekła butnie. – Żeby daleko nie szukać.

– Oho! A więc zaznałyśmy już grzesznych rozkoszy. I chce się chłopa? No cóż, z tym może być u nas kłopot. Siostry jakoś sobie radzą, od czego w końcu pomysłowość. Nie namawiam, ale i nie zakazuję...

– Nie zrozumiałaś mnie, nie o to chodzi. Kocham i jestem kochana. Każda chwila z dala od ukochanego jest jak obrót wrażonego w me serce sztyletu...

– Jak? – Przechyliła głowę ksieni. – Jak? Obrót wrażonego? W serce sztyletu? Jasna cholera, dziewczyno! Ty masz talent. Z ciebie może być druga Krystyna de Pisan albo Hildegarda z Bingen. Dostarczymy ci pergaminu i piór, inkaustu choć beczkę, a ty pisz, pisz, zapisuj...

– Chcę wolności!

– Aha. Wolności. Zapewne nieograniczonej? Dzikiej i anarchistycznej? Na wzór waldensów? Albo czeskich adamitów?

– Niepotrzebnie kpisz. Mówię o wolności pojmowanej najprościej. Tej bez murów i krat!

– A gdzie chciałabyś takiej szukać? Gdzie my, kobiety, możemy być bardziej wolne aniżeli w klasztorze? Gdzie pozwolą nam studiować, czytać księgi, dysputować, swobodnie wyrażać myśli? Gdzie pozwolą nam być sobą? Krata, którą wyrwałaś, mur, z którego chciałaś skakać, nie więżą nas. One nas chronią, nas i naszą wolność. Przed światem, w którym kobiety są częścią domowego inwentarza. Warte nieco więcej niż mleczna krowa, ale znacznie mniej niż bojowy koń. Nie łudź się, że twój kochanek, dla którego ryzykowałaś skomplikowane złamania, jest inny. Nie jest inny. Dziś kocha cię i wielbi jak Piram Tysbe, jak Erek Enidę, jak Tristan Izoldę. Jutro będzie łoił kijem, gdy odezwiesz się nie pytana.

– Nie znasz go. On jest inny. On...

– Dosyć! – Zofia von Schellenberg machnęła ręką. – Chleb i woda przez tydzień.

●

Jutta wertowała przy pulpicie *De antidotis* Galena, dzieło nudne, ale przypominające jej Reynevana. Weronika wygrzebała we wciśniętej w kąt skrzyni lutnię i brzdąkała na niej. Oprócz nich w *scriptorium* przebywały dwie iluminatorki, a także przyuczane do tej sztuki konwersy i nowicjuszki, zgromadzone wokół pulchnej siostry Richenzy. Siostra Richenza, osoba prosta dość, miała z Juttą i Weroniką umowę: pakt o wzajemnym nie zawracaniu głowy.

Weronika założyła nogę na nogę, oparła lutnię o kolano.

– *Ben volria mon cavalier...* – odchrząknęła. A potem poszła na całość.

Ben volria mon cavalier
tener un ser e mos bratz nut,
q'el s'en tengra per ereubut
sol q'a lui fezes cosseiller;
car plus m'en sui abellida
no fetz Floris de Blanchaflor:

eu l'autrei mon cor e m'amor
mon sen, mos houills e ma vida!

– Ciszej, panna! Koniec tym hałasom!

– Nawet śpiewać nie wolno – zaburczała Weronika, odkładając lutnię. – Jutto? Hej, Jutto!

– Słucham?

– Jak ci się układało – Weronika zniżyła głos – z tym twoim medykiem?

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz, o co. Zostaw księgę, chodź tu. Poplotkujemy. Ten mój, wiesz, kuzyn... Posłuchaj tylko... Pierwszy raz... Był październik, chłodno, więc miałam pod spódnicą wełniane femurałki. Bardzo obcisłe. A ten dureń...

Klasztor zmieniał. Jeszcze rok temu Jutta nigdy nie przypuściłaby, że bez zażenowania wysłuchiwać będzie barwnych opowieści o intymnych detalach cudzego erotycznego związku. Nigdy, przenigdy nie myślała też, że komukolwiek i kiedykolwiek opowie o erotycznych detalach swojego związku z Reynevanem. A teraz wiedziała, że opowie. Chciała opowiedzieć.

Klasztor zmieniał.

– A na koniec, imaginuj sobie, Jutta, głupek jeszcze pyta: „Dobrze ci było"?

– O czym wy tam szepczecie? – zainteresowała się siostra Richenza. – Wy dwie, szlachetne panienki? Hę?

– O seksie – odparła bezczelnie Weronika. – A co? Jest zakaz? Seks jest zakazany?

– Nie jest.

– Ach, nie jest?

– Nie jest – wzruszyła ramionami zakonnica. – Uczy święty Augustyn: *Amore et act*. Kochajta i róbta co chceta.

– Ach, tak?

– Ach tak. Szepczta sobie dalej.

●

Wieści ze świata z trudem torowały sobie drogę przez klasztorne mury, ale od czasu do czasu jednak dochodziły. Krótko po świętym

Michale rozeszła się wieść o husyckim uderzeniu na Górne Łużyce, o dziesięciu tysiącach Czechów pod wodzą straszliwego Prokopa, budzącego grozę samym dźwiękiem swego imienia. Mówiono o ataku na klasztor celestynów w Oybinie, o odpartych kosztem wielu ofiar szturmach Budziszyna i Zgorzelca, o obleganiu Żytawy i Chociebuża. Drżące z przerażenia głosy mówiły o rzezi ludności w zdobytym Gubinie, o krwawej masakrze w Kamieniu. Plotka w setki mnożyła spalone miasteczka i wsie, mówiła o tysiącach ofiar. Weronika słuchała w napięciu, potem gestem wezwała Juttę do *necessarium*, miejsca od dawna służącego im do narad.

– To może być nasza szansa – klarowała, sadowiąc się na dziurze w desce. – Czesi mogą z Łużyc wkroczyć do Saksonii. Zapanuje zamieszanie, na drogach pojawią się uchodźcy, zawsze da się do kogoś przyłączyć. Nie byłybyśmy same. Przy odrobinie szczęścia zdołałybyśmy dotrzeć...

– Dokąd?

– Do husytów, ma się rozumieć! Twój miły, mówiłaś, to znaczna wśród nich figura. To twoja szansa, Jutto. Nasza szansa.

– Po pierwsze – zauważyła trzeźwo Jutta – znamy tylko plotkę. W czerwcu też panikowano, gadano o tysiącach husytów prących na Żytawę i Zgorzelec. A skończyło się mało znaczącą ruchawką na śląsko-łużyckim pograniczu. Teraz może być tak samo.

– A po drugie?

– Ja widziałam skutki husyckich rejz na Śląsku. Idąc, husyci mordują i palą wszystko, co na drodze. Jeśli wpadniemy na pijaną krwią czerń, to po nas, imię Reynevana nas nie ocali. Jego może znają niektórzy z wyższych rangą kapitanów, gemajni o nim nie słyszeli.

– Głowa więc nasza w tym – Weronika wstała z deski, opuściła habit – by ominąwszy gemajnów, trafić do kapitanów. A to się da zrobić. Czekamy więc na rozwój wypadków, Jutto, wypatrujemy okazji. Jesteśmy zgodne?

– Jesteśmy zgodne. Czekamy na rozwój i wypatrujemy.

●

Wypadki i owszem, rozwijały się, tak przynajmniej wynikało ze strzępów docierających do Cronschwitz informacji i plotek.

Krótko po świętej Łucji klasztor zelektryzowała wieść o kolejnym najeździe, o potężnej armi husyckiej, która przez Góry Kruszcowe weszła do Saksonii, w dolinę Łaby. Weronika znacząco patrzyła na Juttę, Jutta kiwała głową.

Pozostawało czekać na okazję.

A ta trafiła się całkiem szybko. Jak na zamówienie.

●

W Cronschwitz często zjawiali się goście, często wysocy rangą świecką lub wysoko postawieni w hierarchii kościelnej. Klasztor dominikanek liczył się w Turyngii, liczono się też z głosem i opinią pochodzącej ze znacznego rodu przeoryszy. Za pobytu Jutty klasztor odwiedziła własną osobą Anna von Schwarzburg-Sondershausen, małżonka landgrafa. Wizytował Cronschwitz arcybiskupi wikariusz z Moguncji, scholastyk z Naumburga, opat benedyktynów z Bosau i różni wędrujący prałaci z rozmaitych, niekiedy bardzo odległych diecezji. Regułą, a w gruncie rzeczy zasługą przeoryszy było, że każdy z gości występował z kazaniem lub wykładem dla mniszek. Tematy wykładów były przeróżne: transsubstancjacja, zbawienie, żywoty świętych i Ojców Kościoła, egzegeza Pisma, herezje i błędy, Diabeł i jego poczynania, antychryst. Temat był w sumie obojętny, liczyło się zabicie nudy. Nadto niektórzy z prelegentów byli przystojni i męscy jak cholera i na długo dostarczali mniszkom powodu do westchnień i marzeń.

Tego dnia, dziewiętnastego grudnia 1429, w poniedziałek po ostatniej niedzieli adwentu, *ad meridiem*, gdy zimowe słońce pięknie podbarwiało witraż z męczeństwem świętego Bonifacego, przed zebranymi w sali kapitulnej mniszkami i dziewczętami zjawiły się cztery osoby. Dostojna Konstancja von Plauen, przeorysza konwentu. Piotr von Haugwitz, spowiednik klasztoru, kanonik kolegiacki z Życza. Starszawy, wysoki, ascetycznie chudy jegomość, duchowny, ale odziany po świecku w wams z weneckiego brokatu. I młodszy, w wieku Reynevana, jasnowłosy mężczyzna w stroju wykładowcy uniwersyteckiego, o sympatycznej twarzy, błyszczących oczach i włosach falujących jak u kobiety.

– Drogie siostry – przemówiła Konstancja von Plauen, w tęczowym świetle witraża wyglądająca jak królowa. – Zaszczycił nas dziś swą wizytą wielebny Oswald von Langenreuth, kanonik moguncki,

przyboczny dobrego pasterza archidiecezji naszej, czcigodnego Konrada von Dauna. Uproszony, kanonik wygłosi nam nauki. Nauki te, zaznaczam, pewnych świeckich rzeczy dotyczą, toteż kierowane są główną miarą do panien przebywających tu czasowo, jak również do tych *sorores* i konwers, które nie wytrwają i powrócą do świata. Ale i nam, któreśmy się ofiarowały i złożyły śluby, nie zaszkodzi, mniemam, ta wiedza. Albowiem wiedza nigdy nie szkodzi i nigdy jej za wiele. Amen.

Kanonik Oswald von Langenreuth wystąpił.

– Niedoskonaliśmy – zaczął po efektownej pauzie i równie efektownym załamaniu rąk. – Słabiśmy! Wydaniśmy na pokusy. Wszyscy, niezależnie od wieku, rozumu i płci. Wszelako zważcie, siostry, że niewiasty bardziej, stokroć bardziej na pokusy są narażone. Jeśli bowiem uczynił Stwórca mężczyznę niedoskonałym, kobietę stworzył najniedoskonalszą istotą pomiędzy zwierzęty. Obdarzywszy ją zdolnością dawania życia, wydał ją zarazem na łup żądzy i lubieżności. Wydał ją na cierpienie. Powiada bowiem mądry Albertus Magnus: Lubieżność i żądza chorobie są podobne, kogo ogarną, ten cierpi...

– Jeszcze jak – wymruczała Weronika.

– ...ten nie w mocy. Wielkiej potrzeba siły, by się żądzy oprzeć. A cóż niewiasta? Niewiasta słabą jest! Ducha nie ma, a ciało jej wobec żądz bezsilne, na pastwę wydane. Nawet w małżeństwie nie masz przed chucią ucieczki. Jakże się opierać, gdy się małżonkowi posłuszeństwo winno i uległość? Zgodnie z Pisma Świętego literą? Mówi księga Genesis: Ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą. Żony niechaj będą poddane swym mężom, uczy święty Paweł w liście do Efezjan.

– Jakże tedy, spytacie, być? – kontynuował kanonik. – Co czynić? Ulec i zgrzeszyć cieleśnie? Czy oprzeć się małżonkowi i zgrzeszyć nieposłuszeństwem? Wiedzcie oto, miłe siostry, iż ma rozwiązanie ten dylemat, a to dzięki naukom wielkich doktorów naszego Kościoła i uczonych teologów.

– Rzecze Tomasz z Akwinu: Jeśli chucią wiedziony zapragnie małżonek waszego ciała i obcowania cielesnego zażąda, odwieść go od tego trzeba, postępując gorliwie, acz mądrze. Jeśli to się jednak nie uda, a zwykle się nie uda, trzeba ulec, aby grzech mniejszy popełniając, małżonka przed gorszym grzechem uchronić. Niezaspokojon gotów bowiem do bordelu ze swą chucią pobieżać albo, Boże odpuść, z cudzą

żoną cudzołóstwem zgrzeszyć. Albo chłopiątko jakie schwytać i... Zmiłujcie się, święci Pańscy! Widzicie tedy, siostry, że lepiej się poświęcić, niźli małżonka na grzechy tak ciężkie narażać. Dobrze czyni, kto bliźniego przed grzechem chroni. Dobry to uczynek!

– Dobrze wiedzieć – mruknęła Weronika. – Zapamiętam.

– Bądźże cicho – syknęła Jutta.

– Zważać wszelako trzeba, by lubieżności w tym nie było nijakiej. Powiada teolog Gwilelm z Auxerre: Obcowaniu cielesnemu rozkosz wielka towarzyszy, nie popełnia wszelakoż grzechu ten, komu rozkosz ta przyjemności nie sprawia. Ale, niestety, rzadko się zdarza, by nie sprawiała...

– Cholernie rzadko – szepnęła Weronika.

– Tedy jedno, co można poradzić: modlić się. Modlić żarliwie i bez przerwy. Ale w duchu, cicho, by podczas spółkowania małżonka nie urazić, bo urażanie małżonka podczas spółkowania to nie tylko grzech, ale i chamstwo.

– Amen – wyszeptała któraś z mniszek.

– Jak widzicie, siostry – przemówiła poważnie przeorysza – rzecz jest nieprosta. Więcej wyłoży wam o niej drugi nasz gość zaszczytny, uczony Mikołaj z Kuzy, teolog, bakałarz wszechnicy heidelberskiej, *decretorum doctor* uniwersytetu w Padwie, kanonik trewirski, sekretarz tamtejszego arcybiskupa. Mąż latami młody, ale wielce już pobożnością i mądrością wsławion.

Młodzieniec w wieku Reynevana wstał. Wystąpił. Splótł dłonie. Witraż ze świętym Bonifacym opromienił go pięknie.

– Cherubin – zamruczała Weronika. – Chyba będzie mi się dzisiaj śnił.

– Mnie już się śni – zaszeptała nowicjuszka za plecami Jutty. Inne uciszyły ją syknięciami.

– Drogie siostry w Chrystusie – zaczął łagodnym głosem młody teolog. – Pozwólcie. Ni nauczał was będę, sam wciąż od wszechwiedzy daleki, ni przestrzegał, sam nie będąc bez grzechu. Pozwólcie mi po prostu podzielić się z wami tym, co mam w sercu.

Pełna oczekiwania cisza, zdawało się, aż dzwoni pod sklepieniem.

– Człowiek prawdziwie Boży – zaczął Mikołaj z Kuzy – żyje w skupieniu. Wolny od rzeczy ziemskich, zwraca się z czcią ku wiekuistej dobroci. Wówczas zakryte niebo odsłania się. Z oblicza miłości Bożej nagłe światło jak błyskawica przeszywa otwarte serce. W jego blasku

Duch Boży przemawia do serca, mówiąc: Ja jestem twój, a ty jesteś moje, ja mieszkam w tobie, a ty żyjesz we mnie.

– Dwoje kochających się ludzi łączy podobna wspólnota. Pragnienie jednego jest pragnieniem drugiego. Jego żądza jest twoją żądzą...

Na twarzy kanonika Langenreutha pojawił się lekki wyraz zaniepokojenia. Zaś twarze wielu mniszek, przeoryszę wliczając, przyozdobiły tęskne uśmiechy.

– ...bo jeśli miłość płynie od Boga, prawdziwie od Boga, nie masz w tym nic nieczystego. Miłość i żądza czyste są jak światłość, jak *lux perpetua*, jak natura nieskalanego grzechem ogrodu rajskiego.

– O siostro, siostro moja, w wielu jedna! Czekaj, czekaj cierpliwie, wytrwaj w pobożności i modlitwie. Aż nadejdzie dzień, gdy blask miłości zajaśnieje, gdy zjawi się ten, którego miłością obdarzysz. Nadejdzie *suavissimus* pełen powabu i powiedzie cię w *hortus conclusus* rozkoszy. Pragnienie, a później upojenie. Siła miłości upaja cię, pogrąża w doskonałej radości. Dusza, pełna radości, służy temu, którego miłuje tym goręcej, że nie skrywa swej nagości przed nagością jego niewinności...

Niepokój na obliczu Langenreutha był coraz bardziej zauważalny. Mniszki zaś rozmarzały się w zastraszającym tempie.

– Nazwie cię oblubienicą swą, miłość której słodsza jest niźli wino, a zapach olejków nad wszystkie balsamy! I rzeknie ci: *Quam pulchrae sunt mammae tuae soror mea...*

– Jeśli to jest *devotio moderna* – szepnęła nowicjuszka z tyłu – to ja się zapisuję.

– O świcie pospieszycie pospołu do winnic, zobaczyć, czy kwitnie winorośl, czy pączki otwarły się, czy w kwieciu są już granaty: tam dasz mu miłość twoją. A piersi twoje...

– Święta Weroniko, patronko... Nie wytrzymam...

– ...piersi twoje, które *mandragorae dederunt odorem*, to owoc, powiesz, który dla ciebie, miły mój, chowałam. I spełni się *commixtio* płci, wypełni się *unio mystica*. Spełni się, co naturalne, w obliczu Boga, który jest Naturą. Amen. Pokój z wami, siostry moje.

Konstancja von Plauen odetchnęła słyszalnie. Ciężko westchnął Oswald von Langenreuth. Kanonik Haugwitz otarł rzęsisty pot z czoła i tonsury.

•

– To jest nasza szansa – powtórzyła Weronika. – Nie możemy jej zmarnować.

Rozmawiały ukryte w komórce za piekarnią, ich zwykłe miejsce narad było zajęte, jedna z najmłodszych konwers miała rozwolnienie i okupowała *necessarium* bez przerwy.

– Nie kręć głową i nie rób min. – Zmarszczyła nos Weronika. – Ten teolog to nasza szansa, powtarzam. Przecież słuchałaś, co mówił i jak mówił. On, Jutto, myśli tylko o jednym, gwarantuję ci. Cały klasztor słuchał tej jego mowy, wszystkie widziały, co on miał w oczach. A miał tę mianowicie rzecz, o której obie bez przerwy myślimy.

– Może ty!

– Niech ci będzie. Może ja. I reszta klasztoru, czcigodną matkę von Plauen wliczając. Nie, nie mam zamiaru czekać, aż któraś nas ubiegnie i wpakuje mu się do łóżka. Napalony teolog pomoże nam w ucieczce, Jutto. Trzeba tylko pójść do niego, do domu gości. I przekonać go do naszej sprawy. Mam tu dwa patyczki. Nuże, wyciągaj. Krótszy idzie i przekonuje.

– Co ty... – Jutta cofnęła się, jak gdyby podawano jej nie dwa patyczki, lecz dwie żmije. – Ty chyba nie...

– Krótszy idzie – powtórzyła stanowczo Weronika. – I przekonuje Kuzańczyka do naszej sprawy. To nie będzie trudne. Myślę, że wystarczy porządne i solidne *fellatio*. Plus piersi, które*mandragorae dederunt odorem*. Ale jeśli okaże się, że to za mało, cóż, trzeba będzie pójść na *commixtio* płci wedle pełnego programu. Nagość przed nagością *et cetera*. Dalej, dalej, szkoda czasu. Krótszy patyczek bieży w *hortus conclusus*, dłuższy w tym czasie pakuje ekwipunek.

– Nie – żachnęła się Jutta. – Nie.

– Co nie?

– Ja nie mogę... Ja kocham Reynevana...

– I dlatego chcesz uciec. Dlatego musisz uciec.

Ona ma rację, pomyślała Jutta, ma absolutną rację. Mija rok mojej niewoli, rok od napadu na Biały Kościół. U dominikanek w Cronschwitz jestem już siedem miesięcy, tylko patrzeć, jak znowu zjawią się dziwni ludzie, by zabrać mnie i zawieźć do innego, jeszcze odleglejszego

klasztoru. Rozdzielą mnie z Weroniką, a sama uciec nie zdołam. Ona ma rację. Teraz albo nigdy.

– Daj patyczek, Weroniko.

– To rozumiem. Jaki wyciągnęłaś? Długi! A więc krótki dla mnie, wysłuchała cichych modłów moja patronka. Pakuj juki, Jutto. Ja zaś spieszę do domu gości. Do teologa Mikołaja, który czeka tam *suavissimus* i pełen powabu.

●

Jutta, spakowana i przebrana, czekała w piekarni. Był nów księżyca, grudniowa noc ciemna była jak samo dno Gehenny.

Weronika wróciła dobrze po północy. Zarumieniona, spocona i zdyszana. Miała na sobie podbity futrem płaszcz, niosła tobołek. Udało się, pomyślała Jutta, naprawdę się jej udało.

Nie traciły czasu. Prędziutko przebiegły dziedziniec pod dom gości, weszły w mrok sieni. Mikołaj z Kuzy czekał na nie, palcem na ustach nakazał milczenie. Poprowadził je do stajni, gdzie przy nikłym świetle kaganka pachołcy siodłali dwa konie. Jutta włożyła podany jej kożuszek, naciągnęła kaptur, wskoczyła na siodło.

Mikołaj z Kuzy odprawił pachołków. Po czym objął Weronikę i pocałował. Pocałunek trwał. I trwał.

Dość długo. Zniecierpliwiona Jutta zachrząkała znacząco.

– Czas na was, *sorores* – opamiętał się Mikołaj z Kuzy. – Czas. Idziemy.

– A któż tam? – zaburczał Brunwart, świecki klasztorny *servus*, stróż i odźwierny domu gości. – Kogo tam po nocy diabeł niesie? Zaraza na wasze...

Rozpoznał kanonika, zamilkł, skłonił się głęboko. Kuzańczyk bez słowa wepchnął mu do rąk brzęczącą sakiewkę. Brunwart zgiął się w ukłonie.

– Otwieraj wrota. Wypuść moich służących, wysyłam ich w pilnych sprawach. I gębę na kłódkę.

– Jako żywo... Wasza wielebność...

Noc, ciemna jak dno Gehenny. Zimno.

– Ta droga wiedzie do Weida. Ta druga do Zwickau i dalej do Drezna. Żegnajcie, miłe siostry. Niech was Bóg prowadzi. I szczęśliwie doprowadzi do waszych bliskich.

– Żegnaj... miły Mikołaju.

Podkowy zastukały na kamieniach.

Rozdział siedemnasty

w którym piszemy Rok Pański 1430, a na objętych wojenną pożogą terenach Saksonii, Turyngii i Górnej Frankonii trwa wielkie poszukiwanie.

Reynevan, Szarlej, Samson i Rixa potrzebowali dwóch godzin, by od brodu w Kössern dotrzeć na trakt, na drogę wiodącą do Altenburga. Zaczął padać śnieg, mimo tego jechali szybko, prowadzeni przez Reynevana, rozgorączkowanego i podnieconego bliskością Jutty. Armia husycka, podzieliwszy się na pięć hufów, maszerowała tymczasem w kierunku Naumburga i Jeny, metodycznie paląc każdą wieś i każde *oppidum* na drodze. Horyzont na zachodzie zakwitł strzępionymi przez wiatr pióropuszami dymów.

Reynevan naglił, początkowo wzbraniał się nawet stawać na noc, chciał jechać nawet w ciemnościach; by go zatrzymać, konieczne były naprawdę przekonujące argumenty: konie wymagały odpoczynku i obroku, a na dodatek byli w obcym i wrogim kraju, w mrokach i wśród śnieżycy mogli pobłądzić, zgubić drogę, konsekwencją mogło być opóźnienie dużo poważniejsze niż te kilka godzin noclegu. Zatrzymali się więc w pustej stodole na skraju osiedla. Też wyglądającego na opustoszałe.

Horyzont na zachodzie i północy jaśniał od łun.

Siedzieli wokół malutkiego ogniska. Wśród zupełnego milczenia. Do czasu.

– Reinmarze – odezwała się ledwo widoczna w mroku Rixa. – Jedną rzecz musimy wyjaśnić. Bożyczko zastraszył cię groźbą skrzywdzenia Jutty, wydusił z ciebie informację o miejscu przeprawy. Prawda?

– Do czego – odezwał się ledwo widoczny w ciemnościach Szarlej – zmierzasz, droga Rixo?

– Kurfirst Fryderyk czekał z saskim wojskiem nie tam, gdzie trzeba, *ergo*: nie wiedział. Nie znał prawdy. Pokierował się informacją fałszywą. Zmierzam do tego, by postawić ci pytanie, Reinmarze. Brzmiące: Jaką informację podałeś Bożyczce?

– Ależ fałszywą, oczywiście, że fałszywą – zapewnił z ciemności Szarlej. – Jaką inną mógłby podać?

– Fałsz musiał się wydać – nie rezygnowała Rixa. – A zapłacić zań musiałaby Jutta. Mam uwierzyć, Reinmarze, żeś poszedł na takie ryzyko?

– Elektor saski nie czekał z armią pod Kössern – ponownie za Reynevana odpowiedział Szarlej. – Czekał pod Dornau, czyli czekał fałszywie. Sama to przyznałaś. Czy to ci nie wystarczy za dowód?

– Nie zależy mi na dowodzie, lecz na prawdzie.

– Prawda – Szarlej chwycił za ramię sposobiącego się do odpowiedzi Reynevana – miewa różne oblicza. Jakie oblicze ma twoja, Rixo Cartafilo? Nim Bożyczko walnął cię kastetem, ostro i natarczywie domagałaś się od Reinmara informacji o miejscu przeprawy. Jakiej informacji oczekiwałaś, prawdziwej czy fałszywej? Jak miałaś zamiar zdobytą wiedzę wykorzystać, komu ją przekazać? I w jakiej postaci, informacji czy dezinformacji? Czy warto drążyć?

– Chcę znać prawdę.

– Uparta jesteś.

– Mam to po przodkach. Drążę dalej: zmierzamy do Cronschwitz, do klasztoru dominikanek, bo tam właśnie Bożyczko ukrył Juttę de Apolda. Wiemy o tym, albowiem przejęłam jego wiadomość dla Reynevana. Gdy Bożyczko wysyłał tę wiadomość, faktyczne miejsce przeprawy było już znane. Wiadomym już wtedy było, że Fryderyk został wywiedziony w pole, że skutkiem dezinformacji popełnił fatalny błąd militarny. Mimo to Bożyczko oddał Reynevanowi Juttę. Zachował się jak solidny szantażysta. Wypełnił swoją część paktu, oddał to, czym szantażował, gdy dostał to, co chciał szantażem osiągnąć. Co więc, pytam po raz kolejny, dostał Bożyczko? Informację czy dezinformację?

– Odpowiadam po raz kolejny: w czym różnica? Liczy się skutek.

– Nie tylko. Liczy się też wierność zasadom.

– Droga Rixo! – Tym, który odezwał się po dłuższej chwili ciszy, był znowu Szarlej, nikt inny. – Ja też miałem przodków. I też mam dziedzictwo. Z pokolenia na pokolenie przechodziły w moim rodzie różne mądrości życiowe i sentencje, krótsze, dłuższe, nawet rymowane. Z pustego i Salomon nie naleje. Bogatemu to i wół się ocieli. Dłużej klasztora niźli przeora. Był tych mądrości bezlik, spośród nich zapamiętałem zwłaszcza jedną. Brzmiała: Wierność zasadom to nic

innego, jak wygodny wykręt dla bezwolnych niedorajdów, którzy trwają w bezczynności i marazmie, nie robiąc nic, albowiem jakakolwiek aktywność jest ponad ich siły i wyobrażenie. By móc z tym żyć, niedołęgi te ze swego niedołęstwa uczyniły cnotę. I szczycą się nią.

– Piękne. A prawda?

– Co prawda?

– Co nią jest?

– Prawda – rzekł spokojnym głosem Samson Miodek – jest córą czasu.

– Poczętą – dokończył Szarlej – w przypadkowym i krótkotrwałym romansie ze zbiegiem okoliczności.

●

Było późne przedpołudnie, gdy dotarli do Cronschwitz. Było południe, gdy zmęczyło ich i znużyło pukanie do furty, a potem walenie w nią. Gdy niemal zachrypli od wołań. Zamczysta klasztorna furta pozostała zamkniętą na głucho. A kamienna bryła dominikańskiego *cenobium* pozostawała taką, jaką była: zimną, martwą i milczącą.

– Przybywamy po pannę Juttę de Apolda! Z upoważnienia jej rodziców!

– *Pax vobiscum, sorores!* Przysyła nas arcybiskup magdeburski! Otwórzcie!

– Jestem duchownym! *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti! Credo in Deum Patrem omnipotentem, Creatorem caeli et terrae!*

– Jesteśmy dobrzy katolicy! Przysięgamy na Święty Krzyż!

– Ofiarujemy na klasztor pięćdzie... Sto guldenów!

– Jutto! Odezwij się! Jesteś tam? Juuuttooooo!

Obita żelazem furta raziła lodowatym zimnem i wrogim zapachem rdzy. Klasztor milczał. Jak grób. Jak kamienie otaczającego go muru.

– Mniszki są wewnątrz – skonkludował Szarlej, gdy zrezygnowani wycofali się do pobliskiego lasku. – Wyjście jest jedno. Tabor operuje blisko, te dymy to skądś spod Gera, pali się też chyba Altenburg, który minęliśmy wczoraj. Skoczę tam, przyprowadzę setkę chłopaków i weźmiemy monastyr szturmem.

– Ograbią klasztor. Dominikankom też się dostanie.

– Miały swoją szansę.

– Pójdę jeszcze raz pod klasztor – zaciął usta Reynevan. – Tym razem sam. Na kolana padnę przed furtą. Będę błagał...

Samson niczym tygrys skoczył nagle w suchą gęstwę i wywlókł z niej za kołnierz niewysokiego i mocno zarośniętego typa.

– Puśćcie... – wystękał typ. – Puśćcie mnie... Wszystko powiem...

– Ktoś taki?

– Brunwart, panie. Z klasztoru sługa... Słyszałżem, coście pod furtą krzykali... Próżno, bo onej panny w klasztorze już nie masz...

– Gadaj! Gadaj, co z nią!

– A rzekaliście ta cosik o pieniądzach...

●

Jechali na wschód, gościńcem na Chemnitz. Podniecony zdobytymi informacjami Reynevan znowu był na czele i znowu narzucał tempo.

– Uciekły z klasztoru – powtórzył po raz nie wiedzieć który, gdy zwolnili. – Jutta z jakąś drugą panną. W ucieczce pomógł im duchowny, miłośnik tej drugiej...

– Załóżmy, że drugiej – wykrzywiła się szelmowsko Rixa, ucichła pod jego złym spojrzeniem.

– Pojechały – ciągnął – na wschód, w kierunku Drezna, na Via Regia. To jasne, zmierzają w kierunku domu... Musimy je doścignąć.

– Opuściły klasztor ponad tydzień temu – zauważył Samson. – Jeśli wierzyć posługaczowi. Mają sporą przewagę. A mój koń... Nie chcę was martwić, ale z jego chodem coś nie tak.

– Nie dziwota – parsknęła Rixa. – Nosić takiego giganta nie żart. Ile ty ważysz, dybuku? Cztery cetnary?

– Konia – Szarlej stanął w strzemionach – trzeba będzie zmienić. Twojemu, Reinmarze, też, słyszę, w płucach gra jak w miechach. Musimy mieć nowe rumaki. Co powiecie na te?

Wskazywał pod las, na dukt, z którego właśnie wyłaniał się pochód wieśniaków. Wieśniacy, był ich z tuzin, prowadzili konie.

A odziani, a raczej przeodziani, byli bardzo dziwnie. I bardzo jak na wieśniaków nietypowo.

– Ja znam te konie – powiedział Reynevan. – I te czarne płaszcze. I te czarne przyłbice...

Nim dokończył, Szarlej i Rixa już spinali konie.

●

Choć obuci w monstrualne łapcie, wieśniacy wykazali rączość jeleni i skoczność kozic. Rzuciwszy obarczające ich łupy, sadzili przez gąszcza i pełne śniegu wykroty z gracją antylop, wiali tak chyżo, że pościg nie miał szans. Szarlejowi i Rixie udało się pojmać tylko jednego, najbardziej posuniętego w leciech i chyba dotkniętego platfusem, jak zdiagnozował Reynevan na podstawie kaczego chodu.

Doprowadzony za kołnierz chłopina płakał, krzyczał, prosił litości i wzywał Boga, wszystko to bardzo nieskładnie i bardzo niezrozumiale. Szczęściem Szarlej znał sekret komunikacji z mieszkańcami rolniczych siół. Potężnie kopnął wieśniaka w dupę, a raptownie wyprostowanego zdzielił pięścią w kark. Poskutkowało momentalnie.

– ...nie winowaty, my nie winowaty! – Mowa platfusa nabrała cech ludzkiej. – Nie my ich pobili, *schwöre bei Gott*, nie my... Oni tak między sobą się rżnęli, między sobą! My ino ubitych z przyodziewy obrali... Konie my połapali i wzięli... *Um Gottes Willen!* Panoczku dobry... Wżdy i nam niedzielę temu nazad wzięli, wszystko *Rittery* wzięli... Jednej kury nie ostawili... Święta Genowefo... Tedy jak my te trupy naszli...

– Trupy? Gdzie? Zaprowadź nas.

●

Za lasem rozciągał się ugór, porośnięty krzakiem i zaśnieżony. Śnieg zryty był podkowami i czerwony od krwi, czerniały na nim trupy. Na oko jakieś dwadzieścia ciał.

Chłopi nie zdążyli obedrzeć nawet połowy zabitych, toteż identyfikacja zwłok nie przedstawiała trudności. Co najmniej czterej zabici nosili czarne płaszcze, czarne blachy i czarne hundsgugle, zapamiętane przez wszystkich jako strój i znak rozpoznawczy Czarnych Jeźdźców Birkarta Grellenorta. Inni wyglądali na najemników.

Rixa była jedyną, która wjechała na krwawy śnieg i okrążyła pobojowisko, bacznie lustrując wszystkie ciała, ślady i szczegóły.

– Bili się wczoraj – stwierdziła, wróciwszy. – Najemników było piętnastu, padli wszyscy. Jeźdźców Grellenorta było mniej, zginęło trzech. Z czego dwóch dobito, zakłuto mizerykordiami. Grellenort się widać spieszył.

– Dokąd? – spytał Szarlej. – Którędy pojechał?

– Na południe. Na nasze szczęście, bo byśmy się na niego nadziali.

– Co on – Reynevan uspokoił boczącego się konia – tu robi? Czego szuka?

– Nas – odrzekł sucho Samson. – Nie miejmy złudzeń.

– Chryste... – Reynevan pobladł. – Nadjechał ze wschodu... Jutta...

– Nie – ucięła Rixa. – Na pewno nie. Jedźmy stąd.

Ruszyli. Samson i Reynevan na nowych karych koniach, wzbogaceni o dwa nowe luzaki. Rixa obejrzała się jeszcze raz.

– Jednego z tych dobitych rozpoznałam – skrzywiła się. – Służył we Wrocławiu u Hayna von Czirne. Zbir, morderca, do tego amator małych dziewczynek. Potwierdza się, że zdeterminowany Grellenort zbiera i werbuje, kogo zdoła, kanalie, zwyrodnialców i ostatnią swołocz.

– Potwierdza się jeszcze jedno – dodała. – Plotka o zniszczeniu przez Inkwizycję ich legendarnego zamku, tego Sensenbergu. Grellenort nie ma już ani kwatery głównej, ani asasyńskich narkotyków dla swoich pupilków.

– Niegdyś strachy nocne – splunęła. – Rota Śmierci, budzące zabobonny lęk Demony Południowej Pory. Teraz zgraja wykolejonych szubieniczników, ponoszących straty w byle starciu. I dorzynających własnych rannych. Jak dla mnie, to jest upadek.

– Upadłe anioły – odezwał się Samson – nie są wcale mniej groźne.

– Gadasz jak dybuk, dybuku.

– Dobrze gada – uciął Szarlej. – Jakby nisko Grellenort nie upadł, wolałbym go nie spotkać. Ani jego, ani tych Jeźdźców. Miałem już nieprzyjemność.

– Kto nie miał? – parsknęła Rixa. – W konie!

●

Rycerz, przed którego ich przyprowadzono, golił się właśnie przed biało-niebieskim namiotem z grubego golszu. Na ich widok wyprostował się butnie, wytarł twarz. Nos, jak zauważył Reynevan, miał opuchnięty, a cały lewy oczodół ginął w wielkim sińcu.

– Jestem Gers von Streithagen – oznajmił kwaśno. – Pan na burgu Drachenstein. Tutejszy pfleger. Pełnię tu straż. Husytów, gdy od Freitalu nadejdą, za rzekę nie puszczę, zęby sobie na mnie heretycy połamią. Może nie wierzycie?

– Wierzymy – zapewnił Szarlej. – Musowo wierzymy.

– Wy kto tacy?

– Podróżni.

– Opłata za przejazd mostem wynosi trzy grosze od konia.

– Uiścimy – uspokoiła Rixa rozjuszonego zdzierstwem Szarleja. – Uiścimy, szlachetny panie.

– Wpierw – wtrącił się Reynevan – zapytać o coś chcemy. To jedyny w okolicy most, kto zmierza ku Chemnitz i Via Regia, nie ma wyboru, musi tędy. Wy zaś, panie rycerzu, kontrolujecie wszystkich. Nie przejeżdżały tędy dwie młode niewiasty? Podróżujące wierzchem i samotnie?

Rycerz pobladł, jego siniec natomiast nabrał tonów ciemniejszych. Uwagi Szarleja to nie uszło.

– A te młódki – wycedził zza zaciśniętych nagle zębów Gers von Streithagen – dla was kto? Drużki? Krewniaczki? Miłośnice może?

– Skądże – zaprzeczył z surową miną demeryt. – Ścigamy je, by ukarać. Na zlecenie proboszcza od Świętego Mikołaja w Jenie. To nierządnice, okradły wielebnego podczas świadczenia usług. Rzeknijcie, prosimy, jechały tędy azali nie?

– Jechały. Ale... Zawróciły.

– Jak to? – wybuchnął Reynevan. – Jak to, zawróciły? Dlaczego zawróciły? Mówcież no, panie rycerzu, składniej nieco!

– A wy co? Rozkazywać mi będziecie? – Gers von Streithagen wziął się pod boki. – Mnie, urodzonemu? Nadto hardo, panku, nadto hardo! O pannach łżecie, przejrzałem was, w zmowie z nimi jesteście. I na husyckich szpiegów mi patrzycie! Inaczej czemu na wschód wam droga? W stronę Freitalu i Marienbergu, gdzie husyci palą i rujnują kopalnie, skąd ci uciekinierzy ciągną? Te wasze dziewki też pewnikiem szpiegarki, też na wschód zdążały, nim ku Plauen uciekły. Jam jest pflegerem, ludzi przed heretykami bronię...

– Jasne. Kasując od nich trzy grosze od konia.

– Aresztuję was! – Gers von Streithagen pobladł jeszcze bardziej. – Aresztuję was, psubraty. Wnet was przypiec każę, migiem prawdę mi wyznacie. Hej, ludzie, do mnie! Brać ich!

Szarlej sięgnął pod płaszcz po zdradną rucznicę. Rixa była szybsza. Postąpiła krok. Wykrzywiła się. Zakrztusiła, zakaszlała, zarzęziła, zacharczała. A potem plunęła, kichnęła i smarknęła, siejąc deszcz krwi i śluzu. Wprost w twarz rycerza. Na jego asystę. I na zbiegających się halabardników.

– *Heilige Maria, Mutter Gottes!* – zawył jeden z przybocznych pflegera, ścierając z twarzy krwawe gluty. – To zaraza! Pestyleeencjaaa!

– Ratuj, święty Rochu!

Wszyscy, jak jeden mąż, rzucili się do ucieczki. Most zadudnił pod ich stopami.

Został tylko pfleger Gers von Streithagen, znieruchomiały, patrzący z niedowierzaniem. Szarlej doskoczył, kopnął go pod kolano. Pfleger runął na klęczki, a demeryt ciosem pięści złamał mu opuchnięty nos.

– W konie! – Rixa skokiem znalazła się w siodle. – W konie, kompania!

Wkrótce galopem gnali gościńcem. Na zachód. Z powrotem w kierunku, z którego przybyli.

●

– Przed nami jakieś zbiegowisko – ostrzegła Weronika. – Zasłoń twarz.

Podobnie jak Jutta, nosiła *calotte*, czapeczkę kryjącą włosy. Teraz naciągnęła jeszcze kaptur. I pochyliła głowę. Jak do tej pory, przebranie sprawdzało się, nikt nie rozpoznał w nich dziewcząt, nikt im się nie narzucał, nikt ich nie zaczepiał. Nikt nie wypytywał ani nawet specjalnie się nie interesował. Bez kłopotów podróżowały już kilka dni, a drogi nie świeciły bynajmniej pustkami, wręcz przeciwnie, czasem było na nich wręcz tłoczno. Jak teraz, w bliskości Zwickau.

W dolinie wiła się rzeka, droga wiodła na most, zablokowany kolejką oczekujących na kontrolę wozów. Od niedawna na gościńcu wybitnie przeważał ruch ze wschodu na zachód. Wiedziały, dlaczego. Powiedział im to domokrążca spod Annabergu, jowialny mąż niepozornej żony i ojciec niemożliwych do policzenia dzieci, którego spotkały dzień wcześniej. Kamuflaż domokrążcy nie zwiódł; tytułując je „cnymi panienkami" objaśnił, że exodus ze wschodu to skutek husyckiej rejzy i podnoszących włosy na głowie pogłosek o husyckich okrucieństwach. Główne siły husytów, sklarował im domokrążca, prą na Miśnię i Oschatz. Ale za Freibergiem hulają bandy, które palą i rujnują kopalnie i huty, zwłaszcza na kopalnie i huty się uwzięli, szatani. Spalili Hermsdorf, Marienberg, Lengefeld, Glashütte i Freital...

– Z czego uszyli ten namiot? – parsknęła Weronika. – Z barchanu na kołdry?

Ustawiony opodal mostu i budki mytnika namiot wykonany był z grubej tkaniny w biało-błękitne pasy, faktycznie przypominającej materiał do wyrobu pościeli. Na wbitej w ziemię tyce smutno zwisał mokry od śniegu proporzec. Obok kręcili się zbrojni, jak manekiny stali halabardnicy.

Podjechały do mostu, na którym właśnie trwała ostra wymiana zdań. Przy moście, jak wychodziło, stacjonował oddział zbrojny, prawem pięści egzekwujący od podróżnych opłaty za przejazd. Padał śnieg, było zimno, większość uchodźców płaciła więc bez szemrania, od czasu do czasu trafiał się jednak ktoś śmielszy, kwestionujący legalność myta. Tak było właśnie teraz. Uciekinier wrzeszczał i pomstował. Dzieci płakały. Zbrojni klęli i wygrażali pięściami.

Jutta i Weronika wjechały na przedmoście, schyliwszy zakapturzone głowy, starając się zwracać jak najmniej uwagi. Niestety, w kierunku wschodnim zmierzali tylko nieliczni podróżni. I wszyscy uwagę zwracali. Drogę zajechał im nagle wielki bojowy koń, gniady kopijniczy *dextrarius*. Siedział na nim rycerz w bobrzej czapie i szubie narzuconej na aketon.

– Stać. Ktoście? Kaptury z głów!

Nie było wyjścia.

– Na głowę świętego Pankracego! – Rycerz wyszczerzył zęby, walnął pięścią w łęk. – Toż to młódeczki!

Nie było sensu zaprzeczać.

– Jam jest Gers von Streithagen – oznajmił rycerz. – Pan na burgu Drachenstein. Tutejszy pfleger. Pełnię tu straż. Husytów, gdy nadejdą, za rzekę nie puszczę, zęby sobie tu heretycy połamią. A panny kim jesteście? I czemu w przebraniu?

– Nie każdy ze spotkanych – bąknęła pokornie Jutta – jest szlachetnym rycerzem, szlachetny rycerzu. Są tacy, co nie uszanują płci...

– A nam z siostrą pilno – włączyła się prosząco Weronika. – Szlachetny panie, zwólcie nam...

– Pilno? Pewnie do waszych lubych, co? Pewnie czekają stęsknieni? Spragnieni całusów?

– Pilno nam do mamy i taty... Do dom...

Spojrzał na nie z wysokości kopijniczego siodła, na usta wypełzł mu brzydki uśmiech.

– Panienki pozwolą za mną. Do mego namiotu. Wypiszę glejt. Przyda się, gdyby kto nagabywał.

Wnętrze biało-niebieskiego namiotu, oprócz pełnej mediolańskiej zbroi na stojaku, mieściło stół, składane krzesło i polowe łóżko. Pan na burgu Drachenstein bez wstępów przeszedł do rzeczy.

– Czas zapłacić za przejazd, dzieweczki – wykrzywił się obleśnie, wskazując na łóżko. – Ty pierwsza. Nuże, rozdziewaj się. Zdejmuj szmatki.

– Szlachetny panie...

– Mam wezwać knechtów, by pomogli?

Weronika błagalnie spojrzała na Juttę. Jutta westchnęła, wzruszyła ramionami. Weronika drżącymi palcami jęła rozpinać knefliki. Gers von Streithagen utkwił oczy w jej dekolcie. A Jutta urwała z mediolańskiej zbroi zarękawie wraz rękawicą i walnęła go nim prosto w nos. A gdy złapał się za twarz, z całej siły kopnęła go w krocze.

Gers von Streithagen skulił się, ciężko siadł na polowym łóżku, które złamało się pod jego ciężarem. Weronika zdzieliła go składanym krzesłem. Jutta zaś wsunęła rękę w pancerną rękawicę, ścisnęła pięść, wzięła zamach. I uderzyła ze wszystkich sił, aż coś chrupnęło jej w ramieniu.

Wyszły z barchanowego namiotu jak gdyby nigdy nic, halabardnicy nawet na nie spojrzeli, zaciekawieni kolejną awanturą na moście.

Za chwilę były już w siodłach. I co sił galopowały na zachód.

Z powrotem w kierunku, z którego przybyły.

●

Nazajutrz rozpętała się śnieżyca, mocno ich spowolniając. Reynevan złościł się bezsilnie. Rixa się zaniepokoiła, podejrzewała, że upokorzony na oczach podwładnych pfleger może ich ścigać. Szarlej uznał to za mało prawdopodobne; wymuszeniowy interes na moście był zbyt intratny, by go porzucić. A nawet gdyby, to śnieżyca pościg hamowała również. Jechali więc, łykając wiatr i śnieg, albo kryli się gdzieś, gdy zamieć całkowicie uniemożliwiała jazdę.

Pogoda poprawiła się dopiero po kilku dniach. A ducie wichru przestało tłumić huk bombard, dobiegający gdzieś z zachodu, przewalający się jak grom.

Przyspieszyli, kierując się coraz wyraźniejszą i głośniejszą kanonadą, wkrótce mieli przed oczami zarówno strzelające działa, jak i ich cel.

– Miasto i zamek Plauen – wskazał Szarlej.

– Kto oblega? Tabor czy Sierotki?

– Sprawdźmy.

●

Oblegał, jak się okazało, Tabor, wojsko polne pod Prokopem Gołym i Jakubem Kromieszynem. Trochę potrwało, nim przedostali się przez pogorzelisko podgrodzia, wciąż nagabywani przez straże, by wreszcie dostać się przed hejtmanów. Prokop, o dziwo, nie narzekał na bóle i nie kazał się Reynevanowi leczyć. Nie dał też Reynevanowi dojść do słowa.

– Oto Plauen – wskazał na dymiące po ostrzale miasto. – Siedziba Henryka von Plauena, wodza pilzneńskiego landfrydu. Mało jest między Czechami bardziej znienawidzonych nazwisk. To stąd wyruszały na nasze pogranicze wypady, podczas których żołdacy von Plauena dopuszczali się niewysłowionych okrucieństw. To Henryk von Plauen wymyślił określenie *bellum cottidianum*, wojna powszednia. On też określenie to wcielał w życie, codziennie niemal wpadając z najazdem, paląc, grabiąc i wieszając. Nie spodziewał się, że podejdziemy pod te mury. Nie spodziewał się też, że te mury runą.

Podkreślając jakby wagę słów, z okopów wypaliła z ogłuszającym hukiem ciężka puszka, kula walnęła w mur, podnosząc kurz. W tej samej chwili prak, czyli trebusz, machnął neurobalistycznym ramieniem i posłał w centrum grodu półcetnarowy głaz. Stojąca na pozycji katapulta miotnęła na miasto zapaloną beczkę smoły, celnie, bo z dachów momentalnie wzbił się dym.

– Bo Pan dokona sądu ogniem – rzekł pełnym patosu głosem obecny przy rozmowie kaznodzieja Markolt. – I mieczem swym ukarze wszelkie ciało, tak iż wielu będzie pobitych przez Pana.

– Amen – dokończył Prokop. – Za dużo kosztują Czechy te najazdy, te wypady, to *bellum cottidianum*. Von Plauen i inni palą pola i grabią plony, a Praga głoduje. To się musi skończyć. Dam przykład grozy.

– Po szturmie – dokończył, gryząc wąs – wydam miasto na łup, a ludność na rzeź. Bojownicy ostrzą noże.

– Nawet – spytał z uśmieszkiem Szarlej – gdyby dali okup?

– Nawet.

– Zwłaszcza – wtrącił znowu Markolt – że nie dali...

– Nie powstrzymam wojaków – uciął Prokop. – Zabiliby mnie chyba, gdybym spróbował. Wiem, z czym przychodzisz, medyku. W Plauen schroniło się sporo uciekinierów, podejrzewasz wśród nich i tę twoją pannę. Ale nic nie poradzę. To jest wojna.

– Hejtmanie...

– Ani słowa więcej.

Szarlej i Samson odciągnęli Reynevana. Powstrzymali go, gdy rwał się przekradać do Plauen, za mury. Z wielkim trudem przekonali go, że byłoby to samobójstwo.

Krótko po południu bombardy zamilkły. Blidy i trebusze przestały miotać pociski. Rozległ się grzmiący sygnał trąb. Załopotały rozwinięte sztandary i proporce. Rozbrzmiał bojowy wrzask. Pięć tysięcy taborytów runęło do szturmu na Plauen.

Po dwóch godzinach było po wszystkim. Sforsowano po drabinach mury, rozwalono taranami bramy. Zgnieciono opór, obrońców wycięto w pień. Pardonu nie dawano.

W trzeciej godzinie zdobyto zamek, wszyscy obrońcy poszli pod nóż. Krótko potem padł klasztor dominikański, ostatni punkt oporu.

I wtedy zaczęła się rzeź.

Nim ściemniało, Plauen stało w płomieniach, syczały w ogniu rzeki płynącej ulicami krwi. Pożary noc zmieniły w dzień, mordercza robota nie ustawała, krzyki zabijanych nie cichły do brzasku.

Reynevan, Szarlej, Samson i Rixa czekali za rzeką, przy grobli, przy drodze wiodącej na południe, w kierunku Oelsnitz i Chebu, podejrzewając, że tędy wypadnie droga uciekinierom. Podejrzewali słusznie, wnet pojawili się zbiegowie, osmaleni, poranieni, spanikowani i ogłupiali ze strachu. Rixa i Szarlej rozglądali się, Reynevan i Samson nawoływali. Na próżno. Jutty nie było wśród tych, którym udało się z Plauen wyjść.

Reynevan pozostał głuchy na argumenty. Wyrwał się druhom i poszedł do miasta. Z twardym postanowieniem. Wszedł między wciąż gorejące domy, spróbował wejść w zatarasowane uliczki. To, co zobaczył, sprawiło, że zawrócił. Zrezygnował. Zalegających miasto trupów było zbyt wiele. A większość już zdążyła się zwęglić, wraz z całym miastem zamienić w popiół.

Jutta, pomyślał z przerażeniem, mogła być w tym popiele.

Pozostawała nadzieja, że jej tam nie było.

●

Nazajutrz rozpętała się śnieżyca, tak gwałtowna, że praktycznie uniemożliwiła jazdę. Musiały poszukać schronienia. To, że trafiły na pasterski szałas, graniczyło z cudem.

Rankiem się wypogodziło. Niebo pojaśniało. Po to, by mogły zobaczyć na nim słupy dymu. Całe niemal niebo na północy i zachodzie przesłaniał dym, dym tak gęsty, że wnet ciemności okryły ziemię. Zdało się, oto spełnia się proroctwo Apokalipsy.

– I piąty anioł zatrąbił – wyszeptała Jutta – i ujrzałem gwiazdę, która z nieba spadła na ziemię, i dano jej klucz od studni Czeluści. I otworzyła studnię Czeluści, a dym się uniósł ze studni jak dym z wielkiego pieca, i od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze...

Weronika nie odpowiedziała.

●

Nie minęły dwa dni, a drogi zaroiły się od uchodźców. Zorientowanie się w sytuacji nie nastręczało problemów. Wystarczyło zapytać.

– Husyci idą od północy – powtórzyła Weronika zasłyszaną od zbiegów wieść. – Paląc wszystko po drodze, maszerują na Naumburg, Jenę i Gera, podobno widziano ich już pod Altenburgiem. Znaczy, doszli aż pod Lipsk, tam zawrócili i ruszyli na Turyngię i Vogtland. Wierzyć się nie chce, ale to jednak prawda. Napalony pfleger na moście pod Zwickau zdziwi się, gdy go od tyłu zajdą i za dupsko chwycą.

– Nam zaś – podsumowała – w tej sytuacji trzeba na północ. Pod Altenburg. Husytom naprzeciw.

– Jedziemy.

– Jedziemy. I modlimy się, by trafić na twego lubego. Lub kogoś, kto go zna.

●

Im dalej na północ, tym więcej widać było dymów, nocą łuny znaczyły płonące wsie i *oppida*. Im dalej na północ, tym przybywało uchodźców, tym większa też powstawała na gościńcu panika. Były świadkami, jak uszkodzony i wyładowany wóz inni zbiegowie bez litości zepchnęli z drogi, którą tarasował, nie bacząc na wrzaski woźnicy, błagania jego

kobiety i lamenty dzieci. Długo trwało, nim wreszcie kilku z ostatnich przejeżdżających zdecydowało się zaoferować pomoc.

Na własną zgubę, jak się okazało.

Rozległ się łomot kopyt, krzyk i świst, zza grzbietu wzgórza wypadł cwałem oddział konny. Jeźdźcy mieli na jakach naszyte czerwone Kielichy.

– Husyci! – ucieszyła się Weronika. – Jutta, widzisz? To husy...

Jutta w nagłym przeczuciu chwyciła ją za ramię, ścisnęła mocno. Wycofały konie w gęstwinę przydrożnego sośniaka. W samą porę.

Jeźdźcy z Kielichami spięli konie i z dzikim wrzaskiem runęli na uchodźców. Dopadli, skłuli rohatynami i porąbali mieczami, nie dając pardonu nikomu, przydrożny śnieg momentalnie zabarwił się czerwono. Kwiczących rannych dorzynano. Jednego z mężczyzn, schwytanego na arkan, włóczono tam i z powrotem po gościńcu. Jedną z oszczędzonych kobiet obalono na ziemię i odarto z odzieży.

– Panno Przenajświętsza... – szeptała skryta w sośniaku Jutta. – Matko Boga wiekuistego... Pod Twoją obronę uciekamy się...

Weronice trzęsły się usta. Kobieta krzyczała przeraźliwie.

Nagle znowu załomotały kopyta, zza wzgórza pojawili się kolejni jeźdźcy. Ci, ku zgrozie Jutty, dosiadali karych koni, a odziani byli jednolicie czarno, w czarne płaszcze, czarne zbroje i hełmy. W pełnym galopie zwalili się na grabiących wozy husytów. Dźwięknęły klingi, znowu powietrze zawibrowało od krzyków.

A Jutta nagle zobaczyła.

Znała go z opowieści. Pamiętała z Białego Kościoła, gdzie widziała, jak groził opatce, jak ją szarpał, jak bił związanego Reynevana. Gdy z rozkazu księcia Jana Ziębickiego wzięto ją pod straż w furgonie, zaglądał do niej kilka razy, zapamiętała jego okrutny uśmiech. Zapamiętała czarne, sięgające ramion włosy. Ptasi nos. I wejrzenie diabła.

Birkart Grellenort.

– Uciekajmy... – wykrztusiła. – Uciekajmy szybko.

Weronika nie oponowała.

Mordowani krzyczeli.

●

– Przed nami miasto – wskazała Weronika. – Uchodźcy mówią, że to Plauen. Większość tam właśnie uchodzi. Bezpiecznie, mówią, jest teraz tylko za murami. Co ty na to, Jutta? Na północ, na spotkanie z husytami, jechać już przecież nie chcesz. Już nie szukamy z nimi kontaktu. Może i dobrze. Sama widziałam, czym się kończy taki kontakt...

– Ja – Jutta zatrzęsła się na wspomnienie – na północ nie pojadę, za nic, za nic na świecie. Tam jest Grellenort. Wszystko, tylko nie on. Chcę jak najdalej od niego. Jak najdalej...

– Plauen nie jest dostatecznie daleko? Nie zostaniemy tu?

– Nie. – Jutta wzdrygnęła się na nagłe niejasne przeczucie. – Nie zostawajmy tu, Weroniko. Proszę.

– Twoja wola, twoja decyzja. Pokaże się, czy słuszna.

●

Na zaśnieżonym polu była kiedyś wieś, sterczące resztki glinianych kominów i czarne kwadraty wypalonej ziemi wskazywały lokalizacje niegdysiejszych chat i szop. Na skraju pogorzeliska siedziało kilku obdartych wieśniaków, różnego wieku i płci. Siedzieli nieruchomo, jak kukły, jak przydrożne świątki. Oczy mieli niewidzące i puste.

– Paskudna rzecz – odezwała się wśród milczenia Rixa. – Paskudna rzecz, wojna w zimie. *Der böse Krieg*, jak na to mówią. Latem, jak chałupę spalą, to chociaż las pożywi, liściowie przed chłodem uchroni, z pól da się coś zebrać... A zimą to wyrok. Prowadzenia wojny zimą powinno się zakazać.

– Jestem za – kiwnął głową Szarlej. – Nienawidzę srać na mrozie.

●

– Spójrz! – zawołała Weronika. – Co to takiego?

– Gdzie?

Weronika podjechała do kapliczki, zdarła przybity do niej arkusik.

– Rzuć okiem.

– *Fratres et sorores in fide*, bla, bla, bla – przeczytała Jutta. – Nie wierzcie klechom ani panom... Wypowiedzcie posłuszeństwo waszemu królowi Zygmuntowi, bo to nie król, ale łotr i*desolator Christi fidelium, non exstirpator heresum, sed spoliator ecclesiarum omnium, non consolator, sed depredator monachorum et virginum, non protector, sed oppressor viduarum et orphanorum omnium...* To jest husycka

ulotka, widziałam już takie. Skierowana do umiejących czytać, dlatego po łacinie.

– Po okolicy – rzekła z naciskiem Weronika – krążą, jak widać, husyccy emisariusze. Jeśli natrafimy na takiego...

– Jasne – odgadła Jutta. – Emisariusz musi znać Reynevana, musiał o nim choć słyszeć. Jeśli poprosimy, doprowadzi nas do husyckich dowódców, uchroni od grasantów... Tylko gdzie go szukać?

– Tam, gdzie są ludzie. W mieście.

●

Ukryte w malowniczej kotlinie wśród malowniczych wzgórz miasto Bayreuth z dala wyglądało na malowniczą oazę spokoju. I faktycznie taką było. Bramy były strzeżone, ale otwarte, gromad uciekinierów nikt ani nie powstrzymywał, ani specjalnie nie kontrolował. Dziewczęta bez żadnych przeszkód dotarły najpierw pod ratusz, a potem pod kościół farny Świętej Marii Magdaleny.

– Jeśli nawet nie znajdziemy w Bayreuth husyckiego emisariusza – westchnęła Weronika, torując sobie i Jutcie drogę przez ciżbę – to zostaniemy. Zobacz, ilu tu szuka schronienia. Dokuczyła mi tułaczka po gościńcach, mam dość. Jestem głodna, zmarznięta, brudna i niewyspana. I w ogóle chcę do domu.

– Ja też. Nie marudź.

– Powiadam ci, zostańmy w mieście. Nawet jeśli nie znajdziemy...

– Właśnie znalazłyśmy. Chyba cię naprawdę natchnęła twoja święta patronka. Zobacz.

Na jednym z tarasujących placyk wozów stał mężczyzna w kabacie z powycinaną w ząbki baskiną i goliardzkim kapturze, spod którego sterczały kosmyki szpakowatych włosów. Wóz otaczała spora gromada ludzi, przeważała wśród nich biedota: *servi*, żebracy, kalecy, prostytutki, lumpy i inni miejscy *pauperes*, do tego włóczędzy, pątnicy, wagabundowie, ogółem hałaśliwa, zuchwała i odrażająca zgraja.

Goliard w kapturze przemawiał, zwracając uwagę tłumu podnoszeniem głosu i wymachiwaniem rąk.

– Wiele grubych i wielkich kłamstw mówią o prawowiernych Czechach – wołał. – Że niby mordują i rabują. Kłamstwo to! Oni jedynie walczą w samoobronie, zabijają w walce tych, co ich najeżdżają z zamiarem zniszczenia. Wonczas oni bronią się, bronią swej wiary,

swych domów, żon i dzieci. I ktokolwiek się na nich poważy, szkodę ponosi. Ale oni pragną gorąco, aby między wami i nimi ustały owe walki i zabójstwa, i krwi rozlewy, by stała się boska i święta zgoda.

– Wiedzcie, że wzywają Czesi książąt, panów i wszystkie miasta cesarskie do zejścia się na rokowaniach pokojowych, by kres niegodnemu krwi przelewowi położyć. Ale nie chcą książęta, panowie i prałaci wasi pychy i buty odłożyć! Bo to przecież nie ich krew, ale wasza się leje!

– Dobrze gada! – krzyknął ktoś z tłumu. – Prawie gada! Precz z panami! Precz z klechami!

– Gdzie król wasz? Gdzie książęta? Uciekli, na pastwę losu was zostawiwszy! Za takich chcecie walczyć? Dać się zabić za ich bogactwa i przywileje? Dobrzy ludzie, mieszkańcy Bayreuth! Poddajcie miasto! Czesi nie są wam wrodzy...

– Kłamiesz, bezbożny heretyku! – krzyknął z tłumu zakonnik w habicie augustianina. – Łżesz jak pies!

– Ludzie! – zawtórował mu któryś z *mediocres*, miejskich łyków klasy średniej. – Nie słuchajcie sprzedawczyka! Łapcie go...

Tłum zakotłował się. Byli i inni, którzy podchwycili wezwania mnicha i łyka, ale biedota zakrzyczała ich, odepchnęła, nie żałując kosturów, lag, kułaków i łokci. Plac szybko wrócił pod władzę proletariatu.

– Widzieliście – wznowił kazanie emisariusz – jak usta chciano mi zamknąć? Jak to prawda klechów w oczy kole? Oni wam o posłuszeństwie wobec Kościoła i władzy bają! Oni Czechów kacerzami nazywają! A czy jest większe kacerstwo, niż wykręcać słowo Boże wedle własnego widzimisię? A to wszak prałaci czynią, wypaczając słowo Chrystusa. Może nie? Może zaprzeczycie, mnisi?

– Nie zaprzeczą! Prawda to! Prawda!

Na placyk z łomotem i tupem wpadli piesi halabardnicy, zahukały na bruku kopyta konnych. Motłoch zafalował i podniósł wrzask. Goliard zniknął z wozu, jakby go wicher zdmuchnął.

– Tam, tam – wypatrzyła go Weronika. – Za nim, prędko...

Emisariusz chyłkiem przemknął za wozami, skrył się w zaułku. Wbiegły za nim.

Czekał na nie, skryty za węgłem. Chwycił Juttę za ramię i przyparł do muru, przykładając nóż do gardła. Weronika krzyknęła głucho, duszona

od tyłu przez drugiego, w szarej opończy, który jak spod ziemi wyrósł za jej plecami.

– Dziewczyna? – Spojrzawszy spod kaptura, emisariusz zwolnił nieco chwyt. – Do diabła! Jesteście dziewczynami!

Dał znak, ten w opończy zluzował rzemień, którym dławił Weronikę. Był to zupełny młodzik, góra szesnastoletni.

– Co was napadło, by mnie śledzić? Gadaj, a prędko!

– Poszukujemy... – wydusiła z siebie Jutta. – Kontaktu z husytami...

– Co? – Zacisnął zęby, a jego nóż znowu znalazł się przy jej szyi. – Co takiego?

– Uciekłyśmy z klasztoru – powtórzyła słabym głosem Jutta, świadoma, że wyjaśnienia brzmią mało prawdopodobnie. – Chcemy dostać się do husytów. Mój... Mój narzeczony... Wśród husytów jest mój narzeczony...

Goliard puścił ją. Cofnął się o krok.

– Jak się nazywa?

– Reynev... Reinmar z Bielawy.

– Święta Klaro, opiekunko agitatorów... – westchnął głęboko emisariusz. I chwycił się za głowę.

– Jesteś Jutta Apoldówna – przemówił z mocą. – Odnalazłem cię. Święty Janie, Chrzcicielu Pana naszego Jezusa Chrystusa w jordańskich strumieniach! Święta Cecylio, patronko muzyków! Odnalazłem cię! Ja, Tybald Raabe, odnalazłem cię nareszcie!

Rozdział osiemnasty

w którym pardonu się nie daje, nie ma litości, nie ma zmiłowania. A leki i amulety okazują się bezsilne.

Miasto Kulmbach płonęło. Górujący nad nim zamek Plassenburg, którego Sierotkom zdobyć się nie udało, był teraz niczym korab, żeglujący wśród morza płomieni, unoszony na wzburzonych falach ognia.

Początkowo, gdy podjeżdżali, Reynevan nie zamierzał kontaktować się z Sierotkami, obawiał się, że pamięć o Smilu Pulpanie i konflikcie z kontyngentem nachodskim wciąż może być wśród nich żywa, że pomimo życzliwego doń stosunku Prokopa i hejtmanów Taboru może spotkać go ze strony Sierotek jakiś despekt. Kaznodzieje Sierotek, z Prokupkiem na czele, co i rusz oskarżali go o czarownictwo i szerzyli sugestie, że może być prowokatorem. Toteż Reynevan postanowił ominąć Kulmbach szerokim łukiem i jechać prosto na Bayreuth.

Los plany pokrzyżował. Objeżdżając szturmowane miasto, wpakowali się na silny konny podjazd, któremu zdali się podejrzani. Nie pomogły tłumaczenia. Wziętych w areszt dostawiono do sztabu Sierotek pod zbrojną eskortą. Ku ogromnej uldze całej kompanii trafili wszelakoż na hejtmanów znajomych i zaprzyjaźnionych. Powitali ich pogodny jak zwykle Jan Kolda z Żampachu i ich stary druh, Brazda Ronovic z Klinsztejna.

Było tymczasem po szturmie, Kulmbach zdobyto już i splądrowano, teraz brano się za palenie, po dachach szalał już czerwony kur, pełzł i piął się ku niebu gęsty dym.

– Nie – odrzekł wypytany Kolda. – Nie, Reynevan, żadnych nie mam informacyj o nijakich pannach. Bo i skądby? To wojna. Znaczy się, jeden wielki burdel, nad którym nie sposób już zapanować. Na wschód od nas ciągnie Tabor, znaczy Prokop i Kromieszyn, na zachód od nas wojska domowe Kralovca i praska domobrana Zygmunta Mandy. A między nami działają podjazdy i oddziały samodzielne, grasują bandy, luźne kupy, dezerterzy... Ratuj ty te twoje panny co skorzej, co skorzej, radzę. Jeśli są same między wojskami, czarno widzę...

Szarlej zgrzytnął zębami. Twarz Reynevana powlekła bladość. Brazda to widział.

– Jeśli już o bandach i grasantach była rzecz – wtrącił szybko – to może warto by im pokazać... Co ty na to, Janie?

– Można.

Bliżej skraju obozu, wśród wysoko naładowanych łupem wozów, na smołowanej płachcie ułożono sześć ciał. Sześć trupów, mocno dość zmasakrowanych. Pięć z nich, Reynevanowi aż serce stanęło, miało na sobie resztki czarnych zbroi i płaszczy.

– *Černí Jezdci* – wskazał Kolda. – *Černá Rota*. Coś niecoś wam to mówi, nieprawdaż? Do nas też doszły plotki o nich. Ale żeby aż tu, do Niemiec, za nami przyleźli?

Szarlej spojrzał pytająco, wskazując na szóstego trupa. Ten miał na sobie zwyczajne odzienie. A głowę całkowicie niemal spaloną. Jakby wsadzono mu ją do pieca i długo tam trzymano.

– Ano, tak właśnie – przełknął ślinę Brazda. – Czarni, jak wygląda, szli za nami niemalże od przeprawy. Co i rusz przepadał jakiś patrol, a potem my ich znajdowali wyrżniętych. A jednego zawsze na gałęzi. Powieszonego za nogi. Nad ogniskiem. Wypytywali, widać. A z głową w ogniu powiesz... Wszystko powiesz...

Jan Kolda charknął, splunął.

– Dojadło nam to na koniec – rzekł. – I urządziliśmy zasadzkę. Dopadliśmy ich, ale się wydarli, tylko tych pięciu dostalim. Czego oni tu szukają, Reynevan? O co wypytują, ogniem ludzi paląc? Co nam o tym możesz rzec?

– Nic. Bo bardzo się spieszę.

●

Kiedy przed samymi kopytami konia Jakuba Dancela przemknął czarny kot, Jakub Dancel winien był zawrócić do Bayreuth. Wszelako Jakub Dancel ograniczył się do rzucenia za kotem sprośnym słowem i jazdę kontynuował. Gdyby wrócił, Tybald Raabe wyszydziłby go wszak za wiarę w zabobony. A piękna Weronika von Elsnitz mogłaby, o zgrozo, wzgardzić nim jako tchórzem.

Jakub Dancel pojechał dalej traktem na Kulmbach, gdzie spodziewał się już husytów. Gdyby tego nie zrobił, gdyby zawrócił, miałby, mimo szalejącej wojny, szanse na dożycie lat siedemnastu.

Dopadli go znienacka, w ponad tuzin koni, otoczyli. Jeden wyszarpnął mu wodze. Dziewczyna o błękitnych i nieludzkich oczach uderzeniem oszczepu strąciła go z siodła. Usiłującego powstać, uderzyła drzewcem, obaliła.

Człowiek, który nad nim stanął, miał czarne, długie, sięgające ramion włosy. Ptasi nos. Zły uśmiech. I wejrzenie diabła.

– Zadam ci pytanie – zasyczał jak żmija. – A ty odpowiesz. Widziałeś dwie samotnie wędrujące panny?

Jakub Dancel gwałtownie zaprzeczył. Czarnowłosy uśmiechnął się paskudnie.

– Zapytam jeszcze raz. Widziałeś?

Jakub Dancel zaprzeczył. Zacisnął powieki i usta. Czarnowłosy wyprostował się.

– Na gałąź go – rozkazał. – I palić ognisko.

●

– Nie wiem, gdzie jest teraz Reynevan – powiedział goliard-emisariusz. Przedstawił się dziewczętom jako Tybald Raabe. Towarzyszyło mu dwóch pomocników, drugi równie młody, jak pierwszy.

– Do Górnej Frankonii – wyjaśnił – weszło pięć husyckich armii, każda operuje samodzielnie. Podejrzewam Reynevana w wojsku Taboru, które maszeruje tu przez Hof i Münchberg, tam też poślę wiadomość. Przez tego oto młodziana, Jakuba Dancela.

Młodzian Jakub Dancel spojrzał na Weronikę i zarumienił się. Weronika zatrzepotała rzęsami.

– My zaś – kontynuował goliard – zaczekamy tu, w Bayreuth.

– Dlaczego mamy czekać? – spytała Jutta. – Dlaczego nie możemy jechać razem z panem Dancelem, prosto do husytów?

– To zbyt niebezpieczne. W okolicy grasują bandy, luźne kupy, dezerterzy. I wcale od nich nie lepsi najemnicy. Tutejsi rycerze, nawet pflegerzy, do walki z Czechami boją się stanąć, skorzy są natomiast do grabieży, do wyżywania się na bezbronnych i niewiastach...

– Wiemy.

– A sami Czesi, hmm... – zająknął się Tybald Raabe. – Niektórzy dowódcy niższego szczebla... Boże uchowaj wpaść im w ręce... Panno

Jutto, Reynevan nigdy by mi nie darował, gdybym odnalazł cię, a potem utracił.

– Zaczekamy tu, w Bayreuth – zamknął dyskusję. – Jestem pewien, że miasto się podda. Od paru dni tu działam, podburzam biedotę. Patrycjat już portkami trzęsie, w strachu przed husytami po tamtej, a motłochem po tej stronie murów. Dotarły do nich wieści z Plauen, z Hof... O rzeziach i pożarach... Bayreuth, zobaczycie, podda się, zapłaci wypalne. A gdy Czesi wejdą, oddam was pod opiekę hejtmanów. Będziecie bezpieczne.

●

Płomień świecy falował.

Uspokojone, umyte i najedzone Jutta i Weronika najpierw popłakały się, odreagowując na okropieństwa ucieczki. Potem poweselały.

– Były momenty, że przestawałam wierzyć – przyznała ze śmiechem Weronika, podkręcając kołki lutni, znalezionej wśród dobytku Tybalda w jego konspiracyjnej kwaterze na podwalu. – Przestawałam wierzyć, że nam się uda. Myślałam, że marnie skończymy. Jeśli nie zgwałcone i zabite przez maruderów, to w jakimś rowie, z głodu i chłodu. Przyznaj się...

– Przyznaję się – przyznała się Jutta. – Też miałam takie momenty.

– Ale mamy to za sobą! Ha! Przeżyłyśmy! Czas o sobie pomyśleć. Ten Jakub Dancel... Dzieciak, ale ładny dzieciak. Oczy ma słodkie... Po prostu słodkie. Nie krzyw się. Tyś już twojego amanta niemal odzyskała, jużeś niemal w jego ramionach. A ja co? Wciąż sama.

Seulete sui et seulete vueil estre,
Seulete m'a mon douz ami laissiee;
Seulete sui, sanz compaignon ne maistre,
Seulete sui, dolente et courrouciee,
Seulete sui...

Płomień świecy zafalował silniej.

– Cicho – Jutta gwałtownie uniosła głowę. – Słyszałaś?

– Nie. Co miałam słyszeć?

Jutta gestem nakazała jej milczenie.

●

A w Bayreuth nagle rozdzwoniły się dzwony.

•

Drzwi otwarły się z impetem, do środka wpadł Tybald Raabe.

– Uciekamy! – wrzasnął. – Husyci w mieście! Prędko, prędko!

Na ulicy porwała ich rzeka zbiegów, ponosząc w kierunku centrum. Od północy niosły się już wielki wrzask i palba, nocne niebo czerwono zabarwiała łuna. Biegli, czując już podmuchy gorąca i odór spalenizny. Ścigał ich krzyk, dziki i okropny krzyk mordowanych.

– Uderzyli z zaskoczenia... – dyszał Tybald. – Wdarli się przez mury... Miasto jest zgubione... Szybko, szybko...

Przed kościołem farnym omal ich nie rozdzielono, pędząca w panice czerń rozerwała ich na moment, poniosła w różne strony. Juttę pchnięto, padając uderzyła się o przyporę, straciła oddech, cudem nie upadła, gdyby upadła, stratowano by ją. Tybald znalazł się nagle przy niej, objął, osłonił, zbierając na siebie dalsze szturchnięcia i ciosy. Porwana przez tłum Weronika zakrzyczała przeraźliwie. Emisariusz rzucił się ku niej, wyciągnął ze ścisku, rozdygotaną, z błędnym wzrokiem i oddartym rękawem.

– Tędy, tędy! Za zakrystię!

Obok obalono kobietę z dzieckiem, zadeptano, nim któreś zdążyło krzyknąć.

Potrącona Weronika upadła, nurzając się w błocie. Podnieśli ją, krzyczała, tocząc błędnym wzrokiem. Ledwie mogła iść, musieli ją wlec.

Nad Bayreuth wzbijał się już płomień, z zatrważającą szybkością przeskakujący z dachu na dach, ze strzechy na strzechę. W niebo strzelały słupy iskier. A nad ryk pożaru wybijał się wrzask.

Z wiodących na rynek uliczek wybiegli ostatni zbiegowie, za nimi zaś wypadli husyci. Pożar rozbłysnął w klingach i brzeszczotach tysiącem czerwonych refleksów. Krzyk mordowanych zaświdrował w uszach.

Mordowano metodycznie i bez pośpiechu, spychając ciżbę w stronę kościoła farnego. Gdy kościół wypełnił się, podłożono ogień. Zajęły się stalle, zatłoczone nawy, chór i ołtarz ogarnął pożar, wnętrze kościoła zmieniło się w gigantyczne palenisko. Usiłujących uciekać z pożogi zakłuwano dzidami.

Wiodącymi ku rzece uliczkami płynęły gęste strumienie krwi. Rozchlapując krwawe błocko, husyci spędzali tam ludność.

Masakra trwała.

Weronika doszła do siebie, mogli już biec. I biegli. Ile sił.

Przy bramie kotłowali się oszaleli ze strachu ludzie, trwała bijatyka, krzyki i klątwy dobiegały z pobliskiej stajni. Tybald bez zastanowienia skoczył do środka. Po chwili pojawił się, z drugim swym pomocnikiem, Pawłem Ramuszem, wiedli cztery szarpiące się konie. Po policzku Ramusza ciekła krew.

– Na siodła! I do bramy! Do bramy!

Do wsiadającej Weroniki dopadło dwóch, wrzeszcząc ucapili za ubranie, usiłując zwlec z konia. Tybald Raabe chlasnął jednego biczem, drugiego Jutta kopnęła w twarz. Obok Ramusz siekł motłoch pletnią. Weronika dygotała, szczękanie jej zębów słychać było poprzez otaczający ich harmider.

– Do bramy! Na most!

Ścigał ich żar i huk, furia szalejącego żywiołu. Wiatr, który zerwał się nagle, podsycił pożar, nie minęły trzy pacierze, a całe miasto Bayreuth płonęło jednym wielkim ogniem. Powierzchnia fosy lśniła jak czerwone lustro. Migały na tle płomieni sylwetki jeźdźców.

– Koniom ostrogi! – krzyknął, oglądając się, Tybald Raabe. – Jazda, ile sił!

Umykali, zmuszając konie do morderczego galopu.

Nie oglądali się.

●

Galopowali brzegiem rzeki, połyskującej w świetle gwiazd. Nie zwalniali aż do chwili, gdy konie zaczęły rzęzić, a leśna droga utonęła w ciemnościach.

Jutta, czując nagłe zimno na karku, stanęła w strzemionach, nadstawiła ucha.

– Ścigają nas – powiedziała trzęsącym się głosem.

– Niemożliwe... – Tybald też się obejrzał. – Nic nie słyszę...

– Pościg idzie za nami – powtórzyła Jutta. – Jedźmy w skok!

– Zarżniemy konie...

– Wolisz, żeby zarżnęli nas?

●

Wstał mętny i zimny świt, wówczas okazało się, że Jutta ma rację. Na odległym grzbiecie wzgórza zamajaczyły sylwetki jeźdźców. Dobiegł

przez mgłę daleki krzyk.

– *Adsuuumuuus!*

– Psiakrew! – Spiął konia Tybald. – To Grellenort! W cwał, dziewczyny, w cwał!

Cała czwórka runęła w dziki galop, w dół wzgórza, między rzadkie i gołe brzeziny. Wpadli w jar, podkowy zadzwoniły na kamieniach. Z trzaskiem połamał się cienki lód na kałużach.

– W cwał! Nie ustawać!

– *Adsuuumuuus!*

Za jarem rozpościerało się pole orne, śnieg bielał w bruzdach. Za polem siniał las. Nie trzeba było komend ani zachęt. Przywarli do grzyw, poszli w galop. Spod kopyt pryskała gruda.

Ale pościg był już blisko, krzyk oznajmił, że już gonią ich na oko. Jutta obejrzała się. Ponad tuzin jeźdźców szedł ławą. Jeden prowadził, był na czele. Wiedziała, kto to taki.

Wpadli w las, przedarli się przez gęstwę, chłostani ośnieżonymi łapami jodeł. I wypadli prosto na rozstaje. Jedna z dróg wiodła w jar, druga w bór.

– Rozdzielmy się! – krzyknęła Jutta. – To jedyna szansa! Ja w jar, wy tamtędy!

– Jutta! Nieeee!

– Nie mogę... – wydyszał goliard. – Nie mogę pozwolić... Ja pojadę...

– Jeżdżę konno najlepiej z was. A bez ciebie do husytów nie dotrzemy. Jazda!

Nie było czasu ani na spory, ani na rozczulające pożegnania. Jutta poderwała konia i pogalopowała w jar.

●

Już od dobrych dwóch godzin nie słyszeli za sobą odgłosów pogoni, mimo to Tybald Raabe nie odważał się zwolnić tempa aż do chwili, gdy blade słońce stanęło w zenicie.

– Stańmy... – wydusił z siebie. – Zsiądźmy. Musimy dać koniom wytchnąć... Chyba już nas nie ścigają... Chyba się udało. Jutta...

Głos uwiązł mu w gardle. Weronika wybuchnęła płaczem.

– Jeździ konno najlepiej z nas... – wykrztusił goliard. – Najlepiej... Da sobie radę...

Weronika rozszlochała się na całego.

– Musimy sprowadzić pomoc – zdecydował Tybald. – Jesteśmy blisko drogi wiodącej na Kulmbach i Kronach, husyci muszą być blisko. Weroniko, przestań, proszę...

Weronika nie mogła przestać. Szlochała bardzo gorzko i bardzo głośno. I choć zwykle płacze są próżne, w niczym nie pomagają ani położenia nie poprawiają, tym razem było inaczej. Chaszcze zaszeleściły. Zarżał koń. Na polanę wjechała czwórka jeźdźców.

– Reynevan! – wrzasnął goliard. – Szarlej! Samson!

– Dobry pomysł z tym płaczem – przywitał ich demeryt. – Gdybyście nie płakali, przejechalibyśmy obok.

●

Oblicze Tybalda, gdy opowiadał, pokryła śmiertelna bladość. Ale Reynevan zachował spokój. Albo zrozumiał, że nie może mieć do goliarda żalów ni pretensji, albo do żalów i pretensji zwyczajnie nie miał głowy. Najpewniej to drugie, bo po wysłuchaniu momentalnie zerwał się i wskoczył na siodło.

– Jedziemy! – Tybald zerwał się również. – Bez zwłoki jedziemy na ratunek! Pokażę drogę! Dajcie mi luzaka, mój koń nie ujdzie już ni stajania...

– Co z nią? – Rixa wskazała Weronikę, czerwoną od płaczu i wciąż siąkającą nosem.

– Niech jedzie z nami.

– Nie! – krzyknęła na cały głos Weronika von Elsnitz. – Nie chcę! Za nic! Dość mam, dość, nie zniosę więcej! Chcę wrócić do mojego klasztoru! Chcę do mojego klasztoooruuu!

– Dobra – kiwnął Tybald. – Ramusz zawiezie cię do Cronschwitz. Z Bogiem, panienko.

– Ratujcie... Juttę...

– Uratujemy.

●

Przed Juttą wyrosły opłotki, poderwała konia, wzięła je skokiem. Wpadła na równe klepisko, między chałupy i klecie opuszczonej wsi. Po lewej widziała duży spichlerz, po prawej, na wzgórku, majaczyły we mgle dziurawe skrzydła wiatraka.

Koń chrapał i rzęził, munsztuk i tręzle były całe w pianie, szyja wierzchowca gorąca, mokra i śliska. A pogoń nie ustawała, konie Czarnych Jeźdźców nie słabły, wciąż słyszała za sobą tętent i krzyki.

Pogalopowała ku spichlerzowi, zdawało się jej bowiem, że widzi za nim mogący dać choć chwilowe ukrycie chruśniak. A ocalić ją mogło tylko ukrycie. W wyścigu nie miała już szans.

Pokonała skokiem kolejne opłotki, koń po skoku aż przysiadł na zadzie, wydawało się, że padnie. Ale uniósł się dzielnie.

Po to, by nagle zakwiczeć. I cisnąć się, cisnąć tak, że Jutta wyleciała z siodła. Zdążywszy kątem oka dostrzec oszczep, wbity w bok wierzchowca całkiem blisko jej łydki.

Spadła wprost w zeschłe krzaki jeżyn, na moment uwięzła w kłujących haczykowatych kolcach. Gdy się wreszcie wydarła, podrapana, było za późno, Czarni Jeźdźcy otaczali ją ze wszech stron. Rzuciła się do ucieczki, zręcznie lawirując między ich końmi. Dopędzili ją bez trudu, obalili w galopie, z takim impetem, że uderzenie o twarde klepisko pozbawiło ją tchu i sparaliżowało. Leżała na wznak, patrząc w pociemniałe nagle, zasnute chmurami niebo. Dookoła parskały konie, hukały kopyta.

– Panna Jutta de Apolda.

Patrzył na nią z wysokości siodła swymi ptasimi oczami. Uśmiechał się okrutnie.

– Długo się nie widzieliśmy – powiedział zjadliwie. – Rok z okładem minął od naszego spotkania w Białym Kościele. Stęskniłem się. Nuże, bierzcie ją.

Dwóch Jeźdźców podniosło ją z klepiska brutalnym szarpnięciem. Byli bez hełmów, widziała ich twarze, blade, srebrzyste jak u lepurów, podkrążone i nieprzytomne oczy, spienione usta. Struchlała nagle. W przerażająco pewnym przeczuciu, że tym razem się nie wywinie.

Zaciągnęli ją pod ścianę zapadniętej szopy. Czekał tu już Grellenort. I jasnowłosa dziewczyna o niebieskich i nieludzkich oczach.

– Miałem wobec ciebie inne plany – oznajmił Grellenort. – Chciałem zabrać cię do Wrocławia. Schwytawszy zaś twego miłośnika, Reinmara Bielawę, zamierzałem przemocą karmić go kawałkami, które na jego oczach odrzynałbym z ciebie, z coraz to różnych miejsc. Kauteryzując rany, dałoby się to rozciągnąć w czasie na przynajmniej kilkanaście dni, zakończyć planowałem na twoich organach wewnętrznych. Ale czas mi

nie sprzyja, historia mi nie sprzyja, świat nabrał nieprzewidzianych obrotów. Tutaj zatem i teraz przyjdzie się nam pożegnać. Tutaj cię zostawię.

Dwóch Jeźdźców ucapiło Juttę za ręce i ramiona, uniosło tak, że zawisła, ledwie dotykając ziemi palcami stóp. Douce von Pack rozdarła jej kubrak i koszulę, obnażyła szyję, chwyciła za włosy na karku. Pomurnik zbliżył się, wyjął spod płaszcza podłużne płaskie pudło. Jutta ze strachu była bliska omdlenia, ze ściśniętego zgrozą gardła nie była w stanie dobyć głosu. Ale gdy zobaczyła, co Pomurnik wyjmuje z pudła, krzyknęła. Krzyknęła okropnie i zatargała się w dzierżących ją rękach.

Wyjętym przedmiotem była zasuszona łapka. Mała, jak rączka dziecka, ale z absolutnie nieludzko długimi palcami uzbrojonymi w pazury jak haki. Cała sucha skóra łapki usiana była dziurkami, przypominającymi maleńkie kretowiska. Były to ślady po larwach much, jakie wylęgły się w gnijącej tkance i do cna ją wyżarły, zostawiając obciągnięty suchą skórą i opleciony ścięgnami gnat. Zasuszony, ale wciąż ohydnie cuchnący zgnilizną.

Pomurnik zbliżył się. Jutta przemożnie pragnęła zemdleć. Ale nie mogła. Patrzyła jak zahipnotyzowana.

– *Per nomen Baal-Zevuv, dominus scatophagum.* – Pomurnik uniósł łapkę i przybliżył ją do jej twarzy. – *Per nomen Kuthulu, Tsadogua et Azzabue! Per effusionem sanguinis!*

Drapnął ją w szyję suchym pazurem. Do krwi. Chciała krzyczeć, ale zdołała jedynie zaskrzeczeć. Drapnął ją jeszcze raz. I jeszcze raz.

– Iä! Azif!

Rozległ się dziwny, posykujący szmer, szelest i ćwierk, jakby setek owadów i ich skrzydełek. Zgroza sprawiła, że cofnęli się nawet niektórzy z Czarnych Jeźdźców. Pomurnik przybliżył łapkę do twarzy Jutty.

– *Adiungat Yersinia tibi pestilentiam!*

Na jego znak puszczono ją. Upadła miękko, całkowicie bezwładna. A za chwilę zwinęła się w torsjach.

Patrzył na nią przez chwilę. Potem skinął na swoich.

– Dokonało się – powiedział. – Jedziemy... Co się dzieje?

– Husyci! – Jeden z Jeźdźców galopem nadjechał od opłotków. – Duży oddział! Są blisko!

– Kryć się – Pomurnik wskazał na stodoły i szopy. – Przeczekamy. Pilnować, by koń nie zarżał.

Powiał wiatr, wiatrak na wzgórku zaskrzypiał, zakręcił skrzydłami.

●

Dietky, Bohu zpievajme
Jemu čest, chválu vzdavajme..

Drogą opodal opuszczonej wsi przeciągał ze śpiewem konny oddział, półtrzeciasta zbrojnych z Kielichami na pancerzach. Na czele jechał Jan Zmrzlik ze Svojszyna, pan na zamku Orlik, w pełnej zbroi i jace ozdobionej herbem, trzema pasami czerwonymi w polu srebrnym.

– Wieś – wskazał Fritzold von Warte, najemnik, Helwet z kantonu Thurgau. – I wiatrak na wzgórku. Podpalić?

– Nie – zdecydował Zmrzlik. – Nie warto dymem śladu dawać. Jest na majdanie żuraw, tedy konie napoim. A potem ruszamy na Bamberg.

●

Husyci nie spieszyli się, minęły dobre dwie godziny, nim opuścili majdan. Wreszcie zapanowała cisza. Na zewnątrz czasem powiał wiatr, zaświszczał w szparach spichrza. Zaskrzypiały czasem skrzydła wiatraka na wzgórku.

– Chyba już pojechali – stwierdził Pomurnik. – Wychodzimy i zabieramy się stąd.

Jeden z Jeźdźców rozwarł wrota. By spojrzeć prosto w otwór lufy praskiej rucznicy.

– Pochwalony – przywitał go Szarlej.

I wypalił mu między oczy.

●

Na odgłos wystrzału ze stodoły wypadło dwóch spieszonych Jeźdźców. Jeden padł od razu, bełt z kuszy Reynevana ugodził go w oko poprzez szparę wzrokową hełmu. Drugiego Samson palnął gudendagiem z taką siłą, że salada wgniotła się i pękła jak skorupka jaja.

Olbrzym wdarł się do stodoły, wywijając okutą pałą, Jeźdźcy ustąpili przed nim, uciekli pod ściany. Ale tylko na moment, ich było wciąż pięciu, on jeden. Błysnęły miecze i kordy.

Samson zaś obłapił słup, podtrzymujący sozrąb stropu. Żyły wystąpiły mu na czoło, gdy targnął słupem, potężnie, niczym prawdziwy Samson. I jak prawdziwy Samson obalił kolumny świątyni Dagona w Gazie, tak Samson Miodek wyłamał i obalił słup stodoły. Tram pękł ze strasznym trzaskiem, niczym patyczki pękły belki dachowej więźby. I cały strop, całe poddasze wraz z dachem, cały ogromny ciężar starego drewna, wszystko to, niczym świątynia Dagona na Filistynów, zwaliło się na Czarnych Jeźdźców, gniotąc i miażdżąc ich tak, że nie zdążyli nawet się rozkrzyczeć.

Tylko jedna noga sterczała spod sterty belek, jedna noga w czarnej nagolenicy i czarnym sabatonie. Sterczała i podrygiwała.

Samson dyszał, nie mogąc wydusić z siebie dźwięku. Szarpnął tylko Reynevana za ramię.

Była jeszcze robota do zrobienia.

●

Czarni Jeźdźcy pchali się we wrota spichrza. Rixa położyła jednego, wpakowawszy w niego dwie kule z podawanych przez Tybalda samopałów. Ale inni wyrwali się na majdan, a za nimi, już konno, wypadł Pomurnik z resztą. Jeden z koni natychmiast stanął dęba i runął, Reynevan był już na placu boju ze swą myśliwską kuszą. Drugiego konia zastrzelił z handkanony Tybald, sam niemal tracąc przy tym życie, jeden z Jeźdźców zajechał go i już wznosił miecz, gdy ciśnięty przez Samsona gudendag zmiótł go z siodła. Tybald rzucił się na powalonego jak jastrząb i wraził mu kord pod gorget. Rixa tymczasem zadźgała drugiego powalonego.

Szarlej nieustraszenie zabiegł drogę Pomurnikowi, szeroko chlasnął konia po przednich nogach. Koń zarył chrapami w ziemię, Pomurnik wyleciał z siodła i pokocił się po klepisku. Douce von Pack krzyknęła przenikliwie, zatoczyła koniem, skoczyła na Szarleja z oszczepem. Demeryt nie spanikował, nie uciekał, czekał z falcjonem trzymanym oburącz. Douce wstała w strzemionach i odwinęła się do rzutu. W tym momencie bełt z kuszy Reynevana trafił jej konia w szyję. Koń cisnął się, Douce spadła, gruchnęła o ziemię.

Pomurnik zerwał się, doskoczył do ostatniego z Jeźdźców, zwalił go z konia, sam wskoczył na siodło. Zobaczył biegnącego ku niemu Samsona, zobaczył rychtujących rucznice Rixę i Tybalda. Gwałtownym ruchem

uniósł obie ręce, wykonał nimi w powietrzu skomplikowany gest, wykrzyczał zaklęcie. W uniesionych dłoniach wyrosła mu i zaczęła szybko pęcznieć kula ognia.

Widząc, co się święci, wszyscy rzucili się szukać ukrycia. Ale Pomurnik nie celował w nikogo specjalnie: po prostu rzucił ognistą kulę w górę. By tam eksplodowała z piorunowym trzaskiem.

Korzystając z zamieszania, Pomurnik podcwałował do podnoszącej się Douce, wciągnął ją na konia i poszedł w galop, w kierunku wzgórka, na którym stał wiatrak. Rixa wypaliła do nich z handkanony, ale chybiła.

Reynevan nie chybił.

Trafiony bełtem czarny ogier zakwiczał, wierzgnął, rzucił zadem, zwalając swych jeźdźców. Pomurnik i Douce rzucili się do ucieczki. Douce kulała.

Reynevan chwycił jednego z biegających po majdanie koni, wskoczył na siodło, rzucił się w pościg. Pomurnik odwrócił się, widząc końskie zęby tuż nad głową, zawył ze strachu. Ale przytomnie odskoczył, uniósł rękę, wykrzyczał zaklęcie. Z jego palców wystrzelił snop iskier, ognistych igieł. Koń zarżał, stanął dęba. Reynevan spadł, druzgocąc sobą żerdzie płotu. Pomurnik chwycił wodze, wskoczył na siodło. I galopem rzucił się do ucieczki.

●

Douce von Pack stała na szczycie schodków prowadzących do wiatraka. Z dobytym kordem, rozwianym włosem i wyszczerzonymi zębami. Z jej gardła rwało się nieludzkie rzężenie, coś jakby wściekły zaśpiew rozwścieczonej kotki.

Szarlej już otwierał usta, by wezwać ją do rzucenia broni i poddania, ale Rixa powstrzymała go, pokręciła głową. Spojrzała Szarlejowi w oczy, a on zrozumiał.

Nie ma pardonu.

Chwycili przytargane przez Tybalda drzwiczki od chlewika, użyli ich jako tarczy, wdzierając się po schodach. Przytłoczyli Douce do drzwi, wepchnęli ją do środka, wskoczyli za nią.

Powiał wiatr, skrzydła wiatraka obróciły się, ruszył i zaturkotał mechanizm przekładni.

Szarlej chwycił Douce za rękę, wydusił kord z palców. Douce wyszarpnęła się, dobyła noża. Rixa walnęła ją głowicą tasaka. I pchnęła.

Wprost na wał napędowy, koło palczaste i system zębatych przekładni.

Powiał lekki wiatr.

Dębowy tryb przekładni chwycił ramię Douce, wgryzł się z chrupem, niczym wilk zębami. Trzasnęła kość. Douce zawyła. Zatargała się, ale tryby trzymały. Znowu leciutko powiało, mechanizm zapracował, przekładnia ruszyła o tryb, tryb oparł się o pierś Douce. Douce zawyła tak, że pył posypał się ze wszystkich szpar.

Szarlej i Rixa popatrzyli na siebie. Wzruszyli ramionami. I wyszli.

Przy schodkach czekał Tybald. Nieco dalej Samson pomagał iść z trudem stawiającemu nogi Reynevanowi.

– I co? – spytał Tybald, głową wskazując wiatrak. – I co?

– Nic – odrzekła zimno Rixa. – Czekamy na wiatr.

●

Nadchodzący wicher czuło się w powietrzu.

Pomurnik był już daleko. Teraz zatrzymał i obrócił konia. Obejrzał się.

Nadsłuchiwał. Odległość była znaczna, ale on słyszał.

– Nie zostawiaj mnie! Nie zostawiaj! Nie zostawiaj mnie samej!

Twarz Pomurnika nie drgnęła. A po chwili z siodła zerwał się, trzepocząc, wielki ptak. Zerwał się, wzbił i uleciał w niebo, w niskie chmury. Uleciał i znikł.

– Nie zostaaaaaaaa...

Wiatr zawył. Skrzydła wiatraka drgnęły. Potem poruszyły się, z wyraźnym wysiłkiem, pokonując opór. A potem już kręciły się płynnie i bez przeszkód.

●

Ostatniego z Jeźdźców, rozbrojonego, bez hełmu, Rixa i Tybald zapędzili pod wrota zapadniętej szopy. Jeździec padł na kolana, błagając o litość. Ale tego dnia pardonu nie dawano. Tybald ucapił Jeźdźca za włosy, a Rixa krótkim ruchem wraziła sztylet pod podbródek, wbijając ostrze aż po gardę. Zakłuty w drgawkach runął na wrota, otwierając je sobą. Rixa, usłyszawszy coś, zajrzała do środka.

– Reynevan! – krzyknęła przeraźliwie. – Reynevan! Tutaj! Prędko!

– O, Chryste! – Tybald też zajrzał, cofnął się. – O, Chryste...

Przybiegli Szarlej i Samson. Reynevan ich wyprzedził. Wpadł do środka, odtrącając goliarda i omal nie przewracając Rixy.

Wewnątrz, na słomie, leżała...

– Jutta!

Rzucił się ku niej, padł na kolana. Chwycił za ramiona.

To co najpierw poczuł, to mokre gorąco. Była rozpalona tak, że niemal płonęła ogniem. Oczy miała zamknięte, dygotała, trzęsła się w dreszczach.

– Jutto! To ja! Jestem! Jutto!

– Reynevan... – otworzyła oczy. – Reynevan?

Objął ją. I wtedy poczuł okropne, lodowate wręcz zimno jej rąk. Spojrzał i zmartwiał. Skóra dłoni miała kolor niebieski, przechodzący ku palcom w indygo, a na palcach w głębokie odcienie purpury.

Drżącymi palcami rozsunął jej koszulę. I choć się starał, nie zdołał powstrzymać rozpaczliwego jęku.

Sine ramiona, piersi i brzuch Jutty gęsto pokrywały pęcherze i krosty. Niemalże w oczach wyrastały nowe. Niektóre pękały już, sącząc krew. Zaczęła dygotać, trząść się spazmatycznie, nakrył ją i owinął płaszczem. Spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Reynevan... Zimno...

Nakrył ją drugim płaszczem, który podał mu Samson. Jutta mocno uchwyciła jego rękę. Chciała coś powiedzieć, omal nie zadławiła się krwią. Przechylił jej głowę, by mogła odpluwać.

– Co jej jest? – spytał głucho Szarlej. – Na co jest chora? Skąd ta straszna siność?

Reynevan zagryzł wargi, wskazał na obróconą szyję dziewczyny, na skaleczenia, równoległe cięcia, opuchłe już i zropiałe. Wstał, odciągnął Szarleja i Samsona na bok.

– Zraniono ją – wydusił z siebie. – I zarażono. Wszczepiając...

– Co?

– To jest... – głos uwiązł mu w gardle. – Myślę, że... Że zakażono ją wywołaną magicznie posocznicą. Posocznica to zakażenie i gnicie krwi... Według Awicenny... Salerneńczycy mówią na to *sepsis*... Sinica bierze się z wewnętrznych wybroczyn. Jej krew przesiąka przez żyły i tworzy zakrzepy... To się rozsiewa po całym ciele... Powstają ogniska ropne... Ma już objawy zapalenia zgorzelinowego...

– Lekarstwo?

– Na posocznicę nie ma lekarstwa... Nikt nie zna na to lekarstwa...

– Nie mów tak, do diabła. Jesteś medykiem. Próbuj!

Najpierw gorączka, pomyślał, klękając, muszę obniżyć jej gorączkę... Potem konieczna jest jakaś silna odtrutka... Coś, co powstrzyma zakażenie...

Drżącymi palcami rozpiął klamry torby, wyrzucił zawartość, jął grzebać w niej gorączkowo. Z przemożnym poczuciem bezsiły.

Z rosnącym przekonaniem, że nic z tego, czym dysponuje, nie jest w stanie uleczyć Jutty, pomóc jej czy chociażby ulżyć w cierpieniu. Że na nic wszystkie jego *remedia contra malum*, na nic *diacodia* i *elektuaria*, na nic *sotira, antidota* i *panacea*. Na nic *artemisium*, *hypericum* i *serpillum*, na nic *Pestwurz*, czartopłoch i wszystkie inne noszone w torbie specyfiki.

Amulety, pomyślał, amulety Telesmy. Zostało ich niewiele... Tamująca krwotoki *gemma rutila*. *Venim* z lapis-lazuli, skuteczny przeciw jadowitym ukąszeniom... *Aquila*, orli kamień, oczyszczający krew... Ale wszystkie muszą być używane natychmiast, a ją zraniono przed godzinami... Magiczna posocznica rozwija się błyskawicznie... Może jednak któryś amulet podziała... Boże, spraw, aby któryś podziałał...

Amulety nie działały. Były za słabe. Nie miały szans w walce z tym, czym zarażono Juttę.

Zaklęcia. Znał kilka. Schylony, recytował je po kolei, pokonując rosnącą w ustach suchość. Wykonywał magiczne gesty i znaki, z trudem panując nad dygotaniem rąk.

Zaklęcia nie działały. Reynevan wzniósł oczy i ręce.

– *Magna Mater*... – wymamrotał. – Matko bogów... Ty, która jedyna bronisz nas i ochroniasz... Matko Słońca, której ciało białe jest od mleka gwiazd! *Elementorum omnium domina*, Pani Stworzenia, Karmicielko Świata! Strażniczko nieba i morza, wszystkich bogów i potęg, *aeterne caritatis desideratissima filia, aeterne sapientie mater gratissima, sub umbra alarum tuarum protege nos*. Daj mi, błagam kornie, moc leku niosącego zdrowie. Ocal ją, błagam. Pozwól jej żyć.

Cud nie nastąpił.

Jutta zaczęła się dławić i pluć krwią, krew silnie rzuciła się jej również z nosa. Uniósł i przechylił jej głowę. I patrzył bezsilnie.

– Jak... – odezwał się ledwie słyszalnie Szarlej. – Jak ona...

– Przez wyniszczenie organizmu.

– Jak długo...

– Bardzo.

– Reynevan... – Jutta nagle chwyciła go za rękę. Jej zupełnie granatowe palce już prawie nie miały siły chwytu.

– Reynevan... – powtórzyła niemal przytomnie. – Chcę... Na słońce...

Wszyscy pospieszyli z pomocą. Dźwignęli ją i wynieśli ze stodoły, ułożyli na szybko zaimprowizowanym z płaszczy posłaniu. Słońca nie było. Były niskie szaroołowiane chmury.

Znowu zaczęła silnie krwawić z nosa, przesiąknięte krwią nogawice świadczyły o krwotoku z przewodu pokarmowego i narządów rodnych. Jęły nią miotać konwulsyjne dreszcze. Dygotała długo.

Patrzyli bezsilnie.

– Reyne... – wypluła krew. – Reynevan...

– Jestem przy tobie.

– Jesteś... – spojrzała niemal przytomnie. – Jesteś... To dobrze...

Z trudem namacała jego ramię. Potem dłoń. Palce i paznokcie miała już całkiem czarne. Podobnie stopy.

– Już czas... Montségur...

– Co mówisz? Jutto?

– Montségur... Wciąż trwa... *Endura* i *consolamentum*... Chciałabym... usłyszeć... głos stamtąd...

Reynevan potrząsnął głową, pytająco patrząc na przyjaciół. Szarlej rozłożył ręce.

– Pozwól – rzekł Samson.

Ukląkł obok Jutty, ujął jej poczerniałą dłoń.

– *Benedicite* – powiedział cicho. – *Benedicite, parcite nobis.*

– *Parcite nobis* – odszepnęła. – Za wszystkie grzechy... Proszę o przebaczenie...

– *De Deu e de nos vos sian perdonatz* – wyrzekł Samson. – *E nos preguem Deu que les vos perdo.*

Jutta, wyglądało, chciała się uśmiechnąć. Ale paroksyzm bólu zniekształcił jej siną twarz w okropnym grymasie. Z nosa i kącika ust pociekła krew. Krew przesączała się już też przez wszystkie okrywające ją płaszcze.

– Reinmarze – Samson wstał. – Już czas. Niech się stanie.

– Nie rozumiem.

– Nim Jutta umrze – olbrzym zbliżył się, zniżył głos – będzie cierpieć jeszcze co najmniej kilkanaście godzin. Pozwolisz, by cierpiała?

– Co ty mówisz? Mam ją... Samsonie... Jestem lekarzem! Jestem chrześcijaninem... Bóg zabrania... Boskie prawo...

– Prawo, które każe cierpieć? Gdy można cierpienia skrócić? Nic nie wiesz o Bogu, chłopcze, nie znasz go wcale. A robisz z niego okrutnego fanatyka. Obrażasz go tym. To nie wypada.

– Ale...

– Jesteś medykiem. Ulecz cierpienie.

Szarlej wziął Rixę pod ramię, odprowadził na bok. Tybald Raabe podążył za nimi.

Samson i Reynevan uklękli obok Jutty. Samson z lewej, Reynevan z prawej. Nim uklękli, Jutta była nieprzytomna, teraz oprzytomniała.

– Reinmar...

– Kocham cię – wyszeptał z ustami przy jej uchu. – Kocham cię, Jutto.

– Ja też cię kocham. Jestem gotowa.

– *Pater sancte* – wymówił cicho Samson – *suscipe ancillam Tuam in Tua iusticia et mitte graciam Tuam e Spiritum Sanctum Tuum super eam.*

– *Lux in tenebris lucet* – wyszeptała wyraźnie. – Światłość w ciemności świeci... I ciemność jej nie ogarnęła.

I gdy to wyrzekła, chmury rozstąpiły się nagle. I zalśniło zza nich przedwieczorne słońce. I stała się jasność.

I było tak, że Reinmar z Bielawy, medyk, otworzył szkatułkę z amuletami, podarunek od Joszta Duna, zwanego Telesmą, czarodzieja z Pragi. Było tak, że Reinmar wydobył ze szkatułki amulet, ten schowany najgłębiej, jeden jedyny, mały i niepozorny, ten, który nie miał być użyty nigdy, bo mógł być wykorzystany tylko w sytuacji absolutnie i ekstremalnie ostatecznej, w położeniu bez wyjścia i bez nadziei. Było tak, że Reinmar objął Juttę i przyłożył jej amulet do skroni i wymówił zaklęcie, a brzmiało ono: „*Spes proxima*". Było tak, że Jutta westchnęła z ulgą, a potem uśmiechnęła się i odprężyła.

I było tak, że Jutty nie było.

Zostało tylko jej imię, puste słowo, którego nawet nie było sensu wymawiać.

Rozdział dziewiętnasty

w którym spełnia się, co miało się spełnić. I cisną się na usta słowa natchnionego proroka, Izajasza, syna Amosa: Oczekiwaliśmy światła, a oto ciemność. Jasnych promieni, a kroczymy w mrokach.

Pierwszego dnia rozwiązane były cztery wiatry od ich podstaw. Poruszona była ziemia ze swego miejsca; bramy nieba otworzyły się, a dym wielkiego ognia przesłonił horyzont. Słońce stało się czarne jak włosienny wór, a księżyc stał się jak krew. Z każdej strony wyzierały rozpacz i przerażenie. I był żal. I były łzy. I była okropna, dojmująca samotność.

Drugiego dnia były ciemności wielkie. Gwiazdy spadały z nieba. Zajęczały otchłanie ziemi z czterech krańców świata. Rozpłynęła się otchłań wśród jęków, zadrżały ziemia i morze, a razem z nimi góry i pagórki. I upadły posągi bogów prawdziwych i fałszywych, a z ich upadkiem ludy wszystkie wzgardziły życiem tego świata.

Rozdarte zostało sklepienie nieba od wschodu aż do zachodu. I stała się nagle światłość, *lux perpetua*. I wyszedł z niej głos archanioła, i usłyszany był aż w najniższych czeluściach. *Dies irae, dies illa...*

Mors stupebit et natura,
cum resurget creatura,
iudicanti responsura.
Liber scriptus proferetur,
in quo totum continetur,
unde mundus iudicetur.

Trzeciego dnia...

Trzeciego dnia przyszedł Samson. A z nim Szarlej, Rixa i Tybald.

– Dość, Reynevan. Wystarczy, przyjacielu. Opłakałeś ją, opłakałeś godnie i należycie. A teraz wstań i weź się w garść.

●

Nad krainą Bawarów unosiły się dymy, wiatr zewsząd niósł smród spalenizny. Działania bojowe większością wstrzymano jednak, wieść

niosła, że rozpoczęto rokowania. Na zdobyty i zamieniony na husycką kwaterę główną zamek Beheimstein pod Norymbergą przybył jakoby własną osobą margraf brandenburski Fryderyk, by układać się z hejtmanami. Nie wykluczano, że to koniec rejzy, że Niemcy zechcą się okupić. By troszkę pomóc im w podjęciu decyzji, Prokop kazał kolumnom husyckim ruszyć się w kierunku Górnego Palatynatu, na Sulzbach i Amberg, czym zdrowo napędził strachu falcgrafowi Janowi z Neumarktu.

Wszystkie wieści okazały się prawdziwymi. Rokowania uwieńczył sukces. Zapłacił okup margraf, zapłacił falcgraf, zapłaciła Norymberga. Rejza była skończona. Wydano rozkazy, ześrodkowana pod Pegnitz i Auerbach armia husycka w dwóch kolumnach rozpoczęła powrót do domu. Po drodze nie zamierzano jednak próżnować. Idąca szlakiem południowym kolumna formowała się do ataku na Kynžvart, kolejny gród znienawidzonego Henryka von Plauena. Kolumnę północną Prokop forsownym marszem poprowadził na Cheb.

●

Armia podeszła pod Cheb w sobotę jedenastego lutego, późnym popołudniem, o zmierzchu niemal, z marszu wpadając na otaczające miasto wsie i osady. Całe podgrodzie stanęło w ogniu, zagon konnych Jana Zmrzlika zadbał zaś o to, by nie ocalała nawet jedna z okolicznych zagród. Reynevan wziął się w garść i doszedł już do siebie, ale w paleniu i mordach udziału nie wziął. Wraz z Szarlejem, Samsonem i Rixą trzymali się Mikulasza Sokoła z Lamberka, pozostawionego z oddziałem odwodowym.

Tybald Raabe odszedł, powędrował na wschód, zanim jeszcze ruszyli pod Pegnitz.

Noc, która wkrótce zapadła, była od pożarów jasna jak dzień. I hałaśliwa. Bezustannie hukały młotki i siekiery cieśli, ustawiających praki i budujących zatarasy. Ryczeli i śpiewali puszkarze, mocując na drewnianych łożach bombardy i moździerze. Wrzeszczeli pod murami taboryccy harcownicy, obiecując obrońcom Chebu paskudną śmierć, obrońcy z góry rewanżowali się taborytom obietnicami śmierci jeszcze gorszej, ohydnymi obelgami i palbą z broni ognistej.

– Reinmarze?

– Jestem, Samsonie.

– Trzymasz się? Jak się czujesz?

– Bardzo paskudnie.

– Niepotrzebnie pytałem.

Siedzieli przy niedużym ognisku, rozpalonym za rozpiętą na kijach, chroniącą od lutowego wiatru płachtą. Siedzieli we dwu, Szarlej i Rixa gdzieś przepadli. Ostatnio przepadali często. Rixa zdążyła się już zresztą pożegnać, wracała na Śląsk.

– Ja... – olbrzym zająknął się niespodziewanie – też mam czym się gryźć. Prześladują mnie ostatnio myśli o prawdziwym Samsonie, tym z klasztoru benedyktynów. Nie mogę uwolnić się od przekonania, że wyrządziłem mu krzywdę. Zostawiłem go... Tam...

– Nie ponosisz winy – odrzekł poważnie Reynevan. – To ja i Szarlej, nasze głupie egzorcyzmy, nasze igraszki ze sprawami, z którymi igrać nie było wolno. Próbowałeś naprawić nasz błąd, próbowałeś wiele razy, nikt nie ma prawa zarzucić ci bezczynności. Nie udało się, cóż, wola boska. A obecnie... Obecnie sytuacja się zmieniła. Masz obowiązki. Nie możesz porzucić Markety. Złamałbyś dziewczynie serce, gdybyś teraz zostawił ją samą. Rozumiem, że może to być dla ciebie przykre, znam cię, wiem, jak bardzo przejmujesz się losem innych. Ale teraz to już byłby wybór alternatywny: albo Marketa, albo klasztorny matoł. Dla mnie jasne jest, kogo powinieneś wybrać. To jest oczywiste. I nie mów mi, że to mało moralne.

– To jest mało moralne – westchnął Samson. – Bardzo mało moralne. Bo już za późno na jakikolwiek wybór. Od tamtego wydarzenia minęły ponad cztery lata. Tam... W strefie ciemności... Żaden człowiek nie mógł tego wytrzymać, żadna ludzka psychika nie mogła tego znieść. Prawdziwy Samson nie żyje lub całkowicie postradał zmysły. Nie zdołamy już przywrócić go światu. Fakt ten, niestety, obciąża moje sumienie.

– Posłuchaj...

– Nic nie mów.

Trzaskały krokwie dopalających się chałup podgrodzia, z wiatrem dolatywał smród i podmuchy gorąca.

– Los klasztornego matołka – przerwał milczenie Samson – bynajmniej nie przesądził się z momentem, w którym ujrzałem Marketę. Wtedy, pod Kolinem, w szulerskim zajeździe...

– Zrobiłeś wówczas to, co musiałeś zrobić. Pamiętam twoje słowa. To, czego byliśmy świadkami w szulerni, wykluczało obojętność i bezczynność. Stało się więc to, co musiało się stać.

– To prawda. Ale pogrążyłem się dopiero później, w Pradze. W dniu, gdy po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęła. *Quando mi volsi al suo viso ridente...*

Kunszt i natura, co się o to kuszą
Czy w kształcie żywym, czy w kreślonym dziele,
Aby przez zmysły zawładnąć nad duszą –
Razem zebrane nie miały tak wiele
Władzy, jak cud ten, którym mię olśniła,
Kiedy zajrzałem w jej oczu wesele.

– A taka biła z niej poświata – Samson ni to deklamował, ni to mówił – jakby Bóg szczęsny wstąpił w jej oblicze. I zawładnęła mą duszą... Ech... Przepraszam. Wiem, że to banał, rzecz banalna, nic na to nie poradzę. Ale powinienem się powstrzymać i przynajmniej tego nie rozgłaszać. Ale może dobrze się stało? Może to dobry wstęp do tego, co chcę ci powiedzieć?

– A co chcesz mi powiedzieć?

– Że odchodzę.

– Teraz?

– Jutro. To już ostatni raz. Cheb to już ostatnie miasto, do którego wejdę z wami. Odszedłbym już dziś... Ale coś mnie powstrzymuje. Jutro jednak definitywnie kończę z tym wszystkim. Odchodzę. Wracam do Rapotina. Do niej. Wracaj ze mną.

– Po co? – spytał gorzko i z wysiłkiem Reynevan. – Po co mam wracać? Co lub kto tam na mnie czeka? Jutta nie żyje. Kochałem ją, a jej już nie ma. Co mi pozostaje? Też czytałem Dantego Alighieri. *Amor condusse noi ad una morte*, miłość nas śmiercią położyła w grobie. Na nic innego nie czekam. Z równym więc skutkiem mogę na to czekać tu, w tej armii. Pośród tej rzezi.

Samson milczał długo.

– Jesteś w ciemności, przyjacielu – powiedział wreszcie. – W ciemności gorszej niż ta, w którą odszedł prawdziwy Samson. Obu nas to spotkało. Oczekiwaliśmy światła, a oto ciemność. Jasnych promieni, a kroczymy w mrokach. Jak niewidomi macamy ścianę i jakby bez oczu

idziemy po omacku. Potykamy się w samo południe jak w nocy, w pełni sił jesteśmy jakby umarli. I tęsknimy do światła. Do światłości. Wziąłeś z Alighieriego niewłaściwy cytat. Podpowiem ci właściwszy. *Sta come torre ferma...*

Mocny jak wieża bądź, co się nie zegnie,
Chociaż się wicher na jej szczyty wali.

– Nie ma we mnie już mocy. Nie ma mocy tam, gdzie nie ma nadziei.
– Nadzieja jest zawsze. Nadzieja to światłość wiekuista. *Lux perpetua. La luce etterna*.

O luce etterna che sola in te sidi,
sola t'intendi, e da te intelletta
e intendente te ami e arridi!

– Jestem zbyt zmęczony, by zdobyć się na optymizm.
– Dobranoc, Reinmarze.
– Dobranoc, Samsonie.

●

Ze wschodem słońca zaczęło się. Ryknęły bombardy, huknęły foglerze i szlangi, zagrzmiały moździerze, skrzypnęły ramiona praków, na miasto Cheb spadł grad pocisków. Całe przedpole zasnuła gęsta zasłona białego dymu.

Osłonięci pawężami i tarasami taboryci zwartym szykiem zbliżali się do murów, ale Prokop nie dawał rozkazu do szturmu. Wiedziano, iż hejtman chciał uniknąć strat, wolał, by miasto poddało się i okupiło, ciężki ostrzał miał tylko zmiękczyć obrońców. Toteż nie żałowano prochu ani kul.

Ale Mikulasz Sokół, zachęcony niemrawym oporem od strony południowej, zaatakował na własną rękę. Pod bramę podsadzono beczułkę z prochem, gdy wybuchła, w dym runął oddział szturmowy.

Wewnątrz, na przedbramiu, w wylocie ulicy, napastników osadził w miejscu kontratak. Z rotą atakujących zderzyła się rota obrońców. Jedni i drudzy uzbrojeni byli głównie w broń drzewcową, halabardy, gizarmy, sudlice, spisy i rohatyny, co dało efekt zderzenia się dwóch jeży. Zwarli się z rykiem i wrzaskiem, z rykiem i wrzaskiem odstąpili, zostawiając na

bruku kilka ciał. Pochylili drzewca i zderzyli się znowu, wśród szczęku i zgrzytu. Czesi bili się z Czechami, jak wynikało z wymiany obelg.

– *Psi hlavy!*

– *Zkurvysyni!*

Reynevan chwycił upuszczoną przez kogoś sudlicę i chciał skoczyć w zamęt, ale Szarlej powstrzymał go mocnym chwytem.

– Nie graj zucha! – przekrzyczał bitewną wrzawę i huk dział z przedpola. – I nie szukaj śmierci! W tył, w tył, do bramy! Zaraz nas stąd wyprą! Uwaga na tych w oknach! Widzisz?

Reynevan widział. Rzucił sudlicę, chwycił kuszę, wycelował, strzelił. Trafiony kusznik wyleciał z okna na piętrze. Reynevan napiął kuszę, nałożył bełt.

– Bij!

– Hyr na nich!

Na przedbramiu, między palącymi się już domami, dwa najeżone żelazem oddziały zwarły się znowu, ślizgając we krwi. Trzaskały zderzające się drzewca, wrzeszczeli walczący, wyli ranni. Samson uniósł się nagle, całkiem wystawiając na pociski.

– Słyszycie?

– Co?

– Niczego nie słyszymy! – wrzasnął Szarlej. – Wycofujmy się! Prokop nie da nam wsparcia! Wynośmy się stąd, nim nas zatłuką!

– Słyszycie?

Początkowo hałas bitwy głuszył wszystko. Ale potem i ich uszu dobiegło to, co usłyszał Samson.

Płacz dzieci. Cienki i rozpaczliwy płacz dzieci. Z pobliskiego, huczącego już pożarem domu.

Samson wstał.

– Nie rób tego! – krzyknął Szarlej, blednąc. – To śmierć!

– Muszę. Inaczej nie można.

Pobiegł. Po chwili wahania skoczyli za nim. Reynevana prawie natychmiast odepchnęli i zablokowali cofający się po kolejnym zwarciu taboryci. Szarlej zmuszony był umykać przed żelaznym jeżem napierających obrońców. Samson przepadł.

Taboryci pochylili sudlice i rohatyny, z wrzaskiem skoczyli na obrońców. Dwie roty zderzyły się z impetem, skłuwając wzajemnie. Bruk spływał krwią.

I wtedy z płonącego domu wyszedł Samson Miodek.

Na każdym z ramion niósł dziecko. Jakieś dziesięć pobladłych i cichych szło za nim, cisnąc się do jego ud i czepiając pół.

I nagle na przedbramiu bitewna wrzawa zgasła jak wetknięta w śnieg pochodnia. Ucichły krzyki. Zapadła cisza, nawet ranni przestali jęczeć.

Wiodący dzieci Samson wolno wkroczył pomiędzy oddziały. Szedł, a drzewca pochylały się przed nim, słały się do nóg. Zrazu jakby niechętnie, potem coraz skwapliwiej. Pochylały się, dźwiękając o bruk, mordercze żeleźca halabard i gizarm, brzeszczoty sudlic i partyzan, ostrza rohatyn i korsek, groty włóczni i cienkie żądła spis. Pochylały się przed Samsonem. Kłaniały przed nim. Oddawały cześć. Wśród zupełnej ciszy.

Idąc żelaznym szpalerem, Samson doszedł do bramy. Szarlej, Reynevan i kilku Czechów dobiegło, zabrało i odciągnęło dzieci. Samson wyprostował się, odetchnął głęboko, z ulgą.

Z walczących na przedbramiu jakby spadł czar, rzucili się na siebie z rykiem. A jeden ze strzelców w oknie zaczepił hak strzelby o parapet i wsadził rozżarzony drut do zapału.

Samson zatoczył się, jęknął głucho. I runął na ziemię. Na twarz.

●

Reynevanowi wystarczyło jednego spojrzenia. Uniósł głowę. I pokręcił nią przecząco. Czując, jak wargi zaczynają mu niepohamowanie drgać.

– Do diabła, Samsonie! – krzyknął Szarlej, klękając obok. – Nie rób mi tego! Nie rób mi tego, do cholery! Nie śmiej mi tego robić!

Oczy Samsona zaszły mgłą. Krew w spazmach chlustała z rany, barwiła śnieg.

●

Tej niedzieli ojciec Homolka, pleban fary Świętego Jana Chrzciciela w Szumperku, wziął za temat kazania historię Tobiasza z Niniwy, Tobiasza zawsze wiernego Bogu, Tobiasza starego i ociemniałego. Pleban kazał o tym, jak syn Tobiasza, Tobiasz Młodszy, wysłany został przez ojca do miasta Rages w Medii, a nie znający dróg i ścieżek wędrował pospołu z wynajętym przewodnikiem i psem.

Pani Blażena Pospichalova ziewnęła ukradkiem. Słysząc westchnienie, zerknęła na stojącą obok Marketę. Rudowłosa dziewczyna, otwarłszy

lekko usta, zdawała się chłonąć każde słowo kaznodziei. Czyżby nie znała Księgi Tobiasza, czyżby słyszała biblijną przypowieść pierwszy raz? Nie, pomyślała pani Blażena, po prostu lubi takie opowieści, powikłane i czarowne historie o wędrówkach i pokonywanych przeciwnościach. Przypowieści, klechdy, bajki – które, choć niby straszne, zawsze dobrze się kończą. Wielu lubi słuchać takich powiastek, księża nie bez kozery wybierają je na tematy kazań. Ludzie mniej się przy nich nudzą.

Kaznodzieja, świadom zapewne, jak bardzo ludzie lubią opowieści drogi, barwnie snuł wątek o wędrówce Tobiasza Młodszego, Przewodnika i psa przez medyjskie równiny. Prawił o rybie złowionej w rzece Tygrys, o sercu, wątrobie i żółci owej ryby, za radą Przewodnika zabranych. O tym, jak w Ekbatanie, stolicy Medów, Tobiasz Młodszy poznał Sarę, córę Raguela, i jak połączyła dwoje młodych miłość piękna i szczera. Pani Blażena tłumiła ziewanie. Znała ciekawsze historie miłosne. Marketa wzdychała i oblizywała wargi.

A kaznodzieja, głos w przejęciu łamiąc, opowiadał o ciążącym na Sarze przekleństwie, o podstępnym duchu Asmodeuszu, mordującym zdradziecko wszystkich tych, których dziewczyna ukochała. O tym, jak za dobrą radą Przewodnika Tobiasz przepędził złego demona kadzidłem z serca i wątroby złowionej ryby i jak połączył się z Sarą w szczęśliwym związku. O tym, jak powróciwszy do Niniwy, Przewodnik przywrócił wzrok Tobiaszowi Starszemu za pomocą rybiej żółci. Jak wielka była radość i wdzięczność, jakie wesele...

– A kiedy skończyło się wesele – wołał z ambony przejęty ksiądz Homolka – powiedział Tobiasz do syna swego, Tobiasza: Pomyśl o daniu zapłaty człowiekowi, który towarzyszył tobie! A on mu odpowiedział: Ojcze, jak wielką mam mu dać zapłatę? On przecież mnie przyprowadził w zdrowiu, żonę moją wyzwolił i ciebie uleczył...

– Wyzwolił... – usłyszała cichuteńki szept pani Blażena. – Uleczył...

– Marketa? Ty mówisz?

– Uleczył... – wyszeptała z wyraźnym trudem dziewczyna. – I przyprowadził w zdrowiu...

– Marketko! Co ci?

Ludzie w nawie podnieśli głowy, słysząc nagle szum, szum jakby piór, jakby łopotanie skrzydeł. Wśród tłumu rozległy się głosy, ciche okrzyki, westchnienia. Wszyscy gapili się w górę. Kaznodzieja stracił na moment

wątek, dopiero po chwili wrócił do kazania i przypowieści. Do odpowiedzi, jakiej obu Tobiaszom udzielił Przewodnik.

– Odkryję przed wami całą prawdę, nie ukrywając niczego. Piękną jest rzeczą zachowywać tajemnicę królewską, ale godną wszelkiej pochwały objawiać dzieła Boże.

Szum przybrał na sile. Marketa jęknęła głośno.

– Ja jestem jeden z siedmiu aniołów, którzy stoją w pogotowiu i wchodzą przed majestat Pański. Nie bójcie się! Pokój wam! Uwielbiajcie Boga po wszystkie wieki! To, że byłem z wami, nie było moją zasługą, lecz było z woli Bożej. A ja...

– Nie! – krzyknęła z rozpaczą Marketa. – Nie! Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie samej!

– A ja wstępuję do Tego, który mnie posłał. Opiszcie to wszystko, co was spotkało.

– Odchodzi – zajęczała Marketa w uścisku pani Blażeny. – Właśnie teraz... W tej chwili... Odchodzi... Na zawsze... Na zawsze!

Blażenie Pospichalovej zdało się, że witraż pękł nagle wśród wielkiego blasku, a światłość wielka zalała ołtarz i prezbiterium. Łopot skrzydeł i szum piór słyszała, zdało się jej, tuż nad samą głową, pęd powietrza, zdało się jej, zerwie jej zawicie z włosów. Trwało to tylko chwilę.

– I odszedł – ksiądz kończył kazanie wśród zupełnej ciszy. – Oni podnieśli się, ale żaden nie mógł już go zobaczyć.

Po policzkach Markety zbiegły dwie łzy.

Tylko dwie.

●

Taborytów wyparto z miasta, bramę zabarykadowano. Z murów zaczęto znowu strzelać. O tym, by nieść Samsona, nie mogło być mowy, ale jacyś Czesi przynieśli pawęże, osłonili nimi rannego i tych, którzy przy nim byli.

– *Expectavimus lucem...* – powiedział nagle olbrzym. – *Et ecce tenebrae...*

– Samsonie... – Szarlejowi głos uwiązł w gardle.

– Stało się to, co musiało się stać... Reinmarze?

– Jestem tu, Samsonie. Wytrzymaj... Zaniesiemy cię...

– Daj pokój. Ja wiem.

Reynevan otarł oczy.

– Marketa... *O luce etterna...*

Głos Samsona był już tak cichy, że musieli pochylić się nad nim, by zrozumieć słowa.

– Opiszcie to – powiedział nagle zupełnie wyraźnie. – Opiszcie to wszystko, co was spotkało.

Milczeli. Samson przechylił głowę na bok.

– *Consummatum est* – wyszeptał.

I to były ostatnie słowa, jakie wypowiedział.

●

I słońce stało się czarne jak włosienny wór, a księżyc stał się jak krew. Z każdej strony wyzierały rozpacz i przerażenie. I upadły posągi bogów prawdziwych i fałszywych, a z ich upadkiem ludy wszystkie wzgardziły życiem tego świata.

I rozdarte zostało sklepienie nieba od wschodu aż do zachodu. I stała się nagle światłość, *lux perpetua*. I wyszedł głos archanioła, i usłyszany był aż w najniższych czeluściach.

Dies irae, dies illa...
Confutatis maledictis,
flammis acribus addictis,
voca me cum benedictis...

Reynevan płakał, nie wstydząc się łez.

●

Od Chebu i Kynżvartu, skrzypiał piórem stary mnich kronikarz z żagańskiego klasztoru augustianów, *powróciła zwycięska Prokopowa armia do domu, w miesiącu lutym, we wtorek* ante festum sancti Matthie *wjazd triumfalny do Pragi świętując. A było co świętować. Jeńców nabrano znacznych, a zdobycz i łupy na trzech tysiącach wozów wieziono, tak ciężkich, że niektóre dziesięć, dwanaście, a nawet czternaście koni ciągnąć musiało. A czego zabrać nie zdołali, to* destruxerunt et concremaverunt, *zrujnowali, w popiół i perzynę obrócili. W Miśni, Saksonii i Turyngii doliczono się dwudziestu miast spalonych i dwóch tysięcy wsi wyludnionych. W Górnej Frankonii nie było i czego liczyć, tam jedna wielka pustynia ostała.*

A mówiono potem w Pradze i w Bohemii całej, że była to jazda tak wspaniała, że najstarsi ludzie nie pamiętają, by kiedykolwiek taką Czechowie uczynili.
I niech im to Bóg odpuści.

●

Reynevanowi nie był dany splendor triumfalnej defilady. Do Pragi i owszem, wjechał, ale leżąc na wozie, bez ducha, płonąc od gorączki.

Chorował długo.

Rozdział dwudziesty

w którym Reynevan podejmuje ostateczną decyzję. Albowiem, jak pisze apostoł Paweł w drugim liście do Koryntian, to, co dawne, minęło, wszystko stało się nowe. A *lux vitae*, światło życia, czeka na tych, którzy dokonają właściwego wyboru.

Niezwykle łagodna zima przełomu lat 1429 i 1430 płynnie i niemal niezauważalnie przeszła w łagodną wiosnę. Już w początku marca zaroiło się niebo wielkim mnożstwem powracającego z południa ptactwa. Wcześniej niż zwykle przyleciały kaczki krzyżówki, wcześniej zaklekotały bociany w gniazdach na kalenicach. Zagęgały dzikie gęsi, wrzasnęły żurawie, rozświergotał się różnoraki skrzydlaty ludek. Stawy, bagna, rozlewiska i rowy rozbrzmiały chóralnym rechotaniem żab. Rozpękły się pąki olszyn, pokryły baziami wierzby, zakwitły łąki biało i żółto, zawilcem i kaczeńcem.

Reynevan jechał samotnie przez kraj opawski. Gościńcem zrytym kołami i podkowami, zdeptanym wojackim butem. Śladem dwunastotysięcznej armii polnej Taboru, która przemaszerowała tędy zaledwie tydzień temu.

•

Około południa usłyszał sygnaturkę. Ponaglił konia, jadąc na słuch, po chwili dostrzegł na wzniesieniu drewniany kościółek ze smukłą wieżyczką, całkiem nienaruszony. Bez wahania zwrócił konia w tamtą stronę. Ostatnie tygodnie wiele w nim zmieniły.

Także w tym względzie.

Zsiadł z konia, ale do świątynki nie wszedł, choć sygnaturka wciąż ogłaszała *Angelus* z wieżyczki. Zbliżył się tylko do wejścia, trzy kroki przed padł na kolana. Jutto, pomyślał. Jutto.

Agnus Dei qui tollit peccata mundi.
Requiem aeternam dona ei, et lux perpetua luceat ei. In memoria aeterna erit iusta ab auditione mala non timebit.

Boże, upadam i nie mogę iść dalej. Jestem sparaliżowany i niezdolny do podniesienia się. Uzdrów mnie i podźwignij w imię Twego miłosierdzia. Ześlij mi łaskę spokoju. A jej daj odpoczynek wieczny.

Agnus Dei qui tollit peccata mundi. Ad te omnis caro veniet.

– Amen – wyrwał go z zadumy głos. – Amen twej modlitwie, wędrowcze. Pokój z tobą.

W wejściu do kościółka stał ksiądz w kożuszku na sutannie, niewysoki, otyły, z tonsurą wygoloną aż po wąziutkie pasmo włosów nad uszami. Podpierał się, niby kulą, rozwidlonym kosturem, a twarz zdobił mu wielki krwiak.

– Pokój z tobą – powtórzył, mówiąc z wyraźnym wysiłkiem i tracąc oddech. – Modlisz się pod gołym niebem. Jesteś husytą?

– Jestem lekarzem. – Reynevan wstał. – Pomagam i przynoszę ulgę cierpiącym. A że ty cierpisz, pomogę i tobie. Kto ci to zrobił?

– Bliźni.

●

Korpus księdza gęsto pokrywały siniaki, na prawym boku zlewające się w jednolitą, wielką, sinoczarną opuchliznę. Ksiądz posykiwał i pojękiwał pod dłonią badającego go Reynevana, stękał, wzdychał, urywanie łapał ustami powietrze. Mimo tego nie przestawał gadać.

– Z początku... Gdy tu wpadli, tylko krzyczeli, darli się. Że papież rzymski to antychryst... A moja wiara to psia wiara. Wiara, odrzekłem, jest łaską, wiary się nie wybiera. Jaka spłynęła, taką przyjąłem. Bez wybrzydzania. A oni... Miast podjąć teologiczną dysputę, dali mi po głowie, a potem wzięli na kopy. Ale nie zabili... Kościoła też nie spalili... Ani wsi okolicznych... Znaczy, prawdą może być, co mówią... Że nasz książę Przemko zawarł z husytami pakt. Że w zamian za swobodę przemarszu przez Opawę nie będą palić ni plądrować...

– Masz złamane trzy żebra. – Reynevan nie zamierzał wyjaśniać księdzu zawiłości układu Przemka Opawskiego z Taborem. – Ale opłucna jest nienaruszona. Założę opatrunek uciskający i podam specyfik uśmierzający bóle. Zostawię też lekarstwo, które przyspieszy zrost kości. Jeśli nie będzie ci wadzić, że to lek magiczny. Będzie ci wadzić?

– Ha! – Ksiądz spojrzał ciekawie. – Husyta i medyk, a do tego magik. Z czego jest ta mikstura?

– Nie musisz wiedzieć. I nie chcesz.

– Czy to aby nie czarna magia? Duszy mojej nieśmiertelnej aby nie narazi?

– Zabezpiecz się. Mieszaj pół na pół z wodą święconą.

●

– Klęknąłeś u drzwi kościoła. – Ksiądz spojrzał Reynevanowi prosto w oczy. – Wojnę, w której walczysz, na którą teraz jedziesz, masz za *bellum justum*. Ale zdajesz sobie sprawę, że z krwią bliźniego na rękach, nawet przelaną w wojnie sprawiedliwej, przed odbyciem pokuty progu świątyni przestąpić ci nie wolno. Dobrze zgaduję?

– Niedobrze. Lekarstwo zażywaj regularnie. Po *matutinum*, w południe i przed *concubium*. Bywaj, pojadę już.

– Pojedziesz... – Ksiądz skrzywił się, macając zabandażowany bok. – Samotnie przez kraj, którego mieszkańcom twoi bracia w wierze mocno dokuczyli, na tyle mocno, by wzbudzać grzeszne myśli o rewanżu. Nie ręczę nawet za moich parafian. Nauczałem ich wprawdzie miłości bliźniego, ale w ostatnich latach strasznie rozeszły się w tej dziedzinie teoria z praktyką. Może być, że tutejsi zechcą z tobą podyskutować o religii w tym samym stylu, co husyci ze mną, to znaczy z ręki i z nogi. Nie lękasz się?

– Nie lękam – odrzekł Reynevan, nieco zbyt szybko i nieco zbyt szczerze. – Przestałem się lękać.

– Oho. – Ksiądz nie przegapił tonu, spojrzał na niego bystro. – Stan ducha znany mi. I to bynajmniej nie z lektury Pisma Świętego.

– Nie słyszałem – dodał – słów twej modlitwy. Ale pewnym, żem sam już kiedyś podobną odmawiał. Na tyle często i długo, by słowo „litania” cisnęło się na usta.

– Doprawdy?

– Niestety – potwierdził poważnie duchowny. – Wiem, co to ciężar straty, wiem, jak potrafi przytłoczyć. Tak, że ni wstać, ni głowę unieść. *Praesens malum auget boni perditi memoria*, obecną niedolę potęguje pamięć o utraconym szczęściu. Ale wszyscy będziemy przemienieni. Na odgłos trąby ostatecznej, albowiem zabrzmi trąba i umarli powstaną nieskażeni, a my będziemy przemienieni. Bo to, co skazitelne, musi

przyoblec się w nieskazitelność, i to, co śmiertelne, przyoblec się w nieśmiertelność.

– Eschatologia. Coś ponadto?

– Owszem. Pojednanie z Bogiem.

– Pokuta?

– Pojednanie. Albowiem w Chrystusie Bóg jednał ze sobą świat, nie poczytując ludziom ich grzechów, nam zaś przekazując słowo jednania. Jeżeli więc ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, minęło, wszystko stało się nowe. Kto wybierze właściwą drogę, będzie miał *lux vitae*, światło życia.

– Życie jest ciemnością. *In tenebris ambulavimus*, kroczymy w mrokach.

– Będziemy przemienieni. I stanie się światło. Chcesz się wyspowiadać?

– Nie.

●

Granicę pomiędzy księstwami wyznaczać miały słupy, kamienie, kopce czy też inne znaki. Reynevan nie wypatrzył żadnego. Pomimo to łatwo było stwierdzić, gdzie kończy się Opawa, której hercog się z husytami ułożył. A gdzie zaczyna zawsze wrogie husytom księstwo raciborskie. Granicę wytyczały tlące się pogorzeliska. Wypalone, czarne pozostałości po wsiach, które były, a już ich nie było.

Wyjechał z lasów wprost na rozległą przestrzeń, będącą jednym wielkim pobojowiskiem. Błonie zalegały setki trupów, ludzkich i końskich, zalegał nad nim smród gnoju, prochu, krwi i mdlącej zgnilizny. Reynevan napatrzył się już na pola bitew, bez trudu odtworzył przebieg zdarzenia. Przed mniej więcej czterema dniami rycerstwo z Raciborza, Karniowa i Pszczyny usiłowało powstrzymać Tabor, uderzając z flanki na maszerującą kolumnę. Obeznani z taką taktyką husyci osłonili się pawężnikami, zwarli wozy w mur i zdziesiątkowali atakujących ulewą kul i bełtów, a potem sami zaatakowali, z obu flank, zaciskając Raciborzan w żelaznych kleszczach. A potem rozprawili się z tymi, którzy przeżyli rąbaninę. Reynevan widział na skraju pola stos zmasakrowanych ciał, widział wisielców na drzewach na miedzy.

Po pobojowisku snuli się obdzieracze zwłok, okoliczni chłopi, skuloną postawą i nerwowym ruchem przywodząc na myśl zwierzęta. Lub

lękające się światła trupożerne demony.

Reynevan popędził konia. Chciał przed zmrokiem dołączyć do armii Taboru.

Pobłądzić się nie bał. Drogę wskazywały dymy pożarów.

●

Spotkanie z przywódcami rejzy okazało się przykre. Reynevan spodziewał się tego, bo przez ostatnie miesiące już nieraz tego zakosztował. Zaznał pełnych litości spojrzeń, zająknień, współczującego kiwania głową, doświadczył niby to solidarnych męskich uścisków i niby to kamrackich walnięć w bark. Nasłuchał się apeli, by się trzymał i był twardym. Powodujących, że od razu miękł i przestawał się trzymać, choć jeszcze przed momentem było, zdawałoby się, już całkiem dobrze.

Teraz też nie było inaczej. Dowodzący rejzą Jakub Kromieszyn obdarzył go współczującym spojrzeniem. Hejtman Jan Pardus kiwał głową i niby to kamracko ściskał prawicę. Dobko Puchała walnął w bark, mocno i serdecznie, powstrzymując się, na szczęście, od apeli. Książę Zygmunt Korybut zachował się wyniośle, ledwo racząc zauważać. Biedrzych ze Strażnicy zachował się naturalnie.

– Cieszę się, żeś wyzdrowiał – oświadczył, prowadząc Reynevana na skraj obozu, ku linii posterunków. – Żeś doszedł do siebie. Wtedy, w lutym, nie wiedziałem, co cię właściwie zwaliło z nóg, choroba czy nieszczęście. Bałem się, że zmoże cię to, złamie, zniszczy czy rzuci w apatię, odepchnie od życia i rzeczywistości. Ale oto jesteś tu i tylko to się liczy. My tu tworzymy historię, zmieniamy losy Europy i świata. Zbyt wiele z nami przeszedłeś, by teraz mogło cię wśród nas zabraknąć.

Reynevan nie skomentował. Biedrzych patrzył mu prosto w oczy, długo, jakby na komentarz oczekiwał. Nie doczekawszy się, szerokim gestem wskazał na łuny, rozświetlające niebo na wschodzie i południu.

– Wystarczyło nam tygodnia – rzekł – by ogniem i mieczem sterroryzować Racibórz, by strachu napędzić księciu Mikołajowi, a księżną wdowę Helenę zablokować w Pszczynie. Lada dzień dołączy do nas Bolko Wołoszek, wspólnie uderzymy na księstwo kozielskie, na włości Konrada Białego. A gdy opanujemy pogranicze, gdy uchwycimy zamki, zgodnie z planem wkroczy regularne wojsko polskie, zajmie Zator, Oświęcim i Siewierz. Górny Śląsk będzie nasz. Czemu nic nie mówisz?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– A ja mam. – Biedrzych odwrócił się, znowu spojrzał mu w oczy. – Ja, stosownie do ustaleń, obejmę funkcję *directora* śląskich placówek Taboru. Mamy bowiem zamiar mocno się tu usadowić, mocno i na stałe. Chciałbym mieć cię u boku, Reynevan. Proponuję ci to teraz, zanim zrobi to Wołoszek albo Korybutowicz. Nie musisz odpowiadać od razu.

– To dobrze. Gdzie jest Szarlej?

– Tam! – Biedrzych wskazał na dalekie łuny. – Zajmuje się obniżaniem ekonomicznej pozycji księstwa raciborskiego. Awansował. Dowodzi oddziałem specjalnego przeznaczenia. Nazywają ich Podpalaczami.

●

Dwa dni później, w niedzielę *Letare*, wczesnym rankiem, zapowiedziany dziesięciokonnym podjazdem, do rejzy dołączył Bolko V Wołoszek, książę na Głogówku, dziedzic Opola, od niedawna wyznawca husytyzmu. Jadąc pod ogoniastym gonfanonem ze złotym opolskim orłem na bławacie i pod różnokolorowymi proporcami opolskiej szlachty, młody książę wiódł pięćdziesiąt kopii rycerstwa ze strzelcami konnymi i pięć setek pieszego ludu, przeważającą miarą oszczepników. Na końcu zaś opolskiego pochodu dumnie jechała potężna i gruba pięćdziesięciofuntowa bombarda. Jakub Kromieszyn uśmiechnął się na ten widok: był to cenny nabytek dla jego oblężniczej artylerii, składającej się głównie z foglerzy i dwunastofuntówek.

Wołoszek w mediolańskiej zbroi wyglądał butnie i poważnie. Niczym nie uzewnętrzniał swej neofickości, nie wyposażył się w żaden z emblematów nowej religii. Wśród opolskiego rycerstwa nie zabrakło natomiast licznych, którzy to uczynili. Już to szczerze, już to z wazeliniarstwa niektórzy rycerze przyozdobili karminowymi Kielichami tarcze, jaki i kropierze końskie, widziało się też korony cierniowe i hostie. Dały się też zauważyć typowo husyckie symbole na pawężach opolskiej piechoty.

Rzecz bystrym okiem ocenił i natychmiast wykorzystał Biedrzych ze Strażnicy, urodzony propagandysta. Nie minęła godzina, a na obozowym błoniu odprawił pod gołym niebem husycką mszę. Po której do wieczora niemal kaznodzieje udzielali chętnym komunii *sub utraque specie.*

Zmieniający kierunki wiatr ze wszystkich stron niósł smród spalenizny.

●

W wieczornej naradzie wodzów Reynevan udziału nie wziął. Raz, bo go nie zaproszono, dwa, że cały czas usiłował znaleźć sposób, by pojechać na spotkanie z Szarlejem. Wyperswadował mu to Dobko Puchała. Gdy w celu wysikania się wyszedł ze stodoły, w której obradowano.

– Daj sobie spokój – rzekł przez ramię, lejąc na węgieł. – Diabli wiedzą, gdzie Szarlej teraz jest, nie trafisz za nim. Dymy pożarów drogi ci nie wskażą, bo oni przemieszczają się szybko, by uniknąć pościgu. I stworzyć pozór, że jest ich więcej.

W stodole było głośno, wodzowie kłócili się i wrzeszczeli na siebie. Szło chyba o strefy wpływów, bo wciąż padały wymawiane podniesionymi głosy nazwy miejscowości: Gliwice, Bytom, Niemcza, Kluczbork, Namysłów, Rybnik.

– Podobno – powiedział Puchała, podskakując i potrząsając przyrodzeniem – przed trzema dniami Szarlej palił wsie gdzieś pod Rybnikiem. Ale nie radzę ci tam go szukać, medyku, łacniej wpadniesz na raciborskich, a oni krótki proces ci zafundują. Tu Szarleja czekaj, jego tu tylko patrzeć. Wszak jutro lub pojutrze wymarsz. Na Koźle idziemy. Na Konrada.

●

Szarlej nie przybył, a do uderzenia na kraj kozielski doszło dwa dni później. Armia sprzymierzonych aż paliła się z ochoty, by wkroczyć na ziemie znienawidzonego Konrada Białego; Biedrzych i jego kaznodzieje zadbali o skuteczną propagandę, robiącą z księcia kozielskiego krwiożerczego potwora, winnego licznych zbrodni dokonanych podczas krucjat i wypadów na Czechy. W rzeczywistości w krucjatach i wypadach brali udział biskup wrocławski Konrad Starszy i książę oleśnicki Konrad Kantner, wina Konrada Białego tkwiła wyłącznie w tym, że był ich bratem. W takim natłoku Konradów pomyłki były zresztą nieuniknione.

Rankiem dwudziestego ósmego marca armia husycka stanęła w ordynku. Załopotał na wietrze biały trójkątny sztandar Taboru, *Veritas*

vincit z Kielichem, obok niego opolski orzeł Bolka Wołoszka na ogoniastym gonfanonie. Kazał rozwinąć swe banderium także Korybutowicz, wówczas okazało się, że w bój ruszy pod znakiem Pogoni. Zgodnie z tradycją przed szyk wyjechali polowi kaznodzieje, czescy, śląscy i polscy. Wojownicy odkryli głowy i jęli głośno się modlić. Pole rozbrzmiało wielojęzycznym bełkotem.

Przed front wyjechał Biedrzych ze Strażnicy. Już nie tylko postawą i głosem imitował Prokopa, nawet odziewał się jak Prokop, w charakterystyczny kołpak, brygantynę i płaszcz z wilczym kołnierzem. Jak Prokop wrył konia, jak Prokop wzniósł rękę.

– Boży bojownicy! – zawołał gromko, zupełnie jak Prokop. – Prawowierni Słowianie!

– Oto przed wami dziedzina nieprzyjaciela Boga i prawdziwej wiary! Oto przed wami ziemia wroga waszego, wroga zaciętego i okrutnego, na którego rękach nie obsycha krew wiernych i pobożnych! Który wiódł przeciw nam krzyżowe hordy, by zabić prawdę Bożą! Oto nadszedł czas pomsty!

– Pomsta, pomsta na wroga! Pan jest Bogiem odpłaty, gdy rzecze: Ukarzę Bela w Babilonie, wyrwę mu z paszczy, cokolwiek pochłonął! Niechaj więc ten Babilon stanie się polem gruzów, siedliskiem szakali, przedmiotem zgrozy! Niechaj wyludni się, niechaj wyschnie jego morze, niechaj źródło jego zaniknie! Rzecze Pan: Sprowadzę ich na rzeź jak jagnięta, jak barany wraz z kozłami! Na rzeź! Na rzeź i zatracenie! Naprzód tedy! Czyńcie wolę Bożą i wcielajcie w życie Jego Słowo! Naprzód! Naprzód do boju!

Szczękającą żelazem, najeżoną ostrzami, długą na ponad milę, liczącą tysiąc trzystu konnych, jedenaście tysięcy piechoty i czterysta wozów kolumną rejza weszła w kraj kozielski.

●

Jak na szumne zapowiedzi i ognisty zapał, armia czyniła raczej niewiele. Wojsko polne Taboru, zdolne pokonywać w marszu osiem mil na dobę, przez ziemię kozielską pełzło jak żółw, pod oddalone o cztery mile Koźle dotarło dopiero trzydziestego marca. Wysyłane po drodze podjazdy paliły i grabiły wsie i miasteczka.

Koźle na wstępie poczęstowano pięćdziesięciofuntowym kamieniem z opolskiej bombardy, nader celnie trafiając prościutko w dach nad nawą

kościoła parafialnego. To wystarczyło, by gród się poddał i został natychmiast zaanektowany przez Bolka Wołoszka. Dowódcy pokłócili się z tego powodu, bo na Koźle, jak się okazało, miał też chrapkę Korybutowicz. Spór rozstrzygnięto, dzieląc się zapłaconym przez Koźlan okupem. W ramach zgody Wołoszek wespół z Korybutowiczem jęli się wspólnej imprezy: wypuścili się z zagonem na północ, na Krapkowice, Otmęt i Obrowiec. Zamki te i ziemie należały do księcia Bernarda, stryja Wołoszka. Wypad miał, jak się wyraził młody książę husyta, nastraszyć dziadygę i pokazać mu, kto naprawdę rządzi na Opolszczyźnie.

W tym czasie Pardus i Puchała dalej grabili włości księcia Konrada, niszczyli je mieczem i ogniem. Nie wszystkie. Sztab Kromieszyna pod Koźlem przekształcił się w coś w rodzaju kantoru, do którego co dnia ustawiała się kolejka interesantów. Rycerze, mieszczanie, księża, zakonnicy, młynarze i co bogatsi okoliczni chłopi przybywali, by uiścić. Kto uiścił, ten ratował swe dobra i dobytek przed ogniem. Kromieszyn targował się jak stary lichwiarz, a jego skrzynie puchły od gotówki.

Reynevan nie był jedynym, który patrzył na to z niesmakiem.

●

We wtorek po niedzieli *Judica* do rejzy niespodzianie dołączyli Polacy, liczący dwie setki koni oddział ochotników z Małopolski. Po drodze przeszli przez Cieszyńsko, paląc, grabiąc i plądrując. Książę cieszyński Bolesław, do niedawna zachowujący roztropną neutralność, na starość zgłupiał, dał się zbałamucić łaskami Luksemburczyka i wypowiedział husytom wojnę. No to miał wojnę, on i jego kraj.

Małopolan, w większości nie afiszujących się herbami szaraczków, wiódł odziany w pełną płytę rycerz o wychudłej gębie i nieruchomych oczach mordercy. Przedstawiwszy się Kromieszynowi jako Rynard Jursza, wręczył mu listy. Kromieszyn przeczytał, twarz mu pojaśniała.

– Od pana Piotra Szafrańca – oznajmił Puchale i Korybutowi. – Pisze, że pan Siestrzeniec zebrał huf zbrojnych w Będzinie. I że regularne oddziały polskie stają w gotowości. Nie pisze jednak, kiedy wkroczą... Mości Jursza! Czy pan podkomorzy krakowski nie zlecił jakiego posłania ustnego ?

– Nie. Ino pisma dał.

Małopolanie przeciągali obok w szyku. I ze śpiewem.

Gdybym to ja miała
skrzydłeczka jak gąska
Poleciałabym ja
za Jaśkiem do Śląska...

– Co to – zdenerwował się Puchała – za kretyńska śpiewka? Rzewne to, kurwa, jak na oczepinach. Co to jest?

– Pan podkomorzy krakowski – zmrużył oczy Rynard Jursza – kazał śpiewać. Dla propagandy niby. Że niby Górny Śląsk. Że niby my na prastare ziemie wracamy i że do macierzy.

– Do macierzy, do macierzy – burknął niechętnie Dobko. – Niech tam. Ale jakby co do czego, to śpiewajcie *Bogurodzicę*.

●

Wraz z Małopolanami przyciągnęły dwa wozy. Jeden nagrużony był łupem, drugi wiózł rannych. Paskudnie posiekanych. Dwóch zmarło zaraz po przybyciu, dwóch innych walczyło o życie, stan pozostałych czterech też nie był lekki. Reynevan i felczerzy mieli ręce pełne roboty.

Ranni należeli do oddziału Szarleja.

●

– Cóż – rozłożył ręce Biedrzych ze Strażnicy – jeśli nalegasz, nie będę cię zatrzymywał. Niechętnie widzę cię wystawiającego się na szwank na dalekich rajdach, ale cóż, rozumiem, chcesz spotkać się z przyjacielem. Jest nawet stosowna okazja, wysyłam Szarlejowi uzupełnienie, bo ci z Pszczyny tak go przetrzepali, że umknął ledwo samoszóst. Jadąc w kupie nie pobłądzisz i będziesz bezpieczniejszy. I nawet dobrze się składa, bo...

– Bo?

– Pojedzie z wami – Biedrzych zniżył głos – ktoś jeszcze. Pewna osoba. To rzecz sekretna, zabraniam ci mówić o niej komukolwiek. A dobrze składa się to, że ty tę osobę znasz.

– Znam?

– Znasz. Czekam właśnie... Ach, oto i on.

Widząc, kto wchodzi na kwaterę, Reynevan oniemiał.

●

Urzędnik Kompanii Fuggerów zdjął i oddał pachołkowi płaszcz z brokatowym haftem, kryjący, jak się okazało, strój zupełnie niewojenny, choć dla urzędnika zwykły. Wcięty wams z czarnego aksamitu sięgał bioder opiętych w błękitno-czerwone *mi-parti* z podbrzuszem stylowo ujętym w mocno wywatowany, przesadnie uwypuklający męskość klin. Klin taki, modna nowość, zwany był z francuska *braguette*. Wydrwiwana przez ludzi statecznych, *braguette* była szczytem fasonu wśród modnisiów i elegantów.

– Witam. – Urzędnik pozdrowił Reynevana ukłonem. – Wypytywał mnie o ciebie kanonik Otto Beess. Rad jestem, że będę mógł uspokoić go i upewnić o twym dobrym zdrowiu.

– Będę wdzięczny.

– Jak i o tym, że nieszczęścia cię nie załamały. Bo nie załamały wszak?

– Jakoś się trzymam.

– Rad jestem słyszeć – urzędnik poprawił mankiet. – Cóż, droga przed nami daleka, trzeba nam, jak słyszałem, aż gdzieś pod Ujazd, a warto by zdążyć tam przed zachodem. Proponuję ruszać, Reinmarze. Jeśli jesteś gotów.

– Jestem gotów. – Reynevan wstał. – Żegnaj, Biedrzych.

– Co znaczy – zmarszczył brew kaznodzieja – żegnaj?

– Chciałem powiedzieć: Bywaj.

●

– Reynevan?

– To ja.

– Ha. Cóż za traf. Właśnie o tobie myślałem.

Szarlej prezentował się wojacko i zawadiacko. Na skórzanym kaftanie nosił pancerz kolczy, tak zwaną „pelerynkę biskupią”, na piersi żelazne *colnerium*, oba przedramiona chroniły mu myszki, czyli zarękawia. U lewego boku miał falcjon, u prawego sztylet, za szerokim pasem sześciopióry buzdygan. Nie golił się od paru dni; gdy ściskał Reynevana, jego policzek kłuł jak jeż.

– Myślałem o tobie – odsunął Reynevana na długość ramion. – A wiesz ty, co myślałem? Że ponad wszelką wątpliwość okażesz się patentowanym durniem. Że ledwo co podniósłszy się z choroby porzucisz spokojną i zaciszną aptekę „Pod Archaniołem”, w której cię

zostawiłem. Że jak ostatni głupek wsiądziesz na konia i przyjedziesz tu. Kiedyś ty tak naprawdę wstał z łóżka?

– Tydzień po Zapustach.

– Toś jest rekonwalescent. Tobie odpoczywać, spokojnie wracać do sił, nie na wojnę. Na wojnę, wśród której w twoim stanie jesteś zagubiony jak bździna wśród wichury. Tyś wciąż nie doszedł do siebie, chłopcze. Śmierć Jutty omal cię nie zabiła, śmierć Samsona omal nie dobiła. Mnie też nie było lekko, choć skórę mam dużo grubszą. Ale ty... Po coś ty tu przyjechał? Zwerbować mnie do zemsty na Grellenorcie?

– Zemsta życia Jutcie nie przywróci. Zostawiam ją Bogu.

– Po co więc przyjechałeś? By walczyć za ideę? Za nowy lepszy świat? By polec zań? Skończyć zań na dyzenterię w lazarecie? Tego chcesz?

– Już nie – spuścił głowę Reynevan. – Początkowo, owszem. Ale potem mi wychłódło. Przemyślałem różne sprawy. Przybyłem tu, na rejzę, tylko w jednym celu: pożegnać się z tobą. Pozdrowić cię, uścisnąć, podziękować za wszystko. Ostatni raz. Szarleju, ja odchodzę.

Demeryt nie odpowiedział. I nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Wręcz wyglądało, jakby takiej właśnie deklaracji oczekiwał.

– Mam dość – przerwał milczenie Reynevan. – Całkiem dość. Wiesz, co powiedział mi Samson, wtedy, w lutym, pod murami Chebu? Kiedy zdecydował się porzucić nas i wrócić do Markety? Posłużył się słowami proroka Izajasza. Oczekiwaliśmy światła, powiedział, a oto ciemność, jasnych promieni, a kroczymy w mrokach.

– Przez całe minione dwa miesiące myślałem o jego słowach. O tym, że tak właśnie jest ze mną. Że jak niewidomy macam ścianę i jakby bez oczu idę po omacku. Że w samo południe potykam się jak w nocy. I że jestem jak umarły.

– W drodze spotkałem księdza, ten przypomniał mi inne jeszcze słowa Pisma, słowa Ewangelii Janowej. *Ego sum lux mundi, qui sequitur me non ambulabit in tenebris sed habebit lucem vitae*. Dość mam błądzenia wśród cieni, idę po światło życia. Krótko: wyrzekam się świata, bo bez Jutty nic mi po tym świecie. Jadę daleko, jak najdalej od Czech, Łużyc, Śląska, bo tu wszystko mi o niej przypomina...

Umilkł pod spojrzeniem demeryta. A patos nagle jakby wiatrem zwiało.

– Nie pomogła mi gorzałka – wykrztusił. – Nie pomógł burdel. Nie mogę spać, nie mogę zasnąć. A ledwo zasnę, budzę się na mokrej

poduszce, zalany łzami jak dzieciak. Gdy się golę, mydło schnie mi na gębie, a ja z brzytwą w ręce gapię się na żyły na nadgarstku. Można tak żyć?

– Wstępuję do klasztoru, Szarleju. By pojednać się ze Stwórcą. Powiedz coś.

– A co tu – Szarlej spojrzał nań bystro – jest do powiedzenia? Umiem rozpoznać głęboki kryzys osobowości, gdy dostrzegę takowy ukryty w krzakach. Odwodzić cię od idei nie myślę, ba, z czysto pragmatycznego punktu widzenia powiem, że rozsądnie czynisz. W twoim stanie ducha i umysłu niebezpieczne jest paranie się wojaczką, która wymaga koncentracji, chłodnej głowy i stuprocentowego przekonania o słuszności popełnianych czynów i uczynków. Do diabła, jestem twoim przyjacielem, z dwojga złego wolę cię widzieć w mniszym habicie niż we wspólnej mogile.

– Popierasz więc.

– Nie. Powiedziałem: z dwojga złego. Ale zanim odejdziesz i złożysz śluby zakonne, mam prośbę. To ostatnia rzecz, jaką zrobimy razem. Wspomóż mnie w sprawie z tym elegancikiem od Fuggerów. Dobrze?

– Dobrze, Szarleju.

●

– Pomińmy niepotrzebne wstępy – pominął niepotrzebne wstępy Szarlej. – Przejdźmy od razu do rzeczy. Wiem, mości panie, kim jesteście. Bo to ja łońskiego roku niszczyłem ogniem saksońskie kopalnie i huty. Te wskazane przez was.

– Ułatwi nam to porozumienie. – Urzędnik Fuggerów wytrzymał spojrzenie. – Albowiem interes, z którym dziś przybywam, jest identyczny z tym saksońskim. I podobnie lukratywny. Zniszczycie wskazany obiekt i będzie z tego dla was *lucrum*.

– Tylko tyle? – skrzywił wargi demeryt. – Taka drobnostka? A dlaczegoż to zwracasz się waść z tym do mnie, a nie do Kromieszyna? Nie do Puchały, Korybutowicza lub Wołoszka?

– Dlatego – niedbale wpadł w słowo Reynevan – że Korybutowicz lub Wołoszek mogliby mieć o ów obiekt pretensje. Mogliby rościć sobie coś doń Polacy, którzy lada dzień wkroczą na Śląsk. Albowiem, jak mniemam, obiekt leży na ziemiach, które już zawczasu podzielono. Które już komuś przypadły.

Urzędnik i tym razem nie spuścił wzroku. Nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko.

– Jasne – rzekł Szarlej – jak te słońce. Co to dla mnie. Jeden pożar więcej, jeden mniej. O co chodzi?

– O kopalnię błyszczu, inaczej galeny, rudy służącej do wytopu ołowiu. Kopalnia nazywa się Bleiberg, znajduje się na południowym przedmieściu Bytomia.

– Słusznie podejrzewałeś. – Demeryt spojrzał na Reynevana. – Włość Konrada Białego. Której dopomina się Wołoszek. I którą pewnie wolałby zagarnąć razem z czynnymi kopalniami.

– Kopalnia w Bleibergu – urzędnik Fuggerów poprawił mankiety wamsu – nie jest czynna. Nie wydobywa się już w niej galeny, a to z powodu zalewających chodniki wód podskórnych. Nad usunięciem wody z szybów pracują tam właśnie specjalnie sprowadzeni Flamandowie, fachmani od takich rzeczy. Przepędzicie ich, spalicie wiatraki i zrujnujecie urządzenia wypompowujące.

– A kopalnię – dokończył Szarlej – woda wtedy zaleje dokumentnie. I nie będzie już czynna nigdy. To wszystko?

– Nie – zaprzeczył urzędnik. – Jest jeszcze drugi obiekt. Wieś Rudki nad Kłodnicą. Na jej zachodnim krańcu jest *officina ferraria*. Kuźnica żelaza, fryszerka i wapiennik. Spalicie to wszystko. Do gołej ziemi.

– Żeby dostać się do wymienionych miejscowości – zauważył Szarlej – konieczny jest daleki rajd, głęboko na teren wroga, przez ich pozycje i podjazdy. To duże ryzyko. Bardzo duże.

– Zostało wkalkulowane w przyrzeczone *lucrum*. I mniemam, że proporcjonalnie.

– A to się okaże. Gdy określicie kwotę.

– Nie w kwocie rzecz.

– Ha. W czym tedy?

– *Lucrum*, o którym mowa, podróżuje czarnym furgonem. Kto wie, czy nie tym samym, co wówczas.

– Zechciejcie powtórzyć.

– Pieniądze – urzędnik Kompanii Fuggerów splótł ramiona na piersi – należą do osoby, która wówczas, we wrześniu roku 1425, zleciła napad na kolektora i grabież ściągniętego podatku. Ten sam czarny furgon, który wtedy sprzątnięto wam sprzed nosa, teraz wiezie skarb do Otmuchowa, twierdzy, której mury mają zagwarantować

bezpieczeństwo i ustrzec przed rabunkiem. Ja wiem, którędy furgon zmierza, wiem, że ma dla niepoznaki nieliczną eskortę. Co ty na to, mości Szarleju? Nie byłabyż to piękna okazja do rewanżu? Nie byłabyż to sprawiedliwość dziejowa i moralna rekuperacja, obrabowanie rabusia z tego, co zrabował? Jeśli podejmiecie się wykonania zleconych zadań, furgon będzie wasz, wydam go w wasze ręce, przejmiecie go, nim dotrze do celu. Decydować trzeba szybko. Coś mi jednak mówi, że wiem, jak zdecydujesz.

●

Dzwony Bytomia biły na trwogę. Budynki kopalni Bleiberg płonęły, dym całkiem przesłaniał niebo. Ogień pożerał szopy, płonący wiatrak odwadniający zawalił się w eksplozji iskier. Wśród pożaru migali jeźdźcy, niszcząc i podpalając, co się dało. Podpalacze, oddział dywersyjno-szturmowy Szarleja, doborowi polscy i morawscy jeźdźcy.

Co ja tu robię, myślał Reynevan. Co ja tu robię?

Dzwony biły, ogień szalał, kopalnia ginęła w pożarze. Reynevan i urzędnik Kompanii Fuggerów przyglądali się ze skraju lasu na zboczu wzgórza.

– Bytom – pokiwał głową Reynevan – przez tę stratę zupełnie podupadnie.

– O to – urzędnik spojrzał nań jakby zdziwiony – wszak właśnie chodzi. Żeby podupadł.

– Do kogo należały szachty?

– A cóż ci po tej wiedzy? Jedźmy. Nie ma co tu stać.

– Jedźmy. – Reynevan obrócił się w siodle. – Jedźmy, Samso...

Zmartwiał, głos zamarł mu w krtani. Nie było obok ogromnego jeźdźca na wielkim koniu, a gotów był przysiąc, że był, że stał po jego prawicy jeszcze przed momentem. Nie było jednak nikogo.

– Coś mówiłeś? – zagadnął urzędnik. – Reinmarze?

– Jedźmy.

●

Pojechali lasami, z biegiem rzeczki Kłodnicy, lewym brzegiem. W dziesięć koni, Reynevan, urzędnik i czterech jego pachołków, czterech zbrojnych Podpalaczy eskorty. Około południa dostrzegli wielką chmurę

dymu, wznoszącą się nad ścianą boru na północy, w odległości mniej więcej pół mili.

– To Szarlej – odgadł bez trudu Reynevan. – Drugi obiekt. Owa *officina ferraria*. W miejscowości Rudki, o ile pamiętam. Duży dym, a więc i huta niemała. Do kogo należała? Ach, prawda, zapomniałem. Nic mi po tej wiedzy.

– Należała do nas. Do Fuggerów.

– Że jak?

– To huta Fuggerów – wzruszył ramionami urzędnik. – Szarlej właśnie podpalił własność Kompanii. Zniszczenia wojenne, Reinmarze, dotykają wszystkich, wszyscy ponoszą straty. Byłoby podejrzane, gdyby Fuggerowie byli wyjątkiem. Hutę mieliśmy zresztą i tak zamknąć, była nierentowna. Dziwnie wyglądasz, Reinmarze. Jakbyś oniemiał. Interesujące. Podobno parasz się wojną już bite pięć lat. I wciąż są jeszcze rzeczy będące w stanie cię zaskoczyć?

– Wciąż jeszcze są. Ale coraz ich mniej.

●

– Czemu przypisać – zaryzykował pytanie Reynevan – fakt, że jesteś tu własną osobą? W lasach pełnych wilków i bandytów, wśród wojny i dymów pożarów? Wystawiony na ryzyko, na trudy i niewygody? Opuściłeś twój luksusowy kantor, wstałeś zza biurka, zza którego zwykłeś trząść światem. Dlaczego?

– Za biurkiem – odrzekł po chwili urzędnik – traci się kontakt z prawdziwym życiem. Zza dokumentów przestaje się widzieć realny świat, zza faktur, weksli i akredytyw przestaje się dostrzegać żywego człowieka. Nabiera się rutyny, a rutyna to rzecz zgubna. Nadto, dobrze jest się od czasu do czasu podniecić. Zakosztować przygody i smaku ryzyka. Poczuć, jak krew żywiej krąży w żyłach. Poczuć, jak...

Nie dokończył. Z zagajnika wypadli na nich konni. Niektórzy nosili białe płaszcze. Z czarnymi krzyżami.

Reynevan ledwie zdążył nakręcić windę kuszy, strzelił nie celując, bełt przeszył szyję pędzącego nań konia, koń stanął dęba i runął wraz z jeźdźcem. Inni wpadli na nich, zaczęli rąbać. Obok zakolebał się w siodle cięty mieczem Podpalacz, Reynevan zdążył chwycić jego topór, z rozmachem walnął nim po hełmie jednego z napastników, poprawił, nim konie ich rozdzieliły, widział, jak spod wgniecionego hundsgugla

sika krew. W tejże chwili jemu samemu krew obryzgała twarz, jeźdźcy w białych płaszczach z krzyżami bez litości siekli broniących się niemrawo fuggerowskich pachołków. Rąbani Podpalacze jeden po drugim walili się z siodeł na ziemię.

– Żywcem! – krzyknął rycerz w szmelcowanej zbroi, najwyraźniej dowódca. – Żywcem brać!

Urzędnika Fuggerów ściągnięto z konia na ziemię. Na Reynevana skoczyło dwóch, jeden wyszarpnął mu topór. Drugi, młodzik z szeroko otwartymi oczami, usiłował strącić go z kulbaki głowicą miecza. Reynevan wyłuskał mu broń, chwycił oburącz, za jelec i klingę, uderzył pod naramiennik, czuł, jak ostrze przenika oczka kolczugi. Młodzik zakrzyczał, skulił się. Reynevan spiął konia, ale było za późno. Otoczyli go ze wszech stron, schwytali. Jeden z Krzyżaków, nie bacząc na rozkaz brania żywcem, zamierzył się do pchnięcia w gardło. Ale nie pchnął. Nie zdążył.

Rozległ się wrzask, ziemia zadygotała pod kopytami. Na polanę w dzikim cwale wpadli jeźdźcy. Czarni od sadzy Podpalacze, na ich czele Szarlej ze wzniesionym falcjonem.

Raz-dwa było po bitce. Nim zdążyłbyś wymówić *Christe redemptor omnium*, ostatni z Krzyżaków rył piasek ostrogami w przedśmiertnych skurczach. Inni, ranni, zdali się na łaskę i niełaskę.

– Zdaję się na łaskę – powiedział butnie rycerz w szmelcowanej zbroi, gdy przyprowadzono go przed Szarleja. – Jestem Magnus de Meurs, gość Zakonu Marii Panny. Dam okup...

Szarlej wykonał krótki gest. Jeden z Podpalaczy zamachnął się i grzmotnął rycerza obuchem topora. Głowa pękła jak dynia, na trzy kawałki, każdy poleciał w inną stronę. Słusznie potraktowawszy to jako wskazówkę, Podpalacze wzięli się rżnąć pozostałych jeńców.

Reynevan klęczał obok młodzika, tego, którego pchnął. Czarem Alkmeny zatamował krwotok, zaklęcie poskutkowało natychmiast; ostrze cudem jakimś ominęło ważne elementy układu naczyniowego, nie była uszkodzona ani arteria *axillaris*, ani arteria *brachialis*. Reynevan skoncentrował się, zaklęciem zasklepił żyłę pachową. Młodzik pojękiwał, blady jak płótno.

– Odsuńcie się, panie – rzekł, stając nad nimi, któryś z Podpalaczy. – Bym was niechcąc nie skaleczył, gdy go będę dobijał.

– Precz.

– Nie powinien zostać ani jeden świadek – powiedział urzędnik Fuggerów. – Ani jeden. Nie bądź niemądry, Reinmarze. Powściągnij samarytańskie zapędy, nie miejsce i nie czas na nie.

Reynevan zerwał się jak pchnięty sprężyną i trzasnął go pięścią. Urzędnik upadł na wznak niczym kłoda, z błędnym wzrokiem macał dokoła rękami.

– Niech ci to poprawi smak przygody – powiedział Reynevan, drżąc ze złości. – I niech ci krew żywiej zakrąży. A wy precz. Leczę tu, a wy zasłaniacie mi światło.

– Słyszeliście, co rzekł – pouczył Podpalaczy Szarlej, głosem wielce wymownym i złowróżbnym. – Precz od niego. A wy, panie urzędnik, wstańcie i pozwólcie na stronę. Mamy do pogadania. Zlecenia wykonałem, pora się zrewanżować. Jesteście mi winni pewną informację.

Reynevan odwrócił się, zabrał za szycie i zakładanie opatrunku. Ranny młodzik dygotał, pojękiwał, kurczowo zaciskał powieki.

Jęczał tak przejmująco, że Reynevan zdecydował się znieczulić go kolejnym zaklęciem. Tak silnym, że chłopiec przewrócił oczami i obmiękł.

●

Polana opustoszała, Podpalacze odjechali w las. Wtedy wrócił Szarlej. Sam.

– Twoja zapalczywość – powiedział zimno – mogła mnie drogo kosztować. Kto to widział, żeby tak od razu w zęby. Szczęściem nasz Fugger to człowiek interesu, prawdziwy profesjonał. Do tego zdaje się mieć do ciebie słabość.

– Krótko mówiąc – Reynevan wstał, wytarł płótnem ręce – człowiek interesu wydał ci konwój z czarnym furgonem. A gdyby nie wydał, to też wszak straty byś nie poniósł. Nie zarobiłbyś, ale nie stracił. Nie wyjeżdżaj mi tu więc z kosztami.

– Nie rozumiesz, przyjacielu. – Szarlej splótł ręce na piersi. – Nie wiesz wszystkiego. I może i dobrze, zważywszy, iż zamierzasz oblec mniszy habit. Co z rannym? Żyje? Ducha wypuścił? Dogorywa?

– Umrze, jeśli go tu zostawić.

– A ty, już prawie braciszek, takim grzechem sumienia nie obarczysz – odgadł Szarlej. – Dowieziesz go więc do swojaków. A oni cię powieszą.

Mają wszak w swych szeregach prawdziwych specjalistów od wieszania jeńców, przybyłych wprost z Malborka.

Zbliżył się, stanął nad rannym. Młodzik skurczył się ze strachu.

– Ktoś ty? Jak się zwiesz?

– Parsifal... – wyjęczał młodzik. – Parsifal... von Rachenau...

– Skąd się tu wzięliście? Gdzie stoją oleśnickie wojska? Jak są liczne? Ilu zbrojnych przysłał wam z pomocą Zakon Panny Marii?

– Zostaw go w spokoju, Szarleju.

– Słuchaj, nomen omen Parsifalu. – Szarlej pochylił się nad rannym. – Czuwał dziś nad tobą twój patron, święty Parsifal, czuwał cały święty Okrągły Stół, czuwali święci Jerzy i Maurycy. Jeśli ocalejesz, zapal w kościele parę świec i poproś ojca, by dał na parę mszy. Spotkało cię dziś wielkie szczęście, trafiła się wielka gratka, większa, niżbyś znalazł Graala. Trafiłeś na obecnego tu medyka. Gdyby nie on, miałbyś już gębę i oczy pełne pachnącej wiosennej gleby. Pamiętaj o medyku, Parsifalu. I zmów zań czasem paciorek. Zmówisz?

– Tak, panie...

●

Wspólnymi siłami, pchając i ciągnąc, umieścili rannego na siodle, Parsifal von Rachenau stękał przy tym i jęczał jak potępieniec.

Potem Szarlej wziął Reynevana na stronę.

– Od pomysłu – zaczął Szarlej – nie odwiodę cię, podejrzewam. Zapytam więc tylko dla porządku: Nie odłożysz zamiarów? Na termin późniejszy? By wpierw wespół ze mną ograbić czarny furgon?

– Nie.

– Dobrze rozważ. Typ od Fuggerów zdradził mi, na co można liczyć w furgonie. Nie musiałbyś rozglądać się za cudzymi klasztorami. Ufundowałbyś własny i został w nim przeorem. Nie kusi cię to?

– Nie.

– Trudno. Ruszaj zatem. Wskazówka pierwsza: wojska książąt oleśnickich leżą najpewniej na rubieży Pyskowice-Toszek, ale podjazdy będą już w okolicy spalonych Rudek, kierują się na dymy. Tam zawieź Parsifala i postaraj się nie dać złapać.

– Postaram się.

– Wskazówka druga: kieruj się na wschód, ku polskiej granicy, przekrocz Przemszę jak możesz najszybciej. W Polsce będziesz

bezpieczniejszy niż na Śląsku.

– Wiem.

– Wskazówka trzecia, tycząca twej przyszłej mniszej kariery. Jeśli naprawdę zdecydujesz się na rzecz tak radykalną, zwróć uwagę na jej praktyczny aspekt. Klasztory, konwenty i zakony nie są bynajmniej otwartymi na oścież przytułkami dla łazików i przybłędów, ani tym bardziej azylami dla przestępców i ściganych prawem wywołańców. Inaczej każdy zbój Madej wykpiwałby się od kary przemieniając w brata Madeusza i drwiłby ze sprawiedliwości za klasztorną furtą. Z własnej praktyki powiem ci, przyjacielu, że dostać się za furtę jest o niebo trudniej, niż się zza niej wydostać. Krótko mówiąc, bez koneksji ani rusz.

– Do czego zmierzasz?

– Ja otóż – oświadczył spokojnie Szarlej – mam, jeśli cię to interesuje, pewne koneksje. W Polsce. Dziesięć mil za Wieluniem...

– Wieluń – pokręcił głową Reynevan – to nieco za blisko.

– Za blisko? Co cię więc urządza? Może Drohiczyn? Albo Witebsk? Bo dalej to już tylko *Ultima Thule*. Ale tam to ja koneksji nie mam. Nie grymaś, Reynevan. Posłuchaj: Dziesięć mil za Wieluniem, nad Wartą, leży Sieradz, starodawny gród szczepu lechickiego Sieradzan, obecnie stołeczne miasto województwa. Jest tam klasztor bożogrobców, nazywanych w Polsce miechowitami. Tak się składa, że od roku 1418 mam świetne stosunki z tamtejszym proboszczem, przełożeni klasztorów filialnych zwą się u miechowitów proboszczami, a klasztory probostwami. Proboszcz w Sieradzu nazywa się Wojciech Dunin. W roku 1418 nazywał się Adalbert Dohnin i nie był jeszcze proboszczem. A dzięki mnie, mówiąc krótko, może się wciąż radować życiem. Ma więc pewien dług...

– Mów wprost. Chodzi o wrocławską rewoltę osiemnastego lipca roku osiemnastego.

– Powiem wprost – zmrużył oczy Szarlej. – Tak. Chodzi. Lata minęły, a ciągnie się za mną ta rzecz. I pociągnie, jeśli zważyć, że wie o tym Kompania Fuggerów.

– Cholera. To dlatego mówiłeś o kosztach?

– Dlatego. Mają mnie w ręku i tym samym pewni są mojej dyskrecji. Bądź i ty dyskretny, Reinmarze.

– Ma się rozumieć. Bądź spokojny.

– Za parę dni – uśmiechnął się Szarlej – będę miał czarny furgon. I wiezione w nim pieniądze, którymi rozumnie rozporządzę. Kupię sobie spokój i pełne grzechów odpuszczenie. Kupię sobie urzędników i licznych wpływowych znajomych. Ty jednak nic nikomu nie mów, nawet proboszczowi Duninowi w Wieluniu, gdy będziesz się na mnie powoływał. A gdy się powołasz, przyjmą cię tam i pozwolą złożyć śluby. Cicho tam w tym Sieradzu i spokojnie, mają szpital, więc rzecz dla cię jak wymarzona. Mnie, mówiąc otwarcie, też lżej byłoby na duszy i spokojniej w sercu, gdybym wiedział, że tam jesteś. Że jesteś bezpieczny i że nie tułasz się po świecie. Zrób to dla mnie, przyjacielu. Za Przemszą skręć na północ. Jedź do Sieradza.

– Rzecz przemyślę – rzekł Reynevan. Przemyślawszy już, zdecydowawszy i będąc zupełnie przekonanym o słuszności podjętej decyzji.

– Zatem... A więc... – Demeryt wzruszył ramionami, odchrząknął. – Psiakrew, nie mogę stać i patrzeć, jak... Więc to ja się pożegnam, ja obrócę konia, kolnę go ostrogą i odjadę. Nie oglądając się. A ty zrobisz, co zechcesz. I kiedy zechcesz. Bywaj. *Vale et da pacem, Domine.*

– Bywaj – odrzekł po chwili Reynevan.

Szarlej nie obejrzał się.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym mowa jest o symbolu i jego niezwykłej wadze. W którym Reynevan, dopuściwszy się zła, usiłuje naprawić swój błąd i krwią zmyć winę. A Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, odmienia bieg historii. Czyniąc to *ad maiorem Dei gloriam*.

Oto nadchodzi śmierć, myślał Parsifal Rachenau, na próżno usiłując opanować ogarniające go zimno, bezwład i senność. Umrę. Pożegnam się z życiem tu, w tych dzikich lasach, bez księdza, bez sakramentu i nawet bez pochówku, a gdzie bieleją me kości, nie będą wiedzieć ni ojciec, ni mać. Czy uroni po mnie choć łzę jedną piękna Ofka von Baruth? Czy wspomni tęsknie? Ach, jakiż ze mnie osioł, żem nie wyznał jej miłości! Żem się do nóg nie rzucił...

A teraz już za późno. Śmierć nadchodzi. Już więcej Ofki nie zobaczę...

Koń rzucił łbem, Parsifal zakolebał się w siodle, ból targnął nim i oprzytomnił. Cuchnie dymem, pomyślał. I pogorzeliskiem.

Coś tu się paliło...

– Za lasem już Rudki – odezwał się głos obok. Jeździec, do którego głos należał, rozpływał się w zgorączkowanych oczach Parsifala w kształt ciemny, niewyraźny i demoniczny.

– Tam już powinieneś trafić na swoich. Trzymaj się duktu i nie spadnij z siodła. Z Bogiem, chłopcze.

To ten cyrulik, skojarzył Parsifal, najwyższym wysiłkiem powstrzymując opadanie powiek. Medyk o dziwnie znajomych rysach. Ocalił mnie i opatrzył... A gadali, że wyznawcy Husa są gorsi od Saracenów, że nie znają litości i mordują bez miłosierdzia...

– Panie... Wdzięcznym... Dzięki...

– Bogu dziękuj. I zmów czasem modlitwę. Za zagubioną duszę grzesznika.

●

Śpiewało ptactwo, kumkały żaby, sunęły niebem obłoczki, wiła się wśród łęgów Przemsza. Reynevan odetchnął.

Przedwcześnie.

●

Przed smolarnią stało osiem koni, w tym jeden piękny karosz i jeden wyjątkowo piękny szymel. Ze strzechy unosiła się strużka dymu. Reynevan natychmiast obrócił wierzchowca. Tych osiem koni nie należało do smolarza ani też z pewnością do kmieci, przy siodłach wisiały topory, czekany i maczugi, właścicielami byli ludzie wojenni. Zamierzał oddalić się cichcem, zanim zostanie przez nich dostrzeżony. Ale było za późno.

Ze stodółki wyszedł typ w brygantynie, niosąc naręcze siana. Na widok Reynevana rzucił siano, krzyknął. Ze stodółki wypadł drugi, podobny jak bliźniak, obaj skoczyli na niego, wrzeszcząc. Reynevan porwał za wiszącą u siodła kuszę, chwycił za korbę windy, zakręcił. Zębatka zazgrzytała upiornie, coś chrupnęło, korba się urwała, a lewar pękł. Pękła jego wierna kusza, wykonana w Norymberdze, przemycona z Polski do Czech, kupiona przez Szarleja za cztery węgierskie dukaty. To koniec, przemknęło mu przez głowę, gdy spinał konia, koniec, pomyślał, gdy ściągali go z siodła. Koniec, pewien był, przygnieciony do ziemi, widząc błysk krzywego szewskiego noża.

– Hola! Hola! Ostawcie! Puśćcie go! To swój! Znajomek!

To być nie może, pomyślał Reynevan, leżąc bez ruchu i gapiąc się w niebo. To się w życiu nie zdarza. Takie rzeczy zdarzają się tylko w rycerskich romansach. I to nie we wszystkich.

– Reynevan? Całyś?

– Jan Kuropatwa? Z Łańcuchowa? Herbu Szreniawa?

– Jam jest. Oj, Reynevan, źle wyglądasz. Ledwo ja ciebie poznał.

●

Byli w kompanii i inni znajomi. Jakub Nadobny, Jan Tłuczymost, Litwin Skirmunt. I herszt całej gromadki, ruski watażka, dobrze zapamiętany kniaź Fedor z Ostroga. Wiercący Reynevana złowrogo przenikliwym spojrzeniem czarnych oczek.

– Szczo ty – odezwał się wreszcie kniaź – tak oczami od gęby do gęby biehajesz? Patrzysz bojara Daniłki, tego, coś go na Odrach nożem chlasnął? Próżno patrzysz. Ubili jego Słowacy nad Wagiem. *Herrgott*, szczęście to twoje, bo on pamiętliw był. A ja nie pamiętliw. Choć ty wtedy w Odrach nakiepścił, okrutnie nakiepścił, ja ci po chrześcijańsku

odpuszczam. Puszczam wolno, nie zadzierżę. A wpierw wypijem na zgodę. Dawaj miodu, Mikoszka.

– Nu, tak za zdrowie!

– Za zdrowie!

– A tobie, Reynevan – otarł wąsy Kuropatwa – tak szczególnie to dokąd droga? Pytam, bo może z nami pojedziesz?

– Ja na północ. – Reynevan wolał nie być zbyt szczery.

Polak nie dał się zbyć.

– Dokądś konkretnie?

– Wieluń.

– Ha! Tak przecie i my w tamte strony. Jedź z nami, w *comitivie* raźniej. I bezpieczniej. Co, Fedko? Weźmiem go?

– Mnie zajedno. Chce, puskaj jedzie. Za zdrowie!

– Za zdrowie!

●

Jechali na północ, zieloną doliną Przemszy.

Prowadził kniaź Fedor Fedorowicz Ostrogski z Ostroga, starościc łucki. Za nim jechał na pięknym szymelu Jan Kuropatwa z Łańcuchowa herbu Szreniawa. Za nim Jakub Nadobny z Rogowa herbu Działosza. Pochodzący skądsiś z Wielkopolski Jan Tłuczymost herbu Bończa. Jerzy Skirmunt, Litwin z rodu całkiem świeżo zaszczyconego przyjęciem do herbu polskiego Odrowąż. Achacy Pełka herbu Janina, na tyle niepewnego, by być drwiąco przekręcanym na „Słoninę". Bracia Melchior i Mikoszka Kondziołowie herbu wątpliwego, takiegoż rodu i takiejż ewidentnie konduity.

Stan psychiczny Reynevana sprawiał, że było mu absolutnie wszystko jedno, mało co go obchodziło. Pewnego zdziwienia na widok Ostrogskiego doznał jednak. Zasłyszał plotki i pogłoski, według których kniaź po raz któryś z rzędu zdradził husytów i zaoferował swe usługi królowi Zygmuntowi Luksemburskiemu; miało to miejsce przed rokiem, czyli krótko po owym burzliwym spotkaniu w Odrach, kiedy to przyszło do noży. Fama głosiła, że Luksemburczyk wziął Fedka za prowokatora i kazał go uwięzić wraz z całą towarzyszącą kompanią. Ba, mówiono nawet o egzekucji na rynku w Pożoniu, objawili się nawet naoczni świadkowie, opisujący kaźń w malowniczych szczegółach. I oto ku zdziwieniu Reynevana straceni jechali sobie całkiem niefrasobliwie

zieloną doliną Przemszy. W innej sytuacji Reynevan może by i powziął podejrzenia, może zastanowiłby się dwa razy przed przyłączeniem do podejrzanej grupy. Ale sytuacja nie była inna. Była taka, jaka była.

Na zachodzie, z okolic Gliwic i Bytomia, wzbijały się w niebo czarne słupy dymów. W mijanych wioskach nie znać było jednak paniki, na duktach nie widziało się uchodźców. Ludność darzyła widać zaufaniem swych książąt, Konrada Białego i Kazimierza z Oświęcimia, ufała, że obronią ich życie i dobytek, na tę wszak okoliczność wyduszali z nich daniny. Niezależnie od swych faktycznych planów w tym względzie, książęta robili dobre wrażenie. Im dalej na północ, tym bardziej zauważalna była wojskowa prezencja. Co i rusz dolatywało skądsiś harde granie rogów, kilkakrotnie dostrzegali na horyzoncie zbrojne poczty, cwałujące z rozwiniętymi proporcami. Kawalkada Fedka z Ostroga trzymała się mało uczęszczanych dróg i duktów, dzięki czemu przez dwa dni podróży nie wpakowali się na żaden oddział wojska ani podjazd. Niebezpieczeństwo takie cały czas jednak istniało. Reynevan, mimo rezygnacji, doznawał niepokoju. Schwytani przez żołdaków mogli zawisnąć na pierwszej z brzegu gałęzi, a pożegnanie padołu tym konkretnie sposobem wcale mu się nie uśmiechało.

Kniaziowa kompania niebezpieczeństwem zdawała się gardzić. Ostrogski i jego kamraci wiedli konie w tempie leniwego stępa, ziewając lub zabijając nudę głupawymi gadkami.

– Baczcie, kompanija! – Jakub Nadobny odwrócił się w siodle. – Toć my jak żywcem z legendy wyjęci jedziem. Bracia Słowianie! Lech, Rus i Czech!

– Lech, Rus i Niemiaszek – wykrzywił się Fedko Ostrogski. – Gdzie ty tu Czecha baczysz?

– Reynevan – rzekł Tłuczymost – z Czechami trzyma. I po czesku gada.

– Fedko – powiedział z tyłu Skirmunt – ruga się po madziarsku, a przecie nie Madziar. A Reynevan nie Niemiec jest, lecz Ślązak.

– Ślązak. – Fedko splunął. – Znaczy, ni to, ni sio. Z przewagą Niemca.

– A ty sam – spytał Reynevana Kuropatwa – za kogo się masz?

– A wam – wzruszył ramionami Reynevan – co za różnica?

– Żadna – zgodził się Kuropatwa.

– No – ucieszył się Nadobny. – Toć mówiłem, jak z legendy wzięci. Lech, Rus i żadna różnica.

●

– Ty, Nadobny, jak to było z twoim bratem Hińczą? Prawdziwie królową Sonkę chędożył?

– Nieprawda – obruszył się Nadobny. – Łeż i oszczerstwo! Niewinnie go Jagiełło w Chęcinach kazał więzić. Dlategom za Korybutowiczem do Czech poszedł, królowi na przekór. Za to, co Hińczy niesprawiedliwie uczynił, gnojąc na dnie jamy jak psa.

– Nie breszesz? Bo gadali, że Hińcza na Wawelu chędożył.

– Chędożył – przyznał Nadobny. – Ale nie królową, lecz jej dwórkę. Szczukowską.

– Którą? – zainteresował się bywały widać Kuropatwa. – Kaśkę czy Eliszkę?

– Jak tak dobrze pomyślę – pomyślał Nadobny – to chyba obydwie.

●

Nazajutrz dotarli pod Lubliniec, mieścinę położoną przy drodze z Siewierza do Olesna, szlaku ważnym dla wymiany handlowej Śląska z Małopolską. Kompania zacierała ręce i głośno radowała się myślą o lublinieckich karczmach i warzonym tu piwie, ku ogólnemu jednakowoż rozczarowaniu Fedor Ostrogski nakazał im zatrzymać się na popas z dala od zabudowań i surowo zabronił się ujawniać. Sam, w asyście jedynie Jana Kuropatwy, udał się do miasteczka. Pod wieczór, gdy ciemność zapadła. Obiecując powrót o świcie.

Początkowo sprawa mało Reynevana bulwersowała. Kniaź Ostrogski był w końcu watażką, awanturnikiem i najemnikiem na coraz to innym żołdzie, zamieszanym w rozliczne afery i sprawki takie, które należało załatwiać tajnie, skrycie i po ciemku. Po jakimś czasie ciekawość wzięła jednak górę, zwłaszcza że i sposobność się znalazła. Kompania bowiem kniaziowe zakazy olała. Pozostawiwszy na straży obozu Skirmunta i Reynevana, wyruszono w kierunku pobliskich wiosek na poszukiwania alkoholu, jadła i ewentualnie seksu. Gdy Skirmunt się pospał, Reynevan wsiadł na konia i cichcem ruszył do Lublińca.

Po pogrążonej w ciemnościach mieścinie snuł się dym, szczekały psy, ryczały woły. Jedynym zaś oświetlonym – i to rzęsiście – budynkiem był nakryty trzcinową strzechą kompleks karczmy, mimo późnej pory hałaśliwy, gwarny i pełen kręcących się ludzi. Reynevan szybko dość

wypatrzył rzucającego się w oczy szymela Kuropatwy i karosza Ostrogskiego przy nim. Kryjąc się w mroku, miał zamiar zbliżyć się, gdy wtem pod karczmę zajechał z tętentem i brzękiem liczny dość orszak, eskortujący kolebę. Na podwórze wyległa czeladź z pochodniami, w krąg rzucanego przez łuczywa światła wstąpił, wysiadłszy z koleby, bogato odziany, postawny, czerstwo i rycersko wyglądający mężczyzna. Na stopnie karczmy, aby go powitać, wyszedł mężczyzna w obszytej sobolami szubie, nieco młodszy, wzrostu i postawy równie rycerskiej, lekko pucołowaty. Reynevan westchnął. Znał obu.

Gościem był Konrad, biskup Wrocławia. Witającym Zbigniew Oleśnicki, biskup Krakowa.

Biskupi, wymieniwszy pozdrowienia, weszli do środka. Zbrojni i pachołcy z pochodniami obstawili budynek szczelnym kordonem, strzelcy konni ruszyli patrolować okolicę. Reynevan, głaszcząc konia po chrapach, wycofał się w mrok. Należało wracać. O tym, by podkraść się i podsłuchać, o czym dostojnicy będą rozmawiać, nie było nawet co marzyć.

●

– Polskie mrzonki – powiedział biskup wrocławski. – Polskie mrzonki o Śląsku. Nareszcie wylazło szydło z wora. Heretycy, apostaci i sprzymierzeni z nimi polscy odszczepieńcy splądrowali księstwo raciborskie, spustoszyli ziemię kozielską, spalili Krapkowice, Brzeg i Ujazd, ograbili i zrujnowali klasztor cystersów w Jemielnicy, napadli na Bytom, teraz idą na Gliwice i Toszek. A na granicy stoi polskie wojsko koronne, gotowe do zbrojnej interwencji i aneksji Górnego Śląska. A ty, krakowski biskupie, miast w Krakowie klątwę rzucać na króla poganina, miast Szafrańców, Zbąskich, Melsztyńskich i innych polskich popleczników herezji na stosach palić, ze mną się na spotkania umawiasz, rokować chcesz, umowy zawierać. Jakie? Względem czego? Rzekłem rok temu twemu posłowi, Bnińskiemu Łodzicowi, że o polską interwencję nie poproszę. Nigdy.

– Wojsko polskie na Śląsk nie wkroczy, póki król Władysław rozkazu nie wyda.

– Też mi gwarancja. Jagiełło to stary grzyb. Słucha tego, co mu w uszy nasączą.

– Fakt – zgodził się Zbigniew Oleśnicki. – A sączą różni. W tym fautorzy herezji, ruscy schizmatycy i ci, co radzi by widzieć Litwę oderwaną od Polski. A wasz król, Zygmunt Luksemburski, pomaga im, złoszcząc Jagiełłę obietnicami korony dla Witolda.

– Król Zygmunt – dumnie uniósł głowę Konrad – może rozdawać korony, komu chce.

– Będzie mógł, gdy zostanie cesarzem, co wcale nie jest takie znowu pewne. Na razie król Zygmunt dla swych partykularnych i krótkowzrocznych interesów naraża Kościół powszechny. I misję, którą Kościół ma do spełnienia na Wschodzie. Misję chrześcijańską, cywilizacyjną i ewangeliczną.

– Misję, którą ma wypełnić Polska? Mesjasz i naród wybrany, przedmurze chrześcijaństwa? Grzeszysz pychą, Zbyszku, polską pychą. Misję, o której mówisz, z równym powodzeniem wypełni król Witold.

Biskup krakowski wsunął dłonie w rękawy szuby.

– Koronowany król Witold niczego nie wypełni – odrzekł. – Jego nie obchodzi ani misja, ani Rzym. Jego obchodzi tylko i wyłącznie władza. Stolica Apostolska o tym wie, dlatego koronacji Witolda nie usankcjonuje. Stolica Apostolska wie, że na wschodzie oprzeć może się tylko o Polskę, tylko w Polsce może pokładać nadzieję, zarówno w walce ze schizmą, jak i z herezją. Kto osłabia Polskę, rozbijając jej unię z Litwą, jest wrogiem nie tylko Polski, ale i Kościoła.

– Obecnemu papieżowi wróżbici dają niecały rok życia. A jego następca może mniej Polaków kochać. Zwłaszcza gdy się przekona, kto jest prawdziwym chrześcijaninem. Kto potajemnie wspiera i dozbraja kacerzy, a kto walczy z nimi zbrojnie, niszczy ich ogniem i żelazem, definitywnie kres heretyckiej ohydzie kładąc.

– Aha! – domyślił się natychmiast Oleśnicki. – Szykujecie krucjatę. Znowu? Tak pilno wam do batów? Bo przecież Czesi znowu wygarbują wam skórę. Znowu będziecie stamtąd uciekać w popłochu, z hańbą i wstydem, skompromitowani przed całym chrześcijańskim światem. Zacznijcież wy wreszcie myśleć. Tym, że się tak pozwalacie kacerzom łoić, umacniacie ich.

– To wy ich umacniacie. Wy, Polacy. Waszym poparciem. Gdybyście wespół z nami wkroczyli...

– Gdyby to ode mnie zależało – przerwał biskup Krakowa – polskie wojsko weszłoby do Czech już jutro. Nienawidzę herezji i chętnie

zobaczyłbym ją poskromioną. Ale przychodzi liczyć się z opinią publiczną. W opinii publicznej Czesi to Słowianie, to bracia, nie wkracza się do bratniego kraju z wojskiem. *Vox populi, vox Dei*, polska interwencja w Czechach byłaby błędem politycznym o trudnych do przewidzenia konsekwencjach. A więc do polskiej interwencji w Czechach nie dojdzie.

– Dojdzie do niej natomiast na Śląsku, tak?

– Nie dojdzie, dopóki Jagiełło nie wyda rozkazu. Ja, *episcopus cracoviensis*, robię wszystko, by nie wydał. Robię wszystko, by powstrzymać i ujarzmić stronnictwo prohusyckie. Wspomóż mnie w tym, biskupie Wrocławia. Wpływając na Luksemburczyka, by przestał judzić. W sprawie Witolda i korony dla niego.

– Czego wam trzeba? – Rozłożył ręce biskup wrocławski. – Witolda wszak już załatwiliście. Zręcznie wyłapaliście posłów, którzy wieźli dlań koronę, wywiedliście króla Zygmunta w pole. Witold zadowolił się Orderem Smoka i pogodził z faktem, że *magnus dux* to szczyt jego kariery.

– Witold nie pogodził się i nie pogodzi. Luksemburczyk wiedział, co robi, otwierając w Łucku tę przepełnioną ambicjami puszkę Pandory. Teraz Witold nie spocznie, nim nie oderwie Litwy. Jest zagrożeniem dla Polski.

– Największym zagrożeniem dla Polski – parsknął biskup wrocławski – są sami Polacy. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Alem gotów do negocjacji. Ale negocjacje to wszak do *ut des*, dam, byś i ty dał. A ty niczego nie chcesz dać, w niczym ustąpić. Jakże nam tedy być?

– A w czym miałbym ustąpić? I co dostałbym w zamian?

– Ty coś dasz, ja coś dam. *Clara pacta, boni amici*. Posłuchaj, biskupie krakowski, przyszły kardynale, duszpasterzu narodu wybranego. Jeśli ty zostawisz w spokoju Śląsk, ja zostawię ci Wschód, misję ewangeliczną i nawracanie schizmatyków. Dam być przedmurzem. Witold faktycznie szkodzi wam, pruje to, coście tak długo i pracowicie tkali. Znaczy, faktycznie jest zagrożeniem. I będzie nim, póki żyje. Póki żyje. A gdyby tak... przestał żyć? Nagle i niespodziewanie?

Oleśnicki milczał przez czas jakiś.

– Mnie się tego słuchać nie godzi – odrzekł wreszcie. – Absolutnie nie godzi. Nadto, czysto teoretycznie mniemam, że próżne byłyby zachody. Witolda zbyt dobrze chronią, by powiódł się zamach. Otruć też się go

nie da. Ma na usługi licznych litewskich czarnoksiężników, stale pija żywą wodę z tajemnych żmudzkich źródeł. Jest niewrażliwy na trucizny.

– Na znane trucizny – poprawił Konrad. – Tylko na znane. Istnieją bowiem i nieznane, takie, o jakich nie słyszano nawet w Wenecji, a co dopiero na jakiejś hiperborejskiej Żmudzi. A jak powiadają: *Ignoti nulla curatio morbi*. Na miejscu księcia Witolda bardzo bym uważał. Bo jeśli my się dogadamy, on może nie przeżyć roku.

– A dogadamy się?

– A przeszkodzicie, by polskie wojsko weszło na Śląsk? Nie wesprzecie husytów, Wołoszka i Korybutowicza?

– Rzeczy te są w gestii króla Polski. Ja nim nie jestem.

– Doprawdy? Różnie mówią. Podobno nie wahacie się Jagiełły wyłajać, potraficie mu nawet naurągać. Nic nowego, Kościół polski zawsze pociągał za polityczne nitki, nie wmówisz mi, że przestał. A ma też Polska szlachtę, władyków, stany, lud, z którymi król musi się liczyć. Bez kręcenia, biskupie Zbigniewie. *Clara pacta, boni amici!* Czy w zamian za przyjacielską przysługę, którą wam wyświadczę w kwestii Witolda, sprawicie, by czescy husyci przestali być przez Polskę popierani? Mało: by stali się w Polsce ohydni? Znienawidzeni? Przez wszystkich, od króla po najlichszego smarda?

– Nie podpowiesz, jakim sposobem? Takiś wszak mądry.

– Teraz – zarechotał Konrad – to mnie się słuchać nie godzi. Spiski, prowokacje? Nie przystoi to duchownemu, prostemu robotnikowi winnicy Pańskiej. Wieści z Francji, Zbyszku, do Polski, tuszę, docierają również? Wieści o Jehanne d'Arc, zwanej *La Pucelle*? O tym, że oswobodziła oblegany Orlean? Że pobiła Anglików pod Patay? Że doprowadziła do koronacji Karola VII w katedrze w Reims? Że oblega Paryż?

– I co z tego wynika?

– *La Pucelle* to symbol. A symbol jest najważniejszy. Nie można nie doceniać jego wagi. Posłuchaj innej przypowiastki: w latach 1426 i 1427 husyci dokonali dwóch kolejnych wypadów do Rakus. Za pierwszym razem napadli na cysterski klasztor w Zwettlu, za drugim na konwent w Altenburgu. Swoim obyczajem pomordowali mnichów, klasztory ograbili, podłożyli ogień. Nic nowego, powiecie. I w błędzie będziecie. W obu klasztorach Czesi na drobne kawałki potrzaskali organy, rozłupali na skorupy dzwony, w drzazgi roznieśli ołtarze. Posągi

porozbijali lub odtłukli im głowy. Święte obrazy bezcześcili i siekli mieczami. Podobnych ikonoklazmów dopuścili się w bawarskich klasztorach w Walderbachu i w Schönthalu w roku 1428. I w tym samym roku na Śląsku.

– I co?

– Symbol. W czasie wojen wszyscy mordują, palą i grabią, to normalne i na porządku dziennym. Ale tylko wysłańcy diabła odtłukują głowę figurze świętego Floriana, mażą gównem wizerunek świętej Urszuli i w drzazgi rąbią słynącą cudami Pietę. Tylko sługi antychrysta podnoszę świętokradczą rękę na symbole. A wysłannicy diabła i sługi antychrysta są ohydni i znienawidzeni. Przez wszystkich. Od króla po najlichszego smarda.

– Pojmuję – kiwnął głową Zbigniew Oleśnicki. – I przyznaję wam rację. Względem symbolu.

– Miałbym – uśmiechnął się biskup Wrocławia – do tego nawet ludzi. Urwaną z szubienicy doborową szajkę. Gotową na wszystko. Na każdy wskazany symbol. Tobie, biskupie krakowski, pozostaje więc tylko wskazać. Rozumiemy się?

– Rozumiemy.

– Jak więc? Umowa stoi? *Clara pacta, boni amici?* Zbyszku? Odpowiedz?

– *Clara pacta.*

●

Ostrogski i Kuropatwa powrócili nawet wcześniej, niż obiecali, przed czwartą wigilią nocną, a sygnał do wymarszu dali o poranku. Ku lekkiemu zdumieniu Reynevana kniaź Fedor nie poprowadził ich jednak traktem siewierskim, lecz polecił ruszyć na wschód, wprost ku wstającemu czerwono słońcu. A po zaledwie dwóch milach zrobionych gościńcem, za brodem na rzeczce, rozkazał skręcić na bezdroża.

– Ta rzeczka to była Liswarta, jeśli się nie mylę. – Reynevan podjechał do kniazia. – Dokąd zmierzamy? Jeśli można wiedzieć?

– Dojedziem, uwidzisz.

– Nie alteruj się, medyku – Kuropatwa zdecydował się być krzynę życzliwszy. – Obaczysz, wszystko będzie jak trza.

Reynevan pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Wstrzymał konia, by znaleźć się na samym końcu pochodu.

Jechali. Słońce było wysoko, gdy teren zrobił się nieprzyjemny, podmokły i grząski. Wyjeżdzali z jednego mokradła, by zaraz wjechać w następne, pokonywali jedną za drugą bagnistą dolinę kolejnego obrośniętego krzywymi wierzbami strumyka. Nad jednym z takich strumieni Reynevan zobaczył Praczkę.

Nie dostrzegł jej nikt oprócz niego, jadącego na końcu, w pewnym oddaleniu od reszty. Początkowo nie było jej, była oświetlona słońcem jasna połać na pniu uschłej i odartej z kory wierzby. I nagle w miejscu połaci pojawiła się Praczka. Klęcząca przy wierzbie, schylona nad strumykiem, z zanurzonymi aż po łokcie rękami. Szczupła do chudości pod białą obcisłą sukienką. Z twarzą całkowicie skrytą za zasłoną ciemnych włosów, sięgających wody i falujących w nurcie. Rytmicznymi, upiornie powolnymi ruchami prała, trąc i wygniatając, koszulę lub giezło. Za każdym jej ruchem z giezła wypływały obłoki ciemnoczerwonej krwi. Cały strumień płynął krwią i krwawą pianą.

Reynevan szarpnął głową, obrócił się. Ale obok nie było Samsona. Choć czuł jego obecność, choć przysiągłby, że słyszał jego szept, Samsona obok nie było. Był wiatr, gwałtowny, zły wiatr, który zatargał zieleniejącymi gałązkami wierzb, zmarszczył i rozbłyskotliwił powierzchnię wody. Reynevan zmrużył oczy. Gdy je otwarł, Praczki już nie było. Była biała połać odartego z kory wierzbowego pnia.

Ale nurt wciąż był ciemny od krwi.

●

Po południu wjechali na suchszy teren, między płaskie pagórki. A potem zobaczyli pojedyncze, wyższe wzgórze. Jasne.

Białe wręcz. Bielejące w blasku słońca bielą iście śnieżną.

Ze szczytu wzgórza wypiętrzała się w niebo wieża kościoła.

– *Clarus Mons* – wyjaśnił krótko Jakub Nadobny z Rogowa. – Jasna Góra. Klasztor pauliński pod Częstochową.

●

Ufundowane blisko pół wieku temu przez Władysława Opolczyka *cenobium* paulinów było coraz bliżej. Dało się widzieć opięte przyporami dwuskrzydłowe *claustrum* i kościół. Słychać było nawet mnisi śpiew.

– To jest nasz cel? – upewnił się Reynevan. – Klasztor? Jedziemy do klasztoru?

– Jakbyś zgadł – odrzekł Fedor z Ostroga, z ręką na zatkniętym za pas czekanie. – A co? Nie podoba się?

– Dziś Wielkanoc – rzekł Nadobny. – Odwiedzimy święty przybytek.

– Bośmy wielce pobożni – dodał Kuropatwa z Łańcuchowa. Choć głos miał poważny, Jan Tłuczymost parsknął, a bracia Kondziołowie zarechotali.

– Jechać – uciął Ostrogski. – Nie gadać.

Byli coraz bliżej klasztoru.

Benedicta es, celorum regina,
et mundi totius domina,
et aegris medicina.
Tu praeclara maris stella vocaris,
quae solem justitiae paris,
a quo illuminaris.

Reynevan wstrzymał konia, zrównał się z zamykającym kawalkadę Jerzym Skirmuntem. Młody Litwin rzucił mu krótkie wystraszone spojrzenie.

– Tu, kochanieńki – mruknął – niedobrze czeguś zapowiada się. Tutaj stryczkiem czeguś pośmiardywać zaczyna. Co nam taki czynić, a?

– Za późno na cokolwiek – stwierdził z goryczą i złością Reynevan.

– Tak co ty czynić myślisz?

– Trzymać się na uboczu. I nie przykładać ręki. Jeśli się da.

Te Deus Pater, ut Dei mater fieres et ipse frater,
cuius eras filia, sanctificavit,
sanctam servavit,
et mittens sic salutavit,
Ave plena gratia!

U wrót zsiedli z koni, gromadka pielgrzymów pierzchnęła na sam ich widok. Jeśli zaś Reynevan miał jakieś wątpliwości, rozwiał je widok wydobywanej broni. Melchior i Mikoszka Kondziołowie zrzucili kożuchy, zakasali rękawy. Achacy Pełka splunął w dłoń, uchwycił toporzysko. Kuropatwa z Łańcuchowa podszedł, łupnął we wrota głowicą miecza, raz, potem drugi raz.

– A kto tam? – głos furtiana był starczo drżący.

– Otwierać!

– Jakże to tak: otwierać? Komu otwierać?

– Otwierać! Żywo! My z rozkazu króla!

– Jakże niby?

– Tak ty otkrywaj worota, sukin syn! – ryknął Fedor z Ostroga. – Bystro! A to toporami wywalim!

– Jakże?

– Odkładaj, kurwa, zaworę, ale już! – wrzasnął Kuropatwa. – Pókiśmy dobrzy!

– Toż zmiłujcie się! To miejsce święte!

– Otwieraj, do czarta!

Szczęknęła zawora, zgrzytnęła zasuwa. Bracia Kondziołowie natychmiast pchnęli wrota, uderzyli je z mocą, rozwierając na oścież oba skrzydła i obalając nimi furtiana i jego pomocnika, młodego mniszka w białym paulińskim habicie. Za nimi wpadli na podwórzec Tłuczymost, Pełka i Jakub Nadobny. Obalony furtian ucapił Nadobnego za płaszcz. Fedor Ostrogski wyciął go w skroń czekanem.

– Napaaad! – zawył młody mniszek. – Naaapaaad! Zbójcy! Braaciaaa!

Kuropatwa przygwoździł go do ziemi sztychem miecza.

Otwarły się i natychmiast zamknęły drzwi do kapitularza, szczęknął zamek. Pełka dopadł, dwoma uderzeniami topora rozwalił zawiasy, wpadł do środka, po chwili rozbrzmiały stamtąd łomot i krzyki. Ostrogski i reszta pobiegli w kierunku kościoła. W portalu i kruchcie drogę zastąpiło im kilku białych paulinów. Jeden wyciągnął ku kniaziowi krucyfiks, niemal dotykając twarzy.

– W imię Ojca, Syna i Ducha! Stójcie! To miejsce święte! Nie bierzcie grzechu na sum...

Fedko walnął go czekanem. Melchior Kondzioł rąbnął toporem drugiego, Mikoszka pchnął mieczem trzeciego. Krew zbryzgała mur i chrzcielnicę. Czwartego mnicha Tłuczymost przyparł do ściany, wzniósł nóż. Reynevan chwycił go za rękę.

– Czego? – szarpnął się Polak. – Puśćże rękaw!

– Zostaw go, szkoda czasu! Inni ubiegną nas przy łupach!

W nawie i chórze kościoła trwała dzika gonitwa. Bracia Kondziołowie ścigali paulinów, siekli ich i rąbali, krew plamiła białe habity, lała się po posadzce, tryskała na stalle, na *antepodium* ołtarza. Ostrogski wbiegł za

jednym do kaplicy, niemal natychmiast doleciał stamtąd makabryczny krzyk. Kuropatwa trzymał innego za habit, szarpał nim i potrząsał.

– *Armarium!* – ryczał, pryskając zakonnikowi śliną w twarz. – *Armarium*, klecho! Prowadź do skarbca, bo ubiję!

Zakonnik szlochał, kręcił głową. Kuropatwa rzucił go na kolana, zadzierzgnął różaniec na szyi i zaczął dusić.

Uciekający paulini wpadli wprost na Reynevana i Tłuczymosta. Reynevan uderzył jednego pięścią, drugiego obalił kopniakiem, trzeciego z mocą pchnął na kamienny filar. Tłuczymost zarechotał, włączył się, zadając ciosy usiłującym się podnieść. Doskoczyli bracia Kondziołowie, jeden z toporem, drugi z mieczem.

– Zostawcie! – krzyknął Reynevan, zastępując im drogę i rozkładając ręce. – Już oberwali! Obiłem fratrom mordy! Nuże, żywo, brać skarby, skarby!

Bracia dość niechętnie, ale usłuchali. Wraz z Tłuczymostem wskoczyli na ołtarz, porwali monstrancję i krzyż, pozbierali świeczniki, ściągnęli haftowany obrus. Zbroczony krwią Ostrogski wypadł z kaplicy, taszcząc owiniętą płaszczem ikonę. Za nim wybiegł Nadobny, w obu garściach niósł srebrne wota, a pod pachą lichtarz.

– A nu hajda do skarbca! – krzyknął kniaź. – Za mną!

Przez zakrystię przedarli się do pomieszczeń przyległych do kapitularza. Wskazane przez trzęsącego się zakonnika drzwi do *armarium* puściły pod ciosami toporów. Kondziołowie wdarli się do środka, po chwili jęli wyrzucać zdobycze. Poleciały na podłogę wyszywane złotem ornaty, srebrne hermy relikwiarzowe, kielichy mszalne i pateny, cyboria, łódki kadzidlane, akwamanile, nawet kropidła. Kuropatwa i Reynevan w pośpiechu upychali wszystko do worków.

Na podwórcu stał już wóz; Achacy Pełka i wyraźnie przerażony rozwojem wypadków Skirmunt zaprzęgali do niego wywiedzione ze stajni konie, troczyli do drabin luzaki. Kondziołowie i Kuropatwa zwalili na wóz worki z łupem. Z kościoła wybiegli Tłuczymost i Nadobny, ten drugi z ozdobnym homiliarzem pod pachą.

Pod kruchtą siedział i trząsł się od płaczu stary paulin. Mikoszka Kondzioł dostrzegł go, dobył puginału.

– Zostaw – rzekł Reynevan. A głos miał taki, że Polak posłuchał.

Fedor Ostrogski, już w siodle, zamachnął się i cisnął pochodnię na dach szopy. Drugą rzucił na dach stajni Tłuczymost. Skirmunt i Pełka wskoczyli na wóz, jeden chwycił lejce, drugi strzelił koniom batem nad zadami.

– Hajda! Hajda!

●

Uciekali Traktem Wieluńskim, drogą na Kłobuck. Uciekali co koń wyskoczy. Konie zaprzężone do wozu skakać jednak nie bardzo mogły i nie bardzo chciały. Nie pomagały ani krzyki, ani bat.

– Zjeżdżaj tamój! – Fedor z Ostroga wskazał powożącym przydrożną polanę przy świeżym wyrębie. – Tamój!

– Znaczy – Jan Tłuczymost obejrzał się niespokojnie – tu dobro podzielimy? I potem każdy sobie?

– Chyba że każdy sobie chce wisieć – zadrwił Fedko. – Nie, chłopcy, jedziem w kupie aż do Wielunia. Tam się podzielim i duniem na Kujawy, a stamtąd do Marchii albo do Prus.

– I słuszna – kiwnął głową Kuropatwa. – Obrobiliśmy Jasną Górę, tego nam nie darują. Od Polski trza nam jak najdalej.

– I jak najszybciej – dodał Nadobny. – Rzućmy tedy w diabły ten zasrany wóz. Nie nabraliśmy w klasztorze aż tyle, by w juki nie wlazło i na luzaki. Co, Fedko?

– Wyprzęgajcie – zgodził się Ostrogski. – I przeładowujcie. Ja zaś tymczasem mam inszą rzecz do zrobienia.

Zsiadł, ściągnął z wozu ikonę, rozwinął. Pełka ochnął. Jan Tłuczymost otworzył gębę. Jerzy Skirmunt przeżegnał się machinalnie. Jan Kuropatwa z Łańcuchowa pokręcił głową.

– Jeśli to jest to, co ja myślę – powiedział – to zostawmy to tutaj. Porzućmy. Nie chciałbym, by mnie z tym złapano.

– Z tym, bez tego, co za różnica? – Fedko rzucił ikonę na trawę. – Toż to ino malowidło na desce. Tyle w nim wartości, ile tych cacuszek i ozdóbek. Których nie ostawię. *Herrgott!*Pomóż no który!

Jerzy Skirmunt demonstracyjnie skrzyżował ramiona na piersi. Jakub Nadobny z Rogowa i Jan Kuropatwa herbu Szreniawa nie drgnęli. Z pomocą Ostrogskiemu pospieszył tylko Tłuczymost i bracia Kondziołowie.

Madonna Częstochowska bez oporu pozwoliła, by podważono puginałami i zdarto jej koronę ze złotej blachy. Nie uroniła dźwięku ni łzy, gdy zdzierano koronę jej Synowi. Jej ciemne oblicze nie drgnęło, gdy zszarpywano blachę z mankietów szat. Smutne oczy nie zmieniły wyrazu, drobne i wąskie usta nie poruszyły się, gdy wydłubywano perły i drogie kamienie.

Trzasnęło łamane drewno, zatrzeszczało darte płótno. Ograbiana ikona pękła pod nożami. Na dwie deski. Większą i mniejszą.

Reynevan stał z rękami zwisającymi bezwładnie i bezsilnie. Krew biła mu na twarz, oczy zachodziły mgłą.

Hodegetria, rozbrzmiewało w jego głowie. Ta, która wskazuje drogę. Wielka Matka, Pantea-Wszechbogini. Regina-Królowa, Genetrix-Rodzicielka, Creatrix-Stwórczyni, Victrix-Triumfatorka.

– Dość! – Ostrogski wstał. – Te maluśkie niechajcie, nie warte zachodu. Możem w drogę. Ino wprzód wykonam, co mi rozkazano.

Matka przyrody, władczyni żywiołów, królowa i pani promiennych wysokości. Ta, której jedyną boskość o wielu kształtach czci cały świat pod rozlicznymi imionami i w różnorakim obrzędzie.

Kniaź Fedor Ostrogski dobył z pochwy szeroki tasak z prostym krzyżowym jelcem. Podszedł do ograbionej ikony.

Reynevan zastąpił mu drogę.

– Zniszcz coś innego – powiedział spokojnie. – Tego nie wolno.

Ostrogski cofnął się o krok, zmrużył oczy.

– A ty cięgiem kiepścisz, Niemiaszku – wycedził. – Nic, ino kiepścisz. Twe kiepstwo nadojadło mi, cierpieć twego kiepstwa nie mogę. Won z drogi, bo ubiję!

– Odejdź od ikony.

Fedko nie zdradził zamiaru ani głosem, ani grymasem. Uderzył znienacka, szybko jak żmija. Reynevan uchylił się, sam się dziwiąc szybkości swej reakcji. Złapał wychylonego kniazia za ramię, pchnął głową na pudło wozu, aż zadudniło. Szarpnął ku sobie, obrócił i z całej siły walnął w szczękę, jednocześnie wyłuskując tasak z palców. Odepchnął i ciął. Ostrogski zawył, złapał się za głowę, spod palców polała się krew.

– Uuuuoooaaa! – zaryczał, gdy upadł. – Zaaabił! *Baszom az anyát!* Bij jego, bij!

Pierwszy skoczył Tłuczymost, za nim bracia Kondziołowie. Reynevan odpędził ich machnięciami tasaka. Wtedy z boku przypadł Nadobny, pchnął mieczem, kalecząc w biodro. Mikoszka Kondzioł doskoczył, ciął nożem przez biceps. Reynevan upuścił tasak, złapał za rękę i nóż, klinga rozcięła dłoń. Melchior Kondzioł przypadł, pchnął puginałem, tym samym, którym zdzierał ozdoby z ikony. Ostrze ześlizgnęło się po żebrach, ale Reynevan skulił się z bólu. Doskoczył Tłuczymost, chlasnął nożem w czoło, na linii włosów. Kuropatwa bez rozmachu wbił mu miecz w ramię, w tym samym momencie Pełka zdzielił orczykiem w rękę powyżej łokcia, poprawił w krzyże i w potylicę. Reynevanowi pociemniało w oczach, bezwład objął całe ciało. Upadł, chwytając rozłupaną ikonę i chroniąc ją sobą. Poczuł, jak kłują go i tną ostrza, jak spadają ciężkie ciosy i kopniaki. Krew zalewała mu oczy, po nosie ściekała do ust.

– Dosyć! – usłyszał krzyk Skirmunta. – Hospody, tak dosyć! Tak ostawcie jego nareszcie!

– Ano, szkoda czasu – powiedział Kuropatwa. – On i tak tu zdechnie. Uchodzim. Owińcie czymś łeb Ostrogskiemu, na kulbakę go i hajda!

– Hajda!

Załomotały i ścichły w dali kopyta. Reynevan zwymiotował. A potem zwinął się w pozycję płodu.

Spochmurniało. Zaczął mżyć drobny deszcz.

●

Ból.

Descendet sicut pluvia in vellus. Ona zstąpi jak deszcz na trawę, jak deszcz rzęsisty, co nawadnia ziemię. Za dni jej zakwitnie sprawiedliwość i wielki pokój, dopóki księżyc nie zgaśnie. I panować będzie od morza do morza, od Rzeki aż po krańce ziemi.

I tak będzie aż do skończenia świata, bo to ona jest Duchem.

Ból mija.

●

Z letargu wyrwały go krzyki i rżenie koni, grunt dookoła zatrząsł się od uderzeń kopyt. Opryskany błotem Reynevan przycisnął ikonę do piersi, wykrzywił twarz, krusząc zalepiającą powieki krew, wypluł skrzepy z ust. Usiłował się unieść, nie zdołał. Słyszał nad sobą głosy.

Widział wąsate twarze, zbroje, ręce w żelaznych zarękawiach i pancernych rękawicach. Rękawice chwytały go, cisnęły jak obcęgi, ból ćmił oczy. Kurczył się i kulił pod dotykiem, zwijał i prężył w odruchach wymiotnych, znowu wpadał w przepaść, leciał w dół.

Zostawiono go w spokoju, oprzytomniał. Znowu słyszał rżenie i chrap koni, wielu koni. Słyszał głosy. Z najwyższym wysiłkiem uniósł głowę.

Z siodła gniadego ogiera ze złocistym rzędem patrzył na niego przenikliwym wzrokiem postawny pucołowaty mężczyzna w sobolowym kołpaku i obszytej sobolami szubie.

Biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki.

– Co z nim?

– Obili go, wasza dostojność – pospieszył z wyjaśnieniami rycerz w krótkiej tunice z herbem Pobóg. – Zdrowo potłukli. Skłuli, nożami porżnęli. Rana na ranie... Nie wiada, żywli on będzie.

– Pokłócili się pewno przy podziale łupów?

– Kto tam wie – wzruszył ramionami Pobóg. – Może być, że im wzbraniał... Niszczyć... Gdy go znaleźlim, Bogurodzicę dzierżył, ledwo my zdołali z palców mu ją...

– Dlaczego – Zbigniew Oleśnicki władczo wyprostował się w siodle – nie ścigacie pozostałych?

– Zostalim, by obrazu cudownego pilnować... Świętość przecie...

– Ruszajcie w pościg. Bez zwłoki!

– Tak jest, wasza dostojność.

Jeden z ludzi biskupa uchwycił konia za munsztuk, drugi przytrzymał strzemię i podał rękę. Oleśnicki zsiadł, gestem kazał im się oddalić. Potem podszedł. Wolno. Reynevan chciał unieść się, ale zraniona ręka odmówiła posłuszeństwa. Opadł na trawę, nie spuszczając z biskupa wzroku.

– *Hodegetria* – Oleśnicki nie patrzył na niego, ale na deskę ikony – oznacza po grecku przewodniczkę. Wskazującą drogę. Nie wiem, czy tobie wskazała dobrą. I czy cię natchnęła. Bo mnie tak.

– Obraz ten – podjął – uważa się za prawdziwy wizerunek Matki Boga. Jest to jakoby dzieło pierwszego ikonopisa, Łukasza Ewangelisty, namalowane jakoby na deskach ze stołu Świętej Rodziny. Zapewnia to nadzwyczajną cudowność i przesądza o wielkiej wartości jako relikwii. I jako symbolu. Symbolu światła wiary i mocy Krzyża. Symbolu siły ducha narodu, jego jedności duchowej i jego wiary. Wiary niezłomnej, która

pomoże narodowi przepłynąć każdy potop i uratuje jego ducha w najcięższych czasach. Symbole są ważne. Bardzo ważne.

– Matka Boża natchnęła mnie. Pokazała drogę, nauczyła, co czynić. I nie będzie na Śląsku polskiej interwencji. Ustanie polska pomoc dla czeskich heretyków. Skończy się heretycka indoktrynacja, przestaną kacerskie miazmaty truć polskie dusze. Czescy husyci i ich polscy poplecznicy staną się znienawidzeni i ohydni. Dla wszystkich Polaków, od króla po najlichszego smarda. Będą znienawidzeni jako sługi antychrysta. Bo tylko sługi antychrysta podnoszą świętokradczą rękę na symbole. I kaleczą je niegodziwie.

Biskup schylił się, podniósł z ziemi tasak Ostrogskiego.

– Grzech ten biorę na sumienie. Dla mojej wiary i dla ojczyzny. Dla pokoju Bożego. Dla przyszłości. *Ad maiorem Dei gloriam*.

Nie bacząc na jęki Reynevana i jego rozpaczliwe próby, by podczołgać się i przeszkodzić, Zbigniew Oleśnicki dwakroć ciął tasakiem deskę obrazu. Dwakroć, mocno i głęboko. Przez prawy policzek Bogurodzicy. Równolegle do linii nosa.

Reynevan przestał widzieć. Wpadł w przepaść.

Spadał długo.

●

Ocknął się cały w bandażach, na grochowinach, na trzęsącym się wozie. Przydrożny bez pachniał tak majowo, że przez moment zdawało mu się, że czas się cofnął albo że wszystko, co przeżył przez ostatnie dwa lata, było snem. Że jest maj roku 1428, a jego, zranionego, wiozą do szpitala w Oławie. Że Jutta, żywa i kochająca, czeka w klasztorze klarysek w Białym Kościele.

Ale to nie był ani sen, ani podróż z powrotem w czas. Miał na rękach i nogach kajdany. A jadący obok wozu żołdacy rozmawiali po polsku.

Z trudem uniósł się na łokciu, czuł, że całe ciało ma obolałe i pokurczone od szwów. Zobaczył oświetlone zachodzącym słońcem wzgórze. I kamienny zamek na jego szczycie, istne orle gniazdo, zwieńczone słupem donżonu.

– Dokąd... – pokonał suchość gardła. – Dokąd mnie... wieziecie?

– Zawrzyj gębę! – warknął jeden z eskortujących żołdaków. – Zakazano! Był rozkaz: Jeśli zacznie co gadać, obuchem zęby tłuc. Bacz tedy!

– Daj pokój – zmitygował drugi. – Miejże wzgląd. Toż nie gada, ino pyta. A to przecie koniec jego drogi. Niechaj ta wie, gdzie mu zgnić przyjdzie.

Krakały lecące niebem wrony.

– To jest, bratku, zamek Lelów.

Mniemam, iż żaden z was nigdy nie siedział w ciężkim więzieniu.

Żaden z was, szlachetni panowie rycerze, żaden z obecnych tu w karczmie pobożnych i bogobojnych mnichów. Żaden z ichmościów kupców. Żaden z was, tuszę, nie widział głębokich podziemi, podeszłych zgniłą wodą lochów ani cuchnących ciemnic. Co?

Żaden z was.

I nie ma, upewniam, czego żałować.

Za dobrego króla Władysława Jagiełły kilka było w Polszcze ciężkich więzień, więzień budzących strach. Wieża krakowska. Chęciny. Sandomierz. Olkusz. Olsztyn, w którym zamorzono głodem Maćka Borkowica. Ostrężnik. Iłża. Lipowiec.

I było jedno więzienie, na samo wspomnienie którego ludzie cichli i bledli.

Zamek lelowski.

W tamtych innych więzieniach siedziano, w tamtych więzieniach cierpiano. Z tamtych więzień wychodzono.

Z Lelowa nie wychodził nikt.

Rozdział dwudziesty drugi

w którym uwolniony z lelowskiej ciemnicy Reynevan raduje oczy światłem. I staje do ostatniego boju.

Na królewskim zamku w Łęczycy panowała atmosfera niepokoju i nerwowego pośpiechu. Przygotowywano pomieszczenia mieszkalne w Starym Domu, sprzątano, meblowano i dekorowano salę reprezentacyjną. Informacja o tym, że właśnie Łęczycę wybrano na miejsce rokowań pokojowych, dotarła do burgrabiego późno, niemal w ostatniej chwili, czasu na przygotowania zostało naprawdę mało. Burgrabia biegał po Starym Domu, klął, pomstował, ponaglał, łajał, wciąż pytał, czy aby z wieży nie widać już orszaku biskupów i panów polskich lub nadciągającego krzyżackiego poselstwa. Ze strony Zakonu spodziewano się między innymi Konrada von Erlichhausena z Malborka i Ludwika von Lauscha, komtura Torunia, miał być też w poselstwie Franciszek Kuhschmalz, biskup warmiński. Z Polaków oczekiwano na biskupów Zbigniewa Oleśnickiego i Władysława z Oporowa, kasztelana krakowskiego Mikołaja z Michałowa i kasztelana poznańskiego Dobrogosta z Szamotuł.

Najważniejszy przedstawiciel strony polskiej zdążył już tymczasem do Łęczycy przybyć. Natychmiast po przybyciu schronił się w przygotowanych dlań komnatach. Przyjął tam, jak doniesiono burgrabiemu, dziwnego zakapturzonego gościa. I nakazał, by mu nie przeszkadzano.

Grudniowy wicher tłukł okiennicami, świszczał w szparach.

– Krzyżacy zgodzą się na rozejm – powiedziała, odrzucając włosy na kark, Rixa Cartafila de Fonseca, szpieg w służbie Władysława Jagiełły, króla Polski. – Boją się, że znowu ściągniemy im na kark husytów. Są też pod presją stanów pruskich, grożących wypowiedzeniem posłuszeństwa. W stanach na dużą osobowość wyrasta chełmiński rycerz Jan Bażyński. Sugeruję, by wasza przewielebność zapamiętała to nazwisko. Antykrzyżacka opozycja w Prusach rośnie w siłę, a Bażyński ma szanse stać się jej czołowym działaczem. Warto go mieć na oku.

– Rady posłucham – odrzekł Wojciech Jastrzębiec, arcybiskup metropolita gnieźnieński, prymas Polski i Litwy. – Zawsze słucham twoich rad, córko. Nieocenione świadczysz nam usługi. Sama wciąż pozostając w cieniu. Nie prosząc o nic, ni o zaszczyty, ni o nagrody.

Rixa uśmiechnęła się. Kącikiem ust.

– Wasza przewielebność – powiedziała wolno – ośmiela mnie. Bym poprosiła.

– Proś.

– Oto Krzyżacy zjeżdżają do Łęczycy prosić o rozejm. Jest szansa na wieczysty pokój z Zakonem na wygodnych dla Polski warunkach. Jest szansa na odzyskanie Nieszawy i pozbawienie Świdrygiełły krzyżackiego poparcia. Niemała w tym zasługa Czechów: Jana Czapka z San i postrachu, jaki jego Sierotki wzbudziły w Nowej Marchii i pod Gdańskiem. Ugoda pabianicka i sojusz Polski z husytami nadwerężyły morale Krzyżaków, wasza przewielebność z pewnością to przyzna.

– Do czego ten długi wstęp? Mówże, córko, w czym rzecz?

– Mam prośbę. By ufetować sojusze, wiktorie i sukcesy. By uczcić je przebaczeniem. Amnestią. Jedną. I cichą.

– Kto?

– Więzień Lelowa.

Wojciech Jastrzębiec milczał długo. Potem długo kasłał. Trzydzieści mil z Gniezna do Łęczycy, pomyślała Rixa. Nie na jego wiek takie podróże. W takie pogody.

– Więzień Lelowa – powiedział wreszcie prymas – jest więźniem stanu.

– Jest więźniem politycznym – poprawiła, schyliwszy głowę. – A w polityce zaszły zmiany dość zasadnicze, nieprawdaż? Dziś wszystkim już wiadomo, że napadu na klasztor jasnogórski nie dokonali bynajmniej wierni Kielichowi husyci czescy...

– Lecz był to zwykły akt rozboju – dokończył szybko Jastrzębiec. – Zwyczajny napad łupieski w wykonaniu pospolitych bandytów...

– W większości narodowości polskiej...

– ...hołoty bez ojczyzny ni wiary – skorygował z naciskiem prymas. – Tępych rabusiów, którzy pojęcia nie mieli, na co rękę podnoszą. Którzy okaleczyli cudowny obraz bezmyślnie...

– Za zbezczeszczenie świętości – wtrąciła z naciskiem agentka – powinna ich wszystkich spotkać kara Boża. Większość podobno już nie

żyje. Umarli, nim od napadu na klasztor rok minął. I prawidłowo. Wszyscy powinni umrzeć. Ci więzieni również. Ręka Boga.

Jastrzębiec złożył dłonie jak do modlitwy, spuścił oczy, by ukryć ich błysk. Potem uniósł głowę.

– Karząca prawica Boga – oświadczył – dosięgnie zatem również więźnia Lelowa? Więzień Lelowa również umrze? Nikt nie będzie wiedział, gdzie został pochowany? Wszyscy o nim zapomną?

– Wszyscy.

– A biskup krakowski?

– Biskup krakowski – powiedziała cicho Rixa – nie jest już zainteresowany sprawą Częstochowy. Nie ma żadnego interesu, by wygrzebywać zwłoki i budzić śpiące psy. Wie, że byłoby lepiej, gdyby wszyscy zapomnieli o Jasnej Górze i zniszczonym obrazie. Który zresztą, jak słyszę, w Krakowie poddają renowacji, wkrótce będzie po staremu wisiał w kaplicy u paulinów. Jak gdyby nigdy nic.

– Niech więc tak się stanie – rzekł Jastrzębiec. – Niech się stanie, córko. Choć wolałbym, przyznam, byś prosiła o coś innego. Aleś położyła wielkie zasługi w służbie dla Korony... I wciąż się zasługujesz, pracujesz z poświęceniem i oddaniem. Niewielu jest takich jak ty, niewielu takich mam, zwłaszcza teraz...

Teraz, pomyślał, gdy jeden z moich najlepszych ludzi poniósł śmierć na Śląsku. Łukasz Bożyczko, dobry i dobrze utajony agent, wierny sługa Korony Polskiej. Zmarł, choć zadana żelazem rana była lekka. Strata niepowetowana. Skąd, skąd brać następców?

– Czyń zatem, co należy. – Prymas uniósł głowę. – Z moim błogosławieństwem. Zważ jednak, iż przedsięwzięcie wymagać będzie nakładów. W Lelowie mus będzie opłacić, kogo trzeba... Nie myślę angażować w to skarbca koronnego ni tym bardziej uszczuplać skromnego majątku Kościoła.

– W sprawach finansowych – uśmiechnęła się Rixa – proszę całkowicie zdać się na mnie. Umiem załatwiać takie rzeczy. Mam to, można powiedzieć, we krwi. Od pokoleń.

– No tak, tak – pokiwał głową staruszek. – Tak, tak. Jeśli już na to zeszło... Córko?

– Słucham.

– Nie zrozum mnie źle. – Prymas Polski i Litwy spojrzał, a było to spojrzenie szczere. – Nie upatruj w tym, co powiem, nietolerancji ni

uprzedzeń. To, co powiem, powiem z życzliwości, sympatii i troski.

– Wiem. Znam waszą przewielebność.

– Nie przechrzciłabyś się?

Rixa milczała czas jakiś.

– Dziękuję – odrzekła wreszcie – ale nie skorzystam. Proszę nie upatrywać w tym uprzedzeń.

– Życzę ci kariery. Awansu. Jako Żydówka małe masz szanse...

– Obecnie – uśmiechnęła się Rixa Cartafila de Fonseca. – Ale to się kiedyś zmieni.

– Fantazjujesz.

– Fantazje się ziszczają. Zapewnia nas o tym prorok Daniel. Niech Bóg zachowa waszą przewielebność.

– Bóg z tobą, córko.

●

Najpierw były ciężkie kroki. Brzęk żelaza. Potem infernalny wręcz, podnoszący włosy szczęk zasuw, który sprawił, że Reynevan skulił się na zagnojonej słomie. I jaskrawe światło pochodni, które sprawiło, że skulił się jeszcze bardziej, zaciskając powieki. I zęby.

– Wstawaj. Wychodź.

– Ja...

– Wychodź. Żywo! Ruszaj się!

●

Światło słoneczne boleśnie zakłuło go w oczy, oślepiło. Zamroczyło. Odebrało równowagę i władzę w nogach. Upadł. Upadł jak długi, bezwładnie jak pijany, nawet nie próbując amortyzować uderzenia o deski zwodzonego mostu.

Leżał, a choć oczy miał otwarte, nie widział niczego. Początkowo nie słyszał też niczego z szumu, który miał w głowie, z kokonu, który go oplatał, powoli, powoli zaczęły przebijać się i przedostawać dźwięki. Zrazu nieskładne i niezrozumiałe, stopniowo jęły nabierać kadencji. Trwało jednak jakiś czas, nim pojął, że te dźwięki to słowa. Nim zaczął rozumieć ich znaczenie. I nim wreszcie rozpoznał, że mówiącym jest Szarlej.

– Reynevan? Słyszysz mnie? Rozumiesz mnie? Reynevan? Nie zamykaj oczu! Chryste, wyglądasz okropnie. Możesz wstać?

Chciał odpowiedzieć. Nie mógł. Każda próba wydania głosu przeradzała się w łkanie.

– Podnieście go. I znieście na dół. Położymy go na wóz i jedziemy do miasteczka. Trzeba doprowadzić go do porządku.

●

– Szarlej.

– Reynevan.

– Ty... Ty mnie wyciągnąłeś?

– Po części. Tej finansowej.

– Czarny furgon?

– Jasne.

– Gdzie jesteśmy?

– We wsi Niegowa, przy gościńcu siewierskim. Na zapleczu karczmy „Pod Gąsiorem".

– Jaki dziś... mamy dzień?

– Wtorek. Po niedzieli *Quasimodogeniti*. Szósty kwietnia. Roku Pańskiego 1434.

●

Ofka von Baruth wpadła do kuchni, powiewając warkoczem i omal nie tratując kota. Chwyciła oburącz wielki sagan i wyrżnęła nim o posadzkę. Strąciła ze stołu miski i łyżki. Kopnęła kubeł z odpadkami, z taką mocą, że potoczył się pod piec. Na koniec kopnęła kocioł, ale ten był masywny i ciężki, nie ustąpił. Ofka krzyknęła, zaklęła, pokicała na jednej nodze, z rozmachem siadła na ławie, trzymając się za stopę, rozpłakała się z bólu i złości.

Ochmistrzyni przyglądała się, skrzyżowawszy pulchne przedramiona na piersi.

– Już? – spytała wreszcie. – Skończyłaś popisy? Dowiem się, o co chodzi?

– Dureń! – wrzasnęła Ofka, trąc rękawem oczy i policzki. – Niedorajda! Smarkacz!

– Parsifal von Rachenau? – domyśliła się biegła w rzeczy ochmistrzyni, której uwagi rzadko coś uchodziło. – Co z nim? Wyznał miłość? Oświadczył się wreszcie? Czy wprost przeciwnie?

– Wprost przeciwnie – smarknęła Ofka. – Nie może, powiedział, mnie poślubić, bo ojciec mu zabronił. Ojciec nakazuje mu ożenić się... Z innąąąąąą...

– Nie rycz. Mów.

– ...ojciec każe mu żenić się z inną. Parsifal jej nie chce i nie zechce. Ale mnie też nie poślubi. Powiedział mi, że nie może. Nie sprzeciwi się woli ojca. Wstąpi do klasztoru. Głupek.

– Względem klasztoru – kiwnęła głową ochmistrzyni – zgadzam się. Faktycznie głupek. Ale wola ojca rzecz święta. Nie można się jej przeciwić.

– A tam, nie można! – wrzasnęła Ofka. – Jeszcze jak można! A Wolfram Pannewitz? Poślubił Kaśkę Biberstein? Poślubił! Choć ojciec mu zakazywał! Ślub był, wesele było, ninie wszyscy zadowoleni, starego Pannewitza wliczając. Bo Wolfram Kaśkę kochał! A on mnie nieeee kooochaaabeuheuheuheu...

– Nie rycz! – Ochmistrzyni rzuciła okiem w drzwi, upewniając się, czy nikt nie podsłuchuje. – Jeszcze twój Parsifal tamtej przed ołtarze nie powiódł, jeszcze nawet zrękowin nie było. Jeszcze wiele może się zdarzyć. Wiele może los przynieść. A trzeba ci wiedzieć...

Ofka wytarła nos rękawem, szeroko otworzyła orzechowe oczy.

– Trzeba ci wiedzieć – podjęła ciszej ochmistrzyni – że są sposoby... Na to, by losowi dopomóc. Trzeba do tego odwagi...

– Dla niego – Ofka zacisnęła zęby – gotowa jestem na wszystko.

●

Elencza Stietencron drgnęła i aż podskoczyła, słysząc zgrzyt osuwających się pod czyjąś stopą kamieni. Odruchowo oparła się o wyschły konar, który pękł z głośnym trzaskiem. Trzaskowi odpowiedział ze ścieżki zduszony krzyk. Elencza wrosła w ziemię, serce tłukło się jej w piersi niby ptak rwący się z klatki.

Na ścieżce pojawiła się postać, a Elencza odetchnęła. Bo nie był to rozbójnik, wilkołek, Baba Jaga, straszny leśny szrat, groźny zielonoskóry alp ani żaden z osławionych wędrownych mnichów, srodze zawziętych na cześć panieńską. Pojawiającą się postacią była dziewczyna, młodsza nawet chyba od niej samej. Z jasnym warkoczem, piegowata, z zadartym nosem. Ubrana po męsku i przy tym niebiednie.

– Ojeju – powiedziała piegowata dziewczyna, na widok Elenczy oddychając głęboko. – Ojeju, alem się zlękła. Pewna byłam, że to wilkołek... Albo mnich wędrowny... Ojeju. Witaj, kimkolwiek jesteś... Ja jestem...

– Ciszej... – szepnęła Elencza, blednąc. – Ktoś idzie... Słyszałam kroki...

Piegowata obróciła się, przykucając i sięgając ku rękojeści wiszącego przy pasku sztylecika. Ręka trzęsła się jej jednak tak, że Elencza nie wierzyła, by zdołała broni dobyć. Sama porwała za kamień, zdecydowana drogo sprzedać życie lub co by tam sprzedawać przyszło. Ale dzień, jak się okazało, był dniem nieustannych zaskoczeń i niespodzianek. Wiodącą ku szczytowi Raduni krętą, stromą i kamienistą ścieżką nadchodziła oto trzecia dziewczyna. Ta też stanęła jak wryta na widok poprzedniczek.

Z wyglądu była najmłodsza. Jej oblicze, jej rysy, kolor włosów, oczy, wszystko to kogoś Elenczy przypominało, wywoływało uczucie niepokoju. Uczucie niejasne i niewytłumaczalne, przez to tym bardziej niepokojące.

– No, no – momentalnie odzyskawszy rezon, wzięła się pod boki piegowata. – Dokąd to cię przyniosło, smarkulo? I to samą-samiuteńką? Nie wiesz, że tu bywa niebezpiecznie?

Elencza z trudem powstrzymała parsknięcie. Jeśli nowo przybyła była młodsza od piegowatej, to o bardzo niewiele. Z pewnością była natomiast wyższa. Na jej twarzy nie było też śladu lęku ani nawet zakłopotania. Jej twarz, pomyślała Elencza, dziwiąc się tą myślą, jest starsza od niej samej.

– Głowę dam – powiedziała – że wszystkie przyszłyśmy tu w tym samym celu. A że cel ten jest na samym szczycie, powinnyśmy się pospieszyć. Inaczej nie zdążymy wrócić przed zmrokiem. Dalej, dziewczęta. Za mną.

Piegowata zrobiła minę, jakby chciała prychnąć. Ale cóż, każda grupa musi mieć wodza. A Elencza była najwyższa. I kto wie, czy nie najstarsza.

– Nazywam się Ofk... Eufemia von Baruth – powiedziała dumnie piegowata. – Córka rycerza Henryka Barutha ze Studziska. Z kim mam zaszczyt?

– Elencza... de Wirsing.

Nowo przybyła, gdy obie zwróciły na nią wzrok, spuściła oczy. Długo nie odpowiadała.

– Możecie – rzekła wreszcie cicho – nazywać mnie Elektrą.

●

Wydłużony szczyt Raduni wieńczył kamienny wał, w jego centrum leżał głaz, wielki, przypominający katafalk monolit. Żadna z trzech dziewcząt nie mogła tego wiedzieć, ale monolit leżał na górze już wtedy, gdy po Przedgórzu Sudeckim tupały mamuty, a wielkie żółwie składały jaja na odrzańskiej wyspie Piasek, będącej obecnie ludną i zwarto zabudowaną częścią wielkiego Wrocławia.

U stóp monolitu płonęło ognisko, płomienie lizały dno osmolonego i pryskającego warem kotła. Opodal, na stosie trupich czaszek, leżał czarny kot. W typowo kociej, rozleniwionej pozie. Zajęty był lizaniem sierści. Było to najleniwsze lizanie, jakie Elencza widziała w życiu.

U ogniska siedziały trzy kobiety.

Jedna, zupełna starucha, przygarbiona i skurczona, chwiała się, mamrotała, nuciła, krzywiąc ciemną twarz. Siedząca najdalej zdawała się dziewczynką zaledwie. W jej bladej, lisiej jakby i brzydkiej twarzy płonęły zgorączkowane oczy. Skołtunione włosy utrzymywał we względnym ładzie wianek z werbeny i koniczyny.

Środkową pozycję zajmowała ta najważniejsza. *Bona femina*. Ta, do której wszystkie trzy tu przyszły. Wysoka, tęga, ustrojona w szpiczasty kapelusz z czarnego filcu, spod którego bujnymi falami spływały na ramiona płomiennorude włosy. Szyję czarownicy spowijał szal z zielonej wełny.

– Palec mnie swędzi – przemówiła bełkotliwie ciemnolica starucha. – Palec mnie swędzi, co dowodzi...

– Zamknij się, Jagna – uciszyła ją ruda w kapeluszu, po czym podniosła na petentki oczy jasne jak roztopiona cyna. – Witajcie, dziewczęta. Co was sprowadza? Nie mówcie, sama zgadnę. Niechciana ciąża? Nie, chyba nie. Na chore też mi nie wyglądacie, wprost przeciwnie, rzekłabym, wszystkie trzy prezentujecie się nadzwyczaj zdrowiutko. A zatem miłość! Kochamy, a obiekt kochania daleki i niedostępny, coraz dalszy i coraz niedostępniejszy. Zgadłam?

Piegowata Eufemia von Baruth była pierwszą, która zdecydowała się skwapliwie i energicznie pokiwać głową. Pierwszą i jedyną. Elencza pod spojrzeniem rudowłosej wiedźmy głowę spuściła, porażona nagłą pewnością, że jej przyjście tutaj było zupełnie bez sensu, całkiem

niepotrzebne i okropnie głupie. Co do Elektry, ta nawet nie drgnęła, wpatrzona w ognisko pustym wzrokiem.

– Zgadłam, nie zgadłam? – zamruczała rudowłosa. – *Per Bacco!* Okaże się. Podrzuć chrustu do ognia, Eliszka, a ziół do kociołka. Jagna, zachowuj się.

Ciemnolica wpakowaną w usta pięścią stłumiła beknięcie.

– Wy zaś – *bona femina* zmierzyła dziewczęta spojrzeniem jasnych oczu – otrzymacie to, o co prosicie. Po kolei. Każda z osobna.

Przez moc Słońca i moc Luny,
Poprzez znaki i przez runy.
Eia!

– Kipi, kipi kociołek, a w nim pokrzyk, tojad, lulek. Pochyl głowę, Eufemio von Baruth. Wdychaj parę.

– Oto masz zwierciadełko, daję ci je. Gdy księżyc maleć pocznie, w dzień Wenery i Freyi uchwyć w nim potajemnie odbicie ukochanego. Owiń w wełnę, połóż w puzderko. Zasyp mieszanką suszonych płatków róż i werbeny. Dodaj zioła *Agnus Castus*, znanego też jako niepokalanek. Dodaj kroplę własnej *sanguine menstruo*. Ukryj puzderko, tak by nie śmiał paść na nie słońca promień. Ukrywając, wymów po trzykroć zaklęcie: *Ego dilecto meo et ad me conversio eius*, jam miłego mego i ku mnie zwraca się jego pożądanie. Nim trzy razy księżyc się obróci, twoim będzie twój wybranek.

Poprzez znaki i przez runy...
Magna Mater, Magna Mater...

– Kipi, kipi kociołek, a w nim pokrzyk, mandragora. Pochyl głowę, Elenczo de Wirsing. Wdychaj parę.

– Oto masz nożyk stalowy, daję ci go. Gdy księżyc po pełni maleć pocznie, w dzień Wenery i Freyi przed wschodem słońca pójdź do sadu. Zerwij jabłko, które wyda ci się najpiękniejsze. Przekrój na pół nożykiem, roztarłszy wprzód na ostrzu kroplę *sanguine menstruo*. Nasyp na każdą połówkę jabłka szczyptę ususzonego rdestu, zepnij obie połówki patyczkami z gałązek mirtu. Na skórce jabłka wytnij nożykiem inicjał imienia ukochanego, wymów imię trzykrotnie, za każdym razem mówiąc zaklęcie: *Ecce iste venit*, oto nadchodzi. Jabłko ukryj, a tak, by

ni razu nie padł na nie słońca promień. Choćby na końcu świata był twój wybranek, powróci do ciebie.

Eia!
Przez moc Słońca i moc Luny
Poprzez znaki i przez runy!

– Kipi, kipi kociołek, a w nim pokrzyk, blekot, szalej. Pochyl głowę, wdychaj parę, ty, która chcesz, by zwano cię Elektrą. Groźne przybrałaś imię, groźne i straszne jak na kogoś tak młodego jak ty. Wiedz, że takie jak ty zazwyczaj odsyłam z kwitkiem, takim jak ty nie pomagam, nie wspieram w tym, co planują i zamierzają. Takim jak ty, Elektro, zwykle każę zdawać się na czas i los.

Leżący na czaszkach kot zasyczał. Oczy czarownicy zapałały złowrogim ogniem.

– Tylko wyjątkowo zatem – wyrzekła cicho – dopomogę dziś trochę losowi. I choć pełne zła jest twe życzenie, Elektro, spełnię je. Wyciągnij rękę. Oto daję ci...

Rudowłosa czarownica szeptała, Elektra słuchała, pochyliwszy głowę. Ogień przygasł, kociołek bulgotał jeszcze, syczał pryskający na węgle war.

Kot zamiauczał.

– A teraz idźcie już sobie – rozkazała *bona femina*. – Chwała Wszechbogini! Aha, nie zapomnijcie: reklamacyj nie uwzględnia się!

●

– Nie jedz tak łapczywie – upomniał Szarlej. – Zaszkodzi ci.

Reynevan uniósł głowę znad osłanianej przedramieniem miski, przez chwilę patrzył tak, jakby nie rozumiał. Potem wznowił łykanie klusek i gonitwę za skwarkami. Uporawszy się z kluskami, przysunął sobie dwuuchy garnek żuru, udarł z bochna kawał chleba. Demeryt obserwował go w milczeniu.

– Jak? – spytał nagle z pełnymi ustami Reynevan. – W jaki sposób...

Szarlej westchnął.

– Po naszym rozstaniu długo nie wiedziałem, co się z tobą dzieje. O Częstochowie słyszałem, rzecz jasna, wszyscy słyszeli. Ale skąd mogłem wiedzieć, że ty tam byłeś? I że cię wsadzili? Krótko: wolność zawdzięczasz Rixie. Jej informacjom i koneksjom.

– Ale jednak to ty... – Reynevan odłożył łyżkę. – To ty mnie wydobyłeś z Lelowa.

– Od tego są przyjaciele. Przyhamuj nieco z jedzeniem. Nikt ci tego jadła nie odbierze.

Reynevan spojrzał nań, mrużąc załzawione i zaropiałe oczy. Gałki oczne miał przekrwione i pokryte gęstą siatką czerwonych żyłek, ewidentnie cierpiał też na światłowstręt.

– Potrzebny mi cyrulik. – Reynevan jakby czytał w myślach. – Albo apteka. Jakiś medykament na zapalenie spojówek. Świetlik, aloes, *faeniculum* albo *herba sancta*... Ale najpierw coś zjem, muszę coś zjeść. A ty opowiadaj.

– Co?

– Opowiadaj. – Reynevan sięgnął przez stół po białą kiełbasę z powielkanocnych remanentów. – O tym, co tymczasem na świecie zaszło.

– Dużo zaszło. Siedziałeś równe trzy lata, ale jakbyś siedział trzydzieści. Czasy są historyczne. Poznać po tym, że dzieje się dużo i szybko. Ty siedziałeś, a tu się działo. Bardzo dużo i bardzo szybko. Umknęło ci multum dziejowych momentów, by teraz to nadrobić, musiałbym klarować ci sprawy do rana, nie mam na to ni czasu, ni chęci.

– Znajdź czas i chęć. Proszę.

– Twoja wola. Po kolei zatem: Umarł papież Marcin V. Wybrano nowego...

– Gabriela Condulmera – potwierdził Reynevan. – Malachiaszową wilczycę niebiańską. A wybór dokonał się w niedzielę *Oculi*, czwartą przed Wielkanocą. Wywróżono mi kiedyś to wszystko. Poza imieniem. Jakie przybrał?

– Eugeniusza IV. A na Starym Rynku w Rouen Anglicy spalili żywcem Joannę d'Arc. Rozpoczął się sobór w Bazylei. Na Czechy ruszyła piąta z kolei krucjata, została sromotnie pobita pod Domażlicami. Prokop puścił z dymem całe księstwo oleśnickie, a potem z rejzą doszedł aż pod Bernau, trzy mile za Berlin. Zmarł książę Bolko Cieszyński. Zmarł Konrad z Vechty, arcybiskup praski. Zmarł biskup Jan Szafraniec, brat Piotra Szafrańca. Zmarł Fryderyk von Aufsess, biskup Augsburga... Dokąd idziesz?

– Zwymiotować.

●

– *Dulce lumen* – oświadczył nagle Reynevan. – *Et delectabile est oculis videre solem.*

– Hę?

– Słodkie jest światło i miło jest oczom widzieć słońce. Eklezjastes.

– Znaczy – odgadł Szarlej – lekarstwo trochę pomogło?

– Trochę pomogło. Ale nie tylko w tym rzecz. Bynajmniej nie tylko w tym.

Wyciąg z kopru włoskiego, werbeny, róży, jaskółczego ziela i ruty, niezawodny lek na stany zapalne oczu i powiek, znaleźli w aptece w Siewierzu, wcześniej ni aptek, ni cyrulików okolica nie znała. Reynevan zaaplikował sobie medykament, na skutek przyszło jednak trochę poczekać, a zabieg co jakiś czas powtarzać. Obżarłszy się „Pod Gąsiorem", niedawny więzień nie chciał już stawać po karczmach, narzekał na zaduch. Popasali więc na świeżym powietrzu. Niedaleko za Siewierzem, pośród przydrożnej brzeziny. Reynevan przemywał oczy płynem, powtarzając przy tym magiczne formuły, aby, jak głosił przepis na flakonie, „moc leku przyrodzona mocą nadprzyrodzoną skutecznieysza była ku uleczeniu".

Faeniculum, Verbena, Rosa, Chelidonia, Ruta
Lumina reddit acuta.

– Opowiadaj dalej, Szarleju – Reynevan przyłożył sobie okład na powieki. – Skończyłeś na tym, że umarło paru biskupów. Kto jeszcze umarł, gdy siedziałem? Z ludzi bardziej mnie interesujących?

– Krystyna de Pisan, poetka francuska. Kojarzysz? *Seulete sui et seulete vueil estre...* Aha, umarł też Witold, wielki książę Litwy. Pod koniec października 1430.

– Przyczyna?

– Zranił się przy upadku z konia, długo chorował...

– Przy tym upadku zranił się żelazem?

– Nie wiem. Możliwe. Z innych wydarzeń: Zygmunta Luksemburczyka koronowano na cesarza. A w Pabianicach król Jagiełło zawarł z husytami przymierze i zaczepny sojusz przeciw Zakonowi. W czerwcu ubiegłego roku Sierotki Jana Czapka z San ramię w ramię z Polakami wtargnęły do Nowej Marchii...

– O tym to akurat wiem. – Reynevan zdjął okład, pomrugał. – Dozorcy rzadko się do mnie odzywali, ale jeden był wyjątkowo źle nastawiony do Krzyżaków, radością ze zwycięstw musiał się z kimś podzielić. A co u nas? Korybutowicz wykroił sobie królestwo z Górnego Śląska?

– Nie bardzo. Rezydował w zdobytych Gliwicach, które miał zamiar uczynić swą królewską stolicą. Czwartego kwietnia 1431, trzy dni po Wielkanocy, książęta oleśniccy wzięli zamek zdradą i w pień wyrżnęli załogę. Korybut miał szczęście, nie było go wówczas w Gliwicach. Ale mrzonka o królestwie pękła jak bańka mydlana. Kniaź odszedł na Litwę. Czyli w niebyt i niepamięć.

– Bolko Wołoszek?

– Poczynał sobie ambitnie, rozszerzał panowanie tak, jak sobie zaplanował, zajmował zamki i miasta jedno po drugim. Nigdzie jednak nie utrzymał się długo, zewsząd go wypędzili. Ostatnie zdobycze, Bytom i Rybnik, Mikołaj Raciborski odebrał mu rok temu. Rydwan historii zatoczył koło, Wołoszek jest tam, gdzie był na początku, czyli na Opolszczyźnie. I tam zostanie.

– Puchała? Biedrzych? Piotr Polak? Inni?

– Puchała okupował Kluczbork i Byczynę, skąd wespół z niejakim Kochłowskim z Wielunia napadał, łupił i palił, dokuczał Ślązakom strasznie. Wojowali z nim, oblegali tygodniami, bez skutku. Obie strony zmęczyły się wreszcie wojaczką i zdecydowały załatwić sprawę handlowo. Po targach Puchała oddał Kluczbork za tysiąc dwieście pięćdziesiąt, a Byczynę za pięćset kóp groszy. Wydał zamki i odszedł ze Śląska. Z Sierotkami Czapka był w Marchii i pod Gdańskiem. Ale nie wrócił z nimi do Czech, został w Polsce.

– Jan Pardus trzyma się na zdobytym trzy lata temu zamku otmuchowskim. A Biedrzych ze Strażnicy i Piotr Polak mają bazy w Niemczy i w Wierzbnie, skąd Ślązacy wciąż próbują ich wykurzyć. Na razie bezskutecznie, ale to tylko kwestia czasu.

– Jak to? Nie rozumiem.

– Nie słuchałeś? Plany opanowania Górnego Śląska spełzły na niczym. Do polskiej interwencji nie doszło, zostawionych samymi sobie husytów Ślązacy wyprą ze swych ziem. Na posiłki z Czech liczyć nie ma co, bo tam sytuacja mocno się zmieniła.

– Niby jak?

– Ludzie są zmęczeni. Wojną, nędzą, głodem, anarchią, wiecznymi przemarszami wojsk, gwałtami, mordami i grabieżami. Jeśli więc ktoś zaczyna głosić pokój, powrót do prawa, porządku i systemu wartości, jeśli ktoś obiecuje ład, stabilizację i odbudowę struktur, to momentalnie zyskuje zwolenników. A takie hasła głoszą umiarkowani ugodowcy. I zyskują zwolenników. Kosztem Prokopa i Sierotek, którzy zwolenników tracą. Rewolucja nażarła się własnych dzieci i opiła krwią. Rewolucja stała się zanadto rewolucyjna, do tego stopnia, że nagle przeraziła samych rewolucjonistów. Radykałów nagle przeraził radykalizm, ekstremistów ekstremizm, fanatyków fanatyzm. I znienacka niemal wszyscy przewędrowali na pozycje umiarkowane. Kielich tak, wypaczenia nie. Husytyzm z ludzką twarzą. Koniec z wojną, koniec z terrorem, precz z radykałami, precz z Prokopem Gołym, precz z Sierotkami, niech żyją rokowania, niech żyje porozumienie...

– Porozumienie z kim?

– Z Rzymem, oczywiście. Po Domażlicach Rzym zmądrzał. Zmądrzał pobity i przepędzony spod Domażlic legat Julian Cesarini, zmądrzał Hiszpan Jan Palomar, zmądrzał nowy papież. Już wiedzą, że z husytami siłą nic nie wskóra, że trzeba sprytem. Że trzeba wykorzystać nastroje, pozyskać ugodowców i negocjować. Coś ustąpić, żeby coś zyskać. Już się dogadują. I dogadają się. Kielich zostanie, ale o, taki malutki. Swoboda wyznania będzie, ale o, taka tycia. Ekstremistów i niepoprawnych radykałów się wyrżnie. Niezdecydowanych się zastraszy. I będzie kompromis. Będą kompaktaty. Rzym to przyklepie, papież pobłogosławi, nowy praski arcybiskup pokropi. Kościół odzyska zagrabione dobra. Zygmunt Luksemburski odzyska czeski tron, bo ktoś musi być wszak gwarantem odnowy i ładu, co to za ład bez króla. A zatem Luksemburczyk na Hrad! On będzie rozjemcą pomiędzy ludami i wyda wyroki dla licznych narodów. Wtedy swe miecze przekują na lemiesze, a swoje włócznie na sierpy. I będzie fajnie jak nie wiem co.

– Nie będzie fajnie. Nie dojdzie do tego. To byłaby zdrada.

– Byłaby. I będzie.

– Dopuszczą do tego, w twoim mniemaniu, ludzie, którzy pobili i zmusili do ucieczki pięć krucjat? Zwycięzcy spod Witkowa, Wyszehradu, Sudomierza, Maleszowa, Usti, Tachowa i Domażlic? Dopuści do tego wierny Kielichowi lud czeski?

– Lud czeski płaci dziś za strych żyta trzydzieści cztery grosze, a za chleb półtora. Przed rewolucją żyto było po dwa grosze, a chleb kosztował jeden pieniądz. Tyle ma czeski lud z Kielicha i wojny. Reynevan, ja nie chcę dysputy. W przystępnych słowach przybliżyłem ci aktualną sytuację polityczną i nakreśliłem perspektywy, z wielką dozą prawdopodobieństwa przewidując wydarzenia najbliższych miesięcy, o ile nie dni. W więzieniu, wiem coś o tym, traci się kontakt z rzeczywistością, nieraz na długo. To z czasem wraca, ale nie należy forsować procesu. Nie forsuj więc. Zdaj się na mnie, zaufaj mi.

– Jaśniej?

– Pół mili stąd jest rozdroże, skrzyżowanie traktów. Pojedziemy stamtąd na południe, szlakiem na Olkusz, Zator i Cieszyn. Pokonamy Przełęcz Jabłonkowską, a stamtąd już droga prosta. Czadcza, Trenczyn, Nitra, Ostrzyhom, Buda, Mohacz, Belgrad, Sofia, Filipopol, Adrianopol. I Konstantynopol. Perła państwa bizantyjskiego.

– I ty mnie zarzucasz brak kontaktu z rzeczywistością?

– Moje plany są konkretne do bólu, trzymają się rzeczywistości tak krzepko, jak proboszcz parafii. A poparte są realną siłą ekonomiczną, jaką dysponuję. Jedź ze mną, Reinmarze, a klnę się na mą starą kuśkę, że jeszcze przed Adwentem zobaczysz żagle na Morzu Marmara, Złoty Róg, Hagię Sofię i Bosfor. Jak więc? Jedziemy?

– Nie, Szarleju. Nie jedziemy. Wybacz, ale mam całkiem inne plany.

Demeryt patrzył nań w milczeniu przez dłuższą chwilę. Potem westchnął.

– Obawiam się – rzekł wreszcie – że się domyślam.

– To dobrze.

– W marcu roku 1430, w lasach nad Kłodnicą – Szarlej podszedł, chwycił go za ramiona – mówiłeś, odchodząc, że masz dość. Szczerze mówiąc, wcale ci się nie dziwiłem. I, jak pamiętasz, nie zatrzymywałem. Twoja reakcja była dla mnie zupełnie zrozumiała. Przeżyłeś nieszczęście, odreagowałeś, szaleńczo rzucając się w wir walki o prawdziwą apostolską wiarę, o ideały, o sprawiedliwość społeczną, o *Regnum Dei*, o nowy lepszy świat. I nagle zobaczyłeś, że nie ma misji, jest polityka. Nie ma przesłania, jest wyrachowanie. Słowem Bożym i apostolską wiarą handluje się tak samo, jak każdym innym towarem: z perspektywą na zysk. A *Regnum Dei* możesz sobie obejrzeć na kościelnych freskach. Albo poczytać o nim u świętego Augustyna.

– Siedziałem w lochu – odrzekł spokojnie i cicho Reynevan – tracąc nadzieję, że kiedykolwiek wyjdę. Gryząc się myślą, że moje życie nie miało sensu. Siedziałem długo, w ciemnościach, ślepnąc jak kret. *Dulce lumen*, powtarzałem sobie słowa Eklezjastesa. I wreszcie dotarło do mnie, wreszcie zrozumiałem. Pojąłem, że to kwestia wyboru. Albo światłość, albo mrok. W więzieniu wyboru nie miałem, teraz mam. Mój wybór to światłość, *lux perpetua*. Jadę do Czech. Bo myślę, że jeszcze nie wszystko tam stracone. A jeśli nawet, to nie można tego oddać bez walki. Chcę nadać memu życiu sens, nadam, stając do boju. O ideały, o *Regnum Dei*, o nadzieję. A jeśli *Regnum Dei* ma zginąć, jeśli nadzieja ma przepaść, to niechaj i ja zginę i przepadnę. Jeśli to wszystko ma ostać się tylko na freskach, to niechaj i mnie na tych freskach namalują.

Szarlej cofnął się o krok.

– Być może liczyłeś – powiedział – że będę cię od tego pomysłu odwodził, prosił i błagał. Otóż nie. Nie będę. Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem, jak mówi twój ulubiony Eklezjastes. Jest czas szukania i czas tracenia, czas zachowania i czas wyrzucania, czas rozdzierania i czas zszywania. Los, Reinmarze, zszył nas ze sobą na ładnych parę lat, na parę lat wrzucił do dziejowego kotła i zdrowo w tym kotle mieszał. Czas rozpruć ten ścieg. Nim nastanie *Regnum Dei*, chcę ułożyć sobie sprawy tu i teraz, na tym świecie, bo *patria mea totus hic mundus est*. Nie stanę ramię w ramię z tobą do ostatniego boju, bo nie lubię bojów ostatnich i nie cierpię bojów przegranych, nienawidzę ginąć i przepadać. Absolutnie nie życzę sobie być namalowanym na fresku. Absolutnie nie chcę figurować na liście poległych w rozstrzygającej batalii sił Światła z siłami Ciemności. Tedy przyjdzie się nam pożegnać.

– Przyjdzie. Nie przedłużajmy tego zatem. Żegnaj, Szarleju.

– Żegnaj, Reinmarze. Daj pyska, druhu.

– Daj pyska, przyjacielu.

●

Zza okna dobiegał szczęk broni i metaliczny stuk podków na kamieniach podwórca, załoga Niemczy szykowała się do wypadu lub rajdu. Biedrzych ze Strażnicy zamknął okno, wrócił do stołu.

– Cieszę się – powtórzył – że cię widzę. Żywego, wolnego i w zdrowiu. Bo wieść głosiła...

– Mnie też – przerwał Reynevan – cieszy twój widok. I przyjemnie zaskakuje. Całą drogę zastanawiałem się, czy cię jeszcze tu zastanę. Czy aby wzorem Puchały nie sprzedałeś już Ślązakom wszystkich twoich zamków. Razem z ideałami i Bożą prawdą.

– Jak widzisz, nie sprzedałem – odparł zimno *director* placówek Taboru na Śląsku. – I nie oddałem, choć mocno mnie przyciskali. Mnie na Niemczy, Pardusa na Otmuchowie. Ale połamali zęby i z niczym odeszli.

– Spotkałem się z opinią, że to tylko kwestia czasu. Że nie utrzymacie śląskich zamków bez interwencji Polski i posiłków z Czech. A liczyć podobno na to nie można.

– Niestety – przyznał spokojnie Biedrzych. – Nie można. A zupełnie inaczej wyglądało to cztery lata temu. Zupełnie inaczej. Pamiętasz Szafrańca i jego szumny program? Powrót Śląska do macierzy? Berło Jagiellonów przewodzące wszystkim ludziom *linguagii slavonici*? Opanowanie międzymorza bałtycko-adriatyckiego? Ruś i Krym? Wielkie plany i gigantyczne zamysły, które biorą w łeb po lekkim uszkodzeniu jednej ikony, niezbyt dobrze zresztą podobno namalowanej.

– Polacy – podjął – gdy im przeszła złość po Częstochowie, chętnie widzieli Czapka u swego boku w walce z Krzyżakami, ale nam na Śląsku pomocy nie dali i nie dadzą. Po Częstochowie nawet Szafrańcy przygaśli, spuścili z tonu nawet Spytek z Melsztyna, Siestrzeniec i Zbąski. Jesteśmy tu sami. Nie ma Korybutowicza, Wołoszek siedzi jak mysz pod miotłą. A Czechy...

– Mów, słucham.

– W Czechach – powiedział po chwili kaznodzieja – jest źle z naszą sprawą. Po wiktorii domażlickiej Prokop miał serię wpadek. Przegrał parę bitew, nie poradził sobie z Pilznem, mocno stracił w oczach braci. Taka to już natura ludzka: raz powinie się noga, a oplują, zaszczują i zagryzą, o dawnych zasługach i zwycięstwach nikt nie będzie pamiętał. Skorzystało na tym skrzydło umiarkowane, ci, co od zawsze knuli, by dogadać się z Rzymem i Luksemburczykiem. Rzecz jasna, Stare Miasto praskie, rzecz jasna nasz stary znajomy knowacz Jan z Przybramu. I panowie szlachta, niegdyś dla prywaty na wyprzódki fastrygująca Kielich na rodowe herby, teraz na wyprzódki go odpruwa. I nie tylko neofici typu Menharta z Hradca i kalikstyni pokroju Borzka z Miletinka czy Jana ze Smirzyc; teraz za wzór umiarkowania i ugodowości robią

nasi dawni kamraci, Boży bojownicy jeszcze z Żiżkowych lat. Zebrali się w Pradze do kupy i chórem wołają o pokój. I o dobrego króla Zygmunta na czeskim tronie. Przepraszam: cesarza Zygmunta. Bo trzeba ci wiedzieć, że rok temu, w Zielone Świątki, mieliśmy wielką fetę. Nowy papież, Eugeniusz tego imienia czwarty, po mszy pięknie odśpiewanej i przez się osobiście celebrowanej, w kościele Świętego Piotra przed ołtarzem Świętego Maurycego przyozdobił szlachetną skroń Zygmunta Luksemburskiego cesarską koroną. Tym samym został ryży szelma cesarzem rzymskim i panem wszystkiego chrześcijaństwa. Ku wielkiej radości tych, co zawsze gotowi byli w pięty go całować. A gdy zasiądzie na Hradczanach, będą gotowi całować go w dupsko.

– A ty? – spytał zimno Reynevan. – Co z tobą? W co będziesz całować nowego pana, by wkupić się w łaski? Czy wolisz raczej targować się jednak ze Ślązakami o Niemczę, by dostać najlepszą cenę? I zaciągnąć się na polski żołd? To zamierzasz?

– Nie, nie to – zaprzeczył spokojnie Biedrzych ze Strażnicy. – Coś innego. Nie uznaję ugody z Zygmuntem i kompaktatów praskich, zamierzam zebrać oddział i pociągnąć do Czech. Na pomoc Prokopowi i Sierotkom. Jeszcze nie pora rezygnować i oddawać trony. Nie bez walki. Co na to powiesz?

– Jadę z tobą.

– A twoje oczy? Wyglądają...

– Wiem, jak wyglądają. Poradzę sobie. Jadę z tobą choćby dziś. Kogo zostawisz na Niemczy? Piotra Polaka?

– Piotra – skrzywił się *director* – rok temu pojmali wrocławianie. Trzymają go w turmie i kłócą się o okup. Niemczę powierzę komuś innemu. Nowemu sojusznikowi. O, o wilku mowa...

Skrzypnęły drzwi, do izby, schylając potężną postać pod ościeżnicą, wszedł rycerz o mocno zarysowanej szczęce i barach szerokich jak wrota katedry. Reynevan westchnął.

– Znacie się, prawda? – spytał Biedrzych. – Rycerz Hayn von Czirne, pan na zamczysku Nimmersatt. Niegdyś w służbie Wrocławia, od niedawna sojusznik Taboru. Dołączył do nas po zwycięstwie pod Domażlicami. Gdy mocno byliśmy górą.

Reynevan ułowił w głosie kaznodziei leciutki ton drwiny. Jeśli Hayn von Czirne też ułowił, to nie dał po sobie poznać.

– Pan Reinmar z Bielawy – powiedział. – No, no. Kto by przypuścił, że żywego obaczę.

– Właśnie. Kto?

– Zostawię załogę w Wierzbnie i na zamku otmuchowskim – podsumował Biedrzych, klaszcząc na pachołków, by przynieśli wina. – A pana Hayna na Niemczy. No, chyba żeby pan Hayn zapragnął jednak jechać z nami na bój do Czech...

– Pięknie dziękuję. – Raubritter poprawił miecz, usiadł. – Ale to wasz, czeski bój. Ja tu wolę zostać.

●

Stary mnich kronikarz z żagańskiego klasztoru augustianów odpędził natrętną muchę, zamoczył pióro w inkauście. Obejrzał je pod światło, nim zaczął pisać.

Zdarzyło się to w Roku Pańskim 1434, w niedzielę, in crastino Cantianorum, ipso die XXX mensis Maii. *Słońce było wonczas* in signo Geminorum et luna in gauda sive fine Piscium.
Gdy uszli byli z Nowego Miasta praskiego Thaborites et Orphanos, *ruszyli w ślad za nimi panowie katoliccy i ci z kalikstynów, co ugody z cesarzem Zygmuntem chcieli. I dognali ich między Kurzymiem a Czeskim Brodem, a byli tam* nobiles barones et domini *Menhart z Hradca, Dziwisz Borzek z Miletinka, Alesz Vrzesztiovsky ze Szternberka, Wilem Kostka z Postupic, Jan i Burian z Gutsztejna, Przybik z Klenowe i Zmrzlik ze Svojszyna, a z nimi katolicki pan Jan Szvihovsky, landfryd pilzneński, kontyngent z Mielnika, jako też rycerze, panosze,* clientes *i czeladź Oldrzycha z Rożmberka. Do kupy było ich trzynaście tysięcy zbrojnych, z czego ciężkiej jazdy półtora tysiąca koni. I ustawili się podle wsi Hrziby.*
Po przeciwnej stronie, u wsi Lipany, na stoku Lipskiej Góry czekał uszykowany huf taborsko-sierocy, pieszych dziesięć tysięcy i siedem setek konnych, skrytych we wagenburgu ze czterystu ośmdziesięciu wozów zbudowanym, lufami czterdziestu hufnic chronionym. A byli tam Prokop zwany Gołym, capitaneus et director secte Thaborensium, *i kaznodzieja Prokupek*dictus Parvus. *A takoż wodzowie: Jan Czapek z San,* capitaneus secte Orphanorum, *Ondrzej Kerzsky,* capitaneus de

Thabor, *Jira z Rzeczycy, Zygmunt z Vranova, Jan Kolda de Zampach, Rohacz z Dube i inni* capitanei cum aliis ipsorum complicibus.
Zrazu jednać się umyślili i pokojowo rzecz zakończyć, wszelako zbyt wiele było między niemi nienawiści i krwi. Przybyłego ze Śląska Biedrzycha ze Strażnicy, któren do ugody nawoływał, zelżono i omal nie zabito, musiał z pola ze swymi ludźmi ustąpić i precz iść. A oni z hufnic, taraśnic i innych pixides *palić do siebie jęli, aż się huk wielki uczynił i dym całe pole zasnuł. A zasię uderzyli w ten dym żelaźni rożmberscy panowie, lecz ich odparto, a oni tył podali. Krzyk wielki się wonczas podniósł wśród Taboru i Sierotek, że oto ucieka wróg, że trza gonić go i dobić. Rozwarli wagenburg i runęli kupą w pole.*
I to był ich koniec. I ich zagłada.

●

– Staać! Staaaaać! – ryczał Jan Czapek z San. – To podstęp! Zewrzeć wozy! Nie wychodzić z *hradby*!

Jego głos ginął w bitewnej wrzawie i huku wystrzałów, strzelcy z wozów taboryckiego wagenburga bezustannie palili do wycofującego się rycerstwa. A taboryci i Sierotki wypadli w pole, rycząc, wywijając cepami i halabardami.

– Hyr na niiiich!

I wtedy posypały się na nich pociski. Grad kul, siekańców i bełtów. Pozycję kalikstynów okutał dym. A z dymu runęła pancerna jazda. Na pozbawioną osłony wozów, rozproszoną po polu piechotę.

Kto mógł, uciekał, kto miał szczęście uciec przed mieczami rycerstwa, ten dopadł wozów, gdzie zachrypnięci od wykrzykiwanych rozkazów hejtmani usiłowali zewrzeć szyk i formować obronę. I na to było jednak za późno. Zawrócili pozorujący ucieczkę rożmberscy, wbili się pomiędzy rozstawione wozy, wdarli do wagenburga, nadziewając obrońców na kopie i zmiatając ich w pędzie.

Ondrzej Kerzsky ze swoją konnicą rzucił się na nich. Skłuto ich kopiami i zmieciono, lekkozbrojni taboryci nie byli w stanie powstrzymać zakutej w żelazo jazdy. Skoczył na pomoc Jan Czapek, wymachujący mieczem i zwołujący piechotę. Skoczył i Reynevan. Widział przed sobą wyszczerzone końskie pyski, napierśniki i salady, widział las nastawionych kopii, pewien był, że idzie na śmierć. Jeźdźca obok kopia przebiła na wylot i wyrwała z kulbaki, nim kopijnik zdołał

puścić drzewce, Reynevan dojechał go i rąbnął mieczem, raz, drugi raz, spod rozwalonego naramiennika bryzgnęła krew. Drugi jeździec uderzył go koniem, ciął szeroko, Reynevan ocalił życie, kuląc się za końską szyją. Rożmberczyk nie zdołał ciąć drugi raz, taboryccy piechurzy zaczepili go hakami gizarm i zwlekli z kulbaki. Naskoczył trzeci, z toporem, widząc, że nie ma z nim szans, Reynevan wrzasnął, szarpnął wodze, kolnął konia ostrogami. Koń stanął dęba, zamłócił przednimi nogami, podkowy spadły na nabiodrek i szorcę, zgniotły blachy, rożmberczyk zakrzyczał, spadł na ziemię. Dokoła szalała dzika rąbanina, pod kopytami koni zgrzytały blachy i chrupały kości.

Na oczach Reynevana rożmberscy pancerni zarzucili na wozy wagenburga łańcuchy z hakami, obrócili konie, targnęli. Wozy przewróciły się, przygniatając strzelców i kuszników. W wyłom wwaliła się kalikstyńska jazda, konni rzeką wtargnęli się do wewnątrz, kłując, rąbiąc i tratując. Rozerwany wagenburg nagle zamienił się w pułapkę bez wyjścia.

– To koniec! – krzyknął Jan Czapek z San, rąbiąc mieczem na lewo i prawo. – Klęska! Już po nas! Ratuj się, kto może! Reynevan! Do mnie!

– Do mnie! – darł się Ondrzej Kerzsky. – Do mnie, bratrzy! Ratuj się, kto może!

Reynevan obrócił konia. Wahał się tylko moment, krótki moment, moment decydujący o życiu lub śmierci. Zobaczył, jak pancerna jazda pokotem kładzie slańskich cepników i oszczepników z Kutnej Hory, jak pod miecz idą Sierotki z Czeskiego Brodu. Jak wali się z siodła Zygmunt z Vranova. Jak pada skłuty kopiami i posieczony mieczami walczący na wozie Prokop Goły. Jak upuszcza monstrancję i pada ugodzony śmiertelnie Prokupek. Jak bitwa zmienia się w rzeź.

I ogarnął go strach. Potworny, skręcający kiszki strach.

Przylgnął do grzywy konia i pomknął za Czapkiem. W przerwę między wozami, pod gradem kul i bełtów. W dół, w dół, wąwozem, stokiem góry. Byle dalej.

Byle dalej od Lipan.

●

– Do Kolina! – krzyknął Jan Czapek. – Do Kolina! Byle konie wytrzymały! Reynevan! Co ty tam robisz, do czarta?

Reynevan zeskoczył z kulbaki. Upadł na kolana. Opuścił czoło do samej ziemi. I rozszlochał się.

– Sens życia... – łkał, krztusząc się. – Ideały... *Lux perpetua*... A uciekam z bitwy... Jak tchórz... Nawet polec... Nawet polec jak należy nie umiałem!

Czapek otarł twarz z sadzy, potu i krwi. Pokręcił głową, splunął.

– To jeszcze nie koniec! – zawołał. – Jeszcze im pokażemy! A co? Mieliśmy dać się zabić? Jak głupi? Dziś umykamy, by jutro móc bić się znowu! Wstawaj, Ślązaku, wstawaj! Widzisz? To już koliński trakt! Jedziemy do Kolina, tam nas nie dostaną! Wstawaj i na koń! Słyszysz?

– Jedź sam.

– Co?

– Jedź sam. Ja w Kolinie nie mam czego szukać.

Ciepły majowy deszcz padał i szumiał na liściach.

Tak, tak, szlachetni rycerze, tak, bogobojni mnisi, wierzajcie mi, mości panowie kupcy, srogi był lipański *conflictus*, zajadły był bój na stokach Lipskiej Góry.

Bito się na śmierć aż do późnego wieczora. Do późnego wieczora, do ciemności niemal samych ginęli bracia z Taboru i Sierotki. Jednych pobito w polu, innych w wagenburgu, innych w ucieczce. Łącznie padło, mówią, blisko dwa tysiące Bożych bojowników, wśród nich i Prokop Goły, Wielkim zwany. Wielu braci w niewolę wzięto. Co ważniejszych życiem darowano. Ale więcej niż siedem setek wziętych w niewolę zagnali rożmberscy do stodół pod Czeskim Brodem i tam żywcem ich spalili.

I był to wielki triumf kalikstynów i katolików. I koniec taborycko-sierocych wojsk polnych.

Nazajutrz zaś po Lipanach, ostatniego dnia maja roku 1434, w Gródku, w drodze do Halicza, gdzie miał odebrać hołd od nowego wojewody mołdawskiego Stefana, w ośmdziesiątym piątym roku życia umarł na rękach duchownych i świeckich Władysław Jagiełło, król Polski. Tegoż roku, w dniu Jakuba apostoła, wstąpił na wawelski tron syn Jagiełły, Władysław Jagiellończyk, dziesięć wiosen sobie liczący.

Była rewolta na Litwie, przeciw unii z Polską i wszystkiemu, co polskie, zbrojnie wystąpił wichrzyciel Świdrygiełło, stryj nowego króla, popierany przez Zakon Inflancki, Rusinów i Zygmunta Korybutowicza, niedoszłego władcę Czech i Górnego Śląska. W roku 1435, w dniu świętemu Idziemu poświęconym, w *dies Jovis*, dni czternaście przed *equinoctium autumnale*poległ Korybutowicz w walce z Polakami. W bitwie stoczonej pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą.

Urodzajnym rokiem był rok 1435. Może pamiętacie? Wszak roków zaledwie pięć mija. Żęto w niektórych miejscach już przed Piotrem i Pawłem, a po Piotrze i Pawle było już po żniwach wszędzie. Winorośl w winnicach odkwitła przed świętym Witem, a krótko po świętym Wicie

już były grona duże jak groch, a miejscami jak kozie bobki. Wielce gorące było lato tego roku, tak skwarne, że ludzie mdleli na polach.

Tegoż roku jesienią objawiła się na niebiesiech kometa jasna z żagwiastym chwostem na zachód obróconym. Orzekli astrologowie, że zły to znak. I rację mieli. Wybuchł mało co potem wielki mór na Śląsku, w Czechach, w Saksonii i w innych ziemiach, dużo ludzi odeń pomarło. W Dreźnie, mówią, za jeden dzień więcej niż stu umarłych grzebiono. Wielu znacznych ludzi umarło, wielu. A we Wrocławiu umarł kanonik Gwisdendorff. I bardzo dobrze, że umarł, bo skurwiel był, że hej, *oret pro anima sua, quis vult*. Szkoda, że takich jak on więcej nie umarło, żyłoby się na Śląsku lepiej.

W roku 1436, dwa lata po masakrze Taboru i Sierotek pod Lipanami, w dzień przed Bartłomiejem wjechał do Złotej Pragi Zygmunt Luksemburski, *dei gratia Romanorum imperator, Ungarie, Boemie, Dalmacie et Croacie rex*. Liczni witali go wiwatami i krzykami radości, ze łzami szczęścia w oczach wiedli na Hrad. Ale byli i tacy, co monarchą Luksemburczyka nie uznali, uzurpatorem, ryżym szelmą i królem babilońskim okrzyknęli, a co poniektórzy wręcz wojnę z nim rozpoczęli. Kaznodzieja Ambroż, Biedrzych ze Strażnicy, Jan Kolda z Żampachu, a nade wszystko sławny hejtman Jan Rohacz z Dube. Ten ostatni tak się dał we znaki, że go wnet na jego twierdzy Sion cesarskie wojsko obległo. Twierdza padła, a wziętych w niewolę Rohacza, Wyszka Raczyńskiego i towarzyszów powieziono do stolicy. Tam wszyscy z rozkazu cesarza Zygmunta okrutnie byli męczeni i długo katowani, a na koniec na wielkiej szubienicy powieszeni. Stało się to w poniedziałek, nazajutrz po dniu *Nativitatis beate Marie virginis* Anno Domini 1437.

I był długi płacz u ludu. Płakali ludzie, ilekroć o tym jaka wzmianka była.

Rozdział dwudziesty trzeci

w którym wszystkiemu przychodzi koniec.

– Od smutku słabnie me oko – użalił się smutnym cytatem Jan Bezdiechovsky z Bezdiechova, najstarszy, najbardziej doświadczony i najbardziej szanowany spośród praskich czarnoksiężników kongregacji apteki „Pod Archaniołem".

– Słabnie oko, siła i wnętrzności – dodał, nalewając z karafy do kubków. – Zgryzota trawi me życie, a wzdychanie moje lata. Siłę moją zachwiał ucisk i kości moje osłabły. Innymi słowy, Reinmarze, starość, żeby ją zaraza, nie radość. Ale dość o mnie, dość. Opowiadaj, co z tobą. Podobno twoja panna... Prawda to?

– Prawda.

– A nasz przyjaciel Samson...

– Też prawda.

– Żal, żal... – *Reverendissimus doctor* uniósł kubek, pociągnął tęgi łyk. – Wielki żal. A ty pod Lipanami, mówią, byłeś... Ludzi tam podobno żywcem w stodołach palono, setki ludzi. Horror, horror. I co teraz, rzeknij? Czemu ninie być?

– To koniec pewnej epoki. Przełom. W Czechach wrze jak w garnku...

– A szumowiny wypływają – odgadł Bezdiechovsky. – Jak zwykle na sam wierzch. A ty? Będziesz dalej walczył?

– Nie. Poniosłem klęskę. We wszystkim. Mam dość.

– Ciekawych czasów przyszło dożyć – westchnął starzec. – Ciekawych. I śmiesznych, i strasznych... Na szczęście niedługo już tego życia...

– Co też wy, mistrzu...

– Niedługo, niedługo. Jedyne, co mnie jeszcze przy życiu trzyma, to wyskok. Wyskokowe napitki.

– Wyskok winny – Bezdiechovsky uniósł kubek – to istny *aether*, który usuwa z organizmu substancje nieczyste, zgęstłej zaś, skrzepłej i gnuśnej krwi przywraca płynność i żywość. W gorzałce, jak w kwintesencji, zawiera się ekstrakt najwyższej harmonii. Wódka działa tak, jak się nazywa: to woda życia, *aqua vitae*, płyn życiodajny, który

może przedłużyć nasze dni, ba, może nawet śmierć odstraszyć i zgon opóźnić... Ach, co tu gadać! Wypijmy!

– Mistrzu.

– Słucham cię, synu.

– Nie zabawię w Pradze długo, wracam na Śląsk. Mam tam... rachunki do wyrównania. Odwiedziłem was, bo... Mam prośbę. Na tyle nietypową, że nie śmiem z nią ani do Telesmy, ani do Edlingera Brehma... Mogę tylko do was. W nadziei, że zechcecie zrozumieć...

– Wal śmiało. Czego ci potrzeba?

– Trucizny.

●

– Mam wszystko, o co prosiłeś, mistrzu Janie – bibliotekarz Szczepan z Drahotusz spojrzał na Bezdiechovskiego i Reynevana podejrzliwie, zwalił na stół naręcze ksiąg. – *Turba philosophorum*, czyli przełożona *Mushaf al-gama'a*. *Sirr al-asrar*, *Secretum secretorum*, w oryginale, jeśli będziecie mieli trudności z arabskim, poproście o pomoc Teggendorfa. *Epistola de dosibus tyriacalibus* Arnolda Villanovy. I biały kruk: *Questiones de tyriaca* Guglielma de Corvi. Ciekawość, do czego wam te dwa ostatnie dzieła? Zamierzacie kogoś otruć czy co?

●

– Oto – Jan Bezdiechovsky z Bezdiechova uniósł flakon z opalizującym zielonkawym płynem – twoja trucizna, Reinmarze.

Reynevan milczał, pobladły. Bezdiechovsky odstawił flakon, podrapał się w posiniały nos.

– Twój obiekt, jak twierdzisz – zaczął – stale przyjmuje płynne złoto, *aurum potabile*. Tym samym jest absolutnie odporny na wszystkie znane toksyny i trucizny w swej podstawowej formie. Konieczne jest więc zastosowanie *compositum*, wielostopniowej trucizny kombinowanej.

– Samo *aurum potabile* nie reaguje z niczym. Wszelakoż założyć należy, że przyjmujący *aurum* dawkują sobie także inne specyfiki, a to celem zachowania organicznego balansu, równowagi somatycznej i supresji skutków ubocznych. Takimi specyfikami bywają *confectiones magnae*, *confectiones opiatae*, niektóre *panacea*, jak na przykład *Hiera*, i niektóre*athanasia*, jak *Theriak*.

– Nasze *compositum*, alchemiczne *magisterium* Edlingera Brehma, ma za *menstruum* bezsmakową *aqua fortis*. Wykorzystane *simplicia*, jeśli cię to zainteresuje, to między innymi zimowit, *colchicum autumnale*, i wilcze łyko, *daphne mezereum*. Nic szczególnego i nowego, zimowitem, jak zgadnąć z łacińskiej nazwy, truła już w Kolchidzie Medea. Tym, co w naszym kompozycie jest najbardziej odkrywcze... i najbardziej zabójcze... jest bufotenina. Przetworzony magicznie wyciąg z aktywnych substancji zawartych w wydzielinie gruczołów ropuchy.

Bezdiechovsky sięgnął po karafę, nalał sobie.

– Gdy zaaplikujesz mu truciznę, obiekt po jakimś czasie będzie miał objawy towarzyszące negatywnej reakcji na *aurum potabile*. Jak zwykle zażyje wówczas *panaceum*. Z *panaceum*zareaguje zimowit, powodując biegunkę. Środek przeciw biegunce zareaguje z *mezereum*, multiplifikując objawy i bardzo podnosząc temperaturę ciała. Obiekt zażyje wówczas *Hierę* lub*Theriak*, a z wytworzonym przez to wszystko odczynem gwałtownie zareaguje bufotenina.

– Śmierć nastąpi szybko? Bezboleśnie?

– Wprost przeciwnie.

– To dobrze. Wielkie dzięki, mistrzu.

– Nie dziękuj. – *Reverendissimus doctor* golnął sobie z kubka. – Jedź i otruj skurwysyna.

●

Ludzie aż przystawali, odwracali się, gapili z otwartymi z podziwu gębami, szeptali, pokazywali palcami. Było co pokazywać, było co podziwiać. Zdawało się, legenda, baśń i rycerski epos ożyły i zawitały do Wrocławia, na ludną ulicę Zamkową. Środkiem ulicy, w szpalerze rozstępujących się wrocławian, stąpał oto tanecznie przepiękny skarogniady ogier, odziany w śnieżnobiały kropierz i udekorowany wokół szyi girlandą z kwiatów. Na ogierze siedział młody rycerz w czarno-srebrnym wamsie i aksamitnym berecie z piórami. Rycerz wiózł przed sobą na łęku śliczną jak obrazek pannę w białej *cotehardie* i kwietnym wieńcu na jasnych włosach, bujnych i rozpuszczonych jak u leśnej nimfy. Panna obejmowała rycerza i darzyła go namiętnym i pełnym miłości spojrzeniem, a co jakiś czas nie mniej namiętnym pocałunkiem. Koń stąpał, rytmicznie stukając podkowami, ludzie gapili się w zachwycie. Zdawało się, oto zjechał do Wrocławia ktoś wprost ze

strof romansu, ze słów pieśni trubadura, z opowieści barda. Oto, szeptali wrocławianie, spójrzcie, Lohengrin wiezie Elzę z Brabantu, Erek trzyma na łęku Enidę, oto Alkasyn w objęciach swej Nikoletty, oto Floris i Blanchefleur. Oto, patrzcie, Yvain i Pani na Źródlech, oto Garet i Lionessa, oto Walter i Hildegunda, oto sam Parsifal ze swą Condwiramurs.

– Gapią się – Parsifal von Rachenau oderwał usta od ust narzeczonej. – Gapią się na nas bez przerwy...

– Niech się gapią – Ofka von Baruth, wkrótce von Rachenau, poprawiła pozycję na łęku, spojrzała z miłością w oczy narzeczonego. – A ty przyrzekłeś.

Fakt, Parsifal von Rachenau przyrzekł. Obu ojców, Tristrama von Rachenaua i Henryka Barutha, narzeczeni po oficjalnej zaręczynowej ceremonii pozostawili więc piwu i winu, matki zaś, Hrozwitę von Baruth i Berchtę Rachenau, marzeniom o wnukach. A narzeczony Parsifal spełnił obietnicę daną narzeczonej. Że romantycznie przewiezie ją przez cały Wrocław. Od rynku do katedry i z powrotem. Na łęku. Na skarogniadym kastelanie, podarunku od Dzierżki de Wirsing.

Wrocławianie gapili się. Podkowy zahukały o deski i dyle, narzeczeni wjechali na Most Piaskowy. Przechodnie rozstępowali się przed nimi. Ofka nagle westchnęła głośno, wpiła paznokcie w bark Parsifala.

– Co się stało? Ofka?

– Widziałam... – Ofka przełknęła ślinę. – Zdawało mi się, że widziałam... Znajomą...

– Znajomą? Kogo? Może zawrócić?

Ofka znowu przełknęła, przecząco pokręciła głową, rumieniąc się mimowolnie. Lepiej nie, pomyślała. Lepiej nie wracać do dawnych spraw, lepiej wykreślić je, wyrzucić z pamięci. Tamto popołudnie na szczycie Raduni. Lepiej, by ukochany nie wiedział, że to za sprawą białej magii, że to magia ich połączyła, że to czary pokonały przeszkody i sprawiły, że są razem, dziś i na zawsze, bo co Bóg złączy, tego nie rozłączyć.

Ciekawe, pomyślała nagle, czy i im się udało, czy dla nich magia była równie przychylna. Dla Elenczy... I dla Elektry. Elektry, twarz której przed momentem widziałam w tłumie.

– Ledwo się znałyśmy – wyjaśniła, siląc się na obojętność. – Nazywała się Elektra.

– Dziwię się rodzicom – rzekł Parsifal – nadającym dzieciom takie imiona. Nazwiesz to przesądem, ale ja bałbym się, że imię może okazać się prorocze i wpłynąć na los potomka.

– To znaczy?

– Elektra była córką Agamemnona, króla Myken. Uwielbiała ojca; gdy go zamordowano, oszalała z nienawiści i pragnienia zemsty. Zemściła się, ale popadła w obłęd. Nie nadałbym córce takiego imienia.

– Ja też nie. – Ofka przytuliła się do narzeczonego. – Naszą córkę ochrzcimy Beatą.

●

Dzwon u Panny Marii na Piasku obwieścił sekstę. Reynevan przepychał się przez ciżbę, hołubiąc i chroniąc ukryty za pazuchą flakon z kompozytową trucizną. Był zdecydowany. Wypatrywał okazji. Od dawna wypatrywał okazji.

●

Ochraniany przez Kuczerę von Hunta i jego ludzi Pomurnik kroczył środkiem Mostu Piaskowego, uniesioną dłonią pozdrawiając cisnących się ku niemu wrocławian. Jego kaftan zdobił gruby złoty łańcuch, symbol władzy. Pomurnik miał władzę. Biskup Konrad scedował nań świeckie namiestnictwo całego Śląska, mianował *Oberlandeshauptmannem*, zarządcą, starostą i jedynowładcą Wrocławia, wywyższając go ponad miejską radę i ławę. Tak to Birkart Grellenort stał się najpotężniejszym po biskupie człowiekiem na Śląsku. Stał się nim przy powszechnej aprobacie i ku ogólnej radości. Trwała wszak zacięta wojna z husytami, wciąż były w husyckim ręku Niemcza i Otmuchów, wciąż grasowały na Śląsku bandy husyckich maruderów i sprzymierzonych z nimi rycerzy rabusiów. Lud chciał władzy zdecydowanej i silnej, skupionej w jednym silnym ręku. Potrzebny był mąż opatrznościowy, wódz i obrońca. Wrocławianie wierzyli w swego obrońcę, wierzyli, że uchroni ich, obroni, podniesie z ruin, wzbogaci i uszczęśliwi. Wierzyli i patrzyli weń jak w tęczę i w ikonę.

– Zbawco!

– Ucieczko nasza!

– Dobroczyńco!

Pod nogi Pomurnika sypały się kwiaty. Matki wyciągały ku niemu dzieci, by raczył pobłogosławić. Czeladnicy cechowi klękali. Biedota rzucała się do nóg, skąd była szybko i skutecznie wykopywana przez ludzi von Hunta.

– Pod twoją obronę!

– Bądź nam ratunkiem!

– Wodzu, prowadź!

Za Pomurnikiem dreptał ojciec Felicjan Gwisdek, obecnie von Gwisdendorff, za wierność i zasługi podniesiony przez biskupa na prebendę i urząd kanonika w kolegiacie Świętego Krzyża. Ojciec Felicjan uśmiechał się do tłumu, błogosławił i marzył. O tym, że wkrótce to on będzie szedł przodem, a Pomurnik z tyłu. Kuczera von Hunt też się uśmiechał, zaciskając zęby, odtrącał natrętów.

– Wszystko rozpatrzymy – obiecywał z uśmiechem Pomurnik, odpychając wyciągane ku niemu petycje i prośby. – Wszystko drobiazgowo rozpatrzymy... Winnych ukarzemy! Zapanuje prawo! I sprawiedliwość!

– Won – syczał do petentów Kuczera. – Won, bo kopnę...

– Nastanie złoty wiek dla Wrocławia... – Pomurnik pogładził po główce kolejną dziewczynkę z bukiecikiem. – Złoty wiek! Po zwycięstwie nad wrogami!

– Ale walka jeszcze nie skończona! – obwieszczał głośno. – Jeszcze gad nie dobity! Musicie być gotowi do ofiar i wyrzeczeń...

Urwał, widząc stojącą tuż przed nim jasnowłosą dziewczynę. Jej twarz kogoś Pomurnikowi przypominała. Niepokojąco przypominała. Jej twarz, pomyślał, jest starsza od niej samej.

Wyciągnął rękę do błogosławieństwa. Coś kazało mu ją cofnąć.

– Czy ja cię znam?

– Jestem Sybilla z Bielawy – powiedziała dźwięcznie dziewczyna. – Córka Piotra, zwanego Peterlinem. Giń, morderco.

To stało się szybko. Tak szybko, że Kuczera von Hunt spóźnił się z reakcją. Nie zdążył ani odepchnąć Pomurnika, ani obezwładnić dziewczyny. Ta zaś wydobyła spod opończy krótki praski „zdradny” samopał i z odległości pół kroku wypaliła Pomurnikowi prosto w pierś.

Wszystko okutał gęsty dym, w którym dziewczyna znikła jak duch. Jak zjawa. Jak mara senna.

Tłum rozstąpił się z krzykiem, rozbiegł, rozproszył. Pozwalając Reynevanowi widzieć.

Widział, jak postrzelony Pomurnik zatoczył się, ale nie upadł. Jak spojrzał na okopconą i zakrwawioną pierś, na wbite kulą w ciało ogniwa złotego łańcucha. Jak zaśmiał się dziko.

– Łapcie ją... – stęknął, łapiąc oddech. – Chwytajcie... Skórę z suki pasami zedrę...

– Ranniście!

– To nic... Nic mi nie jest... Trzeba trochę więcej, by mi zaszkodzić... Zwykła kula to za ma...

Urwał, zakrztusił się, oczy wyszły mu z orbit. Z gwałtownym kaszlem buchnęła mu z ust czarna posoka. Wrzasnął, zakrzyczał, zakrakał. Zrozumiał. Zrozumiał to też Kuczera. Zrozumiał skulony na ziemi kanonik Felicjan. Zrozumiał patrzący Reynevan.

To nie była zwykła kula.

Pomurnik zakrzyczał. I zaskrzeczał, a nim skrzek przebrzmiał, na oczach wszystkich zmienił się w czarnego ptaka. Ptak ciężko zatrzepał skrzydłami, wzbił się, pofrunął, siejąc kroplami krwi, nad Odrę, w stronę Ostrowu Tumskiego. Nie uleciał daleko. Wszyscy widzieli, jak nad rzeką ptak wśród makabrycznego wizgu i skrzeku przemienił się w wielkiego, niekształtnego, tryskającego krwią ptakostwora, wierzgającego nogami i machającego skrzydłami. Metamorfoza dokonywała się na oczach wszystkich, w szare wody Odry potwór upadł już w postaci człowieka. Konającego człowieka ze złotym łańcuchem na piersi.

Woda zamknęła się nad trupem. Została krwawa, rozwłóczana nurtem piana.

●

Trup Pomurnika zatrzymał się na izbicy Długiego Mostu, wczepiony w naniesione gałęzie. Unosił się na wodzie, twarzą w dół, kołysany nurtem, dobrą godzinę. Wreszcie spłynął, woda poniosła go wzdłuż młynów, na piaszczyste łachy, gdzie kilkakroć osiadał na płyciznach. Potem porwał go silniejszy prąd, posyłając znów pod lewy brzeg, na Garbary, w śmierdzące ścieki warsztatów skórniczych. Kręcąc się w wirach, dopłynął do Jazu Sokolnickiego, woda przeniosła go przez tamę.

Na głębi za wyspą kręcący się w wirach topielec przyciągnął uwagę ogromnego odrzańskiego suma. Ale trup był wciąż zbyt świeży, by

można było wyszarpać z niego mięso, targająca zwłoki wielka ryba zdołała jedynie obrócić je na wznak. Gdy więc Pomurnik wpłynął na rozlewisko przy Szczepinie, obsiadły go rybitwy. Do Bytynia dopłynął już bez oczu, z dwiema krwawymi dziurami w twarzy.

W Popowicach pojący krowy pastuszkowie pokazywali go sobie palcami.

Było późne popołudnie, gdy dopłynął na wysokość Kleczkowa. Do umocnionej faszyną ostrogi.

Na ostrodze siedział rybak w słomianym kapeluszu, uzbrojony w leszczynowe wędzisko. Przez chwilę patrzył na obracającego się we wstecznym prądzie topielca. Na jego czarne włosy, falujące w wodzie jak anemony. Na ptasią twarz i ptasi nos...

– Nareszcie! – Rybak skoczył na równe nogi. – Nareszcie! Chwała filozofom!

– Przypłynąłeś, Birkarcie von Grellenort! – krzyczał Wendel Domarasc, pląsając jak dziki i wymachując rękami. – Długo czekałem, cierpliwie, tak, cierpliwie czekałem nad rzeką! Aż wreszcie przyniosła cię Odra! I mogę na ciebie popatrzeć! Och, jakem rad, mogąc na ciebie popatrzeć!

Trup odbił się od ostrogi, zakręcił, wpadł w nurt. Były husycki szpieg pomachał mu na pożegnanie.

– Kłaniaj się ode mnie Bałtykowi!

I to byłby koniec opowieści. *Completum est quod dixi de Operatione Solis.*

Finis coronat opus. Skończyłem. I utrudziłem się setnie. *Explicit hoc totum*, a ty, miła dzieweczko, *infunde mihi potum!* Nalewaj, nalewaj! Wypiję na drogę kufelek świdnickiego. Albo dwa.

Bywajcie, szlachetni i dobrzy panowie. Niechaj opatrzność chroni was na szlaku od nieszczęścia i złej przygody. Nie, nie, rzekłem, koniec to koniec, więcej bajać nie będę. Bo dalej fantazja moja nie nadąży.

Dalej fantazja moja nie nadąży.
A już wtórzyła pragnieniu i woli
Jak koło, które w parze z kołem krąży
Miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy.

L'amor che move il sole e l'altre stelle...

Dziwnie chodzi jakoś za mną ten Dante...

Koniec mowy. Bo choć, jako mądrze rzecze Eklezjastes, pisaniu wielu ksiąg nie ma końca, kończyć jednak trzeba. Mus taki.

Na mnie już czas. Do Konstantynopola daleka droga, a chciałbym jeszcze przed Adwentem zobaczyć żagle na Morzu Marmara, Złoty Róg i Bosfor.

Chcę zobaczyć moje marzenie. Zanim bezpowrotnie zniknie.

Bywajcie w zdrowiu. A na odchodnym... Zaprawdę powiadam wam, każdemu z osobna: pomnij na Eklezjastę. *Primo: omnia vanitas*, wszystko to marność. *Secundo:* wszystkiego tego wysłuchawszy, Boga się bój i przykazań Jego przestrzegaj, bo cały w tym człowiek!

Bóg bowiem każdą sprawę wezwie na sąd, wszystko, choć ukryte: czy dobre było, czy złe.

Czy dobre, czy złe.

Rozdział dwudziesty czwarty

który jest początkiem.

Usłyszawszy na podwórcu stuk kopyt i rżenie Elencza pewna była, że to Dzierżka, że wcześniej, niż zamierzała, wraca z sąsiedzkiej wizyty u Rachenauów. Wyszła na próg, nie odpasując fartucha. Na widok jeźdźca zalała ją fala gorąca. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a ręce zaczęły się trząść.

– Witaj – powiedział Reynevan. – Witaj, Elenczo.

Elencza nie była w stanie wykrztusić słowa. Pochyliła tylko głowę.

Reynevan zsiadł.

Podszedł.

I objął ją. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała płacz. Nie całkiem i nie do końca.

Niebo na wschodzie ciemniało zapowiedzią nawałnic. Ale tu, nad nimi, nad Skałką, słońce przebiło się przez chmury, zalewając świat słupem światłości. Reynevan spojrzał w górę.

– Słodkie jest światło – powiedział. – I miło jest oczom widzieć słońce.

Twarz miał zmienioną. Bardzo zmienioną. Był inny. Elencza skonstatowała to z mieszaniną zgrozy i ulgi.

– Witaj... – odchrząknęła, pociągnęła nosem. – Witaj w Skałce... Przyjechałeś... na długo?

Patrzył na nią. Milczał. Długo. Tak długo, że zwątpiła, czy odpowie. Ale odpowiedział.

– Chyba zostanę.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO

Przypisy

Prolog

Lacrimosa dies illa... – Hymn żałobny *Dies irae* (*Dzień gniewu*) według legendy ułożył i zaśpiewał prowadzony na kaźń więzień, tłum zaś tak płakał, a kat tak się wzruszył, że egzekucję musiano odwołać. W rzeczywistości autorem *Dies...* jest XII-wieczny franciszkanin Tomasz z Celano. Korzystam z przekładu Anny Kamieńskiej (*Do źródeł. Psalmy i inne przekłady poetyckie*, Poznań 1988).

Dzień nieszczęsny się nachyla,
gdy rozpęknie się mogiła,
wstanie na sąd człowiek grzeszny,
Ty go oszczędź, Boże wieczny.

Rozdział pierwszy

„Bastard Orleański..." – Hrabia Jean Dunois, jeden z najsławniejszych wodzów Wojny Stuletniej, był faktycznie bękartem z nieprawego łoża. Ludwik Orleański, brat króla Francji Karola VI, spłodził go w pozamałżeńskim związku z Małgorzatą d'Enghien. Zabawną anegdotę o tej miłostce opowiada Brantôme w *Żywotach pań swawolnych*, dokąd zainteresowanych historycznymi i erotycznymi anegdotami odsyłam.

„...pokazywali uciekającym dwa uniesione palce..." – „Dwupalcowy" gest wziął się jakoby na wojnie stuletniej stąd, że mściwi Francuzi ucinali wziętym do niewoli angielskim łucznikom dwa palce, wskazujący i środkowy, aby nigdy już nie mogli napiąć cięciwy. Łucznicy przy każdej okazji demonstrowali więc Francuzom, że jeszcze palce mają i jeszcze nieraz ich użyją na ich zgubę. Gest przetrwał do czasów nowożytnych, z tym, że dwa palce zastąpił jeden, środkowy, a kontekst łuczniczy zmienił się w znacznie bardziej dosadny.

Rozdział trzeci

Adsumus peccati quidem immanitate detenti... – „Stajemy obciążeni wprawdzie ludzkimi grzechami, ale specjalnie zebrani w imię Twoje". Inwokacja do Ducha Świętego autorstwa świętego Izydora z Sewilli.

Veni ad nos... et esto nobiscum... – „Przybądź do nas, pozostań z nami, zechciej przeniknąć nasze serca". Tamże.

Tosme su v prdeli... – „No, to mamy przesrane". Dosłownie: jesteśmy w dupie.

Rozdział piąty

Florentibus occidit annis. – „Zmarł w kwiecie wieku".

„A dyć Keperov..." – wieś, obecnie nosząca nazwę Koprivna, w opisywanych czasach nazywała się (od imienia zasadźcy) Geppersdorf. Nie sądzę, by pastuch i inni lokalni Morawianie umieli i chcieli to tak wymawiać.

Rozdział siódmy

„Święty Ireneusz... tak o antychryście trzyma..." – mocno parafrazowany styl i słowa księdza Piotra Skargi, jezuity.

„...waga około ćwierci łuta..." – florentyński *fiorino d'oro* ważył 3,537 grama, identycznie jak panujący na północ od Alp dukat węgierski.

Benedicite, parcite nobis. – „Błogosław i zachowaj nas"; modlitewny rytuał katarski. *Fiat nobis...* – „Niech nam się stanie według słowa Twego" (modlitwa Anioł Pański). Dalsza wymiana hasło-odzew, w języku okcytańskim: „Kto uwierzy, będzie zbawiony? A kto nie uwierzy, będzie potępiony" (Marek, 16;15-16). „Kto wypełnia wolę Bożą? Ten trwa na wieki" (1. List św. Jana 20;17).

Rozdział ósmy

Benedictus qui venis. – „Błogosławiony ten, który przybywa". Dante, *Boska komedia. Czyściec*, pieśń XXX.

Quare... inquietasti me. – 1. Ks. Samuela 28;15. Duch Samuela pyta Saula: „Dlaczego nie dajesz mi spokoju i wywołujesz mnie?"

Erit nobis visio omnium sicut verba libri signati. – „Każde objawienie jest dla was jakby słowami zapieczętowanej księgi” (Izajasz 29;11).

Rozdział dziewiąty

„Mam, bracie, wróżbitę na usługach...” – Wróżby wróżbity sprawdziły się. Gdy książę opolski Bolko V Wołoszek 29 maja 1460 zasnął w Panu, franciszkanie pochowali go w jego ulubionym Głogówku, w krypcie kolegiaty Świętego Bartłomieja. Ceremonię pogrzebową mnisi odprawili z wielką pompą, pomimo stale ciążącej na księciu klątwy. Wołoszek do samej śmierci nie oddał bowiem nic z zagarniętych kościelnych dóbr.

Względem rzeczy, za które Wołoszek omal nie kazał wróżbity koniem włóczyć: chodziło z pewnością o śmierć syna, po której książę popadł w ciężką i długotrwałą depresję.

Advenisti desiderabilis – druga część antyfony *Cum rex gloriae*, śpiewanej podczas procesji rezurekcyjnej.

Przybyłeś, pożądany,
któregośmy w ciemnościach czekali,
abyś nas wziął, uwięzionych, z zamknięcia tej nocy.
Ciebie nasze wołały westchnienia,
Ciebie żałosne pożądały wzdychania;
Tyś się stał nadzieją strapionym,
wielką ochłodą w udręczeniu.

Quicquid nix celat, solis calor omne revelat. – „Cokolwiek śnieg skrywa, ciepło słońca odkryje”.

„Tarcza, schronienie, przybytek złotej wolności naszej...” – parafrazowany Joachim Lelewel, *Uwagi nad dziejami Polski*. Mądre, dodajmy, uwagi.

Rozdział dziesiąty

„Jeszcze tęgo, obaczysz, popijemy na weselu...” – przewidywania biskupa były słuszne. Mariaż Agnieszki Kantnerówny z robiącym błyskawiczną karierę Kasparem Schlickiem doszedł do skutku w roku

1437, matrymonialne knowania Luksemburczyka to mój literacki wymysł. Związek Piastówny i Kaspara, choć typowo polityczny, był bardzo szczęśliwy i zaowocował licznymi małymi Schlickami.

Z innych inscenizowanych przeze mnie małżeństw żadne nie zostało zawarte. Syn Kantnera, Konrad IX Czarny, nie ożenił się z Barbarą Hohenzollern, jego ślubną została księżniczka mazowiecka Małgorzata. Małżonkiem Barbary Hohenzollern (rzekoma krągłość której jest fabularną imaginacją) został Luigi III Gonzaga, markiz Mantui. Najmłodsza córka Kantnera, Anna, poślubiła Władysława I, księcia Mazowsza. Co się zaś tyczy króla Polski, Władysława nazwanego później Warneńczykiem, to poległ w wiadomej bitwie, nim zdążył zmienić stan cywilny.

„Ambitny lekko nawet ponad miarę, mierzył w biskupy…" – Andrzej z Bnina herbu Łodzia został biskupem poznańskim w roku 1438 i był na urzędzie do śmierci w 1479.

Si vitam inspicias hominum… – „Jeśli przyjrzysz się życiu i obyczajom ludzi, którzy wciąż doszukują się win u innych, zobaczysz, że nikt nie jest bez winy" (*Disticha Catonis*, przekład mój).

Temporibus peccata latent… – „Przewiny przez jakiś czas mogą być ukryte, z czasem jednak wychodzą na jaw". Tamże.

Spes… una hominem nec morte relinquit – „Nadzieja jest jedyną rzeczą, która człowieka nie opuszcza nawet w chwili śmierci". Tamże.

Christus, resurgens ex mortuis… – kolejny śpiew rezurekcyjny, oparty na Liście do Rzymian, 6;9.

Chrystus powstawszy z martwych
już więcej nie umiera
śmierć nad Nim nie ma już władzy.
Bo to, że umarł, umarł dla grzechu tylko raz,
a że żyje, żyje dla Boga.

Rozdział jedenasty

Bojar putny – w dawnej Litwie: niezamożny bojar będący na usługach bogatych panów, pełniący u nich funkcję poborcy podatkowego lub gońca.

Rozdział dwunasty

Antychryst się objawił! – kazanie agitatora to koktajl z Marcina Lutra, Artykułów Szmalkaldzkich i innych manifestów reformackich, okraszony biblijnymi cytatami z *Apokalipsy*, *II Listu do Tesaloniczan (2;9)* i *II Listu Piotra (2;2-3)*.

...gdzie mam naszyty Judenfleck... – Judenfleck, wyróżniającą żółtą łatę, obowiązani byli nosić naszytą na odzieży Żydzi płci męskiej, Żydówkom prawo narzucało pasiaste chusty. Rixa po prostu tak przywykła do męskiego stroju, że o tym zapomniała.

„Mój przodek Lewi..." – wszystkie „plagi" zesłane na poszczególne pokolenia Izraela drobiazgowo wylicza Joshua Trachtenberg, *Diabeł i Żydzi*, Uraeus, Gdynia 1997

„Wasi ojce w 1420 troszkę Żydowinów pogromili..." – troszkę naginam fakty dla potrzeb fabuły. W rzeczywistości jaworskich Żydów w 1420 nie tylko pogromiono, ale i wypędzono z miasta.

„Liczna chewra zjechała z Magdeburga..." – chewra (hebr.), kompania, paczka, towarzycho.

Baruch Ata Haszem, Eloheinu, melech ha-olam... – „Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król Świata, Stwórca świateł ognia".

Emet, emet, emunah... – Prawda, prawda, wiara!

Jehe sz'meh raba mewarach... – „Niech Jego wielkie Imię będzie błogosławione na wieki wieków" (aramejski).

Rozdział trzynasty

„...tytuł zmieniono na *Necronomicon*..." – Dla mniej obeznanych z twórczością H.P. Lovecrafta (i jego talentem do imaginowania): *Al Azif*, arabski podręcznik najstraszniejszej czarnej magii, został przełożony na język grecki przez Teodorosa Filetasa z Konstantynopola, od tłumacza pochodzi też tytuł, pod którym dzieło zasłynęło: *Necronomicon*. W roku 1228 duński alchemik Ole Wurm (Olaus Wormius) dokonał przekładu z greki na łacinę. Oba przekłady papież Grzegorz IX obłożył klątwą w roku 1232. Łaciński *Necronomicon* był wydrukowany dwakroć: w Niemczech (w w. XV) i w Hiszpanii (w w. XVII). Oryginał arabski zaginął bez śladu.

Uwene Jeruszalaim ir hakodesz... – „I odbuduj Jerozolimę, miasto święte, szybko i za dni naszych”.

Rozdział czternasty

Viendo, no vean! – „Aby patrząc, nie widzieli”, wersja kastylijska Ewangelii według św. Łukasza, 8;10.

„...praska strzelba, popularnie zwana «rucznicą zdradną» – postęp w rozwoju uzbrojenia trochę przyspieszam, „zdradzieckie”, tj. noszone w ukryciu (za pasem pod płaszczem) krótkie strzelby stały się w Pradze problemem nieco później, po roku 1500. *Stare letopisy czeskie* przytaczają treść decyzji magistratu, w której noszenia tej broni zakazuje się pod karą grzywny (*Pokud se týká ručnic, mají s nimi chodít jen poblíž svých pozemků, ale at' nedělají škody na rybnících a nestřílejí divoké kachny ani zvěř; ale ty zrádné ručnice, které se ted' velice rozmohly, budou zakázány pod pokutou...*).

„Zwać cię Piotr Preischwitz, pisarz miejski z Budziszyna...” – trzy miesiące później, we wrześniu 1429, Tabor dokonał kolejnej rejzy na Łużyce. Oblegającym Budziszyn husytom pomagał wewnętrzną dywersją ich szpieg, pisarz ratuszowy Piotr Preischwitz. Został schwytany, poddany torturom, przyznał się i wydał wspólników. Budziszyn odparł szturm i wynegocjował z Prokopem Gołym półroczne zawieszenie wojny. Prokop mógł w warunkach rozejmu uwzględnić uwolnienie i wydanie agenta. Nie zrobił tego, Preischwitz został stracony trzeciego lutego 1430. Morał: Szpieg zawsze ma przesrane.

„Osiemset reńskich złotych...” – reński złoty a. gulden (*rheinischer Gulden, florenus Rheni*) bity był w Kolonii, Trewirze i Moguncji, przywilejem menniczym nagrodził wymienione miasta cesarz Karol IV za poparcie jego osoby w elekcji. Reński zawierał mniej złota niż dukat węgierski, a ważył nieco ponad trzy gramy.

„Zapłaci, to go oszczędzę...” – W tej kwestii źródła historyczne wprowadzają mały zamęt, rzecz jest niejasna. Historycy bowiem jednoznacznie i pewnie stwierdzają, że książę Jan Żagański okupił się husytom, płacąc im sześćset guldenów. Te same źródła jednym tchem podają, że husyci zaatakowali Żagań i poczynili wielkie zniszczenia, dewastacji uległ wówczas między innymi żagański klasztor augustianów

i jego unikalna biblioteka. By choć trochę być wiernym nauce, kazałem Jakubowi Kromieszynowi żądać okupu w wysokości ośmiuset reńskich. Czyli: Jan Żagański się targował, okup obniżył, ale tymczasem husyci zdążyli narobić szkód. Po zapłaceniu okupu robienia szkód zaprzestali, co znowu potwierdzają źródła, pisząc, że dzięki okupowi księstwo żagańskie poniosło straty relatywnie niewielkie.

Nox ruit et fuscis tellurem amplectitur alis – „Noc już zapadła i ziemię objęła mrocznymi skrzydłami". Wergiliusz, *Eneida, 3;148*. Tłumaczenie Ignacego Wieniewskiego.

Rozdział piętnasty

„Być przypartym do rzeki, to grozi wręcz zagładą..." – w rok później, zimą 1431, podczas odwrotu z rejzy na Węgry, Sierotki Jana Czapka z San poniosły ciężką klęskę i o mały włos nie uległy zagładzie w identycznej sytuacji: przy próbie przeprawy przez Wag.

Non nobis... – „Nie nam, Panie, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę" (Psalm 115).

Comes facundus in via... pro vehiculo est. – „Rozmowny towarzysz w drodze jest jak wóz" (w znaczeniu: umila podróż i skraca jej czas). Publiliusz Syrus, *Sentencje*.

Rozdział szesnasty

Ben volria mon cavalier... – ballada autorstwa hrabiny de Die (ok. 1200). Przekład autora.

Chciałabym mego rycerza
W objęcia wziąć ramion nagich
W ekstazie byłabym mu milsza
Niźli poduszka puchowa
Goręt̨szym doń kochaniem płonę
Niźli Blanchefleur do Florisa
Jemu serce poświęcę i miłość
Rozsądek, i oczy, i życie

Romantyczna historia Florisa i Blanchefleur była jedną z popularniejszych opowieści miłosnych w Europie tamtego czasu.

Nazwie cię oblubienicą swą, miłość której słodsza jest niźli wino... – Kuzańczyk dość swobodnie cytuje *Pieśń nad Pieśniami, 4:10, 5;16, 7;13-14.*

Rozdział siedemnasty

„...pan na burgu Drachenstein. Tutejszy pfleger..." – pflegerami nazywano rycerzy, którym senior przydzielał funkcje i obowiązki wojskowych dowódców w podlegającym im rejonie; byli odpowiedzialni za moblilizację objętych obowiązkiem służby wojskowej na wypadek wojennej wyprawy i nadzór nad organizacją obrony na wypadek najazdu lub walk wewnętrznych.

„Opłata... wynosi trzy grosze od konia..." – pfleger ma na myśli raczej nie szerokie grosze praskie, ale jakieś lokalne monety srebrne: saskie, rawensburskie lub palatynackie, trzykroć niższe kursem od grosza praskiego. I tak dopuszcza się niemożebnego zdzierstwa, opłata, której żąda, to równowartość dniówki robotnika, za którą można było nabyć korzec owsa albo dwie gęsi.

„...trupów było zbyt wiele..." – w dokonanej 25 stycznia 1430 rzezi Plauen śmierć poniosło powyżej tysiąca osób, tak na moje oko, biorąc pod uwagę ówczesną liczebność takich miast, wybito dobrą połowę mieszkańców.

„Wiele grubych i wielkich kłamstw mówią..." – agitkę emisariusza luźno oparłem na autentycznym manifeście husyckim, rozpowszechnianym po krajach ościennych w różnych wersjach językowych, zaczerpniętym z Ewy Maleczyńskiej, *Ruch husycki w Czechach i w Polsce*, KiW 1959.

Rozdział osiemnasty

Seulete sui et seulete vueil estre... – jedna z bardziej znanych ballad Krystyny de Pisan (tłumaczenie Julii Hartwig).

Sama jestem i chcę zostać sama,

Samą mnie pozostawił mój miły,
Sama jestem, bez druha i pana,
Sama jestem, w cierpieniu nad siły...

De Deu e de nos vos sian perdonatz... – „Niech ci będą one wybaczone przez Boga i przez nas, prosimy Boga, aby ci je wybaczył" (rytuał katarski przy konającym).

Pater sancte... suscipe ancillam tuam in tua iusticia. – „Święty Ojcze, przyjmij twoją służebnicę w twojej sprawiedliwości i ześlij na nią Twoją łaskę i Twojego świętego Ducha". Tamże.

Rozdział dziewiętnasty

Mors stupebit et natura... – *Dies irae*.

Śmierć struchleje, wszelkie ciało
gdy powstanie, jak leżało,
by przed Sędzią głos zabrało.
Zwój ksiąg będzie rozwiniony
zapisanych z każdej strony,
z których ma być świat sądzony.

Amor condusse noi ad una morte... – Dante, *Boska komedia*, Piekło, pieśń V.

Mocny jak wieża bądź... – tamże, Czyściec, pieśń V.

O luce etterna che sola in te sidi... – tamże, Raj, pieśń XXXIII, przekład jak w poprzednich tomach.

Zarzewie wieczne, samo w sobie tkwiące,
Samo-pojętne, samo-pojmowane,
W tym się pojęciu własnym kochające!

Confutatis maledictis... – następna zwrotka z *Dies irae*.

Pomieszawszy z przeklętymi,
ogniem srogim objętymi,
wywołaj mnie ze świętymi.

Rozdział dwudziesty

Agnus Dei qui tollit peccata mundi. – „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata". Początek modlitwy mszalnej.

Requiem aeternam dona ei... – „Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci. W wiecznej pamięci będzie sprawiedliwa: nie będzie się lękała smutnej nowiny".

Ad te omnis caro veniet. – „Do Ciebie przyjdzie każdy człowiek".

Praesens malum auget boni perditi memoria... – Piotr Damiani, *Hymnus de gaudio paradisi*.

Rozdział dwudziesty pierwszy

„...Litwin z rodu całkiem świeżo zaszczyconego przyjęciem do herbu polskiego Odrowąż..." – na mocy postanowień zawartej drugiego października 1413 unii horodelskiej polska szlachta koronna przyjęła Litwinów z rodów bojarskich do swych herbów, stwierdzając w dokumencie (za Karolem Szajnochą): „Niniejszym zespolamy i jednoczymy nasze domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem".

„Gościem był Konrad, biskup Wrocławia..." – to już tom ostatni, więc nie od rzeczy będzie zawrzeć w przypisach kilka informacyj o tym, „co było później". I tak: Konrad Piast książę oleśnicki był biskupem Wrocławia przez 29 lat. Zmarł w wieku lat sześćdziesięciu siedmiu na zamku w Jelczu w dniu dziewiątym sierpnia 1447. Dwa dni później pochowano go z wielką pompą w katedrze wrocławskiej. Interesującym – wobec zdecydowanej antypolskości Konrada – może być fakt, że jako jego następcę prekonizowano we Wrocławiu Polaka, Piotra Nowaka z Niwnicy, który za swoich rządów doprowadził do poprawy popsutych przez Konrada stosunków z archidiecezją gnieźnieńską, której Wrocław zawsze kościelnie podlegał.

„...która pomoże narodowi przepłynąć każdy potop..." – do niezatapialnego, zdolnego przepłynąć każdy dziejowy potop okrętu porównał sanktuarium jasnogórskie prymas Stefan Wyszyński (w wypowiedzi z 23 maja 1969 r.).

Rozdział dwudziesty drugi

„...postrachu, jaki... Sierotki wzbudziły w Nowej Marchii...” – latem roku 1433 Jagiełło rozpoczął wojnę z Zakonem Krzyżackim. Na mocy sojuszu zawartego rok wcześniej w Pabianicach u boku wojsk polskich na ziemie Zakonu wtargnęło osiem tysięcy Sierotek pod wodzą Jana Czapka z San. Sierotki wzbudzały postrach zwłaszcza wśród krzyżackich wojsk najemnych, złożonych z Czechów, nie miały bowiem litości dla wysługujących się Niemcom odszczepieńców, „zdrajców czeskiego języka”. Sami Krzyżacy też bali się Sierotek jak ognia.

Warto wspomnieć, że gdy Sierotki Czapka szły na Prusy, daleko idącą pomoc okazał im książę Jan Żagański, nagle bardzo propolski i proczeski. A o Rixie i jej roli historia milczy... Tak to już bywa.

„Większość podobno już nie żyje. Umarli, nim od napadu na klasztor rok minął...” – O tak rychłym końcu uczestników napadu na klasztor jasnogórski zapewnia Długosz w *Rocznikach*.... Rzeczywistość była inna, historyczni napastnicy żyli dłużej, niektórzy znacznie. Kniaź Fedor Ostrogski żył jeszcze w roku 1438, widzimy go w wojsku polskim podczas wojny z Albrechtem austriackim o sukcesję czeską. Dalsze losy kniazia i data jego śmierci są nieznane. Jan Kuropatwa z Łańcuchowa piastował różne urzędy, był doradcą króla Kazimierza Jagiellończyka podczas wojny trzynastoletniej, zmarł po roku 1462. Jedynym, który pożegnał się z życiem niedługo po napadzie i do tego śmiercią gwałtowną, był Jakub Nadobny z Rogowa, który latem roku 1431 poległ pod Łuckiem w wojnie ze zbuntowanym Świdrygiełłą.

„Kniaź odszedł na Litwę...” – po upadku Gliwic Zygmunt Korybutowicz udał się do Czech, w 1431 walczył pod Domażlicami. Potem wrócił na Litwę, gdzie stanął po stronie zbuntowanego przeciw Polsce Świdrygiełły. Zginął w feralnej dla buntowników bitwie pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą, w dniu pierwszego września roku 1435. Był to, dokładnie jak przepowiedziało to widmo na Odrach, czwartek, czternaście dni przed datą jesiennej równonocy.

„Dołączył do nas po zwycięstwie pod Domażlicami. Gdy mocno byliśmy górą...” – Hayn von Czirne przyłączył się do husytów z Niemczy w 1432 i wespół z nimi rabował Śląsk. W roku 1434, po Lipanach, gdy karta się odwróciła, postanowił ratować skórę ponownie zmieniając sztandar. W sierpniu 1434 namówił Biedrzycha ze Strażnicy do łupieskiej rejzy na Lwówek, na trasie oferując gościnę na należącym do jego brata zamku Falkenstein. Tam pojmał Biedrzycha zdradą, w nocy,

we śnie, i wydał go świdniczanom. W świdnickiej wieży Biedrzych siedział do grudnia, wyszedł – podobnie jak Piotr Polak – po zapłaceniu okupu i rokowaniach, na mocy których zwycięscy umiarkowani kalikstyni czescy zobowiązali się do wydania Ślązakom Niemczy, Wierzbna i Otmuchowa.

Biedrzych ze Strażnicy, ostatni hejtman wojsk polnych Taboru, w roku 1436 ułożył się z cesarzem Zygmuntem i poprowadził resztki taborytów na Węgry, do walki z Turkami. Zmarł w 1459.

Epilog

„Dalej fantazja moja nie nadąży...” – Dante, *Boska komedia*, Raj, pieśń XXXIII, 142-145.